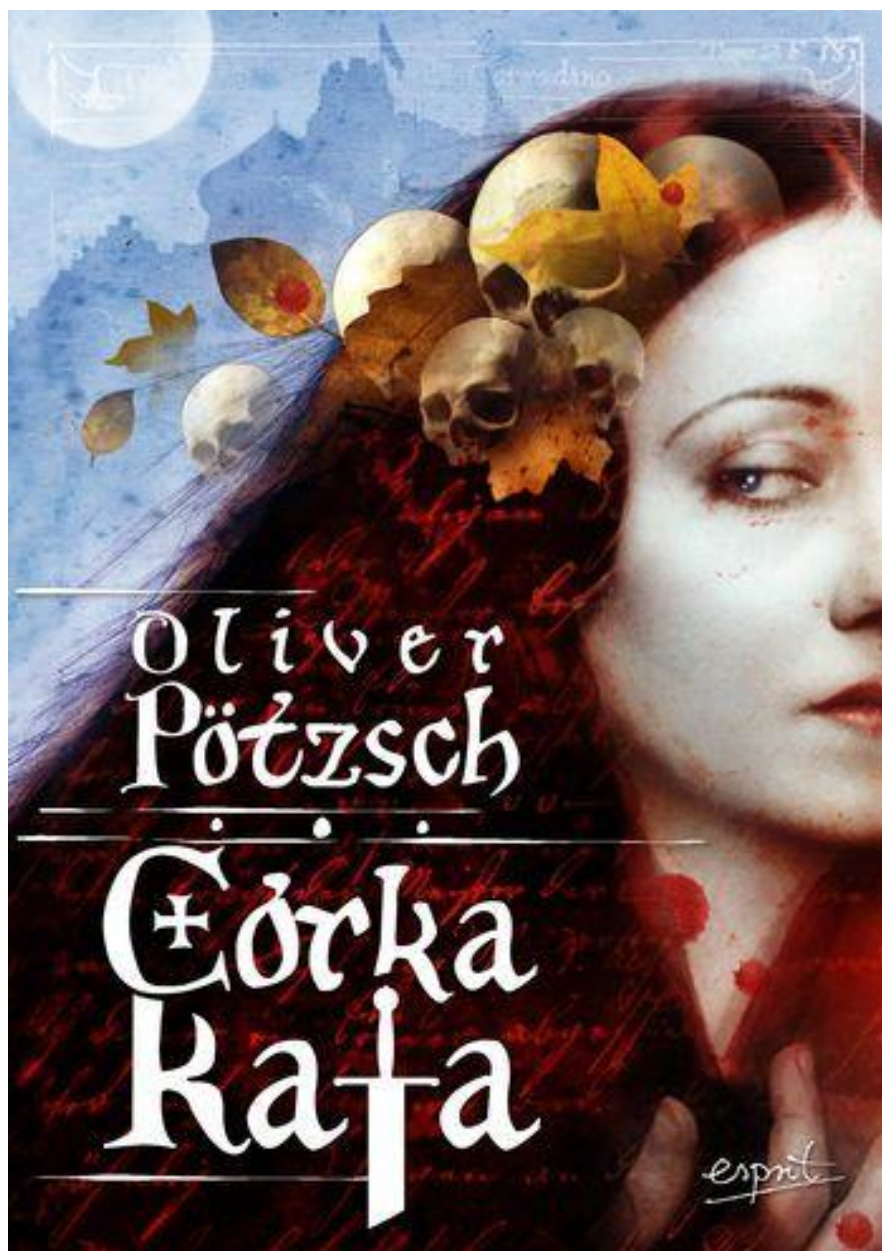




**Oliver Pötzsch**

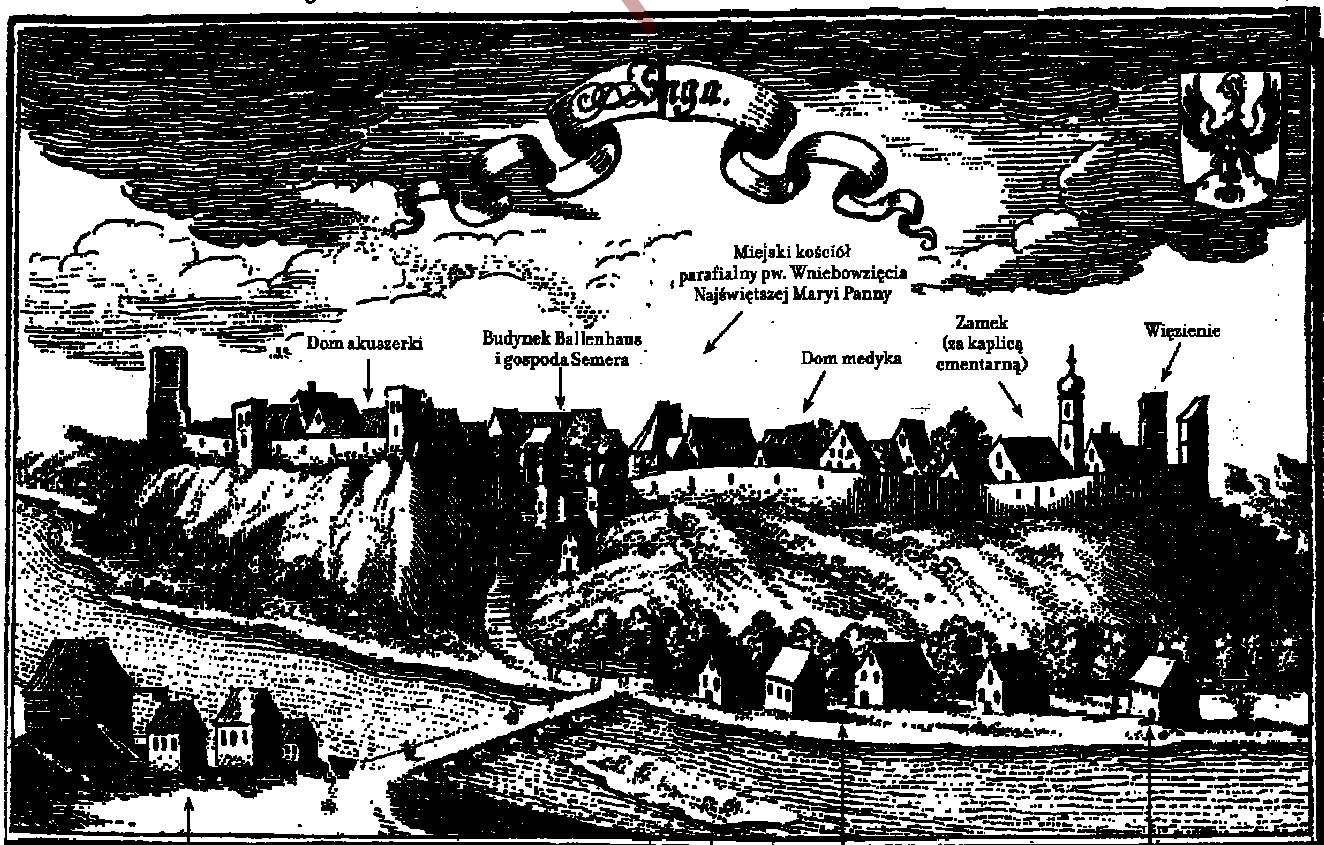
**Córka kata**

Tłumaczyła Edyta Panek



*Ku pamięci Fritza Kuisla,  
dla Niklasa i Lily— na drugim końcu linii*

Widok na miasteczko Schongau



Przystań dla tratw  
i magazyn

Dzielnica garbarzy

Dom kata

Miejszary autorstwa Antonia Wilhelma Erla, 1690



## **Lista postaci**

**JAKUB KUISL**, schongauski kat

**SIMON FRONWIESER**, syn miejscowego **medyka**

**MAGDALENA KUISL**, córka kata

**ANNA MARIA KUISL**, żona kata

**BLIŹNIAKI KUISLÓW**— Georg i Barbara

**BONIFAZ FRONWIESER**, miejscowy **medyk**

**MARTA STECHLIN**, akuszerka

**JÓZEF GRIMMER**, woźnica

**GEORG RIEGG**, woźnica

**KONRAD WEBER**, miejscowy ksiądz

**KATARZYNA DAUBENBERGER**, akuszerka z Peiting

**RESL**, służąca w gospodzie „Pod Złotą Gwiazdą”

**MARTIN HUEBER**, woźnica z Augsburga

**FRANZ STRASSER**, karczmarz z Altenstadt

**KLEMENS KRATZ**, kramarz

**AGATA KRATZ**, żona kramarza

**MARIA SCHREEVOGL**, żona rajcy

**GRAF WOLF DIETRICH VON SANDIZELL**, przedstawiciel księcia efektora

*Rajcy*

**JOHANN LECHNER**, pisarz sądowy

**KARL SEMER**, pierwszy burmistrz i karczmarz w gospodzie

„Pod Żółtą Gwiazdą”

**MATTHIAS AUGUSTIN**, członek rady wewnętrznej

**MATTHIAS HOLZHOFER**, burmistrz

**JOHANN PÜCHNER**, burmistrz

**WILHELM HARDENBERG**, zarządca szpitala pod wezwaniem Świętego  
Ducha

**JAKUB SCHREEVOGL**, garncarz i świadek na procesach

**MICHAEL BERCHTHOLDT**, piekarz i świadek na procesach

**GEORG AUGUSTIN**, woźnica i świadek na procesach

### *Dzieci*

**SOPHIE DANGLER**, podopieczna tkacza Andreasa Danglera

**ANTON KRATZ**, podopieczny kramarza Klemensa Kratza

**KLARA SCHREEVOGL**, podopieczna rajcy Jakuba Schreevogla

**JOHANNES STRASSER**, podopieczny karczmarza Franza Strassela  
z Altenstadt

**PETER GRIMMER**, syn Józefa Grimmera, pólsierota

### *Żołnierze*

**CHRISTIAN BRAUNSCHWEIGER**,

**ANDRE PIRKHOFER**,

**HANS HOHEMLFJTNER**,

**CHRISTOPH HOLZAPFEL**



## Prolog

*Schongau,*

12 października Roku Pańskiego 1624

Dwunasty października był dobrym dniem na zabijanie. Przez cały tydzień padał deszcz, jednak w piątek po odpuście dobry Pan Bóg okazał swą wyrozumiałość. Słońce świeciło mimo rozpoczynającej się jesieni, ogrzewając ciepłymi promieniami górzyste Pfaffenwinkel<sup>1</sup>. W górnej części miasta słyhać było wrzawę i śmiech. Dudniły bębunki, brzęczały kajdanki, gdzieś grały skrzypce. Zapach pączków i smażonej ryby docierał aż do położonej niżej cuchnącej dzielnicy garbarzy. Zapowiadała się piękna egzekucja.

Jakub Kuisl stał w zalanej światłem izbie i próbował zbudzić swojego ojca, szarpiąc go za ramię. Woźny sądowy przychodził po nich już dwukrotnie, jednak tym razem nie dał odprawić się z kwitkiem. Głowa schongauskiego kata leżała na blacie stołu, a jego długie, posklejane w strąki włosy nurzały się w kałuży piwa i wódki. Mężczyzna chrapał, drgając co jakiś czas przez sen.

Jakub schylił się do ucha swojego ojca. Kat cuchnął mieszanką alkoholu i potu. Zimnego potu. Przed egzekucjami zawsze tak cuchnął. Choć w innych oko-

---

<sup>1</sup> Pfaffenwinkel — region w południowej Bawarii, leżący między rzekami Lech, Loisach i Ammer. Jego nazwa (pol. księży ką, zakątek) pochodzi od nader licznych (159) w tej okolicy XVIII— wiecznych kościo-

licznościach pił z umiarem, to najpóźniej po ogłoszeniu wyroku zaczął żłopać na potęgę. Nic nie jadł i prawie nic nie mówił. Nocami często budził się z krzykiem, zlany potem. Przez kolejne dwa dni nie było z nim praktycznie żadnego kontaktu. Ten swoisty rytuał doskonale знаła jego żona Katarzyna i dlatego regularnie przenosiła się wtedy z dziećmi do swojej szwagierki. Tylko Jakub musiał zostawać w domu. Ostatecznie był najstarszym synem, a tym samym pomocnikiem ojca.

— Musimy iść! Woźny sądowy czeka!

Jakub najpierw szeptał, później mówił podniesionym głosem, by w końcu wrzasnąć. Chrapiący olbrzym wreszcie się poruszył.

Johannes Kuisl spojrział na syna przekrwionymi oczami. Jego skóra miała kolor suchego, starego chlebowego ciasta. Z czarnej zlepionej w strąki brody zwisały resztki wczorajszej jęczmiennej zupy. Przesunął po twarzy długimi, powykrzywianymi niczym szpony palcami. Wreszcie wyprostował się, prezentując swoją rosłą, wysoką na niemal sześć stóp postać. Potężne ciało zachwiało się na chwilę, sprawiając wrażenie, jakby miało runąć przed siebie, jednak Johannes Kuisl odzyskał równowagę i przeciągnął się.

Jakub podał ojcu zaplamioną marynarę, skórzany kolet na ramiona i rękawice. Mężczyzna powoli się ubrał, odsunął z czoła włosy, a następnie bez słowa podszedł do tylnej ściany izby, gdzie między wytartą ławką kuchenną a kącikiem do modlitwy z krucyfiksem i zasuszonymi różami stał oparty katowski miecz. Był długi na dobre dwa łokcie, miał krótki jelec pozbawiony szpica, ale za to ostrzem można było przeciąć w powietrzu spadający włos. Ojciec Jakuba regularnie go ostrzył. Miecz błyszczał w słońcu, jakby wykuto go dopiero wczoraj. Nikt nie potrafił powiedzieć, ile liczył sobie lat. Przed Johannesem Kuislem należał do jego teścia, Jorga Abriela, który odziedziczył go po swoim ojcu i dziadku. Kiedyś miał trafić do rąk Jakuba.

Przed drzwiami domu czekał woźny sądowy. Niski, wąty mężczyzna wciąż odwracał głowę w stronę murów miasta. Byli spóźnieni. Należało się spodziewać, że pierwsi zgromadzeni na górze mieszkańcy już się niecierpliwią.

— Jakubie, szykuj się do drogi.

Głos ojca zabrzmiał spokojnie i głęboko. Nocne krzyki i szlochy rozplynęły się jakby za sprawą czarodziejskiej różdżki.

Gdy Johannes Kuisl przeciskał swoje dobrze zbudowane ciało przez niskie drewniane drzwi, woźny sądowy mimowolnie uczynił krok w bok, robiąc przy tym znak krzyża. Kat nie był w miasteczku człowiekiem mile widzianym i nieprzypadkowo jego dom stał poza miastem, w dzielnicy garbarzy. Gdy barczysty mężczyzna w milczeniu pił wino w gospodzie, siedział przy własnym stoliku. Na ulicy unikano jego spojrzenia, bo podobno przynosiło nieszczęście, zwłaszcza w dniu egzekucji. Skórzane rękawice, które dziś założył, jak zwykle miały być po wszystkim spalone.

Kat usiadł na ławce obok domu, rozkoszując się promieniami południowego słońca. Ten, kto zobaczyłby go w tej pozie, nie uwierzyłby, że jeszcze przed godziną mamrotał nieprzytomnie w delirium. Johannes Kuisl uchodził za dobrego kata. Był szybki, silny i nie guzdrał się z robotą. Nikt poza rodziną nie wiedział jednak, ile alkoholu wlewał w siebie przed egzekucją. Teraz zamknął oczy, jakby słuchał jakiejś dobiegającej z oddali melodii. Wciąż jeszcze dochodził do niego hałas z miasta. Muzyka, śmiech, gdzieś w pobliżu pogwizdywał kos. Miecz stał oparty o ławkę niczym laska.

— Pamiętaj o powrozach! — zawołał do swojego syna, nie otwierając przy tym oczu.

W przylegającej do domu stajni Jakub oporządził lichego siwka i zaprzął go. Wczoraj przez kilka godzin szorował dwukołowy wóz, jednak dziś stwierdził, że była to praca bezowocna — brud i plamy krwi głęboko wniknęły w



drewno. Na najgorsze miejsca Jakub rzucił trochę słomy i tak oto wóz był przygotowany na wielki dzień.

Dwunastoletni syn kata widział z bliska kilka egzekucji — dwa powieszenia i utopienie potrójnie skazanej złodziejki. Gdy jako widz po raz pierwszy stanął przed szubienicą, miał dokładnie sześć lat. Jakub wciąż dokładnie pamiętał, jak uliczny rabuś przez niemal kwadrans dyndał na postronku. Tłum wrzeszczał, a ojciec tego wieczoru wrócił do domu z dorodnym kawałkiem baraniny. Przez pewien czas po egzekucji Kuislom powodziło się wyjątkowo dobrze.

Jakub przyniósł kilka lin ze skrzyni stojącej na tyłach stajni i włożył je do worka razem z łańcuchami, zardzewiałymi obcęgi i płóciennymi chustami, przeznaczonymi do wycierania krwi. Później wrzucił worek na wóz i poprowadził zaprzęzonego konia pod dom. Ojciec wspiął się i usiadł po turecku na dnie wozu. Miecz spoczywał na jego potężnych udach. Woźny sądowy szedł z pośpiechem na przędzie, zadowolony, że jest poza zasięgiem kata.

— No, dawaj! — zawołał Johannes Kuisl.

Jakub pociągnął za cugle i wóz ruszył, skrzypiąc.

Podczas gdy siwek powoli człapał szeroką ulicą w kierunku wyższej części miasta, syn wciąż spoglądał za siebie na ojca. Jakub zawsze szanował pracę swojej rodziny. Nawet gdy ludzie mówili, że zawód kata przynosi ujmę, on nie mógł w nim znaleźć niczego haniebnego. Nikczemni to byli oszuści i wymalowane prostytutki. Tymczasem jego ojciec wykonywał ciężką i porządną pracę, która wymagała dużego doświadczenia. Jakub uczył się od niego trudnego rzemiosła zabijania.

Jeśli będzie miał szczęście i pozwolenie księcia elektora, wówczas za kilka lat złoży egzamin mistrzowski, polegający na zgodnym z zasadami sztuki, doskonałym pod względem rzemieślniczym ścięciu głowy. Jakub jeszcze nigdy nie widział tego aktu, dlatego tym ważniejsze było dla niego, by dziś dokładnie się wszystkiemu przyglądać.



Wóz wjechał w wąską, stromą ulicę i dotarł na rynek. Wszędzie przed domami patrycjuszy widać było porozstawiane kramiki i stoiska. Umorusane dziewczęta sprzedawały smażone orzechy i małe, pachnące chlebki. W rogu usiadła grupa grajków, którzy żonglowali piłeczkami i śpiewali szyderczą piosenkę o dzieciobójczyni. Wprawdzie najbliższy jarmark przypadał dopiero pod koniec października, niemniej jednak wieść o egzekucji rozeszła się po okolicznych wioskach. Ludzie plotkowali, jedli, kupowali trochę smakołyków, aby na koniec, jako punkt kulminacyjny, obejrzyć krwawy spektakl.

Siedzący na koźle Jakub spoglądał na gawieź, która gapiła się na wóz kata, po części śmiejąc się i dziwiąc. Zbyt wiele się tu nie działo, rynek opustoszał. Większość mieszkańców Schongau popędziła już w stronę miejsca straceń, by zająć jak najlepsze pozycje. Egzekucja miała odbyć się po dzwonach obwieszczających południe, a do dwunastej brakowało już mniej niż pół godziny.

Gdy wóz z katem wtoczył się na wybrukowany plac, muzyka ucichła. Ktoś krzyknął:

— No, kacie, naostrzyłeś swój miecz? Może chcesz się z nią ożenić?

Tłum wrzeszczał. Również w Schongau obowiązywał zwyczaj, wedle którego kat mógł ocalić skazaną, poślubiając ją. Jednak Johannes Kuisl miał już żonę. Katarzyna Kuisl na pewno nie uchodziła za łagodną. Jako córka osławionego kata Jórge Abriela, była nazywana także krwawą dziewczką lub diablicą.

Wóz toczył się po rynku, a ominąwszy budynek Ballenhaus skierował się ku murom miasta. Wznosiła się tu wysoka, trzypiętrowa wieża z czarną od sadzy elewacją i małymi jak otwory strzelnicze oknami, do których przymocowano kraty. Kat zarzucił miecz na ramię i zszedł z wozu. Następnie wraz z synem udał się przez kamienisty portal do chłodnego wnętrza więzienia. Wąskie wydeptane schody prowadziły w dół do lochu. Znajdował się w nim ciemny korytarz, od którego z prawej i lewej strony odchodziły ciężkie, okute żelazem drzwi. Na wysokości ludzkiej głowy osadzono w nich maleńkie kratki. Z prawej strony do-

biegało zza nich dziecięce niemal kwilenie i szept księdza. Do uszu Jakuba dochodziły strzępki łacińskich słów.

Woźny sądowy otworzył drzwi i powietrze natychmiast wypełniło się smrodem uryny, ekskrementów i potu. Syn kata mimowolnie wstrzymał oddech.

Wewnątrz celi łkanie kobiety ucichło na krótko, przechodząc później w wysokie, żalosne krzyki. Dzieciobójczyni wiedziała, że zbliża się jej koniec. Wzma-gała się również litania odmawiana przez księdza. Modlitwy i krzyki połączyły się ze sobą, tworząc jedno diaboliczne larum.

— *Dominus pascit me, et nihil miki deerit...*

Teraz przybiegli również inni woźni sądowi, aby wyciągnąć skazaną na światło dzienne.

Elisabeth Clement była kiedyś piękną kobietą o sięgających do ramion blond włosach, śmiejących się oczach i wydatnych ustach, na których zawsze zdawał się błąkać kpiący uśmiech. Jakub często widywał ją, jak z innymi dziewczętami prała bieliznę nad Lechem. Teraz woźni sądowi ścięli jej włosy, a jej twarz stała się blada i zapadnięta. Dziewczyna miała na sobie prostą, szarą koszulę pokutną, którą od góry do dołu pokrywały brudne plamy. Jej kościste ramiona odznaczały się wyraziście pod ubraniem. Była tak wychudzona, jakby w ogóle nie tknęła ob-fitego posiłku, jaki przysługiwał skazanym przez ostatnie trzy dni i tradycyjnie fundowany był przez karczmarza Semera.

Elisabeth Clement pracowała jako służąca u koniarza. Dzięki swej urodzie cieszyła się sympatią parobków, którzy zlatywali się do niej jak ćmy do światła, składali jej drobne podarki, wystawiali pod drzwiami domu. Koniarz pomstował, ale cóż to mogło zmienić. Mówiono, że ten i ów znikał z nią także w sianie.

Martwe dziecko znalazła druga służąca. Leżało za stodołą w dole, pokrywała je świeża jeszcze ziemia. Już na samym początku tortur Elisabeth złamała się. Jednak nie potrafiła lub nie chciała powiedzieć, z kim zaszła w ciążę. Tymcza-sem kobiety w miasteczku plotkowały i szeptały. Uroda Elisabeth przyprawiła ją

o zgubę, co pozwoliło spać spokojnie niejednej szpetnej mieszczce. Świat znów wrócił na dawne tory.

Teraz Elisabeth wykrzykiwała w świat swój strach, energicznie wymachując rękami, gdy trzech woźnych sądowych wyciągało ją z lochu. Próbowali zakuć ją w kajdany, jednak dziewczyna wciąż wymykała się im jak śliska ryba.

Później zdarzyło się coś osobliwego: kat wysunął się naprzód i położył jej obydwie ręce na ramionach. Barczysty mężczyzna niemal z czułością pochylił się nad mizerną dziewczyną i szepnął jej coś na ucho. Tylko Jakub stał wystarczająco blisko, by usłyszeć wypowiedziane słowa.

— Nie będzie bolało, Lisi. Obiecuję ci, nie będzie bolało.

Dziewczyna przestała krzyczeć. Wprawdzie drżała na całym ciele, jednak teraz pozwoliła się związać. Woźni sądowi spojrzeli w górę na kata z mieszanką podziwu i strachu w oczach. Wszak wyglądało to tak, jakby Johannes Kuisl szepnął dziewczynie do ucha jakieś czarodziejskie zaklęcie.

W końcu wyszli na zewnątrz, gdzie wielu mieszkańców Schongau z napięciem czekało już na biedną winowajczynię. "Wśród tłumu rozległy się szepty, niektórzy żegnali się lub odmawiali krótką modlitwę. Wysoko na wieży kościelnej zaczął bić dzwon, wydając wysoki, ostry dźwięk niesiony przez wiatr nad miastem. Umilkły już szydercze okrzyki i, nie licząc przejmującego bicia dzwo-  
nu, nastąpiła całkowita cisza. Elisabeth Clement była dotąd jedn z tłumu, tymczasem teraz gapiała się na zebranych wokół niej ludzi niczym schwymane dzikie zwierzę.

Johannes Kuisl podniósł drżącą dziewczynę nawóz i ponownie szepnął jej coś do ucha. Później podał jej małą buteleczkę. Gdy Elisabeth zawahała się, nagle chwycił ją za głowę, przechylił do tyłu i wlał jej płyn do ust. Wszystko roze-  
grało się tak szybko, że tylko nieliczni stojący dookoła gapie zdążyli cokolwiek zauważyć. Wzrok Elisabeth zaszklili się. Dziewczyna poczołgała się w róg wozu i położyła tam na podłodze. Jej oddech uspokoił się, a drzenie na ciele ustało. Na-

pój Kuisla znano w całym Schongau. Była to łaska, której nie udzielał bynajmniej każdemu skazańcowi. Złodziej skarbonki na datki i morderca, Peter Hausmeir, czuł każde pojedyncze uderzenie, gdy przed dziesięcioma laty Kuisl miażdżył mu kości. Łamany kołem krzyczał do czasu, aż kat ostatnim ciosem zgruchotał mu kręgosłup.

Skazani na śmierć zazwyczaj musieli o własnych siłach iść na miejsce egzekucji lub, owinięci w zwierzęcą skórę, byli tam zaciągani przez konia. Jednak kat z doświadczenia wiedział, że skazane dzieciobójczynie z reguły nie były już w stanie chodzić samodzielnie. Dlatego, aby je obezwładnić, w dzień egzekucji podawał im całe trzy litry wina, a tajemniczy napój robił resztę. Dziewczęta przeważnie zachowywały się jak zataczające się baranki, które trzeba było prowadzić na rzeź. Dlatego Johannes Kuisl zawsze brał wóz, który ponadto chronił skazane przed niejednym ciosem ze strony gapiów, mogącym posłać je przedwcześnie na tamten świat.

Kat sam trzymał teraz cugle, natomiast jego syn Jakub szedł obok. Tłum gapił się i oblegał wóz, wskutek czego poruszali się do przodu bardzo wolno. Na wóz wdrapał się franciszkanin, który usiadł przy skazanej i zaczął odmawiać różaniec. Jechali powoli dookoła budynku Ballenhaus, aż w końcu stanęli przy jego północnej stronie. Jakub rozpoznał kowala z Hennengasse, który czekał z naczyniem na żar. Miech w jego silnych, muskularnych rękach rozdmuchiwał żarzące się węgle, dzięki czemu zanurzone w nich obcegi połyskiwały na czerwono jak świeża krew.

Dwóch woźnych sądowych podniosło Elisabeth niczym marionetkę. Jej oczy spoglądały w próżnię. Gdy kat uszczypnął ją obcęgami w prawe ramię, dziewczyna wydała z siebie krótki, piskliwy okrzyk. Chwilę później zdawało się, że znowu wróciła do innego świata. Syczało i dymiło, Jakuba uderzył w nozdrza zapach spalonego ciała. Chociaż ojciec opowiadał mu wcześniej o procedurze, chłopak walczył z napadami mdłości.

Wóz zatrzymywał się jeszcze trzy razy, przy każdym kolejnym rogu budynku Ballenhaus, a czynności powtarzano. Elisabeth ponownie uszczypnięto kolejno w lewe ramię, lewą i prawą pierś, jednak dzięki napojowi odczuwany ból był umiarkowany.

Dziewczyna zaczęła nucić prostą, dziecięcą piosenkę, z uśmiechem głaszcząc się przy tym po brzuchu: „Śpij, dziecino, śpij...”.

Przez bramę wjazdową opuścili Schongau i udali się w stronę ulicy prowadzącej do Altenstadt. Już z daleka widzieli plac, na którym miała się odbyć egzekucja. Była to porośnięta trawą i pokryta plamami ziemi przestrzeń, położona między polami uprawnymi a graniczącym z nimi lasem. Zebrało się tam całe Schongau oraz mieszkańcy okolicznych wiosek. Dla rajców przyniesiono ławki i krzesła. Lud stał w tylnych rzędach, zabijając czas plotkami i podjadaniem. Pośrodku znajdowało się miejsce straceń — murowana platforma, mająca wysokość siedmiu stóp, na którą prowadziły drewniane schody.

Gdy wóz dotarł na plac, tłum rozdzielił się. Ciekawscy ludzie próbowali zajrzeć do wnętrza wozu, by zobaczyć leżącą na dnie dzieciobójczynię.

— Powinna wstać. Do góry, do góry z nią! Kacie, pokaż ją nam!

Lud był wyraźnie rozgniewany. Wielu czekało tu już od wczesnych godzin rannych, a teraz nie mogli nawet zobaczyć zbrodniarki. Poleciały pierwsze kamienie i zgniłe owoce. Ojciec franciszkanin schylił się, by uchronić swoją brązową szatę, jednak kilka jabłek trafiło go w plecy. Woźni sądowi odepchnęli tłum, który skupił się wokół wozu niczym jeden wielki twór, jakby chciał go połknąć wraz z zawartością.

Tymczasem Johannes Kuisl spokojnie kierował wozem w stronę platformy, gdzie czekali już rajcy razem z administratorem Michaeliem Hirschmannem. Ten, jako tutejszy zastępca księcia elektora, przed dwoma tygodniami ogłosił wyrok. Teraz ponownie spojrzął dziewczynie głęboko w oczy. Starszy mężczyzna znał bowiem Elisabeth od dziecka.

— Moja Liso, co ty zrobiłaś?

— Nic, nic nie zrobiłam, ekscelencjo.

Elisabeth Clément spojrzała na administratora martwym wzrokiem, po czym zaczęła znów gładzić swój brzuch.

— To wie tylko Pan Bóg — wymamrotał Hirschmann.

Administrator skinął głową, a kat poprowadził dzieciobójczynię po ośmiu stopniach na miejsce straceń. Jakub szedł za nimi. Elisabeth potknęła się dwukrotnie, zanim w końcu pokonała swoją ostatnią drogę. U celu czekał już drugi franciszkanin oraz miejski herold. Jakub spojrzał w dół na łąkę. Dostrzegł tam setki ciekawskich twarzy z szeroko otwartymi oczami i ustami. Rajcy usiedli na swoich miejscach. Z miasta znów dobiegał dźwięk dzwonu. Wszystko trwało w oczekiwaniu.

Kat delikatnie popchnął Elisabeth Clément w dół, aż uklękła. Później zasłonił jej oczy jedną z przyniesionych płóciennych chust. Przez jej ciało przeszło lekkie drzenie. Dziewczyna mamrotała modlitwę.

— Zdrowaś Maryjo, Pan z Tobą. Błogosławionaś Ty między niewiastami...

Herold chrząknął, po czym jeszcze raz ogłosił wyrok. Jego głos przypominał Jakubowi jakby dobiegający z oddali szum.

— ...abyś teraz całym sercem zwróciła się do Boga i tak znalazła pobożną i szczęśliwą śmierć...

Ojciec szturchnął go w bok.

— Musisz mi ją przytrzymać — wyszeptał tak cicho, jak tylko potrafił, aby nie zakłócać przemowy.

— Co?

— Musisz wysoko trzymać jej ramiona i głowę, żebym dobrze trafił. W przeciwnym razie Lisi nam się wywróci.

Rzeczywiście, tułów skazanej powoli pochylał się do przodu. Jakub miał zamęt w głowie. Do tej pory zawsze wychodził z założenia, że podczas egzekucji



powinien tylko się przyglądać. Ojciec nigdy nie wspominał o żadnej pomocy. Jednak na wahanie się było teraz za późno. Jakub złapał Elisabeth Clement za krótkie włosy i podciągnął jej głowę do góry. Dziewczyna cicho jęczała. Syn kata poczuł pot na swoich palcach, wyciągnął rękę, aby zrobić miejsce na miecz ojca. Sztuką było obiema rękami zadać je— den cios tak, aby trafić dokładnie między dwa kręgi szyjne. Jedno mrugnięcie okiem i już było po sprawie. Oczywiście pod warunkiem, że wszystko zrobiono właściwie.

— Niech Bóg okaże łaskę twojej biednej duszy...

Herold doszedł do końca przemowy. Wyciągnął cienki, czarny drewniany kij, podniósł go nad Elisabeth Clement i przełamał. Na całym placu rozległ się trzask drewna.

Administrator skinął w kierunku Johanna Kuisla. Kat podniósł miecz i zamachnął się.

W tym momencie Jakub poczuł, jak włosy dziewczyny wyslizgują mu się spod spoconych palców. Jeszcze przed chwilą trzymał wysoko głowę Elisabeth Clement, gdy nagle dziewczyna upadła do przodu jak worek zboża. Widział zbliżający się ze świstem miecz ojca, jednak zamiast w szyję ostrze trafiło w głowę na wysokości ucha. Elisabeth Clement odwróciła się na podłodze platformy. Wrzeszczała, jakby ją obdzierano ze skóry, a na jej skroni widniała głęboka rana. W kałuży krwi Jakub dostrzegł połowę ucha.

Opaska zsunęła się ze zranionej twarzy dziewczyny. Otwartymi szeroko ze strachu oczami Elisabeth spoglądała w górę na kata, który stał nad nią z podniesionym mieczem. Tłum wydał z siebie jęk jakby z jednej krtani. Jakub poczuł ściskanie w gardle.

Jego ojciec odsunął go i zrobił jeszcze jeden zamach. Jednak na widok zbliżającego się miecza Elisabeth potoczyła się w bok. Tym razem ostrze trafiło ją w ramię i przejechało głęboko aż po zgięcie szyi. Z rany buchnęła krew, opryskując kata, jego pomocnika i przerażonego ojca franciszkanina.

Tymczasem Elisabeth poczołgała się na czworakach do krawędzi platformy. Większość mieszkańców Schongau patrzyło na to widowisko z grozą, jednak w tłumie słyhać było również wrzaski. Niektórzy rzucali w kata kamieniami. Lud nie lubił bowiem, gdy mężczyzna z mieczem partaczył robotę.

Johannes Kuisl chciał to zakończyć. Stał obok jęczącej kobiety i zamierzył się po raz trzeci. Tym razem trafił między trzeci a czwarty krąg szyjny. Jęczenie nagle ustało, jednak głowa nie odłączyła się od karku i nadal wisiała na ścięgnach i skórze. Dopiero kolejny cios oddzielił ją całkowicie od tułowia. Potoczyła się po drewnianym podeście i zatrzymała tuż pod nogami Jakuba.

Synowi kata zrobiło się ciemno przed oczami. W końcu żołądek wywrócił mu się na drugą stronę. Chłopak upadł na kolana i z wymiotował ciekłym piwem i zjedzoną dziś rano owsianką. Zwracał tak długo, dopóki z jego ust nie pociekła zielona żółć. Jak przez ścianę słyszał krzyki ludzi, pieklenie się rajców i sapanie stojącego obok niego ojca.

*Śpij, dziecko, śpij...*

Na chwilę przed utratą przytomności Jakub Kuisl powziął postanowienie: nigdy nie pójdzie w ślady ojca, za nic w świecie nie zostanie katem.

Upadł na ziemię, a jego głowa trafiła prosto w kałużę krwi.



**Schongau,**

**rankiem dnia 24 kwietnia Roku Pańskiego 1659,**

35 lat później...

Magdalena Kuisl siedziała na drewnianej ławce przed małym, pochylonym domkiem kata, mocno trzymając między udami ciężki młóździerz z brązu. Równomiernymi uderzeniami rozcierała na drobny, zielony proszek ususzone zioła macierzanki, widłaka goździstego i marchwicy. Aromatyczny zapach uderzał w jej nozdrza, roztaczając wizję zbliżającego się lata. Słońce świecące prosto w opaloną na brązowo twarz dziewczyny sprawiało, że mrużyła oczy, a krople potu ściekały jej po czole. Był to pierwszy naprawdę ciepły dzień tego roku.

Na zewnątrz w ogrodzie bawiło się jej młodsze rodzeństwo. Sześcioletnie bliźniaki — Georg i Barbara — biegały między krzakami czarnego bzu, który właśnie wypuścił pierwsze pąki. Za każdym razem, gdy długie gałęzie niczym palce muskały je po buziach, dzieci wydawały z siebie głośne okrzyki radości. Magdalena uśmiechnęła się na myśl o tym, jak jej ojciec jeszcze przed kilkoma laty w podobny sposób ganiał ją między krzewami. Widziała przed sobą jego wysoką, masywną sylwetkę; biegał za nią z podniesionymi wielkimi łapskami, groźnie przy tym pomrukując niczym niedźwiedź. Ojciec był cudownym towarzyszem zabaw. Nigdy nie mogła pojąć, dlaczego ludzie w mieście na jego widok przechodzili na drugą stronę ulicy lub mamrotali pod nosem modlitwy. Dopiero później, mając siedem czy osiem lat, dowiedziała się, że ojciec używał swoich

wielkich rąk nie tylko do zabawy. Było to na pagórku z szubienicą, kiedy Jakub Kuisl założył złodziejowi na szyję konopny sznur i zacisnął pętlę.

Mimo wszystko Magdalena była dumna ze swojej rodziny. Katowskim rzemieślnikiem trudnił się już jej pradziadek Jörg Abriel i dziadek Johannes Kuisl. Ojciec Magdaleny, Jakub, pobierał nauki u dziadka, podobnie jak za kilka lat w ślady ojca pójdzie jej młodszy brat Georg. Gdy była jeszcze małą dziewczynką, matka powiedziała jej kiedyś przed zaśnięciem, że ojciec nie zawsze pracował jako kat. Zanim powrócił do Schongau, brał udział w wielkiej wojnie. Mała Magdalena chciała dowiedzieć się, co takiego ojciec robił w czasie wojny i dlaczego wolał teraz obcinać ludziom głowy, zamiast w zbroi i z błyszczącą szablą w dłoni wyruszyć do dalekich krajów, jednak matka zamilkła i położyła jej palec na ustach.

Zioła były już zmielone. Magdalena przesypała zielony proszek do glinianego tygla, po czym starannie go zamknęła. Wywar z pachnącej mieszanki miał pomóc kobietom, którym opóźniało się miesięczne krwawienie. Był to znany środek zapobiegający niepożądanym narodzinom. Macierzanka i widłak goździsty rosły niemal w co drugim ogrodzie, ale tylko jej ojciec wiedział, gdzie można było znaleźć rzadko spotykaną marchwicę. Nawet akuszerki z sąsiednich wiosek przychodziły do niego w tej sprawie. Nazywał go „proszkiem panienki” i dzięki niemu dorabiał sobie po kilka srebrnych fenigów.

Magdalena odrzuciła do tyłu pukiel włosów, który wciąż opadał jej na twarz. To po ojcu odziedziczyła te niesforne włosy. Gęste brwi rysowały się nad błyszczącymi czarnymi oczami, które zdawały się wciąż lekko mrugać. Miała dwadzieścia lat i była najstarszym dzieckiem kata. Po jej narodzinach na świat przyszły jeszcze dwa martwe płody oraz trzy niemowlęta, które były jednak tak słabe, że nie przeżyły nawet roku. Później urodziły się bliźnięta. Obydwa łobuzy były wielką chlubą ojca i Magdalena czasami czuła z tego powodu lekką zazdrość. Georg, jako jedyny syn, miał nauczyć się katowskiego fachu, a Barbara, jak każ-

da mała dziewczynka, chodziła z głową w chmurach. Natomiast Magdalena była córką kata, krwawą dziewczką, której nikomu nie wolno było tknąć i za której plecami ludzie szeptali i śmiali się. Westchnęła. Miała wrażenie, że jej życie już teraz było dokładnie zaplanowane. Poślubi kata z innego miasteczka, bo katowskie rodziny zawsze trzymały się razem. Tymczasem mieszkało tu wielu młodych mężczyzn, którzy jej się podobali. Zwłaszcza jeden...

— Jak skończysz już robić proszek, to wejdź do środka i zajmij się praniem. Samo się nie upierze.

Głos matki wyrwał Magdaleny z zamyślenia. Anna Maria Kuisl spojrzała karcąco na córkę. Jej ręce były ubrudzone ziemią od pracy w ogrodzie. Kobieta starła pot z czoła, po czym dodała:

— Znowu rozmyślasz o tym wyrostku, widzę to po tobie! Wybij go sobie z głowy. Ludzie w mieście i tak wystarczająco gadają.

Uśmiechnęła się do Magdaleny, która wiedziała jednak, że matka mówi serio. Była to prostolinijna kobieta o zmyśle praktycznym, niewykazująca zrozumienia dla marzycielstwa córki. Nawet to, że ojciec nauczył Magdaleny czytać, uważała za rzecz zbędną. Mężczyźni krzywo patrzyli na kobietę siedzącą z nosem w książkach. Jeśli na dodatek była córką kata i robiła słodkie oczy do chłopców, wówczas jej droga do maski wstydu<sup>\*2</sup> i pęgierza byłaby niedaleka. Żona kata często przedstawiała mężowi ponury obraz, jakby to było, gdyby swojej własnej córce musiał nałożyć na szyję dyby i popędzić ją przez miasto.

— Już dobrze, mam — powiedziała Magdalena, odstawiając moździerz na ławkę. — Zaraz zaniosę pranie do rzeki.

---

<sup>2</sup> Maska wstydu — narzędzie tortur stosowane za obyczajowe przestępstwa, w Niemczech znane od XVII w. Miało postać żelaznej maski, przedstawiającej karykaturalnie np. głowy zwierząt. Stosowano je jako rodzaj klatki na głowie ofiary, utrudniającej jedzenie, picie i mówienie. Maska miała nie tylko sprawiać fizyczny ból, ale ośmieszać i piętnować, dlatego osądzeni wracali w niej zwykle do swojego środowiska życia i pracy (przyp. red.).

Wzięła kosz z brudnymi prześcieradłami i, odprowadzana zadumanym spojrzeniem matki, przez ogród udała się w drogę nad Lech.

Zaraz za domem wiła się wąska ścieżka, prowadząca obok ogródków, stodół i eleganckich domów w stronę brzegu, w miejsce, gdzie rzeka przechodziła w małą, płytką zatokę. Magdalena spojrzała na wiry wodne tworzące się na środku Lecha. Teraz, na wiosnę, woda sięgała aż do korzeni brzoź, unosząc konary i całe drzewa. Przez krótką chwilę Magdalenie zdawało się, że w ciemnych nurtach rzeki widzi kawałek płótna lub czegoś podobnego, jednak gdy przyjrzała się dokładniej, okazało się, że były to tylko gałęzie i liście.

Pochyliła się, wyjęła z kosza pranie i zaczęła pocierać je o mokry żwir. Myślała przy tym o uroczystości, jaka przed trzema tygodniami miała miejsce na Jarmarku św. Pawła oraz o tańcach. Zwłaszcza o tańcu z nim... Dopiero w ostatnią niedzielę na mszy świętej zobaczyła go znowu. Gdy z pochyloną głową usiadła na samym końcu kościoła, on wstał jeszcze raz, by przynieść sobie śpiewnik, przy czym spojrzał w jej kierunku i mrugnął. Zachichotała, a inne dziewczyny posłały jej złowrogie spojrzenia.

Magdalena zanuciła piosenkę, rytmicznie uderzając mokrymi prześcieradłami o żwir:

„Leć, chrabąszczu, leć spokojnie, gdy mój ojciec tam, na wojnie...”.

Była tak zatopiona w rozmyślaniach, że krzyk, który dotarł do jej uszu, początkowo uznała za wytwór swojej wyobraźni. Minęła chwila, zanim zorientowała się, że wysokie, żalosne dźwięki dochodziły z górnego odcinka rzeki.

Stojący wysoko na stromym brzegu drwał z Schongau pierwszy zauważył chłopca. Dziecko kurczowo trzymało się pnia, wirując jak maleńki listek w pia-



nie burzącej się wody. Drwał początkowo nie był pewny, czy mały tobołek, który unosił się w szumiących nurtach wodnych, był rzeczywiście człowiekiem. Jednak gdy zaczął on trzepotać się i wymachiwać rękami, drwał zawołał na pomoc flisaków, którzy mglistym świtem udali się w swoją pierwszą wyprawę do Augsburga. Dopiero na krótko przed Kinsau, cztery mile na północ od Schongau, brzeg był płaski, a Lech na tyle spokojny, by mężczyźni mogli dotrzeć do chłopca. Za pomocą długich dragów próbowali wyłowić go z wody, jednak dzieciak za każdym razem wymykał im się jak śliska ryba. Całkowicie zniknął w odmętach, wraz z pniem pozostawał niebezpiecznie długo pod powierzchnią, by później znów pojawić się w innym miejscu niczym pływający korek.

Chłopiec jeszcze raz zebrał siły, trzymając się śliskiego pnia, podciągnął się i wynurzył głowę z wody, by zaczerpnąć powietrza. Prawą rękę wyciągnął w stronę draga, rozcapierzył palce, które trafiły jednak w próżnię. Z przytłumionym dźwiękiem pień zderzał się z innymi pniami, które nagromadziły się przy przystani dla tratw. Nagłe szarpnięcie sprawiło, że chłopiec stracił podpórę, zsunął się do wody i zatonął pośród dziesiątków niesionych przez żywioł olbrzymich drzew.

Tymczasem flisacy dotarli do małej przystani przy Kinsau. W największym pośpiechu przycumowali swoje tratwy i ostrożnie weszli na niestabilne podłoże, jakie tworzyły nieopodal brzegu pnie drzew. Balansowanie na śliskich kłodach stanowiło wyzwanie nawet dla doświadczonych robotników. Łatwo bowiem można było stracić równowagę i zostać zmiażdżonym między potężnymi bukami i jodłami. Jednak rzeka była w tym miejscu spokojna, a pnie drzew tylko kołysały się bezwładnie, płynąc przed siebie.

Już po chwili dwaj mężczyźni dotarli do pnia, przy którym widziano ostatnio chłopca. Za pomocą dragów badali przerwy między drewnianymi kłodami w nadziei, że natrafiają na miękki opór. Leżące pod ich nogami drzewa zaczęły kołysać

się i toczyć. Mężczyźni starali się utrzymać równowagę, na bosaka idąc do przodu po śliskiej korze.

— Mam go! — zawołał nagle silniejszy z nich. Krzepkimi rękami wyciągnął z wody drąg wraz z chłopcem i rzucił go na zbawczy brzeg jak rybę przymocowaną do haczyka.

Krzyki flisaków sprawiły, że na tragiczne wydarzenie zwrócili uwagę także inni. Praczek z pobliskiego Kinsau wraz z kilkoma woźnicami pospieszyły nad rzekę. Teraz wszyscy stali wokół chwiejącej się kładki i spoglądali na mokry tobołek, który leżał u ich stóp.

Gdy silny flisak odsunął chłopcu włosy z twarzy, wśród tłumu rozszedł się szept.

Twarz dziecka była zsiniała i opuchnięta, a przy potylicy widniało wgniecenie jak po silnym uderzeniu polanem. Chłopiec charczał. Przez jego mokrą kurtkę na kładkę sączyła się krew i ściekała do Lecha. Ten dzieciak nie wpadł tak po prostu do rzeki. Ktoś go musiał do niej wepchnąć, a wcześniej porządnie poturbować.

— To przecież chłopak Józefa Grimmera, woźnicy z Schongau! — zawołał pewien mężczyzna, który stał trochę na uboczu obok furmanki z zaprzęgniętym do niej wołem.—Znam go! Zawsze siedział ze swoim ojcem w dole na przystani dla tratw. Prędko, włóżcie go na wóz, to zawiozę go do Schongau.

— Niech ktoś pobiegnie przodem i powie Grimmerowi, że jego chłopak umiera! — krzyknęła jedna z praczek. — Mój Boże, przecież stracił już tyle dzieci...

— Lepiej się pośpieszcie — mruknął potężny flisak. — Bo ten tu długo nie pociągnie.

Dał po klapsie kilku ciekawskim wyrostkom.

— Lećcie już. I zaraz pošlijcie po cyrulika albo doktora!

Gdy ci pomknęli w kierunku Schongau, charczenie dziecka stało się cichsze. Chłopiec drżał na całym ciele i zdawał się coś mamrotać, być może swoją ostatnią modlitwę. Miał mniej więcej dwanaście lat, wyglądał mizernie i był blady jak prawie wszystkie dzieci w jego wieku. Solidny posiłek zjadł pewnie kilka tygodni temu, a zapadłe policzki wskazywały, że przez ostatnie dni przy życiu trzymać go musiały tylko wodnista zupa z jęczmienia i cienkie piwo.

Prawa ręka chłopca wciąż sięgała w próżnię, jego mruczenie wzmagalo się i cichło jak szum przepływającej pod kładką rzeki. Jeden z flisaków ukląkł przy nim, by móc lepiej zrozumieć wydawane przez niego dźwięki, jednak pomruki przeszły w bulgotanie, a z kącików ust dziecka zaczęły wypływać jasnoczerwone pęcherzyki krwi zmieszanej ze śliną.

Ułożyli umierającego na wozie, woźnica trzasnął z bata, a później pojazd potoczył się po kinsauckiej ulicy w kierunku Schongau. Na drodze, której przebycie zajęło dobre dwie godziny, coraz więcej ludzi przyłączało się do cichego pochodu. Gdy procesja ostatecznie dotarła do przystani dla tratw w pobliskim mieście, za wozem dreptały już ponad dwa tuziny gapiów, wśród których były dzieci, chłopcy i rozpaczające praczki. Psy ujadały i skakały dookoła woła, ktoś mruczał pieśń *Ave Mana*. Woźnica zatrzymał wóz na pomoście obok szopy. Dwaj flisacy ostrożnie podnieśli chłopca i ułożyli go na słomie, tuż przy bulgoczącej, wirującej rzece Lech, której fale bezustannie uderzały o filary przystani.

Głośne kroki na drewnianym moście sprawiły, że pomruk tłumu nagle ucichł. Ojciec chłopca czekał na uboczu, jakby obawiał się ostatniej, definitywnej chwili. Teraz blady przeciskał się przez zbiorowisko ludzi.

Józef Grimmer miał ośmioro dzieci, które kolejno umierały na skutek dżumy, biegunki, gorączki lub po prostu dlatego, że tak chciał dobry Bóg. Sześcioletni Hans utopił się w Lechu podczas zabawy, trzyletnią Marie stratowali pijani żołnierze w bocznej ulicy. Razem z najmłodszym podczas połogu zmarła również jego żona. Mały Peter był wszystkim, co jeszcze pozostało staremu Grim-

merowi. Gdy spoglądał teraz na leżącego przed nim ostatniego syna, wiedział, że Pan zabierze mu także jego. Upadł na kolana i delikatnie odgarnął chłopcu włosy z twarzy. Oczy dziecka były już zamknięte, jego pierś pospiesznie unosiła się i opadała. Po kilku minutach przez małe ciało przeszło drzenie, a później nastąpiła cisza.

Józef Grimmer podniósł głowę i wykrzyczał swoją nędzę, a jego głos unoszący się nad Lechem zabrzmiał wysoko i piskliwie niczym głos kobiety.

Krzyk ten dotarł do Simona Fronwisera wraz z odgłosem energicznego pukania do drzwi na dole. Dom medyka na Hennengasse był oddalony od rzeki o rzut kamieniem. Już wcześniej Simon co chwila podnosił wzrok znad książki, gdyż wołania flisaków odrywały go od studiowania tekstu. Jednak gdy hałas rozbrzmiewał już na całej ulicy, medyk stwierdził, że coś musiało się wydarzyć. Pukanie do drzwi stawało się coraz bardziej natarczywe. Simon z westchnieniem zamknął opasły tom o anatomii. Była to kolejna książka, która tylko powierzchownie poruszała kwestie ludzkiego ciała. Skład soków, upust krwi jako środek leczniczy na wszelkie choroby... Wystarczająco wiele razy czytał tę samą wylizczankę, a jak dotąd tak naprawdę niczego nie dowiedział się o wnętrzu ludzkiego ciała. Póki co nie zmieni tego i tym razem — do pukania dołączyły teraz krzyki dochodzące z dołu.

— Panie doktorze, panie doktorze! Niech pan idzie szybko! Na dole przy przystani dla tratw leży we krwi syn Grimmera. Źle to wygląda!

Simon narzucił na siebie czarną marynarkę z polerowanymi miedzianymi guzikami, przeciągnął ręką po długich, czarnych włosach i przed małym lustrem w gabinecie doprowadził do ładu swoją brodę. Grzywka sięgająca ramion i

modna obecnie, przystryżona hiszpańska bródka sprawiały, że wyglądał poważnie jak na swoje dwadzieścia pięć lat. W oczach niektórych mieszkańców Schongau Simon uchodził za gogusia, ale było mu to całkowicie obojętne. Wiedział bowiem, że dziewczęta postrzegały go inaczej.

Dzięki swym czarnym, łagodnym oczom, kształtnemu nosowi i szczupłej sylwetce Simon cieszył się powodzeniem w świecie schongauskich dam. Do tego dochodził fakt, że codziennie dbał o siebie. Miał jeszcze wszystkie zęby, regularnie zażywał kąpeli, a ze swej skromnej pensji kazał sobie sprowadzić z Augsburga drogie perfumy o zapachu róż. Zmartwień przysparzała mu jedynie niska postura. Ze swoim wzrostem, wynoszącym ledwo pięć stóp, musiał podnosić wzrok, patrząc na większość mężczyzn, a nawet na niektóre kobiety. Ale od czegoż wymyślono sztylpy na wysokich obcasach?

Tymczasem pukanie zmieniło się w regularne walenie pięścią. Simon popieszył na dół i szeroko otworzył drzwi. Stał przed nim jeden z garbarzy pracujących nad rzeką. O ile Simon dobrze sobie przypominał, miał on na imię Gabriel. Medyk znał go z wcześniejszego leczenia. W zeszłym roku założył mu szynę na złamaną rękę, po tym jak pijany mężczyzna wdał się w bójkę na Jarmarku św. Judy. W jednej chwili Simon przybrał oficjalną minę. Wiedział, że jest to wymóg wykonywanego przez niego zawodu.

— Co się dzieje?

Garbarz spojrzał na niego sceptycznie.

— Gdzie jest wasz ojciec? W pobliżu Lecha zdarzył się straszny wypadek.

— Ojciec jest po drugiej stronie, w szpitalu. Jeśli to coś pilnego, musicie zadowolnić się mną albo cyrulikiem.

— Cyrulik sam jest chory...

Simon zmarszczył czoło. Wciąż jeszcze uchodził w okolicy za syna miejscowego medyka, chociaż skończył studia w Ingolstadt i od niemal siedmiu lat pomagał ojcu w leczeniu wszystkich lżejszych dolegliwości. W ostatnim czasie

kurował też samodzielnie. Niedawno zajmował się ciężkim przypadkiem gorączki. Małej córeczce Schefflerów całymi dniami robił okłady na łydki i kataplazmy oraz podawał jej nowe lekarstwo połączone z proszkiem z żółtej kory, który pochodził z Wschodnich Indii i nazywany był „proszkiem jezuitów”. Gorączka ustąpiła, a Scheffler odwdzieczył się dwoma guldenami więcej. Mimo to ludzie w mieście nie ufali mu.

Simon patrzył prowokująco na mężczyznę. Tymczasem garbarz wzruszył ramionami, po czym odwrócił się do wyjścia, posyłając medykowi pogardliwe spojrzenie.

—W takim razie pospieszcie się, o ile i tak nie jest już za późno.

Simon popędził za mężczyzną i razem z nim skręcił w Munzstrasse. Dzisiaj, w dzień po świętym Grzegorz, większość rzemieślników otworzyła swoje sklepy w parterowych mieszkaniach już kilka godzin temu. Na świętego Grzegorza parobkowie i służące rozpoczynali swoją służbę w zagrodach położonych wokół Schongau. Stąd tylu ludzi można było spotkać dzisiaj na ulicach. Z lewej strony rozbrzmiewało metaliczne walenie młotem, kowal właśnie na nowo podkuwał konia rajcy. Tuż obok rzeźnik przed swoim domem zarzywał świnię. Po kamieniach brukowych płynęły cienkie strużki krwi, przez co medyk musiał wydłużać krok, żeby nie pobrudzić sobie nowych, skórzanych butów z cholewami. Dalej z przodu piekarz sprzedawał świeży chleb. Simon wiedział, że jest on wypełniony plewami, a podczas przeżuwania będzie trzeszczał w zębach. Obecnie na prawdziwy biały chleb mogli pozwolić sobie co najwyżej członkowie rady i to tylko w dni świąteczne.

Mieszkańcy Schongau cieszyli się, że teraz, w jedenaście lat po wielkiej wojnie, w ogóle mieli co jeść. Dwukrotne gradobicie w ostatnich czterech latach praktycznie całkowicie zniszczyło zbiory. W maju zeszłego roku fatalne oberwanie chmury sprawiło, że Lech wystąpił z brzegów i zabrał ze sobą miejski młyn. Odtąd mieszkańcy Schongau w celu zmielenia ziarna musieli udawać się do Al-



tenstadt lub jeszcze dalej i płacić oczywiście wyższe ceny. Wiele pól w okolicznych wioskach leżało odłogiem, a zagrody chłopskie stały opuszczone. W ostatnich dziesięcioleciach co trzeci mieszkaniec umierał na skutek dżumy lub głodu. Kto tylko mógł, trzymał bydło w domu i żył dzięki kapuście i burakom uprawianym we własnym ogrodzie.

Gdy tak szli przez rynek, Simon rzucił okiem na budynek Ballenhaus. Magazyn, nad którym znajdowała się sala ratuszowa, był niegdyś dumą miasta. Kiedy Schongau reprezentowało jeszcze ten sam poziom bogactwa co Augsburg, często gościli tutaj wpływowi handlarze z całej Rzeszy. Małe miasto położone nad Lechem, stanowiące węzeł komunikacyjny dawnych szlaków handlowych, było kiedyś ważnym punktem przeładunkowym różnego rodzaju towarów. Jednak wojna obróciła wszystko wniwecz. Ballenhaus rozsypywał się, tynk odpadał ze ścian, a brama wjazdowa wisiała krzywo na zawiasach.

W czasach mordów i rabunków Schongau popadł w biedę. Niegdyś bogate, eleganckie miasto w bawarskim Pfaffenwinkel, teraz przekształciło się w stację przejściową dla bezrobotnych żołnierzy i bezdomnych. Po wojnie pojawiły się tu choroby, klęska głodu, zaraza bydłęca i gradobicie. Miasto sięgnęło dna i Simon nie wiedział, czy kiedykolwiek jeszcze będzie ono w stanie się podnieść. A mimo to mieszkańcy nie poddawali się. Z drogi prowadzącej przez bramę do rzeki Simon spoglądał na tętniące w dole życie. Woźnice prowadzili swe wozy z zaprzęgniętymi do nich wołami po wysokim zboczach wysoko na rynek. Po drugiej stronie, w dzielnicy garbarzy, z kominów wydobywał się dym, nad brzegiem rzeki stały kobiety z baliami i wylewały brudną wodę do wzburzonego Lecha. Schongau wznosiło się nad lasami i rzeką i niemal jak dumna matrona spoglądało w kierunku Augsburga, swojej starszej i potężniejszej siostry. Na twarzy Simona pojawił się nagle uśmiech. Nie, to miasto nigdy nie podda się biedzie! Życie toczyło się tu dalej, na przekór wszelkim przeciwnościom.

Po drugiej stronie przy przystani dla tratw zgromadził się spory tłum.

Simon usłyszał mamrotania przerywane żalnymi krzykami mężczyzny. Przeszedł przez most i skierował się w prawo w kierunku szopy graniczącej z przystanią. Z trudem utorował sobie drogę przez ludzkie zbiegowisko, aż wreszcie dotarł do centrum zgromadzenia.

Na mokrej drewnianej belce, nad zakrwawionym tobołkiem klęczał woźnica Józef Grimmer. Jego szerokie plecy zasłaniały Simonowi widok. Medyk położył rękę na ramieniu mężczyzny i poczuł, jak Grimmer drży. Jego zalana łzami twarz była trupio blada. Dopiero po pewnym czasie zauważył on stojącego za nim Simona.

Zdyszonym głosem cisnął medykowi w twarz przekleństwo:

— Patrz, co zrobili z moim synem! Zarżnęli go jak świnie! Zabiję ich, wszystkich ich pozabijam!

— Kogo? — zapytał cicho Simon. Jednak woźnica znów odwrócił się ze szlochaniem do swojego dziecka.

— Jemu chodzi o woźniców z Augsburga — wymamrotał stojący obok mężczyzna. Simon rozpoznał w nim członka cechu woźniców.

— Ostatnimi czasy ciągle były z nimi kłótnie, bo muszą zostawiać u nas ładunek — kontynuował mężczyzna. — Mówią, że podskubujemy towar. Józef wdał się z nimi w bójkę w „Gwieździe”.

Simon skinął głową. Sam opatrzył kilka rozkrwawionych nosów po pyskówce w gospodzie. Później posypały się również kary pieniężne. Jednak nienawiść między woźnicami z Augsburga i Schongau tylko przez to wzrosła. Zgodnie z dawnym książęcym rozporządzeniem mieszkańcy Augsburga mogli przewozić swoje towary z Wenecji lub Florencji tylko do Schongau; tu odpowiedzialność za

nie przechodziła na schongauczyków. Był to monopol transportowy, który już od dawna stanowił cież w oku augsburezyków.

Simon powoli odsunął na bok płaczącego ojca, którego otoczyli przyjaciele z cechu woźniców. Później pochylił się nad chłopcem.

Do tej pory nikt nie zadał sobie trudu zdjęcia z niego mokrej koszuli. Simon rozerwał ją, a pod spodem ujrział krajobraz ran kłutych. Ktoś musiał zadawać chłopcu ciosy jak szalony. Z tyłu głowy widać było świeżą, wielką ranę spowodowaną pęknięciem skóry, z której sączyła się jasna krew. Simon przypuszczał, że chłopiec dostał się w wodzie między pnie drzew. Jego twarz była zielonosina, ale to również mogło być skutkiem zderzenia z kłodami. Drzewne olbrzymy miały w wodzie zabójczą siłę i mogły zmiażdżyć człowieka niczym zgniły owoc.

Simon nasłuchiwał bicia serca chłopca. Później wziął małe lusterko i umieścił go pod krwawiącym, złamanym nosem. Nie było śladu oddechu. Oczy dziecka pozostawały szeroko rozwarte. Peter Grimmer nie żył.

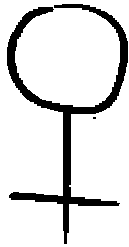
Simon odwrócił się do stojących obok ludzi, którzy w milczeniu obserwowali jego poczynania.

— Mokra chusta — poprosił.

Jakaś kobieta podała mu kawałek płótna. Simon zmoczył go w Lechu, po czym przetarł nim pierś chłopca. Gdy zmył krew, doliczył się siedmiu nakłuć, a wszystkie znajdowały się wokół serca. Mimo śmiertelnych ran chłopiec nie umarł szybko. W drodze na przystań garbarz Gabriel opowiadał Simonowi, że jeszcze do niedawna dzieciak mrucał coś pod nosem.

Medyk odwrócił chłopca. Również z tej strony silnym szarpnięciem rozdarł koszulę. Przez tłum przeszedł jęk.

Poniżej łopatki widniało piętno wielkości dłoni, jakiego Simon jeszcze nigdy nie widział na oczy. Było sporządzone fioletową farbą i miało kształt zamazanego koła z wystającym na dole krzyżem.



Przez chwilę na przystani panowała cisza. Później pierwsi ludzie podnieśli krzyk.

— Czary! Tu działają czary!

Ktoś wrzasnął:

— Czarownice wróciły do Schongau! Zabierają nasze dzieci!

Simon przesunął palcem po rysunku — nie dało się go zetrzeć.

Coś mu on przypominał, ale medyk nie potrafił dojść, co. Przez swój ciemny kolor wyglądał niczym sygnatura demona.

Józef Grimmer, który do tej pory wspierał się na kilku przyjaciółach, chwiejnym krokiem podszedł do zwłok syna. Przez krótką chwilę obserwował znak, jakby nie mógł uwierzyć w to, co zobaczył. Później zawołał w stronę stojących w kręgu ludzi:

— On to ma od Stechlinowej! Akuszerka, ta czarownica mu to namalowała! Ona go zabiła!

Simon przypomniał sobie, że ostatnimi czasy istotnie często widział chłopca u akuszerki. Marta Stechlin mieszkała tuż obok Grimmerów, na górze przy bramie. Odkąd Agnes Grimmer zmarła w połogu, chłopak często szukał u Marty pocieszenia. Zaś jego ojciec nigdy nie wybaczył Stechlinowej, że nie potrafiła zatamować krwawienia, i obarczył ją współwiną za śmierć swojej żony.

— Cisza! To wcale nie oznacza, że...

Medyk próbował przekrzyczeć wrzaski wzbudzonych mieszkańców Schongau, ale na próżno. Nazwisko Stechlin rozeszło się po przystani lotem błyskawicy. Ludzie biegli już przez most w górę do miasta.

— Stechlinowa! To była Stechlinowa! Biegnijcie po woźnego sądowego! Powinien ją wezwać!

Po krótkim czasie na przystani nie został nikt poza Simonem i martwym chłopcem. Nawet Józef Grimmer, opętany nienawiścią, pobiegł za innymi. Wokół słychać było tylko szum rzeki.

Simon z westchnieniem zawinął ciało w brudne lniane prześcieradło, które pozostawiły tu w pośpiechu praczki, i dźwignął zawiniątko na plecy. Zgarbiony, posapując, udał się w drogę do bramy prowadzącej znad Lecha do miasta. Wiedział, że tylko jedna osoba może mu teraz pomóc.

TLR



**Wtorek,**

**24 kwietnia Roku Pańskiego 1659,**

godzina 9 rano

Marta Stechlin stała w swojej izbie i myła zakrwawione palce w misce z ciepłą wodą. Jej włosy były posklejane w strąki, pod oczami rysowały się głębokie cienie. Kobieta nie spała od niemal trzydziestu godzin. Poród u Klingensteinerów był jednym z najcięższych w tym roku. Dziecko ułożyło się nieprawidłowo, więc akuszerka próbowała je odwrócić. Nasmarowała sobie ręce gęsim tłuszczem i włożyła je głęboko w ciało matki, jednak nienarodzony maluch wciąż jej się wymykał.

Maria Józefa Klingensteiner miała czterdzieści lat i przeżyła już tuzin porodów. Tylko dziewięcioro dzieci przyszło na świat żywych, ale pięcioro z nich nie doczekało pierwszej wiosny. Marii Józefie pozostały cztery córki, tymczasem jej mąż wciąż jeszcze miał nadzieję na dziedzica. Akuszerka wiedziała, że tym razem będzie to chłopiec — wyczuła to dłońmi w trakcie badania. Zdawało się, że jeszcze żyje, ale z każdą godziną rosło prawdopodobieństwo, że on albo matka nie przetrwają tej walki.

Maria Józefa krzyczała, szalała i płakała. Przeklinała swego męża, który po każdym porodzie na nowo wchodził na nią jak byk w czasie rui, przeklinała dziecko i Pana Boga. Gdy zaczęło świtać, akuszerka była pewna, że chłopiec nie żyje. Na taki wypadek miała przygotowany stary pogrzebacz, którym w razie ko-



nieczności wyciągała z rodzącej dziecko jak sztukę mięsa, czasem kawałek po kawałku. Inne kobiety, które znajdowały się w dusznej izbie, ciotki, siostrzenice, kuzynki, posłały już po księdza; na kominie stała woda święcona do chrztu z wody. Wraz z ostatnim krzykiem Klingensteinerowej akuszerka chwyciła chłopca za nóżki i pocią— gnęła. Maluch jak nowo narodzone źrebię wyślizgnął się na światło dzienne. Żył.

Był silnym dzieckiem. „I przypuszczalnie mordercą własnej matki” — pomyślała Marta Stechlin, spoglądając na blade, dyszące ciało Marii Józefy i przecinając nożycami pępowinę. Żona kowala straciła dużo krwi, leżąc na podłodze słoma była czerwona i lepka. Oczy kobiety były zapadnięte jak u zmarłej. Ale mąż miał teraz przynajmniej dziedzica.

Poród trwał całą noc. Rano Marta sporządziła jeszcze wzmacniający wywar z wina, czosnku i kopru włoskiego, umyła matkę i poszła do domu. Teraz siedziała w swojej izbie przy stole i próbowała zetrzeć z oczu zmęczenie. Około południa tradycyjnie zajrzała do niej dzieciaki. Sama nie mogła mieć dzieci, choć już tylu maluchom pomogła przyjść na świat. Tym bardziej była zadowolona, że Sophie, mały Peter i inne dzieci tak często ją odwiedzały. Niekiedy jednak dziwiła się, cóż takiego one widzą w czterdziestoletniej akuszerce z jej maściami, tyglami i proszkami.

Marta Stechlin usłyszała, jak burczy jej w brzuchu, i przypomniała sobie, że od dwóch dni nie miała niczego w ustach. Zjadła ledwie kilka łyżek zimnej kaszy owsianej z garnka nad paleniskiem i od razu zabrała się za sprzątanie, coś bowiem jej zginęło.

Coś, co w żadnym wypadku nie powinno dostać się w niepowołane ręce. Podejrzewała, że prawdopodobnie tylko przełożyła to w inne miejsce...

Z rynku dobiegały krzyki. Początkowo ledwo było je słychać, niczym pomruk, cichy i złowieszczy jak wściekłe brzęczenie roju os.

Marta podniosła wzrok. Na zewnątrz musiało się coś stać, jednak była zbyt zmęczona, by podejść do okna i sprawdzić, co to takiego.

Krzyki zaczęły się zbliżać, towarzyszyło im dudnienie kroków ludzi, którzy biegli po wybrukowanym rynku obok gospody „Pod Żłotą Gwiazdą” w stronę wąskiej uliczki prowadzącej do Bramy Krowiej. Marcie Stechlin udało się teraz wyłowić z gwaru nazwisko.

To było jej nazwisko.

— Stechlinowa, czarownico! Powinnaś się spalić, spalić! Wyłaż, Stechlinowa!

Gdy akuszerka wychyliła się z okna na parterze, by sprawdzić dokładnie, o co chodzi, kamień wielkości pięści trafił ją prosto w czoło. Marcie pociemniało w oczach i upadła na podłogę. Kiedy odzyskała świadomość, przez zasłonę krwi zobaczyła, że drzwi do jej domu otwarto kopnięciem. Oprzytomniała i podskoczyła, by rzucić się na nie. Kilka nóg próbowało wsunąć się przez szczelinę. Później drzwi zatrzasnęły się. Na zewnątrz rozbrzmiewały wściekłe krzyki.

Marta zaczęła szukać w sukience klucza. Gdzież on się podział? Znow ktoś naciskał z zewnątrz. Tymczasem na stole obok jabłek coś błyszczało! Akuszerka swoim silnym ciałem zapierała drzwi, jednocześnie sięgając do blatu. Robiła to prawie po omacku, bo pot i krew zalewały jej oczy. W końcu chwyciła klucz i przekręciła go w zamku. Zasuwa zaskoczyła ze zgrzytem.

Nacisk na drzwi nagle ustał, a po upływie kilku sekund zastąpiło go potężne walenie. Mężczyźni najwyraźniej uderzali teraz w drzwi ciężkimi belkami. Już wkrótce cienkie drewno zaczęło sypać się w drzazgi. W otworze pojawiła się owłosiona ręka, próbująca chwycić akuszerkę.

— Stechlinowa, ty czarownico, wyłaż, bo ci podpalimy chałupę!

Przez rozłupane drzwi akuszerka dostrzegła stojących na zewnątrz mężczyzn. Byli to flisacy i woźnice, wielu z nich znała z imienia. Większość mężczyzn była ojcami dzieci, którym pomogła przyjść na świat. Teraz patrzyli na nią

ze zwierzęcym błyskiem w oczach, pocili się ze zdenerwowania, krzyczeli i wali-  
li w drzwi i ściany. Marta Stechlin rozglądała się dookoła niczym zaszczuta  
zwierzyna łowna.

Nagle okiennica rozpadła się na części, a w środku pojawiła się masywna łe-  
petyna Józefa Grimmera, jej sąsiada. Marta wiedziała, że nigdy nie wybaczył jej  
śmierci żony. Czy to był prowodyr tego wzburzenia? Grimmer zamierzył się na  
nią kawałkiem ramy naszpikowanej gwoźdźmi.

— Zabiję cię, Marto Stechlin! Zanim cię spalą, ja ciebie zabiję!

Marta pobiegła do tylnych drzwi, które prowadziły do małego ogródka z zio-  
łami, bezpośrednio graniczącego z murami miasta. Będąc w ogrodzie, zauważyła  
jednak, że wbiegła w ślepy zaułek. Z lewej i prawej strony stały domy. Sam mur  
zaś do blank miał wysokość dobrych dziesięciu stóp. Za wysoko, by pokonać go  
wyłącznie o własnych siłach.

Tuż przy murze rosła mała jabłonka. Marta podbiegła do niej i wspięła się po  
gałęziach w nadziei, że może w ten sposób uda jej się uciec na blanki.

Tymczasem z domu akuszerki ponownie zaczął dobiegać odgłos tłuczonego  
szkła, po czym drzwi do ogrodu gwałtownie się otworzyły. W futrynie stanął dy-  
szący Józef Grimmer, który nadal trzymał w ręku groźnie wyglądający kawałek  
drewna. Za nim przeciskali się do ogrodu inni woźnice.

Marta Stechlin niczym kot wspinała się po jabłonce, coraz wyżej i wyżej, aż  
dotarła do gałęzi tak cienkich jak dziecięce palce. Złapała za krawędź muru i  
próbowała dostać się do zbawczych blank.

Wtem rozległ się trzask.

Zdzierając opuszki palców do krwi, akuszerka ześlizgnęła się po murze w  
dół i spadła na mokrą grządkę warzyw. Józef Grimmer podszedł do niej z unie-  
sioną wysoko drewnianą listwą, gotowy do zadania śmiertelnego uderzenia.

— Nie robiłbym tego.

Woźnica spojrział w górę, tam, skąd dochodził głos. Na blankach tuż nad nim stała dobrze zbudowana postać. Człowiek ten miał na sobie długi, dziurawy płaszcz i miękki kapelusz z szerokim, opuszczonym rondem, za które zatknięto kilka postrzępionych piór. Pod nim kryła się czarna, nieuczesana grzywa i broda zakrywająca pół twarzy, która dawno nie widziała balwierza. Blanki rzucały cień, dlatego, nie licząc olbrzymiego, haczykowatego nosa i długiej fajki, twarz była właściwie niewidoczna.

Mężczyzna mówił, nie wyjmując z ust fajki. Teraz jednak trzymał ją w ręce i wskazywał na akuszerkę, która dyszała, siedząc w kucki pod murem.

— Zabicie Marty nie przywróci życia twojej żonie i nie sprawi, że twoje nieszczęście zniknie.

— Stul pysk, Kuisl! To nie twój interes!

Józef Grimmer odzyskał panowanie nad sobą. Podobnie jak wszyscy pozostali, był zdumiony sposobem, w jaki ów mężczyzna zbliżył się do nich, nie będąc przez nikogo zauważonym. Jednak szybko się otrząsnął. Jego pragnieniem było zemścić się i nikt nie mógł mu teraz w tym przeszkodzić. Z drewnianą listwą w ręku powoli zbliżał się do akuszerki.

— To jest zabójstwo, Grimmer — powiedział mężczyzna z fajką. — Jeśli teraz uderzysz, z przyjemnością założę ci powróż na szyję. I obiecuję, że będzie to długo trwało.

Józef Grimmer zatrzymał się. Z wahaniem obejrzał się na swoich towarzyszy, którzy najwyraźniej byli równie niezdecydowani jak on.

— Ona ma na sumieniu mojego syna, Kuisl — powiedział Grimmer. — Sam możesz to sprawdzić, przejdź się nad rzekę. Zaczarowała go, a później zadęgała. Namalowała mu diabelski znak.

— Jeżeli mówisz prawdę, to dlaczego nie ma cię teraz przy twoim synu? Dlaczego nie wyślesz do Marty woźnego sądowego?

Nagle Józef Grimmer uświadomił sobie, że jego martwy syn wciąż jeszcze leży nad rzeką. Zaślepiiony nienawiścią po prostu zostawił go i pobiegł za innymi. W jego oczach pojawiły się łzy.

Ze zręcznością, jakiej nikt by się po nim nie spodziewał, mężczyzna z fajką wdrapał się po balustradzie blanek i wskoczył do ogródka z ziołami. Przewyższał zgromadzonych o dobrą głowę. Olbrzym pochylił się nad Martą Stechlin. Kobieta mogła teraz z bliska zobaczyć jego twarz, haczykowany nos, zmarszczki przypominające bruzdy na roli, krzaczaste brwi i głęboko osadzone, brązowe oczy. Oczy kata.

— Teraz pójdziesz ze mną — szepnął Jakub Kuisl. — Udamy się do pisarza sądowego, a on zamknie cię w więzieniu. Na razie będzie to dla ciebie najbezpieczniejsze miejsce. Zrozumiałaś?

Marta skinęła głową. Głos kata był miękki i melodyjny, dzięki niemu uspokoiła się.

Akuszerka dobrze знаła Jakuba Kuisla, pomogła przyjść na świat jego dzieciom, martwym i żywym... Kat przeważnie sam jej przy tym pomagał. Od czasu do czasu kupowała u niego napoje i okłady stosowane w razie opóźniającego się krwawienia i niepożądanych narodzin. Znała go jako troskliwego ojca, który miał kompletnego fioła na punkcie swoich dzieci, zwłaszcza najmłodszych, bliźniaków. Jednak widziała również, jak mężczyznom i kobietom zakładał na szyje powrozy i odsuwał drabinę. „A teraz powiesi mnie — pomyślała. — Ale wcześniej mnie uratuje”.

Jakub Kuisl pomógł jej wstać, a później spojrzął wyczekująco na zgromadzonych.

— Zaprowadzę teraz Martę do więzienia — powiedział. — Jeże— li rzeczywiście ma coś wspólnego ze śmiercią syna Grimmera, to poniesie sprawiedliwą karę. Mogę to wam obiecać. Do tego czasu zostawcie ją w spokoju.

Bez zbędnych słów kat chwycił Martę Stechlin za kark i poprowadził ją przez środek milczącej grupy flisaków i woźniców. Akuszerka była pewna, że spełni on swoją groźbę.

Simon Fronwieser sapał i przeklinał. Poczłł bowiem, jak plecy powoli robią mu się wilgotne. Nie był to jednak pot, lecz krew, która przesiąkła przez prześcieradło. Marynarkę będzie pewnie musiał po wszystkim przeszyć na nowo, bo plamy na czarnej tkaninie będą zbyt widoczne. Na domiar złego tobolek na jego ramionach z każdym krokiem stawał się coraz cięższy.

Simon przeszedł ze swoim nieporęcznym ciężarem przez most nad Lechem, po czym skręcił w prawo do dzielnicy garbarzy. Zbliżając się do wąskich uliczek, natychmiast poczuł unoszący się w powietrzu ostry smród uryny i rozkładu. Wstrzymał oddech i brnął obok prętów wysokości człowieka, między którymi rozwieszono wilgotne skórzane ścierki. Na balustradach balkonów również wisiały częściowo wygarbowane skóry zwierzęce, rozsiewając swój gryzący zapach. Kilku garbarzy z ciekawością spoglądało na Simona i jego zakrwawiony tobolek. Musiało to wyglądać tak, jakby niósł on do kata zarżnięte jagnię.

Minął w końcu uliczki i poszedł w lewo, w górę ścieżki, do sadzawki z kaczkami. To tu, obok dwóch cienistych dębów stał dom kata. Wraz ze stajnią, dużym ogrodem i szopą na furmankę była to całkiem okazała posiadłość. Medyk rozglądał się nie bez zazdrości. Katowskie rzemiosło uchodziło wprawdzie za niegodny zawód, ale mimo to pozwalało wiele w życiu osiągnąć.

Simon otworzył świeżo pomalowaną bramę i wszedł do ogrodu. Teraz, w kwietniu, kwitły już pierwsze kwiaty, wszędzie wschodziły aromatyczne zioła:



bylica pospolita, mięta, melisa, ruta zwyczajna, macierzanka, szalwia... Schon-  
gauski kat był znany ze swojego bogatego ziołowego ogrodu.

— Wujek Simon, wujek Simon!

Bliźnięta, Georg i Barbara, zeszły z dębu i krzycząc na całe gardło, podbie-  
gły do Simona. Dobrze znały medyka i wiedziały, że nigdy nie odmówi im  
udziału w zabawie czy figlach.

Wystraszona hałasem Anna Maria Kuisl otworzyła drzwi domu. Simon spoj-  
rzył na nią ze sztywnym uśmiechem, podczas gdy dzieci podskakiwały obok nie-  
go, próbując dosięgnąć ciężącego mu na ramionach tobołka. Mając niecałe czter-  
dzieści lat, żona kata mogła wciąż uchodzić za atrakcyjną kobietę. Ze swoimi  
czarnymi jak węgiel włosami i krzaczastymi brwiami była podobna do małżonka  
jak siostra. Simon często zadawał sobie pytanie, czy nie łączyło ją z Jakubem  
Kuislem dalekie pokrewieństwo. Ponieważ kaci uchodzili za ludzi niegodnych i  
tylko w wyjątkowym przypadku mogli poślubić mieszczanę, wiele katowskich  
rodzin było ze sobą spowinowaconych. W ten sposób przez stulecia powstawały  
prawdziwe katowskie dynastie. W Bawarii Kuislowie byli największą z nich.

Anna Maria Kuisl z uśmiechem wyszła medykowi naprzeciw, jednak gdy  
zauważyła tobołek na jego plecach, ostrzegawcze spojrzenie i ruchy wykonywa-  
ne rękami jakby w geście obrony, przywołała dzieci.

— Georg, Barbara! Idźcie pobawić się za domem. Wujek Simon i ja mamy  
coś do omówienia.

Dzieci zniknęły, głośno narzekając, a Simon mógł wreszcie wejść do izby i  
położyć zwłoki na kuchennej ławce. Płachta, w którą były zawinięte, spadła na  
bok. Na widok chłopca Anna Maria wydała głuchy okrzyk.

— Mój Boże, przecież to syn Grimmera! Cóż, na miłość boską, się stało?

Simon usiadł na krześle obok ławki i opowiedział o wszystkim. Tymczasem  
Anna Maria naląła mu z glinianego dzbanka rozcieńczonego wina, które młody  
medyk wypił dużymi haustami.

— A teraz potrzebujesz mojego męża, żeby ci powiedział, co się stało? — zapytała Anna Maria, gdy Simon skończył. Potrząsając głową, wciąż spoglądała na zwłoki chłopca.

Mężczyzna wytarł sobie usta.

— Właśnie. Gdzie on jest?

Anna Maria wzruszyła ramionami.

— Tego ci nie powiem. Był na górze w mieście u kowala po gwoździe. Wiesz, potrzebujemy nowej szafy, bo ta, którą mamy, pęka już w szwach.

Jej spojrzenie znowu prześlizgnęło się po zakrwawionym tobołku leżącym na ławce kuchennej. Jako żona kata przywykła już do widoku zmarłych, ale śmierć dziecka wciąż jeszcze chwytiała ją za serce. Po raz kolejny potrząsnęła głową.

— Biedny chłopiec...

Chwilę później sprawiała już wrażenie, jakby doszła do siebie. Życie toczyło się dalej, na dworze głośno szamotały się bliźniaki; mała Barbara wrzeszczała wniebogłosy.

— Najlepiej będzie, jak tu na niego zaczekasz — powiedziała, podnosząc się z ławki. — W tym czasie możesz trochę poczytać.

Żona kata uśmiechnęła się. Wiedziała bowiem, że Simon często przychodził tylko po to, by przejrzeć podniszczone foliały jej męża. Czasami medyk specjalnie wymyślał jakąś mało przekonującą wymówkę, żeby tylko pójść na dół do kata i trochę poszperać w książkach.

Anna Maria po raz ostatni spojrzała ze współczuciem na martwego chłopca. Wyjęła z szafy wełniany koc i ostrożnie przykryła nim zwłoki na wypadek, gdyby do domu weszły nagle bliźniaki. W końcu podeszła do drzwi.

— Muszę sprawdzić, co u dzieci. Jeśli chcesz, dolej sobie jeszcze wina.

Drzwi zamknęły się i Simon został sam w izbie Kuisłów. Była ona duża, przestronna i zajmowała niemal cały parter. W kącie znajdował się szeroki piec kominkowy, do którego drewno wkładano z korytarza. Obok niego stała szafka kuchenna, a nad nią wisiał na ścianie katowski miecz. Strome schody prowadziły z korytarza do górnej izby, gdzie spali Kuislowie i ich trójka dzieci. Obok komina znajdowały się wąskie, niskie drzwi, prowadzące do kolejnej izby. Simon schylił się pod framugą i wszedł do pomieszczenia, będącego w domu największą świętością.

Po lewej stronie stały dwie skrzynie. Jakub Kuisl przechowywał w nich wszystko, co było potrzebne do wieszania na szubienicy i torturowania — powrozy, łańcuchy, rękawice, ale także narzędzia do miażdżenia kciuków i obcegi. Reszta jego groźnego arsenału znajdowała się w posiadaniu miasta, przechowywana w więzieniu, głęboko w lochach. Obok skrzyń o ścianę oparta była drabina stawiana przy szubienicy.

Jednak zainteresowanie Simona skupiło się na czymś innym. Niemal całą przeciwległą ścianę zajmowała olbrzymia, sięgająca do sufitu szafa. Medyk otworzył jedno z wielu drzwi i jego oczom ukazał się bałagan, na który składały się butelki, tygle, skórzane woreczki i fiołki. Na wewnętrznej ścianie szafy wisiały pachnące latem zioła przeznaczone do suszenia. Simon rozpoznał rozmaryn, koźlik i wawrzynek. Za drugimi drzwiczkami znajdowały się niezliczone szuflady opisane alchemicznymi znakami i symbolami. Simon zwrócił się w stronę trzecich drzwi. Za nimi leżały w stosach zakurzone foliały, zmurszałe rolki pergaminu oraz książki — zarówno spisane ręcznie, jak i wydrukowane. Była to biblioteka kata, gromadzona przez wiele pokoleń, zawierająca prastarą wiedzę, która całkowicie różniła się od tego, co Simon przyswoił sobie podczas suchych wykładów na uniwersytecie w Ingolstadt.

Medyk sięgnął po wyjątkowo grubą księgę, którą miał w ręku już nie raz. Przesunął palcem po jej tytule.

—*Exercitatio anatomica de motu cordis et sanguinis* —wymamrotał.

Była to kontrowersyjna książka, której autor wychodził z założenia, że cała krew w ciele jest częścią wiecznego krwioobrotu, wprawianego w ruch za sprawą serca. Teorię tę często wyśmiewali profesorowie uczący Simona w Ingolstadt. Jego ojciec również uważał ją za niedorzeczną.

Simon szperał dalej. *Księga medycyn* —brzmiał tytuł napisanej odręcznie, licho oprawionej książeczki, zawierającej listę wszelkich zabiegów stosowanych w przypadku chorób. Spojrzenie Simona zatrzymało się na stronie, na której zalecano stosowanie suszonych ropuch na dżumę. Zaraz obok na regale stało dzieło, będące świeżym nabytkiem kata. *Armamentarium Chirurgicum* Johannes Scultetusa, fizyka z Ulm, było tak nowe, że przypuszczalnie nie posiadał go nawet uniwersytet w Ingolstadt. Simon z głęboką czcią przesunął palcami po okładce tego mistrzowskiego dzieła dotyczącego chirurgii.

— Szkoda, że tylko książki ci w głowie.

Simon podniósł wzrok. Magdalena stała w drzwiach oparta o framugę i spoglądała na niego zachęcająco. Młody medyk mimowolnie przełknął ślinę. Dwudziestoletnia Magdalena Kuisl wiedziała, jak działa na mężczyzn. Zawsze gdy Simon ją spotykał, jego usta stawały się nagle suche, a w głowie czuł pustkę. W ostatnich tygodniach sytuacja znacznie się pogorszyła, bowiem nie umiał już nie myśleć o tej dziewczynie. Czasami przed zaśnięciem wyobrażał sobie jej pełne usta, dołeczki w policzkach i śmiejące się oczy. Gdyby był choć trochę przesądny, pomyślałby, że córka kata rzuciła na niego urok.

— Ja... czekam na twojego ojca... — wyjąkał, nie odwracając od niej wzroku. Dziewczyna z uśmiechem podeszła do niego. Zdawało się, że szybko przechodząc, nie zauważyła martwego chłopca leżącego na ławce. Simon nie zamierzał jej o całym zajściu opowiadać. Te nieliczne chwile, jakie spędzali ze sobą, były zbyt cenne, by wypełniać je śmiercią i cierpieniem.

Wzruszył ramionami i odłożył książkę na regał.

— Twój ojciec ma po prostu najlepszą bibliotekę medyczną w okolicy. Byłbym głupi, gdybym tego nie wykorzystał — wymamrotał.

Jego spojrzenie przesunęło się po jej białym dekolcie i kształtnych piersiach. Szybko spojrzał w innym kierunku.

— Ale twój ojciec widzi to inaczej — powiedziała Magdalena, powoli podchodząc bliżej.

Simon wiedział, że jego ojciec uważał książki kata za dzieło szatana. Często ostrzegał go także przed Magdaleną. „To diablica — mówił. — Kto się zadaje z córką kata, ten nigdy nie zostanie „uznanym medykiem”.

Simon miał świadomość tego, że jego ożenek z Magdaleną nie wchodził w grę. Była ona bowiem „niegodna”, podobnie jak jej ojciec. Mimo to nie mógł o niej zapomnieć. Raptem kilka tygodni temu przez chwilę tańczyli ze sobą na Jarmarku św. Pawła. Zajście to stało się powszechnym tematem rozmów przez wiele dni. Jego ojciec zagroził mu laniem, jeśli jeszcze raz da się przyłapać z Magdaleną. Córki katów poślubiły synów katów. Była to niepisana zasada, o której doskonale wiedział także Simon.

Magdalena stała teraz przed nim, przesuwając palcami po jego policzku. Uśmiechała się, ale w jej oczach krył się niewypowiedziany smutek.

— Chcesz pójść jutro ze mną na błonia? — zapytała. — Ojciec potrzebuje jemioly i ciemiernika białego...

Simonowi zdawało się, że słyszy w jej głosie coś na kształt cichego błagania.

— Magdaleno, ja...

Za jego plecami rozległ się szelest.

— Pójdiesz sama, jak grzeczna dziewczynka. Simon i ja mamy mnóstwo spraw do omówienia. A teraz uciekaj.

Simon odwrócił się. Kat wszedł do wąskiej izby, nie zwracając na siebie najmniejszej uwagi. Magdalena posłała młodemu medykowi ostatnie spojrzenie, po czym wybiegła do ogrodu.

Jakub Kuisl spojrział na Simona surowo i przenikliwie. Przez chwilę wydało się, że wyrzuci go za drzwi. Jednak później wyjął z ust fajkę i uśmiechnął się.

— Cieszę się, że lubisz moją córkę — powiedział. — Ale nie mów o tym swojemu ojcu.

Simon skinął głową. Już teraz często kłócił się ze swoim ojcem z powodu wizyt w domu kata. Bonifaz Fronwieser uważał kata za konowałę. Mimo to nie mógł zapobiec temu, że nie tylko jego syn, lecz także połowa Schongau pielgrzymowała do kata w przypadku mniejszych i większych dolegliwości. Jedynie część swoich pieniędzy Jakub Kuisl zarabiał na wieszaniu i torturowaniu. Nieporównywalnie większym interesem była dla niego medycyna. Kat sprzedawał napoje na artretyzm i biegunkę, podawał tabakę na ból zębów, zakładał szyny na złamane nogi i wyprostowywał zwichnięte ramiona. Jego wiedzę otaczała legenda, choć nigdy nie studiował na uniwersytecie. Simon miał świadomość, że jego ojciec musiał nienawidzić kata. W końcu był on najpoważniejszą konkurencją. A także lepszym lekarzem...

Tymczasem Jakub Kuisl przeszedł do głównej izby. Simon podążył za nim. Pomieszczenie natychmiast spowily potężne kłęby dymu. Kat miał tylko jeden nałóg, ale za to bardzo starannie go pielęgnował.

Z fajką w ustach, zdecydowanym krokiem podszedł do ławki, podniósł martwego chłopca, położył go na stole i uniósł koc. Cicho świsnął przez zęby.

- Gdzie go znalazłeś? — zapytał. Jednocześnie napełnił wodą glinianą miskę i zaczął myć twarz i piersi martwego dziecka. Przez chwilę oglądał jego paznokcie, pod którymi zgromadziła się czerwona ziemia, jakby mały Peter kopał gdzieś gołymi rękami.

- Na dole przy przystani dla tratw — odrzekł Simon. Po czym opowiedział, co się stało, aż do chwili, gdy wszyscy pobiegli w górę do miasta, by zlinczować akuszerkę. Kat skinął głową.



- Marta żyje — powiedział, wciąż przecierając twarz chłopca. — Sam zaprowadziłem ją do więzienia, bo tam będzie bezpieczniejsza. Co się stanie potem, zobaczymy.

Podobnie jak wiele razy wcześniej, Simon był pod wrażeniem spokoju kata. Jak wszyscy Kuislowie, mówił on niewiele, jednak każde jego słowo miało swoją wagę.

Tymczasem kat uporał się już z myciem zwłok. Mężczyźni spoglądali razem na zmasakrowane ciało chłopca. Jego nos był złamany, a twarz zzieleniała i posiniaczona. Na piersiach naliczyli siedem nakłuć.

Jakub Kuisl wyjął z płaszcza nóż i w jedno z nich na próbę wsunął ostrze. Z lewej i prawej strony zostało jeszcze miejsce na szerokość palca.

— To musiało być coś większego — mruknął.

— Miecz? — zapytał Simon.

Kuisl wzruszył ramionami.

— Raczej szabla albo halabarda.

— Kto robi coś takiego? — Simon potrząsnął głową.

Kat odwrócił ciało. Na ramionach widniał znak, na skutek transportu trochę bledszy niż na początku, ale wciąż jeszcze wyraźny. Fioletowe koło z krzyżem na dole.



— Co to takiego? — zapytał Simon.

Jakub Kuisl nisko pochylił się nad ciałem chłopca. Polizał palec wskazujący, lekko potarł nim znak, następnie włożył palec do ust i mlasnął z rozkoszą.

— Sok z czarnego bzu — powiedział. — I to całkiem niezły — wy— ciągnął palec w stronę Simona.

— Co? A ja myślałem, że to...

— Krew? — kat wzruszył ramionami. — Krew już dawno by się zmyła. Tylko sok z czarnego bzu tak długo zachowuje swój kolor.

Możesz zapytać moją żonę. Strasznie pomstuje, gdy maluchy się nim wymażą. Oczywiście... — zaczął szorować znamię.

— O co chodzi?

— Barwnik tkwi częściowo pod skórą. Ktoś musiał go wkuć igłą albo szty-  
letem.

Simon skinął głową. Podobne dzieła widział u żołnierzy z Kastylii i Francji, którzy tatuowali sobie na ramionach krzyże lub Matkę Boską.

— Ale co oznacza ten znak?

— Dobrze pytanie — Kuisl głęboko pociągnął z fajki, dmuchnął dymem i na długo zamilkł. Dopiero po chwili odpowiedział:

— To znamię Wenus.

— Że co? — Simon spojrzał na znak. Nagle przypomniał sobie, że widział go już w książce o astrologii.

— Znamię Wenus.

Kat przeszedł do małej izby i wrócił z poplamionym, oprawionym w skórę folialem. Przez chwilę wertował go, aż znalazł właściwe miejsce.

— Tu — pokazał Simonowi fragment, w którym znajdował się znak. Obok narysowane było koło ze strzałką skierowaną w prawo do góry.

— Wenus, bogini miłości, wiosny i wzrostu — głośno przeczytał Jakub Kuisl. — Kontrapunkt do znaku Marsa, boga wojny.

— Ale co to ma oznaczać na ciele chłopca? — spytał oszołomiony Simon.

— Ten znak jest stary, prastary — odrzekł kat, ponownie zaciągając się dymem z długiej fajki.

— Ale co oznacza?

— Ma wiele znaczeń. Odnosi się do kobiety jako przeciwieństwa mężczyzny, do życia, ale także wskazuje na dalsze życie po śmierci.

Simon poczuł, że nie może oddychać. I winę za to jedynie po części ponosiły spowijające go opary dymu.

—Ale... to byłaby herezja— wyszeptał.  
Kat uniósł swoje krzaczaste brwi i spojrzał mu w oczy.

— I to jest właśnie problem — powiedział. — Znak Wenus jest znakiem czarownic.

I dmuchnął Simonowi tytoniowym dymem prosto w twarz.

Księżyc zimnym blaskiem oświetlał Schongau. Co chwila przesłaniały go chmury, spowijając w ciemnościach rzekę i miasto. W dole nad Lechem stała jakaś postać. Zatopiona w myślach, spoglądała na szumiące fale. Mężczyzna postawił kołnierz podszytego futrem płaszcza i odwrócił się do świateł miasta. Bramy już dawno zamknięto, ale dla takich ludzi jak on zawsze znajdzie się jakaś szczelina. Należało tylko znać właściwych ludzi i dysponować drobną sumką. Jedno i drugie nie stanowiło dla niego żadnego problemu.

Mimo to zaczął drzeć. Tylko częściowo wiązało się to z chłodem, który teraz, w kwietniu, szedł od gór. Mężczyznę ogarnął strach. Ostrożnie rozejrzał się na wszystkie strony, ale poza czarną wstęgą rzeki i kilkoma krzakami nad brzegiem nic nie było widać.

Dopiero znacznie później usłyszał za sobą szelest. Następną rzeczą, jaką poczuł, był ostry koniec miecza, który wbijał się w jego plecy przez futrzany płaszczyk, aksamitną marynarkę i kaftan.

— Jesteś sam?

Głos rozległ się tuż przy jego prawym uchu. Zaśmierdziało wódką i zepsutym mięsem.

Mężczyzna skinął głową, jednak stojącej za nim postaci zdawało się to nie wystarczać.

— Jesteś sam, do cholery?

— No, przecież!

Ból w plecach ustał, koniec miecza cofnięto.

— Odwróć się! — syknęła postać.

Mężczyzna odwrócił się, jak mu rozkazano, i ze strachem skinął w kierunku stojącego naprzeciw rozmówcy. Owinięty czarnym wełnianym płaszczem, w naciągniętym głęboko na twarz kapeluszu z szerokim, opus czonym rondem i zakniętymi weń piórami obcy wyglądał, jakby wynurzył się nie z tego świata.

— Dlaczego mnie wezwałeś? — zapytał, powoli wsuwając miecz do pochwy.

Stojący przed nim mężczyzna przeknął ślinę. Chwilę później odzyskał tak niezłomną w innych okolicznościach wiarę we własne siły. Napiął się i z wściekłością przystąpił do wygłoszenia dłuższej przemowy:

— Dlaczego cię wezwałem...? Zawiedliście i doskonale o tym wiesz!

Obcy wzruszył ramionami.

— Chłopak nie żyje — powiedział. — Czego więcej chcesz?

Mężczyzna z miasta nie zadowolił się taką odpowiedzią. Gniewnie potrząsnął głową, a jego wychudzony prawy palec wskazujący chodził w górę i w dół.

— A inni? — syknął. — Było ich pięcioro! Trzech chłopców i dwie dziewczyny. Co z innymi?

Obcy pogardliwie machnął ręką.

— Ich też jeszcze złapiemy — powiedział, szykując się do odejścia. Jego rozmówca pobiegł za nim.

— Do cholery! Nie tak miało się to skończyć! — zawołał i mocno chwycił obcego za ramię. Był to czyn, którego w następnej minucie pożałował. Żyłasta ręka jak imadło złapała go za gardło. W twarzy obcego nagle błysnęły białe zęby, uśmiechał się. Był to wilczy uśmiech.

— Boisz się? — zapytał cicho.

Mężczyzna przełknął ślinę, czując, z jaką trudnością przychodzi mu oddychanie. Na krótko zanim zrobiło mu się ciemno przed oczami, obcy puścił go i odepchnął od siebie niczym natrętne zwierzę.

— Boisz się — powtórzył. — Wszyscy jesteście tacy sami, wy tłuste handlarzyny.

Sapiąc, mężczyzna odsunął się o kilka kroków. Gdy doprowadził do ładu swe ubranie, poczuł, że znów jest wstanie mówić.

— Po prostu szybko zakończ sprawę — wyszeptał. — Dzieciakom nie wolno mówić.

Jego rozmówcy znów błysnęły zęby.

— To będzie cię jeszcze trochę kosztować. Mężczyzna z Schongau wzruszył ramionami.

— Dla mnie to bez znaczenia. Po prostu zakończ to.

Przez chwilę zdawało się, że obcy rozmyśla. W końcu skinął głową.

— Podaj mi imiona — powiedział cicho. — Znasz je. No więc co z imionami?

Mężczyzna przełknął ślinę. Widział dzieci jedynie przez chwilę, mimo to sądził, że wie, kim były. Na moment zawładnęło nim uczucie, jakby stał na progu. Jeszcze mógł się cofnąć...

Imiona wymknęły mu się z ust, zanim zdążył się zastanowić.

Obcy skinął głową. Później nagle odwrócił się i kilka sekund później zatopił się w ciemnościach.



**Środa,**

**25 kwietnia Roku Pańskiego 1659,**

godzina 7. rano

Jakub Kuisl szczelnie owinął się płaszczem i pobiegł przez Munzgasse, bacząc na to, by nie wdepnąć w stopy nieczystości i ekskrementów, które leżały przed wejściami do domów. Tak wczesnym rankiem ulice spowijała jeszcze mgła, a powietrze było wilgotne i zimne. Tuż nad jego głową otworzyło się okno i ktoś wylał na ulicę zawartość nocnika. Kuisl schylił się, uciekając w bok, gdy potok uryny lunął tuż obok niego na ziemię.

Jako kat Jakub Kuisl odpowiadał w Schongau również za usuwanie nieczystości. Była to praca wykonywana raz w tygodniu. Już wkrótce miał chodzić po ulicach z dwukołowym wózkiem i szufelką, jednak dziś brakowało mu na to czasu. Krótco po dźwięku dzwonów wybijających szóstą zjawił się u niego ceklarz<sup>3</sup> z wiadomością, że Johann Lechner natychmiast go do siebie wzywa. Kuisl podejrzewał, czego może chcieć od niego pisarz sądowy. Morderstwo chłopca było powszechnym tematem rozmów przez cały wczorajszy dzień. Plotki o czarach i diabelskich rytuałach rozeszły się po małym miasteczku, jakim było Schongau, szybciej niż zapach nieczystości. Lechner uchodził za człowieka, który się nie wahał, nawet jeśli chodziło o podjęcie drażliwych decyzji. Ponadto dzisiaj miało

---

<sup>3</sup> Ceklarz — nocny stróż miejski



odbyć się zebranie rady, a wielmożni panowie z pewnością zechcą się dowiedzieć, co oznaczają krążące wokół plotki.

Kat miał ciężką głowę. Wczoraj wieczorem Józef Grimmer przyszedł do niego po zwłoki swojego syna. Mężczyzna prawie nie przypominał owego Grimmera, który jeszcze kilka godzin wcześniej omal nie zabił akuszerki. Płakał jak małe dziecko i udało się go uspokoić do pewnego stopnia jedynie dzięki domowej wódce ziołowej Kuisłów. Sam kat wypił również niejeden kieliszek...

Jakub Kuisl skręcił w lewo w boczną uliczkę i podszedł do ksiązącej rezydencji. Mimo bólu głowy uśmiechnął się, bowiem określenie „rezydencja” nie do końca oddawało to, do czego się odnosiło. Wznoszący się przed nim budynek przypominał raczej przysadzistą, podupadłą twierdzę. Nawet najstarsi mieszkańcy Schongau nie pamiętali, kiedy ostatni raz zatrzymał się tutaj książę. Zaś ksiązący administrator, który jako zastępca księcia w mieście troszczył się o jego sprawy, pojawiał się tu tylko od wielkie dzwonu, a na co dzień mieszkał w swoim odległym majątku przy Thierhaupten. Rozpadająca się budowla służyła za koszary dla dwóch tuzinów żołnierzy oraz za izbę urzędową pisarza sądowego, który pod nieobecność administratora prowadził w Schongau interesy księcia elektora Ferdynanda Marii.

Johann Lechner miał dużą władzę. Odpowiedzialny właściwie tylko za sprawy Jego Królewskiej Mości, z biegiem lat wypracował sobie pozycję, która umożliwiała mu także wywieranie wpływu na sprawy dotyczące miasta. Do rąk Lechnera trafiał w Schongau każdy dokument, każde rozporządzenie i każda najmniejsza notatka. Jakub Kuisl był pewien, że również i teraz pisarz od wielu godzin ślęczy nad miejskimi aktami.

Kat przeszedł przez kamienny portal, przy którym krzywo wisiały na zawiasach dwa zardzewiałe skrzydła drzwi, i wszedł na dziedziniec. Stojący na warcie zmęczeni żołnierze skinęli w jego stronę i pozwolili mu przejść. Jakub Kuisl rozejrzył się po wąskim, brudnym podwórzu. Od czasu ostatniej dokonanej przez

Szwedów grabieży, jaka miała miejsce ponad dziesięć lat temu, rezydencja coraz bardziej podupadała. Prawa wieża obronna wzbijająca się w niebo wyglądała jak czarna od sadzy ruina, dachy stajni i gumien były dziurawe i pokrywał je mech. Zepsute powozy i wszelkiego rodzaju rupiecie wystawały spomiędzy popękanych ścian z desek.

Kuisl wszedł po wydeptanych schodach do zamku, minął ciemny korytarz i zatrzymał się przed niskimi drewnianymi drzwiami. Właśnie zamierzał zapukać, gdy w środku rozległ się głos.

— Wejdz.

Pisarz musiał mieć słuch jak nietoperz. Kat otworzył drzwi i wszedł do wąskiej izby. Johann Lechner siedział przy biurku prawie całkowicie zasłonięty stosami książek i pergaminów. W prawej ręce trzymał pióro i skrobał notatki w brulionie, zaś lewą wskazał Kuisłowi miejsce. Mimo pierwszych promieni słońca za oknem w pomieszczeniu panował półmrok i tylko kilka tranowych świec dawało migoczące światło. Kat usiadł na niewygodnym drewnianym stołku, czekając, aż pisarz sądowy podniesie wzrok znad swoich dokumentów.

— Wiesz, dlaczego cię wezwałem?

Johannes Lechner spojrzał przenikliwie na kata. Czarną, zakrywającą pół twarzy brodę odziedziczył po ojcu, który także pracował niegdyś w Schongau jako pisarz sądowy. Cechowała go ta sama bladość i te same czarne, przenikliwe oczy. Lechnerowie byli wpływowym rodem w mieście, a Johannes szczególnie lubił dawać to odczuć swoim rozmówcom.

Kuisl skinął głową i zaczął nabijać sobie fajkę.

— Zostaw to — powiedział pisarz. — Wiesz, że nie lubię palenia. Kat schował fajkę, rzucając Lechnerowi prowokujące spojrzenie. Dopiero po chwili odpowiedział.

— Z powodu Marty Stechlin, jak mniemam.

Johann Lechner skinął głową.

— Już pojawiły się spore kłopoty, choć wszystko wydarzyło się dopiero wczoraj. Ludzie gadają...

—A co ja mam z tym wspólnego?

Lechner pochylił się nad stołem, starając się przybrać miły wyraz twarzy. Udało mu się to tylko częściowo.

— Znasz ją. Przecież macie wspólną robotę. Pomogła przyjść na świat twoim dzieciom. Chcę, żebyś z nią pogadał.

—A o czym mam z nią gadać?

— Skłoń ją, żeby się przyznała.

— Żeby co zrobiła...?

Lechner jeszcze mocniej wyciągnął tułów nad stołem. Twarze mężczyzn były teraz oddalone od siebie tylko na szerokość dłoni.

— Dobrze mnie zrozumiałeś. Żeby się przyznała.

— Ale przecież niczego jej nie udowodniono. Do tej pory plotkowało tylko kilka kobiet. Chłopak był u niej parę razy i to wszystko.

— Sprawę trzeba załatwić raz na zawsze.

Johannes Lechner rozparł się na krześle, bębniąc palcami w poręcz.

— Tych plotek jest już za dużo. Jeśli odpuścimy, spotka nas to samo, co zdarzyło się za czasów twojego dziadka. A wtedy będziesz miał sporo roboty.

Kat skinął głową. Wiedział bowiem, co zasugerował Lechner.

Minęło niecałe siedemdziesiąt lat od słynnego schongauskiego procesu czarownic, kiedy to na stosie wylądowało kilkadziesiąt kobiet. Zaczęło się od złej pogody i kilku niewyjaśnionych przy padków śmierci, a zakończyło histerią, w której każdy donosił na każdego. Jego dziadek, Jorg Abriel, ściał wówczas ponad sześć— dziesiąt kobiet. Ich ciała zostały później spalone. Dzięki temu mistrz Jórg stał się bogaty i sławny. Na ciałach kilku podejrzanych znaleziono tak zwane znamiona czarownic, których kształt przesądził o losie biednych kobiet. Tym razem chodziło o ewidentnie heretycki znak, któremu także Kuisl nie mógł od-

mówić powiązania z czarami. Pisarz sądowy miał rację. Ludzie szukaliby kolejnych znaków. I nawet jeśli początkowo nie pociągnęłoby to za sobą śmiertelnych ofiar, podejrzenia nie ustałyby, rozchodząc się lotem błyskawicy po całym Schongau. Mogłyby „podłożyć ogień” pod miasto. Chyba, że ktoś by się przyznał i wziął na siebie całą winę.

Marta Stechlin...

Jakub Kuisl wzruszył ramionami.

— Nie sędzę, żeby Stechlinowa miała coś wspólnego z tym morderstwem. Mógł to być każdy, także ktoś obcy. Chłopak unosił się na rzece. Diabli wiedzą, gdzie go zarżnęli. Może to sprawka włóczących się i plądrujących żołnierzy.

—A znak? Ojciec chłopaka opisał mi znak. Nie wyglądał czasem tak?

Johann Lechner podał mu rysunek, na którym widniało koło z odwróconym krzyżem.

—Wiesz, co to jest — syknął pisarz. — Dzieło czarownicy.

Kat skinął głową.

—Ale to nadal nie oznacza, że Stechlin...

— Akuszerki znają się na tych rzeczach!

Lechner zaczął teraz mówić głośniej, niż to było w jego zwyczaju.

— Zawsze ostrzegałem, byśmy nie trzymali takich wiedźm w mieście. Są one strażniczkami tajemnej wiedzy i psują nasze kobiety i dzieci! Przecież ostatnimi czasy wciąż przebywały u niej dzieciaki! Peter także. A teraz znajdujemy go martwego w rzece!

Jakub Kuisl zatęsknił za swoją fajką. Z wielką chęcią przegnałby teraz dymem złe myśli z izby. Aż nazbyt dobrze znał zastrzeżenia rajców wobec akuserek. Marta Stechlin była pierwszą akuszerką, jaką oficjalnie zatrudniło miasto. Od dawien dawna kobiety te, dzięki swym babskim tajemnicom, były dla mężczyzn podejrzane. Przyrządzały bowiem szczególne napoje i znały dobrze zioła, dotykały kobiet w nieprzyzwoitych miejscach i wiedziały, jak można usunąć z

ciała płód, dar Boży. Mężczyźni spalili już wiele akuszerok podejrzanych o uprawianie czarów.

Jakub Kuisl również znał się na napojach i ciążyło na nim podejrzenie bycia czarownikiem. Jednakże był mężczyzną. I katem.

— Chciałbym, żebyś poszedł do Marty Stechlin i skłonił ją do przyznania się do winy — powiedział Johann Lechner, po czym znów zabrał się za robienie notatek. Pisząc, nie odrywał wzroku od akt. Sprawa była załatwiona.

— A jeśli się nie przyzna? — zapytał Kuisl.

— Wtedy pokażesz jej narzędzia. Widok przyrządów do miażdżenia kciuków powinien ją zmiękczyć.

— Potrzebujecie decyzji rady — szepnął kat. — Nie mogę tego zrobić sam, wyteż nie.

Lechner uśmiechnął się.

— Jak dobrze wiesz, dzisiaj jest zebranie rady. Jestem pewien, że burmistrz i inni możni panowie zaakceptują moją propozycję.

Jakub Kuisl zastanowił się. Jeśli rada rzeczywiście jeszcze dziś wyraziłaby swoją zgodę, proces ruszyłby jak naoliwiony mechanizm zegara. U jego kresu czekały kobietę tortury i przypuszczalnie śmierć w ogniu. A kat był odpowiedzialny za jedno i drugie.

— Powiedz jej, że jutro zaczynamy przesłuchanie — powiedział Lechner, dalej pisząc w swoich aktach. — Później będzie miała jeszcze czas na zastanowienie. Jeśli uparcie obstawałaby przy swoim, wtedy... będziemy chyba potrzebować twojej pomocy.

Pióro dalej skrobało po papierze. Zegar na wieży kościelnej w rynku wybił ósmą. Johann Lechner podniósł wzrok.

— To by było na tyle. Możesz iść.

Kat wstał i podszedł do drzwi. Gdy nacisnął klamkę, za jego plecami jeszcze raz rozległ się głos pisarza.

— Ach, Kuisl!

Odwrócił się. Pisarz mówił, nie podnosząc wzroku.

— Wiem, że dobrze ją znasz. Nakłoń ją do mówienia. To zaoszczędzi niepotrzebnego cierpienia jej i tobie.

Jakub Kuisl potrząsnął głową.

— To nie ona, wierzcie mi.

Johann Lechner jeszcze raz spojrział w górę, wbijając w niego wzrok.

— Ja też nie sądzę, że to ona. Ale to będzie najlepsze dla miasta. Możesz mi zaufać.

Kat nie odpowiedział. Schylił się przed niską framugą i zatrzasnął za sobą drzwi.

Gdy na ulicy przebrzmiały już kroki mężczyzny, pisarz znów wrócił do akt. Próbował skupić się na leżących na stole pergaminach, ale sprawiało mu to problem. Miał przed sobą oficjalne zażalenie od miasta Augsburg. Schongauski mistrz flisacki, Thomas Pfanzelt, razem z ciężkim kamieniem szlifierskim transportował wielką belę wełny, należąca do augsburskich kupców. Ładunek runął do Lecha z powodu dużego ciężaru. Teraz mieszkańcy Augsburga żądali odszkodowania. Lechner westchnął. Wieczna kłótnia między augsburczykami i schongauczykami działała mu już na nerwy. Akurat dziś nie był w stanie zajmować się takimi błahostkami. Jego miasto płonęło! Johann Lechner mógł bezpośrednio doświadczyć, jak strach i nienawiść wnikały od krańców aż do centrum Schongau. Już wczoraj wieczorem w gospodach „Pod Żółtą Gwiazdą” i „Złoty Kufel” ludzie szeptali o oddawaniu czci szatanowi, orgii czarownic i rytualnych zabójstwach. Po wszystkich zarazach, wojnach i nawałnicach panujący obecnie

nastrój groził kolejnym wybuchem. Miasto siedziało na beczce prochu, a Marta Stechlin mogła być jej płonącym lontem. Lechner nerwowo obracał pióro w palcach. Trzeba obciąć lont, zanim wydarzy się nieszczęście...

Pisarz cenił Jakuba Kuisla jako mądrego, roztropnego mężczyznę, ale tu nie chodziło o winę Stechlinowej. Priorytetem było dobro miasta. Wystarczyłby krótki proces i spokój, tak długo oczekiwany spokój, nareszcie zagościłby w Schongau.

Johann Lechner zgarnął pergaminy, włożył je z powrotem do stojących przy ścianie regałów i udał się w drogę do budynku Ballenhaus. Za pół godziny miało zacząć się zebranie rady, a jemu pozostało jeszcze do załatwienia trochę spraw. Za pośrednictwem miejskiego herolda poprosił o przybycie wszystkich członków rady wewnętrznej i zewnętrznej oraz sześciu zwykłych członków gminy. Lechner chciał zrobić porządek.

Po przejściu przez ruchliwy o tej porze rynek pisarz wszedł do budynku Ballenhaus. W wielkiej, wysokiej na dziewięć kroków<sup>4</sup> hali zgromadzone były skrzynie i worki gotowe do dalszego transportu do dalekich miast i krajów. W kącie piętrzyły się bloki piaskowca i tufu wulkanicznego, wokół pachniało cynamonem i kolendrą. Lechner wszedł po szerokich, drewnianych schodach wysoko na pierwsze piętro. Jako urzędowy zastępca księcia elektora w tej miejskiej sali ratuszowej nie miał właściwie czego szukać. Jednak od czasu wielkiej wojny patrycjusze przyzwyczaili się, że silna ręka dbała o spokój i porządek, dlatego dali pisarzowi swobodę działania. W prawie naturalny sposób z biegiem lat zaczął prowadzić posiedzenia rady. Johann Lechner był człowiekiem władzy i nie miał zamiaru pozwolić, by ktoś wyrwał mu ją z rąk.

Drzwi do sali ratuszowej były otwarte. Pisarz ze zdumieniem zauważył, że nie przyszedł jak zwykle pierwszy. Burmistrz Karol Semer i członek rady Jakub

---

<sup>4</sup> Krok— dawna miara długości równa 0,9417 metra.



Schreevogl pojawili się już przed nim. Wydawało się, że właśnie prowadzą gwałtowną dysputę.

—I powiem wam, że augsburczycy zbudują nową drogę, a wtedy nie będziemy mieć ani grosza — ofuknął Semer swojego rozmówcę, który ciągle potrząsał głową. Młody Schreevogl dopiero sześć miesięcy temu wszedł do rady na miejsce swojego zmarłego ojca. Rosły patrycjusz wielokrotnie sprzeczał się z burmistrzem. W przeciwieństwie do swego ojca, który był zaprzyjaźniony z Semerem i innymi starszymi członkami rady, miał on swoje własne zdanie. Również i teraz nie pozwolił się zastraszyć Semerowi.

—Nie wolno im, przecież o tym wiecie. Już kiedyś próbowali i ksiązę pokrzyżował im plany.

Jednak Semer nie chciał tego słuchać.

— To było przed wojną! Ksiązę elektor ma teraz inne problemy! Wiercie staremu wydze, augsburczycy budują drogę. Jeśli na dodatek będziemy mieć w pobliżu przeklętych trędowatych, nie wspominając już o tym strasznym zabójstwie... handlarze będą nas unikać jak zarazy!

Johann Lechner, chrząkając, wszedł do sali i udał się do szczytu dębowego stołu w kształcie litery U, który zajmował całe pomieszczenie. Podbiegł do niego burmistrz Semer.

— Dobrze, że jesteście, Lechner! Jeszcze raz odradziłem młodemu Schreevoglowi budowanie przytułku. Akurat teraz! Kupcy z Augsburga szkodzą nam, a jeśli jeszcze rozejdzie się plotka, że przed naszymi bramami...

Johann Lechner wzruszył ramionami.

— Przytułek to sprawa Kościoła. Porozmawiajcie z księdzem, ale nie sądzę, byście odnieśli sukces. A teraz wybaczone mi.

Pisarz precyzyjnie przeszedł obok korpulentnego burmistrza i otworzył drzwi do zaplecza, gdzie przy ścianie stała sięgająca sufitu, otwarta z przodu szafa z półkami i szufladami, wypełniona po brzegi pergaminami. Johann Lechner wszedł na sto-

łek i wyciągnął potrzebne na dziś dokumenty. Jego wzrok zatrzymał się na aktach dotyczących przytułku. W zeszłym roku Kościół podjął decyzję o zbudowaniu przed miastem, przy drodze do Hohenfurch, domu dla trędowatych. Stary budynek rozpadł się już kilkadziesiąt lat temu, jednak przez ten czas choroba wcale nie ustąpiła.

Na myśl o podstępnej zarazie Lechnerowi przeszedł po plecach dreszcz. Obok dżumy trąd uchodził za najbardziej przerażającą ze wszystkich plag. Kto się nim zaraził, temu za życia gniło ciało. Nos, uszy i palce odpadały niczym zepsute owoce. W stadium końcowym twarz stanowiła jedną wielką narośl, która w niczym nie przypominała ludzkiego oblicza. Ponieważ choroba była w wysokim stopniu zaraźliwa, biedaków przeważnie przepędzano z miasta lub kazano im nosić dzwonki albo grzechotki, by inni już z daleka mogli ich rozpoznać. Na znak miłosierdzia, a także w celu uniknięcia kolejnych zarażeń, wiele miast budowało dla nich leprozoria, specjalne getta poza murami miasta, w których chorzy czekali na swój koniec. Schongau również planowało postawić taki przybytek. Od sześciu miesięcy roboty budowlane przy drodze do Hohenfurch szły pełną parą, jednak rada wciąż jeszcze spierała się z powodu tego postanowienia. Gdy Johann Lechner wrócił do sali ratuszowej, większość członków rady zdążyła już przybyć. Wszyscy szemrali i gwałtownie dyskutowali, bowiem każdy słyszał inną wersję historii o śmierci chłopca. Nawet kiedy Johann Lechner zadzwonił dzwoneczkiem, trochę potrwało, nim ostatnia osoba zajęła miejsce na swoim krześle. Zgodnie ze starym zwyczajem pierwszy burmistrz wraz z pisarzem siedzieli w środku. Po ich prawej stronie znajdowały się miejsca dla członków rady wewnętrznej, do której należało sześciu mężczyzn, pochodzących z najbardziej szanowanych rodzin w Schongau. Radę tworzyło także czterech burmistrzów, którzy zmieniali się co kwartał. Zasiadające rodziny od wieków dzieliły między sobą stanowiska burmistrzów. Wprawdzie oficjalnie byli oni wybierani przez innych

członków rady, niemniej obowiązywała tu odwieczna zasada, wedle której także najbardziej wpływowe dynastie zgłaszały swoich burmistrzów.

Z lewej strony siedziało sześciu członków rady zewnętrznej, również składającej się z wpływowych patrycjuszy. Przy ścianie stały zaś krzesła dla zwykłych przedstawicieli gminy.

Pisarz rozejrzył się. W sali zgromadziła się sama śmietanka. Woźnice, handlarze, piwowarzy, piernikarze, kuśnierze, młynarze, garbarze, garncarze i tkacze... wszyscy Semerowie, Schreevoglowie, Augustinowie i Hardenbergerowie, od wieków decydujący o dobru miasta. Byli to poważni, odziani w ciemne szaty mężczyźni, którzy ze swoimi białymi kryzami i hiszpańskimi bródkami, tłustymi twarzami i okrągłymi brzuchami, opięci kamizelkami i obwieszeni złotymi łańcuchami wyglądali, jakby pochodzili z innego świata. Wojna wpędziła Niemcy w biedę, ale tych mężczyzn ominęła, nie wyrzadziwszy im najmniejszej szkody. Na twarzy Lechnera mimowolnie pojawił się uśmiech. Wszak to, co tłuste, zawsze wypływa na wierzch.

Wszyscy byli ogromnie wzburzeni. Wiedzieli bowiem, że śmierć chłopca może zaszkodzić również ich własnym interesom. Chodziło o ład panujący w ich małym mieście! Szepty rozlegające się w wyłożonej boazerią sali obrad przypominały pisarzowi wściekłe brzęczenie pszczół.

— Proszę o ciszę! Cisza!

Lechner ponownie zadzwonił dzwoneczkiem, po czym uderzył dłonią w stół. W końcu nastąpił spokój. Pisarz sięgnął po pióro, aby spisać przebieg zebrania. Burmistrz Karl Semer siedział w kręgu z zatroskaną miną. W końcu zwrócił się do członków rady:

— Wszyscy zapewne słyszeliście o wczorajszym strasznym zajściu. To przerażająca zbrodnia, którą trzeba jak najszybciej wyjaśnić. Wynegocjowałem z pisarzem, aby ten punkt omówić jako pierwszy. Wszystkie inne sprawy mogą poczekać. Mam nadzieję, że podzielacie to przekonanie.

Rajcy skinęli wolno głowami. Im szybciej rozwiąże się ten przypadek, tym szybciej będą mogli zająć się właściwymi sprawami. Burmistrz Semer kontynuował:

— Na szczęście wygląda na to, że znaleźliśmy już winną. Akuszerka Stechlinowa siedzi właśnie w więzieniu. Wkrótce złoży jej wizytę kat, a wtedy będzie musiała mówić.

— Ale jakie przesłanki sprawiły, że jest podejrzana?

Wszyscy rajcy spojrzeli z irytacją na młodego Schreevogla. Nie było bowiem w zwyczaju tak wcześnie przerywać pierwszemu burmistrzowi, zwłaszcza jeśli ktoś zasiadał w radzie tak krótko. Ojciec Jakuba Schreevogla, Ferdynand, był potężnym członkiem rady, wprawdzie trochę zdziwaczałym, ale wpływowym. Tymczasem jego syn musiał dopiero zbudować swoją pozycję. W przeciwieństwie do innych młody patrycjusz nie nosił kryzy, lecz szeroki, koronkowy kołnierz. Włosy, zgodnie z najnowszą modą, opadały mu lokami na ramiona. Jego osoba i zachowanie stanowiły afront dla każdego wysłużonego rajcy.

— Co sprawiło, że jest podejrzana? Cóż, to całkiem proste, całkiem proste...

Pytanie zbiło burmistrza Karla Semera z tropu. Z zarysowującej się łysiny starł chustką małe krople potu. Jego szeroka klatka piersiowa podnosiła się i opadała pod obwieszoną złotem kamizelką. Jako piwowar i właściciel pierwszej gospody na placu nie nawykł do sprzeciwu. Poszukując pomocy, zwrócił się do pisarza siedzącego po jego lewej stronie. Johann Lechner chętnie go zastąpił.

— Wielokrotnie widziano ją z chłopcem przed nocą, w której dokonano zabójstwa. Poza tym są kobiety, które zaświadczą, że razem z Peterem i innymi dziećmi świętowała sabat czarownic w swojej izbie.

— Kto to poświadczy?

Młody Schreevogl nie ustępował. W tym momencie Johann Lechner rzeczywiście nie mógł wymienić z imienia ani jednej z tych kobiet. Jednak uliczni

stróże opowiedzieli mu, że takie plotki rozpowszechniano w gospodach. I wiedział, kto wchodził tu w rachubę. Znalezienie świadków będzie prostą sprawą.

— Zaczekajcie do procesu. Nie chcę wybiegać w przyszłość — powiedział.

— A może się zdarzyć, że Stechlinowa zza murów więzienia zabije tych świadków czarami, gdy się dowie, kto ją obwinia — wtrącił kolejny członek rady. Piekarz Michael Berchtholdt należał do członków rady zewnętrznej. Dla Lechnera właśnie on był jednym z tych, po których spodziewał się rozsiewania takich plotek. Inni panowie skinęli głowami, słyszeli bowiem o takich przypadkach.

— Ach, bzdura! Przecież to są urojenia. Stechlinowa jest akuszerką i nic ponadto!

Jakub Schreevogel zerwał się z miejsca.

— Pomyślcie o tym, co zdarzyło się tutaj siedemdziesiąt lat temu. Połowa miasta posądziła wówczas o czary drugą połowę. Przelano dużo krwi. Chcecie, żeby to się powtórzyło?

Kilku zwykłych członków rady gminnej zaczęło szeptać. Wtedy, przed laty, dotknęło to przede wszystkim mniej majątnych mieszkańców, chłopów, służące, parobków... Jednak wśród oskarżonych były także gospodynie i żony sędziów. Pod wpływem tortur podejrzani przyznawali się do wyczarowywania gradu, profanowania hostii, a nawet do zabijania własnych wnuków. Strach wciąż jeszcze tkwił głęboko w ludziach. Johann Lechner przypomniał sobie, że jego ojciec często o tych wydarzeniach opowiadał. Była to hańba Schongau, która na zawsze zostawi ślad w książkach do historii...

— Nie sądzę, byś był w stanie to sobie przypomnieć. A teraz usiądź, Schreevogelku — rzekł cichy, ale przenikliwy głos. Zdradzał on, że jego właściciel już często wydawał rozkazy i nie zamierza pozwolić na to, by młokos wchodził mu na głowę.

Osiemdziesięciojednoletni Matthias Augustin był najstarszym członkiem rady. Przez kilkadziesiąt lat sprawował władzę nad woźnicami z Schongau. Teraz był niemal ślepy, jednak jego słowo wciąż jeszcze miało znaczenie w mieście. Razem z Semerami, Puchnerami, Holzhoferami i Schreevogłami należał do najściślejzego kręgu władzy.

Oczy starca były skupione na nieokreślonym punkcie w dali. Zdawał się patrzeć bezpośrednio w przeszłość.

— Ja to pamiętam — wymamrotał. W sali zapanowała teraz grobowa cisza. — Byłem wówczas małym chłopcem, ale widziałem i pamiętam, jak paliły się stosy. Jeszcze czuję zapach ciał. W tym przeklętym procesie spalono dziesiątki kobiet. Także tych niewinnych. Ludzie przestali sobie ufać, jeden drugiemu. Wierz mi, nie chcę przeżywać tego na nowo. I dlatego Stechlinowa musi się przyznać.

Młody Schreevogł usiadł na krześle. Słuchając ostatnich słów Augustina, głośno wciągnął powietrze przez zęby.

— Ona musi się przyznać — kontynuował Augustin — bo plotka jest jak dym. Rozchodzi się, przenika przez szpary w drzwiach i zamknięte okna, a na koniec śmierdzi nią całe miasto. Zatem zakończmy tę sprawę możliwie jak najszybciej.

Burmistrz Semer skinął głową. Pozostali członkowie rady wewnętrznej również wymamrotali słowa zgody.

— Ma rację — Johann Piichner, którego zniszczony podczas najazdu Szwedów młyn dopiero od niedawna na nowo rozkwitł. Oparł się plecami o oparcie krzesła. — Musimy uspokoić lud. Wczoraj byłem na przystani dla tratw. Okropnie tam wrze.

— To prawda. Ja wczoraj też rozmawiałem ze swoimi ludźmi — Matthias Holzhofer był kolejnym potężnym handlarzem, na którego zlecenie tratwy pływę-



ły aż do Morza Czarnego. Mężczyzna mówił, bawiac się mankietami swojego kaftana.

— Ale tam podejrzewa się raczej augsburskich flisaków. W końcu stary Grimmer wielokrotnie szukał z nimi zwady. Być może chcą nam zaszkodzić, nastraszyć ludzi, że już nie będą przybijać do Schongau — zastanawiał się.

— A wtedy Stechlinowa miałaby wreszcie święty spokój, a wasz cały plan diabli by wzięli—wtrącił Jakub Schreevogl, siedząc przy stole ze skrzyżowanymi rękami.

Wśród zwykłych członków gminy, siedzących z tyłu przy ścianie, ktoś chrząknął. Rzadko zdarzało się, by w czasie zebrania zabierali głos. Stary Pogner, który został wysłany do rady przez cech kramarzy, wymamrotał:

— Między Grimmerem a kilkoma augsburczykami rzeczywiście doszło do bójki. Sam byłem w „Gwieździe”, gdy to się stało.

Burmistrz Karl Semer, jako właściciel gospody, poczuł się urażony w swej dumie.

—W mojej gospodzie nie ma żadnych bójek. Ci co najwyżej trochę się poszarpali — uspokajał.

—Trochę się poszarpali? — teraz Pogner się ożywił. — Zapytajcie waszą Resl, bo tam była. Toć oni porządnie rozkwasili sobie nosy. Krew płynęła strumieniami. A jeden z augsburczyków do dziś nie może dobrze nogami przebierać, tak Grimmer go sprął. Na odchodnym obrzucił go paskudnymi przekleństwami. Myślę, że chcieli się zemścić, tak uważam!

—Bzdura! — półślepy Matthias Augustin potrząsnął głową. — Wiele złego można powiedzieć o augsburczykach, ale obwiniać ich o zabójstwo... Nigdy bym ich o to nie podejrzewał. Zwróćcie się do Stechlinowej. A przede wszystkim działajcie szybko, nim wszystko zacznie tu płonąć.



—Wydałem polecenia, by jutro zacząć przesłuchanie — powiedział Lechner. — Kat pokaże akuszerce narzędzia tortur. Najpóźniej za tydzień sprawa będzie załatwiona.

Spojrzał w górę na rzeźbiony sufit z limby. Zwoje mające formę reliefów świadczyły o tym, że spisano tu prawo.

— Czy w takim przypadku nie musimy poradzić się książęcego administratora? — zapytał Jakub Schreevogel. — W końcu chodzi o zabójstwo! Miastu nie wolno przecież wydawać sądu samodzielnie!

Johann Lechner uśmiechnął się. Istotnie, do wydania wyroku sądowego, który decydował o życiu i śmierci, potrzebny był przedstawiciel księcia elektora. Jednak Wolf Dietrich von Sandizell przebywał często w swoim majątku Pichl przy Thierhaupten, daleko od Schongau. I dopóki się tu nie pojawił, Lechner był jego wyłącznym przedstawicielem w murach miasta.

— Już wysłałem posłańca i poprosiłem Sandizella, by przybył tu najpóźniej za tydzień i poprowadził proces — wyjaśnił. — Napisałem mu, że do tego czasu znajdziemy winnego. Jeśli jednak tak się nie stanie, wówczas przedstawiciel księcia elektora wraz ze swoją świtą będzie musiał pozostać w mieście na dłużej... — dodał wyniośle pisarz.

Rajcy jęknęli w duchu. Książęcy przedstawiciel z asystą! Z końmi, służącymi, żołnierzami... Oznaczało to mnóstwo wydatków. Po cichu liczyli już guldeny i fenigi, które każdy z dostojnych gości przeżarłby i przepił. Dzień w dzień, aż do wydania wyroku. Tym ważniejsze było teraz, by przybyłemu przedstawicielowi móc od razu wskazać winnego. A wtedy miasto wyszłoby z opresji, wydając o połowę mniej.

— Macie naszą zgodę — powiedział burmistrz Semer, ścierając sobie pot z łysego czoła. — Jutro zaczynajcie przesłuchanie.

— Dobrze — Johann Lechner otworzył kolejny notes. — Przejdźmy teraz do następnych punktów. Mamy jeszcze dużo do zrobienia.



**Środa,**

**25 kwietnia Roku Pańskiego 1659,**

godzina 9 rano

Jakub Kuisl szedł wąską uliczką, biegnącą tuż przy murach miasta na południe. Stojące tu domy były świeżo otynkowane, a ich kryte dachówką dachy błyszcząły na czerwono w porannym słońcu. W ogrodach kwitły pierwsze narcyzy i żonkile. Tak zwana dzielnica bramy wjazdowej, leżąca wokół zamku przedstawiciela księcia elektora, uchodziła za lepszą okolicę. Osiedli tu rzemieślnicy, którzy dorobili się majątków. Droga prowadziła kata obok kwaczących kaczek i gdaczących kur, które sfrunęły mu pod nogi. Na ławce przed warsztatem siedział stolarz z heblem, młotkiem oraz dłutem i szlifował stół. Na widok przechodzącego Kuisla schował głowę w ramionach. Kata nie pozdrawiano, gdyż przynosiło to nieszczęście.

Jakub Kuisl dotarł wreszcie do końca uliczki. Przy jej najdalszym skraju, bezpośrednio przy murach miasta wznosiło się więzienie. Była to pękata, trzypiętrowa wieża z płaskim dachem i blankami, zbudowana z masywnych, ciosanych kamieni. Od wieków budynek ten służył za loch i izbę tortur.

Obok okutej żelazem, drewnianej bramy stał ceklarz, wystawiając twarz na promienie wiosennego słońca. Oprócz długiego jak palec klucza do drzwi przy jego pasku dyndała pałka. Większe uzbrojenie nie było konieczne, gdyż ostatecznie podejrzana była zakuta w kajdany. Aby zapobiec ewentualnym klątwom,

stróż zaopatrzył się w mały, poświęcony drewniany krzyżyk i amulet z Maryją, które wisiały mu na szyi na skórzanym sznurku.

—Dobrego dnia ci życzę, Andreas! — zawołał Jakub Kuisl. — Co słyhać u dzieci? Mała Anna ma się już dobrze?

—Wszystko w porządku, wielkie dzięki, mistrzu Kuisl. Środek bardzo pomógł.

Stróż rozejrzał się ukradkiem we wszystkie strony, czy ktoś nie obserwował jego rozmowy z katem. Wprawdzie unikano mężczyzny z mieczem, ale to właśnie do niego przychodzono w razie kłującego, artretycznego bólu lub złamanego palca. Albo gdy córka, jak w przypadku miejskiego pachółka Andreasa, cierpiała z powodu ciężkiego krztuśca. Prości ludzie woleli pójść do kata niż do cyrulika lub medyka. Przeważnie człowiek wychodził od niego zdrowszy, niż przyszedł. Poza tym było taniej.

— Cieszę się! Dasz mi porozmawiać ze Stechlinową sam na sam?  
— Kuisl nabił sobie fajkę. Mimochodem poczęstował stróża tytoniem. Andreas ukradkiem włożył podarek do woreczka przy pasku.

— No nie wiem, Lechner zabronił. Mam zawsze być przy odwiedzinach.

— Powiedz, czy Stechlinowa nie pomogła przyjść na świat także twojej Annie? I Thomasowi?

— No tak...

— A widzisz, moim dzieciom też. Naprawdę wierzysz, że jest czarownicą?

— Nie, właściwie nie. Ale inni...

— Inni, inni... Myśl samodzielnie, Andreas! A teraz wpuść mnie do środka. Jutro możesz zajrzeć, syrop na kaszel dla twojej małej jest już gotowy. Po prostu weź go sobie, gdyby nie było mnie w domu. Stoi na stole w kuchni.

Przy tych słowach wyciągnął rękę. Stróż podał mu klucz i kat wszedł do więzienia.

Tylną część pomieszczenia zajmowały dwie cele. W tej na lewo, na snopku brudnego siana leżała jak bez życia Marta Stechlin. W powietrzu unosił się intensywny zapach uryny i zgniłej kapusty. Przez małe okratowane okienko wpadało do sieni słoneczne światło. Schody prowadziły w dół do izby tortur. Jakub Kuisl dobrze ją znał. To w niej zgromadzone były wszystkie narzędzia potrzebne katowi podczas przesłuchania.

Na początku tylko pokazałby je Stechlinowej. Rozpalone obcęgi, zardzewiałe narzędzia do miażdżenia kciuków z nakrętkami do śrub, za pomocą których z każdym obrotem potęguje się ból. Musiałby jej wytłumaczyć, jak wygląda powolne rozciąganie ciała wzdłuż za pomocą niezmiernie ciężkich kamieni, wskutek czego zaczynają trzeszczeć kości i ostatecznie wyskakują ze stawów. Z reguły wystarczyło już samo pokazanie narzędzi, by zmusić przesłuchiwanego do uległości. W przypadku Marty Stechlin kat nie był pewien, czy poszłoby tak szybko.

Akuszerka zdawała się spać. Gdy Jakub Kuisl podszedł do prętów kraty, kobieta, mrużąc oczy, spojrzała w górę. Rozległo się pobrzękiwanie. Były to zardzewiałe łańcuchy, które ciągnęły się od jej rąk aż do obręczy w ścianie. Marta Stechlin usiłowała się uśmiechnąć.

— Związali mnie jak wściekłego psa — wskazała na łańcuchy. — A żarcie jest równie paskudne.

Kuisl uśmiechnął się.

— Gorzej niż u ciebie w domu być nie może.

Twarz Marty Stechlin zachmurzyła się.

—A jak wygląda mój dom? Wszystko zniszczyli, prawda?

— Jeszcze tam zajrzę, ale teraz masz o wiele większy problem. Myślę, że to ty. Jutro przyjdę z pisarzem i burmistrzem i pokażę ci narzędzia.

— Już jutro?

Skinał głowę, po czym spojrzał przenikliwie na akuszerkę.

— Marto, powiedz szczerze, to byłaś ty?

— Na Świętą Paniękę Maryję, nie! Nigdy nie mogłabym zrobić krzywdy temu chłopcu!

— Ale on bywał u ciebie? Również w nocy przed swoją śmiercią?

Akuszerka marzła. Miała na sobie tylko cienką lnianą sukienkę, w której uciekła przed Grimmerem i jego ludźmi. Drżała na całym ciele. Jakub Kuisl podał jej swój długi, dziurawy płaszcz. Bez słowa przeciągnęła go między kratami i zarzuciła sobie na ramiona. Dopiero później zaczęła mówić.

— Bywał u mnie nie tylko Peter. Przychodziło także kilkoro innych dzieciaków, którym brakuje matki.

— Jakich innych?

— No po prostu sieroty. Sophie, Klara, Anton, Johannes... I jak tam jeszcze na nie wołają... Odwiedzały mnie, czasem kilka razy w tygodniu. Ja gotowałam im zupełną mączną, a one bawiły się w moim ogrodzie. Nie mają przecież własnego.

Jakub Kuisl przypomniał sobie, że od czasu do czasu widział dzieci bawiące się w ogrodzie akuszerki, jednak nigdy nie zwrócił uwagi na to, że były to niemal wyłącznie sieroty.

Kat znał dzieciaki z ulicy. Często stały razem w grupie, unikane przez pozostałych. Już kilka razy interweniował, gdy inne dzieci wspólnie napadały na sieroty i je biły. Można było niemal odnieść wrażenie, jakby na ich czołach widniał znak, który prowokował innych do ciągłego wybierania ich na ofiary. Przez chwilę cofnął się myślami do własnego dzieciństwa. Był brudnym, niegodnym synem kata, ale miał przynajmniej rodziców. Tego szczęścia doświadczało coraz mniej dzieci. Wielka wojna zabrała wielu z nich ojców i matki. Miasto przekazywało takie biedne sieroty opiekunom sądowym. Często byli nimi mieszczanie z zarządu miejskiego, ale także rzemieślnicy — mistrzowie, którzy dodatkowo przejmowali majątek zmarłych rodziców. **W** i tak dużych już rodzinach dzieci te

stanowiły ostatnie ogniwo długiego łańcucha. Były ledwie tolerowane, nierzadko kopane, z reguły niekochane. Traktowano je jako dodatkowe gęby do wyżywienia, które się karmi, bo potrzebne są pieniądze, które na nie dają. Jakub Kuisl rozumiał więc, że w troskliwej Marcie Stechlin sieroty te mogły widzieć kogoś na podobieństwo matki.

— Kiedy były u ciebie po raz ostatni? — zapytał akuszerkę.

— Przedwczoraj.

— A więc w dzień przed nocą, w której doszło do morderstwa. Peter też był razem z nimi?

— Tak, oczywiście. On był takim miłym chłopcem...

Po poplamionej zaschniętą krwią twarzy akuszerki potoczyły się łzy.

— On przecież nie miał już matki. Ja sama towarzyszyłam jej w ostatnich godzinach. Peter i Sophie chcieli wszystko dokładnie wiedzieć: co robię jako akuszerka i jakich ziół potrzebuję. Zawsze uważnie przyglądali się, jak je ucierałam w moździerz. Sophie powiedziała, że też kiedyś zostanie akuszerką.

— Jak długo zostały?

— Poszły na krótko przed zapadnięciem zmroku. Kazałam im iść do domu, bo zawołała mnie Klingensteinerowa. Byłam u niej do wczorajszego ranka. Na Boga, są na to świadkowie!

Kat potrząsnął głową.

— To ci nic nie pomoże. Wczoraj wieczorem rozmawiałem jeszcze z Grimmerem— ojcem. Peter przypuszczalnie nie wrócił od ciebie do domu. Grimmer był w gospodzie aż do zamknięcia. Gdy następnego ranka chciał obudzić syna, łóżko było puste.

Akuszerka westchnęła.

— Zatem widziałam go ostatnia...

— Tak jest, Marto. Źle to wygląda. Na zewnątrz krążą rozmaite plotki.

Akuszerka mocniej owinęła się płaszczem. Jej wargi zwięzły się.

— Kiedy użyjesz obcęgow i narzędzi do miażdżenia kciuków? — zapytała.

—Już wkrótce, to zależy od Lechnera.

— Mam się przyznać?

Jakub Kuisl zawahał się. Ta kobieta pomogła przyjść na świat jego dzieciom. Był jej winien przysługę. Poza tym, mimo najszczerzych chęci, nie mógł sobie wyobrazić, że zadała Peterowi takie rany.

— Nie — powiedział w końcu. — Zwlekaj. Wypieraj się, jak długo będzie to możliwe. Będę cię chwycił delikatnie. Obiecuję ci.

—A jeśli już nie dam rady?

Kuisl pociągnął ze swojej zimnej fajki, a następnie wysunął cybuch w stronę Marty.

— Dorwę drania, który to zrobił. Obiecuję ci. Wytrzymaj, dopóki nie będę miał go w rękach.

Potem nagle odwrócił się i udał w kierunku wyjścia.

— Kuisl!

Kat zatrzymał się i jeszcze raz obejrzał na akuszerkę. Jej głos zamienił się teraz w szept.

— Jest jeszcze coś... Być może powinieneś o tym wiedzieć...

— Co?

— Miałam u siebie w szafie alraunę...

—Al... Wiesz, że wielmożni panowie uważają to za dzieło szatana.

— Wiem. W każdym razie, ona zginęła.

— Zginęła?

— Tak, wczoraj.

— Czy zginęły jeszcze inne rzeczy?

— Nie wiem. Zdążyłam to zauważyć na krótko przed tym, jak przyszedł Grimmer ze swoimi ludźmi.



Jakub Kuisl zatrzymał się przed drzwiami. W zamyśleniu ssał trzonek fajki.

— Dziwne — wymamrotał. — Czy w przedostatnią noc nie było pełni?

Nie czekając na odpowiedź, wyszedł na zewnątrz. Za jego plecami z trzaskiem zamknęły się drzwi. Marta Stechlin owinęła się płaszczem, położyła na słomie i bezgłośnie zapłakała.

Kat udał się najkrótszą drogą do domu Stechlinowej. Jego kroki rozbrzmiewały po uliczkach. Grupa chłopek obładowanych koszykami i workami ze zdumieniem obejrzała się za wysoką postacią, która szybko przeszła obok nich. Wszystkie zrobiły znak krzyża, po czym znów wróciły do plotkowania o strasznej śmierci małego Grimmera i o jego ojcu, wdowcu i opoju.

Po drodze Kuisl rozmyślał nad tym, co na koniec powiedziała mu akuszerka. Alrauna była korzeniem mandragory, rośliny o żółtozielonych owocach, których spożycie działało odurzająco.

Wyglądała jak mały, uschnięty człowieczek, dlatego często używano jej przy wymawianiu zaklęć. Zmielona wchodziła w skład osławionej maści czarownic, którą te smarowały swoje miotły. Podobno wyjątkowo dobrze dojrzewała pod szubienicą i żywiła się uryną i spermą powieszonych, ale Jakub Kuisl jeszcze nigdy nie widział, by rosła na schongauskiej górze straceń. Pewne było, że doskonale działała jako środek odurzający i wczesnoporonny. Jeśli znaleziono by alraunę u Stechlinowej, oznaczałoby to dla niej pewny wyrok śmierci.

Kto jednak mógł ukraść roślinę akuszerce? Ktoś, kto źle jej życzył?

Ktoś, kto chciał, by podejrzewano ją o czary?

A może akuszerka po prostu położyła zakazany korzeń w innym miejscu. Jakub Kuisl przyspieszył kroku. Wkrótce sam wyrobi sobie zdanie na ten temat.

Chwilę później stał przed domem akuszerki. Gdy zobaczył roztrzaskane okiennice i wyważone kopniakami drzwi, nie był już pewny, czy cokolwiek tu znajdzie.

Kat popchnął drzwi. Z ostatnim skrzypnięciem oderwały się od zawiasów i wpadły do środka. Samo pomieszczenie wyglądało tak, jakby Stechlinowa eksperymentowała z czarnym prochem i wyleciała przy tym w powietrze. Gliniana podłoga była zasłana potłuczonymi glinianymi tyglami, na których widniały alchemiczne znaki, mówiące o ich wcześniejszej zawartości. W powietrzu unosił się intensywny zapach mięty pieprzowej i piołunu.

Stół, krzesło i łóżko były strzaskane, a ich kawałki leżały porozrzucane po izbie. Kociołek z zimną kaszą owsianą potoczył się w kąt, a jego zawartość tworzyła małe jezioro, z którego odciski stóp prowadziły do tylnych drzwi ogrodowych. Zamazane ludzkie ślady widoczne były także w pastach ziołowych i proszkach na podłodze. Można by przypuszczać, że połowa mieszkańców Schongau złożyła wizytę Stechlinowej. Kuisl policzył, że wraz z Grimmerem do domu akuszerki wdarł się pewnie z tuzin mężczyzn.

Kiedy kat dokładniej przyjrzał się śladom stóp, wpadł w zdumienie. Między dużymi odciskami widoczne były także mniejsze. Wprawdzie zamazane, ale mimo to wyraźne. Ślady dziecka.

Rozejrzał się po pomieszczeniu. Kociołek. Połamany stół. Ślady. Stłuczony tygiel. Gdzieś w głowie zapaliło mu się czerwone światełko, ale nie potrafił powiedzieć, dlaczego. Coś... coś mu to przypominało.

Kat gryzł swoją zimną fajkę. Zatopiony w rozmyślaniach wyszedł na zewnątrz.

Simon Fronwieser siedział na dole w izbie obok ognia i patrzył na gotującą się kawę. Z zamkniętymi oczami wciągał nosem egzotyczny i stymulujący zapach. Simon uwielbiał aromat i smak tego osobliwego proszku. Był od niego niemalże uzależniony. Dopiero rok temu pewien augsburski handlarz przywiózł do Schongau woreczek małych, twardych ziaren, zachwalając je jako cudowny środek sprowadzony ze Wschodu. Podobno dzięki niemu Turcy wprowadzali się w stan szału zabijania. Miał również posiadać legendarne działanie w alkwie. Simon nie był pewien, czy w tych plotkach tkwi choć ziarno prawdy. Wiedział tylko, że uwielbia kawę, a po jej wypiciu może jeszcze godzinami ślęczeć nad książkami, nie odczuwając przy tym zmęczenia.

W kociołku bulgotała brunatna woda. Simon wziął gliniany kubek, by przełać napój. Być może jego działanie sprawi, że okoliczności śmierci chłopaka Grimmera staną się dla niego bardziej zrozumiałe. Odkąd wczoraj wyszedł z domu kata, nie potrafił zapomnieć o tej okropnej historii. Kto mógł zrobić coś takiego? I jeszcze ten znak...

Nagle z hukiem otworzyły się drzwi i do izby wszedł ojciec. Simon z góry wiedział, że nie skończy się to przyjemnie.

— Wczoraj znowu byłeś na dole u kata. Pokazałeś temu konowałowi zwłoki małego Grimmera. Przyznaj się! O wszystkim opowiedział mi Gerber— Hannes. I z Magdaleną też flirtowałeś!

Simon zamknął oczy. Rzeczywiście, wczoraj spotkał się z Magdaleną w dole nad rzeką. Poszli na spacer. Zachował się jak idiota, bo nie potrafił spojrzeć jej w oczy i ciągle tylko wrzucał do Lecha kamyki. Poza tym opowiedział jej o wszystkim, co chodziło mu po głowie od czasu śmierci małego Grimmera. Ze nie wierzy w winę Stechlinowej, że obawia się nowego procesu czarownic, takiego, jaki miał miejsce przed siedemdziesięcioma laty...

Mówił nieskładnie, jak sześciolatek, a przy tym chciał jej właściwie tylko powiedzieć, że ją lubi. Ktoś musiał ich obserwować. W tym przeklętym mieście człowiek nigdy nie jest sam.

—Możliwe. Co cię to obchodzi? — Simon nalał sobie kawy, unikając przy tym ojcowskiego wzroku.

—Co mnie to obchodzi? Zwariowałaś! — Bonifaz Fronwieser był mężczyzną mizernej postury, tak jak jego syn, i jak wielu niskich męczyzn potrafił okropnie się wściekać. Oczy wyszły mu na wierzch, a końce siwej już hiszpańskiej bródki zaczęły drżeć.

— Wciąż jeszcze jestem twoim ojcem! — krzyknął. — Nie widzisz, co wyprawiasz? Potrzebowałem wielu lat, żeby nas tu ustawić. Masz to na wyciągnięcie ręki! Mógłbyś zostać pierwszym prawdziwym karzem w tym mieście! A ty niszczysz wszystko, spotykając się z tą katowską kokietką i ciągle odwiedzając jej ojca! Ludzie gadają, nie widzisz tego?

Simon spojrział w sufit, znosząc tę litanię bez słowa protestu. Znał ją już na pamięć. Jego ojciec jako drobny chirurg polowy przetrwał wojnę, na której poznał także matkę Simona, prostą markietankę. Gdy kobieta zmarła na dżumę, Simon miał siedem lat. Kilka lat później przyłączyli się do żołnierzy, wrzucym olejem wypalali rany postrzałowe i amputowali nogi piłą do kości. Po zakończeniu wojny wędrowali po świecie w poszukiwaniu schronienia. W końcu przyjęto ich w Schongau. W ostatnich latach dzięki pilności, ambicji i ciężkiej pracy jego ojciec awansował na cyrulika, a ostatecznie został pewnego rodzaju miasteczkowym lekarzem. Jednak brakowało mu studiów, toteż rada miejska ledwo go tolerowała, głównie dlatego, że miejscowy cyrulik do niczego się nie nadawał, zaś lekarze z odległego Monachium lub Augsburga byli zbyt drodzy.

Bonifaz Fronwieser wysłał swego syna na studia do Ingolstadt, jednak pieniądze się skończyły i Simon musiał wrócić z powrotem do Schongau. Od tego

czasu ojciec oszczędzał każdego feniga i podejrzliwie przyglądał się swojemu potomkowi, którego uważał za fireyka i lekkoducha.

— ...podczas gdy inni zadurzają się w odpowiednich dziewczynach. Na przykład Józef robi awanse córce Holzhofera. To jest partia! Ten kiedyś do czegoś dojdzie! Ale ty!... — ojciec zawiesił głos.

Simon nie słuchał już od dłuższego czasu. Siorbał kawę i myślał o Magdalenie. Wczoraj jej czarne oczy wciąż zdawały się uśmiechać, a wydatne usta były wilgotne od czerwonego wina, które wzięli ze sobą nad rzekę w skórzanej flaszy. Kilka kropli spadło jej na gorset, a on podał jej swoją chustkę.

— Spójrz na mnie, gdy do ciebie mówię! — grzbietem dłoni ojciec wymierzył mu głośny policzek, przez co kawa bryzgnęła szerokim łukiem przez pokój. Gliniany kubek z hukiem upadł na podłogę rozbił się. Simon dotknął swojej twarzy. Wąły ojciec stał przed nim, drżąc z gniewu, plamy po kawie zdobiły mu i bez tego brudny kaftan. Wiedział, że posunął się za daleko. Syn nie miał już dwunastu lat, z drugiej strony to był przecież jego chłopak. Razem przeżyli tak wiele, chciał tylko jego dobra...

— Idę teraz do kata — szepnął Simon. — Jeśli chcesz mnie zatrzymać, możesz mi wbić w brzuch swój skalpel.

Później zgarnął ze stołu kilka książek i zamknął za sobą drzwi.

— Tak, leć do Kuisla! — krzyknął za nim ojciec. — Zobaczysz, co będziesz z tego miał!

Bonifaz Fronwieser schylił się i podniósł skorupy kubka. Z głośnym przekleństwem wyrzucił je przez otwarte okno na ulicę, w stronę oddalającego się syna.

Zaślepiiony gniewem Simon biegł wąskimi uliczkami. Jego ojciec był taki... taki... uparty! Nawet potrafił starego zrozumieć, w końcu chodziło o przyszłość jego syna, o studia, dobrą żonę, dzieci. Jednak już sam uniwersytet nie był dla Simona właściwym wyborem. Zdobyta na studiach wiedza była mocno przestarzała, częściowo jeszcze opierała się na greckich i rzymskich uczonych. Jego ojciec właściwie nigdy nie próbował nawet zdobyć się jako lekarz na coś więcej niż przeczyszczanie, bandażowanie i upust krwi. Natomiast w domu kata czuło się świeży powiew. Jakub Kuisl posiadał *Opus Paramirum* Paracelsusa, a także *Paragranum* — bibliofilskie kosztowności, które Simon mógł od czasu do czasu wypożyczyć.

Gdy skręcił w Lechtorstrasse, zderzył się ze stojącą w ciasnym kręgu dzieciami. Z wnętrza gromady rozległ się głośny wrzask. Simon stanął na palcach i dostrzegł wysokiego, dobrze zbudowanego chłopca, który siedział okrakiem na jakiejś dziewczynie. Kolanami mocno przyciskał ją do ziemi, zaś prawą pięścią wciąż atakował swoją ofiarę. Z kącika ust dziewczyny płynęła krew, a jej prawe oko było już opuchnięte. Grupa dzieci i nastolatków na każdy cios odpowiadała okrzykami zachęty. Simon odsunął na bok wrzeszczącą zgraję, chwycił chłopaka za włosy i ściągnął go z małej.

—Tchórzliwa hołota! —krzyknął. —Atakować dziewczynę! Precz!

Tłumek niechętnie odsunął się o kilka kroków. Leżąca na ziemi dziewczyna usiadła i odsunęła z twarzy sklezione gnojem włosy. Jej oczy spoglądały wyczekująco, jakby szukała między dziećmi luki, przez którą mogłaby czmychnąć.

Przed Simonem stanął wysoki chłopak. Miał około piętnastu lat i przewyższał medyka o pół głowy. Simon rozpoznał w nim Hannesa, syna Berchtholdta, piekarza z Weinstrasse.

— Nie wtrącajcie się, medyku — zagroził. — To nasza sprawa.

—Jeśli wybijacie zęby małej dziewczynce, to jest to też moja sprawa — odparł Simon. — W końcu jestem, jak sam powiadasz, medykiem, i muszę oszacować, ile będzie cię kosztować ta zabawa.

—Ile będzie mnie kosztować? — Hannes zmarszczył czoło. Nie był bowiem najbystrzejszy.

—Cóż, jeśli wyrządzisz dziewczynie szkodę, to musisz też za nią zapłacić. A świadków mamy wystarczająco wielu, prawda?

Spojrzenie Hannesa poszybowało niepewnie w stronę kumpli.

Kilku z nich wzięło już nogi za pas.

— Sophie jest czarownicą! — wtrącił się teraz inny chłopak. — Ma rude włosy, a poza tym zawsze bywała u Stechlinowej, tak samo jak Peter, a on teraz nie żyje!

Inni przytaknęli, mrużąc.

Simon drgnął w duchu. Zaczęło się. Już teraz. Wkrótce Schongau będzie składać się z czarownic oraz z tych, którzy wytykają je palcami.

— Bzdura! — krzyknął. — Gdyby była czarownicą, pozwoliłaby wam się zbić? Przecież uciekłyby już dawno na miotle. A teraz zabierajcie się stąd!

Banda niechętnie wycofała się, rzucając Simonowi groźne spojrzenia. Gdy chłopcy oddalili się o rzut kamieniem, usłyszał, jak krzyczą:

— On chodzi z córką kata do łóżka!

— Miejmy nadzieję, że założy mu stryczek na szyję!

— Tego to trudno by było skrócić o głowę, bo i tak jest już krótki!

Simon westchnął. Jego subtelny związek z Magdaleną nie stanowił już żadnej tajemnicy. Ojciec miał rację. Ludzie gadali.

Pochylił się nad dziewczyną, by pomóc jej wstać.

— Prawda to, że bywałaś z Peterem u Stechlinowej? — zapytał.

Sophie starła krew z ust. Jej długie, rude włosy lepiły się od kurzu. Simon oceniał ją na około dwanaście lat. Spod warstwy brudu spoglądała na niego by-



stra twarz. Medyk przypomniał sobie, że dziewczyna pochodziła z rodziny garbarzy, mieszkających w dzielnicy położonej nad Lechem. Po śmierci rodziców podczas ostatniej epidemii dżumy na wychowanie wzięła ją inna rodzina garbarzy.

Sophie milczała. Simon mocno chwycił ją za ramię.

— Chcę wiedzieć, czy byłeś razem z Peterem u Stechlinowej. To jest ważne!—powtórzył.

—Być może —wymamrotała.

—Widziałaś jeszcze wieczorem Petera?

— To nie wina Stechlinowej, przysięgam na Boga.

—A czyja?

—Później Peter poszedł jeszcze w dół nad rzekę... Sam.

—Dlaczego?

Sophie zacisnęła wargi, unikając jego wzroku.

—Dlaczego? Chcę wiedzieć!

— Powiedział, że to tajemnica. On... chciał się jeszcze z kimś spotkać.

— Na Boga, z kim?

— Nie powiedział.

Simon potrząsnął Sophie. Czuł, że coś przed nim ukrywa. Nagle dziewczyna wyrwała się i uciekła w najbliższą uliczkę.

— Czekaj!

Simon pobiegł za nią. Sophie nie miała butów, ale jej małe stopy mknęły szybko po udeptanej, gliniastej ziemi. Już dotarła do Zankgasse i zmieszała się z grupką służących, wracających z rynku z napelnionymi koszykami. Przebiegając obok nich, Simon zaczepił o jeden z koszy, który wyslizgnął się służącej z rąk. Rzodkiew, główki kapusty i marchewki potoczyły się po ulicy. Medyk usłyszał za plecami wściekłe krzyki, jednak nie mógł się zatrzymać, gdyż właśnie tracił dziewczynę z pola widzenia. Sophie była szybka i już zniknęła za najbliższym

zakretem. Tymczasem na mijanych ulicach było coraz mniej ludzi. Ścigając dziewczynę, Simon przytrzymał kapelusz jedną ręką. Z lewej strony wznosiły się tu dwa domy z przylegającymi do siebie dachami, zaś między nimi przebiegała uliczka, wąska ledwie na szerokość barków, która prowadziła w kierunku murów miasta. Na ziemi leżały gruzy i rupiecie. Na drugim końcu uliczki Simon dostrzegł uciekającą, niską postać. Klnąc, medyk pożegnał się ze swoimi natłuszczonymi łożem wołowym skórzanymi butami i przeskoczył przez pierwszą kupę gruzu.

Niestety, wylądował dokładnie na stosie śmieci, poślizgnął się i wpadł prosto w stertę potłuczonych cegieł, zgniłych warzyw i skorup jakiegoś nocnika. W oddali rozbrzmiewały kroki. Simon z jękiem wyprostował się, tymczasem trochę dalej, na piętrze otworzyły się pierwsze okiennice. Zdumione twarze spojrzały na dość sfatygowanego medyka, który mozolnie obierał swój płaszcz z liści sałaty.

— Zajmijcie się swoimi sprawami! — krzyknął do góry, po czym pokuśtykał w kierunku bramy prowadzącej z miasta nad rzekę.

Kat spoglądał przez szkło na kupkę żółtych gwiazdek, które połyskiwały w świetle łożowej świecy. Przypominały kryształki śniegu, a każda sama w sobie była doskonała pod względem kształtu i linii. Jakub Kuisl uśmiechnął się. Gdy zgłębiał tajemnice przyrody, nabierał pewności, że musi istnieć Bóg. Bo któż inny mógłby stworzyć tak piękne dzieła sztuki? Człowiek ze swoimi odkryciami tylko naśladował Stwórcę. Oczywiście za sprawą tego samego Boga ludzie umierali jak muchy, zabierani przez dżumę i wojnę. Trudno było w takich czasach wierzyć w Boga, jednak Jakub Kuisl odkrywał Go w pięknie przyrody.

Właśnie ostrożnie rozdzielał pęsetą kryształki na pergaminie, który służył za podkładkę, gdy nagle ktoś zapukał do drzwi. Zanim zdążył odpowiedzieć, drzwi

do jego pracowni lekko się uchyliły. Do środka dostał się przeciąg, zdmuchując pergamin na krawędź stołu. Część kryształków znikła w szparze stołu.

— Kto u diabła...?

— To Simon — uspokoiła go żona, która otworzyła drzwi. — Chce oddać ci książki i porozmawiać. Mówi, że to pilne. I nie klnij tak głośno, bo dzieci już śpią.

— Niech wejdzie — burknął Kuisl.

Gdy odwrócił się, ujrzał przerażoną twarz Simona Fronwiesera.

Kat dopiero teraz sobie przypomniał, że ma jeszcze w oku monokl. Syn lekarza patrzył prosto w źrenicę wielkości dukata.

— To tylko zabawka — bąknął Kuisl, wyjmując oprawioną w mosiądz soczewkę. — Ale czasami dość pożyteczna.

— Skąd to macie? — zapytał Simon. — To musi być warte majątek!

— Powiedzmy, że wyświadczyłem przysługę pewnemu rajcy, a on opłacił mnie w naturze — Jakub Kuisl pociągnął nosem. — Śmierdzisz.

— Miałem... miałem wypadek. W drodze do was.

Kat machnął ręką, później podał Simonowi soczewkę i wskazał na żółtą kupkę na pergaminie.

— Obejrzyj to sobie. Jak myślisz, co to jest? Simon pochylił się z monoklem nad ziarenkami.

— To... to jest fascynujące! Jeszcze nigdy nie miałem w rękach takiej doskonałej soczewki...

— Chcę wiedzieć, czym są te ziarenka.

— Cóż, sądząc po zapachu, powiedziałbym, że to siarka.

— Znalazłem to w kieszeni małego Grimmera. To i kupę gliny. Simon gwałtownie wyjął monokl z oka i spojrzał na kata.

— U Petera? Ale jak siarka dostała się do jego kieszeni?

— Też chciałbym to wiedzieć.

Jakub Kuisl sięgnął po swoją fajkę i zaczął ją nabijać. Tymczasem Simon chodził po małej izbie tam i z powrotem, opowiadając o swoim spotkaniu z osieroconą dziewczyną. Kuisl od czasu do czasu mrucał, poza tym był całkowicie pochłonięty nabijaniem i zapalaniem fajki. Gdy Simon skończył swoją opowieść, kata spowijały opary tytoniu.

— Odwiedziłem Stechlinową — powiedział w końcu. — Dzieci rzeczywiście u niej bywały. Poza tym brakuje alrauny.

— Alrauny?

— To czarodziejskie ziele.

Jakub Kuisl zrelacjonował w kilku słowach swoje spotkanie z akuszerką oraz chaos panujący w jej domu. Wciąż robił przy tym długie przerwy, podczas których zaciągał się fajką. Tymczasem Simon usiadł na drewnianym stołku, niespokojnie bujając się tam i z powrotem.

— Nie rozumiem tego wszystkiego — powiedział w końcu. — Mamy martwego chłopaka ze znakiem czarownic na plecach i siarką w kieszeni. Jako główną podejrzaną mamy akuszerkę, której ktoś ukradł alraunę. I mamy bandę osierconych dzieciaków, które wiedzą więcej niż, chcą powiedzieć. Przecież to nie ma żadnego sensu!

— Przede wszystkim mamy bardzo mało czasu — mruknął kat. — Już za kilka dni do miasta przyjedzie przedstawiciel księcia elektora. Do tej pory muszę zrobić ze Stechlinowej winną, w przeciwnym razie rada przyprze mnie do muru.

— A gdybyście po prostu odmówili? — zapytał Simon. — Nikt nie może od was wymagać...

Kuisl potrząsnął głową.

— Wtedy przyślą innego kata, a ja będę mógł szukać sobie nowej roboty. Nie, tak musi być. Musimy znaleźć prawdziwego mordercę i to szybko.

— My?

Kat kiwnął głową.

— Potrzebuję twojej pomocy. Ze mną nikt nie lubi gadać. Wielmożni panowie kręcą z daleka nosem, gdy tylko mnie zobaczą. Chociaż... — dodał z uśmiechem — teraz i przy tobie kręciliby nosem.

Simon spojrzał na swój brudny, cuchnący kaftan. Wciąż jeszcze zdobyły go brązowe plamy, rozdarcie nad lewą nogawką sięgało do wysokości kolan. Zwiędły listek sałaty zwisał mu z kapelusza. Nie wspominając już o zaschłych plamach krwi na marynarce... Potrzebował nowego odzienia, ale nie miał pojęcia, skąd wziąć na to pieniądze. Może w przypadku schwywania mordercy rada dałaby mu kilka guldenów.

Simon rozmyślał nad propozycją kata. Cóż więcej miał do stracenia? Na pewno nie reputację, bo ta już była zszargana. A gdyby w przyszłości chciał spotykać się z Magdaleną, zdobycie przychylności jej ojca niesłoby ze sobą same korzyści. Poza tym chodziło jeszcze o książki. Właśnie teraz na stole obok monokla leżało podniszczone dzieło jezuita Athanasiusa Kirchnera, który pisał o maleńkich robakach wę krwi. Mnich pracował z tak zwanym mikroskopem, który potrafił powiększać wielokrotnie mocniej, niż to przypuszczalnie czynił monokl Kuisla.

Perspektywa

czytania

tej książki w samotności w łóżku przy filiżance gorącej kawy... Simon skinął głową.

— Dobrze, możecie na mnie liczyć. Zresztą ta książka na...

Syn lekarza nie zdążył wypowiedzieć swego życzenia, bowiem w tym momencie otworzyły się drzwi i do pomieszczenia wszedł ceklarz Andreas, kuśtykając i z trudem łapiąc oddech.

— Wybaczcie, że przeszkadzam o tak późnej porze — wysapał. — Ale sprawa jest pilna. Powiedziano mi, że znajdzie tu syna Fronwiesera. Wasz ojciec potrzebuje pomocy!

Andreas był blady jak ściana. Wyglądał, jakby osobiście widział się z diabłem.

—Cóż, na Boga, jest teraz takie pilne? — zapytał Simon, zasta—nawiając się w duchu, kto widział go, gdy wchodził do domu kata. Zdawało się, że w tym mieście nie sposób było uczynić kroku, żeby nie być przy tym obserwowanym.

—Syn kramarza Kratza umiera! — wydusił z siebie ostatkiem sił woźny sądowy Andreas.

Jego dłoń wciąż sięgała do małego, drewnianego krzyżyka na szyi.

Jakub Kuisl, który do tej pory przysłuchiwał się w milczeniu, stracił cierpliwość i uderzył ręką w rozklekotany drewniany stół, tak iż monokl i mistrzowskie dzieło Athanasiusa podskoczyły lekko do góry.

—Wypadek? Mówże w końcu!

— Wszystko jest we krwi! O Boże, pomóż nam, on ma ten znak! Dokładnie taki jak u Grimmera...

Simon poderwał się ze stołka. Poczul, jak ogarnia go strach.

Kuisl przenikliwie popatrzył na syna lekarza spomiędzy kłębów tytoniu.

— Spokojnie tam idź. Ja zajrzę do Stechlinowej. Nie wiem, czy rzeczywiście jest bezpieczna w więzieniu.

Simon założył kapelusz i wybiegł na ulicę. Kątem oka zdołał dostrzec jeszcze Magdalenę, która zaspana machała do niego z okna dachowego. Czuł, że w najbliższych dniach nie będą mieć dla siebie zbyt wiele czasu.

Mężczyzna stał przy oknie, a jego głowę dzieliła od ciężkiego, czerwonego sukna zasłony jedynie szerokość dłoni. Na zewnątrz zapadał zmierzch, co zresztą w tym miejscu nie miało większego znaczenia. W pokoju zawsze panował półmrok, przytłumione, szare światło, które nawet za dnia dusiło wpadające tu słoneczne promienie. Oczyma wyobraźni mężczyzna widział świecące nad miastem

słońce. Będzie ono wciąż wschodzić i zachodzić i nikt go nie zatrzyma. Mężczyzna również nie pozwoli się zatrzymać, co najwyżej będzie musiał nieco zwolnić. Tak jak teraz, gdy dochodzi do opóźnień, które go bardzo irytują... Szybko odwrócił się.

— Ależ z ciebie niedojda! Do niczego się nie nadajesz! Czemu nie potrafisz choć raz porządnie doprowadzić jakiejś sprawy do końca?!

— Doprowadzę to do końca.

W półmroku widoczna była druga postać, która siedziała przy stole i dłubała nożem w pasztecie, jak w brzuchu zarżniętej świni.

Mężczyzna stojący przy oknie jeszcze szczerzej zasunął zasłony. Jego palce uczepliły się tkaniny. Ogarnęła go fala smutku. Nie miał już wiele czasu.

— Ta afera z dziećmi była potrzebna jak dziura w moście! Teraz dopiero zacznie się gadanie.

— Nikt nie będzie gadał, możesz na mnie polegać.

— Kilku ludzi już coś podejrzewa. Miejmy nadzieję, że akuszerka się przyzna. Kat zaczyna zadawać głupie pytania.

Postać przy stole wróciła do rozkładania pasztetu na papkę z mięsa i okruchy ciasta, machając nerwowo nożem w górę i w dół.

— E tam, kat! Któż wierzy katowi?

— Nie lekceważ Kuisła. Jest szczywany jak lis...

—W takim razie lisek wpadnie w sidła.

Mężczyzna podbiegł spod okna do stołu i raz a dobrze uderzył swego rozmówcę grzbietem dłoni. Ten przez krótką chwilę trzymał się za policzek, patrząc ze strachem w oczy swojego napastnika, który nagle złapał się za podbrzusze i zaczął sapać z bólu.

Grymas lęku na jego twarzy przeszedł w delikatny uśmiezek.

Problem wkrótce sam się rozwiąże.



— A teraz zakończ ten absurd — wymamrotał starszy mężczyzna z twarzą wykrzywioną cierpieniem.

Tępy, kłujący ból pulsował od środka w okolicach jamy brzusznej. Starzec pochylił się nad stołem.

— Trzymaj się od tego z daleka. Teraz sam się tym zajmę.

— Nie mogę.

— Nie możesz?...

— Przekazałem sprawę komuś innemu, a on nie pozwoli wejść sobie w paradę.

— Każ mu przestać. Wystarczy. Stechlinowa przyzna się, a my dostaniemy swoje pieniądze.

Starszy mężczyzna musiał usiąść i zrobić sobie krótką przerwę. Mówienie sprawiało mu trudność. To cholerne ciało! Jeszcze go potrzebował! Już niedługo, tylko do chwili, aż dostaną pieniądze. A wtedy będzie mógł spokojnie umrzeć. Teraz jego dzieło życia było zagrożone, a ten nieudacznik wszystko partaczył. Trzyma rękę na pulsie, dopóki jeszcze sam może oddychać. Nie potrwa to długo...

— Pasztet jest wyśmienity. Chcesz skosztować?

Drugi mężczyzna nadział na nóż rozkrojone na stole kawałki mięsa i zaczął je zjadać ze smakiem.

Ostatkiem sił starzec potrząsnął głową. Jego rozmówca uśmiechnął się.

— Zachowaj spokój. Wszystko będzie dobrze.

Wytarł z brody ciekący z mięsa sok, wziął do ręki szpadę i tanecznym krokiem udał się do wyjścia.

Nie czekając na ceklarza, Simon popędził do domu Kratza. Był on położony w wąskiej bocznej uliczce w dzielnicy nieopodal bramy prowadzącej z miasta nad Lech. Klemens i Agata Kratz uchodzili za pracowitych kramarzy, którzy przez lata dorobili się skromnego majątku. Mieli pięcioro dzieci, uczęszczających do łacińskiej szkoły w miasteczku. Wśród nich był podopieczny Anton, którego miasto przydzieliło im po śmierci jego rodziców. Jednak Kratzowie nie wyróżniali swoich pociech i wszystkie dzieci traktowali jednakowo.

Ojciec Klemens Kratz siedział zgarbiony przy ladzie. Prawą ręką m notonnie gładził ramię swojej żony, która tuliła się do niego, szlochając. Przed nimi na ladzie leżały zwłoki chłopca. Simon nie musiał długo się przyglądać, by stwierdzić przyczynę śmierci. Bezbłędnym cięciem ktoś poderznął małemu Antonowi gardło. Zaschnięta krew zabarwiła na czerwono lnianą koszulę. Nieruchomy wzrok dziesięcioletniego chłopaka utkwiony był w suficie.

Gdy znaleziono go godzinę wcześniej, jeszcze charczał, jednak życie uszło z małego ciała w przeciągu kilku minut. Miejscowy medyk Bonifaz Fronwieser mógł tylko stwierdzić zgon. Kiedy na miejsce dotarł Simon, było już po wszystkim. Jego ojciec zmierzył go tylko wzrokiem od stóp do głów, spakował swoje instrumenty i odszedł bez pożegnania, składając wcześniej Kratzom kondolencje.

Po wyjściu Bonifaza Fronwiesera Simon przez kilka minut w milczeniu siedział przy głowie zabitego chłopca, obserwując jego blade oblicze. Drugie martwe dziecko w przeciągu raptem dwóch dni... Czy chłopiec znał swojego mordercę?

W końcu medyk zwrócił się do Kratza — ojca.

— Gdzie go znaleźliście? — zapytał.

Nie usłyszał odpowiedzi. Kratzowie byli uwięzieni w świecie smutku i bólu, do którego ludzkie głosy docierały z wielkim trudem.

—Wybaczcie, ale... gdzie go znaleźliście? — powtórzył Simon. Dopiero teraz Klemens Kratz podniósł wzrok. Jego głos był ochrypyły od wielkiego płaczu.

— Na zewnątrz, na progu. Chciał jeszcze szybko pójść do swoich przyjaciół. Gdy nie wracał, otworzyliśmy drzwi, żeby iść go szukać. A on tam leżał. W swojej krwi...

Matka Kratz zaczęła znów cicho płakać. Z tyłu, w kącie na drewnianej ławce siedziała pozostała czwórka pociech Kratzów z rozszerzonymi ze strachu oczami. Najmłodsza córka przyciskała do piersi lalkę uszytą z poplamionych resztek materiału.

Simon zwrócił się do dzieci.

— Wiecie, dokąd chciał jeszcze pójść wasz brat?

— To nie jest nasz brat — głos starszego syna Kratza mimo strachu brzmiał zdecydowanie i przekornie. — Tylko podopieczny.

Zapewne dawaliście mu to często odczuć, pomyślał Simon, po czym westchnął.

— A więc zapytam jeszcze raz: czy wiecie, dokąd chciał pójść Anton?

— Po prostu do innych — chłopiec patrzył mu bezczelnie w twarz.

— Jakich innych?

— No, innych podopiecznych. Oni przecież zawsze spotykali się na dole, przy bramie prowadzącej z miasta nad Lech. Tam chciał pójść. Widziałem z nim jeszcze rudą Sophie, kiedy zegar wybijał czwartą. Zgrywali waśniaków. Szeptali coś między sobą, durnie.

Simonowi przyszła na myśl mała dziewczynka, którą jeszcze przed kilkoma godzinami uratował przed laniem. Rude włosy, bezczelny wzrok. Zdawało się, że w wieku dwunastu lat Sophie narobiła już sobie mnóstwo wrogów.

— To prawda — wtrącił się teraz ojciec. — One rzeczywiście często się spotykały, u Stechlinowej. Sophie i akuszerka to jedno i to samo diabelskie nasienie. Obie mają go na sumieniu! Narysowały mu to diabelskie znamię, na pewno tak było!

Matka Kratz znów zaczęła płakać, tak iż mąż musiał się nią zająć.

Simon podszedł do zwłok i odwrócił je na brzuch. Na prawej łopatce rzeczywiście znajdował się ten sam symbol, który widział u chłopaka Grimmera. Jednak nie był on już tak wyraźny. Ktoś próbował go zmyć, ale farba zbyt głęboko wniknęła w skórę, pozostawiając na plecach dziecka niezatarty ślad.

Simon usłyszał, jak z tyłu zbliża się Klemens Kratz. Ogarnięty wściekłością ojciec spoglądał na znak.

— To mu zrobiła Stechlinową. I Sophie — syknął. — Na pewno. Muszą spłonąć, obydwie!

Medyk próbował go uspokoić.

— Stechlinowa siedzi w lochu, to nie mogła być ona. A Sophie jest jeszcze dzieckiem. Naprawdę, uwierzcie mi, że dziecko...

— Diabeł wstąpił w to dziecko! — krzyknęła z tyłu matka Kratz. Jej oczy od płaczu nabiegły krwią, a twarz była blada i opuchnięta.

— W Schongau jest diabeł! I upomni się o kolejne dzieci!

Simon jeszcze raz spojrzął na wyblakłe znamię na plecach chłopca. Bez wątplenia jakiś człowiek bezskutecznie próbował je usunąć.

— Czy ktoś z was próbował to zmyć? — zapytał, rozejrzawszy się dookoła.

Ojciec Kratz przeżegnał się.

— Nie tknęliśmy tego diabelskiego znaku, jak Bóg mi świadkiem!

Pozostali członkowie rodziny również potrząsnęli głowami i wykonali znak krzyża.

Simon westchnął w duchu. Poczul, że argumentami nic tu nie wskóra, zatem pożegnał się i wyszedł w ciemną noc. Za plecami słyszał płacz matki i mamrotane modlitwy starego kramarza.

Nagły gwizd sprawił, że Simon szybko się odwrócił. Jego wzrok prześlizgiwał się po uliczce w poszukiwaniu źródła dźwięku. W rogu przy ścianie domu stała, opierając się, niska postać, która do niego machała.

Była to Sophie.

Simon rozejrzał się, a później wszedł w ciasną uliczkę i pochylił się nad dziewczyną.

— Ostatnim razem mi uciekłaś — wyszeptał.

— I teraz też ci ucieknę — odparła Sophie. — Ale najpierw mnie posłuchaj. Pewien mężczyzna pytał o Antona na krótko przed tym, jak ten został zarżnięty.

— Pewien mężczyzna? Ale skąd wiesz...?

Sophie wzruszyła ramionami. Na jej twarzy pojawił się delikatny uśmiech. Simon przez krótką chwilę zastanawiał się, jak będzie wyglądała za pięć lat.

— My sieroty mamy oczy dookoła głowy. To oszczędza nam ciosów.

— A jak on wyglądał, ten mężczyzna?

— Wysoki, w płaszczu i kapeluszu z szerokim rondem. Przy kapeluszu było pióro. A przez twarz przebiegała długa blizna.

— To wszystko?

— Miał rękę jak kościotrup.

— Nie opowiadaj mi bajek!

— Na dole przy rzece pytał kilku flisaków o dom Kratzów. Schowałam się za pniami drzew. Lewą rękę ciągle trzymał pod płaszczem. Ale raz mu się wysunęła i błyszczała na biało w słońcu jak ręka kościotrupa.

Simon jeszcze bardziej się pochylił i objął ramieniem dziewczynę.

— Sophie, nie wierzę ci. Najlepiej będzie, jeśli teraz pójdziesz ze mną...

Sophie wyrwała się. W oczach stanęły jej łzy wściekłości.

— Nikt mi nie wierzy, ale to jest prawda! Antona zamordował mężczyzna z ręką kościotrupa! Anton chciał się z nami spotkać na dole przy bramie prowadzącej nad Lech, a teraz nie żyje... — głos dziewczyny przeszedł w kwilenie.

— Sophie, możemy o wszystkim...

Dziewczyna zrobiła obrót, wymknęła się z objęć Simona i popędziła wzdłuż uliczki. Już po kilku minutach zniknęła w ciemnościach. Gdy Simon już— już

zamierzał puścić się za nią w pogoń, poczuł, że przy pasku brakuje mu woreczka z monetami, za które chciał sobie kupić nowy przyodziewek.

— Psiakrew!

Spojrzał na kupę śmieci i fekaliiów leżących na uliczce, po czym postanowił, że tym razem zrezygnuje z pogoni. Zamiast tego udał się do domu, by wreszcie porządnie się wyspać.

TLR



**Czwartek,**

**26 kwietnia Roku Pańskiego 1659,**

godzina 7 rano

Pograżona w myślach Magdalena szła błotnistą ulicą przez most nad Lechem, w kierunku Peiting. W worku, który niosła na ramieniu, oprócz kilku ususzonych ziół znajdował się zmielony wczoraj „proszek panienki”. Kilka dni temu obiecała go Daubenbergerowej, która miała ponad siedemdziesiąt lat i nie była już dobrym piechurem. Mimo to w Peiting i okolicy wciąż jeszcze działała jako wiejska akuszerka, którą wzywano do domu w razie trudnego porodu. Katarzyna Daubenberger pomogła przyjść na świat setkom dzieci. Słyszała ze swoich rąk, którymi wyciągała na światło dzienne uparte bachory. Uchodziła za mądrą kobietę, uzdrowicielkę, obserwowaną nieufnie przez księży i lekarzy, jednak przeważnie celną w swych diagnozach i zabiegach. Ojciec Magdaleny często zasięgał u niej rady. Użyczając „proszku panienki”, wyświadczał jej drobną przysługę, bowiem sam też czasem potrzebował od niej tego czy innego zioła.

Gdy Magdalena minęła pierwsze domy w Peiting, zauważyła, że chłopcy odwracają się za nią i coś szepczą. Niektórzy czynili znak krzyża. Jako córka kata budziła grozę w mieszkańcach wioski. Niejeden przypuszczał, że sypiała z Belzebubem. Słyszała również, że jej uroda to nic innego jak wynik transakcji z księciem piekieł we własnej osobie, któremu sprzedała swoją nieśmiertelną du-



szę. Magdalena nie wyprowadzała ludzi z błędu, co przynajmniej chroniło ją przed zbyt nachalnymi amantami.

Nie zważając na chłopów, skręciła w uliczkę w prawo, by wkrótce stanąć przed małym, krzywym domkiem akuszerki.

Natychmiast zauważyła, że coś się nie zgadza. Mimo pięknego poranka okiennice były zamknięte; część ziół i kwiatów w niewielkim ogrodzie przed domem podeptano. Magdalena podeszła do drzwi i nacisnęła klamkę. Zamknięte.

Nabrała pewności, że coś tu jest nie w porządku. Daubenbergerowa uchodziła za osobę wyjątkowo gościnną i jeszcze nigdy Magdalena nie zastała zamkniętych drzwi do jej domu. Wszystkie kobiety w okolicy mogły o każdej porze zwrócić się do starej aku—szerki o pomoc.

Energicznie zapukała do ciężkich, drewnianych drzwi. — Daubenbergerowo, jesteś tam? — zawołała. — Tu Magdalena z Schongau! Przyniosłam ci „proszekpanienki”!

Trochę to potrwało, zanim na górze otworzyło się okno w szczycie dachu. Katarzyna Daubenberger nieufnie spojrzała na nią w dół. Starsza kobieta wyglądała na zatroskaną, na jej twarzy widać było jeszcze więcej zmarszczek niż za zwyczaj. Sprawiała wrażenie bladej i zmęczonej. Gdy rozpoznała Magdalene, zmusiła się do uśmiechu.

— Ach, to ty, Magdaleno! — zawołała. — Świetnie, że przyszedłaś. Jesteś sama?

Dziewczyna skinęła głową. Akuszerka ostrożnie rozejrzała się na wszystkie strony, po czym zniknęła w środku. Nagle na schodach rozległy się kroki i odsunięto rygiel. W końcu otworzyły się drzwi. Daubenbergerowa pospiesznie przywołała ją do środka.

— Co się dzieje? — zapytała Magdalena, wszedłszy do domu. — Otrułaś burmistrza?

—A co ma się dziać, głuptasie! —warknęła akuszerka, podsycając ogień pod kuchnią. —W nocy chłopaki ze wsi zaczęli się na mnie. Chcieli mi podpalić dom. W ostatniej chwili zdążył przyjść gospodarz Michael Köbel i kazał im przestać. W przeciwnym razie byłabym już martwa!

— To z powodu Stechlinowej? — spytała Magdalena, siadając obok kuchni na chwiejącym się krześle. Od maszerowania bolały ją stopy.

Katarzyna Daubenberger skinęła głową.

— Teraz wszystkie akuszerki znowu są czarownicami — mruknęła. — Jest wciąż tak, jak za czasów mojej babki i nic się nie zmienia.

Dosiadła się do Magdaleny i nalała jej do kubka ciemnej, aromatycznej polewki.

— Wypij to — powiedziała. — Woda z miodem, piwem i *aqua ephedra*. .

— *Aqua* co? — zapytała Magdalena.

— Esencja z rośliny *ephedra sinica*. Postawi cię na nogi. Magdalena sączyła gorący wywar, który miał słodki i orzeźwiający smak. Czowała, jak do jej nóg powracają siły.

—Wiesz, co dokładnie wydarzyło się u was wmieście? — zapytała Katarzyna Daubenberger.

Magdalena z grubsza zrelacjonowała akuszerce to, co wiedziała. Przedwczoraj wieczorem Simon opowiedział jej podczas spaceru nad Lechem o martwym chłopcu i znaku czarownic na plecach. Poza tym wczoraj w nocy przez cienką drewnianą ścianę izby udało jej się częściowo podsłuchać rozmowę między medykiem a ojcem.

—A teraz podobno znaleziono kolejnego chłopca z tym znakiem na plecach — skończyła. — Simon w nocy jeszcze tam poszedł. Od tego czasu nie miałam od niego żadnych wieści.

— Wkluty sok z czarnego bzu, powiadasz? — zapytała zamyślona Daubengerowa. — To dziwne. Można by przypuszczać, że diabeł pobrał krew, prawda? Z drugiej strony...

— Co jest? — wtrąciła niecierpliwie Magdalena.

—No cóż, siarka w kieszeni chłopaka, a później jeszcze ten znak...

—To jest naprawdę znak czarownic? — zapytała Magdalena.

— Powiedzmy, że to jest znak mądrych niewiast. Prastary znak. O ile wiem, przedstawia on lusterko bardzo starej, potężnej bogini.

Stara akuszerka podniosła się i podeszła do kuchni, aby dołożyć jeszcze polano do ognia.

— W każdym razie, przysporzy nam to mnóstwo kłopotów. Jeśli tak dalej pójdzie, będę musiała przenieść się do swojej synowej, do Peißenberg, i zaczekać, aż ten rejwach się uspokoi.

Nagle stanęła. Jej spojrzenie zatrzymało się na zniszczonym kalendarzu, który leżał na gzymsie nad kominem.

— Oczywiście — wymamrotała. — Jak mogłam o tym zapomnieć!

— Co ci jest? — zapytała Magdalena, podchodząc do niej.

Akuszerka wzięła do ręki podarte kartki i zaczęła je nerwowo przeglądać.

— Tutaj — powiedziała w końcu, wskazując na pożółkły rysunek przedstawiający przeoryszę, która trzyma w ręku dzban i książkę.

— To święta Walpurga, patronka chorych i kobiet w okresie połogu. W przyszłym tygodniu jest jej święto.

— No i?

Magdalena nie rozumiała, do czego zmierza akuszerka, która bezradnie spoglądała na poplamiony druk. W jednym rogu kartka była lekko przypalona. Kobieta na obrazku miała aureolę, jej wzrok był pokornie spuszczonej w dół.

— Cóż... — zaczęła Daubengerowa — dzień świętej Walpurgi przypada na pierwszego maja. Dlatego poprzedzająca go noc nazywa się nocą Walpurgii...

— Noc czarownic... — wyszeptała Magdalena.

Akuszerka skinęła głową, po czym kontynuowała.

— Jeśli wierzyć chłopom z Peiting, to w tę noc czarownice spotykają się wysoko w lesie przy Hohenfurch i zabiegają o szatana. Możliwe, że odkryty w tym czasie znak to tylko przypadek, w każdym razie jednak jest to dziwne...

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Kompletnie nic. Ale do nocy Walpurgii został jeszcze tydzień. A czy wczoraj w nocy nie znaleźliście znowu martwego chłopca z dokładnie takim samym znakiem?

Pobiegła do sąsiedniej izby. Magdalena poszła za nią; akuszerka w pośpiechu wpychała do worka kilka sukienek i koców.

— Co robisz? — zapytała zdumiona.

— A co mam robić? — wysapała starsza kobieta. — Pakuję się. Pójdę do swojej synowej do Peissenberg. Jeśli to zabijanie będzie trwać nadal, nie chcę być w okolicy. Najpóźniej w noc Walpurgii chłopaki wsadzą mi na dach czerwonego kura. Jeśli naprawdę krąży tutaj czarownica, nie chcę, by mnie za nią uważano. A jeżeli jej nie ma, to na pewno będzie potrzebna winna.

Spojrzała na Magdalene, wzruszając ramionami.

— A teraz uciekaj. Będzie lepiej, gdy znikniesz. Jako córka kata jesteś w ich oczach tak samo niegodziwa jak czarownica.

Nie oglądając się za siebie, Magdalena wybiegła na dwór.

W drodze prowadzącej w dół nad Lech, mijając stodoły i zagrody chłopskie, miała wrażenie, że z każdego okna patrzy za nią nieufna para oczu.

Okolo godziny dziesiątej przed południem Simon siedział przy jednym ze stołów ustawionych na tyłach gospody „Pod Żłotą Gwiazdą” i zatopiony w my-

ślach jadł potrawę z baraniny i marchwi. Właściwie nie był specjalnie głodny, choć od wczorajszego wieczora nic jeszcze nie miał w ustach. Wspomnienie minionej nocy, widok młodego Kratza, płacz rodziców i zdenerwowanie w sąsiedztwie uformowały jego żołądek w małą bryłkę, do której nic nie wchodziło mimo najszczerzych chęci. Tutaj w „Gwieździe” miał przynajmniej spokój i mógł jeszcze raz zastanowić się nad wczorajszymi wydarzeniami.

Medyk wodził oczyma po gospodarstwie. W Schongau znajdował się dobry tuzin karczm, jednak „Gwiazda” uchodziła za najlepszą w okolicy. Dębowe stoły były czyste i gładko wyheblowane, z sufitu zwisały kandelabry ze świeżymi świecami. Liczne służące troszczyły się o dobre samopoczucie niewielu majętnych gości i sownie dolewały im wina ze szklanych karafek.

O tej porze przebywało tu tylko kilku augsburskich woźniców, którzy wczesnym rankiem dostarczyli swój ładunek do budynku Ballenhaus. Z Schongau przewożono go dalej do Steingaden, Füssen, przez Alpy aż do Wenecji.

Woźnice kurzyli fajki i zdążyli już wytrąbić porządną ilość wina. Do Simona dochodził ich głośny śmiech.

Patrząc na nich, medyk przypomniał sobie bójkę, o której opowiedzieli mu flisacy w dole nad Lechem. Józef Grimmer zadarł z kilkoma augsburskimi konkurentami. Czy dlatego jego syn musiał umrzeć? Ale co w takim razie z drugim martwym chłopcem? I jaką rolę w tym wszystkim odgrywał mężczyzna z ręką kościotrupa, o którym opowiedziała mu Sophie?

Simon sączył z dzbana cienkie piwo i rozmyślał. Augsburchycy od dawna planowali nowy szlak handlowy po szwabskiej stronie Lecha, aby obejść schongauski monopol transportowy. Do tej pory książę wciąż krzyżował im plany. Na dłuższą metę obecne wydarzenia bez wątpienia były im na rękę. Gdyby Schongau omijano z uwagi na działalność diabła, coraz więcej handlarzy opowiedziałyby się za wyborem nowej drogi. Do tego dochodził fakt, iż Schongau właśnie

teraz planowało zbudowanie przytułku dla nieuleczalnie chorych. Wielu członków rady uważało, że może on odstraszyć handlarzy.

Czy mężczyzna z ręką kościotrupa został wysłany z Augsburga, by zasiać strach i chaos?

—A to na koszt firmy.

Wyrwany z zamyślenia Simon podniósł wzrok. Przed nim stał burmistrz Karl Semer we własnej osobie, który dopiero co walnął o stół kuflem mocnego piwa, aż bryzgnęła z niego piana. Simon zmierzył karczmarza wzrokiem. Rzadko się bowiem zdarzało, by pierwszy burmistrz Schongau osobiście przychodził do gospody. Medyk nie mógł sobie przypomnieć, by kiedykolwiek został przez niego zaczepiony. Nie licząc razu, gdy syn Semera leżał w łóżku z gorączką. Ale wtedy burmistrz potraktował go z góry, jak przyjezdnego cyrulika, i z odrazą wcisnął mu do ręki kilka halerzy. Teraz z przyjaznym uśmiechem przysiadł się do jego stołu. Machając tłustymi, upierścienionymi palcami, przywołał służącą i kazał jej przynieść jeszcze jedno piwo. Później wznosił toast za Simona.

— Słyszałem o śmierci małego Kratza. Paskudna sprawa. Wygląda na to, że Stechlinowa ma współnika w mieście. Ale wkrótce to ustalimy. Już dziś pokażemy jej narzędzia.

— Skąd jesteście tacy pewni, że to była Stechlinowa? — zapytał Simon, nie odwzajemniając toastu.

Semer pociągnął duży łyk ciemnego piwa, po czym wytarł sobie brodę.

—Mamy świadków, że odprawiała z dziećmi szatańskie rytuały. Poza tym najpóźniej na madejowym łożu wyzna nam swoje grzechy. Jestem o tym przekonany.

—Słyszałem, że w waszej gospodzie doszło do bójki z augsburczykami — zaczął wypytywać Simon. — Stary Grimmer podobno dał się kilku we znaki...

Karl Semer przez chwilę sprawiał wrażenie poirytowanego, jednak zaraz prychnął lekceważąco.

— To nie było nic szczególnego, takie rzeczy się zdarzają. Możesz zapytać Resl. Tego dnia była za szynkwasem.

Ruchem ręki przywołał dziewczynę do stołu. Resl miała około dwudziestu lat. Jej krowie oczy i krzywy nos niezbiecie dowodziły, że Pan Bóg niestety pokąpił jej urody. Dziewczyna stała zawstydzona, z pochyloną głową. Simon wiedział, że wiele razy obserwowała go rozmarzonym wzrokiem. Wśród służących panien niezmiennie uchodził bowiem za jednego z najprzystojniejszych mężczyzn w mieście. Ponadto nie miał jeszcze żony.

Karl Semer zachęcił dziewczynę, by usiadła razem z nimi przy stole.

— Opowiedz, Resl, o co chodziło z tą bójką z augsburczykami przed kilkoma dniami.

Służąca wzruszyła ramionami. Później zdobyła się na lekki uśmiech, spoglądając z boku na Simona.

— Było tu kilku mężczyzn z Augsburga. Za dużo wypili i zdenerwowali się na naszych flisaków, że niedbale przymocowują towary i je uszkadzają. I że w czasie podróży chleją, przez co Grimmerowi zatonał ładunek.

— I co na to powiedział Grimmer? — zapytał Simon.

— Wściekł się i jednemu augsburczykowi dał w pysk. Tłukli się, aż wióry leciały. Parobkowie wywalili wszystkich za drzwi. A potem znowu nastał spokój.



Karl Semer szeroko uśmiechnął się do medyka, po czym wypił kolejny łyk piwa.

—Widzisz? Nic szczególnego.

Nagle Simonowi zaświtał w głowie pewien pomysł.

— Resl, a czy tego dnia widziałas może wysokiego mężczyznę z piórem przy kapeluszu i blizną na twarzy?

Ku jego zdziwieniu służąca natychmiast skinęła głową.

— Był tu taki. Siedział z tyłu w kącie, z dwoma innymi. Posępne typy. Wydaje mi się, że to byli żołnierze. Mieli szable, a przez całą twarz tego wysokiego przebiegała długa blizna. Trochę też kulał. Wyglądał, jakby przysłał go diabeł...

— Brali udział w bójce?

Służąca potrząsnęła głową.

— Nie, tylko się przyglądali. Ale po rozróbie szybko sobie poszli. Oni...

— Resl, starczy tego, teraz możesz już wrócić do pracy — wtrącił się burmistrz.

Gdy służąca odeszła, karczmarz spojrział z gniewem na Simona.

— Co znaczy to przepytywanie? I do czego ma prowadzić? To była Stechlinowa i na tym poprzestańmy. Teraz w mieście potrzebny jest spokój, a przez te swoje pytania tylko bardziej podburzasz ludzi. Trzymaj się od tej sprawy z daleka, Fronwieser, bo wprowadzasz zbędne zamieszanie!

—Ale przecież wcale nie jest pewne...

— Powiedziałem, trzymaj się od tej sprawy z daleka! — Karl Semer dotknął swoim tłustym palcem wskazującym klatki piersiowej Simona. — Ty i kat siejcie tylko zamęt tym waszym wypytywaniem. Dajcie sobie spokój, zrozumiano?

Po tych słowach burmistrz wstał i bez pożegnania udał się do izb znajdujących się na górze. Simon wypił piwo i zwrócił się w stronę drzwi.

Gdy chciał już wyjść z karczmy, nagle ktoś pociągnął go za marynarkę. Była to służąca Resl, która niepewnie obejrzała się za siebie, sprawdzając, czy ktoś jej nie obserwuje.

— Muszę wam powiedzieć coś jeszcze. Ci trzej mężczyźni... — wyszeptała.

— Tak?

— ...oni nie odeszli, tylko poszli na górę. Chyba spotkali się tam z kimś jeszcze.

Simon skinął głową. Kto miał w Schongau coś do omówienia, szedł do „Gwiazdy”. A kto nie chciał być przy tym obserwowany, zamawiał sobie pokój na górnych piętrach. Dzięki bocznym wejściom nie musiał przechodzić w tym celu przez szynk. Z kim ci trzej mężczyźni spotkali się na górze?

— Dzięki, Resl.

— I jest coś jeszcze... — służąca obejrzała się ukradkiem. Jej głos był ledwo słyszalny, a wargi niemal dotykały ucha Simona. — Wierzcie mi albo nie, ale gdy ten wysoki z blizną płacił swój rachunek, zobaczyłam jego lewą rękę. Na Boga, przysięgam wam, to były same kości. W Schongau jest diabeł i ja go widziałam na własne oczy...

Nagle rozległ się krzyk, który sprawił, że służąca drgnęła. Wzywano ją do szynku. Odwróciła się zatem, posyłając młodemu medykowi ostatnie tęskne spojrzenie.

Gdy dziewczyna zniknęła, Simon spojrzał do góry na wspaniałą fasadę gospody z jej szklonymi oknami i sztukateriami. Z kim spotkali się tu mężczyźni?

Mimowolnie zadrżał. Wyglądało na to, że opis Sophie był jednak prawdziwy. Być może do Schongau rzeczywiście przybył diabeł.

— Już nadszedł czas, Marto. Musisz wstać.

Kat wszedł dyskretnie do małej celi i pociągnął akuszerkę za płaszcz, którym nakryła się jak kocem. Marta Stechlin miała zamknięte oczy i spokojnie oddychała. Na jej ustach błąkał się uśmiech. Zdawała się przebywać w świecie, gdzie nie istniał strach ani cierpienie. Jakubowi Kuisłowi ciężko było przywracać ją do rzeczywistości, którą wkrótce po brzegi wypełni niezmierny ból. Będzie musiała być naprawdę silna.

— Marto, zaraz przyjdzie tu rada!

Tym razem potrząsnął nią. Akuszerka otworzyła oczy i przez chwilę oszłomiona spoglądała wokół. Później wróciła jej pamięć. Odsunęła z twarzy skołunione od kurzu i brudu włosy i rozejrzała się jak zaszczute zwierzę.

— Mój Boże, zatem teraz się zacnie... — zaczęła płakać.

— Nie musisz się bać, Marto. Dziś pokażę ci tylko narzędzia. Musisz to wytrzymać. Znajdziemy mordercę, a potem...

Przerwało mu głucho skrzypnięcie. Promienie późnego popołudniowego słońca wpadły przez otwierające się drzwi do wnętrza więzienia. Byli to czterej ceklarze, którzy ustawili się przy ścianach. Za nimi szli wysłannicy rady oraz pisarz sądowy, Johann Lechner.

Na widok trzech rajców Kuisl zdumiał się. Na dzisiaj przewidziano wszak tylko pokazanie narzędzi. Do późniejszych tortur konieczne było pozwolenie z Monachium i obecność książecego administratora. Czyżby pisarz sądowy odważył się zacząć przesłuchanie z torturami na własną rękę?

Zdawało się, że Johann Lechner zauważył wahanie kata, bowiem skinął na niego zachęcająco.

—Wszystko jest w jak najlepszym porządku—powiedział.—Trzej rajcy wystąpią jako świadkowie. Im szybciej załatwimy tę sprawę, tym szybciej w mieście zapanuje znów spokój. Jego ekscelencjagraf Sandizell będzie nam za to wdzięczny.

— Ale... — zaczął Jakub Kuisl. Wzrok pisarza mówił mu jednak, że sprzeciw nie ma sensu. Co robić? Jeśli nie zdarzy się nic nie—przewidzianego, będzie musiał torturować Stechlinową jeszcze dziś. Chyba, że...

Chyba, że świadkowie wydaliby inną opinię. Kuisl z doświadczenia wiedział, że podczas przesłuchania zdenerwowani rajcy często nie omieszkiwali interweniować. Ewentualnie przerywali przesłuchanie przed czasem, gdy mieli wrażenie, że tortury nie przyniosą oczekiwanego efektu.

Kuisl rzucił okiem na trzech rajców. Piekarz Michael Berchtholdt i młody Schreevogel byli mu znani, ale ten trzeci...

Pisarz Johann Lechner podążał za wzrokiem kata.

— Trzeci świadek, członek rady Matthias Augustin, jest chory — rzekł mimochodem. — Przysłał swojego syna, Georga.

Kuisl skinął głową, dokładnie lustrując trzech świadków.

Michael Berchtholdt należał do tych, którzy najbardziej zabiegali o względy panów, i wiele był w stanie zrobić, by się im przypodobać. Z radością przyglądał się torturom, a w przypadku Marty Stechlin żywił przekonanie, że jako czarownica musi spłonąć. Już teraz mierzył ją złym, a jednocześnie lęklwym wzrokiem, jak gdyby akuszerka na odległość mogła go zamienić w szczura. Kat uśmiechał się ukradkiem, obserwując niskiego, zasuszonego człowieczka o oczach poczerwieniałych od picia wódki. W swoim szarym płaszczu i zmierzwionej futrzanej czapie przypominał jedną z myszy, które nocą grasowały po jego piekarni.

Młody Schreevogel, który wszedł do więzienia za piekarzem, uchodził za godnego następcę swojego ojca w radzie, choć od czasu do czasu zdradzał zbytnią porywczosć. Kuisl dowiedział się od innych członków rady, że nie wierzył on w winę Stechlinowej...

„Punkt dla nas...”.

Jakub Kuisl lustrował potomka najpotężniejszej w Schongau rodziny garnarczy. Tak właśnie kat wyobrażał sobie prawdziwego patrycjusza: z lekko krzy-

wym nosem, wysokim czołem i bladą cerą. Garncarze wykonywali naczynia i piece kaflowe. Schreevoglowie posiadali małą manufakturę w mieście, gdzie siedmiu czeladników produkowało dzbany, talerze i kafle. Dzięki wytrwałej pracy stary Ferdynand Schreevogl osiągnął wysoką pozycję, jednak od zawsze uchodził za trochę zdziwaczałego. Słynne były obelżywe rysunki na kilku kaflach, które ukazywały jego krytyczne stanowisko wobec Kościoła, rady i bogatych gospodarzy.

Po śmierci Ferdynanda, która miała miejsce w zeszłym roku, zdawało się, że jego syn nie roztrwoni majątku, lecz odpowiednio go zainwestuje. Młody Schreevogl dopiero po kilku miesiącach zdecydował się zatrudnić nowego człowieka. Ponadto niechętnie zaakceptował fakt, iż kawałek ziemi położony przy drodze prowadzącej do Hohenfurch jego ojciec zapisał w testamencie Kościołowi. To właśnie tam miał teraz powstać przytułek dla nieuleczalnie chorych.

Syn garncarza należał do niewielu mężczyzn w okolicy, którzy od czasu do czasu zamieniali z katem słowo. Również i teraz lekko skinął w jego stronę. Na jego ustach pojawił się delikatny, zachęcający uśmiech.

Najtrudniej było Kuisłowi ocenić trzeciego świadka, Georga Augustina. Młodzieniec uchodził za bywalca salonów i dotychczas udzielał się w dalekim Augsburgu i Monachium, gdzie według relacji jego ojca prowadził interesy z dworem. Augustinowie byli potężną dynastią woźniców w Schongau i tą potęgą emanował również Georg. Ubrany jak fircyk, w kapeluszu z piórem, pludrach i butach ze sztylpami, patrzył przenikliwie na kata. Z zainteresowaniem lustrował także akuszerkę, która drżąc, wtulała się w płaszcz i pocierała posiniąte z zimna palce u stóp. Kamienne mury więzienia były bowiem także teraz, w kwietniu, zimne jak lód.

— Zaczynamy — głos pisarza sądowego przeciął trwającą dotąd ciszę. —  
Przejdźmy do piwnicy.

Woźni sądowi otworzyli spustowe drzwi na parterze. Schody prowadziły w dół, do pokrytego sadzą pomieszczenia z grubo ciosanych kamieni. Po jego lewej stronie w kącie stało poplamione madejowe łóże z drewnianym kołem u wezłowania. Obok znajdowało się naczynie na żar, w którym od lat rdzewiały różnej wielkości obcegi. Na podłodze porozrzucane były kamienne bloki zaopatrzone w żelazne pierścienie. Z sufitu zwisał hak z łańcuchami. Woźny sądowy już wczoraj przyniósł z budynku Ballenhaus przyrząd do miażdżenia kciuków i inne obcegi, które niedbale rzucił w kąt. Po drugiej stronie piętrzyły się spróchniałe drewniane krzesła. Izba tortur sprawiała wrażenie zapuszczonej.

Johann Lechner omiół pomieszczenie światłem pochodni, po czym skarcił kata, spoglądając na niego z wyrzutem.

— Mogłeś tu trochę posprzątać.

Jakub Kuisl wzruszył ramionami.

— Przecież się spieszyłem.

Ze stoickim spokojem zaczął ustawiać krzesła.

— A od ostatniego przesłuchania upłynęło już trochę czasu. Kat dobrze je pamiętał. Było to cztery lata temu, gdy na haku przymocowanym do sufitu powiesił ze spętanymi do tyłu rękami fałszerza monet, Petera Leitnera. Do nóg przywiązał mu czterdziestofuntowe kamienie, które sprawiły, że Leitnerowi w końcu pękły ramiona. Skamląc, przyznał się do winy. Wcześniej Kuisl torturował go przyrządem do miażdżenia kciuków i rozżarzonymi obcegami. Kat od samego początku był przekonany o winie Leitnera, podobnie jak teraz wierzył w niewinność Stechlinowej.

— Na miłość boską, spiesz się! Nie mamy czasu siedzieć tu cały dzień!

Pisarz opadł na jedno z krzesel i czekał, aż Jakub Kuisl przygotuje miejsca do siedzenia również dla pozostałych. Obydwoma łapskami kat podniósł do góry ciężki, dębowy stół i z hukiem postawił go przed Lechnerem. Pisarz znów zmie-

rzył go karcącym wzrokiem, wyjął kałamarz, pióro i rozpostarł przed sobą zwój pergaminu.

— Zaczynajmy.

W tym czasie świadkowie zajęli swoje miejsca. Marta Stechlin przywarła do przeciwległej ściany, jakby szukała mysiej dziury, przez którą mogłaby uciec.

— Ma się rozebrać — powiedział Johann Lechner. Jakub Kuisl spojrział na niego zdumiony.

—Ale przecież mieliście najpierw...

— Powiedziałem, że ma się rozebrać. Chcemy sprawdzić, czy ma znamiona czarownicy. Jeśli jakieś znajdziemy, to wtedy udowodnimy jej winę i tym szybciej zakończy się przesłuchanie.

Dwóch woźnych sądowych podeszło do akuszerki, która przy—kucnęła w kącie ze skrzyżowanymi rękami. Piekarz Michael Berchtholdt oblizał wąskie usta. Chętnie zobaczyłby takie widowisko.

Jakub Kuisl klął w duchu, bo takiego obrotu spraw się nie spodziewał. Badanie na obecność znaków czarownic było popularną metodą stosowaną podczas polowania na czarownice. Jeśli na ciele podejrzanej znaleziono znamiona o osobliwym kształcie, interpretowano je jako znaki diabła. Kat często przeprowadzał wtedy jeszcze próbę igły, nakłuwając znamię. Jeśli nie pojawiła się krew, kobieta z pewnością była czarownicą. Kuisl wiedział, że jego dziadek znał sposoby zapobiegania krwawieniu podczas tej próby. Dzięki temu proces szybciej się kończył, a kat prędzej dostawał swoją zapłatę...

Z zamyślenia wyrwał go odgłos rozdieranego materiału. Jeden z woźnych sądowych zrywał ze Stechlinowej śmierzącą, po—plamioną sukienkę. Akuszerka miała blade i wychudzone ciało. Na udach i ramionach widniały siniaki, które stanowiły pamiątkę po wczorajszej walce z Józefem Grimmerem. Przywarłszy do ściany piwnicy, kobieta próbowała rękami przesłonić piersi i łono.



Woźny sądowy pociągnął ją do góry za włosy, aż głośno krzyknęła. Jakub Kuisl widział, jak małe, czerwone oczka piekarza Michaela Berchtholdta obmacują ciało akuszerki.

—Czy to musi tak wyglądać? Podajcie jej przynajmniej krzesło! — Jakub Schreevogl poderwał się z miejsca z zamiarem powstrzymania woźnego, ale pisarz przynaglił go, by usiadł.

—Chcemy dowiedzieć się prawdy. Dlatego jest to konieczne. Jeśli chodzi o mnie, możecie podać Stechlinowej krzesło!

Woźny sądowy niechętnie wysunął na środek krzesło i akuszerka usiadła. Jej lękliwe spojrzenia przemykały tam i z powrotem, od pisarza do kata.

— Obetnijcie jej włosy — powiedział Lechner. — Na głowie też będziemy szukać znamion.

Gdy woźny sądowy zbliżył się z nożem, Kuisl szybkim ruchem zabrał mu broń.

— Ja to zrobię.

Ostrożnie obciął akuszerce układające się w strąki loki. Kosmyki włosów opadały wokół krzesła na podłogę. Marta Stechlin bezgłośnie płakała.

— Nie bój się, Marto — szepnął blisko jej ucha. — Nie zrobię ci krzywdy. Jeszcze nie dziś.

Johann Lechner chrząknął.

— Kacie, chcę, żebyś zbadał tę kobietę na obecność znamion czarownicy. Wszędzie.

Piekarz Berchtholdt schylił się do pisarza.

—Chyba nie wierzycie, że coś znajdzie? — szepnął. — Przecież on jest ze Stechlinową w zмовie. Sam widziałem, jak dawała mu zioła i Bóg wie, co jeszcze. A służąca od Keusslinbauera opowiadała mi...

—Mistrzu Berchtholdt, na wasze wywody naprawdę nie mamy teraz czasu — Johann Lechner z odrazą odsunął się na bok, by uniknąć nieświeżego oddechu

piekarza. Uważał Berchtholdta za pijaka i chwalipiętę, ale przynajmniej wiedział, czego może się po nim spodziewać. Natomiast w przypadku drugiego świadka był jeszcze niezdecydowany. Dlatego jeszcze raz zwrócił się do Berchtholdta.

— Ale jeśli to posłuży odkrywaniu prawdy, posłucham waszej rady — powiedział zachęcająco. — Mistrzu Augustin, bylibyście tak uprzejmi i pomogli kатовi w szukaniu?

Piekarz z zadowoleniem rozparł się na krześle i powrócił do lubieżnej obserwacji. Syn wpływowego woźnicy, wzruszywszy ramionami, wstał i powoli podszedł do akuszerki. Jego twarz była delikatna i blada, jakby rzadko wystawiał ją na słońce. Błyszczały w niej lodowato niebieskie oczy. Wzrok Georga Augustina niemal obojętnie prześlizgiwał się po Stechlinowej. Później jego palec wskazujący przesunął się po jej wychudzonym ciele, narysował kółka wokół brodawek, aby w końcu zatrzymać się nad pępkiem.

— Odwrócić się — szepnął.

Akuszerka, drżąc, odwróciła się. Palec dalej sunął po karku i ramionach. Na prawej łopatkę zatrzymał się i lekko nacisnął znamię, które istotnie sprawiało wrażenie większego od pozostałych.

— Co o tym sądzicie?

Woźnica spojrzął prosto w oczy kатовi, który przez cały czas stał obok niego.

Jakub Kuisl wzruszył ramionami.

— Znamię. Co mam o nim sądzić?

Augustin nie dawał za wygraną. Kuislowi zdawało się, że na jego ustach błąka się delikatny uśmiezek.

— Czy dwa martwe dzieciaki nie miały czasem takiego znaku na plecach?

Pisarz i piekarz zerwali się z miejsc. Nawet młody Schreevogel zaniepokojony podszedł bliżej, by obejrzeć znamię.

Jakub Kuisl zmrużył oczy i przyjrzał się uważniej. Brązowa plama istotnie była większa od pozostałych. Rosło na niej kilka czarnych włosów, zaś na dole miała zakończenie w kształcie kreski.

Mężczyźni stali teraz w kręgu wokół Marty Stechlin. Akuszerka chwilowo pogodziła się z losem i pozwoliła oglądać się niczym ciele przeznaczone na rzeź. Tylko od czasu do czasu wydawała z siebie ciche jęki.

— Rzeczywiście — szepnął pisarz, pochylając się nad plamą. — Przypomina diabelski znak...

Piekarz Berchtholdt skinął gorliwie i wykonał znak krzyża.

Tylko Jakub Schreevogl potrząsał głową.

— Jeśli jest to znamię czarownicy, to musicie mnie spalić razem z nią!

Młody patrycjusz rozpiął koszulę i wskazał na brązową plamę widniejącą na pokrytych meszkiem piersiach. Jego znamię istotnie posiadało osobliwy kształt.

— Mam je, odkąd się urodziłem, i nikt do tej pory nie nazwał mnie czarownikiem.

Pisarz potrząsnął głową i odwrócił się od akuszerki.

— W ten sposób daleko nie zajdziemy. Kuisl, pokaż narzędzia. I wyjaśnij jej, co zamierzamy zrobić, jeśli nie powie nam prawdy.

Jakub Kuisl spojrział Marcie Stechlin głęboko w oczy. Później z naczynia z żarem wyjął obcęgi i podszedł z nimi do kobiety. Cud nie nastąpił, będzie musiał zaczynać.

W tym momencie na zewnątrz rozległ się dźwięk dzwonów alarmowych.



**Czwartek,**

**26 kwietnia 1659,**

godzina 4 po południu

Simon wdychał zapach wiosny. Po raz pierwszy od wielu dni czuł się naprawdę wolny. W oddali słyhać było szum rzeki. Łąki lśniły soczystą zielenią. Przebiśniewy błyszczały między brzoźami i bukami, które właśnie wypuściły pąki. Tylko w zacienionych miejscach pośród drzew widać było jeszcze plamy śniegu.

Wraz z Magdaleną spacerowali po błoniach powyżej Lecha, na ścieżce, która była tak wąska, że wciąż przypadkiem się dotykali. Dziewczyna już dwukrotnie prawie się przewróciła i za każdym razem przytrzymała się go — dłużej niż było to konieczne.

Po rozmowie w „Gwieździe” Simon pobiegł nad rzekę. Potrzebował ciszy do rozmyślań i powietrza do oddychania. W zasadzie miał mieszać tynktury dla ojca, ale to mogło poczekać do jutra. Na razie wołał staremu schodzić z drogi. Nawet przy łożu śmierci biednego chłopaka Kratzów nie zamienili ze sobą ani słowa. Ojciec wciąż jeszcze nie wybaczył Simonowi, że ten tak po prostu wybiegł z domu i poszedł odwiedzić kata. Młodzieniec wiedział, że kiedyś jego gniew minie, jednak do tego czasu wołał nie spotykać go zbyt często. Jego ojciec pochodził z innego świata, w którym przeprowadzanie sekcji zwłok było bluźnierstwem, a leczenie chorych polegało wyłącznie na przeczyszczaniu, stawianiu ba-

niek i kręceniu śmierdzących pigulek. Po głowie chodziło mu zdanie, które ojciec wypowiedział kiedyś po pogrzebie chorego na dżumę: „To Bóg decyduje, kiedy umieramy, i nie powinniśmy wchodzić Mu w paradę”.

Simon chciał postępować inaczej. Zamierzał wtrącać się w sprawy Pana Boga.

Na dole nad Lechem spotkał się z Magdaleną, którą matka wysłała na błonia po czosnek niedźwiedzi. Dziewczyna znów uśmiechnęła się do niego, a on po prostu za nią poszedł. Na moście nad Lechem stało kilka praczek. Dosłownie czuł na plecach ich spojrzenia, jednak było mu to obojętne.

Przez całe popołudnie spacerowali po nadrzecznych łąkach. Właśnie teraz jej ręka znów przesunęła się po jego ręce. Simonowi zrobiło się gorąco i zaczęła go swędzieć skóra na głowie. Co ta dziewczyna w sobie miała, że tak wytrącała go z równowagi? Może był to urok rzeczy zakazanej? Simon wiedział, że nigdy nie mogliby zostać parą. Nie w Schongau, nie w tym dusznym gnieździe, gdzie już małe podejrzenie wystarczało, by skazać kobietę na stos. Simon zmarszczył czoło. Ponure myśli nadciągały jak chmury zwiastujące burzę.

— Co ci jest? — Magdalena zatrzymała się i popatrzyła na niego. Czuła, że coś go zaniepokoiło.

— Nie... nic.

— Powiedz mi albo natychmiast zawrócimy i nigdy na ciebie nie spojrzę.

Simon uśmiechnął się.

— Poważna groźba, choć sędzę, że jej nie spełnisz.

— Jeszcze zobaczysz. Więc co się dzieje?

— To z powodu tego chłopca.

Magdalena westchnęła.

— Domyśliłam się.

Pchnęła go na znajdujący się przy ścieżce dębowy pień, który wywróciła wiosenna burza, i usiadła obok. Spojrzała w dal. Dopiero po chwili znów się odezwała.

— Kiepska sprawa. Ja też nie mogę zapomnieć o tych chłopcach, Peterze i Antonie. Często widywałam ich na rynku, zwłaszcza Antona. Nie miał nikogo. Jako podopieczny człowiek jest prawie tyle wart, co dziecko kata, czyli nic.

Magdalena zacisnęła swoje pełne usta w małą, czerwoną linię.

Simon położył jej rękę na ramieniu i znów przez pewien czas milczeli.

— Wiedziałaś, że u Stechlinowej zawsze spotykali się wszyscy podopieczni?

Magdalena potrząsnęła głową.

— Coś musiało się tam wydarzyć — Simon wodził wzrokiem po drzewach. W oddali wznosiły się mury Schongau.

Po chwili dodał:

— Sophie powiedziała mi, że byli u Stechlinowej także wieczorem, zanim doszło do morderstwa. Potem wszyscy poszli do domu, z wyjątkiem Petera, który miał się jeszcze z kimś spotkać nad rzeką. Kto to mógł być? Jego morderca? A może Sophie kłamie?

— A co z Antonem Kratzem? On też był u Stechlinowej?

Magdalena oparła się teraz o ramię Simona i delikatnie położyła rękę na jego udzie. Jednak Simon był myślami gdzie indziej.

— Anton też tam był — powiedział zamyślony. — I obydwaj mieli na plecach ten osobliwy znak wytatuowany na skórze sokiem z czarnego bzu. U Antona był on już mniej wyraźny, jakby ktoś próbował go usunąć.

— Może on sam? — głowa Magdaleny przytuliła się do jego głowy. Simon wciąż tępo patrzył w dal.

— Poza tym twój ojciec znalazł w kieszeni Petera siarękę — wymamrotał. — A akuszerce brakuje alrauny.

Magdalena zdziwiona wyprostowała się. Jako córka kata dobrze znała się na magicznych ingrediencjach.

—Alrauny? Jesteś pewien? — zapytała zaniepokojona. Simon zerwał się z pnia.

—Znak czarownic, siarka, alrauna... To wszystko zbyt dobrze do siebie pasuje, nie uważasz? Jakby ktoś chciał, żebyśmy wierzyli w te wszystkie przesady.

—A może te przesady są jednak prawdziwe — szepnęła Magdalena. Wiosenne słońce zasłoniła chmura. Dziewczyna naciągnęła na ramiona wełnianą chustkę.

—Dziś rano byłam u Daubengerowej — zaczęła z wahaniem. — Opowiedziała mi o świętej Walpurdze.

Następnie zrelacjonowała Simonowi swoją rozmowę z akuszerką, podejrzewającą, że morderstwa w jakiś sposób mogą wiązać się z nocą Walpurgii, do której został jeszcze tydzień. Gdy skończyła, Simon potrząsnął głową.

— Nie chcę wierzyć w te przesady — powiedział. — W czary i to całe hokus—pokus. Na pewno istnieje jakiś powód, dla którego te dzieci musiały umrzeć.

Nagle Simonowi przypomniał się mężczyzna z ręką kościotrupa. Opowiadała o nim Sophie i służąca w „Gwieździe”. Czy rzeczywiście pytał o syna kramarza? A może było to tylko jedno z urojeń Sophie? Simona naszła z kolei myśl, że dziewczyna podwędziła mu ładny kawał grosza. Do tego dzieciaka nie można było mieć nawet krzty zaufania!

Z westchnieniem znów usiadł na pniu drzewa obok Magdaleny.

Również i jemu zrobiło się zimno. Córka kata zobaczyła, że medyk marznie, dlatego rozpostarła nad jego ramionami swoją wełnianą chustę. Poszukała jego ręki, chwyciła ją i powoli poprowadziła do swojego gorsetu.



Simona wciąż nie opuszczała myśl o kościstym mężczyźnie. Jeśli naprawdę istniał i miał na sumieniu dzieci, to dlaczego je zabijał? Co łączyło ze sobą martwych chłopców poza tym, że w tamtą noc z pełnią księżyca byli u Stechlinowej?

A przede wszystkim...

Kto jeszcze był u akuszerki?

Magdalena patrzyła z boku na młodego medyka. Przez cały dzień zachowywał się powściągliwie. A ona musiała wiedzieć, co o niej myśli.

— Simonie, ja... — zaczęła.

W tym momencie wiatr przyniósł ze sobą wysokie dźwięki dzwonów alarmowych. Tu, na błoniach, daleko od miasta, brzmiały one niczym płacz dziecka. Coś się stało! Simon poczuł ściskanie w klatce piersiowej. Zerwał się z miejsca i pobiegł w kierunku Schongau. Dopiero po przemierzeniu kilku metrów zauważył, że Magdalena nie poszła w jego ślady.

— Chodź, szybciej! — zawołał. — I módl się do Pana Boga, byśmy znów nie znaleźli w rzece pływających zwłok.

Magdalena westchnęła, po czym wstała i pobiegła za Simonem.

Kat popędził do góry po piwnicznych schodach więzienia, biorąc po kilka stopni naraz. Za plecami słyszał krzyki pisarza i innych członków rady, którzy również podążali do wyjścia. Nad miastem rozlegał się wysoki dźwięk dzwonów.

Dzwony alarmowe na strażnicach były tylko w wyjątkowych przypadkach — w razie ataku lub pożaru. Kuisl wykluczył najazd wrogich żołnierzy. Od ponad dziesięciu lat panował przecież pokój. Wprawdzie po okolicy wciąż jeszcze włóczyły się plądrujące zgraje żołnierzy, którzy ukrywali się w lasach i napadali na

samotne zagrody, ale Schongau było zbyt dużym miastem, by odważyło się go zaatakować kilku łotrów... Pozostał zatem tylko ogień...

Większość budynków w mieście nadal była budowana z drewna, a wiele dachów pokrywała słoma. W przypadku niekorzystnego wiatru już ledwie tłący się ogień mógł zniszczyć całe miasto. Strach ludzi przed ogniem był ogromny. Kat również bał się o swoją rodzinę.

Gdy Jakub Kuisl dotarł do wyjścia z więzienia, natychmiast dostrzegł, że miastu nie grozi żadne niebezpieczeństwo. Do nieba wznosiła się cienka nitka dymu, która na górze rozciągała się w chmurę. Dym nadciągał z drugiej strony murów miasta. Kat przypuszczał, że paliło się w dole, przy przystani dla tratw.

Nie czekając na innych, popędził przez Mlinzstraise w dół, do budynku Balnhaus, a później skręcił w lewo w kierunku bramy prowadzącej nad Lech. Inni mieszkańcy Schongau również podążali do bramy z zamiarem sprawdzenia, co się dzieje. Na wysokich piętrach w oknach wychodzących na rzekę otworzyły się okiennice, które z racji wieczoru były już zamknięte. Ludzie z ciekawością spoglądali w dół na spektakl rozgrywający się na brzegu.

Jakub Kuisl popędził przez bramę. Zobaczył, że na dole, przy przystani dla tratw zapalił się magazyn. Dach potężnego budynku płonął jasnym płomieniem! Pół tuzina flisaków uformowało łańcuch, lejąc wiadrami wodę w buchający żar. Pozostali w największym pośpiechu wynosili z budynku skrzynie i beczki. Ogień trzaskał. Kat nie miał złudzeń, że magazyn można jeszcze uratować, niemniej pobiegł dalej do mostu, by zaoferować swoją pomoc. Wiedział, że z każdą skrzynią spalał się mały majątek. Wełna, jedwab, wino, przyprawy... W magazynie przechowywano wszystko, co nie zmieściło się na górze w budynku Ballnhaus i co niebawem miało być dalej przetransportowane statkiem.

Gdy Kuisl minął bramę miasta, zdumiał się. Z tego miejsca ogarniał wzrokiem całą przystań, na której dostrzegł nagle kłębówisko zaciekle walczących ze sobą ludzi. W ruch poszły pięści, kilku mężczyzn leżało już na ziemi, inni nacie-

rali na siebie uzbrojeni w długie flisackie drągi. Kat rozpoznał paru woźniców i flisaków, jednak wśród nich byli także obcy.

Wieczne słońce zachodziło za lasami, zanurzając ludzi i płomienie w nierzeczywistym świetle. Jakub Kuisl nie mógł tego pojąć: mężczyźni bili się, podczas gdy raptem kilka metrów dalej płonął magazyn!

— Oszaleliście! — krzyknął i zbiegł ostatnich kilka metrów w dół do mostu.  
— Przestańcie! Magazyn się pali!

Zdawało się, że mężczyźni w ogóle go nie zauważyli, bowiem dalej tarzali się po ziemi. Kilku z nich miało już na czole krwawe rany lub zadrapania i sine pręgi na twarzy. Silnymi rękami kat wyciągnął z kłębowiska dwóch zwartych w żelaznym uścisku awanturników i rozdzielił ich. Jednego mężczyznę w rozdartym kaftanie Kuisl znał z różnych pijatyk w gospodach za rynkiem. Był to Georg Riegg, jeden z schongauskich woźniców, paskudny zabijaka, który jednak cieszył się dobrą opinią wśród swoich ludzi. Drugi mężczyzna pochodził spoza miasta. Krwawiła mu warga, a przy jego prawej brwi widniała szeroka, otwarta rana cięta.

—Przestać, powiadam! — Kuisl potrząsał obydwoma, aż wreszcie zwrócili na niego uwagę. — Pomóżcie lepiej ratować magazyn!

—Skoro augsburczycy go podpalili, to niech i oni go gaszą! — Georg Riegg plunął drugiemu mężczyźnie w twarz, na co ten zamierzył się do kolejnego ciosu.

Kuisl złapał ich za głowy i uderzył jedną o drugą, po czym znów się odezwał:

— Co ty gadasz?

— Bzdury gada! — sądząc po dialekcie, drugi był augsburczykiem. Wściekły, wskazał na płonący magazyn. — Wasi strażnicy nie uważali, a teraz my mamy za to beknąć. Nic z tego! Za tę szkodę będziecie musieli jeszcze zapłacić!

Jakub Kuisl dostrzegł za sobą ruch. Odwrócił się i kątem oka zauważył śmigający w jego stronę flisacki drąg. Instynktownie puścił dwóch awanturników i w

tym samym momencie chwycił narzędzie. Jednym zamachem odrzucił je od siebie, tak iż mężczyzna stojący na drugim końcu, wrzeszcząc, wpadł do rzeki. Z lewej strony już zbliżał się kolejny napastnik, barczysty flisak, którego Kuisl znał jako jednego z członków augsburskiego cechu. Flisak rzucił się na niego z krzykiem. W ostatniej chwili Kuisl zrobił unik i potężnie przyłożył mu w kark. Augsburczyk, jęcząc, upadł na ziemię. Jednak już po kilku sekundach wyprostował się i przeszedł do następnego ataku. Pierwszy sierpowy trafił w próżnię, natomiast kolejny cios kat zablokował prawą ręką. Powoli zamykała się ona w pięść, aż kości palców przeciwnika zaczęły trzeszczeć. Jednocześnie Kuisl stopniowo spychał augsburczyka na krawędź pomostu. Ostatecznie popchnął go do wody i puścił. Rozległ się plusk, a mężczyzna zniknął w falach i energicznie wymachując rękami, wynurzył się dopiero przy tylnej części przystani, gdzie próbował przytrzymać się słupa.

— Przestańcie! W imieniu miasta, przestańcie!

Johann Lechner przybył w tym czasie na przystań z woźnymi sądowymi. Czterech strażników wraz z kilkoma innymi schongauczykami zadbało o to, by awanturnicy przerwali bójkę.

— Wy tam, dalej do magazynu! Zabierać wiadra!

W kilku słowach pisarz sądowy zorganizował akcję gaszenia pożaru, choć właściwie było już na to za późno. Dach magazynu zawalił się, zaś płonące belki zatarasowały wszystkie drogi prowadzące do wewnątrz budynku. Dobra, które pozostały jeszcze w środku, były wcześniej czy później nieuchronnie skazane na spalenie, co oznaczało straty rzędu setek guldenów. Obok zniszczonego magazynu piętrzyły się okopcone skrzynie i bele. Kilka z nich jeszcze się tliło. W powietrzu unosił się zapach spalonego cynamonu.

Woźni sądowi zapędzili w róg przystani wszystkich uczestników bójki i podzielili ich na mieszkańców Schongau i Augsburga. Teraz obydwie strony spo-

glądały na siebie z nienawiścią. Zdawało się, że na dalszą bijatykę i wyzwiska wszyscy byli już zbyt wyczerpani.

Wśród schongauskich awanturników Jakub Kuisl dostrzegł Józefa Berchtholdta, brata mistrza piekarskiego. Jego drugi brat, Michael, przyciskał mu mokrą ścierkę do lewego, opuchniętego już oka i rzucał szpetne przekleństwa w kierunku augsburczyków. Obydwaj świadkowie przesłuchania w więzieniu zniknęli gdzieś w tłumie.

Tymczasem na wezwanie pisarza pojawił się Bonifaz Fronwieser, ojciec Simona, który używając wody i prześcieradeł, zaczął opatrywać najpoważniejsze rany. Jeden z schongauskich woźniców odniósł ranę kłutą ramienia, zaś któremuś z augsburczyków krwawiło udo.

Gdy Kuisl usłyszał krzyk pisarza, szybko odsunął się od walczących. Teraz siedział na filarze mostowym, kurzył fajkę i z daleka obserwował tumult na przystani.

Wyglądało to tak, jakby nad rzekę przybyli mieszkańcy całego Schongau, by być świadkami rozgrywającego się widowiska. Ludzie tłoczyli się aż do samej bramy i spoglądali na spaloną ruinę.

Belki wciąż jeszcze z trzaskiem wpadały w płomienie. Pożar, niczym ogień w dniu świętego Jana, rozświetlał znajdujący się z tyłu las, nad którym powoli zapadał zmrok.

Tymczasem pisarz Lechner znalazł strażnika przystani, który siedząc przed nim w kucki, zapewniał go o swej niewinności. Wyglądał przy tym jak półtora nieszczęścia.

— Wierzcie mi, mistrzu — skomlał. — Nie mam pojęcia, jak mógł wybuchnąć taki ogień. Właśnie grałem w kości z Benedyktem i Johannesem, gdy raptem odwróciłem się i widzę, że cały magazyn stoi już w płomieniach! Ktoś musiał go podpalić, bo w innym razie nie spaliłby się tak szybko.

— Ja już wiem, kto go podpalił — zawołał Georg Riegg stojący w schongauskiej grupie. — To byli augsburczycy! Najpierw zabijają nasze dzieci, a później podpalają nam magazyn, żeby nikt już nie chciał do nas przybijać i żeby wszyscy bali się i omijali nasze miasto. Sukinsyny plugawe!

Kilku schongauskich woźniców podniosło krzyk. Poleciały kamienie i wyzwiska. Woźnym sądowym z wielkim trudem udało się rozdzielić obydwie grupy.

—Nasz własny towar będziemy podpalać! — rozległo się w grupie augsburckiej. Schongauczycy zaczęli przeklinać i krzyczeć.

—Nie uważaliście i teraz chcecie zwać winę na nas. Oddacie nam każdego grajcara!

—Ach, a cóż to takiego? — Georg Riegg wskazał na beczki i skrzynie, które stały przed spalonym magazynem. — Swoje rzeczy grzecznie wynieśliście na dwór.

—Łgarz! — nad augsburczykami trudno już było zapanować. — Wynieśliśmy je, gdy już się paliło. A wy staliście tylko dookoła jak idioci i biadoliliście.

— Spokój, do cholery!

Głos pisarza nie był szczególnie donośny, jednak miał w sobie coś, co zmuszało innych do zamilknięcia. Johannes Lechner wodził wzrokiem po obydwu zwaśnionych grupach. W końcu wskazał na woźniców z Augsburga.

— Kto jest tutaj przywódcą?

Zgłosił się barczysty mężczyzna, którego Jakub Kuisl wepchnął wcześniej do wody. Widocznie udało mu się znów dotrzeć na brzeg. Mokre włosy opadały mu na twarz, a spodnie i kaftan kleiły się do ciała. Mimo to nie wyglądał na kogoś, kto dałby się zastraszyć schongauskiemu pisarzowi sądowemu. Olbrzym ponuro patrzył w twarz Johannesowi Lechnerowi.

— Ja jestem.

Lechner zmierzył go wzrokiem od stóp do głów.

—A jak się nazywasz?

—Martin Hueber. Woźnica z rodu Fuggerów.

W powietrzu rozległy się ciche, pojedyncze gwizdy. Wprawdzie Fuggerowie od dawna nie byli już tak wpływowi jak przed wielką wojną, niemniej ich nazwisko miało jeszcze swoje znaczenie. Mężczyzna, który pracował dla tej rodziny, mógł być pewien potężnych orędowników.

Johann Lechner zastanawiał się nad tym, jednak nie dał nic po sobie poznać. Lekko skinął głową, po czym przemówił:

— Martinie Hueber, będziesz naszym gościem, dopóki nie wyjaśnimy tego zajścia. Tymczasem otrzymujesz zakaz opuszczania miasta.

Twarz Huebera poczerwieniała.

—Nie możecie tego zrobić. Podlegam augsburskiemu wymiarowi sprawiedliwości!

—Ależ mogę — głos Lechnera był cichy i natarczywy. — U nas się biłeś i na to są świadkowie. Zatem u nas możesz także odbyć karę więzienia i pożłopać wody.

Po stronie schongauskich flisaków rozległy się okrzyki radości i szyderczy śmiech. Pisarz odwrócił się do nich.

— Nie ma powodu do radości, i to ani jednego! Georgu Riegg, jako przywódca tej zgrai, powędrujesz do więzienia razem z leniwym strażnikiem mostu. A wkrótce potem ustalimy, kto tutaj będzie się śmiał ostatni.

Georg Riegg, strażnik mostu i augsburczyk Martin Hueber zostali odprowadzeni wśród głośnych protestów.

Na moście woźnica ponownie odwrócił się do schongauczyków:

— Jeszcze za to zapłacicie! — zawołał. — Już jutro Fuggerowie dowiedzą się, co się tutaj stało. A wtedy niech Bóg ma was w swej opiece. Zwróćcie nam każdą belę. Każdą co do jednej!



Lechner westchnął, po czym zwrócił się do burmistrza, który stał obok niego blady jak ściana:

— Odkąd ta czarownica zabiła chłopca, na mieście ciąży jakaś klątwa.

Burmistrz Karl Semer spojrzał na niego pytającym wzrokiem:

— Uważacie, że magazyn to też sprawka Stechlinowej...?

Lechner wzruszył ramionami. Wkońcu uśmiechnął się:

— To możliwe. Postarajmy się, żeby się przyznała. Wtedy będziemy mieć sprawę z głowy i wszyscy będą zadowoleni.

Burmistrz z ulgą skinął głową, następnie obydwaj rajcy udali się w drogę powrotną do miasta.

Dziewczyna przycisnęła drewnianą lalkę do chudej piersi, z której przy każdym oddechu wydobywało się rzeżenie. Jej twarz była blada i zapadnięta, a wokół oczu utworzyły się głębokie sińce. Znowu dostała ataku bolesnego i ostrego kaszlu, bolało ją gardło. Z daleka słyszała odgłosy dobiegające znad Lecha. Coś musiało się stać. Z trudem wyprostowała się, próbując z łóżka wyrzeć przez okno, jednak widziała tylko niebo, chmury i wijący się między nimi słup dymu. Ojciec powiedział jej, że wszystko jest w porządku i że nie powinna się denerwować, tylko grzecznie leżeć. Później miał przyjść medyk i pomóc jej, jeśli zimne okłady nie przyniosą pożądanego rezultatu. Dziewczynka uśmiechnęła się w nadziei, że odwiedzi ją młody lekarz, a nie stary. Lubiła młodego, który kiedyś na rynku dał jej jabłko i zapytał o zdrowie. Niewielu ludzi o to pytało, a właściwie nikt.

Mając pięć lat, Klara straciła rodziców. Najpierw matkę, która po urodzeniu małego braciszka już się nie obudziła. Dziewczynka pamiętała jeszcze jej

śmiech, duże, przyjazne oczy i piosenki często śpiewane jej przed snem. Gdy szli za drewnianą trumną, pomyślała, że matka tylko śpi, że zaraz się obudzi i wróci do domu. Ojciec trzymał Klarę za rękę. Gdy kondukt pogrzebowy dotarł do kościoła świętego Sebastiana i spuszczone trumnę do ziemi na nowym cmentarzu, przytulił ją tak mocno, że zachciało jej się krzyczeć. Kobiety myślały, że dziewczynka płacze z powodu matki i głaskały ją po głowie.

Później z ojcem było coraz gorzej. Zaczęło się od takiego samego kaszlu, jaki miała teraz, ostrego i suchego. Wkrótce pluł krwią, a sąsiedzi patrzyli na nią ze współczuciem i potrząsali głowami. Często siedziała wieczorem przy jego łóżku i śpiewała mu piosenki, które zawsze nuciła jej matka. Mieli przecież tylko siebie. Część rodzeństwa wyprowadziła się, gdyż w Schongau było już wystarczająco wielu wikliniarzy, a część zmarła —tak jak jej mały braciszek, który bez piersi matki krzyczał przez trzy dni i nagle ucichł.

Ojciec zmarł pewnego zimnego, wilgotnego jesiennego dnia. Zanieśli go na ten sam cmentarz, na którym pochowano jego żonę.

Jej grób był jeszcze całkiem świeży, dlatego kopanie nie sprawiało problemu.

Następne tygodnie Klara spędziła u sąsiadki razem z sześciorgiem innych dzieci, które przy stole biły się o jedną jedyną miskę z kaszą jęczmienną. Tymczasem dziewczynka nie czuła głodu. Chowiała się pod ławką przy piecu i płakała. Była całkowicie sama. Gdy sąsiadka od czasu do czasu wetknęła jej w rękę coś słodkiego, inne dzieci zaraz jej to zabierały. Wszystkim, co jej pozostało, była drewniana lalka, którą kiedyś wyrzeźbił dla niej ojciec. Nigdy jej nie odkładała, ani w dzień, ani w nocy, była to bowiem jej ostatnia pamiątka po rodzicach.

Miesiąc później pojawił się młody, uprzejmy mężczyzna, który pogłaskał ją po głowie i powiedział, że od tej chwili będzie się nazywała Klara Schreevogl. Zaprowadził ją do dużego, dwupiętrowego domu, stojącego zaraz przy rynku. Były w nim szerokie schody i wiele pokoi z ciężkimi, brokatowymi zasłonami.

Schreevoglowie mieli pięcioro dzieci, a Maria Schreevogl podobno nie mogła już mieć kolejnych. Przyjęli Klarę jak własne dziecko. Gdy na początku rodzeństwo szeptało za jej plecami i obrzucało ją złymi słowami, przychodził jej ojczym i prał im tyłki leszczynową różgą, tak że nie mogli na nich usiąść przez trzy dni. Klara jadła te same wykwintne potrawy, nosiła te same lniane ubrania, ale mimo to czuła, że jest inna. Była podopieczną, którą żywiono. Podczas rodzinnych świąt, na Wielkanoc lub wieczorem w dzień świętego Mikołaja, odczuwała niewidoczny mur oddzielający ją od Schreevogłów. Widziała czułe spojrzenia i uściski innych, niewypowiedziane słowa, gesty i dotknięcia, a później biegła do swojego pokoju i znowu płakała. Po cichu, aby nikt tego nie zauważył.

Na dworze przed oknem rozlegały się teraz krzyki i wrzaski. Klara Schreevogl nie mogła już dłużej wytrzymać w łóżku, dlatego podniosła się, odsunęła na bok ciężką puchową kołdrę i zsunęła się na zimną drewnianą podłogę. Natychmiast poczuła zawrót głowy. Miała gorączkę, a jej nogi przypominały w dotyku mokrą glinę. Mimo to powłokła się kilka kroków do okna, otworzyła je i wyjrzała na zewnątrz.

W dole nad Lechem palił się magazyn! Języki ognia docierały już do nieba, całe Schongau zgromadziło się na przystani dla tratw. Byli tam również rodzice Klary, jej rodzeństwo i mamka, którzy wspólnie śledzili widowisko. Na górze zostawiono tylko ją, chorą podopieczną. W czasie swej szalonej ucieczki przed trzema dniami dziewczynka wpadła do Lecha. Nim nurt rzeki poniósł ją dalej, w ostatniej chwili zdołała przytrzymać się pęku trzciny.

Wdrapała się na przybrzeżną skarpe i przez bagna i gąszcze pobiegła do domu. Wciąż odwracała się przy tym za mężczyznami, ale oni zniknęli. Innych dzieci również nie było. Dopiero przy dębie niedaleko Bramy Krowiej spotkała Antona i Sophie. Anton gapił się na nią rozszerzonymi ze strachu oczami i ciągle krzyczał, że widział diabła. Uspokoił się dopiero wtedy, gdy Sophie uderzyła go



przebywający na górze na schodach utykał na jedną nogę. Może teraz też nie będzie taki szybki?

Dziewczynka odczekała chwilę, po czym wyczołgała się spod łóżka i na palcach popędziła do otwartych drzwi. Spojrzała do góry, jednak na schodach niko go nie było. Obcy musiał pójść do jednego z pokoi na górze. Cicho wymknęła się na dół.

Gdy stała w salonie, przypomniało jej się, że na piętrze zostawiła lalkę.

Zagryzła wargę. Przed sobą miała szeroko otwarte drzwi prowadzące na zewnątrz, słyszała dobiegający znad rzeki hałas. Do miasta wracali pierwsi mieszkańcy.

Klara zamknęła na chwilę oczy, po czym znów pobiegła na górę i weszła do swojego pokoju, gdzie na łóżku leżała jej lalka. Przytliła ją do siebie. Właśnie zamierzała znów pobiec na dół, gdy nagle usłyszała dochodzący z góry odgłos kroków. Pospiesznych kroków. Mężczyzna ją usłyszał.

Kroki stawały się coraz szybsze, mężczyzna przeskakiwał teraz kilka stopni naraz. Klara wybiegła z pokoju, mocno przyciskając do siebie lalkę. Stojąc na progu, przez chwilę popatrzyła w górę. W jej kierunku śmigał czarny cień. Barczysty mężczyzna w pelerynie wyciągnął do niej prawą dłoń. To był diabeł z białą, kościotrupią ręką.

Klara zatrzasnęła drzwi do swojego pokoju i zasunęła rygiel. Z zewnątrz coś w nie uderzało i słychać było ciche przeklinanie. Później mężczyzna z całej siły naparł na drzwi, aż zadrżały ramy. Raz, drugi... Klara podbiegła do okna, które wciąż jeszcze było otwarte. Chciała zawołać o pomoc, ale czuła, jak strach ścisną ją za gardło. Wydobyła z siebie tylko ochryple sapanie. W oddali dostrzegła tłum ludzi, którzy przez bramę przeciskali się do miasta. Chciała do nich pomachać, ale przyszło jej do głowy, że to nic nie da. Przypuszczalnie ludzie przyjaźnie odwzajemniliby tylko ten gest.

Za jej plecami roztrzaskiwało się drewno. Klara odwróciła się i zobaczyła, jak ostry koniec szabli przewiercał się przez coraz większą szczelinę w środku drzwi. Znów spojrzała na ulicę przed domem. Jej pokój znajdował się na pierwszym piętrze, a do ziemi było około dziesięciu stóp. Tuż obok wejścia do domu jakiś chłop odstawił taczkę ze słomą.

Nie zastanawiając się długo, Klara wepchnęła lalkę między piersi a koszulę nocną i wspięła się na gzyms. Później ześlizgnęła się w dół i zawisła w powietrzu, trzymając się obydwoma rękami parapetu. Odgłos rozlatującego się na kawałki drewna przybrał na sile, rygiel odskoczył w bok. Z cichym krzykiem Klara puściła parapet i runęła dokładnie na wózek ze słomą. Gdy otarła się o drewnianą kratę, jej prawe ramię przeszył ból. Nie zwracając na to uwagi, wdrapała się na kratę i osunęła na ziemię. Ze słomą we włosach i na koszuli nocnej uciekała ulicą. Odwróciwszy się ponownie, zobaczyła stojącego przy oknie diabła, który machał do niej kościotrupią ręką i zdawał się coś krzyczeć.

„Do widzenia. Wkrótce znów się zobaczymy...”.

W swej rozgorączkowanej głowie Klara słyszała jakieś głosy. Wszystko rozmywało się jej przed oczami, nogi bieging jakby niezależnie od jej woli. Rzęzenie w piersiach przybierało na sile i ustawało, gdy zataczała się po wyludnionych uliczkach. Diabeł deptał Klarze po piętach i nie było nikogo, kto mógłby jej pomóc.

Gdy Simon z Magdaleną dotarli wreszcie do przystani dla tratw, większość schongauczyków wróciła już do miasta. Grupa gaszących ogień mężczyzn zajmowała się zsuwaniem w jedno miejsce dymiących belek i polewaniem wodą



pozostałych jeszcze ognisk pożaru. Poza tym na miejscu kręciło się tylko kilku gapiów. Niebezpieczeństwo rozprzestrzenienia się ognia na domek strażnika i drewniany pomost zdawało się być zażegnane.

Simon zapytał kilku mężczyzn, co się stało. W końcu dostrzegł kata siedzącego na jednym z tylnych filarów. Mężczyzna kurzył fajkę i w zadumie przyglądał się pozostałościom po magazynie. Gdy Simon i Magdalena podeszli do niego bliżej, podniósł wzrok.

— No i co? Mieliście miły dzień?

Simon poczuł, jak jego twarz robi się czerwona. Magdalena spojrzała z wiadomych powodów w drugą stronę.

— Ja... My... Pomagałem Magdalenie w zbieraniu czosnku niedźwiedziego, a później zobaczyliśmy dym — jąkał się medyk, po czym potrząsając głową, spojrzał na ruiny pozostałe po pożarze.— Straszne. To będzie kosztowało miasto majątek! Kat wzruszył ramionami.

—Jeśli był to ktoś z miasta... Nasi flisacy mówią, że augsburczycy sami podpalili magazyn, a wcześniej wynieśli z niego swoje towary.

Simon spojrzał przez ramię. W bezpiecznej odległości od dymiącej kupy gruzu rzeczywiście piętrzyły się skrzynie, bele i worki. Obok stało kilku ponuro spoglądających augsburskich flisaków, którzy najwyraźniej pilnowali dobytku.

— No i? — zapytał kat. — Co o tym sądzicie?

Po raz kolejny zaciągnął się dymem z fajki.

— W każdym razie zabezpieczyli swoje towary, podczas gdy my się z nimi kłóciliśmy— wstał i rozprostował kości.

W końcu mruknął:

— Jedno jest jasne. Ktoś podłożył ogień. Potrzeba dużo wysiłku, by wszystko tak dobrze się paliło. Tu nie wystarczyłaby jedna rzucona pochodnia.

— Podpalenie? — zapytał Simon.

—To pewne jak amen w pacierzu.



—Ale po co?

—Nie wiem, ale jeszcze się tego dowiemy.

Kat wstał, by udać się w stronę mostu. Przechodząc obok, po—  
trząsał głową.

— Ten pożar na pewno ma swoją dobrą stronę — rzucił na od— chodnym.

Simon również się podniósł.

— Jak to?

— Jeśli będą przesłuchiwać w tej sprawie augsburczyków i schongauczy—  
ków, to mam nadzieję, że dla Stechlinowej oznacza to jeszcze chwilę spokoju.  
Wydaje się, że to dobra wiadomość, prawda?

Jakub Kuisl wchodząc na most, zawołał jeszcze:

— Ach, prawie bym zapomniał! Masz zajrzeć do młodego Schreevogla. Ka—  
zał ci przekazać, że jego Klara jest chora. A Magdalenę wyślesz do domu. Zro—  
zumiano?

Simon odwrócił się do córki kata. Dziewczyna uśmiechała się.

—Ojciec cię lubi.

Simon zmarszczył czoło.

—Naprawdę tak myślisz?

— Jasne. W przeciwnym razie już dawno obciąłby ci małego i wrzucił cię do  
rzeki. Tego możesz być pewien.

Simon uśmiechnął się. Później wyobraził sobie, jak by to było, gdyby kat był  
jego wrogiem. Miał nadzieję, że Magdalena się nie myli.

Jakub Kuisl udał się w drogę powrotną do więzienia. Na ulicach panował już  
półmrok. Jedynie woźny sądowy stał jeszcze przed wejściem do lochu. Nakazano  
mu trzymać tu straż, podczas gdy wszyscy pozostali pobiegli do przystani dla  
tratw. Kilku z nich wróciło na chwilę z Georgiem Rieggem i strażnikiem przy—  
stani, by bez słowa zamknąć ich w więzieniu, i z powrotem pobiegli nad rzekę.

Młody stróż sprawiał wrażenie niepewnego. Był chyba jedynym człowiekiem w mieście, który nie wiedział, co się stało. A teraz jeszcze kat wrócił sam. Gdzie byli inni? Pisarz? Świadkowie?

— To już na dziś wszystko — mruknął Kuisl, odsuwając woźnego na bok. — Kończymy. Muszę tylko posprzątać narzędzia. Zamknąłeś Stechlinową?

Woźny sądowy skinął głową. Miał dopiero osiemnaście lat, a jego twarz zniekształcały blizny po ospie. W końcu z ciekawości nie wytrzymał:

— Co się stało w dole? — zapytał.

— Magazyn się spalił — odrzekł Kuisl. — Chcesz zobaczyć?

Woźny sądowy spojrzał niepewnie za siebie, na przedsiónek więzienia. Kat poklepał go po ramieniu.

— Czarownica nie zwieje, zadbam o to. A teraz uciekaj.

Młodzieniec z wdzięcznością kiwnął głową i podał Kuislowi klucz. Po kilku chwilach zniknął za najbliższym rogiem domu.

Kat wszedł do wnętrza więzienia. Natychmiast ogarnął go chłód kamiennych murów. W powietrzu unosił się stęchły zapach uryny i mokrej słomy. W celi po lewej stronie siedzieli Georg Riegg i strażnik mostu. Aby nie prowokować potężnego sąsiedniego miasta bardziej niż to konieczne, augsburskiego woźnicę zamknięto w mniejszej, ale wygodniejszej izbie w budynku Ballenhaus.

Tymczasem schongauczycy sprawiali wrażenie pogodzonych ze swoim losem. Obydwaj rozeszli się do kątów celi i zapadli w drzemkę. Gdy flisak zauważył kata, zerwał się z miejsca i zaczął szarpać za pręty krat.

— Kuisl, no patrz! Zamykają nas razem z czarownicą. Zrób coś, zanim nas zaczaruje — zawołał.

— Stul gębę.

Kat nawet na niego nie spojrzał i poszedł do sąsiedniej celi.

Woźny sądowy znów zamknął Martę Stechlin, jednak łaskawie oddał jej ubranie. Kobieta zaszyła się w kącie, obydwoma rękami

zakrywając ogoloną na łyso głowę. Gdy Kuisl doszedł do prętów kraty, między jego nogami przebiegł szczur.

—Marto, to jest ważne — powiedział. — Spójrz na mnie.

Akuszerka zerknęła w jego stronę.

—Muszę poznać imiona tych dzieci — szepnął.

—Jakie imiona?

Kat położył palec na ustach i wskazał na sąsiednią celę. Później szeptem kontynuował:

— Imiona dzieci, które były u ciebie w noc przed pełnią. Wszystkie bez wyjątku. Jeśli mamy cię stąd wyciągnąć, muszę wiedzieć, co się stało.

Marta Stechlin wymieniła imiona. Było ich pięć. Wszystkie dzieci, poza Peterem Grimmerem, były sierotami. Dwoje z nich już nie żyło.

Zamyślony Jakub Kuisl bębnił palcami w pręty kraty. Te dzieci musiały mieć jakąś tajemnicę. Obojętnie nadepnął na kolejnego szczura, po czym kopnął go do kąta, gdzie zwierzę, piszcząc, dokończyło żywota.

— Do jutra, Marto — powiedział tym razem głośniej.—Jutro może trochę zaboli, ale musisz być silna.

— Ha, będzie wrzask, czarownico! I to już niedługo, oj, niedługo!

Do ich uszu dotarł głos Georga Riegga. Woźnica znów zaczął szarpać za pręty. Jednocześnie trącił nogą drzemiącego strażnika, aż ten gwałtownie zerwał się, patrząc na niego z przerażeniem,

— Siedź cicho, Riegg — szepnął strażnik. — Ciesz się, że nas nie dręcą.

Gdy kat wychodził z więzienia, na zewnątrz panowała już noc.

Kiedy dotarł do najbliższego rogu, stanął jak wryty.

Od strony rynku szli mu naprzeciw ludzie z pochodniami.

Gdy Simon Fronwieser dotarł do domu Schreevoglów, aby dojrzeć chorego dziecka, natychmiast zauważył, że coś jest nie w porządku. Przed drzwiami zbiegło się bowiem tuzin ludzi. Zapadł zmrok, toteż kilku zapaliło latarenki. Migoczące światło malowało na ścianach domów nadnaturalnej wielkości cienie, a twarze gapiów zanurzały się w jego matowym, czerwonym blasku. Ludzie szepotali, co chwila ktoś wskazywał ręką do góry, na pierwsze piętro. Simon usłyszał czyjś głos:

—Wyleciał przez okno i zabrał ją ze sobą. Diabeł wcielony, słowo honoru!

Ktoś inny przeklinał Stechlinową i chciał, by jeszcze dziś cza—rownica spłonęła na stosie.

Tuż nad głową medyka stukwały otwarte na oścież okiennice. Prawa krzywo zwisała na dolnym zawiasie, jakby przytrzymał się jej ciężki człowiek. Na ulicy wały się rozsypane kawałki wypukłego szkła. Z górnej izby dochodziło szlochanie kobiety. Właśnie wydała z siebie tak wysoki, bolesny okrzyk bólu, że Simon myślał, iż rozprysną się też pozostałe szyby.

Medyk utorował sobie drogę przez tłum i udał się na szerokie, obłożone ciężkimi dywanami schody, prowadzące na pierwsze piętro. Krzyk dochodził z izby położonej po lewej stronie, przed którą stała blada jak trup służba. Służąca mamrotała modlitwy, przesuwając między palcami paciorki różańca. Simon obejrzał zniszczone drzwi. Ktoś roztrzaskał cienkie drewno pośrodku, na dywanie leżały drzazgi. Przez dziurę wydłubaną na wysokości piersi Simon dostrzegł leżącą na brzuchu na łóżku Marię Schreevogl, która wczepiła palce w puchową kołdrę, a głowę przycisnęła do poduszki. Jakub Schreevogl siedział obok niej na krawędzi łóżka i gładził ją po włosach, mamrocząc uspokajające słowa. Dwa krzesła w

pokoju były przewrócone, obraz Marii Dziewicy leżał w połamanej ramce na podłodze. Wzdłuż jej dobrotliwie uśmiechniętej twarzy widniał odcisk buta.

Gdy Jakub Schreevogl zauważył stojącego w zniszczonych drzwiach medyka, skinął w jego stronę i zaprosił do środka.

— Jeśli chcieliście dojrzeć naszej chorej Klary, to przychodzicie za późno — szepnął.

Simon zauważył, że mężczyzna też płacze. Twarz młodego rajcy była jeszcze bledsza niż zazwyczaj. Łukowaty, trochę za duży nos sterczał pod czerwonymi od łez oczami, a zwykle starannie uczesane blond włosy sprawiały wrażenie matowych i w nieładzie opadały na czoło.

— Co się stało? — zapytał Simon.

Maria Schreevogl znów zaczęła płakać:

— Diabeł ją zabrał! Przyleciał do pokoju i zabrał naszą Klarę... Reszta słów przeszła w szlochanie.

Jakub Schreevogl potrząsał głową.

— Dokładnie nie wiemy, co się stało — powiedział. — Ktoś musiał ją... porwać. Otworzył drzwi wejściowe na dole, chociaż były zamknięte na klucz. Później wyważył drzwi na górze, złapał naszą małą Klarę i najwyraźniej wyskoczył z nią przez okno.

— Przez okno? — Simon zmarszczył czoło, po czym podszedł do futryny okiennej i spojrział w dół. Dokładnie pod nim stał wózek z sianem.

Medyk skinął głową. Wykonując ryzykowny skok, można by dostać się na dół, nie łamiąc sobie przy tym wszystkich kości.

— Jeden z ludzi stojących na ulicy stwierdził, że ktoś — lub coś odleciało z małą Klarą — powiedział Simon, spoglądając na zgromadzony w dole tłum. Wściekłe buczenie docierało aż do jego uszu. — Czy są na to naoczni świadkowie?

— Podobno Anton Stecher widział to na własne oczy — odrzekł Schreevogł, dalej trzymając za rękę swoją żonę, która cicho popłakiwała. Potrząsnął głową. — Do tej pory myślałem, że ta sprawa z dziećmi i zabójstwami ma jakieś naturalne wyjaśnienie, ale teraz...

Głos Schreevogła zaczął się rwać. Mężczyzna odwrócił się do Simona.

— Jak sądzicie? — zapytał medyka.

Simon wzruszył ramionami.

— Nie wierzę w nic, czego nie zobaczę na własne oczy. A widzę, że dokonano tu włamania i że zniknęło dziecko.

— Ale drzwi na dole były zamknięte na klucz.

— Dla wprawnego mężczyzny z wytrychem nie ma nic łatwiejszego.

Schreevogł skinął głową.

— Rozumiem — powiedział. — W takim razie Anton Stecher chyba kłamał.

— Niekoniecznie — odrzekł Simon, wskazując na stojący pod oknem wózek z sianem. — Sądzę, że wyglądało to tak: jakiś mężczyzna wszedł do środka, używając wytrycha. Klara usłyszała go i zaryglowała drzwi do swojego pokoju. On wyłamał drzwi, doszło do walki. W końcu wyskoczył z Klarą przez okno, dokładnie na wózek z sianem. A później z nią uciekł.

Schreevogł zmarszczył czoło.

— Ale po co miałyby skakać z dzieckiem przez okno? Przecież mógł wyjść drzwiami?

Simonowi nie przyszła chwilowo do głowy żadna odpowiedź.

Zamiast tego zapytał:

— Klara była sierotą, prawda?

Schreevogł skinął głową.

— Jej rodzice zmarli pięć lat temu. Miasto przydzieliło nam ją jako podopieczną. Ale myśmy traktowali ją tak samo jak nasze własne dzieci. Moja żona nawet wyjątkowo ją lubiła...

W oczach stanęły mu łzy, które pospiesznie starł. Jego małżonka odwróciła się plecami do mężczyzny i cicho łkała w poduszkę.

Tymczasem stojący na dworze tłum powiększał się, dało się słyszeć tumult. Simon wyrzwał na zewnątrz. Nowo przybyli przynieśli ze sobą pochodnie. Zdało się, że na dole zaczyna się coś dziać.

Medyk zastanowił się. Anton Kratz też był podopiecznym, Peter Grimmer wychowywał się bez matki. Noc przed pełnią księżyca wszyscy spędzili u Stechlinowej...

— Czy wasza Klara często zaglądała do akuszerki Marty Stechlin? — rzucił pytanie w kierunku patrycjusza.

Jakub Schreevogl wzruszył ramionami.

— Nie wiem, gdzie się włóczyła. Możliwe...

— Często chodziła do akuszerki — przerwała mu żona. Głos Marii Schreevogl zabrzmiał teraz mocniej. — Sama mi opowiadała, że spotykali się u niej. Ale nie zwróciłam na to szczególnej uwagi...

— Tego ranka przed dwoma dniami — dopytywał się Simon — gdy zmarł mały Grimmer, uderzyło was coś w zachowaniu Klary?

Jakub Schreevogl przez chwilę się zastanawiał, w końcu skinął głową:

— Była bardzo blada, nie chciała nic zjeść na śniadanie. Myśleliśmy, że to początek gorączki. Ostatecznie dzień później rozchorowała się. Gdy usłyszała o małym Peterze, poszła na górę do swojego pokoju i nie wychodziła stamtąd aż do wieczora. Pomyśleliśmy, że nie będziemy jej przeszkadzać. W końcu Peter był jej towarzyszem zabaw.

— Ona miała ten znak.

— Co? — słowa te wyrwały Simona z zamyślenia.

Maria Schreevogl podniosła głowę, patrząc w próżnię. Później powtórzyła:

— Ona miała ten znak.

Jakub Schreevogl spojrział na żonę z niedowierzaniem.



— Co ty mówisz? — wyszeptał.

Maria Schreevogl dalej patrzyła przed siebie w ścianę, mówiąc:

— Tego wieczoru myłam ją w cebrze. Myślałam, że gorąca kąpiel z dodatkiem ziół wypędzi gorączkę. Wzbraniała się, ale w końcu zdjęła ubranie. Próbowwała schować plecy pod wodą, ale ja zobaczyłam ten znak. Ten sam, o którym wszyscy teraz gadają. Wprawdzie całkiem wyblakły, ale mimo to jeszcze wyraźny.

Głos Simona niemal odmówił mu posłuszeństwa.

— Koło z krzyżykiem skierowanym do dołu? — zapytał w końcu. Maria Schreevogl skinęła głową.

Zapadła długa cisza. Słysząc było tylko wściekłe krzyki zgromadzonego na zewnątrz tłumu. W końcu Jakub Schreevogl zerwał się z miejsca. Jego twarz była czerwona jak rak.

— Dlaczego nic mi nie powiedziałaś, do diabła? — krzyknął.

Jego żona znów zaczęła płakać.

— Ja... ja... nie chciałam przyjąć tego do wiadomości. Sądziłam, że jeśli nie będę o tym myśleć, to znak zniknie... — zaszlochała.

— Ty głupia krowo! Być może udałoby się nam ją uratować! Moglibyśmy z nią porozmawiać i zapytać, co znaczy ten znak. Teraz jest już na to za późno!

Jakub Schreevogl wybiegł z pokoju i zniknął w sąsiedniej izbie, zatrzaskawszy za sobą drzwi. Simon pospieszył za nim. Gdy stał na schodach, usłyszał dobiegające z dołu głośnie wołanie.

— Naprzód! — krzyknął ktoś. — Przyprowadzimy ją sobie! Medyk zmienił plan. Zbiegł po schodach i na zewnątrz natknął się na zgraję uzbrojoną w pochodnie, kosy i piki, która właśnie udawała się w kierunku Munzstrasse. Wśród tłumu rozpoznał także kilku woźnych sądowych. Jednak pisarza sądowego i innych rajców nie było widać.

— Co zamierzacie? — krzyknął Simon za zgrają.

Jeden z prowodyrów odwrócił się. Był to garbarz Gabriel, który onegdaj doniósł Simonowi o wypadku małego Grimmera.

— Pójdziemy po czarownicę, zanim zabierze jeszcze więcej naszych dzieci — powiedział. W świetle płonących pochodni jego twarz sprawiała wrażenie dziwnie wykrzywionej. W ciemności błyszczały białe zęby.

— Ale Stechlinowa siedzi w więzieniu! — Simon próbował go uspokoić. — Poza tym ten, kto porwał Klarę, był podobno mężczyzną.

— To był diabeł! — ryknął ktoś inny.

Simon rozpoznał głos Antona Stechera, naocznego świadka, który rzekomo widział porywacza.

— Miał białą, kościotrupią rękę i fruwał! Stechlinowa go tu sprowadziła swoimi czarami! — wrzeszczał, biegnąc za pozostałymi.

— Toć to bzdura! — Simon krzyknął w ciemność, ale nikt nie zwracał na niego uwagi.

Nagle za plecami usłyszał dudniące kroki. Jakub Schreevogl zbiegł w pośpiechu po schodach, trzymając latarenkę w prawej ręce, a szpadę w lewej. Zdało się, że odzyskał panowanie nad sobą.

— Musimy iść za nimi, nim dojdzie do rozlewu krwi — powiedział. — Oni przecież nie panują nad sobą.

Był już na Munzstrasse, gdy Simon zdecydował się pójść w jego ślady. Już w biegu zwrócił się do rajcy:

— Zatem też nie wierzycie w czary? — zapytał.

— W nic już nie wierzę — wysapał Schreevogl, gdy skręcali w Weinstrasse. — Ani w diabła, ani w dobrego Pana Boga. A teraz pospieszmy się, zanim wyważą drzwi do więzienia!

Pisarz sądowy Johann Lechner cieszył się na myśl o ciepłej kąpiel. W kuchni na podwórzu nakazał służbie nagrzać kocioł wody. Stojący w izbie drewniany ceber był już wyłożony prześcieradłami i do połowy napełniony gorącą wodą. Lechner zdjął kaftan i spodnie, złożył je i zawiesił na krześle, po czym z błogim dreszczykiem wszedł do wody pachnącej tymiankiem i lawendą. Na podłodze leżał rozsypany chrust i sitowie.

Pisarz pilnie potrzebował tej kąpiel, by móc porozmyślać.

Ostatnie wydarzenia następowały po sobie, zmieniając się jak w kalejdoskopie. Dwoje dzieci nie żyło, zaś magazyn poszedł z dymem. Lechner nie miał jeszcze pewności, czy między tymi faktami istniał jakiś związek. Możliwe, że augsburczycy podpalili magazyn, bowiem monopol transportowy schongauczyków od dawna był im solą w oku. A czy lata temu nie dopuścili się podobnego występku? Pisarz postanowił zajrzeć do akt.

Podjęcie, że augsburscy flisacy zabili dzieci z Schongau wydawało mu się jednak mocno naciągane. Z drugiej strony... spalony magazyn, przerażające zabójstwa, w niedalekiej przyszłości budowa tego przeklętego przytułku pod miastem, bo tak uroił sobie Kościół... Zaiste, istniało wiele powodów, by obecnie unikać Schongau i wybierać inne trasy podróży. W tym względzie to głównie augsburczycy korzystali ze wszystkich okropieństw dziejących się w mieście. W trakcie swej długiej kariery pisarza w radzie, oprócz wielu innych rzeczy, Lechner nauczył się jednego: jeśli chcesz wiedzieć, kto jest za coś odpowiedzialny, zastanów się, komu sprawa przynosi korzyści.

„*Cui bono ...?*”

Lechner zanurzył głowę w ciepłej wodzie, rozkoszując się otaczającym go ciepłem i ciszą. Nareszcie spokój, żadnej gadaniny, żadnych jazgoczących rajców, dbających tylko o swoje korzyści, żadnych intryg. Po minucie skończyło mu się powietrze i parsając, musiał wynurzyć się na powierzchnię.

Niezależnie od tego, czy między pożarem a zabójstwami istniał jakiś związek, pisarz dysponował pewnym środkiem, który pozwoliłby mu na nowo zaprowadzić spokój w jego mieście: Stechlinowa musiała się przyznać. W płomieniach stosu wszystkie problemy rozwiązałyby się jak dym. Już jutro będzie kontynuować przesłuchanie, nawet jeśli bez decyzji z Monachium było ono bezprawne.

Być może problem przesłuchania kłótliwego schongauczyka Riegga i tego bezczelnego augsburczyka sam się rozwiąże. Flisak Fuggerów! Jakby coś takiego robiło wrażenie na nim, Lechnerze! Już przez sam wzgląd na aroganckie zachowanie flisaka chętnie pottrzymałby go pod kluczem w Ballenhaus jeszcze przez kilka dni.

Nagle rozległo się pukanie do drzwi. Do środka wszedł służący, który przyniósł kolejne parujące wiadro. Lechner skinął do niego uprzejmie i potok gorącej wody rozlał się po skurczonych plecach pisarza. Gdy służący oddalił się, Lechner chwycił za ryżową szczotkę. Tymczasem pukanie rozległo się po raz drugi. Zdeenerwowany pisarz wypuścił szczotkę z rąk.

— Go jest? — burknął w kierunku drzwi.

— Mój panie, wybaczenie, jeśli przeszkadzam... — zabrzmiał wystraszony głos służącego.

— Co się dzieje, niech powie!

— Doszło do nowego incydentu. Mówi się, że... diabeł odleciał z małą Klarą Schreevogl, a teraz ludzie biegną do więzienia i chcą spalić Stechlinową. Mają piki, lance i pochodnie...

Z przekleństwem na ustach pisarz wrzucił szczotkę do wody i chwycił za suche prześcieradło. Przez krótką chwilę myślał o tym, by po prostu pozwolić na rozwój wypadków. Im szybciej Stechlinową spaliłaby się na stosie, tym lepiej. Ale zaraz przyszło mu do głowy, że wciąż jeszcze był w Schongau uosobieniem prawa.

W pośpiechu założył koszulę. Stechlinową powinna spłonąć, jednak dopiero wtedy, gdy on wyda taki rozkaz.

Kat zobaczył tłum i w tej samej chwili domyślił się, dokąd on zmierza. Odwrócił się, pobiegł z powrotem kilka metrów i z szeroko rozstawionymi nogami stanął przed wejściem do więzienia. W potężnej wieży były tylko jedne drzwi. Kto zatem chciał dostać się do Stechlinowej, musiał teraz przejść obok kata. Ze zmrużonymi oczami i skrzyżowanymi rękami Kuisl czekał na grupę, która tymczasem powiększyła się o kolejny tuzin mężczyzn. W blasku pochodni rozpoznał tych co zwykle awanturników. W pierwszym rzędzie maszerował piekarz Michael Berchtholdt. Wśród zgromadzonych znajdowało się także kilku synów rajców. Dostrzegł nawet najmłodszą latorośl burmistrza Semera. Wielu członków zgrai miało w rękach piki i kosy. Na widok kata mężczyźni zatrzymali się. Rozległ się pomruk. Berchtholdt zwrócił się do niego z szerokim uśmiechem, jakby domagał się uznania:

— Wyprowadzimy sobie czarownicę — wrzasnął. — Dawaj klucz, Kuisl, bo w przeciwnym razie zdarzy się nieszczęście.

Wokoło rozległy się aprobujące okrzyki, z ciemności poleciał w stronę kata kamień, który odbił się od jego piersi. Kuisl nie cofnął się nawet o centymetr. Zamiast tego mierzył Berchtholdta chłodnym, pogardliwym wzrokiem.

— Czy to mówi wybrany świadek dzisiejszego przesłuchania, czy też buntownik, którego jeszcze tej nocy powieszę na najbliższym drzewie?

Z twarzy piekarza nagle znikł szyderczy uśmiech. Po chwili jednak mężczyzna znów odzyskał rezon:

— Chyba jeszcze nie słyszałeś, co się stało, Kuisl — odrzekł. — Stechlinowa zawołała diabła, a ten odleciał z małą Schreevoglówną.

Obejrzał się na kilku swoich towarzyszy.

— Jeśli się nie pospieszymy, to on odleci też z czarownicą. A może już jej tu nie ma.

Tłum zaczął szemrać i zbliżać się do ciężkich, żelaznych drzwi, których kat bronił swoimi szerokimi ramionami.

— Wiem tylko, że wciąż jeszcze panuje tutaj prawo — powiedział mimochodem Jakub Kuisl. — A nie kilku głupich chłopów, którzy ciągną przez miasto z kosami i cepami, napędzając strachu porządnym obywatelom.

— Uważaj, Kuisl — zabrał teraz głos Stecher. — Jest nas wielu, a ty nawet nie masz pałki. Nim się obejrzysz, zatłuczemy cię na śmierć, a później będziesz się palił z czarownicą!

Kat uśmiechnął się, podnosząc prawą rękę.

— To jest moja pałka — odparł. — Chce ktoś poczuć ją na swoich plecach? Żaden nie chce?

Ludzie milczeli. Jakub Kuisl był znany ze swej siły i kto miał okazję zobaczyć, jak podnosił złodzieja do pętli lub zamachiwał się katowskim mieczem, który długością odpowiadał wzrostowi człowieka, ten nie chciał wdawać się z nim w żadne kłótnie. Posadę po ojcu objął dopiero przed piętnastoma laty. Wcześniej był podobno na wielkiej wojnie, na której zabił więcej ludzi, niż zmieściłoby się na starym schongauskim cmentarzu.

Zwarty tłum cofnął się o metr. Później zapanowała cisza. Kat stał w miejscu niczym drzewo.

W końcu Anton Stecher rzucił się do przodu. Miał w ręku cep, którym zamierzył się na Kuisla.

— Precz z czarownicą! — krzyknął.

Kat uchylił się od ciosu, wykonując mały obrót ramionami, następnie chwycił za trzonek i przyciągnął Stechera do siebie. Później uderzył go w nos i odrzucił z powrotem w tłum niczym mokry worek. Ludzie odsunęli się na bok.

Stecher upadł na ziemię, a na kamienie brukowe trysnęła strużka krwi. Jęcząc, chłop poczołgał się poza krąg światła.

— Jeszcze ktoś? — zapytał Kuisl.

Ludzie niepewnie spoglądali na siebie. Wszystko odbyło się tak szybko, tłum szeptał. Stojący z tyłu jako pierwsi zaczęli gasić latarenki i wymykać się do domu.

Nagle z oddali dał się słyszeć rytmiczny odgłos. Jakub Kuisl nadstawił uszu. Od strony zamku dobiegał tupot stóp maszerujących po bruku. W asyście grupy żołnierzy pojawił się w końcu pisarz Lechner wraz z pierwszym burmistrzem.

W tej samej chwili przybyli Simon i Jakub Schreevogl. Gdy młody rajca zobaczył pisarza sądowego, z powrotem włożył szpadę do pochwy.

— Bogu niech będą dzięki — wysapał. — Jeszcze nie jest za późno. Lechnerowi można wiele zarzucić, jednak trzeba przyznać, że ma kontrolę nad swoim miastem.

Simon obserwował, jak żołnierze zbliżają się do zgrai z wyciągniętymi lancami. W oka mgnieniu buntownicy odrzucili swą broń, bojaźliwie rozglądając się wokoło.

— Już wystarczy! — zawołał Lechner. — Idźcie do domu! Kto teraz odejdzie, temu nie stanie się krzywda.

Jeden po drugim znikali w ciasnych uliczkach miasta. Młody Semer podbiegł do swojego ojca, który przytknął go w głowę i kazał iść do domu. Simon patrzył na to zdumiony. Młokos niemal popełnił morderstwo, a pierwszy burmistrz wysłał go do domu na kolację... Życie Stechlinowej nie było, jak widać, warte ani grajcara.

Burmistrz Semer dopiero teraz zauważył kata, który wciąż jeszcze stał na warcie przed więzieniem.

— Dobra robota! — zawołał w jego stronę. — Wkońcu nadal rządzi tutaj rada, a nie ulica.



Zwróciwszy się do pisarza sądowego, kontynuował:

— Choć jestem w stanie zrozumieć tych ludzi. Dwoje martwych dzieci i porwana dziewczynka... Większość z nas też ma rodziny. Przyjdzie czas, że położymy kres tej sprawie.

Pisarz skinął głową.

— Jutro — powiedział. — Jutro będziemy wiedzieć więcej.

Diabeł kuśtykał przez ulice, wystawiając nos do wiatru, jakby chciał wywęszyć zapach swojej ofiary. Zatrzymywał się w ciemnych kątach i nasłuchiwał, zaglądał pod każdy wóz, szperał w każdej kupie gnoju. Nie mogła zniknąć, niemożliwe, by się mu wymknęła.

Nagle rozległ się dźwięk, nad jego głową ktoś otworzył okno. Diabeł przywarł do ściany domu. Za sprawą swego czarnego płaszcza był w nocy niemal niewidoczny. Też przed nim chlusnęła na ulicę fala moczu, po czym okno znów się zamknęło. Diabeł naciągnął mocno płaszcz i udał się na dalsze poszukiwania.

Z oddali dochodziły krzyki, ale nie odnosiły się do niego, lecz do uwięzionej kobiety. Słyszał, że ludzie wierzą, że to ona sprowadziła go swymi czarami. Zachciało mu się śmiać. Niezłe przedstawienie. Jaka czarownica wygląda? Cóż, wkrótce chyba zobaczy ją na własne oczy. Teraz musi jednak zadbać o to, by dostać swoje pieniądze. Inni na dworze chyba już wykonali swoje zadanie, podczas gdy on tutaj sprzątał. Splunął. Znów zostawili mu brudną robotę. A może sam tego chciał? Przed oczami pojawiły mu się cienie, krwawe zjawy, obrazy... Krzyżące kobiety z rozwierającymi się dziurami, w miejscu których powinny mieć piersi. Rozgruchotane jak zabawki ciała niemowląt, leżące pod zwęglonymi resztkami murów, księża bez głów w zakrwawionych sutannach...

Starł ręką z powiek te obrazy, a zimne kościste palce ułożył sobie na czole, dzięki czemu poczuł ulgę. Zjawy znikły. Diabeł pomaszerował dalej.

Przy Bramie Krowiej dostrzegł na górze drzemiących strażników. Jeden z nich wsparty o halabardę spoglądał w ciemność nocy. Wokół rozlegało się ciche chrapanie.

Później zauważył położony niedaleko bramy zdziczały ogród. Płot rozpadał się, a stojący za nim budynek był ruiną pozostałą po ostatniej wojnie. Wzdłuż murów ogrodu wił się bluszcz i rdest. Między liśćmi stała ukryta drabina.

Diabeł przeskoczył przez resztki płotu, obserwując podłoże poniżej muru. Zaledwie kilka dni temu skończyła się pełnia światła księżyca było wystarczająco jasne, by w wilgotnej ziemi rozpoznać ślady. Ślady dziecięcych stóp. Diabeł schylił się, wciągając w nozdrza zapach ziemi.

Uciekła mu.

Szybko niczym kot wspiał się po krzywo zbitej drabinie. Na górze, wzdłuż murów miasta, przebiegał gzyms szerokości ramienia. Spojrzał w lewo, skąd wciąż jeszcze dochodził odgłos chrapania strażnika. Odwrócił się w prawo i pobiegł po gzymsie, na którym w regularnych odstępach pojawiały się otwory strzelnicze. Po pokonaniu stu metrów nagle stanął i cofnął się o parę kroków. Jednak się nie pomylił.

Przy jednym z okienek strzelniczych wyrwano kilka cegieł, dzięki czemu powstały w ten sposób otwór był trzykrotnie większy.

Wystarczająco duży jak dla dziecka.

Po drugiej stronie muru wystawał konar dębu. Miał kilka świeżo złamanych gałęzi. Diabeł włożył głowę do otworu, wciągając zapach chłodnego, kwietniowego powietrza.

Będzie jej szukał aż do skutku. Może potem znikną również obrazy.



**Piątek,**

**27 kwietnia Roku Pańskiego 1659,**

godzina 5 rano

Tego ranka panował chłód, na łąkach wokół miasta leżała cienka warstwa szronu, a nad doliną rzeczną unosiły się opary gęstej mgły. Od strony kościoła pod wezwaniem Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny dobiegał dźwięk porannych dzwonów.

Mimo wczesnej godziny na brunatnych polach podobnych do rombów, leżących po drugiej stronie rzeki, pracowali pierwsi chłopci. Z pochylonymi plecami ciągnęli pługi i brony po częściowo jeszcze zamarzniętej ziemi, a przy każdym oddechu wydobywały się z ich ust małe, białe obłoczki pary. Kilku chłopów zaprzęło woły, które teraz pędzili przed sobą, głośno przeklinając. Pierwsi handlarze ciągnęli w stronę Bramy Krowiej i bramy prowadzącej z miasta nad Lech wózki załadowane klatkami z gęgającymi gęsiami i kwiczącymi prosiakami. Na dole przy moście zmęczeni woźnice przymocowywali do tratwy tuzin beczek. Teraz, o godzinie piątej, znów otworzono bramy, a miasto budziło się do życia.

Jakub Kuisl stał przed swoim domem położonym poza murami miasta i obserwował poranne ożywienie. Lekko chwiało się w jedną i w drugą stronę, a w gardle czuł pieczenie. Jeszcze raz podniósł do suchych warg dzbanek tylko po to, by znów stwierdzić, że jest on pusty. Cicho przeklinając, cisnął go w kupę gnoju,

tak iż wystraszone kury zatrzepotały skrzydłami i mimo wczesnej godziny zaczęły gdakać.

Ciężkim krokiem kat podreptał trzydzieści metrów w dół do sadzawki. Przy sitowiu pozbył się spodni i kaftana i trzęsąc się z zimna, stanął przy brzegu. Odechnął głęboko, po czym bez wahania skoczył z drewnianej kładki do wody.

Chłód kłuł niczym ostrza igieł, na chwilę pozbawiając go zmysłów, jednocześnie przywrócił mu trzeźwość umysłu. Po kilku energicznych pływackich ruchach uczucie zdrętwienia w jego głowie ustało, zmęczenie znikło, a on sam poczuł się znowu świeży i rześki. Wiedział, że to uczucie potrwa krótko i wkrótce ustąpi miejsca przytłaczającemu zmęczeniu. Aby temu zapobiec, wypadałoby znowu sobie wypić.

Jakub Kuisl chlał bowiem całą noc. Zaczął od wina i piwa, zaś we wczesnych godzinach rannych przerzucił się na wódkę. Jego głowa wielokrotnie opadała na blat stołu, jednak kat wciąż się prostował i od nowa przystawiał dzban do ust. Anna Maria Kuisl kilka razy zaglądała do zadymionej kuchni, jednak wiedziała, że nie może pomóc swemu mężowi. Podobne ekscesy zdarzały się w regularnych odstępach czasu, a protesty nie przynosiły rezultatu, doprowadzały go tylko do pasji i zachęcały do jeszcze większego picia. Zatem pozwalała mu na takie zachowanie, wiedząc, że ma ono swój kres. Ponieważ kat zawsze pił w samotności, niewielu ludzi zdawało sobie sprawę z jego okresowych popijaw. Jednak Anna Maria była w stanie dość dokładnie przewidzieć, kiedy znów nadejdzie pora na wypitkę. Najgorzej było wtedy, gdy zbliżał się czas egzekucji lub tortur. Kat niekiedy krzyczał w delirium, wczepiał paznokcie w blat stołu, a jego mózg opanowywały koszmary.

Dzięki swej tężyznie Jakub Kuisl miał imponująco mocną głowę. Jednak tym razem zdawało się, że alkohol nie chce ustąpić z jego żył. Gdy po raz kolejny przepłynął małą sadzawkę dla kaczek, poczuł, że znów ogarnia go strach.

Wskoczył na drewnianą kładkę, szybko założył ubranie i udał się w powrotną drogę do domu.

W kuchni zaczął szukać po szafkach czegoś, co nadawałoby się do wypicia. Gdy nic nie znalazł, pobiegł do swojej izby aptekarskiej. Na lewej górnej półce szafy o wysokości człowieka natknął się na fiolkę, której zawartość miała jaskrawozielony połysk. Kuisl uśmiechnął się. Wiedział bowiem, że syrop na kaszel w większej części składa się z alkoholu. Dodatek w postaci ziół w jego obecnym stanie mógł tylko wyjść mu na zdrowie. Zwłaszcza mak lekarski powinien wpłynąć nań uspokajająco.

Kat przechylił głowę i skropił wyciągnięty język, chcąc delektować się każdą kroplą mocnego płynu.

Skrzypienie drzwi kuchennych sprawiło, że zatrzymał się. Stała w nich jego żona, przecierając zaspane oczy.

—Znowu pijesz? — zapytała. — Mógłbyś już przestać...

—Zostaw mnie, kobieto. Widocznie tego potrzebuję. Ponownie przystawił buteleczkę do ust i opróżnił ją jednym haustem. Otarłszy wargi, poszedł do kuchni i chwycił piętękę chleba leżącego na stole. Od wczorajszego południa nic nie jadł.

— Musisz iść do Stechlinowej? — zapytała Anna Maria, która wiedziała, że jej męża czeka ciężka droga.

Kat potrząsnął głową.

— Jeszcze nie teraz — odrzekł z pełnymi ustami.— Dopiero po południu. Wielmożni panowie muszą najpierw naradzić się, co zrobić ze sprawą magazynu. Teraz są przecież jeszcze inni do przesłuchania.

— Czy też masz ich...?

Zaśmiał się krótko.

— Nie wierzę, żeby furmanowi od Fuggerów dali poczuć rozpalone żelazo. A Georga Riegga zna tu każdy. Ma pewnie swoich obrońców.

Anna Maria westchnęła.

— Zawsze spotyka to biednych ludzi.

Kat ze złością uderzył w stół, a stojące na nim kufle piwa i kieliszki niebezpiecznie się zachwiały.

—Niewłaściwych to spotyka, a nie biednych. Niewłaściwych!

Żona położyła mu od tyłu ręce na ramionach.

—Nie możesz tego zmienić, Jakubie. Daj spokój — powiedziała.

Z niechęcią odsunął od siebie dłonie Anny Marii i zaczął tam i z powrotem chodzić po izbie. Przez całą noc łamał sobie głowę, jak mógłby zapobiec temu, co jest nieuniknione. Jednak nie wpadł na żaden pomysł, a alkohol sprawił, że jego myślenie stało się powolne i ociężałe. Nie ma rady, wraz z dźwiękiem dzwonów wybijających dwunastą będzie musiał zacząć torturowanie Marty Stechlin. Gdyby nie poszedł na przesłuchanie, pozbawiono by go urzędu, wraz z rodziną zostałby wypędzony z miasta i musiałby zarabiać pieniądze jako wędrowny cyrulik albo iść na żebrzy.

Z drugiej strony... Marta Stechlin podarowała życie jego dzieciom, był przekonany o jej niewinności. Jak mógłby tę kobietę torturować?

Jego spacer skończył się w izbie przy szafce aptecznej. Stojąca obok skrzynia była otwarta. Kat przechowywał w niej swoje najważniejsze książki. Na samej górze leżała już lekko pożółkła i zniszczona księga ziół greckiego lekarza Dioscoridesa. Było to prastare dzieło, które wciąż nie traciło na aktualności. Idąc za nagłym natchnieniem, kat wziął księgę do rąk i zaczął ją wertować. Jak zwykle podziwiał dokładne rysunki i notatki, w których precyzyjnie opisano setki roślin, uwzględniając każdy listek, każdą łodygę.

Raptem zatrzymał się, a jego palce przesunęły się po kilku liniijkach. Zaczął mrużyć pod nosem. W końcu na jego twarzy zagościł uśmiech. Kat zbiegł na dół, w przelocie chwycił płaszcz, kapelusz i worek.

—Dokąd to się wybierasz? — zawołała za nim żona. — Weź ze sobą przynajmniej jeszcze kawałek chleba!

—Teraz nie mogę! — krzyknął już w ogrodzie. — Czas nagli! Roznieć ogień w piecu, niedługo wrócę!

— Ale Jakubie...

Jednak mąż już jej nie słuchał. W tej samej chwili po schodach zeszła Magdalena z bliźniakami. Barbara i Georg ziewali, obudzeni krzykami ojca i hałasem. Teraz byli głodni.

— Dokąd poszedł ojciec? — zapytała Magdalena, przecierając zaspane oczy.

Anna Maria potrząsnęła głową.

— Nie wiem, naprawdę nie wiem — odrzekła, wlewając mleko dla maluchów do stojącego na kuchni garnka. — Wertował księgę ziół, a później wybiegł, jakby go pszczoła użądliła. To chyba ma coś wspólnego ze Stechlinową.

— Ze Stechlinową?

Nagle Magdalena coś sobie przypomniała. Spojrzała za ojcem, który właśnie zniknął za wierzbami przy sadzawce. Nie zastanawiając się dłużej, złapała ze stołu ostatnią piątkę chleba i pobiegła za nim.

— Magdaleno, zostań! — krzyknęła matka.

Widząc, jak jej córka pędzi w kierunku sadzawki, wzruszyła tylko ramionami i znów wróciła do dzieci.

— Cały ojciec — mruknęła — Oby tylko nie przyniosło to jakiegoś nieszczęścia...

Simona obudziło stukanie do drzwi izby sypialnej, które usłyszał we śnie. Teraz, gdy otworzył oczy, zorientował się, że był to nie tylko sen, ale i rzeczywi-



stość. Spojrzał w stronę okna. Na dworze panowała jeszcze ciemność. Zaspany, przetarł oczy. Nie był przyzwyczajony do tak wczesnego wstawania. Zazwyczaj spał przynajmniej do czasu, aż dzwony wybiją ósmą.

—Co jest? — stęknął w kierunku drzwi.

—To ja, twój ojciec! Otwórz, musimy pogadać!

Simon westchnął. Gdy jego ojciec wbił sobie coś do głowy, ciężko było go od tego odwieść.

—Poczekaj chwilę! — zawołał.

Usiadł na krawędzi łóżka, odsunął z twarzy czarne kosmyki i starał się odzyskać świadomość.

Po wczorajszych zamieszkach odprowadził jeszcze do domu Jakuba Schreevogla. Młody rajca potrzebował pocieszenia i kogoś, kto by go wysłuchał. O Klarze opowiadał do samego rana. O jej miłym, uprzejmym usposobieniu oraz o tym, jaka była uważna i żądna wiedzy, o wiele bardziej niż jej leniwe niekiedy przyrodnie rodzeństwo. Simon odniósł niemal wrażenie, jakby Jakub Schreevogl bardziej kochał Klarę niż swoje własne dzieci.

Maria Schreevogl dostała od młodego medyka silny środek nasenny i odpowiednią porcję wódki, po czym zaraz poszła do łóżka, usłyszawszy jeszcze od Simona pocieszenie, że Klara z pewnością wkrótce się odnajdzie.

Reszta wódki powędrowała do gardeł medyka i Jakuba Schreevogla. Na koniec rajca wszystko mu o sobie opowiedział, o swoich kłopotach z często milczącą i zatroskaną żoną oraz o obawach, że nie będzie w stanie pokierować z zyskiem interesami swego zmarłego niedawno ojca. Stary Schreevogl był znany jako dziwak, ale również człowiek oszczędny i sprytny, doskonale dający sobie radę ze swoimi ludźmi. Niełatwo było pójść w ślady takiego ojca — zwłaszcza w wieku ledwo trzydziestu lat. Stary Schreevogl wypracował sobie wysoką pozycję. Inni członkowie gildii zazdrościli mu szybkiego sukcesu, toteż argusowym

okiem obserwowali teraz poczynania jego syna. Jeden nieuważny krok i rzuciliby się na niego niczym sępy.

Akurat przed nagłą śmiercią staruszka, który odszedł z tego świata z powodu gorączki, Jakub Schreevogl poróżnił się z nim. Powodem tego była drobnostka — fura spalonych płytek, jednak sprzeczka była tak gwałtowna, że Ferdynand Schreevogl raptem zmienił swój testament. Kawałek ziemi położony przy drodze prowadzącej do Hohenfurch, na którym junior już zaplanował postawić kolejny piec do wypalania, dostał się w ręce Kościoła. Na łożu śmierci starzec chciał jeszcze coś mu wyszeptać, ale mamrotanie przeszło w ostatnie pokasływanie. Kaszel lub śmiech.

Jakub Schreevogl do dziś nie był pewien, jak jego ojciec pożegnał się z tym światem.

Wspomnienie ostatniej nocy krążyło Simonowi po głowie, która pulsowała i bolała od alkoholu. Musiał napić się kawy i to szybko. Zastanawiał się tylko, czy ojciec da mu na to trochę czasu. Właśnie usłyszał ponowne pukanie do drzwi.

— Już! — zawołał Simon, wskakując w spodnie i zapinając sobie kaftan. Na drodze do drzwi potknął się o wypełniony nocnik, którego zawartość rozlała się po deskach na podłodze i zmoczyła mu palce. Klnąc, odsunął rygiel, gdy drzwi gwałtownie otworzyły się i uderzyły go w głowę.

— Wreszcie! Co się tak zamykasz? — powiedział ojciec i szybkim krokiem wszedł do pokoju Simona. Jego spojrzenie prześlizgnęło się po leżących na biurku książkach.

— Skąd je masz?

Simon trzymając się za bolącą głowę, usiadł na łóżku, by założyć buty.

— Chyba nie chcesz wiedzieć — mruknął.

Zdawał sobie sprawę z tego, że wszystkie książki pożyczane od kata ojciec uważał za dzieła szatana. Sytuacji nie polepszał też fakt, że książkę, która leżała otwarta na samym wierzchu, napisał jezuita. Athanasius Kirchner

był Bonifazowi Fronwieserowi osobnikiem równie mało znanym, co i Sanctorius czy Ambroise Pare. Również tu, w Schongau, staruszek pozostał chirurgiem polowym. Jego medyczne działania opierały się jedynie na doświadczeniu zdobytym na inwalidach wojennych. Simon jeszcze dobrze pamiętał, jak jego ojciec polewał wrzącym olejem rany postrzałowe, a w ramach znieczulenia podawał rannym butelkę wódki. Krzyk żołnierzy towarzyszył mu przez całe dzieciństwo. Krzyk i sztywne zwłoki, które Bonifaz Fronwieser następnego dnia wyciągał z namiotu i posypywał wapnem.

Nadal nie zwracając uwagi na ojca, Simon pobiegł schodami w dół do kuchni. Pospiesznie chwycił stojący obok ognia garnek, w którym chlupotały jeszcze resztki zimnej kawy z poprzedniego dnia. Wraz z pierwszym łykiem odzyskał siły witalne. Simon nie miał pojęcia, jak wcześniej obywatel się bez kawy. To wyśmienity napój, prawdziwy diabelski sok, pomyślał. Gorzki i ożywiający. Słyszał od podróżnych, że po drugiej stronie Alp, w Wenecji i eleganckim Paryżu, niektóre gospody już sprzedają kawę. Westchnął. Przypuszczałnie miną jeszcze wieki, zanim przyjdzie na to czas i w Schongau.

Jego ojciec, tupiąc, schodził po schodach.

— Musimy pogadać! — krzyknął. — Wczoraj był u mnie Lechner.

— Pisarz?

Simon odstawił gliniany kubek i spojrzał z zaciekawiony na ojca.

— A cóż takiego chciał?

— Dowiedział się, że spotykasz się z młodym Schreevoglem. I że mieszasz się do spraw, które nie powinny cię obchodzić. Powiedział, że masz przestać. To do niczego nie prowadzi.

— No, no — Simon dalej sączył swoją kawę.

Ojciec nie dawał za wygraną.

— Lechner powiedział, że to była Stechlinowa i na tym koniec. Stary Fronwieser usiadł teraz blisko niego na ławce przy palenisku. Popiół był już zimny. Simon poczuł kwaśny oddech swojego ojca.

— Posłuchaj — rzekł Bonifaz Fronwieser. — Chcę być z tobą szczerzy. Wiesz, że nie jesteśmy uznanymi obywatelami w tym mieście, nie należymy nawet do tych mile widzianych. Tolerują nas tylko dlatego, że ostatni doktor razem z dżumą poszedł do diabła, a konowały po studiach wolą zostać w dalekim Monachium albo w Augsburgu. Lechner może nas wyrzucić w każdej chwili. I uczyni to, jeśli nie zrezygnujesz. Ty i kat. Nie narażaj życia z powodu jakiejś czarownicy.

Ojciec położył mu na ramieniu zimną, sztywną rękę. Simon cofnął się.

— Stechlinowa nie jest czarownicą — szepnął.

— Nawet gdybyś miał rację — rzekł ojciec — to Lechner chce, żeby nią była, i również dla miasta lepiej, żeby za taką została uznana. Poza tym...

Bonifaz Fronwieser szczerzył zęby w uśmiechu, po ojcowsku klepiąc Simona po plecach:

— Z katem, akuszerką i nami dwoma tak czy siak jest w mieście za dużo tych, którzy chcą żyć z leczenia. Jeśli Stechlinowej już nie będzie, dla nas zostanie więcej roboty. Będziemy mieli z czego żyć. Ty możesz pomagać przy porodach, tę działkę pozostawię wyłącznie tobie.

Simon zerwał się z miejsca. Kubek spadł ze stołu, lądując w palenisku, kawa z sykiem rozlała się w popiele.

— Tylko pieniądze cię interesują! — krzyknął, po czym popędził do drzwi. Ojciec wyprostował się.

— Simonie, ja...

— Czy wy wszyscy zgłupieście, czy co? Nie widzicie, że po mieście grasuje morderca? Myślicie tylko o swoim brzuchu, a tam ktoś zabija dzieci!

Simon trzasnął drzwiami i wybiegł na ulicę. Przestraszeni krzykiem sąsiedzi z ciekawością wyglądali przez okna. Simon spojrzął wściekły w górę:

— Zajmijcie się swoimi sprawami! — krzyknął. — Jeszcze zobaczycie. Jeśli po Stechlinowej zostanie popiół, to wtedy dopiero się zacznie. Później spłonie następna kobieta i jeszcze ktoś, i jeszcze ktoś! I w pewnej chwili przyjdzie kolej na was!

Potrząsając głową, ruszył ciężkim krokiem w dół do dzielnicy garbarzy, ścigany spojrzeniami sąsiadów. Prawdą było to, co mówiono: odkąd syn Fronwiesera zaczął zadawać się z córką kata, zmienił się nie do poznania. Przypuszczalnie go zaczarowała, a przynajmniej zawróciła mu w głowie, co właściwie na jedno wychodziło. Może w Schongau rzeczywiście musi spłonąć na stosie więcej ludzi, żeby wreszcie zapanował spokój.

Sąsiedzi zamknęli okiennice i ponownie zajęli się swoją poranną owsianką.

Jakub Kuisl szedł szybkim krokiem po wąskiej drodze ze swojego domu w dół, nad brzeg. Po kilku minutach wędrówki wzdłuż ścieżki biegnącej w górę rzeki dotarł do mostu nad Lechem.

Nad spalonym magazynem wciąż jeszcze unosiły się opary dymu, a w niektórych miejscach tlił się ogień. Drugi strażnik mostu, Sebastian, siedział na filarze oparty o swoją halabardę. Gdy dostrzegł kata, pozdrowił go znużonym skinieniem głowy. Niski, przysadzisty mężczyzna w chłodne dni zawsze miał pod płaszczem kufel. Dzisiejszego ranka Sebastian wyjątkowo potrzebował trunku. Ponieważ jego kompan siedział teraz w lochu, musiał trzymać straż za dwóch. Najbliższa zmiana warty miała nastąpić dopiero za godzinę, tymczasem on stał tu

już całą noc. Poza tym mógłby przysiąc, że w nocy przemknął bardzo blisko obok niego sam diabeł. Czarny cień, pochylony i kulejący.

— I pomachał do mnie, wyraźnie to widziałem — szepnął Sebastian do kata, całując mały, srebrny krucyfiks, który wisiał mu na szyi na rzemyku.— Miej nas w opiece, święta Maryjo, odkąd grasuje tu Stechlinową, po drodze błakają się duchy piekielne, ja ci to mówię!

Jakub Kuisl uważnie słuchał. Na koniec pożegnał się i przez most udał się w kierunku Peiting.

Błotnista droga wiała się przez lasy. Kat musiał często omijać kałuże i wyrwy, które po ostrej zimie zdawały się wyjątkowo głębokie. W niektórych miejscach droga była nieprzejezdna. Po przebyciu połowy mili minął ciągnięty przez wołu wóz, który utknął w błocie. Chłop z Peiting z trudem pchał go od tyłu, ale nie był w stanie uwolnić kół. Kuisl zatrzymał się i nie zwracając uwagi na spojrzeńia mężczyzny, oparł swe masywne ciało o wóz. Krótkie przesunięcie i koła potoczyły się swobodnie po drodze.

Zamiast podziękować, chłop wymamrotał modlitwę, usilnie starając się nie spoglądać katowi w oczy. Potem popędził do przodu, wskoczył na kozła i zamachnął się bykowcem. Klnąc, Kuisl rzucił za nim kamieniem.

— Zjeżdżaj, głupku! — krzyknął. — Bo powieszę cię na twoim bacie!

Kat przywykł do tego, że wielu ludzi schodziło mu z drogi, jednak wciąż jeszcze nappełniało go to bólem. Nie czekał na wielkie dziękczynienia, ale liczył przynajmniej na miejsce w tyle wozu. Tymczasem musiał dalej wędrować wzdłuż błotnistej drogi, podczas gdy rosnące po jej obydwu stronach dęby dawały ledwie odrobinę cienia. Jego myśli wciąż wracały do Stechlinowej, którą każde kolejne uderzenie dzwonu zbliżało do tortur i płonącego stosu.

„Dziś po południu się zacznie — pomyślał. — Ale może uda mi się ich zwieść...”.



Gdy z lewej strony ukazała się ścieżka uczęszczana przez dzikie zwierzęta, schylony wszedł pod gałęzie do lasu. Drzewa przyjęły go ciszą, która wciąż działała na niego uspokajająco. Można było odnieść wrażenie, że Pan Bóg trzyma nad światem swoją obronną rękę. Poranne promienie słoneczne przedzierały się przez konary i zaznaczały świetlne plamy na miękkim mchu. Tu i ówdzie leżały jeszcze resztki śniegu. W oddali kukała kukułka, a brzęczenie komarów, pszczół i chrząszczy składało się na jeden niekończący się szmer. Kuisl kroczył przez las, zdecydowanie zmierzając do celu, raz po raz tylko zatrzymywał się przy pajęczych sieciach, które niczym maski oblepiały mu twarz. Mech tłumiał odgłos jego kroków. W lesie czuł się naprawdę jak w domu. Gdy tylko było to możliwe, przychodził tu zbierać zioła, korzenie i grzyby. Podobno nikt w Schongau nie miał tak doskonałego rozeznania w świecie roślin jak kat.

Trzask gałęzi sprawił, że Kuisl zatrzymał się. Dźwięk dobiegł z prawej strony, od drogi. Teraz rozległ się ponownie. Ktoś zbliżał się do niego, próbując zrobić to ukradkiem, ale nie zachowywał się przy tym zbyt zgrabnie.

Jakub Kuisl odwrócił się i dostrzegł konar jodły sięgający mu głowy. Wspiął się po nim do góry, aż znikł wśród iglastych gałęzi. Po kilku minutach kroki zbliżyły się. Odczekał, by dźwięki rozległy się tuż pod nim, a później skoczył.

Magdalena usłyszała go w ostatniej chwili. Rzuciła się przed siebie, spoglądając za ojcem, który dokładnie za nią runął na leśny grunt. Krótco przed zderzeniem Jakub Kuisl zdążył się zorientować, kto stoi pod drzewem i potoczył się w bok. Teraz wstał wściekły, strzepując z kaftana śnieg i jodłowe igły.

— Oszalałaś? — syknął. — Czemu biegasz po lesie jak jakiś opryszek? Nie powinnaś zostać z matką i pomagać jej w ucieraniu ziół? Co za uparta baba!

Magdalena przełknęła ślinę. Jej ojciec był znany ze swoich nagłych wybuchów złości. Mimo to, odpowiadając, twardo patrzyła mu w oczy.

— Matka powiedziała, że jesteś tu z powodu Stechlinowej. A ja pomyślałam sobie, że mogłabym ci pomóc.



Jakub Kuisl roześmiał się głośno.

— Pomóc? Ty? Pomóż swojej matce, to już jest wystarczająca robota. A teraz spływaj, zanim podniosę rękę.

Magdalena skrzyżowała ręce na piersiach.

— Nie dam się ot tak, po prostu odprawić jak małe dziecko. Przynajmniej powiedz mi, co zamierzasz. W końcu mnie też Marta pomogła przyjść na świat. Odkąd pamiętam, raz w tygodniu zanosila jej zioła i maści. A teraz mam nie dbać o jej los?

Kat westchnął.

— Magdaleno, wierz mi, tak będzie najlepiej. Im mniej wiesz, tym mniej możesz później rozpowiadać. Wystarczy, że flirtujesz z młodym medykiem. Ludzie już wystarczająco gadają.

Na twarzy Magdaleny pojawił się uśmiech małej dziewczynki, dzięki któremu kiedyś zawsze wyłudzała od ojca coś słodkiego.

— No, ale ty też lubisz Simona?

— Przestań — mruknął. — Co to ma do rzeczy, czy go lubię. Jest synem doktora, a ty jesteś córką kata. A więc trzymaj się od niego z daleka. A teraz idź do domu i pomóż matce.

Magdalena nie zamierzała się jeszcze poddać. Nie mogąc znaleźć słów, rozglądała się po lesie. Za krzakiem leszczyny dostrzegła nagle coś połyskującego na białło.

Czy to nie jest czasem...?

Pobiegła w tę stronę i wykopała biały, gwiazdzisty kwiat. Zabrudzonymi rękami podała go ojcu, który zdumiony trzymał małą roślinę w swoich wielkich łapskach.

— Ciemiernik — powiedział, podnosząc kwiat do nosa i wdychając jego zapach. — Już od dawna nie widziałem ani jednego w okolicy. Wiesz, że podobno czarownice robią z niego maść, która pozwala latać w noc Walpurgii?

Magdalena skinęła głową.

— Opowiadała mi o tym Daubenbergerowa z Peiting. Ona sądzi, że te zabójstwa dzieci mają jakiś związek z nocą Walpurgii.

Ojciec spojrział na nią z niedowierzaniem.

— Z nocą Walpurgii?

Magdalena przytaknęła.

— Jej zdaniem to nie może być przypadek. Za trzy dni odbędzie się sabat czarownic, a wtedy będą one tańczyć i latać na górze przy drodze prowadzącej do Hohenfurch i...

Jakub Kuisl przerwał jej opryskliwie.

— I ty wierzysz w te bzdury? Idź do domu i zajmij się lepiej praniem. Tu nie jesteś mi potrzebna.

Magdalena spojrzała na niego z gniewem.

— Ale przecież sam przed chwilą opowiadałeś, że istnieją czarownice i maści na latanie! — zawołała, kopiąc nogą w przewrócony pień brzozy. — No to jak to w końcu jest?

— Powiedziałem, że ludzie opowiadają sobie takie rzeczy. To zupełnie co innego — odrzekł Kuisl. Westchnął, po czym spojrział poważnie na córkę. — Wierzę, że istnieją źli ludzie — kontynuował.

— Czy to czarownice, czy klechy, jest mi wszystko jedno. Poza tym nie zaprzeczam, są napoje i maści, które pozwalają człowiekowi uwierzyć, że jest czarownicą, i wywołują u niego zło i ruję, jak u kotów. Elixiry, które, niech i tak będzie, umożliwiają latanie.

Magdalena skinęła głową:

— Daubenbergerowa wie, jakie składniki zawiera taka maść. — Dziewczyna zaczęła szeptem wyliczać: — Ciemiernik, alrauna, bieluń dziedzierzawa, lulek czarny, cykuta, wilcza jagoda... Staruszka pokazała mi w lesie dużo ziół. Kiedyś znalazłyśmy nawet czerniec gronkowy.

Jakub Kuisl patrzył z niedowierzaniem.

— Czerniec gronkowy? Jesteś pewna? Przez całe życie nie widziałem jeszcze ani jednego.

— Przysięgam na Najświętszą Panienkę, że to prawda! Wierz mi, tato, znam tu w okolicy każde ziele. Wiele mnie nauczyłeś, a Daubenbergerowa pokazała mi resztę!

Jakub Kuisl spojrział na nią sceptycznie. Zapytał ją o kilka ziół. Znała je wszystkie. Gdy na każde pytanie odpowiedziała zadowolająco, zagał jeszcze o pewną roślinę i o miejsce, gdzie można ją znaleźć. Magdalena przez chwilę zastanawiała się, po czym skinęła głową.

— Zaprowadź mnie tam — powiedział kat. — Jeśli to prawda, opowiem ci o swoich planach.

Po dobrej półgodzinie marszu dotarli do celu. Była to zacieniona leśna polana, otoczona trzcina. Przed nimi znajdowała się wyschnięta sadzawka, z której wystawały kępki trawy. Z tyłu rozciągała się wilgotna łąka, na której w kilku miejscach połyskiwało coś fioletowego. W powietrzu pachniało bagnem i torfem.

Jakub Kuisl zamknął oczy. Między żywicznym zapachem sosnowych igieł a wilgotną wonią bagna dał się wyczuć subtelny aromat czegoś jeszcze.

Miała rację.

Gniew Simona Fronwiesera trochę opadł. Czerwony na twarzy po kłótni z ojcem pobiegł najpierw na targowisko, gdzie przy jednym z wielu straganów zjadł szybkie śniadanie, złożone z kilku plasterków suszonego jabłka i kawałka chleba. W miarę jak żuł łykowate, słodkie krążki, jego wściekłość mija-

ła. Złoszczenie się na ojca zwyczajnie nie miało sensu. Po prostu zbyt mocno się różnili. O wiele ważniejsze było teraz trzeźwe myślenie, bowiem czas naglił.

Patrycjusz Jakub Schreevogl opowiadał mu, że za kilka dni w Schongau pojawi się przedstawiciel księcia elektora, by wydać wyrok. Do tej pory należało odnaleźć winnego, gdyż rajcy nie mieli ochoty ani pieniędzy na to, by przedstawiciela i jego świtę karmić dłużej, niż było to konieczne. Poza tym pisarz sądowy Lechner potrzebował spokoju w mieście. Gdyby do czasu pojawienia się jego ekscelencji Wolfa Dietricha von Sandizella nie zapanował spokój, znacznie osłabiłoby to autorytet pisarza w Schongau. Zatem mieli jeszcze trzy, najwyżej cztery dni, tyle bowiem czasu potrzebował orszak złożony z żołnierzy i służby na dotarcie z położonych daleko w Thierhaupten dóbr do miasta. Gdyby przedstawiciel był już na miejscu, wówczas ani on, Simon, ani kat, ani dobry Bóg nie uchroniłby Marty Stechlin przed ogniem.

Medyk wsunął sobie ostatni plasterzek jabłka do ust i udał się w drogę przez rynek. Wciąż musiał omijać służące i chłopki, które przy straganach szarpały się o mięso, jajka i marchewkę. Niejedna omiatała go tęsknym spojrzeniem, jednak on, nie zwracając na to uwagi, skręcił w Hennengasse, gdzie mieszkali rodzice zastępczy Sophie.

Myśl o rudowłosej dziewczynie nie dawała mu spokoju. Był pewien, że wiedziała więcej, niż chciała przyznać. W jakiś sposób stanowiła klucz do tajemnicy, choć jeszcze nie odkrył roli, jaką odgrywała. Jednak gdy dotarł do małej posiadłości, która wciśnięta między dwa duże domy szachulcowe, czekała na nową warstwę farby, doznał gorzkiego rozczarowania. Sophie nie pojawiła się tu od dwóch dni. Jej przybrani rodzice nie mieli nawet pojęcia, gdzie dziewczyna przebywa.

— Gadzina robi, co jej się podoba — mruknął tkacz Andreas Dangler, pod którego opieką Sophie znajdowała się od śmierci swoich rodziców. — Jak jest w

domu, to ciągle nas obzera, a jak ma iść do roboty, to włóczy się po mieście. Żałuję, że wdałem się w ten interes.

Simon z chęcią przypomniałby Danglerowi o tym, że za opiekę nad Sophie otrzymywał od miasta pokaźne wynagrodzenie, jednak poprzestał na kiwnięciu głową.

Tymczasem Dangler dalej wrzeszczał:

—Wcale bym się nie zdziwił, gdyby była w zмовie z czarownicą — stwierdził, po czym splunął. — Jej matka, żona garbarza Hansa Hormanna, też taka była. Swoimi czarami wpędziła swego chłopca do grobu, a później sama zmarła na suchoty. Dzieciak ciągle grymasił, chciał być kimś lepszym, a nie siedzieć z tkaczami przy jednym stole. Teraz ma za swoje!

Mężczyzna oparł się o futrynę, obracając w zębach małą trzaskę.

— Jeśli chodzi o mnie, to ona nie musi się tu już więcej pojawiać! Przypuszczalnie ulotniła się, żeby jej także nie spotkał los Stechlinowej.

Podczas gdy tkacz dalej lamentował, Simon usiadł na taczkach obok domu i głęboko oddychał. Miał wrażenie, że drepcze w miejscu. Najchętniej dałby wrzeszczącemu Danglerowi w twarz. Zamiast tego przerwał mu pomstowanie.

— Czy ostatnimi czasy coś w Sophie zwróciło twoją uwagę? Była inna?

Andreas Dangler zmierzył go wzrokiem od stóp do głów. Simon zdawał sobie sprawę z tego, że tkacz musiał go uważać za gogusia. W wysokich, skórzanych butach z cholewą, zielonej aksamitnej marynarce i z modnie przystrzyżoną szpicbródką w oczach prostego tkacza wyglądał jak zniewieściały mieszczanin z dalekiej metropolii. Jego ojciec miał rację. Nie był jednym z nich i nie zadawał sobie nawet trudu, by udawać, że jest inaczej.

—A co ci do tego, konowale? — spytał Dangler.

— Podczas torturowania Stechlinowej będę odpowiedzialnym medykiem — zmyślił na poczekaniu Simon. — Zatem chcę sobie wyrobić pogląd, żeby wie-

dzieć, jakie czarodziejskie moce w niej drzemią. No więc, czy Sophie mówiła o Stechlinowej?

Tkacz wzruszył ramionami.

— Kiedyś powiedziała, że chce zostać akuszerką. A gdy moja żona zaniemogła, ta miała pod ręką właściwe środki. Chyba dostała je od Stechlinowej.

— A poza tym?

Andreas Dangler wahał się, później zdawało się, że coś sobie przypomniał. Uśmiechnął się.

— Raz widziałem, jak z tyłu na podwórzu rysowała na piasku taki znak. Jak ją na tym złapałem, szybko go usunęła — powiedział.

Simon nadstawił uszu.

— Jaki znak?

Tkacz przez chwilę zastanawiał się, po czym wyjął z ust trzaskę, p chylił się i narysował coś w kurzu.

— Tak mniej więcej wyglądał — powiedział w końcu.

Patrząc na niewyraźne linie Simon, próbował rozpoznać znak. Rysunek ukazywał jakby trójkąt z zawijaszem na dole.

Przypominał mu coś, ale za każdym razem, gdy był tego niemal pewny, wspomnienie znów znikało. Jeszcze raz spojrzął na wykonany w kurzu rysunek, później starł go nogą i poszedł w stronę rzeki. Dzisiaj miał jeszcze jeden cel.

— Hej! — zawołał za nim Dangler. — Co znaczy ten znak? Ona jest czarownicą?

Simon przyspieszył kroku. Już po chwili krzyk tkacza zlał się z porannym hałasem panującym w mieście. Z oddali dobiegało walenie młotkiem w kuźni, dzieci pędziły przed sobą stadko gęgających gęsi.

Już po kilku minutach medyk dotarł do bramy wjazdowej, która znajdowała się tuż obok książęcej rezydencji. Stojące tutaj domy były solidniejsze, zbudowane wyłącznie z kamienia. Poza tym na ulicach wałało się mniej śmieci. Dziel-

nicę przy bramie wjazdowej zamieszkiwali poważani rzemieślnicy i flisacy. Ten, kto dorobił się majątku, przeprowadzał się do tej okolicy, oddalonej od śmierdzącej dzielnicy garbarzy nad rzeką, czy dzielnicy masarzy z jej farbiarzami i stolarzami, leżącej dalej na wschód. Simon pozdrowił krótko stojącego na warcie przy bramie strażnika i poszedł dalej w kierunku Altenstadt, położonego tylko milę na północny zachód od Schongau.

Chociaż we wczesnych godzinach rannych kwietniowe słońce łagodnie świeciło na niebie, promienie raziły medyka w oczy. Bolała go głowa, a w ustach czuł suchość. Kac, będący efektem wczorajszej popijawy z Jakubem Schreevoglem, znów dawał o sobie znać. Simon schylił się nad strumykiem, płynącym przy krawędzi stromej drogi, by się napić. Gdy z łoskotem przetoczył się obok niego załadowany beczkami wóz konny z woźnicą, medyk przytomnie skoczył na tył i wspiął się na przymocowane beczki. Niezauważony przez woźnicę, w ten sposób dotarł w krótkim czasie do Altenstadt.

Jego celem była gospoda Strassera, która stała w centrum wioski. Zanim wczoraj wieczorem Simon poszedł do Schreevogla, kat podał mu jeszcze pięć nazwisk. Były to nazwiska dzieci, które odwiedzały Stechlinową: Grimmer, Kratz, Schreevogel, Dangler i Strasser. Dwoje już nie żyło, dwoje zaginęło. Ostatni pozostał podopieczny karczmarza Strassera w Altenstadt.

Simon otworzył niskie drewniane drzwi do sali dla gości, z której doleciał go zapach kapusty, dymu, starego piwa i uryny.

Strasser miał jedyną gospodę w okolicy. Jeśli ktoś szukał czegoś lepszego, udawał się do Schongau. Tu wstępowano, by napić się i zapomnieć.

Simon usiadł na drewnianym stołku obok stołu ozdobionego nacięciami wykonanymi nożem i kazał sobie przynieść piwo. Dwaj woźnice, którzy o tak wczesnej porze sączyli już z kufli trunek, spojrzeli na niego z podejrzliwością. Karczmarz —łysy, tłusty mężczyzna w skórzanym fartuchu — przyczłapał do jego stolika z kuflem pieniącego się piwa i podsunął mu napój.



— Na zdrowie — mruknął, zamierzając wrócić za bufet.

— Usiądźcie — powiedział Simon i wskazał na stojący obok niego pusty stołek.

— Teraz nie mogę, mam klientelę, przecie widzi. Karczmarz znów się odwrócił, ale Simon chwycił go mocno za ramię i delikatnie pociągnął ku sobie w dół.

— Siadajcie, proszę — powtórzył. — Musimy pogadać. Chodzi o waszego podopiecznego.

Karczmarz Strasser ostrożnie spojrzał w stronę woźniców, którzy jednak zajęci byli rozmową.

— O Johannes? — szepnął. — Znaleźliście go?

— A nie ma go?

Franz Strasser, westchnąwszy, usiadł na krześle obok medyka.

— Od wczorajszego południa. Miał zajrzeć do koni w stajni. Później już się nie pojawił. Przypuszczalnie dał nogę, łobuz.

Simon zmrużył oczy. Gospoda była słabo oświetlona, a zamknięte okiennice nie przepuszczały światła. Łuczywo przy nadokiennym gzymsie tliło się matowo.

— Od kiedy Johannes jest u was na praktyce? — zapytał karczmarza.

Franz Strasser zastanowił się.

— Od dobrych trzech lat — powiedział w końcu. — Jego rodzice pochodzili z Altenstadt. To byli dobrzy ludzie, ale mieli słabe płuca. Matka zmarła w połogu. Ojciec poszedł za nią do grobu raptem trzy tygodnie później. Johannes był najmłodszy, wzięłem go do siebie. Zawsze miał tu dobrze, przysięgam na Boga!

Simon sączył z kufła piwo. Miało słaby i zwietrzały smak.

— Słyszałem, że często zachodził do Schongau? — pytał dalej.

Strasser skinął głową.

— To prawda. Każdą wolną godzinę tam spędzał. Diabli wiedzą, co on tam wyprawiał.

—Nie macie też pojęcia, dokąd mógłby tam chodzić?

Karczmarz wzruszył ramionami.

—Może do swojej kryjówki.

—Kryjówki?

— Już kilka razy zostawał tam na noc — odrzekł Strasser. — Zawsze, gdy porządnie złołem mu skórę, bo znowu coś przeszkrobał, uciekał do swojej kryjówki. Kiedyś próbowałem go o to wypytać, ale powiedział tylko, że nikt jej nie znajdzie i że jest bezpieczna nawet przed samym diabłem.

Simon w zamyśleniu dalej sączył piwo. Smak nagle przestał być dla niego taki ważny.

—A tę... kryjówkę znał jeszcze ktoś inny? — zapytał ostrożnie. Franz Strasser zmarszczył czoło.

— Możliwe — odpowiedział. — Przecież bawił się też z innymi dziećmi. Kiedyś rozwaliły mi tu cały rząd kufli. Podleciały po prostu do szynkwasu, złapały bochenek chleba i w biegu poprzewracały kufle, banda szczeniaków!

— A jak wyglądały te dzieci?

Strasser wpadł w szal podczas mówienia.

— To jest banda szczeniaków! W głowie mają tylko wybryki, zwykłe miastowe sieroty. Niewdzięczna hołota! Zamiast pokornie się cieszyć, że ktoś ich przyjął, to pokazują jeszcze swoją bezczelność!

Simon głęboko odetchnął. Znów dał o sobie znać ból głowy.

— Chciałbym wiedzieć, jak wyglądały — szepnął.

Karczmarz spojrział z zadumą.

— Była z nimi taka ruda, z włosami czarownicy... Powiadam, są nic niewarte.

— I nie macie pojęcia, gdzie mogłaby być ta kryjówka?

Franz Strasser pokręcił głową.

— A co jest z tym chłopakiem? — zapytał. — Przeskrobał coś, że tak pilnie go szukasz?

Simon machnął ręką.

— To nie jest takie ważne.

Na stole położył gospodarzowi grajcara za piwo i wyszedł z ciemnej spelunki. Franz Strasser popatrzył za nim, kiwając głową.

— Przeklęta banda szczeniaków! — krzyknął jeszcze za medykiem. — Jeśli go zobaczysz, daj mu po uszach! Zasłużył sobie na to!

TLR



**Piątek,**

**27 kwietnia Roku Pańskiego 1659,**

godzina 10 przed południem

Pisarz siedział w ratuszu przy dużym stole konferencyjnym i palcami wybił takt jakiegoś żołnierskiego marszu, którego melodia wciąż chodziła mu po głowie. Jego spojrzenie prześlizgiwało się po tłustych twarzach siedzących naprzeciw niego mężczyzn. Czerwone, obwisłe policzki, łzawiące oczy, przerzedzone włosy...

Nawet modnie skrojone marynarki i starannie wykrochmalone koronkowe kołnierze nie były w stanie ukryć faktu, że mężczyźni ci swoje najlepsze lata mieli już za sobą. Kurczowo trzymają się władzy i pieniędzy, gdyż poza tym nie pozostało im nic innego, pomyślał Lechner. W oczach czaiła im się bezsilność, która sprawiała, że niemal im współczuł. W ich małym, pięknym mieście szalał diabeł, a oni nie byli w stanie temu zaradzić. Magazyn został spalony, niejeden z nich stracił mnóstwo pieniędzy, a jakieś grasujące monstrum porywało ich dzieci. Służące i parobkowie, chłopci i prości ludzie oczekiwali od wielmożnych panów, by ci zrobili z tym porządek. Tymczasem panowie byli bezradni i spoglądali na Lechnera takim wzrokiem, jakby jednym prztyczkiem palców, jednym skrobnięciem pióra mógł uwolnić ich od nieszczęścia. Lechner gardził nimi, choć za nic w świecie by im tego nie okazał.

„Nigdy nie bij osła, na którym siedzisz...”.

Potrząsnął dzwoneczkiem i otworzył posiedzenie.

— Dziękuję, że tak szybko przerwaliście swoje zapewne ważne sprawy, aby przybyć na to zwołane przed chwilą posiedzenie rady wewnętrznej — rozpoczął.  
— Uznałem je za konieczne.

Sześciu rajców skinęło gorliwie głowami. Burmistrz Karl Semer przesunął koronkową chustką po spoconym czole. Drugi burmistrz, Johann Piichner, ugniatł ręce, mamrocząc słowa zgody. Poza tym panowała cisza. Tylko z wąskich ust starego zarządcy szpitala Wilhelma Hardenberga wydobyło się ciche przekleństwo, bowiem w myślach właśnie obliczał, ile kosztował go pożar magazynu. Cynamon, słodycze, bele najdoskonalszych tkanin — wszystko spaliło się na popiół.

— Dobry Boże w niebiosach, ktoś musi za to zapłacić! — jęczał. — Musi zapłacić!

Niewidomy Matthias Augustin niecierpliwie uderzył swoją laską w dębową podłogę.

— Przekleństwa nam nie pomogą — powiedział. — Pozwólcie powiedzieć Lechnerowi, co wynikło z przesłuchania woźniców.

Pisarz sądowy spojrział na niego z wdzięcznością. Przynajmniej jest jeden, nie licząc jego samego, członek rady, który zachował jeszcze zimną krew. Wrócił do swojej przemowy.

— Jak wszyscy wiecie, ostatniego wieczoru jakiś nieznajomy uprowadził Klarę Schreevogel, która tak jak dwoje martwych dzieci wcześniej chodziła do Stechlinowej. Ludzie podobno widzieli na ulicy diabła.

W sali rozległo się syczenie i mamrotanie, niektórzy czynili znak krzyża. Johann Lechner uspokajająco podniósł ręce.

— Ludzie widzą wiele rzeczy, również takie, które nie istnieją — powiedział.  
— Mam nadzieję, że dziś po południu, po przesłuchaniu Stechlinowej, będziemy mogli powiedzieć coś więcej.

—Dlaczego czarownica od dawna nie leży na madejowym łożu? — sarknął stary Augustin. — Mielicie na to całą noc.

Lechner skinął głową.

—Jeśli chodzi o mnie, mielibyśmy już to za sobą — odrzekł. — Ale świadek Schreevogl poprosił o zwłokę, gdyż jego żona źle się czuje. Poza tym chcieliśmy najpierw przesłuchać woźniców w sprawie podpalenia.

—No i co? — zarządca Hardenberg podniósł wzrok. W jego oczach tlił się gniew. — Kto to zrobił? Kim jest ten bydlak? Jeszcze dziś powinien zawisnąć na stryczku!

Pisarz sądowy wzruszył ramionami.

—Tego jeszcze nie wiemy. Strażnik na moście i Georg Riegg opowiadali, że ogień rozprzestrzenił się bardzo szybko. To było coś więcej niż tylko zaproszenie ognia. Ale nikt nie widział tam augsburczyków, którzy przyszli dopiero później, żeby ratować swoje towary.

—Przyszli bardzo szybko — głos zabrał Matthias Holzhofer, trzeci burmistrz. Był to korpulentny, łysy mężczyzna, który zbił majątek na piernikach i słodyczach. — Wynieśli wszystkie swoje beły na zewnątrz i nie ponieśli prawie żadnych strat. Udało im się.

Burmistrz Semer wyrywał resztki swoich włosów.

— Czy to możliwe, by augsburczycy podłożyli ogień, a później szybko zadbali o swoje towary? — zapytał. — Jeśli rzeczywiście chcą budować nowy szlak handlowy, wówczas muszą postarać się o to, by ludzie nie mogli u nas składować towarów. I to im się udało.

Puchner potrząsnął głową.

—Nie sądzę — powiedział. — Zły podmuch wiatru, płonąca belka, i dokładnie tak samo pozbyliby się swoich towarów, jak my naszych.

—A jeśli nawet byłaby to prawda — odrzekł Karl Semer. — Cóż dla augsburczyków znaczyłoby kilka beł i beczek? Jeżeli zyskaliby szlak handlowy,

wówczas nie byłyby one na wagę złota. Najpierw osiedle dla trędowatych pod murami miasta, teraz z kolei spalony magazyn. Oni podcinają nam skrzydła!

—Co do przytułku... — pisarz sądowy wpadł mu w słowo. — Wczoraj wieczorem zniszczono nie tylko magazyn. Ktoś szalał też na placu budowy. Ksiądz opowiadał mi, że przewracano rusztowania. Zburzona jest część fundamentów, zniknęła zaprawa, drewno budowlane jest połamane... Robotę kilku tygodni diabli wzięli.

Burmistrz Semer kiwał wolno głową.

— Zawsze powtarzałem, że budowa takiego osiedla dla trędowatych nie jest tu mile widziana. Ludzie po prostu boją się, że handlarze zaczną nas omijać, jeśli zbudujemy przytułek dla chorych tuż przed bramami Schongau. Poza tym ktoś może zagwarantować, że choroba zatrzyma się przed naszym miastem. Przecież zarazy się rozprzestrzeniają!

Siwowłosy zarządca Wilhelm Hardenberg przytaknął mu.

— Te zniszczenia należy oczywiście potępić, ale z drugiej strony... To zrozumiałe, że ludzie się bronią, nikt nie chce tego osiedla, a mimo to buduje się je w oparciu o błędne rozumienie miłosierdzia!

Zanim głos zabrał burmistrz Semer, upił duży łyk ze swojej kryształowej szklanki.

— O miłosierdziu trzeba zapomnieć tam, gdzie zagrożone są interesy miasta. Takie jest moje zdanie.

Niewidomy Augustin uderzył laską o stół, wskutek czego drogie porto zaczęło niebezpiecznie chlupotać w karafkach.

— Bzdura! A kogóż interesuje teraz przytułek! Mamy pilniejsze problemy. Jeśli augsburczycy dowiedzą się, że zamknęliśmy jednego z ich woźniców, a do tego jeszcze Fuggera... Powiadam, wypuście woźniców na wolność i spalcie czarownicę, a wtedy znów zapanuje w Schongau pokój!

Drugi burmistrz, Johann Puchner, dalej potrząsał głową.



— Przecież to się wcale kupy nie trzyma — powiedział. — Pożar, morderstwa, porwanie, zniszczony przytułek... Stechlinowa jest od dawna zamknięta w więzieniu, a mimo to wydarzenia toczą się swoim torem!

Pozostali zaczęli teraz mówić jeden przez drugiego.

Pisarz sądowy Johann Lechner w spokoju przysłuchiwał się kłótniom i od czasu do czasu coś zapisywał. Teraz chrząknął. Rajcy natychmiast spojrzeli na niego wyczekująco. Jednak on nie spieszył się z odpowiedzią.

— Jeszcze nie do końca jestem przekonany o niewinności augsburczyków — powiedział w końcu. — Dlatego proponuję, byśmy dziś poddali Stechlinowa torturom. Jeśli oprócz morderstw na dzieciach przyzna się również do podpaleń, augsburskiego woźnicę wciąż jeszcze będziemy mogli puścić wolno. Jeżeli tak się nie stanie, nie omieszkam przesłuchać także i jego.

— A Fuggerowie? — zapytał burmistrz Semer.

Lechner uśmiechnął się.

— Przed wojną Fuggerowie byli dużą dynastią. Teraz nie interesuje się nimi nawet pies z kulawą nogą. Poza tym, gdyby augsburski woźnica pod wpływem tortur rzeczywiście przyznał się do podpalenia, wówczas Fuggerowie popadną w kłopoty.

Wstał i zwinął zapisaną rolkę pergaminu.

— A my będziemy mieć przeciwko augsburczykom mocny argument w ręku, nieprawdaż?

Rajcy skinęli. Dobrze było mieć takiego pisarza sądowego jak Lechner, który dawał człowiekowi poczucie, że wszystko, każda sprawa, ma swoje rozwiązanie.

Biała, koścista ręka diabła sięgnęła po dziewczynkę i powoli się zaciskała. Klara poczuła, że się dusi, jej język nabrzmiwał na kształt mięsistej bryłki, oczy wybałuszały się i spoglądały w twarz, którą widziała niewyraźnie, jak przez mgłę. Diabeł był owłosiony niczym kozioł, na czole miał dwa skrócone rogi, a jego oczy błyszczały jak dwa żarzące się węgle. Teraz twarz zmieniła się, przypominając karykaturę akuszerki, która ze wzrokiem domagającym się przebaczenia uczepiła się rękami jej szyi. Zdawało się, że coś szepcze, ale Klara nie rozumiała sensu tych słów. Biały jak śnieg, czerwony jak krew...

Twarcz znowu się zmieniła. Jej przybrany ojciec, Jakub Schreevogł, kucnął nad nią z miną wykrzywioną uśmiechem, ściskając coraz mocniej i mocniej. Klara czuła, jak ucieka z niej życie. W oddali słyszała dziecięce głosy, były to głosy chłopców. Z przerażeniem zauważyła swoich nieżyjących towarzyszy zabaw, Petera i Antona, którzy wołali o pomoc. Twarcz ponownie się zmieniła. Tym razem była to Sophie, która energicznie nią potrzasała i coś do niej mówiła. Teraz podniosła rękę i wymierzyła Klarze siarczysty policzek.

Dzięki temu dziewczynka znów wróciła do rzeczywistości.

— Klaro, obudź się! Obudź się!

Klara trzęsła się. Świat wokół niej odzyskał wyraźne kontury. Zobaczyła pochyloną nad sobą Sophie; starsza dziewczyna głaskała ją po bolącym policzku. Otaczające je wilgotne ściany skalne, na których namalowano popielate znaki, krzyże i formułki, dawały jej poczucie bezpieczeństwa. Było tu cicho i chłodno. Z oddali dochodził szum drzew; obok niej leżała drewniana lalka, brudna i porwana, jednak mimo to przypominająca rodzinny dom. Uspokojona Klara oparła się plecami o ścianę. Tu, na dole, diabeł nigdy jej nie znajdzie.

— Co... co się stało? — wyszeptała.

— Co się stało? — Sophie znów była w stanie się śmiać. — Coś ci się śniło i swoim krzykiem napędziłaś mi porządnego stracha. Byłam na dworze, gdy nagle usłyszałam, jak piszczysz. Myślałam, że nas znaleźli...

Klara spróbowała się wyprostować. Gdy obciążyła swoją prawą stopę, ból przeszył jej nogę aż do biodra. Dysząc, musiała się znowu położyć. Ból ustawał bardzo powoli. Sophie z z troskaniem spojrzała w dół. Gdy Klara również tam zerknęła, zauważyła, że jej prawa kostka była gruba jak jabłko. Stopę pokrywały niebieskie plamki, a goleń była opuchnięta. Przy każdym skręcie górnej części ciała dziewczynkę bolały plecy. Poza tym miała dreszcze i znów pojawiła się gorączka.

Nagle przypomniała sobie o ucieczce, o skoku przez okno, panicznym biegu przez ulice miasta, drugim skoku z dębu w krzaki przy murach miasta. Natychmiast zauważyła, że źle stanęła na nogę, jednak strach kazał jej biec dalej, coraz dalej przez pola, aż do lasu. Gałęzie uderzały ją po twarzy niczym ręce, kilka razy upadła, jednak zaraz podnosiła się z trudem i biegła dalej. W końcu dotarła do kryjówki. Upadła na ziemię jak worek zboża i natychmiast zasnęła. Dopiero następnego ranka obudziła ją Sophie.

Podobnie jak ona, rudowłosa dziewczyna potajemnie przyszła tutaj z miasta. W wieku dwunastu lat sprawiała już wrażenie dorosłej; podczas ich wspólnych zabaw w kryjówce była dla Klary niczym matka. Zresztą bez Sophie ich paczka by nie istniała; dziewczynka wciąż byłaby tylko samotną podopieczną, wyśmiewaną przez rodzeństwo, bitą, szczypaną i kopaną, czego nie zauważali jej przybrani rodzice.

—A teraz nie ruszaj się.

Z przyniesionego ze sobą worka Sophie wyjęła dębową korę oraz lipowe liście posmarowane jakąś pastą i zaczęła owijać nimi kostkę Klary. Później związała całość włóknami kory. Dziewczynka poczuła na nodze przyjemny chłód, ból kostki zdawał się ustawać. Gdy tak podziwiała sprawnie wykonany opatrunek, Sophie sięgnęła do tyłu.

— Pij, przyniosłam to dla ciebie — przyjaciółka podała jej glinianą miseczkę, w której chlupotała szarawa ciecz.

— Co to jest?

Sophie wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

— Nie pytaj, tylko pij. To... uzdrawiający napój. Nauczyłam się przyrządzać go u Stechlinowej. Napój ten pozwoli ci spokojnie zasnąć. A gdy się obudzisz, twoja noga będzie w o wiele lepszym stanie.

Klara spojrzała sceptycznie na lure, która intensywnie pachniała pokrzywą i miętą. Będąc u akuszerki, Sophie zawsze dokładnie zważała na to, co się dzieje. Jej przenikliwej uwadze nie umknęła żadna z kobiecych tajemnic, o których mówiła Stechlinowa. Akuszerka opowiadała im o truciznach i uzdrawiających napojach, ostrzegając, że o różnicy między jednymi a drugimi często decyduje raptem kilka kropel.

W końcu Klara przemogła się i jednym haustem wypila zawartość miseczki. Napój miał okropny smak i przypominał smarki. Po chwili poczuła w brzuchu pulsujące ciepło, a wszechogarniające uczucie błogostanu zaczęło rozprzestrzeniać się po całym jej ciele. Dziewczynka oparła się o skalną ścianę i wszystko nagle straciło swój ciężar, każdy problem wydawał się możliwy do rozwiązania.

— Jak myślisz, co... co się stanie? Znajdą nas? — zapytała w końcu Sophie, którą niespodziewanie otoczył ciepły blask światła.

Starsza dziewczyna potrząsnęła głową.

— Nie sędzę. Byłyśmy zbyt daleko od kryjówki. Ale możliwe, że szukają nas w okolicy. W każdym razie powinnaś pozostać tu, gdzie jesteś.

Do oczu Klary napłynęły łzy.

— Ludzie uważają nas za czarownice! — wyszlochała. — Znaleźli to przekłete znamię i teraz myślą, że jesteśmy czarownicami! Jeśli wrócimy, spalą nas na stosie. A jeśli zostaniemy tutaj, znajdą nas ci mężczyźni! Diabeł był już blisko za moimi plecami, dotknął mnie... — urwała z płaczem. Chcąc pocieszyć dziewczynkę, Sophie ujęła jej głowę i ułożyła na swoich kolanach.

Nagle Klara poczuła niesamowite zmęczenie. Miała wrażenie, że u rąk wyrastają jej skrzydła, które pozwolą jej uciec z tego padołu łez daleko, do jakiegoś egzotycznego, ciepłego kraju...

Ostatkiem sił zapytała:

— Czy oni naprawdę zabili Petera i Antona?

Sophie skinęła głową. Nagle wydała się Klarze bardzo daleka.

— A Johannes? — wypytywała dalej Klara.

— Nie wiem — odparła Sophie. — Poszukam go, jak zaśniesz — pogłaskała Klarę po włosach. — Nie myśl o tym. Jesteś bezpieczna.

Na skrzydłach, które właśnie jej wyrosły, Klara poszybowała w górę, do nieba.

— Ja... ja nie mogę wrócić do domu. Oni nas spalą — mamrotała w półśnie.

— Nikt nas nie spali — odpowiedział z oddali głos. — Jest ktoś, kto nam pomoże. Złapie diabła, a później wszystko będzie takie jak dawniej, obiecuję...

— Anioł?

— Tak, anioł. Anioł z wielkim mieczem. Anioł zemsty.

Klara uśmiechnęła się.

— To dobrze — szepnęła. A później skrzydła poniosły ją zupełnie gdzie indziej.

Okolo godziny jedenastej przed południem Jakub Kuisl zapukał do bramy więzienia. Wewnątrz rozległ się dźwięk obracanego w zamku klucza, ciężkie drzwi otworzyły się, a zdumiony woźny sądowy Andreas spojrział katowi prosto w twarz.

— To ty? Już teraz? — zapytał. — Myślałem, że przesłuchanie zacznie się dopiero w południe...

Kuisl skinął głową.

— Masz rację, ale muszę jeszcze coś przygotować. Wiesz, ech... — wykonał ruch, jakby przedłużał swoje ramię. — Dzisiaj zaczyna się szczypanie i wyciąganie, potrzebuję porządnego żaru. Poza tym powrozy są w kiepskim stanie.

Białemu jak kreda strażnikowi podsunął pod nos zwój nowej liny, wskazując na wnętrze więzienia.

— Oby to wszystko było w porządku— wymamrotał Andreas, pozwalając katowi wejść do środka, po czym jeszcze raz chwycił go za ramię.

— Kuisl?

— Tak?

— Tylko nie sprawiaj jej bólu, dobra? Nie więcej niż trzeba. Ona pomogła przyjść na świat moim dzieciom.

Kat spojrział z góry na młodego mężczyznę. Przewyższał go o dobrą głowę. Na jego ustach pojawił się uśmiech.

— Myślisz, że co ja tu robię? — zapytał. — Kuruję? Nastawiam kości? Skręcam je, tego chcieliście i tak też czynię.

Odsunął woźnego na bok i wszedł do izby więziennej.

— Ja... ja tego nie chciałem! Ja nie! — zawołał za nim Andreas.

Zbudzony krzykiem Georg Biegg podniósł się. Jako prowodyr bójki przy magazynie wciąż jeszcze siedział w lewej celi wraz ze strażnikiem mostu.

— Ach, teraz będziemy mieć zaszczytną wizytę! — krzyknął. — Zaczyna się! Kuisl, tylko się nie spiesz, żebyśmy i tutaj usłyszeli jęczącą czarownicę!

Przechodząc obok celi, kat spojrział w zamyśleniu na strażnika mostu. Nagle wsunął ręce przez kraty, chwycił więźnia za przyro—

dzenie i ścisnął tak mocno, że mężczyźni wyszły na wierzch oczy i zaczął cicho dyszeć.

— Uważaj sobie, Riegg — szepnął Kuisl. — Znam twoje brudne tajemnice. Znam was wszystkich. Jak często przychodziłeś do mnie po herbatę, żeby ci sta-  
nął, albo po buteleczkę anielskiego płynu, żeby twoja żona nie urodziła kolejnego bachora? Ile razy wołałeś do domu akuszerkę? Pięć razy? Sześć? A teraz ona jest czarownicą, a wy niewinni. Niedobrze mi na wasz widok!

Kat puścił udręczoną mężczyznę, popychając go w tył celi, gdzie pod ścianą powoli opadł na ziemię, ciągle jęcząc. Później Kuisl przeszedł do drugiej celi, w której już oczekiwała go Stechlinowa, patrząc nań z lękiem i kurczowo trzymając się prętów.

— Oddaj mi płaszcz, przyniosłem ci koc — powiedział głośno Jakub Kuisl. Podał kobiecie wełniany koc, podczas gdy akuszerka, drżąc z zimna, zdjęła dotychczasowe okrycie. Gdy sięgnęła po zwinięty pled, kat szepnął jej niemal bezgłośnie:

— Rozwiń go na tyłach, w ciemności. W środku jest buteleczka z płynem, który wypijesz.

Marta Stechlin spojrzała na niego pytająco.

— Co to?

— Nie gadaj, tylko pij — szeptał dalej.

Tymczasem Andreas, woźny sądowy, znów usiadł na swoim stołku obok drzwi. Oparty o halabardę z zainteresowaniem spoglądał w ich stronę.

— Wielmożni panowie przyjdą, jak tylko dzwony wybiją dwunastą — głośno kontynuował Jakub Kuisl. — Najlepiej będzie, jeśli zaczniesz się już modlić.

I cicho dodał:

— Nie bój się, to dla twojego dobra. Zaufaj mi. Ale musisz zaraz wypić zawartość tej buteleczki.



Później odwrócił się i zszedł wilgotnymi schodami w dół do izby tortur, by się przygotować.

Dwaj mężczyźni siedzieli razem przy szklaneczce porto, jednak jednemu z nich picie przychodziło z trudem. Ogarnięty bólem drżał do tego stopnia, że krople cennego trunku spadały na jego ozdobioną złotym, brokatowym haftem marynarkę. Na ubraniu rozpościerały się plamy podobne do krwi. Od wczoraj było tylko gorzej, choć wciąż jeszcze był w stanie ukrywać cierpienie przed innymi.

— Uciekły wam — powiedział. — Wiedziałem. Ty zawsze tylko wszystko pogarszasz. Absolutnie niczego nie potrafisz zrobić samodzielnie!

Drugi, zatopiony w rozmyślaniach, sączył swoje porto.

— Jeszcze je dostaniecie — odrzekł. — Nie mogą być daleko. To są dzieci.

Przez ciało starca znów przeszła fala bólu. Z wielkim trudem panował nad swoim głosem.

— Sprawa wymyka się spod kontroli! — stęknął. Jego prawa ręka uczepiła się nieskazitelnej kryształowej szklanki. Nie mógł zrezygnować, ustąpić. Nie teraz, tak krótko przed osiągnięciem celu...

— To może oznaczać nasz upadek, nie tylko mój czy twój, lecz całej rodziny. Rozumiesz? Nasze nazwisko będzie skalane na wieki!

— Ależ skąd — powiedział drugi, rozparłszy się w fotelu. — To są dzieci. Kto im uwierzy? Dobrze się stanie, jeśli sprawa z czarownicą jeszcze się przeciągnie. Najpierw muszą zniknąć dzieci, a potem czarownica może spłonąć. W ten sposób nie spadnie na nas żadne podejrzenie.

Wstał i podszedł do drzwi. Interesy czekały, wszystko podupadało tu już stanowczo za długo. Brakowało kogoś takiego jak on, kogoś, kto przykróciłby cugli. Oni wszyscy nie doceniali go w należytych stopniu.

— A co z właściwym zleceniem? — zapytał starzec. Trzymając się stołu, próbował podciągnąć się do góry. — Dostali ładną sumkę!

— To się załatwi, możesz być pewien. Być może już dziś — mężczyzna nacisnął klamkę i zwrócił się do wyjścia.

— Daję ci jeszcze pięć dni! — zawołał drugi. — Pięć dni! Jeśli po tym czasie sprawa się nie wyjaśni, wówczas wyślę naszych ludzi po bandę morderców! I nie sądzę, byś zobaczył później choć złamany grosz!

Jeszcze w czasie, gdy mówił, jego rozmówca zamknął za sobą ciężkie dębowe drzwi, które stłumiły krzyk.

— Za pięć dni będziesz martwy — mruknął, dobrze wiedząc, że starzec nie mógł go usłyszeć. — A jeśli cię diabli nie porwą, to sam pošlę cię do piekła.

Gdy szedł przez balkon z ozdobioną z przepychem balustradą, jego wzrok zatrzymał się na widocznym ponad dachami ciemnym, milczącym lesie, który rozciągał się przed bramami miasta. Przez chwilę poczuł strach. Ten grasujący na zewnątrz mężczyzna był nieobliczalny. A co się stanie, gdy dzieci zostaną już zlikwidowane? Czy kiedykolwiek się to skończy? A może on sam będzie następnym?

Przybyli punktualnie po tym, jak dzwony wybiły godzinę dwunastą. Na czele szła delegacja złożona z czterech woźnych sądowych, a po niej pisarz i trzech świadków. Jakub Schreevogl miał bladą twarz. W nocy źle spał, gdyż jego żona wciąż zrywała się pod wpływem koszmarów i wołała Klarę. Poza tym wykańczał

go jeszcze kac po popijawie z medykiem. Nie potrafił dokładnie sobie przypomnieć, co opowiedział młodemu Fronwieserowi, jednak czuł, że był lepszym mówcą niż słuchaczem.

Przed nim szedł Michael Berchtholdt. Piekarz przywiązał sobie do paska ziołowy bukiecik z bylicy pospolitej, który miał go ochronić przed urokiem rzuconym przez czarownicę. Mamrocząc, obracał między palcami paciorki różańca. Gdy wszedł do więzienia, wykonał znak krzyża. Jakub Schreevogl pokręcił z politowaniem głową. Piekarz przypuszczalnie zrzucił na Martę Stechlin odpowiedzialność za swój tak często spalony chleb i stado myszy grasujących w piekarni. Gdyby Stechlinowa zamieniła się w popiół, a chleb wciąż jeszcze się przypalał, zapewne szukałby kolejnej czarownicy, pomyślał Schreevogl, kręcąc nosem. Dochodził do niego ostry zapach bylicy.

Zaraz za nimi do więzienia wszedł Georg Augustin. Schreevoglowi przypominał on trochę młodego medyka, gdyż podobnie jak on, syn patrycjusza lubił ubierać się według najnowszej francuskiej mody. Miał świeżo przystrzyżoną brodę, długie, czarne ufryzowane włosy i perfekcyjnie skrojone spodnie— rurki, które sięgały mu do łydek. Jego lodowatoniebieskie oczy z obrzydzeniem mierzyły więzienne lochy. Syn wpływowej rodziny woźniców nie był bowiem przyzwyczajony do takiego otoczenia.

Na widok przybyłych wielmożnych panów siedzący w swojej celi schongauczycy zaczęli szarpać za pręty. Georg Riegg wciąż jeszcze wyglądał blado, a chęć do podnoszenia wrzasku wyraźnie już mu przeszła.

—Wasza ekscelencjo — zawołał woźnica w kierunku pisarza sądowego. — Na słowo...

—Co jest, Riegg? Chcesz zeznawać?

—Proszę, wypuście nas stąd. Moja żona musi sama opiekować się bydłem, dzieciaki...

—Pozostanie tutaj tak długo, aż jego przypadek zostanie zbadany — przeważał mu Lechner, nie spojrzawszy nawet w jego stronę. — Odnosi się to także do jego towarzysza i augsburskiego woźnicy więzionego w budynku Ballenhaus. Wszystkich obowiązuje to samo prawo.

—Ale wasza ekscelencjo...

Johann Lechner szedł już po schodach prowadzących w dół.

W izbie tortur było ciepło, niemal gorąco. W kącie, w miednicy na trzech nóżkach świeciły rozżarzone do czerwoności węgle. W przeciwieństwie do poprzedniej wizyty, tym razem panował tu porządek. Wszystko stało przygotowane do użycia, z sufitu zwisała nowa lina, narzędzia do miażdżenia kciuków i obcęgi leżały na skrzyni naoliwione i posegregowane. Pośrodku izby siedziała na krześle ogolona na łyso Stechlinowa, w podartej sukience i ze zwieszoną głową. Kat ze skrzyżowanymi rękami stanął tuż za nią.

— Ach, widzę, Kuisl, że wszystko jest już przygotowane. To dobrze, bardzo dobrze — powiedział Lechner, który zacierając ręce, zasiadł przy pulpicie do pisania. Świadkowie zajęli miejsca po jego prawej stronie. — Zatem zaczynamy.

Zwrócił się do akuszerki, która do tej pory nie zwróciła uwagi na przybyłych.

— Słyszysz mnie, Stechlin?

Głowa akuszerki wciąż zwisała w dół.

— Chcę wiedzieć, czy mnie słyszysz?

Marta Stechlin nie poruszyła się. Lechner podszedł do niej, dwoma palcami podniósł za podbródek jej twarz do góry i wymierzył jej policzek. Dopiero teraz otworzyła oczy.

— Marta Stechlin, czy wie, dlaczego tutaj jest?

Skinęła.

—To dobrze. Niemniej chcę jej to jeszcze raz wyjaśnić. Jest podejrzana o zabicie w haniebny sposób dzieci: Petera Grimmera i Antona Kratza. Poza tym z

pomocą diabła miała porwać Klarę Schreevogl i w tym samym czasie podpalić magazyn.

—A zdechła świnia w moim chlewie? Co ze zdechłą świnią? — Michael Berchtholdt zerwał się ze swojego miejsca. — Jeszcze wczoraj tarzała się w błocie, a dzisiaj...

—Świadku Berchtholdt — ofuknął go Lechner. — Możecie zabrać głos tylko wtedy, gdy zostaniecie o to poproszeni. Teraz chodzi o coś więcej niż o zdechłą świnie, chodzi o nasze kochane dzieci!

— Ale...

Spojrzenie pisarza sądowego sprawiło, że Berchtholdt zamilkł.

— A więc, Stechlin — kontynuował Lechner. — Czy przyznajesz się do zarzuconych przestępstw?

Akuszerka zaprzeczyła ruchem głowy. Jej wargi były wąskie, łzy spływały jej po twarzy. Bezgłośnie płakała. Lechner wzruszył ramionami.

— W takim razie przejdziemy teraz do przesłuchania połączonego z torturami. Kacie, zacznij od narzędzia do miażdżenia kciuków.

Tym razem odezwał się Jakub Schreevogl, który nie mógł usiedzieć na swoim krześle.

— Ale przecież to wszystko jest niedorzeczne! — zawołał. — Stechlinowa od dawna była w więzieniu, gdy zabito małego Kratza. Z p rwaniem mojej Klary i pożarem magazynu też nie może mieć nic wspólnego!

— Aczy ludzie nie opowiadali, że sam diabeł zabrał waszą Klarę? — zapytał teraz młody Augustin, który siedział obok Schreevogla, z prawej strony.

Jego niebieskie oczy lustrowały syna garncarza, zdawał się prawie uśmiechać.

—Może Stechlinowa poprosiła diabła, żeby zrobił to wszystko, podczas gdy ona siedziała tu w zamknięciu?

—W takim razie dlaczego nie poprosiła go, by uwolnił ją z więzienia? Przecież to wszystko nie ma sensu! — odpowiedział Jakub Schreevogł.

—Tortury pozwolą nam poznać prawdę — znów zabrał głos pisarz sądowy.  
— Kacie, kontynuuj.

Kat sięgnął za siebie i podniósł leżące na skrzyni narzędzie do miażdżenia kciuków. Składało się ono z żelaznej klamry, którą od przodu można było skręcać za pomocą śruby. Wziął lewy kciuk akuszerki i włożył go do urządzenia. Jakuba Schreevogła zdziwiła pozorna obojętność kata. Jeszcze wczoraj Jakub Kuisł gwałtownie sprzeciwiał się torturom. Również młody medyk opowiedział mu po kilku wódkach, że kat nie zgadzał się z aresztowaniem Stechlinowej. Tymczasem teraz ze spokojem zabierał się do miażdżenia jej kciuków.

Jednak można było odnieść wrażenie, że akuszerka również pogodziła się ze swoim losem. Prawie bezwolnie podała katowi swoją rękę. Jakub Kuisł pokręcił śrubą. Raz, dwa razy, trzy razy... Jej ciało na krótko drgnęło i nic więcej.

— Marto Stechlin, czy teraz przyznajesz się do przestępstw, o które zostałeś oskarżona? — zapytał pisarz monotonnym głosem.

Kobieta wciąż potrząsała głową. Kat ścisnął jeszcze mocniej. Żadnego ruchu, tylko jej wargi stały się jeszcze węższe, jak bladoczerwona kreska.

— Do cholery, dobrze przykręcasz? — zapytał kata Michael Berchtholdt.

Jakub Kuisł skinął głową. Na dowód tego znów podkręcił śrubę i podniósł wysoko ramię torturowanej. Kciuk stanowił jedną nie— bieską plamę, pod paznokciem zebrała się krew.

—Diabeł jej pomaga — szepnął piekarz. — Dobry Boże, miej nas w opiece...

—W ten sposób nic nie osiągniemy — Johann Lechner odłożył na stół pióro, którym zamierzał robić notatki. — Woźni, przynieście mi skrzynię.

Dwóch strażników miejskich podało pisarzowi małą skrzynkę, którą ten postawił na stole i otworzył.

— Patrz, czarownico — powiedział. — Te wszystkie rzeczy znaleźliśmy w twoim domu. I co ty na to?

Ku zdumieniu Jakuba Schreevogla i innych świadków wyjął ze skrzyni mały woreczek i wysypał z niego na rękę czarnobrazowe ziarenka. Pokazał je świadkom. Syn garncarza wziął kilka między palce. Lekko śmierdziały rozkładem, a kształtem trochę przypominały kumin.

— Nasiona lulka czarnego — powiedział mentorskim tonem pisarz sądowy. — Jest to ważny składnik czarodziejskiej maści, którą czarownice smarują swoje miotły.

Jakub Schreevogl wzruszył ramionami.

— Mój ojciec przyprawiał tym sobie piwo. A przecież, świeć Panie nad jego duszą, nie nazwalibyście go chyba czarownikiem.

—Czy wy jesteście ślepi? — syknął Lechner. — Dowody są przecież oczywiste. Tutaj!... — podniósł do góry kolczastą kulkę, podobną do kasztana. — Bieluń dziedzierzawa! Też ingrediencja maści czarownic, znaleziona u Stechlinowej! A tutaj!... — wskazał na bukiet małych, białych kwiatków. — Ciemiernik biały, świeżo zebrany! To też jest ziele czarownic!

—Wybaczcie, że wam przerywam — Jakub Schreevogl znów zabrał głos — ale czyż ciemiernik biały nie jest również rośliną, która ma nas chronić przed złem? Nawet nasz ksiądz chwalił ją niedawno w swym kazaniu, mówiąc, że jest ona znakiem nowego życia i początku. Nie na darmo nosi ona imię naszego Zbawiciela<sup>5</sup>...

—Kim wy jesteście, Schreevogl? — zapytał go siedzący obok Georg Augustin. — Świadkiem czy adwokatem? Ta kobieta spotykała się z dziećmi, a te nie żyją lub zaginęły. W jej domu znaleziono diabelskie zioła i polewki. Ledwo zamknięto ją w więzieniu, a już spłonął magazyn, zaś diabeł przespacerował się

---

<sup>5</sup> Ciemiernik biały—niem. *Christrose* (przyp. tłum.)



przez nasze miasto. Wszystko zaczęło się od niej i dzięki niej również się zakończy.

—Właśnie, zobaczcie — wrzasnął Berchtholdt. — Trzeba tylko mocniej ścisnąć śruby, a wtedy na pewno się przyzna. Sam diabeł trzyma nad nią rękę. Mam tutaj eliksir z dziurawca zwyczajnego... — wyciągnął buteleczkę, w której połyskiwała krwistoczerwona ciecz, i z triumfem podniósł ją do góry. — To przepędzi diabła. Pozwólcie mi tylko wlać go do gardzieli czarownicy!

—Na miły Bóg! Naprawdę nie wiem, kto tu jest większą czarownicą— zaklął Jakub Schreevogel. — Akuszerka czy piekarz!

—Spokój! — ryknął pisarz. — Tak dalej być nie może. Kacie, powieś kobietę na linie. Zobaczymy, czy diabeł wciąż będzie jej pomagać.

Marta Stechlin sprawiała wrażenie coraz bardziej apatycznej. Jej głowa wciąż przechylała się do przodu, a gałki oczne były w dziwny sposób odwrócone do środka. Jakub Schreevogel zadawał sobie pytanie, czy w ogóle docierało do niej to, co się działo wokół. Bezwolnie pozwoliła, aby kat podniósł ją z krzesła i powlókł do powrozu, który w tyle izby zwisał z sufitu w żelaznym pierścieniu. U dołu sznurka przyczepiony był hak. Kat przymocował go do kajdan, którymi związane na plecach ręce akuszerki.

— Czy mam jej przymocować u dołu kamień? — zapytał Kuisl pisarza sądowego. Jego twarz była dziwnie blada, mimo to sprawiał wrażenie spokojnego i opanowanego.

Johann Lechner potrząsnął głową.

— Nie, nie, najpierw spróbujemy tak, a później zobaczymy...

Kat pociągnął za koniec liny, wskutek czego akuszerka oderwała się od ziemi. Jej ciało opadło lekko do przodu i zaczęło się kołysać. Coś trzasnęło. Stechlinowa cicho jęknęła. Pisarz sądowy zaczął ją przesłuchiwać od początku.

— Marto Stechlin, pytam cię po raz kolejny. Czy przyznajesz się, że biedny Peter Grimmer...

W tym momencie ciało akuszerki przeszło dreszcz. Kobieta zaczęła dygotać i energicznie potrząsać głową tam i z powrotem. Z jej ust wyciekła ślina, a twarz przybrała siny kolor.

— Mój Boże, patrzcie — krzyknął piekarz Berchtholdt. — Mieszka w niej diabeł! Teraz chce wyjść!

Wszyscy świadkowie, łącznie z pisarzem, zerwali się z miejsc, aby przyrzeć się przedstawieniu z bliska. Kat znów opuścił kobietę na ziemię, gdzie ta zaczęła wic się w konwulsjach. Nagle po raz ostatni naprężyła się i bez życia runęła na ziemię z głową dziwnie odwróconą na bok.

Przez chwilę nikt nie wypowiedział ani słowa.

Głos zabrał w końcu młody Augustin.

— Nie żyje? — zapytał z zainteresowaniem.

Jakub Kuisl pochylił się nad nią i przyłożył ucho do jej piersi, po czym potrząsnął głową.

— Serce jeszcze bije.

— W takim razie obudź ją, żebyśmy mogli kontynuować—powiedział Johann Lechner.

Jakub Schreevogel omal nie uderzył go w twarz.

—Jak śmiecie robić coś takiego! — krzyknął. — Nie widzicie, że ta kobieta jest chora i potrzebuje pomocy?

—Ach, co tam! Wszedł z niej diabeł i to wszystko! — odrzekł piekarz Berchtholdt, padając na kolana. — Z pewnością jeszcze jest tu gdzieś w izbie. Zdrowaś Maryjo, Pan z Tobą...!

—Kacie! Zaraz obudzisz tę kobietę! Zrozumiano? — głos pisarza przybrał ostry ton. — A wy... — zwrócił się do stojących za nim wystraszonych woźnych sądowychwy przyprowadzicie mi medyka, ale to szybko!

Woźni pobiegli schodami do góry, odczuwając wielką ulgę, że mogą uciec z tego piekła.

Jakub Kuisl wziął wiadro wody, które stało w kącie, i wylał je na twarz akuszerki. Kobieta nie poruszyła się. Później zaczął masować jej pierś i głaskać ją po policzku. Gdy nic nie pomagało, sięgnął do skrzyni i wyjął z niej buteleczkę wódki, którą wlał Stechlinowej do ust. Resztę rozprowadził na jej klatce piersiowej i zaczął ją masować.

Kilka minut później na schodach rozległy się odgłosy kroków. Wrócili woźni sądowi, ciągnąc za sobą Simona Fronwiesera, którego spotkali na ulicy. Medyk kucnął obok kata, pochylił się nad akuszerką i uszczypnął ją w ramię. Następnie wyjął igłę i wbił ją kobiecie głęboko w ciało. Gdy nadal się nie poruszała, przystawił jej pod nos małe lusterko. Zaparowało.

— Żyje — powiedział do Johanna Lechnera. — Ale jest w głębokim omdle-  
niu i tylko Bóg jeden wie, kiedy się obudzi.

Pisarz sądowy opadł na krzesło, pocierając sobie szpakowate skronie. W końcu wzruszył ramionami.

— W takim razie nie możemy jej dalej przesłuchiwać. Musimy poczekać.

Georg Augustin spojrział na nich zdumiony.

— Ale przedstawiciel księcia elektora... Pojawi się tutaj za kilka dni. Musimy mu przedstawić winnego!

Również Michael Berchtholdt nalegał na pisarza:

— Wiecie, co tam na zewnątrz się dzieje? W mieście grasuje diabeł, sami tego doświadczyliśmy. Ludzie chcą, żeby to wreszcie się skończyło...

— Cholera! — Johann Lechner uderzył ręką w stół. — Doskonale o tym wiem! Ale w tej chwili nie możemy kontynuować przesłuchania. Diabeł nie sprawi, żeby wydobyła z siebie głos! Chcecie, żeby zeznawała nieprzytomna? Musimy czekać! A teraz wszyscy na górę, wszyscy!

Simon wraz z Jakubem Kuislem zanieśli omdlałą akuszerkę z powrotem do celi i przykryli ją kocem. Jej twarz nie była już sina, lecz biała jak ściana, powieki drżały, ale oddech już się uspokoił. Simon spojrział z boku na kata.

— To wasza sprawka, prawda? — zapytał. — Daliście jej coś, żeby tortury skończyły się wcześniej i byśmy zyskali na czasie. A później poprosiliście mnie przez swoją żonę, bym od południa czekał na zewnątrz. Żeby to mnie woźni sprowadzili, a nie mojego ojca, który może coś by zauważył...

Kat uśmiechnął się.

— Kilka roślin, kilka jagód... Ona zna je wszystkie, wiedziała, na co się decyduje. Mogło też się nie udać.

Simon spojrział na bladą twarz akuszerki.

— Macie na myśli...?

Jakub Kuisl skinął głową.

— Korzenie alrauny, nie ma nic lepszego. Na szczęście udało mi się... udało nam się je znaleźć. Są bardzo rzadkie. Nie czujesz żadnego bólu, ciało wiotczeje, cierpienia z tego świata są tylko marami widzianymi przy odległym brzegu. Już mój ojciec często podawał ten napój biednym grzesznikom. Jednak...

W zamyśleniu potarł swoją ciemną brodę.

— Tym razem wziąłem za dużo tojadu. Chciałem, żeby wszystko wyglądało prawdziwie, aż do samego końca. Odrobina więcej i dobry Bóg zabrałby ją do siebie. No, ale dobrze, teraz przynajmniej zyskaliśmy trochę więcej czasu.

— O ile więcej?

Kat wzruszył ramionami.

— Dzień lub dwa. Później paraliż ustąpi i znów będzie mogła otworzyć oczy. A wtedy... — zanim wyszedł z więzienia, jeszcze raz pogładził Martę Stechlin po twarzy. — A wtedy sądzę, że będę musiał zadać jej ogromny ból — odrzekł, a jego plecy wypełniły całą futrynę.



**Sobota,**

**28 kwietnia Roku Pańskiego 1659,**

godzina 9. rano

Następnego ranka medyk wraz z katem siedzieli w izbie Kuisłów przy kuflach słabego piwa i dumali nad minionymi dniami. Simon przez całą noc myślał o nieprzytomnej akuszerce oraz o tym, jak mało zostało im czasu. Teraz w milczeniu sączył piwo, podczas gdy Jakub Kuisl siedział obok i kurzył fajkę. Rozmyślania nie ułatwiał mu fakt, iż Magdalena wciąż wchodziła do izby, by wziąć wodę lub podsypać ziaren siedzącym pod ławką kurom. Raz uknęła przy tym tuż przed Simonem. Niby przypadkiem musnęła go ręką po udzie, sprawiając, że jego ciało przeszył lekki dreszcz.

Jakub Kuisl opowiadał mu, że to jego córka znalazła w lesie alraunę. Od tej pory sympatia medyka do dziewczyny jeszcze bardziej wzrosła. Była nie tylko przepiękna, lecz także i mądra. Wielka szkoda, że kobiety nie miały wstępu na uniwersytet. Simon był przekonany, że Magdalena mogłaby zmierzyć się ze wszystkimi tamtejszymi uczonymi konowalami.

— Chcesz jeszcze piwa? — zapytała córka kata, puszczając do niego oko, i nie czekając na odpowiedź, dołała mu napoju.

Jej uśmiech przypominał Simonowi, że na tym świecie istniało coś więcej niż tylko zaginione dzieci i samozwańczy inkwizytorzy. Odwzajemnił uśmiech. Później znów zawładnęły nim ponure myśli.

Wczoraj wieczorem musiał jeszcze towarzyszyć swojemu ojcu podczas leczenia. Parobka u chłopca Haltenberga złapała bowiem ciężka gorączka. Robili mu zimne okłady, a ojciec przeprowadził jeszcze zabieg upuszczania krwi. Simonowi przynajmniej udało się go przekonać, by zastosował trochę podejrzanego herbacianego proszku, którego już wielokrotnie używał w przypadku gorączki i który pochodził rzekomo z drewna pewnego rzadkiego drzewa. Symptomy występujące u chorego skojarzyły mu się z innym przypadkiem, kiedy to woźnica z Wenecji upadł u nich w mieście na ulicy. Mężczyźnie śmierdziało z ust czymś zepsutym, a całe jego ciało było obsypane krostami. Ludzie mówili o francuskiej chorobie i o tym, że diabeł karze nią tych, którzy oddawali się nieczystej miłości.

Wczoraj wieczorem również i Simon z chęcią by się jej oddał, ale podczas późnej przechadzki w pustym zakamarku przy murach miejskich Magdalena chciała z nim rozmawiać tylko o Stechlinowej. Ona także była przekonana o niewinności akuszerki. Medyk raz nawet próbował dotknąć jej gorsetu, jednak odwróciła się. Przy ponownej próbie zauważył ją stróż nocny i posłał do domu. Już dawno wybiła ósma wieczór, a o tej porze młodym dziewczętom nie wolno było przebywać na ulicy. Simon miał wrażenie, że przegapił sprzyjający moment i nie był pewien, czy ten uśmiech losu wkrótce się powtórzy. Być może jego ojciec miał jednak rację. Może rzeczywiście powinien trzymać się od córki kata z daleka.

Bywały chwile, kiedy nie wiedział, czy Magdalena prowadzi z nim gierki, czy też naprawdę jej na nim zależy.

Jakub Kuisl również nie mógł się porządnie skupić na swojej pracy tego przedpołudnia. Podczas gdy siedzący obok niego Simon sączył cienkie piwo i wyglądał przez okno, kat wyrabiał pasztet z suszonych ziół i gęsiego tłuszczu. Co chwila odkładał na bok drewniany tłuczek do mózdzierza i na nowo nabijał fajkę. Jego żona Anna Maria była w polu, bliźniaki szalały pod stołem w izbie, przy czym kilka razy niemal przewróciły mózdzierz. Wśród wyzwisk i przekleństw

posłał Georga i Barbarę do ogrodu. Dzieci odeszły nadąsane, dobrze jednak wiedząc, że ojciec nie potrafi się długo na nie gniewać.

Znudzony Simon wertował zniszczoną księgę, którą kat pozostawił otwartą na stole. Medyk właśnie oddał mu dwie jego książki i był żądny nowej wiedzy. Leżący przed nim opasły tom niekoniecznie wzbudzał jego zainteresowanie. *De materia medica* Dioskuridesa wciąż jeszcze była standardowym dziełem z zakresu medycyny, choć jej autor, grecki lekarz, żył w czasach Zbawiciela. Na uniwersytecie w Ingolstadt nauczano zgodnie z jego poglądami. Simon westchnął. Miał wrażenie, że ludzie drepczą w miejscu; minęło tyle wieków, a oni niczego nowego się nie nauczyli.

Mimo to był zdumiony, że Kuisl posiadał również i tę książkę. W skrzyni i szafce aptecznej kata znajdował się dobry tuzin książek i niezliczone pergaminy, między innymi pisma benedyktynki Hildegardy z Bingen, a także nowe dzieła na temat krążenia krwi lub układu narządów w ciele. Wśród nich był nawet Ambroise Paré i jego *Pisma o anatomii i chirurgii* w niemieckim przekładzie. Simon nie wierzył, by którykolwiek mieszkaniec Schongau posiadał więcej książek niż kat; nawet pisarz sądowy, który uchodził w mieście za wyjątkowo wykształconego.

Wertując dzieło Greka, Simon zadawał sobie pytanie, dlaczego po prostu nie mogli z katem zapomnieć o sprawie akuszerki. Powodem tego była przypuszczalnie łącząca ich dezaprobata wobec zastanej rzeczywistości i napędzana ciekawością skłonność do zadawania choćby najbardziej niewygodnych pytań. To i jeszcze spora doza uporów, pomyślał z uśmiechem.

Nagle jego palec zatrzymał się na jednej ze stron. Obok szkicu ludzkiego ciała znajdowało się tam kilka symboli alchemicznych ingrediencji. Jeden z nich miał kształt trójkąta z zawijaszem na dole.

Był to dawny znak siarki.



Simon znał go z czasów studiów, ale dopiero teraz przypomniał sobie, gdzie widział go po raz ostatni. To właśnie ten symbol pokazał mu tkacz, Andreas Dangler. Ten sam znak Sophie namalowała w pyle na tyłach podwórza.

Simon podsunął książkę Jakubowi Kuislowi, który wciąż jeszcze rozcierał zioła.

— To jest znak, o którym wam opowiadałem! Znak narysowany przez Sophie. Teraz go rozpoznaję! — zawołał.

Kat spojrział na stronę i skinął głową.

— Siarka... To właśnie nią śmierdzi diabeł i jego kochanki.

—Zatem, czy one naprawdę...? — zapytał Simon.

Jakub Kuisl kurzył fajkę.

—Najpierw znamię Wenus, a teraz znak siarki... Dziwne to.

—Skąd Sophie zna takie znaki? — dopytywał Simon. — Przecież tylko od akuszerki. Stechlinowa musiała opowiadać o tym jej i innym dzieciom. Może rzeczywiście nauczyła je czarować... — westchnął. — Niestety nie możemy jej o to zapytać, przynajmniej na razie.

—Bzdura — mruknął kat. — Taka ze Stechlinowej czarownica, jak ze mnie czarownik. Dzieciaki mogły równie dobrze zobaczyć te znaki u niej w izbie, w książce, na tyglach, butelkach i kto tam wie, gdzie jeszcze.

Simon potrząsnął głową.

— Symbol siarki, niech będzie — odrzekł. — Ale znamię Wenus, znak czarownic? Sami powiedzieliście, że nigdy takiego u niej nie widzieliście. A jeśli nawet, to w takim razie byłaby czarownicą, prawda?

Kat dalej rozgniatał w moździerz zioła, choć już od dawna miały one postać zielonej papki.

— Stechlinowa nie jest żadną czarownicą i basta! — warknął. — Lepiej znajdziemy tego diabła, który chodzi po naszym mieście i porywa dzieci. Sophie,

Klara, Johannes — wszystkie zniknęły. Dokąd poszły? Jestem pewien, że gdy je znajdziemy, znajdziemy także rozwiązanie zagadki.

—Jeśli te dzieci jeszcze żyją — mruknął Simon, po czym zatopił się w rozmyślaniach.

—Sophie widziała diabła w dole nad rzeką, gdy pytał o małego Kratza — powiedział w końcu. — Krótco potem chłopiec już nie żył. Mężczyzna był wysoki, miał na sobie płaszcz i kapelusz z piórem, a w poprzek jego twarzy przebiegała blizna. Poza tym miał rzekomo rękę kościotrupa, cokolwiek dziewczyna tam widziała...

Jakub Kuisl przerwał mu.

—Służąca od Semera też widziała w gospodzie mężczyznę z ręką kościotrupa.

—Zgadza się — odrzekł Simon. — Było to parę dni wcześniej. Przebywał tam z kilkoma innymi mężczyznami. Służąca powiedziała mi, że wyglądali na żołnierzy. A później poszli na górę i z kimś się tam spotkali. Z kim?

Kat wyskrobał pastę z mózdzierza i przełożył ją do tygła, który przykrył kawałkiem skóry.

—Nie lubię, jak żołnierze szwendają się po naszym mieście — mruknął. — Przynoszą tylko same kłopoty. Chleją, rabują i niszczą.

—Apropos zniszczeń... — rzekł Simon. — Schreevogel opowiadał mi zeszłej nocy, że zniszczono nie tylko magazyn. Tego samego wieczoru ktoś był na placu budowy przytułku i nie zostawił tam kamienia na kamieniu. Czy to również byli augsburczycy?

Jakub Kuisl lekceważąco machnął ręką.

— Chyba nie. Przytułek w naszej okolicy jest im tylko na rękę. W końcu mają nadzieję, że w takiej sytuacji zatrzymywałoby się u nas coraz mniej podróżnych.

— Wobec tego może to sprawka kilku zamiejscowych woźniców, którzy boją się, że przejeżdżając, mogliby zarazić się trędem — wtrącił Simon. — Ostatecznie szlak handlowy prowadzi niedaleko od drogi do Hohenfurch.

Jakub Kuisl splunął.

— Znam wystarczająco wielu schongauczyków, którzy właśnie z tego powodu podobnie srają w gacie. Kościół chce zbudować przytułek, ale patrycjusze są mu przeciwni, bo boją się, że handel ominie nasze miasto szerokim łukiem.

Simon potrząsnął głową.

— Przecież przytułki istnieją w wielu wielkich miastach, nawet w Regensburgu i Augsburgu...

Kat przeszedł do izby aptecznej, by odstawić tam tygiel.

— Nasze handlarzyny to tchórzliwe psy — zawołał stamtąd do Simona. — Kilku z nich regularnie do mnie przychodzi; trzęsą się ze strachu, gdy dżuma jest jeszcze w Wenecji!

Gdy wrócił, niósł na ramieniu długą na łokieć pałkę z modrzewiowego drewna i szeroko się uśmiechał.

— W każdym razie ten przytułek powinniśmy obejrzyć sobie z bliska. Czuję, że zbyt wiele rzeczy zdarzyło się naraz, żeby wszystkie traktować jako czysty przypadek.

— Już teraz? — zapytał Simon.

— Już teraz — odparł Kuisl, machając pałką. — Może gdzieś tam na dworze włóczy się też diabeł. Zawsze chciałem czartowi wygarbować skórę.

Jego masywne ciało przecisnęło się przez wąską framugę drzwi. Na zewnątrz był kwietniowy poranek. Simon trząsnął się z zimna. Możliwe, że nawet diabeł bał się schongauskiego kata.

Miejsce budowy przytułku dla nieuleczalnie chorych znajdowało się przy drodze prowadzącej do Hohenfurch. Był to wykarczowany kawałek lasu położony tuż przy ulicy, oddalony od miasta o niecałe pół godziny drogi. Przechodząc tamtędy, Simon wielokrotnie przyglądał się robotnikom, którzy już osadzili fundament i postawili mury z cegieł. Medyk przypomniał sobie, że ostatnim razem widział tu drewniane rusztowania i wieżbę dachową. Fundamenty małej kaplicy, która miała stać obok, były już gotowe.

Simon pomyślał o mszach z poprzednich miesięcy, podczas których ksiądz z dumą opowiadał o postępującej budowie. Dzięki przytułkowi Kościół spełniał od dawna żywione pragnienie. Opieka nad ubogimi i chorymi była jego osobistym zadaniem. Poza tym chorzy na wysoce zaraźliwy trąd stanowili niebezpieczeństwo dla całego miasta. Do tej pory zsyłano ich do przytułku dla nieuleczalnie chorych w Augsburgu, jednak jego mieszkańcy sami mieli wystarczająco wielu trędowatych, przez co w ostatnim czasie kilka razy prawie odmówili przyjęcia kolejnych chorych. Dlatego Schongau chciało w przyszłości uniknąć sytuacji, w której musiałoby prosić augsburczyków o pomoc. Nowy przytułek miał być symbolem niezależności miasta, nawet jeśli wielu członków rady raczej potępiało pomysł jego wzniesienia.

Tymczasem z tak ożywionego niegdyś placu budowy niewiele pozostało. Duża część murów była zwalona i sprawiała wrażenie, jakby ktoś rzucił się na nie z ogromną siłą. Wieżba dachowa wznosiła się ku niebu jak czarny od sadzy szkielet, większość drewnianych rusztowań została połamana lub spalona. W powietrzu unosił się zapach mokrego popiołu. Wprzydrożnym rowie leżała opuszczona furmanka, na którą załadowano drewno i beczki.

Wrogu karczowiska znajdowała się stara, ułożona z naturalnych kamieni studnia. Przy jej ocembrowaniu stała grupa rzemieślników, którzy ze zdziwieniem gapili się na dzieło zniszczenia. Praca trwająca tygodnie, o ile nie miesiące, poszła w diabły. Budowa ta zapewniała mężczyznom codzienny zarobek, zaś te-

raz ich przyszłość stała pod znakiem zapytania. Kościół jeszcze nie zdążył się wypowiedzieć na temat tego, co ma być dalej.

Simon pozdrowił robotników, machając do nich ręką, po czym zrobił kilka kroków w ich stronę. Mężczyźni nieufnie patrzyli na medyka, dalej przeżuując w ustach po kawałku chleba. Najwyraźniej przeszkadzał im w jedzeniu i nie mieli zamiaru tracić na pogawędkach skąpo wyliczonej przerwy.

— Źle to wygląda — krzyknął Simon, wskazując na plac budowy. Kat w pewnej odległości podążał za nim. — Wiecie, czyja to sprawka?

— A co cię to obchodzi? — jeden z rzemieślników splunął. Simon rozpoznał w nim jednego z tych, którzy dwa dni temu próbowali wtargnąć do siedzącej w więzieniu akuszerki. Mężczyzna spoglądał ponad ramionami Simona na Jakuba Kuisla. Kat uśmiechał się, obracając na ramieniu pałkę.

— Witaj, Józefie — powiedział Kuisl. — Jak się czuje twoja żona? Już dobrze? Mój specyfik zadziałał?

Pozostali robotnicy spoglądali zdumieni w stronę cieśli, którego miasto zatrudniło w charakterze kierownika budowy.

— To twoja żona jest chora? — zapytał jeden z nich. — Nic nam o tym nie mówiłeś.

— To nic... nic poważnego — mruknął zagadnięty, spoglądając bezradnie w stronę kata. — Tylko lekki kaszel, prawda, mistrzu Kuisl?

— Tak właśnie jest, Józefie. Będziesz tak miły i pokażesz nam teren?

Józef Bichler wzruszył ramionami i poszedł w kierunku powalonych murów.

— Nie ma tu dużo do oglądania. Chodźcie za mną.

Kat wraz z medykiem poszli jego śladem, podczas gdy inni rzemieślnicy, szepcząc, pozostali przy studni.

— Co się dzieje z jego żoną? — zapytał cicho Simon.

— Nie chce już chodzić z nim do łóżka — powiedział Jakub Kuisl, błędząc wzrokiem po terenie budowy. — Chciał, żeby akuszerka dała mu napój miłosny,

ale ta odmówiła. Powiedziała, że to uprawianie czarów. I wtedy przyszedł do mnie.

—A wy mu daliście...

— Wiara jest nieraz najlepszym napojem. Wiara i rozpuszczona w wodzie glina. Od tej pory skargi ustały.

Simon wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu. Jednocześnie potrząsał głową nad mężczyzną, który posądził akuszerkę o czary i chciał, by spłonęła na stosie, choć wcześniej zamawiał u niej czarodziejskie napoje.

Tymczasem dotarli do fundamentów przytułku. Mury, które miały niegdyś wysokość człowieka, w niektórych miejscach były kompletnie zniszczone, wszędzie na ziemi leżały kamienie. Kupę desek rozrzucono, a później podpalono. W niektórych miejscach wciąż jeszcze unosił się dym.

Patrząc na dzieło zniszczenia, Józef Bichler przeżegnał się.

—Musiał tu być diabeł — szepnął. — Ten sam, który zabił dzieci. Któż poza tym mógłby rozwalić cały mur?

—Diabeł lub kilku silnych mężczyzn z pniem drzewa — odrzekł Jakub Kuisl. — Na przykład z tym tam — wskazał na gruby, pozbawiony konarów pień jodły, który leżał niedaleko północnej części murów w wykarczowanym polu. Ślady po ciągnięciu kłody prowadziły od krawędzi lasu do placu budowy, a stamtąd dalej do murów.

Kat skinął głową.

— Użyli go jako tarana.

Po resztkach murów weszli na plac budowy. W kilku miejscach fundament piwnicy był popekany, jakby ktoś uderzał weń siekierą. Płyty kamienne odsunięto na bok, dookoła leżały kawałki gliny i cegieł. W rogach piwnicy ziemię wybrano po kolana, tak że co chwilę musieli przeskakiwać przez hałdy. Wyglądało to gorzej niż po najeździe Szwedów.

—Kto mógł zrobić coś takiego? — szepnął Simon. — To już nie sabotaż, a ślepy szal niszczenia.

—Dziwne — stwierdził Kuisl, obgryzając swoją zimną fajkę. — Żeby sabotować budowę, właściwie wystarczyłoby zburzyć mury. Ale to tutaj...

Cieśla popatrzył na niego ze strachem.

— Toć powiedziałem, diabeł... — syknął. — Tylko on ma taką siłę. Stojącą obok kaplicę też zgniótł uderzeniem pięści, jakby była z pergaminu.

Simonowi zrobiło się zimno. Teraz, w godzinach południowych, słońce próbowało rozproszyć poranne mgły, ale niezupełnie mu się to udawało. Gęste kłęby wciąż jeszcze wisiały nad karczowiskiem. Las, który zaczynał się raptem kilka metrów za budową, był ledwo widoczny.

Tymczasem Jakub Kuisl znów wyszedł przez murowany łuk bramy poza teren budowy. Szukając czegoś, spacerował przed zachodnią częścią muru. W końcu zatrzymał się.

— Tutaj! — krzyknął. — Wyraźne ślady. To musiało być czterech lub pięciu chłopa.

Nagle schylił się i coś podniósł. Był to mały, czarny skórzany woreczek, nie większy niż dziecięca piastka. Na twarzy kata pojawił się błogi uśmiech.

—Wyśmienity tytoń — rzekł do Simona i cieśli, którzy podeszli bliżej. Roztarł brązowe włókna na okruszki i jeszcze raz głęboko wciągnął zapach.

—Ale nie pochodzi stąd. To dobre ziele. Coś takiego wahałem kiedyś w Magdeburgu. Za taki towar handlarze zarzynali się jak świnie.

—Byliście w Magdeburgu? — zapytał cicho Simon. — Nigdy mi o tym nie opowiadaliście.



Kat szybkim ruchem schował woreczek w kieszeni płaszcza. Nie reagując na pytanie Simona, udał się w stronę fundamentów kaplicy, które również przedstawiały obraz nędzy. Dawne mury były przewrócone i tworzyły małe pagórki z kamieni. Kuisł wszedł na jeden z nich i rozejrzał się. Znaleziony woreczek zdawał się wciąż go absorbować.

—Nikt z tutejszych nie pali takiego tytoniu! — krzyknął do stojących za nim mężczyzn.

—A skąd o tym wiecie? — zapytał opryskliwie cieśla. — Przecież to diabelskie ziele śmierdzi zawsze tak samo.

Wyrwany z zamyślenia kat spojrział z wściekłością na Józefa Bichlera. Gdy tak stał na pagórku z kamieni, zanurzony w oparach mgły, przypominał Simonowi olbrzymia z pewnej sagi. Kat wskazał palcem na cieślę:

— Ty śmierdzisz — zawołał. — Twoje zęby śmierdzą, twoja gęba śmierdzi, ale to... ziele, jak mówisz, pachnie! Ożywia zmysły i wyrywa człowieka ze snu! Przykrywa cały świat i unosi do nieba, zapamiętaj to sobie! Ale i tak byłoby go szkoda dla takich wiejskich głupków jak ty. Ono pochodzi z Nowego Świata i nie jest przeznaczone dla jakichś kretynów nie wiadomo skąd.

Zanim cieśla zdążył zareagować, odezwał się Simon, wskazując na górę brązowej, mokrej ziemi zaraz obok kaplicy.

— Patrzcie, tutaj też są ślady! — zawołał.

I rzeczywiście, cała kupa ziemi była pokryta śladami butów. Rzucając ostatnie gniewne spojrzenie, kat zszedł z pagórka i zajął się badaniem odcisków.

— Ślady butów z cholewami — odrzekł w końcu. — Są to żołnierskie kamasze, to pewne. Wiele już takich widziałem — głośno gwizdnął. — To jest ciekawe... — wskazał na konkretny ślad, który przy pięcie był trochę zatarty. — Ten mężczyzna kuleje. Lekko ciągnie za sobą nogę i nie może mocno na niej stanąć.

— Szpotawa stopa diabła! — syknął Józef Bichler.

— Gówno — mruknął Kuisl. — Gdyby to była szpotawa stopa, wówczas nawet ty byś to widział. Nie, ten mężczyzna kuleje. Przypuszczalnie odniósł ranę postrzałową na wojnie. Kulę usunięto, ale noga pozostała sztywna.

Simon skinął głową. Takie operacje pamiętał jeszcze z czasów, kiedy pomagał ojcu— felczerowi, który za pomocą długich, cienkich szczypiec grzebał w ciele rannego, dopóki nie znalazł ołowianej kuli. Często doprowadzało to do pojawienia się ropy i gangreny, będącej przyczyną późniejszej śmierci żołnierza. Czasami jednak operacja kończyła się sukcesem i mężczyzna znów mógł wrócić na pole walki, by następnym razem ponownie znaleźć się przed nimi z raną postrzałową brzucha.

Kat wskazał na górę wilgotnej ziemi.

— Co tu robi glina? — zapytał.

— Tynkujemy nią ściany i podłogę — odrzekł cieśla. — Glina pochodzi z dołu przy chałupie z cegły, za dzielnicą garbarzy.

— Tutejszy teren należy przecież do Kościoła, nieprawdaż? — zapytał teraz cieślę Simon!

Józef Bichler skinął głową.

— Stary dziwak Schreevogl zapisał go w testamencie Kościołowi w zeszłym roku, na krótko przed swoją śmiercią, a młody spadkobierca czuje się teraz jak głupek.

Simon przypomniał sobie swoją przedwczorajszą rozmowę z Jakubem Schreevoglem. Młody patrycjusz opowiadał mu podobne rzeczy. Bichler uśmiechnął się do niego szeroko i zaczął grzebać w zębach.

— To strasznie gryzło młodego Schreevogla —powiedział.

— Skąd o tym wiesz? — zapytał Simon.

— Wcześniej pracowałem dla starca, po tamtej stronie w wypalarni. Ci dwaj nieźle skoczyli sobie do oczu, a później stary powiedział, że daje tę działkę Kościółowi na przytułek i że niebo mu to wynagrodzi, a później posłał swego syna do diabła.

—A co na to młody Schreevogl?

— Szpetnie kłął, głównie dlatego, że planował tutaj budowę drugiego pieca do wypalania. A teraz wszystko dostanie Kościół.

Simon chciał jeszcze popytać dalej, ale jakiś trzask sprawił, że szybko się odwrócił. Był to kat, który przeskoczył kupę desek i teraz biegł ulicą w stronę krawędzi lasu, gdzie pośród gęstej mgły widoczna była jakaś postać. Pochylona biegła między drzewami w stronę brzegu Lecha.

Simon zostawił zdumionego cieślę i popędził w poprzek karczowiska. Miał nadzieję, że w ten sposób odetnie uciekinierowi drogę. Tylko kilka metrów za nim dotarł na skraj lasu. Z prawej strony słyszał trzask łamanych gałęzi. Kat zbliżał się, dysząc i wymachując pałką.

— Biegnij za nim, a ja będę się trzymać prawej strony, żeby nie uciekł nam przez pola! — wysapał. — Najpóźniej złapiemy go na górze przy stromym brzegu.

Simon znalazł się teraz w gęstym, jodłowym lesie. Człowiek zniknął mu już z oczu i jedynie go słyszał. Przed nim wciąż łamały się gałęzie, przytłumione kroki, stawiane na pokrytym igłami podłożu, szybko się oddalały. Od czasu do czasu zdawało mu się, że między gałęziami widzi jakiś cień. Mężczyzna, czy ktokolwiek tam z przodu był, biegł pochylony jakoś tak... osobliwie. Simon czuł, że coraz trudniej mu oddychać. W jego ustach rozchodził się metaliczny smak. Już dawno nie biegł tak długo i tak szybko. O ile dobrze pamiętał, bodajże od czasów dzieciństwa. Nawykł do siedzenia w izbie i czytania książek przy kawie, zaś bieganie w ostatnich latach bardzo zaniedbał. Może poza kilkoma przypadkami, kiedy to

musiał rzucać się do ucieczki przed rozgniewanymi ojcami pięknych mieszczek. Ale było to już jakiś czas temu.

Ścigana postać zyskiwała nad Simonem przewagę, trzask gałęzi stawał się coraz cichszy. W oddali z prawej strony usłyszał nagle dźwięk rozłupywanego drewna. To musiał być kat, który przeskakiwał przez przewrócone drzewa jak odyniec.

Kilka minut później Simon dotarł do dna doliny. Przed nim wznosiło się strome zbocze, za którym zaczynał się urwisty brzeg Lecha. Zamiast jodeł rosły tutaj niskie, splątane ze sobą krzaki, uniemożliwiające dalszą drogę. Simon podciągnął się w górę na jednym z nich i przeklinając, natychmiast opuścił się w dół. Sięgnął w sam środek jeżyn, a jego prawa ręka była usiana drobnymi kolcami. Nasłuchiwał, jednak dochodziły do niego tylko odgłosy łamanego gdzieś z tyłu drewna. Teraz dostrzegł nadchodzącego kata. Kuisl przeskoczył przez zbutwiały pień drzewa i w końcu zatrzymał się przed nim.

— No i co? — zapytał Jakub Kuisl. Po tej pogoni również i jemu brakowało tchu, choć nie w takim stopniu jak medykwowi.

Patrząc na swe pokłute kolcami ciało, Simon tylko potrząsnął głową.

— Myślę, że go zgubiliśmy — wysapał.

— Cholera — zaklął kat. — Jestem pewien, że był to jeden z mężczyzn, którzy zniszczyli plac budowy.

— Czemu znowu tu wrócił? — zapytał Simon, wciąż dysząc. Jakub Kuisl wzruszył ramionami.

— Nie wiem, może chciał zobaczyć, czy miejsce opustoszało. Może zamierzał tam pójść jeszcze raz. Albo chciał poszukać swojego wyborczego tytoniu — kat uderzył pałką w krzywo rosnący świerk. — Niech będzie. Teraz i tak go zgubiliśmy — spojrzął na stromy stok. — W każdym razie musi być bardzo silny, skoro wszedł tu na górę. Nie każdy dałby sobie z tym radę.

Tymczasem medyk usiadł na obrosłym mchem pniu drzewa i zaczął mozolnie wyciągać z ręki jeżynowe kolce. Wokół jego głowy krążyły niezliczone komary w poszukiwaniu dogodnego miejsca, by wkłuć się w ciało.

— Znikajmy stąd — powiedział, machając rękami, by w ten sposób przegonić owady.

Kat skinął głową i odszedł parę kroków dalej. Nagle zatrzymał się i wskazał na ziemię. Przed nim leżało wyrwane z korzeniami drzewo. W miejscu, gdzie tkwiły one wcześniej, znajdowało się tylko wilgotne, gliniaste podłoże. Dokładnie na samym środku widniały dwa dobrze widoczne ślady butów. Lewy był mniej wyraźny i kończył się śladem ciągnięcia przy pięcie.

— To ten kulejący — szepnął Jakub Kuisl. — Rzeczywiście był to jeden z żołnierzy.

— Ale dlaczego zniszczyli przytułek? I co to wszystko ma wspólnego z zabitymi dziećmi? — zapytał Simon.

— Wkrótce się tego dowiemy, już niebawem — mruknął kat. Jego spojrzenie znowu powędrowało w stronę górnej części stoku. Przez moment zdawało mu się, że widzi tam jakąś postać, ale zaraz potem znów przesłoniły ją opary mgły. Z kieszeni płaszcza wyjął mały woreczek z tytoniem i idąc, zaczął nabijać nim fajkę.

— Ten diabeł ma przynajmniej gust — powiedział. — Trzeba to przyznać draniowi.

Diabeł stał wysoko na zboczu. Ukryty za bukiem obserwował dwie małe postacie znajdujące się na dole tuż pod nim. Obok leżał wielki głaz narzutowy. Diabeł przez chwilę próbował go poruszyć. Spadający kamień pociągnąłby za

sobą kolejne kamienie, lawinę ze żwiru, skał i suchych gałęzi, która spadłaby na tych dwóch na dole i może by ich zasypała. Jego biała, kościotrupia ręka zbliżyła się do głazu, ale w tym momencie wyższa z postaci nagle odwróciła się w jego stronę. Przez krótką chwilę patrzył mężczyźnie w oczy. Czy kat też go widział? Znow przywarł do pnia drzewa i porzucił swój plan. Ten mężczyzna był zbyt silny i zbyt sprawny. Usłyszałby odgłos spadającej lawiny i odskoczyłby w bok. Problemem nie był mały konował, szpieg, któremu przy najbliższej okazji przetrnie gardło w jakimś ciemnym zaułku miasta, tylko kat...

Nie powinien był tutaj wracać. Nie za dnia. To było przecież oczywiste, że w którymś momencie przeszukają plac budowy. Jednakże zgubił swój woreczek z tytoniem, zostawiając w ten sposób ślad, który mógłby doprowadzić ich do jego kompanów. Poza tym dręczyło go pewne podejrzenie. Dlatego postanowił sam dopilnować sprawy, zachowując się jednak tak, by nie dowiedzieli się o tym inni. Czekali, aż diabeł przyjdzie i wręczy im żołąd. Gdyby robotnicy znów zaczęli pracować, wówczas oni mają wrócić i ponownie wszystko zburzyć. Takie było polecenie. Jednak diabeł był sprytny i zaraz pomyślał, że za tą sprawą musi się kryć coś więcej. Zatem poszedł tam. Irytujące było to, że w tym samym czasie pojawił się mały szpicel wraz z katem. Ale nie złapali go, dlatego w nocy po prostu spróbuje raz jeszcze.

Pozostałym przekazał, że powinni rozejrzeć się za dziewczyną, jednak jego rozkaz wykonali z niechęcią. Słuchają go, gdyż odczuwają przed nim lęk, no i, bądź co bądź, zobowiązali się do posłuszeństwa, akceptując jego przywództwo. Jednak w ostatnim czasie coraz częściej mu się sprzeciwiają. Nie pojmują bowiem, jak ważne jest zlikwidowanie dzieci. Zaraz na początku złapali małego chłopca i teraz uważają, że pozostałe dzieciaki ze strachu będą robić w gacie. Nie rozumieją, że sprawę trzeba doprowadzić do samego końca. Misja jest zagrożona, chodzi o żołąd! Te brudne, małe bachory myślą, że mogą mu uciec. Banda

gnojków, kwiczące prosiaki, którym trzeba poderżnąć gardła, żeby te przeraźliwe odgłosy w jego głowie wreszcie ustały.

„Ostre dźwięki bijących dzwonów, płacz kobiet, wrzask niemowląt, od którego rozsadzało im gałki oczne...”.

Jego oczy znowu zaszyły mgłą i musiał uczepić się pazurami pnia buku, żeby nie stoczyć się ze zbocza. Zagryzł wargi aż do krwi i dopiero wtedy powróciło mu trzeźwe myślenie. Najpierw musi usunąć dziewczynę, później szpicla i kata. Kat będzie najtrudniejszym, godnym przeciwnikiem. A potem dopilnuje sprawy na placu budowy. Był pewien, że handlarzyna coś przed nim zataił. Ale diabeł nie pozwala się oszukiwać i kapie się we krwi tego, kto próbuje wywieść go w pole!

Wdychał zapach świeżej ziemi i delikatnych kwiatów. Wszystko było już w porządku. Z uśmiechem na ustach powędrował wzdłuż brzegu stoku, aż wreszcie pochłonał go las.

Gdy Simon i Jakub Kuisł wrócili do Schongau, plotka o pojawieniu się upiornej postaci już zdążyła rozejść się po mieście. Józef Bichler i inni robotnicy pobiegli prosto na rynek, gdzie każdemu opowiadali o zbliżającym się przybyciu diabła. Na straganach ustawionych dookoła budynku Ballenhaus słychać było szeptanie; wielu rzemieślników rzuciło robotę i stanęło w grupkach na placu. Miasto ogarnął nastrój napięcia. Simon czuł, że do przelania się czary goryczy niewiele już brakuje. Wystarczyłoby jedno niewłaściwe słowo, przeraźliwy krzyk, a lud wtargnąłby do więzienia, by własnymi rękami zanieść Stechlinową na stos.



Pod obstrzałem nieufnych spojrzeń straganiarek i rzemieślników medyk wraz z katem przeszli przez portal miejscowego kościoła parafialnego. Gdy wchodzili do wnętrza największego w mieście domu Bożego, ogarnął ich chłód. Wzrok Simona wędrował po wysokich kolumnach, z których odpadał tynk, po ślepych oknach i zbutwiałych stallach. Kilka pojedynczych świec paliło się w ciemnych nawach bocznych, rzucając migoczące światło na pożółkłe freski.

Lepsze czasy pamiętało nie tylko Schongau, lecz także miejscowy kościół parafialny pod wezwaniem Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny. Wielu mieszkańców uważało, że większy sens miałoby wyłożenie pieniędzy na renowację świątyni niż na budowę przytułku. Szczególnie wieża kościelna sprawiała wrażenie, jakby za chwilę miała runąć. W położonych naprzeciw gospodach schongauczycy przedstawiali sobie w ponurych barwach, co by się stało, gdyby wieża zawaliła się w trakcie odprawiania mszy.

W sobotę w porze obiadowej ławki kościelne zajmowało tylko kilka modlących się starszych kobiet. Od czasu do czasu któraś z nich wstawała i podchodziła do stojącego z prawej strony konfesjonału, by po chwili znów wrócić do ławki, mamrocząc i przesuwając chude palce po paciorkach różańca. Jakub Kuisl usiadł w ostatnim rzędzie i obserwował staruszki, które na jego widok jeszcze gorliwiej odmawiały swoje modlitwy, przywierając ile sił do murów nawy głównej, gdy tylko musiały przejść obok niego.

Kat nie był w kościele mile widziany, a przydzielone mu na stałe miejsce znajdowało się w tyle świątyni, po lewej stronie. Komunię przyjmował zawsze ostatni. Mimo to Jakub Kuisl również dziś nie omieszkał posłać starym kobieciom wyjątkowo przyjaznego, szerokiego uśmiechu, który one skwitowały znakiem krzyża, czym prędzej uciekając z kościoła.

Simon Fronwieser poczekał, aż ostatnia z nich opuści konfesjonał, po czym sam tam się udał. Zza gęsto okratowanego, drewnianego okienka rozległ się ciepły głos miejscowego księdza Konrada Webera.

—*Misereatur tui omnipotens Deus, et dimissis peccatis tuis, perducatur te ad vitam...*

— Proszę księdza — szepnął Simon. — Nie przyszedłem, by się wyświadczyć. Potrzebuję tylko informacji.

Mamrotanie po łacinie ucichło.

— Kim jesteś? — zapytał ksiądz.

— Jestem Simon Fronwieser, syn chirurga.

— Rzadko cię widuję u spowiedzi, choć powiadają, że znalazłbyś powód do wyznania grzechów.

— Ja... ja się poprawię, proszę księdza. Zaraz się wyświadam, ale najpierw muszę się czegoś dowiedzieć na temat przytułku. Czy to prawda, że stary Schrevogl pozostawił wam grunt przy drodze prowadzącej do Hohenfurch, choć właściwie obiecał go już swojemu synowi?

— Czemu o to pytasz?

— Bo wokół przytułku dokonano zniszczeń. Chcę wiedzieć, kto się za tym kryje.

Ksiądz długo milczał. W końcu chrząknął.

— Ludzie powiadają, że to był diabeł — szepnął.

— A wy w to wierzycie?

— Cóż, diabeł może pojawiać się pod różnymi postaciami, również jako człowiek. Za kilka dni jest noc Walpurgii, a wtedy czart znów zjednoczy się z kilkoma bezbożnymi kobietami. Podobno na tym kawałku ziemi dawno temu odbywały się tańce czarownic...

Simon drgnął.

— Kto tak mówi?

Ksiądz zawahał się, po czym kontynuował.

— Ludzie tak opowiadają. Tam, gdzie teraz buduje się kościółek, podobno grasowali czarownicy i czarownice. Dawno temu w miejscu tym stała już kiedyś

kaplica, ale zawaliła się i rozpadła, podobnie jak wcześniejszy przytułek dla nieuleczalnie chorych. Wygląda to tak, jakby nad okolicą wisiał zły urok... — głos księdza zamienił się w szept. — Znalezione tam stary, pogański ołtarz z kamienia, który na szczęście zniszczyliśmy. Dla Kościoła był to kolejny powód ku temu, by zbudować na tej działce nowy przytułek i kaplicę. Zło musi ustąpić, gdy napotka na swej drodze Bożą światłość. Cały plac skropiliśmy wodą święconą.

— Najwyraźniej bez skutku — mruknął Simon. Jednak pytał dalej:

— Czy stary Schreevogel przepisał ten kawałek gruntu w testamencie swojemu synowi? Był on wpisany jako spadkobierca?

Ksiądz chrząknął.

— Przecież znałeś starego Schreevogla. To był... hmm... uparty dziwak. Pewnego dnia wzburzony przyszedł do mnie na parafię i powiedział, że jego syn nie zna się na interesach i że grunt położony przy drodze chętnie przepisałby teraz Kościołowi. Zmieniliśmy więc jego testament, proboszcz był świadkiem.

— Akrótko potem zmarł...

— Tak, z powodu gorączki, osobiście udzieliłem mu sakramentu ostatniego namaszczenia. O kawałku gruntu mówił jeszcze na łożu śmierci. Stwierdził, że przysporzy nam on dużo radości i pozwoli wyświadczyć wiele dobra. Swojemu synowi nigdy nie przebaczył. Ostatnim człowiekiem, którego chciał widzieć, nie był Jakub Schreevogel, lecz stary Matthias Augustin. Od czasu, gdy zasiadali w radzie miasta, obydwaj byli ze sobą zaprzyjaźnieni. Zresztą znali się od dzieciństwa.

— I nie cofnął darowizny nawet na łożu śmierci?

Twarz księdza była teraz bardzo blisko drewnianych krtek.

— Cóż miałem zrobić? — zapytał. — Odradzić to staremu? Byłem taki zadowolony, że w końcu mogę odziedziczyć ten kawałek gruntu, na dodatek nie płacąc zań ani guldenu. Pod względem położenia jest on wprost stworzony do

budowy przytułku. Leży w odpowiednio dużej odległości od miasta, a mimo to blisko drogi...

— Jak ksiądz myśli, kto zniszczył plac budowy?

Ksiądz Konrad Weber znów zamilkł. Gdy Simon stwierdził, że duchowny nic już nie powie, znów rozległ się jego głos. Oczywiście bardzo cicho.

— Jeśli spustoszenia nie ustaną, nie będę mógł bronić przed radą mojej decyzji o budowie przytułku. Zbyt wielu jej członków jest temu przeciwnych. Nawet proboszcz uważa, że nie możemy pozwolić sobie na taką budowę. Będziemy zmuszeni sprzedać ten grunt.

— Komu?

— Na razie nikt się nie zgłosił, ale mogę sobie wyobrazić, że młody Schrevoigl wkrótce pojawi się na mojej plebanii...

Simon powstał z klęczek i zwrócił się do wyjścia z ciasnego konfesjonału.

—Bardzo dziękuję księdzu.

— Simon?

—Tak, proszę księdza?

— Spowiedź.

Simon z westchnieniem znów klęknął, przysłuchując się monotonie wypowiedzanym przez księdza słowom.

— *Indulgentiam, absolutionem et remissionem peccatorum quorum tribuat tibi omnipotens et misericors Dominus...*

Zapowiadał się długi dzień.

Gdy medyk w końcu opuścił konfesjonał, ksiądz Konrad Weber przez chwilę zawahał się. Miał wrażenie, jakby pomiął coś, co wcześniej miał na końcu języka, a o czym teraz za nic w świecie nie mógł sobie przypomnieć. Po krótkim namyśle powrócił do swoich modlitw. Być może kiedyś sobie to przypomni.

Simon z westchnieniem wyszedł z ciemnego kościoła. Słońce powędrowało już nad dachy. Na ławce obok cmentarza siedział Jakub Kuisl i zaciągał się fajką. Z zamkniętymi oczami rozkoszował się ciepłymi promieniami wiosennego słońca i doskonałym tytoniem, znalezionym na placu budowy. On również jakiś czas temu wyszedł z chłodnej świątyni. Gdy usłyszał nadchodzącego Simona, zmrużył oczy.

— No i co?

Simon usiadł obok niego na ławce.

— Sądzę, że mamy ślad — powiedział, po czym zrelacjonował swoją rozmowę z księdzem.

Kat w zamyśleniu zaciągał się fajką.

— Tę gadaninę o czarownicach i czarodziejach uważam za maskaradę. Ale fakt, że stary Schreevogl praktycznie wydziedziczył swojego syna, wart jest przemyślenia. Uważasz zatem, że młody Schreevogl mógłby sabotować budowę, aby znów odzyskać ten kawałek gruntu?

Simon skinął głową.

— Możliwe, że tak jest. W końcu chciał tam w dole zbudować drugą wypalarnię cegieł. Sam mi o tym opowiadał. No i jest ambitny.

Nagle przyszło mu coś do głowy.

—Resi, służąca u Semera, opowiadała mi o żołnierzach, którzy spotkali się z kimś na górze w gospodzie — krzyknął. — Powiedziała, że jeden z nich kulał. To musiał być diabeł, którego dzisiaj widzieliśmy. Może Jakub Schreevogl spotkał się w gospodzie z diabłem i innymi żołnierzami?

—A co to wszystko ma wspólnego z pożarem magazynu, znakami i martwymi dziećmi? — zapytał Jakub Kuisl, dalej zaciągając się fajką.

—Może absolutnie nic. A może magazyn i dzieci to rzeczywiście sprawa augsburczyków. A młody Schreevogl tylko wykorzystał powstałe poruszenie, by niepostrzeżenie zniszczyć plac budowy.

—Podczas gdy porwano jego podopieczną? — Kat wstał, kręcąc z powątpiewaniem głową. — Przecież to jakieś bzdury! Według mnie zbiegło się z sobą zbyt wiele przypadków. W jakiś sposób wszystko to musi stanowić całość: pożar, dzieci, znaki, zniszczony przytułek. Ale jeszcze nie wiemy, w jaki...

Simon potarł sobie skronie. Dym kadzidła i łacińskie mamrotanie księdza przyprawiły go o ból głowy.

— Teraz to już nic nie wiem — odrzekł. — A czas nagli. Jak długo Stechlinowa będzie jeszcze nieprzytomna?

Kat spojrział wysoko w stronę wieży kościelnej, gdzie słońce za—wędrowało już nad kalenicę.

— Jeszcze najwyżej dwa dni. A później przybędzie graf Sandizell, przedstawiciel księcia elektora. Jeśli do tego czasu nie znajdziemy prawdziwego winnego, akuszerka poniesie tego słone konsekwencje — nie będą się z nią patyczkować. I grafa, i jego świty chcą się stąd pozbyć możliwie jak najszybciej, bo jego pobyt zbyt dużo kosztuje.

Simon wstał z ławki.

—Pójdę teraz do Jakuba Schreevogla — powiedział. — Jest to jedyny ślad, jaki mamy. Jestem pewien, że coś z tym przytułkiem się nie zgadza.

—Zrób tak — mruknął Kuisl. — A ja jeszcze przez chwilę popalę sobie tytoń diabła. Nie ma nic lepszego podczas rozmyślań.

Kat znów zamknął oczy, wdychając zapach Nowego Świata.

Pisarz sądowy Johann Lechner szedł właśnie ze swojej izby urzędowej do budynku Ballenhaus. Ze skrywaną przykrością zauważył na placu szepczące kobiety i szemrających rzemieślników. Mijając ich, tu i ówdzie dał lekkiego kusańca albo klapsa.

— Wracajcie do roboty! — krzyknął. — Przywrócimy porządek, wszystko zostanie wyjaśnione. A póki co, nie przerywajcie pracy, obywatele! Albo będę musiał kazać kogoś aresztować!

Mieszkańcy miasta wrócili do swoich izb rzemieślniczych, straganiarki znów zaczęły sortować towar. Jednak Johann Lechner wiedział, że gdy tylko odwróci się do nich plecami, ci znów zaczną plotkować. Uznał, że aby zapobiec zamieszkom, będzie musiał posłać na plac kilku woźnych sądowych. Nadszedł najwyższy czas, by ten przykry rozdział wreszcie się zakończył. I właśnie teraz przekłeta akuszerka nie może mówić! Tymczasem rajcy siedzieli mu na karku i chcieli widzieć wyniki jego poczynań. Cóż, może już wkrótce będzie w stanie jakieś im zaprezentować. Ma przecież jeszcze drugiego asa w rękawie.

Pisarz sądowy pomknął po schodach budynku Ballenhaus w górę, na pierwsze piętro, gdzie znajdowała się mała izba z zaryglowanymi drzwiami. To właśnie tu zamykano bardziej poważanych obywateli, których nie skazywano na odsiadki w dziurze wykopanej przez szczury w rozpadającej się wieży lub w więziennej celi. Postawiony przed drzwiami woźny sądowy skinął głową do Johanna Lechnera, po czym otworzył potężny zamek i odsunął rygiel.

W niszy za małym stolikiem uwaliał się augsburski woźnica Martin Hueber i spoglądał na plac przez wypukłą szybkę. Gdy usłyszał nadchodzącego pisarza, odwrócił się i posłał mu szeroki uśmiech.



— Och, pisarz sądowy! Czyżbyście się wreszcie opamiętali? Pozwólcie mi wyjść, a cała sprawa pójdzie w niepamięć.

Mężczyzna wstał i podszedł do drzwi, ale Lechner zatrzasnął mu je przed nosem.

— Sądzę, że zaszło tu nieporozumienie. Martinie Hueber, jesteś podejrzany o to, że razem ze swoimi ludźmi podłożyłeś ogień pod magazyn.

Martin Hueber poczerwieniał na twarzy. Nagle uderzył szeroką ręką w stół.

— Przecież wiecie, że to nieprawda!

— Zaprzeczanie nie ma sensu, kilku schongauskich flisaków widziało ciebie i twoich ludzi.

Johann Lechner kłamał, nie mrugnawszy okiem i z napięciem czekał na reakcję augsburczyka.

Tymczasem Martin Hueber głęboko odetchnął, po czym znowu usiadł, skrzyżował ręce na szerokiej piersi i milczał.

Pisarz drążył dalej:

— Bo czegoż poza tym mogliście szukać na dole w godzinach wieczornych? Swój fracht rozładowaliście już koło południa. Gdy palił się magazyn, nagle pojawiliście się na miejscu, czyli krótko przedtem musieliście się tam jeszcze waleśsać.

Woźnica nadal milczał. Lechner podszedł do drzwi i chwycił za klamkę.

— No dobrze. Zobaczymy, czy podczas tortur też będziesz tak milczał — powiedział, naciskając klamkę. — Jeszcze dziś każę zaprowadzić cię do więzienia; kata poznałeś już w dole, na przystani dla tratw. Z przyjemnością połamię ci kilka kości.

Johann Lechner widział, jak woźnica intensywnie myśli, przy—gryzając wargi. W końcu wybuchnął:

— To prawda, byliśmy tam! — zawołał. — Ale nie po to, żeby spalić magazyn! Przecież w środku znajdowały się też nasze towary!

Johann Lechner znów odwrócił się w stronę stołu.

— No więc? Czego tam chcieliście?

— Sprawić lanie schongauskim flisakom, tego chcieliśmy! Na górze, w „Gwieździe”, wasz woźnica Józef Grimmer tak obił jednego z naszych, że ten już nigdy nie będzie mógł pracować! Dlatego chcieliśmy porządnie wam wlać, żeby do czegoś takiego już nigdy więcej nie doszło, ale na Boga, to nie my podpaliliśmy magazyn! Przysięgam!

W oczach woźnicy widać było strach. Johanna Lechnera ogarnęło uczucie satysfakcji, bowiem coś przeczuwał, ale nie pomyślałby, że augsburczyk tak szybko się złamie.

— Hueber, twoja sytuacja kiepsko wygląda — kontynuował. — Czy istnieje coś, co przemawiałoby na twoją korzyść?

Woźnica przez chwilę zastanawiał się, po czym skinął głową.

— Tak, jest coś takiego. Gdy byliśmy na dole, na przystani, widzieliśmy kilku uciekających mężczyzn, czterech albo pięciu. Myśleliśmy, że to wasi. Krótco potem magazyn już płonął.

Pisarz sądowy ze smutkiem potrząsnął głową, jak ojciec bezmiernie rozczarowany swoim synem.

— Dlaczego nie powiedziałaś nam tego wcześniej? Oszczędziłbyś sobie wiele cierpień.

— Bo przecież wiedzieliście, że byliśmy tam wcześniej — westchnął Martin Hueber. — Zresztą do niedawna naprawdę myślałem, że ci mężczyźni byli od was. Wyglądali jak ceklarze!

— Jak ceklarze?

Augsburski woźnica szukał odpowiednich słów.

— W każdym razie podobnie. Zapadł zmrok, a my byliśmy już daleko. Nie widziałem zbyt wiele. Teraz raczej wydaje mi się, że to byli żołnierze.

Johann Lechner spojrział na niego bezradnie.

— Żołnierze...

— Tak, kolorowe ubranie, wysokie buty z cholewami, kapelusze. Sądzę, że jeden albo dwóch miało też przy sobie szable. Nie jestem... nie jestem pewien.

—Ale powinieneś być pewien, Hueber.

Johann Lechner znów podszedł do drzwi.

— Powinieneś być pewien, bo w przeciwnym razie będziemy musieli ci pomóc. Daję ci jeszcze jedną noc na zastanowienie. Rano przyjdę z piórem i pergaminem i wszystko sobie zanotujemy. Jeśli pojawią się jeszcze jakieś niejasności, to szybko je usuniemy. Kat nie ma właśnie nic do roboty.

Z tymi słowami zamknął za sobą drzwi i zostawił rozmyślającego woźnicę w samotności. Johann Lechner uśmiechał się. Zobaczymy, co augsburczycy przyjdzie jeszcze przez noc do głowy. Jeśli nawet nie jest odpowiedzialny za pożar magazynu, to jego przyznanie się do winy i tak było na wagę złota. Woźnica Fuggerów jako prowodyr spisku przeciwko woźnikom z Schongau! Przy najbliższych negocjacjach augsburczycy musieliby mieć skromniejsze wymagania. Może nawet mógłby w ten sposób podwyższyć im procent za magazynowanie towarów. W końcu magazyn trzeba znów odbudować za ciężkie pieniądze. Szło doskonale. Teraz jeszcze akuszerka musi przyznać się do winy i wszystko znów wróci do normy. Konował Fronwieser powiedział, że jutro lub najpóźniej pojutrze Stechlinowa będzie w stanie umożliwiającym dalsze przesłuchanie.

Trzeba uzbroić się w cierpliwość.

Dom Schreevoglów znajdował się na Bauerngasse, w dzielnicy położonej przy bramie wjazdowej niedaleko zamku. W okolicy tej stały domy patrycjuszy, trzypiętrowe wystawne budowle z rzeźbionymi balkonami i malowidłami na fa-

sadach. Unosił się tu wyraźne lepszy zapach, co głównie wiązało się ze sporym odaleniem od śmierdzącej dzielnicy garbarzy, leżącej w dole nad Lechem. Służące trzepały kołdry na balustradach, przy drzwiach handlarze zaopatrywali kucharki w przyprawy, wędzone mięso i oskubane gęsi. Simon zapukał mosiężną kołatką w wysokie drzwi. Już po kilku sekundach w mieszkaniu rozległy się kroki. Otworzyła mu służąca, która zaprowadziła go do holu. Krótki czas potem po szerokich kręconych schodach zszedł na dół Jakub Schreevogl, spoglądając na Simona z zatroskaną miną.

— Czy są jakieś nowe wieści w sprawie naszej Klary? — zapytał. — Moja żona wciąż jeszcze jest chora i leży w łóżku. Absolutnie nie chciałbym jej niepotrzebnie denerwować.

Simon potrząsnął głową.

— Dziś rano byliśmy na dole, przy drodze do Hohenfurch. Plac budowy przytułku jest kompletnie zniszczony.

Jakub Schreevogl westchnął.

—Wiem już o tym — powiedział, wskazując Simonowi w holu krzesło, podczas gdy sam usiadł w wyściełanym fotelu. Wziął do ręki miskę z piernikami i zaczął je powoli przeżuwać.

—Kto robi takie rzeczy? Sądzę, że w radzie oczywiście sprzeciwiano się budowie, ale żeby tylko z tego powodu niszczyć cały przytułek...

Simon postanowił otwarcie porozmawiać z patrycjuszem.

— Czy to prawda, że zanim wasz ojciec zapisał kawałek ziemi Kościołowi, wy zaplanowaliście już tam budowę drugiego pieca do wypalania? — zapytał.

Jakub Schreevogl zmarszczył czoło i odłożył piernik z powrotem do miski.

— Przecież już wam o tym opowiadałem. Po kłótni ojciec na krótko przed śmiercią zmienił swój testament i musiałem pogrzebać swoje plany.

—A wkrótce potem również waszego ojca. Patrycjusz podniósł brwi.

— Do czego zmierzacie, Fronwieser?

— Wraz ze śmiercią waszego ojca straciliście możliwość przekonania go do ponownej zmiany testamentu. Teraz grunt należy do Kościoła. Jeśli zechcielibyście go odzyskać, musielibyście odkupić działkę od Kościoła.

Jakub Schreevogł uśmiechnął się.

—Rozumiem — odrzekł. — Podejrzewacie mnie o to, że tak długo sabotowałem budowę, by Kościół sam zrezygnował i oddał mi ziemię. Jednak zapominacie przy tym, że w radzie wciąż broniłem budowy przytułku.

—Tylko nie na tej działce, na której tak bardzo wam zależy — przerwał mu Simon.

Patrycjusz wzruszył ramionami.

— Właśnie prowadzę negocjacje w sprawie kupna innego kawałka ziemi. Drugi piec do wypalania stanie gdzie indziej. Miejsce przy stromej drodze nie było dla mnie aż tak ważne, bym z jego powodu wystawiał na szwank swoją reputację.

Simon spojrzał Jakubowi Schreevogłowi twardo w oczy. Nie potrafił jednak odkryć w nich śladu kłamstwa.

— Któż, jeśli nie wy, miałby interes w zniszczeniu przytułku? — zapytał w końcu.

Schreevogł zaśmiał się.

— Połowa rady była przeciwna budowie: Holzhofer, Ptichner, Augustin na czele z pierwszym burmistrzem Karlem Semerem we własnej osobie. — Później szybko przybrał poważną minę. — Przy czym oczywiście żadnemu z nich nie insynuowałbym dokonania przestępstwa.

Patrycjusz wstał i zaczął chodzić tam i z powrotem po pomieszczeniu.

—Nie rozumiem was, Fronwieser — powiedział. — Moja Klara zaginęła, dwoje dzieci nie żyje, magazyn jest zniszczony, a wy wypytujecie mnie o spaloną budowę! Co to ma znaczyć?

—Dzisiejszego ranka widzieliśmy kogoś nieopodal przytułku — wtrącił Simon.

—Kogo?

—Diabła.

Patrycjusz zaczerpnął powietrza, podczas gdy Simon kontynuował:

— W każdym razie była to osoba, którą tak nazywają tutejsi ludzie — powiedział. — Przypuszczalnie jest to kulejący żołnierz. Ten, który porwał waszą Klarę i który przed kilkoma dniami razem z innymi przesiadywał u karczmarza Semera, a na piętrze w gospodzie spotkał się z ważną osobą z miasta.

Jakub Schreevogł znów usiadł.

— Skąd wiecie, że spotkał się z kimś u Semera? — zapytał.

— Służąca mi powiedziała — odrzekł zwięźle Simon. — Sam burmistrz Semer nie chciał o tym rozmawiać.

Schreevogł skinął głową.

—Az czego wnioskujecie, że ta osoba była kimś ważnym? Simon wzruszył ramionami.

— Żołnierzy się najmuje, to jest ich zawód. Aby móc opłacić czterech mężczyzn, potrzebnych jest dużo pieniędzy. Pytanie brzmi, po co zostali zwerbowani...

Skłonił się przed patrycjuszem.

— Gdzie byliście w piątek przed tygodniem? — zapytał cicho. Jakub Schreevogł zachował spokój i odwzajemnił spojrzenie medyka.

— Grubo się mylicie, jeśli uważacie, że mam coś wspólnego z tą sprawą — syknął. — Zapominacie, że uprowadzono moją córkę.

— Gdzie byliście?

Patrycjusz rozparł się w fotelu i zdawał się przez chwilę zastanawiać.

— Byłem na dole, w wypałami — powiedział w końcu. — Komin się zatkał i czyściłem go do późnej nocy. Możecie spytać moich rzemieślników.

—A wieczorem, gdy palił się magazyn? Gdzie wtedy byliście?

Jakub Schreevogł uderzył w stół, aż zadrżała miska z piernikami.

— Mam dość waszych podejrzeń! Moja córka zniknęła i tylko to się liczy. Waszą zniszczoną budowę mam w dupie! A teraz na—tychmiast wyjdźcie z mojego domu!

Simon usiłował go uspokoić.

— Badam tylko każdy ślad, który znajdę. Nie wiem też, jak jedno powiązać z drugim, ale w jakiś sposób wszystko tworzy całość, a diabeł jest ogniwem łączącym.

Nagle rozległo się pukanie.

Ponieważ Jakub Schreevogł i tak zerwał się z miejsca, podszedł kilka kroków do drzwi i energicznie je otworzył.

— Co jest? — zapytał szorstko.

Na progu stał niski chłopiec w wieku około ośmiu lat. Simon znał go z widzenia. Był on jednym z dzieci Ganghofera, piekarza z Hennengasse. Chłopiec ze strachem spoglądał z dołu na patrycjusza.

— Jesteście rajcą Jakubem Schreevógłem? — zapytał zrezygnowany.

— To ja, co jest? Mów szybko! — Schreevogł zamierzał znów zatrzasnąć drzwi.

— Ojcem Klary Schreevogł? — pytał dalej chłopiec. Patrycjusz zatrzymał się.

— Tak — szepnął.

— Mam wam przekazać, że z waszą córką jest wszystko w po—rządku.

Schreevogł otworzył szeroko drzwi i przyciągnął do siebie chłopca.

— Skąd o tym wiesz?

— Ja... ja... nie mogę tego zdradzić. Obiecałem!

Patrycjusz złapał malucha za poplamiony kołnierz koszuli i podciągnął go do góry na wysokość swoich oczu.



—Widziałeś ją? Gdzie ona jest? — krzyczał mu w twarz. Chłopiec wierzgał nogami i próbował wyrwać się z rąk mężczyzny.

Simon podszedł bliżej. Trzymał wysoko błyszczącą monetę, obracając ją tam i z powrotem między palcami. Chłopiec zaniemówił, podążając wzrokiem za monetą jak zahipnotyzowany.

— Twoje przyrzeczenie nie musi cię wiązać, nie była to przysięga na Biblię, prawda? — uspokoił malucha.

Chłopiec potrząsnął głową. Jakub Schreevogł ostrożnie postawił go na podłodze i teraz wyczekująco spoglądał raz na Simona, raz na chłopca.

—A więc —drażył dalej Simon. —Kto ci powiedział, że z Klarą jest wszystko w porządku?

— To... to była Sophie — szepnął chłopak, nie spuszczając wzroku z monety. — Rudowłosa dziewczyna. Powiedziała mi o tym na dole, na przystani dla tratw, właśnie przed chwilą. Za przekazanie tej wiadomości dostałem jabłko.

Simon pogłaskał go uspokajająco po głowie.

— Dobrze zrobiłeś. A czy Sophie powiedziała ci, gdzie teraz jest Klara?

Chłopiec potrząsnął lękliwie głową.

— To było wszystko, co mi powiedziała. Przysięgam na Najświętszą Pannę!

—A Sophie? Gdzie ona teraz jest? — wtrącił się Jakub Schreevogł.

— Ona... ona zaraz uciekła, przez most do lasu. Gdy patrzyłem za nią, rzuciła we mnie kamieniem. Potem przyszedłem prosto do was.

Simon spoglądał z boku na Jakuba Schreevogła.

— Sądzę, że mówi prawdę — powiedział. Schreevogł skinął głową.

Gdy Simon chciał wetknąć małemu do ręki monetę, patrycjusz sam sięgnął do swojej sakiewki. Wyciągnął z niej błyszczącego srebrnego feniga i podał go chłopcu.

— Jest twój — powiedział. — Dostaniesz jeszcze dwa razy tyle, jeśli dowiesz się, gdzie przebywa Sophie albo moja Klara. Nie chcemy zrobić Sophie nic złego, rozumiesz?

Chłopiec chwycił monetę i zamknął ją w swojej małej piątce.

—Inne... inne dzieci mówią, że Sophie jest czarownicą i że wkrótce ją spalą razem ze Stechlinową... — wymamrotał.

—Nie musisz wierzyć we wszystko, co mówią inne dzieci — Jakub Schreevogl dał mu kuksańca. — A teraz zmykaj. I pamiętaj, że to nasza tajemnica, tak?

Chłopiec skinął głową. Kilka sekund później zniknął ze swoim skarbem za rogiem.

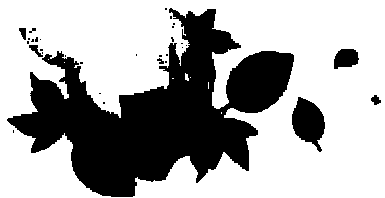
Jakub Schreevogl zamknął drzwi i spojrzał na Simona.

— Ona żyje — szepnął. — Moja Klara żyje! Muszę to zaraz powiedzieć mojej żonie. Wybaczcie mi.

Popędził schodami na górę. Na środku schodów jeszcze raz się zatrzymał, spoglądając w dół na Simona.

— Szanuję was, Fronwieser — powiedział. — W dalszym ciągu. Jeśli znajdziecie diabła, sownie was wynagrodzę. — Uśmiechał się, gdy mówił dalej. — Przy okazji możecie się rozejrzeć w mojej małej domowej bibliotece. Sądzę, że jest tam kilka książek, które wa zainteresują.

I pobiegł na górę do sypialni swojej żony.



Sobota

28kwietnia Roku Pańskiego 1659,

Południe

Przez dobre pół godziny Simon stał jak sparaliżowany w holu domu patrycjusza, a w jego głowie wirowały myśli. W końcu powziął decyzję i wybiegł na zewnątrz, w dół Bauerngasse, w stronę rynku. Po drodze potrącił kilka przekupek, niemal wywrócił stragan z bochenkami chleba, po czym, nie bacząc na krzyki i wyzwiska, pobiegł za budynek Ballenhaus w dół do bramy prowadzącej z miasta nad Lech. Po kilku minutach był już przy moście nad rzeką. Przemierzył go, mijając z lewej strony spalony magazyn i udał się dalej na Landstraße, która prowadziła od przystani dla tratw do Peiting.

Po krótkim czasie dotarł na skraj lasu. Teraz, koło południa, ulica opustoszała, większość furmanek przebyła drogę do rzeki już o wczesnych godzinach rannych. Słysząc było ciche ćwierkanie ptaków, a od czasu do czasu w głębi lasu rozlegał się trzask gałęzi. Poza tym panował spokój.

— Sophie!

Głos Simona brzmiał w tej ciszy głucho i delikatnie, jakby las pochłaniał go już po kilku metrach.

— Sophie, słyszysz mnie?

Przeklinał sam siebie za ten pomysł. Dziewczyna mogła pobiec w kierunku lasu przed niecałą półgodziną, jednak prawdopodobieństwo, że go teraz słyszy, było raczej niewielkie. Pewnie była już daleko, daleko stąd. Poza tym, kto powiedział, że chciałaby go usłyszeć? Bardzo możliwe też, że właśnie teraz siedzi gdzieś na gałęzi i obserwuje go. Sophie uciekła, bowiem podejrzewano ją, że odprawiała czary razem z akuszerką. Jako sierota, bez reputacji i świadków, którzy stanęliby po jej stronie, zapewne wylądowałaby na stosie razem ze Stechlinową, choć ma dopiero dwanaście lat. Medyk słyszał o procesach, w których palono jeszcze młodsze dzieci podejrzane o odprawianie czarów. Dlaczego zatem Sophie miałyby w takim momencie zdradzić mu miejsce swojej kryjówki?

Simon westchnął i obrócił się na pięcie.

— Stój!

Głos dochodził gdzieś z głębi lasu. Medyk zatrzymał się i odwrócił przez ramię. Nagle w bok uderzył go kamień.

— Auć! Do cholery, Sophie...

— Nie odwracaj się — znowu rozległ się głos dziewczyny. — Nie musisz widzieć, gdzie jestem.

Simon wzruszył pokornie ramionami. Miejsce, w które ugodził go kamień, piekielnie bolało, poza tym nie miał ochoty na kolejny cios.

— Chłopak się wygadał, prawda? — zapytała Sophie. — Powiedział, że to ja go wysłałam.

Simon skinął głową.

— Nie złość się na niego — odrzekł. — Tak czy siak, zgadłbym.

Medyk wpatrywał się w punkt leżący gdzieś w leśnej gęstwinie, co pomagało mu rozmawiać z niewidzialną dziewczyną.

— Sophie, gdzie jest Klara?

— W bezpiecznym miejscu. Więcej powiedzieć nie mogę.

— Dlaczego nie?

— Bo nas szukają. Klarze i mnie grozi niebezpieczeństwo — również w mieście. Antona i Petera już złapali. Musicie zajrzeć do Johannesesa Strassera, u karczmarza w Altenstadt...

— On zaginał — przerwał dziewczynie Simon.

Sophie długo milczała. Simonowi zdawało się, że słyszy ciche szlochanie.

—Sophie, co się stało tamtej nocy? Przecież byliście wtedy wszyscy razem, prawda? Peter, ty, Klara, inne osieroczone dzieci... Co się stało?

—Ja... ja nie mogę powiedzieć — głos Sophie drżał. — Wszystko by się wydało. Spalilibyśmy się na stosie, wszyscy byśmy się spalili!

—Sophie, przysięgam ci, że wstawię się za tobą — próbował ją uspokoić Simon. — Nikomu nie stanie się krzywda. Nikt...

Rozległ się trzask gałęzi. Odgłos nie pochodził z tyłu, gdzie przypuszczalnie stała lub siedziała Sophie, lecz z przodu. Ukośnie z lewej strony przed Simonem, w odległości dobrych dwudziestu kroków, leżały ułożone w stos suche gałęzie. Z tyłu coś się poruszało.

Simon usłyszał za sobą plaśnięcie, a później kroki, które zaczęły się w pośpiechu oddalać. Sophie wzięła nogi za pas.

Raptem chwilę później zza stosu gałęzi ukazała się postać w płaszczu i kapełuszu z szerokim rondem. Przez moment Simon myślał, że to kat. Jednak postać wyciągnęła spod płaszcza szablę. Na sekundę słońce przedarło się przez leśną gęstwinę, a jego promień sprawił, że szabla zamigotała w świetle. Tam, gdzie postać biegła w stronę Simona wąskim pasem światła, błysnęło coś białego.

Była to ręka diabła, ręka kościotrupa.

Simon odniósł nagle wrażenie, że czas ślamazarnie się wlecze. Każdy gest, każdy szczegół trwale zapisywał się w jego pamięci. Jego stopy przykleiły się do ziemi, jakby tkwiły w bagnie. Dopiero gdy diabeł zbliżył się na odległość dziesięciu kroków, medyk znów był w stanie się poruszyć. Odwrócił się i w panicznym lęku pobiegł w kierunku krawędzi lasu. Za sobą słyszał kroki diabła i ryt-

miczne skrzypienie na żwirze i ziemi. Wkrótce usłyszał również oddech swojego prześladowcy. Zbliżał się.

Simon nie miał odwagi się odwrócić. Obawiał się, że przez to zmniejszy dzielący ich dystans. Biegł i biegł, czując w ustach metaliczny smak krwi i uświadamiając sobie, że długo tego nie wytrzyma. Ścigający go mężczyzna był przyzwyczajony do biegania, oddychał spokojnie i równo. Wkrótce go dogoni. Tymczasem wciąż nie było widać końca lasu, tylko gęstwinę i ciemność.

Oddech zbliżał się. Simon przeklinał siebie za pomysł samotnej wyprawy. Diabeł widział go razem z katem na placu budowy, obydwaj ścigali go. A teraz to on deptał Simonowi po piętach. Medyk nie robił sobie żadnych złudzeń. Gdyby mężczyzna go dogonił, zabiłby go równie szybko i od niechcienia, jak zabija się natrętną muchę.

Nareszcie zrobiło się przed nim jaśniej. Serce Simona waliło jak młot. To musi być granica lasu! Droga biegła w dół, po czym w końcu opuściła las i powiodła w stronę rzeki. Przez wierzchołki przedarło się światło, cienie odsunęły się. Simon pokuśtykał jeszcze kilka metrów, a później ogarnęło go mieniące się słoneczne światło. Dotarł na skraj lasu. Szedł chwiejnym krokiem przez wzgórze i widział w dole przystań dla tratw. Ludzie stali nad brzegiem, woły ciągnęły wozy pod górę do lasu. Dopiero teraz odważył się odwrócić. Ścigająca go postać zniknęła. Ściana drzew niczym czarna wstęga była skąpiana w południowym słońcu.

Wciąż jeszcze nie czuł się bezpiecznie. Głęboko odetchnął, po czym zataczając się, pobiegł w dół ulicy na przystań, nieustannie spoglądając za siebie. Gdy po raz kolejny odwrócił głowę, nagle z kimś się zderzył.

— Simon?

Była to Magdalena, która trzymała w ręku koszyk wypełniony dzikimi ziołami. Spoglądała na niego ze zdumieniem.

— Co się stało? Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha.

Simon popchnął ją kilka metrów w dół, w kierunku przystani, i usiadł na stole belek. Dopiero tutaj, pośród zwawo uwijających się flisaków i woźniców, poczuł się naprawdę bezpiecznie.

—On... on był za mną — wyjąkał w końcu, gdy jego oddech częściowo się uspokoił.

—Któż taki? — zapytała zatroskana Magdalena, siadając obok niego.

— Diabeł.

Magdalena zaśmiała się, ale jej śmiech nie brzmiał autentycznie.

— Simonie, nie gadaj bzdur — powiedziała w końcu. — Pięś, siedząc w południe na słońcu!

Medyk potrząsnął głową, po czym opowiedział jej o wszystkim, co zdarzyło się od rana: o zniszczeniach na placu budowy, o pogoni w lesie, jaką odbył z jej ojcem, o rozmowach z księdzem, Schreevoglem i Sophie, a w końcu o swojej ucieczce. Gdy skończył, Magdalena spoglądała na niego z zatroskaną miną.

—Ale dlaczego diabeł wziął się właśnie na ciebie? — zapytała. — Przecież nie masz z tym nic wspólnego, prawda?

Simon wzruszył ramionami.

— Prawdopodobnie mam, gdyż depczemy mu po piętach i prawie go złapałiśmy — spojrzał na Magdalenę poważnym wzrokiem.

— Twojemu ojcu też grozi niebezpieczeństwo.

Dziewczyna uśmiechnęła się.

— Chciałabym zobaczyć, jak diabeł obja mojego ojca. On jest katem, nie zapominaj o tym.

Simon wstał ze stosu drewna.

— Magdaleno, to nie są żarty — zawołał. — Ten mężczyzna, czy kim tam on jest, przypuszczalnie zabił kilkoro dzieci! Mnie też chciał zabić i kto wie, może nas teraz właśnie obserwuje.



Magdalena rozejrzała się. Tuż przed nimi woźnice załadowywali na dwie tratwy skrzynie i beczki, mocno je przywiązując. Dalej, w dole, kilku mężczyzn uprzętało na bok zwęglone pozostałości po magazynie. W jednym miejscu ustawiono już nowe belki. Od czasu do czasu jeden z mężczyzn spoglądał w ich stronę, szepcząc ze swoimi sąsiadami.

Simon niemal słyszał, co do siebie cicho mówili: katowska dziwka i jej kochanek... Syn medyka, który chodzi do łóżka z córką kata i który nie chce przyjąć do wiadomości, że w Schongau grasuje diabeł, a akuszerka musi spłonąć na stosie.

Westchnął. Reputacja Magdaleny była i tak zrujnowana, najpóźniej teraz ten sam los spotka i jego dobre imię. Położył dziewczynie rękę na policzku i spojrzał jej głęboko w oczy.

— Twój ojciec opowiedział mi, że znalazłaś w lesie alraunę — powiedział.  
— Przypuszczalnie dzięki temu uratowałaś Stechlinowej życie.

Magdalena uśmiechnęła się.

— To tylko sprawiedliwość. W końcu ona kiedyś podarowała mi moje. Mama mówi, że podczas porodu była ze mną prawdziwa udręka. Leżałam w złej pozycji i nie chciałam wyjść. Gdyby nie Stechlinowa, nie byłoby mnie na tym świecie. Teraz spłacam mój dług.

W końcu znów spoważniała.

— Musimy iść do mojego ojca i go ostrzec — mruknęła pod nosem.  
— Może wpadnie na jakiś pomysł, jak moglibyśmy złapać diabła.

Simon potrząsnął głową.

— Przede wszystkim musimy dowiedzieć się, z kim spotkał się ten tak zwany diabeł i inni żołnierze w gospodzie u Semera. Jestem pewien, że ta osoba jest kluczem do całej zagadki.

Obydwoje pograżyli się w pełnym zadumy milczeniu.

—Dlaczego diabeł powrócił?

—Co? — Simon wyrwał się z zamyślenia.

—Dlaczego wrócił na plac budowy? — zapytała ponownie Magdalena. — Jeśli rzeczywiście wraz ze swoimi ludźmi odpowiada za zniszczenia, to czemu poszedł tam jeszcze raz? Przecież było już po wszystkim.

Simon zmarszczył czoło.

— Może coś zgubił? Może ten woreczek z tytoniem, który znalazł twój ojciec? Nie chciał, żeby go odkryto i snuto przypuszczenia.

Magdalena potrząsnęła głową.

—Nie sądzę. Na woreczku nie było żadnego monogramu, niczego, co mogłoby go zdradzić. Musiało tu chodzić o coś innego...

—Może czegoś szukał? — przypuszczał Simon. — Czegoś, czego nie znalazł za pierwszym razem.

Magdalena zatopiła się w rozmyślaniach.

— Coś ciągnie go na plac budowy — powiedziała. — Daubenbergerowa opowiadała mi, że w tym miejscu tańczyły kiedyś czarownice. A już wkrótce jest noc Walpurgii... Może to naprawdę jest diabeł?

Obydwoje znowu zamilkli. Słońce, zaskakująco jak na kwiecień, paliło, intensywnie ogrzewając stos belek, na których siedzieli. Z oddali docierały do nich krzyki flisaków płynących rzeką w kierunku Augsburga. Woda błyszczała jak płynne złoto. Nagle Simon poczuł, że ma tego wszystkiego dość: ucieczki, ciągłych pytań, rozmyślania, strachu...

Zerwał się z miejsca, wziął koszyk Magdaleny i pobiegł w górę rzeki.

— Dokąd idziesz? — krzyknęła.

— Zbierać z tobą zioła. Chodź, świeci słońce, a ja znam pewne zaciszne miejsce.

—A mój ojciec?

Simon pomachał koszykiem i uśmiechnął się do niej.

— Może poczekać. Sama przecież powiedziałaś, że nie boi się ani śmierci, ani diabła.

Pod gradem nieufnych spojrzeń woźniców, dziewczyna pobiegła za nim.

Zmierzch wyciągnął już swoje macki i przyszedłszy z zachodu, osiadł nad lasami dookoła Schongau. Drogę do Hohenfurch spowiły całkowite ciemności, dzięki czemu mężczyzna, który teraz zbliżał się z zachodniej strony, był ledwo widoczny między krzakami, które rosły na brzegu karczowiska. Nie zdecydował się na wędrowkę ulicą, lecz szedł równolegle do niej, przez wysokie gąszcze. Wprawdzie pokonywanie drogi w takich warunkach trwało niemal dwa razy dłużej, ale za to mógł być pewien, że nikt go nie zauważy. Bramy miasta zamknięto już pół godziny temu; prawdopodobieństwo spotkania tu żywej duszy było nad wyraz niskie, jednak mężczyzna nie chciał ryzykować.

Od niesienia łopaty bolały go ramiona, a pot ściekał mu strumieniami po czole. Kolce i osty przyczepiły się do jego płaszcza i w niektórych miejscach zostawiły już małe rozdarcia. Mężczyzna przeklinał. Tym, co go motywowało do działania, była pewność, że wszystko już wkrótce się skończy. A wtedy będzie mógł rządzić, jak mu się podoba — nie znajdzie się nikt, kto by mu rozkazywał. Kiedyś w dalekiej przyszłości opowie o tym swoim wnukom, a oni zrozumieją go i docenią, że wszystko wziął na siebie tylko ze względu na nich, by ocalić istnienie rodziny, uratować dynastię. Ale zaraz przyszło mu do głowy, że posunął się za daleko. Nie mógł już nikomu opowiedzieć całej historii, bowiem za dużo się wydarzyło, za dużo rzeczy brudnych i krwawych. Tę tajemnicę będzie musiał zabrać ze sobą do grobu.

W ciemności trzasnęła gałąź, gdzieś rozległ się łopot skrzydeł. Mężczyzna zatrzymał się, zapierało mu dech w piersiach. Ostrożnie wyciągnął małą latarnię, którą dotychczas chował pod płaszczem i zaświecił w kierunku, z którego dochodził odgłos. Nieopodal niego w powietrze wzbiła się sowa i odleciała nad karczowiskiem. Uśmiechnął się. Strach sprawił, że zaczął już wariować.

Ostatni raz rozejrzał się na wszystkie strony, po czym wszedł na teren budowy i popędził w stronę stojącego na środku budynku.

Gdzie powinien zacząć? Chodził dookoła zawałonych murów i szukał wskazówki. Gdy niczego nie znalazł, po kupie kamieni wszedł do wewnątrz i stuknął łopata w leżące na podłodze kamienne płyty. Metaliczny odgłos przeszył go do szpiku kości. Miał wrażenie, że słyhać go aż w samym Schongau. Natychmiast przerwał stukanie.

W końcu wdrapał się na murek stojący przy głównym budynku i rozejrzał się po karczowisku. Przytułek, kaplica, stos belek, studnia, obok worki z wapnem, kilka przewróconych wiader...

Jego spojrzenie padło na rosnącą pośrodku polany starą lipę, której gałęzie sięgały prawie do ziemi. Z jakiegoś powodu robotnicy pozostawili ją na placu. Być może stało się tak dlatego, że Kościół kazał nie ścinać drzewa, chcąc w przyszłości zapewnić cień chorym i niedołącznym?

A może tak zarządził starzec?

Energicznie podbiegł do lipy, przecisnął się pod gałęziami i zaczął kopać. Ziemia była twarda jak glina, a silne korzenie rozpełzały się we wszystkich kierunkach. Mężczyzna przeklinał i kopał, aż strumienie potu zaczęły ściekać mu na płaszcz. Obydwoma rękami chwycił trzonek łopaty i odgarnawszy liście, uderzał w grube jak ramię włókna korzeni, które roztrzaskiwały się, by pod spodem znów odsłonić kolejne korzenie. Spróbował w innym miejscu blisko drzewa, jednak efekt był ten sam. Mężczyzna dyszał i szlochał, coraz szybciej wbijał łopate

w ziemię i drewno, później wreszcie zatrzymał się i oparł o trzonek, łapiąc oddech. To musiało być niewłaściwe miejsce, niczego tu nie zakopano.

Latarenką oświetlił lipę, szukając ewentualnych otworów po sękach. Poniżej pierwszej gałęzi, akurat na takiej wysokości, że nie był tam w stanie dosięgnąć ręką, znajdował się otwór wielkości męskiej pięści. Mężczyzna odstawił latarenkę i spróbował wspiąć się po gałęzi do góry. Za pierwszym razem zsunął się na ziemię, gdyż jego ręce były mokre od potu. Za drugim w końcu udało mu się podciągnąć swoje ciężkie ciało do góry. Powoli przysunął się do pnia i włożył prawą dłoń do otworu. Poczł mokrą słomę, a w środku coś zimnego i twardego. Najwyraźniej był to metal.

Jego serce drgnęło.

Nagle rękę przeszył kłujący ból. Mężczyzna wyjął ją z dziupli i w tym samym momencie zobaczył, jak pośród gniewnych protestów wylatuje z niej coś dużego i czarnego. Przez grzbiet jego dłoni przebiegała cięta rana długości palca, która zaczęła mocno krwawić. Przeklinając, mężczyzna odrzucił od siebie szerokim łukiem zardzewiałą łyżkę, którą wciąż jeszcze kurczowo trzymał w ręce i zsunął się na ziemię. Dotarłszy na dół, zlizął z rany krew, podczas gdy po policzkach spływały mu łzy bólu i rozpacz. Nad jego głową rozległo się skrzeczenie sroki, które brzmiało jak szyderstwo. Wszystko na próżno.

Nigdy tego nie znajdzie. Widać starzec zabrał ze sobą tajemnicę do grobu. Jego wzrok jeszcze raz poszybował w stronę placu budowy. Mury, fundamenty, kaplica, studnia, stos drewna, lipa, kilka karłowatych świerków na skraju polany... Musi przecież być coś, co stało tutaj od samego początku, coś, co można łatwo zapamiętać i odnaleźć. Ale być może robotnicy już to usunęli, nawet nie podejrzewając, co robią.

Potrząsnął głową. Teren był zbyt rozległy. Mógł tu kopać przez całą noc i kompletnie niczego nie znaleźć. Jednak później obudziła się w nim przekora. Nie

wolno mu tak szybko się poddać. Jeszcze nie teraz. Stawka jest zbyt wysoka. A zatem potrzebny jest nowy plan... Musi postępować systematycznie, podzielić teren na mniejsze parcele, a później przeszukać go kawałek po kawałku. Mógł być pewien przynajmniej jednego: to, czego szukał, było tutaj. Należy tylko uzbroić się w cierpliwość, ale w końcu to się opłaci.

W niedużej odległości, blisko karczowiska, oparty o pień drzewa stał diabeł i przyglądał się kopiającemu mężczyźnie. Wypuściwszy z ust w stronę nocnego nieba kółko dymu, spoglądał za nim, jak wznosi się w kierunku księżyca. Wiedział, że za sprawą placu budowy kryło się jeszcze coś, o czym mu nie powiedziano. Został oszukany, a to zawsze doprowadzało go do wściekłości. Właściwie miał wielką ochotę natychmiast poderznąć gardło znajdującemu się między murami mężczyźnie i rozlać jego krew wzdłuż polany.

Ale wtedy zepsułyby sobie zabawę w dwojaki sposób: nie dostałby już zapłaty za kolejne sabotáže i nigdy nie dowiedziałby się, czego ów mężczyzna tak rozpaczliwie szuka. Zatem musi cierpliwie czekać. Najpóźniej do chwili, gdy mężczyzna coś znajdzie. A wtedy będzie mógł go ukarać za jego kłamstwa. Tak samo jak ukarze medyka i kata za to, że go śledzili. Konował umknął mu jeszcze ten jeden jedyny raz, jednak to się już więcej nie powtórzy.

Diabeł puścił kolejny kłębek dymu w nocne niebo. Później usadowił się na miękkim mchu pod pniem jodły i uważnie obserwował kopiającego. Może jednak coś dzisiaj znajdzie.



Niedziela,

29 kwietnia Roku Pańskiego 1659,

godzina 6. rano

Simona obudziło ciche skrzypienie, które raptem wślizgnęło się w jego sny. W jednej chwili był już rześki. Obok niego głęboko spała Magdalena. Dziewczyna oddychała spokojnie, a na jej ustach błąkał się uśmiech, jakby marzyła właśnie o czymś pięknym. Simon miał nadzieję, że śniła jej się ubiegła noc.

Razem z Magdaleną poszedł nad rzekę zbierać zioła. Próbował przy tym ani słowem nie wspominać o zdarzeniach, jakie rozegrały się w Schongau. Pragnął o nich zapomnieć przynajmniej na jakiś czas. Nie chciał zaprzętać sobie głowy mężczyzną, którego nazywali diabłem, a który dybał na jego życie. Nie chciał myśleć o przebywającej w więzieniu, wciąż nieprzytomnej akuszerce, ani przypominać sobie o martwych dzieciach. Była wiosna, przygrzewało słońce, a woda w Lechu cicho szemrała.

Po przebyciu dobrej mili przez błonia rozciągające się nad brzegami rzeki dotarli do ulubionego miejsca Simona — małej, niewidocznej z drogi żwirowej zatoki. Rosnąca tam wysoka wierzba pochylała swoje gałęzie nad wodą, która migotała między jej liśćmi.



W ostatnich latach Simon często tu przesiadywał, gdy chciał porozmyślać. Teraz razem spoglądali na rzekę, rozmawiając o ostatnim jarmarku, kiedy to ze sobą tańczyli, a ludzie siedzący dookoła przy stolikach wzięli ich na języki. Opowiadali o swoim dzieciństwie — Simon o czasach, gdy pracował jako felczer, zaś Magdalena o tym, jak w wieku siedmiu lat dostała gorączki, która przykuła ją do łóżka na wiele tygodni. To właśnie wtedy ojciec nauczył ją czytać, a we wszystkie te dni i noce nie odstępował jej na krok. Odtąd pomagała mu w przyrządzaniu napojów i rozcieraniu ziół, a wertując jego książki, wciąż uczyła się czegoś nowego.

Dla Simona był to cud. Magdalena była pierwszą kobietą, z którą mógł porozmawiać o książkach! Pierwszą, która przeczytała *Armamentarium Chirurgicum* Johannesa Scultetusa i знаła dzieła Paracelsusa. Jednak od czasu do czasu odczuwał ukłucie w sercu na myśl, że ta dziewczyna nigdy nie zostanie jego żoną. Jako córka kata była niegodna, a miasto nigdy nie zaakceptowałoby ich związku. Ona — katowska kobieta — i on — wędrowny chirurg polowy — musieliby opuścić Schongau i żebrać na swoje utrzymanie na ulicy. Ale właściwie czemu nie? Jego miłość do tej dziewczyny była w tej chwili tak silna, że zrezygnowałby dla niej ze wszystkiego.

Rozmawiali tak przez całe popołudnie i wieczór, gdy nagle usłyszeli dzwony kościoła parafialnego, które wybijały szóstą. Za pół godziny zamykano bramy miasta. Wiedzieli, że nie uda im się wrócić na czas, dlatego udali się do opuszczonej stodoły, gdzie Simon spał już przy innych okazjach, i postanowili w niej przenocować. Dalej rozmawiali i śmiali się z płatanych dawno temu dziecięcych figlów. Ich ojcowie i Schongau ze swoimi szepczącymi mieszkańcami byli daleko, daleko stąd. Od czasu do czasu Simon gładził Magdalenę po policzku lub głaskał ją po włosach, ale zawsze, gdy jego palce zbliżały się do jej gorsetu, ona z uśmiechem odsuwała jego rękę. Dziewczyna jeszcze nie chciała mu się oddać i

Simon to akceptował. W pewnym momencie w końcu zasnęli obok siebie jak dwoje dzieci.

O świcie skrzypienie wrót do stodoły wyrwało Simona z półsnu.

Swój obóz rozbili na górze pod dachem, skąd drabina prowadziła na klepisko. Medyk ostrożnie wyjrzał zza snopka słomy i spojrzął w dół. Widział, że wrota lekko uchylono, a do środka wpadały pierwsze promienie porannego światła. Był święcie przekonany, że wieczorem zamknął za sobą ze względu na chłód. Po cichutku założył spodnie i rzucił ostatnie spojrzenie na śpiącą jeszcze Magdalenę. Tuż pod nim rozlegały się posuwiste kroki. Do drabiny zbliżała się postać zasłonięta przez wbudowany na strychu strop. Simon poszukał w słomie swojego noża, perfekcyjnie oszlifowanego sztyletu, którego używał podczas sekcji zwłok i do amputacji u rannych. Mocno ścisnął trzonek w prawej ręce, lewą zaś pchnął wyjątkowo duży snopek siana bezpośrednio w stronę krawędzi stropu.

W dole pojawiła się już tajemnicza postać. Simon odczekał jeszcze krótką chwilę, a później ostatni raz popchnął snopek, który spadł dokładnie na intruza. Skoczył zaraz za nim z przeraźliwym krzykiem, mając niezłomny zamiar powalić obcego na ziemię i ewentualnie wbić mu nóż w plecy.

Tymczasem mężczyzna, nie patrząc w górę, obrócił się na bok, a snopek spadł obok niego na klepisko i rozleciał się, zostawiając po sobie chmurę kurzu i słomy. Mężczyzna wyciągnął ręce do góry, odpierając atak Simona. Medyk poczuł, jak silne palce, niczym śrubowa zwornica stolarska, otaczają przeguby jego dłoni. Sapiąc z bólu, wypuścił sztylet z ręki. Osobnik kopnął go kolaniem w podbrzusze, przez co Simon padł przed siebie na ziemię. Zrobiło mu się ciemno przed oczami.

Zaślepiiony bólem czołgał się po podłodze, rozpaczliwie szukając noża. Nagle na jego prawej ręce stanął but, przyciskając ją najpierw delikatnie, później coraz mocniej. Simon zaczerpnął powietrza i poczuł, że coś zaczęło mu trzesz-

czeń w przegubie dłoni. Naraz ból ustał. Człowiek, którego wciąż widział jak przez mgłę, cofnął stopę.

— Jeśli jeszcze raz uwiedziesz moją córkę, połamię ci obydwie łapy i rozłożę cię na łożu madejowym, zrozumiałeś mnie?

Simon złapał się za podbrzusze i wyczołgał ze strefy zagrożenia.

— Ja jej nie... tknąłem — jęknął. — Nie tak, jak myślicie. Ale my... się kochamy.

Do jego uszu doszedł sarkastyczny śmiech.

— Mam to w dupie! Ta dziewczyna jest córką kata, zapomniałeś? Jest niegodna! Chcesz dalej robić z niej pośmiewisko tylko dlatego, że nie umiesz nad sobą zapanować?

Jakub Kuisl stał teraz tuż nad Simonem. Odwrócił go butem na plecy, dzięki czemu mógł spojrzeć mu prosto w oczy.

—Ciesz się, że cię nie wykastrowałem—wyrzucił z siebie. —Tobie i wielu dziewczętom w mieście zaoszczędziłbym tylu kłopotów!

—Tato, zostaw go w spokoju! — ze strychu doszedł teraz głos Magdaleny, którą obudził hałas wywołany walką. Zaspana i ze słomą we włosach spoglądała teraz w dół. — Jeśli już, to ja uwiodłam Simona, a nie na odwrót. Poza tym, skoro tak czy siak jestem niegodna, to trochę mniej lub więcej nie robi różnicy.

Kat spojrział w górę i pogroził jej pięścią.

— Nie po to nauczyłem cię czytać i kurować, żebyś dała sobie zrobić dziecka i ze sromotą została przepędzona z miasta. Jeszcze dojdzie do tego, że swojej własnej córce będę musiał założyć maskę wstydu!

— Ja... ja mogę zatroszczyć się o Magdaleny — znów zabrał głos Simon, który wciąż rozcierał bolące krocze. — Moglibyśmy iść do innego miasta i tam...

W tym momencie dosięgnął go kolejny cios, tym razem w nieosłonięte miejsce na wysokości nerek. Medyk, sapiąc, znowu się skulił.

— Gównu zrobicie! Chcecie iść na żebry czy co? Magdalena poślubi mojego kuzyna ze Steingaden. Klamka zapadła. A teraz złaż na dół!

Jakub Kuisl potrząsnął drabiną. Tymczasem twarz Magdaleny zbladła.

— Kogo mam poślubić? — zapytała bezbarwnym głosem.

— Hansa Kuisla ze Steingaden. To dobra partia — mruknął kat. — Gadałem z nim o tym raptem kilka tygodni temu.

— I mówisz mi o tym ot tak, tutaj, prosto w twarz?

— Kiedyś trzeba było.

Kat dostał w głowę kolejnym snopkiem słomy, przez co zachwiał się, o mało co nie lecąc z nóg. Tym razem nie spodziewał się ataku. Mimo bólu Simonowi zachciało się śmiać. Magdalena odziedziczyła szybkość po ojcu.

— Nikogo nie poślubię — krzyknęła z góry. — A już na pewno nie tłustego Hansa ze Steingaden. Śmierdzi mu z gęby i jest szczerbaty! Zostanę z Simonem. Mówię, żebyś o tym wiedział!

— Uparta baba — burknął kat. Ale przynajmniej zdawał się zrezygnować z zamiaru zabrania córki do domu siłą. Skierował się w stronę wyjścia. Gdy otworzył wrota stodoły, do środka wpadły promienie porannego słońca. Przez krótką chwilę stał w ich świetle.

— A tak przy okazji to... Johannes Strassera znaleźli martwego w stodole w Altenstadt — mruknął na odchodnym. — On również miał ten znak. Powiedziała mi o tym służąca od karczmarza Strassera. Idę teraz go obejrzyć. Jeśli chcesz, możesz pójść ze mną, Simon.

Po tych słowach wyszedł prosto w chłodny poranek. Medyk przez chwilę zawahał się. Spojrzał w górę na Magdalene, która szlochając, zagrzebała się w sianie.

— Jeszcze... jeszcze pogadamy—szepnął w jej kierunku, po czym pokuśtykał za katem.

Przez długi czas szli obok siebie bez słowa. Minęli przystań, gdzie o tej porze przybiły już pierwsze tratwy, i skręcili w lewo, aby wąską ścieżką dotrzeć do ulicy prowadzącej do Altenstadt. Obydwaj świadomie ominęli drogę przez miasto, bowiem chcieli być sami. Tu, na wąskiej ścieżce, która ciągnęła się poniżej murów miejskich, nie było widać żywej duszy.

Dopiero teraz Simon zabrał głos. Długo zastanawiał się i rozważnie dobierał słowa.

— Przykro mi — wyjąkał. — Ale to prawda, kocham waszą córkę i potrafię o nią zadbać. Studiowałem, choć nie do końca. Skończyły mi się pieniądze. Ale to wystarczy, by związać koniec z końcem, pracując jako wędrowny chirurg. A jeśli dodać do tego wiedzę waszej córki...

Kat zatrzymał się i spojrzął ze wzniesienia w dół na dolinę, gdzie rozciągały się lasy sięgające aż po horyzont.

— Czy ty w ogóle wiesz, co to znaczy, tam, w świecie, zarabiać na swój codzienny chleb? — przerwał mu, nie odwracając wzroku od krajobrazu.

— Kiedyś już przenosiłem się z miejsca na miejsce z moim ojcem — odparł Simon.

— To on o ciebie dbał i za to powinienes być mu wdzięczny na wieki — powiedział kat. — Tym razem byłbyś sam, musiałbyś zatroszczyć się o swoją kobietę i dzieci. Chodziłbyś z jednego jarmarku na drugi, jak konował zachwalający swoje tanie nalewki niczym kwaśne piwo, obrzucany zgniłymi liśćmi kapusty i wyśmiewany przez chłopów, którzy gównem się znają na twojej medycynie. Miejscowi lekarze po studiach już by się postarali, żeby cię przepędzono z miasta zaraz po tym, jak byś się w nim pojawił. Twoje dzieci pomarłyby ci z głodu. Chcesz tego?

—Ale z moim ojcem zawsze mieliśmy za co żyć...  
Kat splunął.

— To było na wojnie — ciągnął. — Podczas wojny zawsze jest dużo roboty. Trzeba piłować kości, polewać oliwą rany, wywlekać zabitych z pola walki i posypywać ich ciała wapnem. Teraz już nie ma wojny, nie ma wojska, do którego można by się przyłączyć. I Bogu dzięki!

Kat znów ruszył przed siebie. Simon podążał za nim w odstępnie kilku kroków.

— Mistrzu? — zagaił po kilku minutach milczenia. — Mogę was o coś zapytać?

Jakub Kuisl szedł dalej. Mówił, nie odwracając się za siebie.

— Czego chcesz?

— Słyszałem, że nie zawsze przebywaliście w Schongau. Opuściliście to miasto, gdy byliście w moim wieku. Dlaczego? I czemu tu wróciliście?

Kat znów się zatrzymał. Obeszli prawie całe miasto. Po prawej stronie dostrzegli ulicę prowadzącą do Altenstadt, po której powoli telepała się furmanka ciągnięta przez wołu. Z tyłu widać było lasy. Jakub Kuisl milczał tak długo, że Simon już myślał, że nie usłyszy od niego żadnej odpowiedzi. W końcu kat się odezwał.

— Nie chciałem mieć zawodu, który skazuje mnie na zabijanie innych — odrzekł.

— A co zamiast tego robiliście?

Jakub Kuisl zaśmiał się cicho.

— Wtedy to dopiero zabijałem. Na chybił trafił, bez celu. Mężczyzn, kobiety, dzieci. To był szal zabijania.

— Byliście... żołnierzem? — ostrożnie drażył Simon. Kat znów długo milczał, zanim odpowiedział.

—Przyłączyłem się do wojska Tilly'ego<sup>6</sup>. Byli w nim łotrzy, rabusie, ale także uczciwi ludzie i poszukiwacze przygód, tacy jak ja...

—Kiedyś wspominaliście, że byliście w Magdeburgu... — dalej pytał Simon.

Ciało kata przeszło krótkie drzenie. Nawet do Schongau dotarły przerażające opowieści o upadku miasta na dalekiej Północy. Katolickie oddziały pod dowództwem Tilly'ego praktycznie zrównały miejscowość z ziemią. Masakrę przeżyło niewielu mieszkańców. Simon słyszał, że landsknechci wyrzynali dzieci jak baranki, gwałcili kobiety, a później przybijali je do drzwi domów jak Zbawiciela. Nawet jeśli prawdą była tylko połowa tych opowieści, to i tak dość, by mieszkańcy Schongau wznosili dziękczynne modlitwy za to, że im taka rzeź została oszczędzona.

Jakub Kuisl pomaszerował dalej. Simon szybkim krokiem podążył za nim. Czuł, że posuwa się za daleko.

— Czemu wróciliście? — zapytał po chwili milczenia.

— Bo kat jest potrzebny — mruknął Jakub Kuisl. — W przeciwnym razie wszystko idzie w diabły. Jeśli już trzeba zabijać, to przynajmniej niech się to odbywa jak należy, zgodnie z prawem. Wróciłem do Schongau, żeby w życiu zaprowadzić jakiś ład. A teraz bądź cicho, bo muszę pomyśleć.

---

<sup>6</sup> Johann t'Serclaes, hrabia Tilly (1559 – 1632), w wojnie trzydziestoletniej generał Ligi Katolickiej. 2,0 maja 1631 roku wojska Tilly'ego i księcia Pappenheima złupiły zdobyty Magdeburg i dokonały masakry prote-



— A zastanowicie się ponownie nad sprawą Magdaleny? — spróbował po raz ostatni Simon.

Kat obrzucił go z boku gniewnym spojrzeniem. Później ruszył przed siebie wielkimi krokami w takim tempie, że Simonowi trudno było za nim nadążyć.

Szli obok siebie przez dobre pół godziny, gdy wreszcie pojawiły się przed nimi pierwsze domy w Altenstadt. Z niewielu zdań, które wypowiedział w tym czasie Kuisl, Simon wywnioskował, że dzisiejszego ranka znaleziono martwego Johannes Strassera w stodole jego ojczyma. Józefa, służąca karczmarza, odkryła ciało między snopkami słomy. Zaraz powiadomiła o tym Strassera, a później pobiegła do schongauskiego kata, żeby kupić od niego dziurawiec, który spleciony w wianek miał pomóc w odpieraniu złych mocy. Służąca była bowiem przekonana, że chłopca przyniósł diabeł. Kat dał Józefie ziele, wysłuchał jej opowieści i zaraz potem wyruszył w drogę, przy okazji sprawiając porządne lanie ukochanemu swojej córki. O świcie po prostu poszedł po ich śladach i bez większych problemów znalazł stodołę.

Teraz obydwaj stali przed gospodą w Altenstadt, którą Simon odwiedził raptem przed kilkoma dniami. Nie byli sami. Na placu przed budynkiem grupka szepczących chłopów i woźniców z okolicy zgromadziła się wokół prowizorycznych noszy, które zbito z paru desek. Kilka kobiet trzymało w rękach różańce, u wezłowia noszy dwie służące modliły się na kolanach, kołysząc się w jedną i w drugą stronę. Simon dostrzegł również miejscowego wiejskiego księdza, który mamrotał łacińskie wersety. Na widok Kuisla niektórzy mieszkańcy Altenstädt

przeżegnali się. Ksiądz przerwał swoją litanie, posyłając mu złowrogie spojrzenie.

— Czegóż tu szuka schongauski kat? — zapytał nieufnie. — Tu nie ma dla ciebie żadnej roboty. Diabeł już dokonał swego dzieła!

Jakub Kuisl nie dał się jednak zbić z tropu.

— Słyszałem, że zdarzył się wypadek. Może mógłbym pomóc?

Ksiądz potrząsnął głową.

— Przecież powiedziałem ci, że nie ma tu nic więcej do roboty. Chłopak nie żyje. Przyniósł go diabeł i napiętnował swoim znakiem.

— Pozwólcie katowi podejść! — rozległ się głos karczmarza Strassera. Simon rozpoznał go wśród chłopów stojących wokół noszy. — Niech zobaczy, co ta czarownica zrobiła z moim chłopakiem i zgotuje jej wyjątkowo długą śmierć!

Twarz Strassera była blada jak ściana, oczy dosłownie płonęły nienawiścią, podczas gdy jego spojrzenie wciąż wędrowało od kata do martwego przybranego syna.

Jakub Kuisl z ciekawością zbliżył się do noszy. Simon poszedł za nim. Zbite deski były pokryte chrustem i świeżymi gałązkami jodły. Zapach żywicy ledwie zagłuszał smród, jaki wydzielały zwłoki. Ciało Johanna Strassera pokrywały już czarne plamy, a wokół jego twarzy latały muchy. Ktoś łaskawie położył mu dwie monety na otwartych oczach, które rozszerzone strachem, spoglądały w niebo. Pod brodą widniało głębokie rozcięcie, sięgające niemal od jednego ucha do drugiego. Zaszła krew przykleiła się do koszuli chłopca, tu również krążyły muchy.

Simon mimowolnie drgnął. Kto zrobił coś takiego? Chłopak miał najwyżej dwanaście lat. Jego dotychczasowy największy grzech przypuszczalnie polegał na podwędzeniu ojczymowi bochenka chleba lub dzbanka mleka. A teraz leżał tutaj, blady i zimny, poniósłszy krwawą śmierć na koniec swojego o wiele za krótkiego, nieszczęśliwego życia. Tolerowany, ale nigdy nie kochany, trędowaty

do śmierci. Nawet teraz nie było nikogo, kto by szczerze nad nim zapłakał. Karczmarz Strasser stał przy noszach z zaciśniętymi ustami, wprawdzie wściekły i przepełniony nienawiścią do mordercy, ale w gruncie rzeczy nie odczuwając smutku.

Kat ostrożnie odwrócił chłopca na bok. Poniżej łopatki widniało fioletowe znamię, zmyte, ale jeszcze dobrze widoczne. Było to koło, z którego dolnego końca wystawał krzyż.

—Znamię diabła — żegnając się, szepnął ksiądz i zaczął odmawiać po łacinie *Ojcze nasz*. — *Paternoster, qui est in caelis, sanctificetur nomen tuum...*

—Gdzie go znaleźliście? — zapytał Jakub Kuisl, nie odwracając wzroku od zwłok.

—Na samym tyle stodoły. Schowano go między kilkoma snopkami słomy.

Simon obejrzał się. Był to Franz Strasser. Pałający nienawiścią karczmarz spojrział na to, co niegdyś było jego podopiecznym.

— Musiał tu leżeć już od dłuższego czasu. Dziś rano do stodoły zajrzała Józefa, bo strasznie w niej śmierdziało. Myślała, że leży tam jakieś zdechłe zwierzę. Ale potem okazało się, że to był Johannes... — wymamrotał.

Simonowi zrobiło się zimno. Było to takie samo rozcięcie, jakie przed kilkoma dniami widział u małego Antona Kratza. Peter Grimmer, Anton Kratz, Johannes Strasser... Aco z Sophie i Klarą? Czy one także wpadły już w ręce diabła?

Kat pochylił się i zaczął dokładnie oglądać ciało chłopca. Przesunął palcem po ranie, szukał dodatkowych obrażeń. Gdy nic nie znalazł, począł wachać zwłoki.

— Trzy dni, nie dłużej — odrzekł. — Ten, kto go zabił, zna się na swojej robocie. Bezbledne podcięcie gardła.

Ksiądz spojrział na niego z boku złym wzrokiem.

— Już wystarczy, Kuisl — warknął. — Możesz sobie iść. Teraz sprawą zajmie się Kościół. A ty lepiej skup się na tej czarownicy, co grasuje u was w mieście, na tej Stechlinowej! To przecież ona jest za wszystko odpowiedzialna!

Karczmarz Strasser skinął głową.

— Johannes często u niej bywał razem z innymi podopiecznymi i z tą rudą Sophie. Ona go zaczarowała i teraz diabeł porywa dusze małych dzieciątek!

Rozległy się ogólne pomruki i modlitwy. Strasser nabrał odwagi.

— Powiedz wielmożnym panom w mieście, że jeśli wkrótce nie zrobią porządku z tym plemieniem czarownic, to sami sobie z nimi poradzimy! — krzyknął do kata. Jego twarz nabrzmiała i poczerwieniała z gniewu.

Kilku chłopów głośno przyznało mu rację, tymczasem on dalej ciągnął swą tyradę.

— Powiesimy ją na najwyższej kamienicy, a potem rozpalimy pod nią ogień. Wtedy zobaczymy, kto jeszcze działa z nią w zмовie!

Ksiądz skinął powoli głową.

— Jest w tym ziarno prawdy — powiedział. — Nie możemy się przyglądać, jak nasze dzieci jedno po drugim padają ofiarami diabła, nie położywszy temu kresu. Czarownice muszą spłonąć.

— Czarownice? — zapytał Simon.

Ksiądz wzruszył ramionami.

— Przecież oczywiste jest, że to nie może być dzieło pojedynczej czarownicy. Diabeł sypia z wieloma. Poza tym... — podniósł palec wskazujący, jakby w celu ostatecznego udowodnienia logicznego łańcucha argumentów — Stechlinowa jest przecież w więzieniu, prawda? A zatem musi to być ktoś jeszcze! Już wkrótce wypada noc Walpurgii! Przypuszczalnie już teraz wielbicielki szatana tańczą nocami po lesie z diabłem wcielonym i całują mu odbyt. Później nagie i odurzone nawiedzają miasto, by pić krew niewinnych dzieciątek.

— Chyba sami w to nie wierzycie! — wtrącił trochę niepewnym głosem Simon. — Przecież to są tylko mrozące krew w żyłach opowieści, i nic więcej!

— Stechlinowa miała u siebie w domu maść na latanie i czarodziejską ślinę — zawołał chłop stojący na samym tyle. — Opowiadał mi o tym Berchtholdt, który był przy torturach. A teraz za pomocą czarów sprawiła, że jest nieprzytomna, dzięki czemu nie zdradzi swoich towarzyszek! A w noc Walpurgii porwą jeszcze więcej dzieci!

Franz Strasser skinął przytakująco głową.

— Johannes często chodził do lasu. Przypuszczalnie tam go zwabiły. Chłopak ciągle bredził o jakiejś kryjówce.

— Kryjówce? — zapytał Jakub Kuisl.

Przez cały ten czas kat wciąż w milczeniu przyglądał się zwłokom. Dokładniej obejrzał umazane krwią włosy i paznokcie. Jeszcze raz zerknął również na znak. Dopiero teraz zainteresował się rozmową.

— Jakiej kryjówce?

Franz Strasser wzruszył ramionami.

— Przecież opowiadałem już o tym medykowi — mruknął. — Gdzieś w lesie. Musi to być chyba jakaś jaskinia lub coś w tym rodzaju. Gdy wracał do domu, zawsze był wymazany.

Kat jeszcze raz obejrzał sztywne palce chłopca.

— Co masz na myśli, mówiąc wymazany? — zapytał.

— No, po prostu cały w glinie. Wyglądał, jakby gdzieś się czołgał...

Jakub Kuisl zamknął oczy.

— Do stu diabłów, ale ze mnie kompletny głupek — mruknął. — To przecież takie jasne, a ja nawet o tym nie pomyślałem.

— Co... co jest? — szepnął Simon, który stał obok niego i jako jedyny słyszał przekleństwo kata. — O czym nie pomyśleliście?

Jakub Kuisl złapał medyka za ramię i odciągnął go od tłumu.

— Jeszcze... jeszcze nie mam całkowitej pewności — odrzekł. — Ale wierzę, chyba wiem, gdzie jest kryjówka dzieci.

— Gdzie? — serce Simona zabiło mocniej.

—Najpierw musimy coś sprawdzić — szepnął kat, po czym w pośpiechu ruszył w stronę Schongau. — Trzeba poczekać, aż zapadnie noc.

—Powiedźcie wielmożnym panom, że dłużej nie będziemy stać i przyglądać się! Czarownica musi spłonąć! — krzyknął za nimi Franz Strasser. — A tej rudej Sophie sami poszukamy w lesie. Z Bożą pomocą znajdziemy ich kryjówkę, a później wykurzymy czarownice z gniazda!

Po tych słowach rozległy się krzyki i oklaski, przerywane ciekawym głosem księdza, który zaintonował łacińską pieśń. Do ich uszu docierały strzępki słów.

—*Dies irae, dies Ula. Solvei saeculum in favilla...*

Simon zagryzł wargi. Dni gniewu istotnie były już blisko.

Pisarz sądowy Johann Lechner zdmuchnął piasek z zapisanego właśnie zwoju pergaminu, który następnie zwinął. Kiwnięciem głowy dał do zrozumienia woźnemu sądowemu, by ten otworzył drzwi do małej izby. Wstając, jeszcze raz zwrócił się do augsburskiego woźnicy:

— Jeśli powiedzieliście prawdę, to nie macie czego się obawiać. Bójka nas nie interesuje... przynajmniej na razie — dodał. — Chcemy tylko wiedzieć, kto podpalił magazyn.

Martin Hueber skinął, nie podnosząc wzroku. Błady, siedział przy stole ze smętnie zwieszoną głową. Noc samotnie spędzona w kozie, a do tego wyobrażenie możliwych tortur wystarczyły, by zarozumiały niegdyś woźnica wyglądał teraz jak siedem nieszczęść.

Johann Lechner uśmiechał się. Jeśli w najbliższych dniach rzeczywiście przyjdą wysłannicy Fuggerów, by z oburzeniem domagać się wydania swojego furmana, zobaczą skruszonego grzesznika, a Lechner wspaniałomyślnie zarządzi uwolnienie więźnia. Możliwe, że Martin Hueber będzie jeszcze musiał posiedzieć w ciemnicy również w dalekim Augsburgu, żeby odpokutować kompromitację swoich przełożonych... Lechner był pewien, że następnym razem augsburscy kupcy położą uszy po sobie.

Ogólnie rzecz biorąc, Martin Hueber zeznał to, co zasugerował już wczoraj. Niecałe dwa tygodnie temu kilku jego ludzi wdało się w bójkę w gospodzie „Pod Żółtą Gwiazdą”, w czasie której Józef Grimmer dotkliwie poturbował jednego z nich. Współ ze zgrają kompanów w czwartkowy wieczór zakradli się na przystań, by sprawić lanie stojącym na warcie schongauczykom. Jednak gdy dotarli do magazynu, ten już płonął. Martin Hueber widział kilku uciekających ludzi, którzy wyglądali na żołnierzy. Oczywiście byli zbyt daleko, by móc dostrzec coś więcej. A później i tak doszło do bójki, bowiem schongauczycy podejrzewali ich o podpalenie.

— A kto według ciebie podpalił magazyn? — jeszcze raz zapytał Lechner, chociaż stał już w drzwiach.

Martin Hueber wzruszył ramionami.

— Obcy żołnierze, nikt z okolicy. Tyle jest pewne.

— Dziwne tylko, że nie zauważył ich żaden schongauski strażnik, tylko wy, augsburczycy — drażył Lechner.

Woźnica znów zaczął lamentować.

— Na Maryję Dziewicę, przecież już wam to powiedziałem! Schongauczycy byli zajęci gaszeniem pożaru. Poza tym, w takim dymie trudno było cokolwiek zobaczyć!

Johann Lechner spojrział na niego przenikliwie.



— Oby Zbawiciel miał cię w swojej opiece, jeśli kłamiesz — mruknął. — W przeciwnym razie będziesz wisiał i gównu mnie obchodzi, czy jesteś woźnicą, Fuggerem, czy cesarzem.

Po tych słowach zwrócił się do wyjścia.

— Na Boga, dajcie więźniowi ciepłej zupy i kawałek chleba! — krzyknął do woźnego sądowego, schodząc już z więziennego piętra budynku Ballenhaus na parter. — Nie jesteśmy przecież potworami!

Za jego plecami z trzaskiem zamknęły się drzwi do kozy.

Johann Lechner jeszcze raz zatrzymał się na wydeptanych stopniach i spojrzął z góry przez okno na halę magazynową miasta. Mimo stoczonych przez robaki belek i złuszczającej się farby, hala wciąż była dumą Schongau. Bele wełny, sukna i najdoskonalsze przyprawy ułożono tu w stosy, które miejscami sięgały aż po sufit. W powietrzu unosił się zapach goździków. Któż mógłby mieć interes w tym, żeby puścić to bogactwo z dymem? Jeśli rzeczywiście byli to żołnierze, w takim razie musieli mieć zleceniodawcę. Ale kogo? Kogoś z Schongau? Nieznajomego? A może jednak byli to augsburczycy? A może na koniec okaże się, że to naprawdę sprawka diabła? Pisarz zmarszczył czoło. Musiał coś przeoczyć i nie mógł sobie tego wybaczyć. Był bowiem perfekcjonistą.

— Panie! Z więzienia przysłała mnie woźny sądowy Andreas!

Johann Lechner spojrzął w dół, gdzie właśnie wbiegał do budynku młody chłopak w drewnianych chodakach i wytartej, lnianej koszuli. Nie mógł złapać tchu, jego oczy błyszczały.

— Woźny sądowy Andreas? — zapytał z ciekawością Johann Lechner. — Czego on chce?

— Mówi, że Stechlinowa obudziła się, a teraz wyje i lamentuje jak stado czarownic!

Chłopak stał na najniższym stopniu schodów. Nie miał jeszcze czternastu lat. Z wyczekiwaniem spoglądał na pisarza.

— Czy wkrótce ją spalicie, panie?

Johann Lechner popatrzył na niego z zadowoleniem.

— Cóż, zobaczymy — odrzekł, wciskając chłopcu do ręki kilka grajcarów.

— Zaraz rozejrzyj się za medykiem, żeby poświadczył nam zdrowie Stechlino-  
wej.

Gdy chłopak odwrócił się i już miał wybiec, pisarz zawołał go ponownie.

— Ale przyprowadź mi starego medyka, a nie młodego! Zrozumiałeś?

Chłopak skinął głową.

— Młody jest trochę za... — Johann Lechner zawahał się, po czym z uśmie-  
chem dodał: — Cóż, przecież wszyscy chcemy niebawem zobaczyć, jak cza-  
rownica będzie płonąć na stosie, prawda?

Chłopak skinął głową. W jego oczach tlił się ogień, który wywołał w Lech-  
nerze niemal lekki strach.

TLR

Martę Stechlin zbudziło rytmiczne pulsowanie, przypominające walenie  
wielkiego młota. Gdy otworzyła oczy, poczuła, że ów młot szaleje w jej ciele.  
Ból, jakiego nie doświadczyła nigdy przedtem, w regularnych odstępach czasu  
przeszywał jej prawą rękę. Spojrzała w dół i dostrzegła zniekształcony, niebie-  
sko— czarny świński pęcherz. Potrzebowała trochę czasu, by pojąć, że tym pę-  
cherzem była jej dłoń. Przyrzędem do miażdżenia kciuków kat wykonał dobrą  
robotę. Palce i grzbiet dłoni spuchły, powiększając się ponad dwukrotnie.

Jak przez mgłę kobieta przypomniła sobie, że kilkoma łykami wypila gorz-  
ki napój, który podał jej Jakub Kuisl. Miała świadomość tego, co zawierał. W  
końcu była akuszerką, obeznaną z medykamentami z bielunia dziedzierzawy, to-  
jadu czy alrauny. Marta wielokrotnie stosowała je w małych dawkach podczas

porodów jako środek uśmierzający ból. Wprawdzie nikt nie miał o tym pojęcia, ale rośliny te w dużej mierze uchodziły za czarodziejskie zioła.

Napój podany jej przez Kuisla był tak silny, że następujące później wydarzenia pamiętała ledwie co. Torturowano ją, ale pisarz, świadkowie i kat byli dziwnie daleko, a ich głosy rozlegały się jak przebrzmiałe echo. Nie czuła żadnego bólu, a jedynie przyjemne ciepło w ręce. Później ogarnęła ją ciemność. A teraz pojawiło się to rytmiczne pulsowanie, które brutalnie sprowadziło ją na ziemię z krainy, gdzie nie ma cierpienia i lęku. Ból wlewał się w nią jak woda do pustej miski, wypełniał ją całkowicie. Zaczęła krzyczeć i szarpać zdrową ręką za pręty krat.

— No, czarownico, czujesz już ogień? — wrzasnął do niej z sąsiedniej celi flisak, Georg Riegg. Wraz ze strażnikiem pilnującym przystani wciąż jeszcze był osadzony obok, a krzyki Stechlinowej stanowiły dla niego miłe urozmaicenie.

— Użyj czarów i uwolnij się, jeśli potrafisz. A może diabeł zostawił cię na lodzie? — szydził Georg Riegg.

Zamknięty z nim strażnik złapał go za ramię.

— Georg, daj spokój — upomniął go. — Kobieta ma boleści, lepiej zawołajmy woźnego sądowego.

Jednak nie było to już potrzebne. Dokładnie w tej chwili, gdy flisak zamierzał zacząć kolejną tyradę nienawiści, strażnik Andreas otworzył drzwi do więzienia. Krzyki przerwały mu bowiem drzemkę. Na widok Stechlinowej, szarpiającej za pręty krat, natychmiast wybiegł na zewnątrz. Jej płacz i skargi ciągnęły się za nim aż na ulicę.

Minęło zaledwie pół godziny, gdy powiadomiono świadków: Berchtholdta, Augustina i Schreevogla, którym kazano przybyć do więzienia. Tam już oczekiwał ich pisarz Johann Lechner w towarzystwie medyka.

Stary Fronwieser okazał się użytecznym sługusem miasta. Właśnie stał mocno pochylony nad akuszerką i owijał jej napuchniętą rękę wilgotną, poplamioną chustą, która śmierdziała tak, jakby wcześniej pokrywała już różne inne części ciała.

—No i? — zapytał pisarz, przyglądający się szlochającej akuszerce z takim zainteresowaniem, z jakim patrzy się na rzadkiego, rozłożonego na części owada. Jej krzyk przeszedł teraz w ciągle pojękiwanie, podobne do kwilenia dziecka.

—To zwyczajny obrzęk, który podbiegł krwią. I nic więcej — powiedział Bonifaz Fronwieser, zawiązując chustę w węzełek. — Oczywiście kciuk i palec środkowy są prawdopodobnie złamane. Zrobiłem jej okład z arniki i kory dębowej, dzięki czemu obrzęk ustąpi.

—Chcę wiedzieć, czy można ją już przesłuchać — powiedział Johann Lechner.

Medyk z uniesieniem skinął głową, pakując do swojej torby tygle z maściami, zardzewiałe noże i krucyfiks.

— Podczas kolejnych tortur zająłbym się oczywiście drugą ręką. W przeciwnym razie istnieje niebezpieczeństwo, że znów straci przytomność.

— Dziękuję za twoje starania — odrzekł Lechner, wciskając do ręki Bonifaza Fronwiesera całego guldena. — Teraz możesz już iść. Zostań w pobliżu. Zwołamy cię, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Po wielokrotnych ukłonach medyk pożegnał się i wybiegł na ulicę. Szedł, kręcąc w zamyśleniu głową. Nigdy nie mógł bowiem pojąć, po co kuruje się torturowanych. Jeśli przesłuchanie połączone z torturami zaczynało się ponownie, wówczas biedni grzesznicy i tak niemal bez wyjątku trafiali na stos lub na koło, jak połamane lalki. Akuszerka musi umrzeć tak czy inaczej, nawet jeśli jego syn jest przekonany o jej niewinności. Cóż, teraz Bonifaz Fronwieser przynajmniej jeszcze na niej zarobił. A kto wie, może każą mu przyjść ponownie?

Zadowolony, bawiąc się guldenem w swojej kieszeni, kierował swe kroki na rynek, by kupić sobie ciepły pasztet mięsny. Leczenie zaostrzyło mu apetyt.

Świadkowie wraz z pisarzem usiedli już na swoich krzesłach w izbie tortur. Czekali na kata, który miał sprowadzić im na dół akuszerkę i zmusić ją do uległości. Johann Lechner kazał przygotować dla wszystkich wino, chleb i zimną pieczeń, bowiem dzisiejsze przesłuchanie mogło potrwać trochę dłużej. Według oceny Lechnera Stechlinowa była uparta. Ale niech i tak będzie. Mieli jeszcze co najmniej dwa dni, zanim w Schongau pojawi się przedstawiciel księcia elektora i wraz ze swoją świtą pozostanie na utrzymaniu miasta. Lechner był przekonany, że do tego czasu akuszerka przyzna się do winy.

Jednak kat jeszcze się nie pojawił, a bez niego nie można było zaczynać. Pisarz bębnił niecierpliwie palcami w blat stołu.

—Kuisla powiadomiono, czy tak? — zapytał jednego z woźnych sądowych. Ten skinął głową.

—Przypuszczalnie znowu się schlał — zaskrzeczał świadek Berchtholdt, który sam wyglądał, jakby przyprowadzono go nie z piekarni, lecz z którejś gospody za rynkiem. Jego ubranie pokrywały plamy z mąki i piwa, a włosy sterczały w strąkach. Poza tym śmierdział jak opróżniona beczka. Berchtholdt łapczywie wypił do dna kielich wina i nalał sobie kolejny.

—Miarkujcie się — upomniał go Jakub Schreevogl. — Nie jesteśmy na spotkaniu towarzyskim, lecz na przesłuchaniu połączonym z torturami.

W duchu miał nadzieję, że kat czmychnął, dzięki czemu tortury się nie odbędą. Wiedział oczywiście, że jest to mało prawdopodobne — Jakub Kuisl straciłby tylko w ten sposób swoją posadę, a za kilka dni jego miejsce zająłby augsburczyk lub kat ze Steingaden. Parę dni zwłoki wystarczyłoby jednak na znalezienie prawdziwego mordercy lub morderców. Jakub Schreevogl był przekonany, że choć Stechlinowa siedzi za kratkami, jest niewinna.

Świadek Georg Augustin wysączył wino z kielicha, po czym poprawił sobie białą, koronkowy kołnierz.

—Może katowi umknęło, żenię mamy nieskończenie dużo czasu. Te przesłuchania za każdym razem kosztują mnie kupę guldenów — podczas gdy mówił dalej, jego znudzone spojrzenie błędziło po narzędziach tortur. — Nasi woźnice siedzą na dupie w „Gwieździe”, jeśli się ich ciągle nie popędza. Apapierkowa robota sama się nie załatwi. Zatem zaczynajmy wreszcie, na Boga!

—Jestem pewien, że czarownica przyzna się dziś lub najpóźniej jutro — uspokajał go Johann Lechner. — A potem wszystko znów pójdzie swoim zwyczajnym trybem.

Jakub Schreevogl cicho zaśmiał się pod nosem.

— Swoim zwyczajnym trybem? Zapominacie chyba, że tam na zewnątrz grasuje diabeł, który dotychczas zabił troje dzieci I Bóg raczy wiedzieć, gdzie jest moja ukochana Klara...

Jego głos zamilkł. Mężczyzna otarł łzę z kącika oka.

— Nie róbcie takich ceregieli! — warknął Georg Augustin. — Gdy czarownica będzie martwa, to wyjdzie z niej diabeł i zniknie tam, skąd przyszedł. Awa-sza Klara znów się pojawi.

— Amen — wymamrotał świadek Berchtholdt, po czym głośno beknął. Zdą-żył już nalać sobie trzeci kielich wina. Jego szkliste oczy były wpatrzone w pust-kę.

— A tak w ogóle — kontynuował Georg Augustin — gdyby to zależało od mojego ojca, przesłuchanie rozpoczęlibyśmy już znacznie wcześniej. A wtedy Stechlinowa mogłaby już teraz płonąć na stosie i byłoby po sprawie!

Jakub Schreevogl jeszcze dobrze pamiętał posiedzenie rady z zeszłego po-niedziałku, gdy niewidomy Augustin przypominał wielmożnym panom o wiel-kim schongauskim procesie czarownicy sprzed siedemdziesięciu laty i nalegał na szybkie rozwiązanie problemu. Od tamtego zdarzenia minęło pięć dni. Schreevo-gl miał wrażenie, że była to wieczność.

— Bądźcie cicho! — Johann Lechner zbeształ syna niewidomego woźnicy. — Sami wiecie, że nie mogliśmy kontynuować. Gdyby na waszym miejscu był tu wasz ojciec, nie musielibyśmy wysłuchiwać takich durnych przemówień!

Na te słowa Georg Augustin wzruszył ramionami. Przez chwilę zdawało się, że chciał powiedzieć coś jeszcze, ale później sięgnął po kielich i znów skierował znudzony wzrok na narzędzia tortur.

Podczas gdy na dole wielmożni panowie kłócili się, kat cicho wśliznął się do celi Stechlinowej. Pod czujnym okiem dwóch woźnych sądowych uwolnił szło-chającą akuszerkę z łańcuchów i próbował ją pocieszyć.



— Posłuchaj, Marto — szepnął. — Teraz musisz być silna. Jestem już bardzo blisko znalezienia prawdziwego sprawcy. A wtedy stąd wyjdiesz, Bóg mi świadkiem. Ale dzisiaj jeszcze raz będę musiał zadać ci ból. I tym razem nie mogę ci dać żadnego napoju, bo mogliby coś zauważyć. Rozumiesz mnie?

Delikatnie nią potrząsnął. Akuszerka przestała szlochać i skinęła głową. Twarz Jakuba Kuisla zbliżyła się teraz do jej twarzy, dzięki czemu woźni sądowi nie mogli go usłyszeć.

— Nie wolno ci się tylko przyznawać, Marto. Jeśli się przyznasz, będzie po wszystkim.

Wziął jej drobną, zszarzałą twarz w swoje wielkie łapska.

— Słyszysz mnie? — zapytał ponownie. — Nie przyznawaj się... Akuszerka znowu skinęła głową. Kat uściskał ją, a później zeszli po stopniach do izby tortur.

Gdy na schodach dało się słyszeć człapanie bosych stóp Stechlinowej, głowy świadków natychmiast odwróciły się w jej stronę. Rozmowy ucichły. Przedstawienie mogło się zacząć.

Dwóch woźnych sądowych popchnęło oskarżoną na krzesło stojące na środku pomieszczenia i związało ją konopnym sznurkiem grubości palca. Jej wystraszony wzrok błędził między wielmożnymi panami i ostatecznie zatrzymał się na Jakubie Schreevoglu. Nawet ze swojego miejsca za stołem widział on, jak jej klatka piersiowa nerwowo unosiła się i opadała, o wiele za szybko, jak u młodego ptaka ogarniętego śmiertelnym strachem.

— Ostatnim razem musieliśmy przerwać — rozpoczął przesłuchanie Johann Lechner. — Dlatego chciałbym jeszcze raz zacząć od samego początku.

Rozłożył przed sobą zwój pergamin i zanurzył pióro w kałamarzu.

— Punkt pierwszy — referował. — Czy delikwentka posiada znamiona czarownic, które mogą posłużyć za dowód?

Piekarz Berchtholdt oblizywał wargi, gdy woźni sądowi zdejmowali Marcie Stechlin przez głowę brązowe szaty pokutne.

— Aby uniknąć kłótni, jakie miały miejsce ostatnio, tym razem sprawdzę to osobiście — powiedział Johann Lechner.

Centymetr po centymetrze badał ciało akuszerki; zajrzał pod pachy i między uda, obejrzał pośladki. Marta Stechlin miała zamknięte oczy. Nie płakała nawet wtedy, gdy pisarz spiczastymi palcami badał jej okolice łonowe. W końcu Lechner zatrzymał się.

— Znamię na łopatkę wydaje mi się najbardziej podejrzane. Zróbmy próbę. Kacie, igła!

Jakub Kuisl podał mu igłę długości palca. Bez wahania pisarz głęboko wkuł ją w łopatkę. Marta Stechlin krzyknęła tak głośno, że aż Jakub Kuisl drgnął. Zaczęło się, a on w żaden sposób nie mógł temu przeciwdziałać.

Johann Lechner z zainteresowaniem obserwował miejsce nakłucia. W końcu zadowolony uśmiechnął się.

— Tak jak myślałem — powiedział, po czym wrócił do swego biurka i zasiadł za swoimi przyborami do pisania. Zaczął pisać, głośno przy tym mówiąc.

— Delikwentka obnażona. Osobiście przeze mnie ukłuta igłą. Odkryte miejsce, z którego nie wypływa krew...

— Ale to przecież nie jest żaden dowód! — przerwał mu Jakub Schreevogel. — Każde dziecko wie, że nad łopatką nie wypływa krew! Poza tym...

— Ławniku Schreevogel! — wpadł mu w słowo Lechner. — Czy rzuciło się wam w oczy, że to znamię znajduje się dokładnie w miejscu, gdzie swoje znamiona miały również dzieci? I że jeśli nie jest takie samo, to wygląda bardzo podobnie?

Jakub Schreevogl potrząsnął głową.

— To jest znamię i nic więcej. Przedstawiciel księcia elektora nigdy nie puści wam tego płazem!

— Cóż, przecież nie doszliśmy do końca — odrzekł Lechner. — Kacie, przyrząd do miażdżenia kciuków. Tym razem weźmiemy drugą rękę.

Krzyki Marty Stechlin z izby tortur docierały przez wąskie okna więzienia aż do miasta. Kto był w pobliżu, ten na krótko przerywał pracę, zegnał się lub odmawiał *Zdrowaś Mario*, a później znów wracał do swoich zajęć.

Mieszkańcy miasta byli pewni, że czarownica otrzymała sprawiedliwą karę. Jeszcze była uparta, ale wkrótce przyzna się do swoich machinacji przed szlachetnie urodzonymi ławnikami i wreszcie nastanie koniec. Przyzna się do roman-su z diabłem, spędzonych z nim dzikich nocy i opowie, jak wspólnie pili krew niewinnych dzieciątek, które napiętnowali szatańskim znakiem. Powie o orgiastycznych tańcach i o tym, jak całowała mu tyłek i była do jego usług. Opowie o innych czarownicach, które latały z nią w powietrzu na miotle, rozpalone intensywnie pachnącą maścią czarownic, którą wysmarowały sobie łona. Lubieżne baby i to wszystkie, bez wyjątku. I niejednemu porządnemu schongauczykowi na samą myśl o nich ciekła ślinka. I niejedna mieszkanka tego miasta wyobrażała sobie teraz, kim były owe inne czarownice: sąsiadką o złym spojrzeniu, żebraczką siedzącą na końcu Munzgasse, służącą dybiącą na prawego małżonka...

Przy straganie na rynku Bonifaz Fronwieser właśnie nadgryzł swój ciepły pasztet, gdy do jego uszu dotarły krzyki Stechlinowej. Nagle przekąska nabrała w ustach smaku nieświeżego, zepsutego mięsa. Medyk rzucił resztę pasztetu zgrai kotłujących się psów i udał się w drogę do domu.

W Klarę wstąpił diabeł i jej nie opuszczał. Dziewczynka rzucała się na swoim łóżku z chrustu z jednej strony na drugą. Jej czoło oblał zimny pot, a woskowa twarz przypominała buzię lalki. Wciąż mamrotała przez sen, zaś od czasu do czasu krzyczała tak głośno, że Sophie musiała zakrywać jej usta. Właśnie teraz diabeł znów zdawał się być bardzo blisko niej.

— On... łapie mnie. Nie! Odejdź! Odejdź! Diabelskie szpony... serce z ciała... To tak boli, tak boli...

Sophie delikatnie pchnęła swoją małą przyjaciółkę na posłanie, a mokrą ścierką otarła jej gorące czoło. Gorączka nie ustępowała, a wręcz przeciwnie — wzmagala się z każdą chwilą. Ciało Klary płonęło jak mały piec. Napój, który podała jej Sophie, pomógł tylko doraźnie.

Sophie czuwała przy chorej od trzech nocy i czterech dni. Tylko od czasu do czasu wychodziła na zewnątrz, by nazbierać jagód i ziół lub ukraść coś jadalnego w okolicznych gospodarstwach. Wczoraj złapała kure, którą zabiła, i po zmroku przyrządziła z niej gorącą zupę dla Klary. Jednakże bała się, że ktoś mógłby zauważyć ogień i zaraz potem znów wczołgała się do kryjówki. Przeczucie jej nie zawiodło. Nocą słyszała rozlegające się w pobliżu kroki, które ostatecznie na szczęście oddaliły się.

Kiedyś poszła na przystań dla tratw i poprosiła jakiegoś chłopaka, aby przekazał rajcy Schreevoglowi, że jego pasierbica ma się dobrze. Początkowo uważała to za dobry pomysł, jednak później, gdy w lesie pojawił się ten medyk, przeklinała siebie w duchu. Tym bardziej, że ni stąd, ni zowąd nagle ukazał się tam sam diabeł. Dziewczyna błyskawicznie wskoczyła do obrośniętej krzakami niecki, a mężczyzna z ręką kościotrupa przebiegł obok niej, ścigając medyka. Nie

miała pojęcia, czy młody doktor zginął, czy też udało mu się uciec. Wiedziała tylko, że mężczyźni deptali jej po piętach.

Zeszłej nocy wielokrotnie zastanawiała się nad tym, czy powinna wrócić do miasta i wszystko opowiedzieć medykowi — o ile ten jeszcze żył—lub katowi. Zdawało się, że obydwaj trzymali jej stronę. Mogłaby wszystko powiedzieć i Klara zostałaby uratowana. Może akuszerkę przywiązano by tylko do pręgierza? Albo ich przybrani rodzice musieliby zapłacić karę, bo ich podopieczne wtrąciły się do spraw, które nie powinny ich obchodzić? Może wszystko dobrze by się skończyło?

Z drugiej strony silna intuicja, która od zawsze ją wyróżniała i uczyniła z niej przywódczynię innych dzieci, mówiła, że również tym razem nie należy nikomu ufać, bo sprawy zaszły za daleko i nie ma już żadnego odwrotu.

Leżąc obok niej Klara znów krzyknęła we śnie. Sophie zagryzła wargi, a po jej wysmarowanej gliną twarzy potoczyły się łzy. Nie wiedziała, co robić.

Nagle w oddali rozległy się krzyki i śmiechy, które dotarły aż do ich kryjówki. Sophie pocałowała Klarę w czoło, a później udała się tam, skąd mogła objać wzrokiem las.

Między drzewami przemykały jakieś cienie. Zaczął zapadać zmierzch, dlatego początkowo nie potrafiła dokładnie rozpoznać postaci. Krótco potem rozległo się także szczekanie psa. Sophie ostrożnie podciągnęła się o kilka centymetrów wyżej. Teraz rozpoznała mężczyzn — byli to chłopcy z Altenstadt. Wśród nich dostrzegła również Franza Strassera, ojczyma Johannes'a. Trzymał on na smyczy dużego psa, który ciągnął go w kierunku jej kryjówki. Sophie szybko schyliła się i wczłogała tam, skąd nie była już widoczna.

Głosy mężczyzn dziwnie pobrzmiwały, jakby dochodziły z końca długiego tunelu.

— Dajmy sobie spokój, Franz! — zawołał teraz jeden z nich. — Szukaliśmy już cały dzień. Niedługo się ściemni. Ludzie są zmęczeni i głodni, chcą iść do domu. Jutro znów poszukamy tej kryjówki.

— Czekajcie, sprawdzmy jeszcze tylko tutaj! — krzyknął Franz Strasser. — Pies coś poczuł!

— A cóż miał poczuć — zaśmiał się drugi. — Czarownicę? Pewnie sukę Spannera Seppa, bo ma cieczkę. Nie widzisz, jak go ciągnie?

— Bałwan z ciebie! To coś innego. Patrz, jak głupieje...

Głosy zbliżały się. Sophie wstrzymała oddech. Teraz były dokładnie nad nią. Pies zaczął szczekać.

— Coś tu musi być — mruknął Strasser. — Przeszukajmy jeszcze to miejsce, to powinno być gdzieś tutaj.

— No dobrze, jeszcze to miejsce. Pies rzeczywiście zgłupiał...

Sophie słyszała krzyki i wycie. Pozostali chłopcy tracili cierpliwość. Rozbrzmiewające nad nią kroki oddalały się i powracały. Pies charczał, jakby za chwilę miał paść. Najwyraźniej tak mocno ciągnął za smycz, że sam się niemal dusił.

W tym momencie Klara znów zaczęła krzyczeć. Był to przeciągły krzyk przerażenia. Znów bowiem zaatakowały ją cienie z ciemności i swoimi długimi pazurami drapały jej miękką, dziecięcą skórę. Gdy tylko Sophie usłyszała krzyk, szybko rzuciła się na posłanie obok dziewczynki i zasłoniła jej ręką usta. Jednak było już za późno.

— Słyszałeś? — zapytał zdenerwowany karczmarz Strasser.

— Co takiego? Twój pies dyszy i szczeka, poza tym nic nie słyhać.

— Cholerny kundel, zamknij się w końcu!

Słyhać było kopnięcie, a później skomlenie. Pies wreszcie się uspokoił.

— Tam ktoś krzyczał, to było dziecko.

— A gdzie tam, to pies skomlał. Chyba diabeł nasrał ci do ucha. Salwy śmiechu. Krzyki innych cichły.

— Bzdura! Jestem pewien, że to było dziecko...

Pod silnymi rękami Sophie Klara rzucała się tam i z powrotem. Sophie wciąż zakrywała jej usta, choć obawiała się, że ją udusi. Jednak Klara nie mogła teraz krzyczeć. Nie teraz.

Nagle na górze rozległo się przeraźliwe sapanie.

— Spójrz na psa — krzyknął Franz Strasser. — Zaczyna kopać! Tam coś jest!

— Prawda, kopie... Czy on aby...

Głos drugiego mężczyzny przeszedł w głośny śmiech.

— Kość! Wykopał głupią kość! Ha, ha, na pewno to kość diabelska!

Franz Strasser zaczął pomstować.

— Ty durny kundlu, co robisz? Zostaw to, bo cię zatłukę!

Znowu kopniaki i skowyt. Później kroki oddaliły się. Po chwili nastąpiła cisza. Mimo to ręka Sophie nadal kurczowo zasłaniała usta Klary i jak imadło ścisnęła jej drobną głowę. Tymczasem twarz chorej dziewczynki posiniała. W końcu Sophie cofnęła rękę. Klara kilkakrotnie wciągnęła powietrze, jakby za chwilę miała się udusić, po czym jej oddech stał się bardziej regularny. Cienie odsunęły się. Dziewczynka zapadła w spokojny sen.

Sophie siedziała obok niej, bezgłośnie płacząc. Niemal zabiłaby swoją przyjaciółkę. Była czarownicą, ludzie mieli rację. Bóg ukarze ją za to, co przeskrobała.



Podczas gdy Stechlinową torturowano, Simon Fronwieser siedział w domu kata i gotował kawę. W małym woreczku zawieszonym przy pasku zawsze nosił przy sobie garść egzotycznych ziaren. Teraz zmielił je w młynku do ucierania ziół, a na kuchni postawił garnek z wodą. Gdy woda zaczęła bulgotać, cynową łyżką wsypał do niej trochę czarnego proszku i zamieszał. Powietrze w domu natychmiast przesycał ostry, aromatyczny zapach. Simon pochylił się nad garnkiem i wdychał. Zapach sprawił, że jego myśli stały się klarowne i nieskrępowane. W końcu wlał brązowy napój do kubka. Czekał, aż proszek opadnie na dno, rozmyślał o minionych godzinach.

Po krótkim wypadzie do Altenstadt odprowadził jeszcze Jakuba Kuisla do domu, jednak kat nie chciał zdradzić, co miał na myśli, wypowiadając zagadkowe słowa pod koniec ich wizyty u karczmarza Strassera. Na wielokrotne pytania odrzekł tylko, że Simon powinien trwać w gotowości przez całą noc, bowiem znacznie zbliżyli się do rozwiązania zagadki. Mówiąc to, rozgniewany zwykle kat uśmiechał się pod nosem. Po raz pierwszy od wielu dni Simon miał wrażenie, że Jakub Kuisl był z siebie w pełni zadowolony.

Szczęście to zostało raptem zakłócone, gdy dotarli do jego domu, położonego w dzielnicy nad Lechem. Przed drzwiami czekało już na niego dwóch woźnych sądowych z wiadomością, że Stechlinową znów jest gotowa do przesłuchania.

Twarz kata naraz poszarzała.

— Już teraz? — wymamrotał. Wszedł do domu i po krótkiej chwili pojawił się z niezbędnymi przyborami. Następnie wziął Simona na bok i szepnął mu do ucha:

— Teraz pozostaje nam tylko mieć nadzieję, że Marta będzie silna. W każdym razie przyjdź do mnie dziś w nocy, gdy dzwony wybiją północ.

Po czym poczłapał za woźnymi sądowymi do miasta, niosąc na plecach worek, a w nim przyrząd do miażdżenia kciuków, imadło do zgniatania nóg, sznurki

do wiązania i zapalki, które wsuwa się pod paznokcie i zapala. Kat szedł wyjątkowo powoli, ale w końcu zniknął za bramą prowadzącą z miasta nad Lech.

Krótki czas później Anna Maria Kuisl zgarnęła Simona sprzed domu, bo-  
wiem medyk wciąż jeszcze niezdecydowany gapił się w odległy punkt nad bra-  
mą. Nalała mu kubek wina, pogłaskała po głowie, a potem poszła z dwójką ma-  
łych dzieci na rynek po chleb. Życie toczyło się dalej, nawet jeśli trzech chłop-  
ców nie żyło, a przypuszczalnie niewinna kobieta przeżywała w tej chwili niewy-  
słowione męki.

Simon zabrał ze sobą parujący napój, zaszył się w sąsiedniej izbie domu kata  
i na chybił trafił zaczął wertować księgi. Nie mógł jednak należycie się skupić, a  
litery wciąż rozmywały mu się przed oczami. Niemal z wdzięcznością odwrócił  
się, gdy usłyszał za plecami skrzypienie drzwi zapowiadające wizytę. Stała w  
nich zapłakana i rozczochrana Magdalena.

— Przenigdy nie wyjdę za mąż za kata ze Steingaden — szlochała. — Prę-  
dziej pójdę się utopić!

Simon drgnął. Magdalena całkowicie zapomniała o koszmarnych wydarze-  
niach z ostatnich godzin! Zamknął książkę i wziął ją w ramiona.

— Twój ojciec nigdy nie zrobiłby czegoś takiego, nie bez twojej zgody —  
próbował ją pocieszyć.

Dziewczyna odepchnęła go.

— A co ty wiesz o moim ojcu! — krzyknęła. — Jest katem, torturuje i zabi-  
ja, a jeśli akurat tego nie robi, sprzedaje miłosne napoje starym babom i truciznę  
młodym dziewczuchom, żeby pozdychały im bachory w łonach. Mój ojciec to po-

twór, bestia! Bez mrugnięcia okiem wyda mnie za mąż za kilka guldenów i butelkę wódki! Mam gdzieś takiego ojca!

Simon schwycił ją mocno i spojrzał jej w oczy.

— Nie wolno ci tak mówić o swoim ojcu! Wiesz, że to nieprawda. Wprawdzie jest katem, ale na Boga, ktoś musi to robić! Jest silnym i mądrym mężczyzną, który kocha swoją córkę!

Wciąż potrząsając głową, dziewczyna z płaczem wczepiła się w kaftan Simona.

— Nie znasz go. To potwór, potwór...

Simon stał w miejscu i pustym wzrokiem spoglądał przez okno na ziołowy ogród, w którym z brunatnej ziemi kielkowała pierwsza zieleń. Czuł się bezradny. Dlaczego po prostu nie mogli być razem, szczęśliwi? Dlaczego wciąż istnieli ludzie, którzy narzucali im, jacy mają być? Jego ojciec, ojciec Magdaleny, całe to cholerne miasto...

— Rozmawiałem z twoim ojcem... o nas — zaczął nagle.

Magdalena przestała szlochać i spojrzała na niego pytającym wzrokiem.

— No i? Co powiedział?

Jej spojrzenie przepęłniała taka nadzieja, że Simon spontanicznie postanowił skłamać.

— Powiedział, że musi to przemyśleć i że najpierw chciałby zobaczyć, czy do czegoś się nadaje. Gdy skończy się sprawa Stechlinowej, wtedy podejmie decyzję. Powiedział, że wcale tego nie wyklucza.

—Ale... to cudownie!

Magdalena otarła z twarzy łzy i patrząc na niego podpuchniętymi oczami, uśmiechnęła się.

— To znaczy, że musisz mu tylko pomóc uwolnić Stechlinową z więzienia.

Z każdym słowem jej głos stawał się coraz twardszy.

— Gdy zobaczy, że masz coś w głowie, to powierzy ci też swoją córkę. Dla niego zawsze liczyło się to, czy ktoś ma coś w głowie. I teraz mu to udowodnisz!

Simon skinął głową, jednak unikał patrzenia jej prosto w oczy.

Tymczasem Magdalena uspokoiła się. Nalała sobie kubek wina i wychyliła go jednym haustem.

— Co odkryliście dzisiaj rano? — zapytała, wycierając sobie usta grzbietem dłoni.

Simon opowiedział jej o śmierci dzieciaka Strassera oraz o tym, że akuszerka znów odzyskała przytomność. Poza tym wspomniał o aluzjach jej ojca i o ich spotkaniu ustalonym na najbliższą noc. Dziewczyna uważnie słuchała, od czasu do czasu zadając krótkie pytanie.

— Mówisz, że karczmarz Strasser powiedział, iż Johannes często był usmarowany gliną?

Simon skinął głową.

— Tak opowiadał. A twój ojciec tak dziwnie wtedy spojrzał.

— Oglądałeś paznokcie zabitego chłopaka?

Potrząsnął głową.

— Nie, ale sądzę, że zrobił to twój ojciec.

Magdalena uśmiechnęła się. Simon nagle odniósł wrażenie, jakby spoglądał w twarz jej ojca.

— Czemu tak się szczerzysz? Mów szybko!

— Sądzę, że już wiem, co mój ojciec chce z tobą robić dziś w nocy.

— Co takiego?

— Przypuszczalnie chce jeszcze raz obejrzeć paznokcie pozostałych chłopaków.

— Ale przecież oni leżą już od dawna na cmentarzu świętego Sebastiana!

Na twarzy Magdaleny pojawił się wilczy uśmiech.

— Teraz wiesz także, dlaczego udacie się w drogę dopiero po dwunastej w nocy.

Simon zbladł. Musiał usiąść.

— Myślisz... myślisz, że...

Magdalena nalała sobie drugi kubek wina. Zanim odezwała się, wypła duży łyk.

— Miejmy tylko nadzieję, że obydwaj chłopcy naprawdę nie żyją. Potem może rzeczywiście wstąpił w nich diabeł. Lepiej zabierzcie ze sobą krucyfiks, bo nigdy nic nie wiadomo...

Później złożyła mu na ustach krótki pocałunek, który smakował winem i ziemią. Był lepszy od kawy.

TLR



**Niedziela,**

**29 kwietnia Roku Pańskiego 1659,**

godzina 6. wieczorem

Wokół miasta powoli rozpościerał się zmrok. Wprawdzie drogi i pola zalewało jeszcze słoneczne światło, jednak pod gęste liście dębów i buków już zawiątał wieczór. Cienie powoli przesuwały się na polanę powstałą po wykarczowanym wcześniej lesie. Czterech mężczyzn siedziało wokół trzaskającego ogniska, nad którym obracał się rożen z dwoma zajacami. Tłuszcz kapął w żar i rozsiewał zapach, sprawiający, że aż im ciekła ślinka. Przez cały dzień nie jedli niczego poza paroma kawałkami chleba z dzikimi ziołami; tym bardziej więc aromat mięsa działał na nich nęcąco.

— Jak długo będziemy jeszcze siedzieć na dupie w tym przeklętym miejscu? — mruknął jeden z nich, obracając rożen nad ogniem. — Pójdźmy dalej do Francji. Celtowie szukają takich jak my. Tam nadal toczy się wojna.

— A co z pieniędzmi, he? — zapytał drugi, przeciągając się na pokrytym mchem gruncie leśnym. — Za zrównanie budowy z ziemią obiecał nam pięćdziesiąt guldenów. I jeszcze drugie tyle, jeśli Braunschweiger ukatrupi małe bachory. Jak do tej pory, zobaczyliśmy tylko jedną czwartą forsy. Choć wykonaliśmy całe swoje zadanie...

Mówiąc, zezował na mężczyznę, który stał nieopodal oparty o drzewo. Zaczepiony nawet nie podniósł wzroku. Zajęty był swoją ręką, która najwyraźniej sprawiała mu jakiś problem, gdyż uciskał ją, masował i ugniatał. Na głowie miał kapelusz z szerokim rondem i kilkoma kolorowymi, kogucimi piórami, a jego ubranie składało się z krwistoczerwonego kaftana, czarnego płaszcza i wytartych skórzanych butów z cholewami, które sięgały mu do bioder. Jego broda, w przeciwieństwie do innych, była starannie przycięta, co podkreślało rysy bladej twarzy z haczykowatym nosem i długą blizną. Był wyrosnięty, ale gibki i muskularny.

W końcu uporał się ze swoją ręką i z uśmiechem podniósł ją do góry, dzięki czemu błysnęła na białło w świetle ognia. Od łokcia aż po czubki palców składała się z kości. Pojedyncze części przewiercono w wielu miejscach i połączono ze sobą za pomocą miedzianych drutów. Wyglądała jak ręka nieboszczyka. Dopiero teraz diabeł spojrział w stronę swoich kompanów.

— Co powiedziałeś? — zapytał cichym głosem.

Siedzący przy ogniu żołnierz przełknął ślinę. Mimo to mówił dalej.

— Powiedziałem, że my wykonaliśmy swoją działkę; ty koniecznie chciałeś pozabijać małe bachory sam. Teraz wciąż jeszcze biegają wkoło, a my czekamy na nasze pieniądze... — przezornie zerknął na mężczyznę z ręką kościotrupa.

— Troje już nie żyje — szepnął diabeł. — Dwoje pozostałych jest gdzieś w okolicy. Wiesie. Jeszcze je znajdę.

— Tak, gdy nadejdzie jesień — zaśmiał się trzeci przy ogniu, ostrożnie ściągając zajaca z rożna. — Ale ja tak długo tu nie zostanę. Odchodzę i to już jutro. Wystarczy mi moja działka, a ciebie mam już od dawna dość! — splunął w kierunku drzewa.

W ciągu sekundy diabeł dopadł mężczyzny i wyrwał mu rożen, który przystawił mu teraz do gardła. Ich twarze były oddalone od siebie tylko o kilka cen-



tymetrów. Gdy żołnierz przełknął ślinę, jego krtań dotknęła rozpalonego końca różna. Głośno krzyknął, a z szyi popłynęła mu cienka strużka krwi.

— Wy głupie bydlaki! — syknął diabeł, nie odsuwając różna nawet o milimetr. — Kto wam załatwił to zlecenie, he? Kto do tej pory zaopatrywał was w żarcie? Beze mnie już dawno byście zdechli z głodu albo dyndali gdzieś na gałęzi. Spokojna głowa, jeszcze złapię małe bachory, ale do tej pory zostanieie tutaj! Szkoda by było pieniędzy!

— Puść André, Braunschweiger! — drugi mężczyzna przy ognisku powoli wstał z miejsca. Był wysoki i barczysty, a w poprzek jego twarzy przebiegała blizna. Wyciągniętą szablę wycelował w kierunku diabła. Tylko ten, kto bacznie się temu przyglądał, mógł dostrzec w jego oczach strach. Przez jego rękę przechodziło delikatne drżenie.

— Już wystarczająco długo łaziliśmy za tobą — syknął. — Twoje okrucieństwa, twoja żądza krwi i znęcanie się nad innymi budzą we mnie odrazę! Nie powinieneś był zabijać tego chłopaka, teraz ściga nas całe miasto!

Diabeł, którego nazywali Braunschweigerem, wzruszył ramionami.

— Podśluchiwał nas, podobnie jak inni. Wydałby nas, a wtedy byłoby po pięknej forsie. Poza tym... — roześmiał się szeroko. — Przecież wcale nas nie szukają, myślą, że to czarownica sprzątnęła dzieciątka. Może już jutro spłonie na stosie. A więc, Hans, schowaj szablę. Przecież nie chcemy się kłócić.

— Najpierw odsuń ten rożen od Andre — szepnął mężczyzna, który miał na imię Hans. Umięśniony żołnierz nawet na sekundę nie spuszczał z oczu niższego mężczyzny. Wiedział bowiem, jak niebezpieczny był Braunschweiger mimo swojej raczej niepozornej postury. Przypuszczalnie mógłby ich tu na polanie wszystkich trzech rozpruć, zanim zdążyliby mu zadać cios.

Diabeł opuścił z uśmiechem rożen.

— Dobrze — powiedział. — Teraz wreszcie mogę wam opowiedzieć o swoim znalezisku.

—Znalezisku? Jakim znalezisku? — zapytał trzeci mężczyzna, który do tej pory leżał na mchu, przyjąwszy wyczekującą postawę. Nazywał się Christoph Holzapfel i podobnie jak pozostali trzej mężczyźni, był byłym żołnierzem. Wspólnie wędrowali od prawie dwóch lat. Nie pamiętali już swojego ostatniego żołdu. Utrzymywali się dzięki mordom, rabunkom i podpaleniom, ciągle uciekając niczym dzikie zwierzęta. Jednak głęboko w ich sercach wciąż jeszcze tliła się iskra przyzwoitości, coś, co pozostało po historiach na dobranoc, które opowiadała im matka, i modlitwach wbijanych im do głów przez wiejskiego księdza. Wszyscy czuli, że właśnie tej iskry brakowało mężczyźnie nazywanemu przez nich Braunschweigerem. Był on zimny jak kościotrupia ręka, która, zrobiona dla niego po amputacji, stanowiła pożyteczną protezę. Wprawdzie nie sprawdzała się podczas walki, ale wzbudzała strach, a to Braunschweiger kochał najbardziej.

—O jakim znalezisku mówisz? — ponownie zapytał Christoph Holzapfel.

Diabeł uśmiechał się. Wiedział, że teraz znów zyskał przewagę. Z rozkoszą rozciągnął się na mchu, oderwał sobie zajęcze udko i zaczął opowiadać, co chwila odgryzając mięso.

— Śledziłem handlarzyne, bo chciałem się dowiedzieć, o co chodzi z tą budową. Jeszcze raz pojawił się tam wczorajszej nocy. I ja także... — starł sobie tłuszcz z ust.

—No i? — zapytał zniecierpliwiony André.

—Czegoś tam szuka. Coś tam musi być ukryte.

— Skarb?

Diabeł wzruszył ramionami.

— Możliwe, ale wy przecież chcecie odejść. Będę szukał tego sam. Żołnierz Hans Hohenleitner wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Braunschweiger, jesteś największym krwiopijcą i draniem, jakiego kiedykolwiek poznałem. Ale przynajmniej jesteś cwany draniem.

Nagle rozległ się dźwięk łamanych gałęzi, wprawdzie cichy, ale nie na tyle, by nie usłyszeli go doświadczeni żołnierze. Braunschweiger dał im znak, by milczeli, a sam wślizgnął się w krzaki. Krótki czas później zabrzmiał krzyk. Gałęzie łamały się, słychać było stękanie i sapanie, a po chwili ukazał się diabeł, który ciągnął na polanę wierzgający tobołek. Gdy rzucił go obok ognia, żołnierze spostrzegli, że był to mężczyzna, od którego otrzymali zlecenie.

— Chciałem do was przyjść — stęknął. — Co wam przyszło do głowy, żeby mnie tak poturbować?

— A po co się tak skradasz, handlarzyno? — mruknął Christoph.

— Ja... ja się nie skradałem. Muszę z wami pogadać. Potrzebuję waszej pomocy. Musicie pomóc mi coś znaleźć. Jeszcze dziś w nocy, bo sam nie dam rady.

Przez moment panowało milczenie.

— Podzielimy się? — zapytał wreszcie Braunschweiger.

— Połowa dla was, daję wam słowo.

Potem w skrócie opowiedział, co zamierza zrobić.

Żołnierze skinęli głowami. Ich przywódca znów miał rację. Pójdą za nim. O podziale można jeszcze pomówić później.

Gdy Marta Stechlin odzyskała przytomność, ból ugodził ją niczym cios. Podczas przesłuchania zmiażdżyli jej wszystkie palce, a na koniec włożyli pod paznokcie zapalki. Akuszerka czuła zapach swojego palonego ciała, jednak milczała. Lechner wciąż zadawał jej pytania, których dosłowne brzmienie odnotowywał w swoim protokole.

„Czy zabiła Petera Grimmera, Antona Kratza i Johannes Strassera? Czy wykłuła na skórze niewinnych dzieciątek znak diabła? Czy spaliła magazyn? Czy

brała udział w tańcach czarownic i przyprowadzała diabłu inne kobiety? Czy za pomocą czarów sprawiła, że zdechło prosię piekarza Berchtholdta?"

Wciąż odpowiadała przecząco. Pozostała silna nawet wtedy, gdy Jakub Kuisl założył jej imadło, w którym zgniata się nogi. Na koniec, gdy świadkowie, zabierając ze sobą karafkę wina, udali się na krótką naradę, kat zbliżył się do jej ucha:

— Wytrzymaj, Marto! — szepnął. — Nic nie mów, wkrótce będzie po wszystkim.

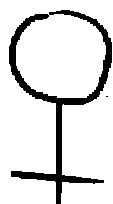
I rzeczywiście ławnicy postanowili, że kontynuacja przesłuchania odbędzie się dopiero następnego ranka. Od tamtej pory akuszerka leżała w swojej celi, trwając w półśnie. Od czasu do czasu słyszała bicie kościelnych dzwonów. Nawet siedzący po sąsiedzku Georg Riegg przestał wrzeszczeć. Było krótko przed godziną dwunastą w nocy.

Mimo bólu i strachu Marta usiłowała myśleć. Z relacji kata, przesłuchań i oskarżeń próbowała stworzyć sobie obraz wydarzeń. Troje dzieci nie żyło, zaś dwoje zaginęło. W nocy przed pierwszym morderstwem wszystkie były u niej. Jakub Kuisl opowiedział jej o osobliwym znaku, który znaleziono na ich ciałach. Poza tym brakowało alrauny. Ktoś musiał ją ukraść.

Kto?

Na zakurzonej więziennej podłodze narysowała palcem znak i zaraz potem go starła, ze strachu, że ktoś może ją na tym nakryć.

Później narysowała go jeszcze raz.



Rzeczywiście był to jeden ze znaków czarownic. Kto wykuł go na skórze dzieci? Kto o tym wiedział?

„Kto był prawdziwą czarownicą w mieście?”.

Nagle zakiełkowało w niej straszliwe podejrzenie. Starła znak i powoli narysowała go ponownie. Czy mogło to być prawdą?

Mimo bólu zaśmiała się cicho. To było takie proste. Cały czas mieli rozwiązanie przed oczami, a jednak niczego nie zauważyli.

Koło z krzyżykiem u dołu... Znak czarownic...

Nagle dostała kamieniem w środek czoła. Przez chwilę zrobiło jej się ciemno przed oczami.

— Mam cię, czarownico!

W więzieniu rozległ się głos Georga Riegga. Jak przez mgłę zobaczyła jego postać stojącą w ciemności za prętami krat po drugiej stronie pomieszczenia. Jego ręka wciąż jeszcze była podniesiona do rzutu. Obok niego chrapał aresztowany strażnik przystani.

— Jeszcze śmiejesz się bezczelnie! Przez ciebie wciąż tu siedzimy! Przyznaj się wreszcie, że podpaliłaś magazyn i zabiłaś dzieci, a wtedy do miasta znów powróci spokój! Ty zatwardziała czarownico! Co za znak tam malujesz?

Kolejny kamień wielkości pięści trafił ją w prawe ucho. Kobieta upadła na podłogę. Rozpaczliwie próbowała jeszcze zetrzeć znak, ale ręce odmówiły jej posłuszeństwa. Omdlenie zabrało ją w ciemną noc.

Prawdziwa czarownica... Musi dać znać Jakubowi Kuisłowi... Zegar na wieży kościelnej wybił dwunastą, gdy krwawiąca Marta Stechlin wróciła się na więzienną podłogę. Już nie słyszała, jak wrzeszczący Georg Riegg wzywał straż.

Dzwon miejscowego kościoła parafialnego głucho huczał nad dachami Schongau. Wybił godzinę dwunastą, gdy dwie postacie owinięte płaszczami we mgle udały się w drogę na cmentarz świętego Sebastiana. Jakub Kuisl przekupił butelką wódki jednoosobową straż przy bramie prowadzącej w dół do Lecha. Starego strażnika Aloisa nie interesowało, co kat i młody medyk mają zamiar robić o tej porze na ulicy. A kwietniowe noce były zimne, toteż uznał, że jeden czy dwa łyki dobrze mu zrobią. Zatem przywołał ich skinieniem ręki i starannie zamknął za nimi drzwi. Potem podniósł butelkę do ust, a błogie ciepło wódki natychmiast rozeszło mu się po żołądku.

Idąc przez miasto, kat z medykiem wybrali wąską, wyludnioną drogę prowadzącą przez Hennegasse. O tej porze żadnemu mieszkańcowi nie wolno było przebywać poza murami. Prawdopodobieństwo natknięcia się na jednego lub dwóch nocnych stróżów było wprawdzie niewielkie, niemniej ominęli rynek i szeroką ulicę Mtinzstralse, na której w ciągu dnia i wieczorami kręciła się większość ludzi.

Aby nie roztaczać wokół jaskrawego światła, małe latarnie ukryli pod płaszczami, toteż teraz całkowicie otulała ich ciemność. Simon kilkakrotnie potknął się o krawężnik i pozostawioną stertę nieczystości. Cicho zaklął, bowiem ledwo udało mu się uniknąć upadku. Gdy ponownie wdepnął w zawartość nocnika i właśnie zamierzał rzucić wiązką przekleństw, kat odwrócił się do niego i mocno chwycił go za ramię.

— Bądź cicho, na Boga! A może chcesz, żeby całe sąsiedztwo wywęszyło, że okradamy zmarłych?

Simon stłumił w sobie gniew i dalej człapał w ciemności. Słyszał, że podobno w dalekim Paryżu latarnie oświetlają szlaki drogowe, a nocą całe miasto jest jednym wielkim morzem światła. Westchnął; jeszcze dużo wody upłynie, zanim w Schongau będzie można wyjść na ulicę po zapadnięciu zmroku i nie wdepnąć

w stertę kału lub nie wpaść na ścianę domu. Cicho klnąc pod nosem, kuśtykał dalej.

Tymczasem ani on, ani kat nie zauważyli, że w pewnej odległości podążała za nimi jakaś postać. Zatrzymywała się za rogami domów, schylała się we wnękach i pomykała dalej dopiero wtedy, gdy kat i medyk również podejmowali swoją drogę.

W końcu Simon zobaczył przed sobą migoczące światło. Przez okna kościoła pod wezwaniem świętego Sebastiana przebijał blask świecy ofiarnej, która o tej porze nadal się paliła. Światła akurat wystarczyło na tyle, żeby zorientować się w terenie. Obok kościoła znajdowała się ciężka okratowana brama prowadząca na cmentarz. Jakub Kuisl nacisnął zardzewiałą klamkę i zaklął. Kościelny sumiennie wywiązał się ze swoich obowiązków, brama była zamknięta.

— Będziemy musieli wspiąć się na górę — szepnął. Mały szpadel, który trzymał pod płaszczem, przerzucił na drugą stronę. Później podciągnął się na murze wysokości człowieka i zeskoczył po drugiej stronie. Simon usłyszał miękkie klapnięcie. Wziął głęboki oddech, po czym również podciągnął do góry swoje drobne ciało, ocierając drogi kaftan o mur i kamienie. W końcu usiadł okrakiem na górze, spoglądając na cmentarz.

Przy kilku grobach zamożnych obywateli płonęły małe świeczki, poza tym niewyraźnie zarysowywały się tylko krzyże i mogiły. Na tyłach, w rogu przy murach miasta stała pochylona mała kostnica.

W tym momencie po drugiej stronie w domu na Hennengasse zapaliło się światło, a okiennice, skrzypiąc, otworzyły się na oścież. Simon zeskoczył z muru i ze stłumionym krzykiem wylądował na świeżym grobie. Ostrożnie spojrzął w górę. W rozświetlonym oknie stała służąca i zamaszyście opróżniała nocnik. Zdawała się go nie zauważać. Krótki czas potem okiennice znów się zamknęły. Simon strzepnął z kaftana wilgotną ziemię; przynajmniej miał miękkie lądowanie.



Podążająca za nimi postać przylgnęła do łuku bramy i stamtąd obserwowała obydwu znajdujących się w środku mężczyzn.

Cmentarz świętego Sebastiana, położony bezpośrednio przy murach miasta, zbudowano dopiero jakiś czas temu. Za sprawą dżumy i wojen dotychczasowy cmentarz — obok miejscowego kościoła parafialnego — przestał wystarczać. W wielu miejscach rosły krzaki i kolczaste krzewy, między którymi biegła błotnista ścieżka, prowadząca do poszczególnych mogił. Na pojedynczy grób ze zdobioną płytą mogli sobie pozwolić tylko bogaci; ich ostatnie miejsca spoczynku znajdowały się tuż przy murze. Poza tym nad szerokim polem cmentarza wszędzie wystawały krzywe drewniane krzyże, które tkwiły w nieforemnych zwałach ziemi. Na większości z nich widniało po kilka nazwisk. Dzielenie niewielkiego miejsca pod ziemią z innymi gwarantowało bowiem tańszy pochówek.

Kopczyk po prawej stronie, nieopodal kostnicy, wyglądał jeszcze na dość świeży. To tutaj raptem wczorajszego ranka po dwudniowym wystawieniu w domu trumien ze zmarłymi, pochowano Petera Grimmera i Antona Kratza. Ceremonia była krótka, jako że miasto nie chciało ryzykować wybuchu kolejnych niepokojów: łacińska modlitwa księdza w kręgu najbliższej rodziny, trochę kadzidła i słowa pociechy, a później krewnych pośpiesznie rozesłano do domów. Obie rodziny, tak Petera Grimmera, jak i Antona Kratza, zdecydowały, że pochowają chłopców w zbiorowym grobie, gdyż nie miały pieniędzy na osobne krypty.

Jakub Kuisl przyszedł na miejsce jako pierwszy. Ze szpadlem w ręku stał obok krzyża i zadumany spoglądał na nazwiska zmarłych.

— Jeśli się nie pospieszymy, niedługo będzie tu też leżała Sophie. I Klara. I może jeszcze ktoś.

Wziął szpadel i głęboko wetknął go w ziemię. Simon przeżegnał się, spoglądając z trwogą w stronę ciemnych domów na Hennengasse.

— Czy to naprawdę konieczne? — szepnął. — Przecież to jest bezczeszczenie zwłok! Jeśli nas złapią, to zaraz będziecie mogli sami się wytorturować i podpalić!

— Nie gadaj, tylko lepiej mi pomóż!

Jakub Kuisl wskazał na kostnicę, którą poświęcono dopiero przed kilkoma tygodniami. Obok drzwi stała oparta łopata. Potrząsając głową, Simon wziął ją do rąk i zaczął grzebać w ziemi obok kata. Dla bezpieczeństwa jeszcze raz zrobił znak krzyża. Nie był specjalnie przesądny, ale jeśli Bóg miałby kogoś ukarać uderzeniem pioruna, to z pewnością tego, kto wykopuje dziecięce zwłoki.

— Nie będziemy musieli głęboko kopać — szepnął Jakub Kuisl. — Grób był już prawie pełny.

I rzeczywiście, już po przekopaniu dobrego metra natknęli się na warstwę białego wapna, spod którego wyłoniła się mała trumna i równie niewielkie płócienne zawiniątko.

— Tak też myślałem! — kat uderzył łopata w sztywne zawiniątko. — Dla Antona Kratza nawet nie starczyło na trumnę. Rodzina znalazłaby na tyle grosza, ale podopiecznych można przecież zagrzebać jak zdechłe bydło!

Potrząsnął głową, po czym swoimi silnymi rękami podniósł zawiniątko i trumnę i położył je na trawie obok dołu. W jego potężnych łapskach dziecięca trumienka wyglądała niemal jak mała skrzynka z narzędziami.

— Masz! — podał Simonowi strzep ścierki. — Zawiąż to sobie na twarzy, bo będą już śmierdzieć.

Medyk poszedł za jego radą, przyglądając się, jak kat przygotowuje młotek i dłuto i kolejno podważa gwoździe. Już po krótkim czasie drewniana płyta opadła na bok.

Tymczasem Simon przeciął wzdłuż nożem płócienny worek. W powietrzu natychmiast rozszedł się słodkawy zapach, który wywołał u medyka odruch wymiotny. W swoim życiu widział i wąchał wiele zwłok, ale ci dwaj chłopcy nie

żyli już od ponad trzech dni. Mimo zawiązanej wokół twarzy ścierki poczuł tak potężny odór, że musiał odwrócić się w drugą stronę. Na chwilę podniósł przepaskę i zwymiotował, po czym dysząc, wytarł sobie usta. Gdy znów się odwrócił, kat uśmiechnął się do niego szeroko.

— Wiedziałem, że tak będzie.

— Co? — jęknął Simon. Popatrzył na martwe dzieci, które już na całym ciele miały czarne plamy. Po twarzy małego Petera przemknął stonóg piwniczny.

Kuisl z zadowoleniem wyjął fajkę i zapalił ją od latarenki. Kilkakrotnie głęboko się zaciągnął, po czym wskazał na palce nieboszczyków. Gdy Simon wciąż jeszcze nie reagował, zabrał się za dłubanie nożem pod paznokciami Antona Kratza, pokazując f medykowi rezultat swoich poczynań. Początkowo Simon nie był w stanie niczego rozpoznać, jednak gdy przystawił latarenkę bardzo blisko noża, na jego czubku dostrzegł delikatny, czerwony kurz. Spojrzał pytająco na kata.

— No i?

Jakub Kuisl tak blisko podstawił nóż pod nos Simona, że ten poczuł strach i cofnął się o krok.

— Nie widzisz, zakuta pało? — syknął kat. — Ta ziemia ma czerwony kolor! To samo jest u Petera i Johannaesa. Wszyscy trzej na krótko przed śmiercią grzebali w czerwonej ziemi! A która ziemia jest czerwona, ha? No, która?

Simon przełknął ślinę, zanim przemówił.

— Glina... glina jest czerwona — wyszeptał.

— A gdzie tutaj jest tyle gliny, że można w niej kopać?

Wynik tych rozważań poraził Simona niczym piorun. Poczuł, jakby właśnie złączyły się ze sobą dwa połamane kawałki.

— W dole przy chacie z cegieł, zaraz za dzielnicą garbarzy! Tam, skąd pochodzą wszystkie niewypalane cegły! Być może... może tam jest kryjówka dzieci?

Jakub Kuisl dmuchnął mu dymem z fajki prosto w twarz, tak że Simon zakasłał. Dym przynajmniej zagłuszył fetor zwłok.

— Cwany konował — powiedział, klepiąc kaszłącego Simona po plecach.  
— I właśnie tam teraz pójdziemy i złożymy wizytę dzieciakom.

W największym pośpiechu kat znów zasypał grób. Później wziął szpadel, latarenkę i pobiegł w stronę murów cmentarza. Akurat zamierzał podciągnąć na kamieniach swoje ciężkie ciało, gdy na górze pojawiła się jakaś postać i pokazała mu język.

— Ha, przyłapani na okradaniu zmarłych! Wyglądasz jak kostucha, tylko taka trochę bardziej tłusta...

— Magdaleno, psiakrew, ja...

Jakub Kuisl chciał chwycić córkę za nogę, by ściągnąć ją do siebie, ale ta szybkim ruchem odskoczyła w bok. Krocząc dumnie po murze, szyderczo spoglądała w dół na obydwie cmentarne hieny.

— Tak myślałam, że chcecie iść na cmentarz. Nie zamydlicie mi oczu! No i co, tato? Znalazłeś pod paznokciami chłopaków ten sam brud, co u Johannes'a?

Kat spojrział z gniewem na Simona.

— Czy ty czasem jej...

Medyk podniósł ręce, chcąc załagodzić sytuację.

—Nic jej nie mówiłem! Opowiedziałem tylko o Johannesie... i o tym, że chcecie dokładniej obejrzeć paznokcie.

—Kretyn! Babom nie wolno niczego opowiadać, a już na pewno nie mojej córce! Ona wszystko wyniucha.

Jakub Kuisl znów spróbował złapać Magdalенę za nogę, ale dziewczyna pobiegła kilka kroków dalej w stronę kościoła. Kat popędził za nią.

— Złaż na dół, natychmiast! Obudzisz wszystkich w sąsiedztwie, a wtedy rozpęta się prawdziwe piekło! — szepnął zachrypniętym głosem.

Magdalena spojrzała z góry na ojca, szczerząc zęby w szerokim uśmiechu.

— Zejdę, ale pod warunkiem, że zdradzisz mi, co wysłedziliście do tej pory. Nie jestem głupia, dobrze o tym wiesz, tato. Mogę wam pomóc.

—Najpierw zejdziesz na dół — burknął Jakub Kuisl.

—Obiecujesz?

—Tak, psiakrew.

—Przysięgasz na Panienkę Maryję?

—Na wszystkich świętych i diabłów, skoro to konieczne.

Magdalena zwinnie zeskoczyła z muru i wylądowała tuż obok Simona. Kat podniósł groźnie rękę, ale później z westchnieniem ją opuścił.

— I jeszcze jedno — szepnęła Magdalena. — Jeśli następnym razem będziecie stać przed zamkniętą bramą, to po prostu trochę się rozejrzyjcie. Czasami można odkryć prawdziwe małe skarby.

W rękę trzymała duży, lśniący klucz.

— Skąd go masz? — zapytał Simon.

— Z wnęki w łuku bramy. Mama też zawsze chowa klucz od domu w murze.

Zwinnymi palcami włożyła klucz do otworu, przekreśliła raz, a brama cicho skrzypiąc, otworzyła się. Kat w milczeniu przecisnął się obok swojej córki i pobiegł z powrotem w kierunku bramy prowadzącej nad Lech.

— A teraz chodźcie już! — syknął. — Czas nagli!

Simon uśmiechnął się szeroko. Wziął Magdalенę za rękę i pobiegł za nim.

Sophie wstrzymała oddech, gdy po raz kolejny blisko ich kryjówki rozległy się kroki. Do niej i do śpiącej spokojnie Klary dotarły jakieś głosy. Od ostatniej wysokiej gorączki dziś w południe oddech Klary stawał się coraz regularniejszy.

Zdawało się, że dziewczynka powraca do zdrowia. Sophie zazdrościła jej tego snu, bowiem sama od czterech nocy prawie nie zmrużyła oka. Wciąż ogarniał ją strach, że ktoś znajdzie ich kryjówkę. A teraz na górze znów rozbrzmiewały kroki i głosy. Mężczyźni obchodzili teren i prawdopodobnie czegoś szukali. Ale to byli inni niż ci ostatnim razem.

— Przecież to nie ma sensu, Braunschweiger! Możemy kopać w nieskończoność, teren jest o wiele za duży!

— Stul gębę i szukaj dalej. Gdzieś tutaj leży kupa pieniędzy i nie pozwolę, żeby się zmarnowała.

Teraz głosy znów rozległy się dokładnie nad nimi. Sophie zdumiała się, bo знаła jeden z nich. Strach powoli wypełził z jej brzucha w kierunku gardła. Z trudem stłumiła krzyk.

Trochę dalej inny mężczyzna krzyknął do pozostałych:

— Sprawdzaliście już w kaplicy? To musi być gdzieś tutaj! Poszukajcie wejścia, dziury albo luźnej płyty podłogowej...

— Zaraz to zrobimy! — zabrzmiał nad nią głos. Później nagle nastąpiła cisza. Mężczyzna mówił teraz do swojego towarzysza, który stał obok niego. — Leniwy handlarzyna! Siedzi tam pod lipą i myśli, że może udawać nadzorcę. Ale poczekaj, gdy tylko znajdziemy skarb, to własnymi rękami poderżnę mu gardło, a kaplicę spryskam jego krwią!

Sophie przycisnęła dłonie do ust, bo głośny krzyk niemal wyrywał jej się z piersi. Znała również drugi, oddalony głos mężczyzny siedzącego pod lipą. Nigdy ich nie zapomni.

Straszne obrazy wróciły...

— *Mały bachor, po co nas podsłuchiwał? Teraz jego krew wyżłopia ryby. Poszukajmy drugiego...*

— *Matko Boska, czy to było konieczne? Czy to było konieczne? Spójrz na to świństwo! Będą pytać o chłopaka!*

— *Ach, co tam, rzeka to splucze. Lepiej złapmy pozostałe. Nie mogą nam uciec.*

— *Ale... to przecież tylko dzieciaki!*

— *Dzieciaki też potrafią plotkować. Chcesz, żeby nas zdradziły? Chcesz tego?*

— *Nie... oczywiście, że nie.*

— *W takim razie nie rób takich ceregieli. Nędzne handlarzyny zarabiają pieniądze dzięki cudzej krwi, ale nie mogą na nią patrzeć. To będzie cię jeszcze trochę kosztować!*

„Nędzne handlarzyny...”. Oddech Sophie szalał. Blisko, tuż nad nimi był diabeł. Złapał już troje z nich. Pozostała tylko ona i Klara. Teraz je też dopadnie. Nie było już ucieczki. Na pewno je wyczuje.

— *Zaczekaj, mam pomysł, gdzie może być skarb* — zabrzmiał głos.  
— *Co myślisz o tym, żebyśmy...*

W tym momencie na zewnątrz rozległ się krzyk. W oddali ktoś jęczał z bólu. Krótki czas później rozpętało się piekło. Sophie zatkała sobie uszy, mając nadzieję, że to wszystko jest tylko złym snem.

Simon zaklął, gdy po raz kolejny pośliznął się na grząskim dnie kopalni gliny i wpadł w czerwonawą breję. Całe jego spodnie były wymazane gliną, a buty



z cholewami przysysały się do podłoża, wydając odgłos cmokania, tak iż z trudem je wyciągał. Przy górnej krawędzi kopalni stał kat ze swoją córką i spoglądał na niego pytającym wzrokiem.

— No i co? — zawołał Jakub Kuisl w dół głębokiej na kilka metrów kopalni. Jego twarz rozświetlała pochodnia, dzięki czemu lśniła w absolutnej ciemności. — Są tam jakieś jamy albo wnęki?

Simon strzepnął z kaftana większe kawałki błota.

— Niczego nie ma! Nawet mysiej dziury.

Jeszcze raz rozejrzył się po kopalni, świecąc sobie pochodnią.

Blask światła sprawiał, że widział zaledwie kilka metrów przed sobą, resztę spowijała ciemność.

— Słyszycie mnie, dzieci? — zawołał po raz kolejny. — Jeśli gdzieś tu jesteście, odezwijcie się! Wszystko będzie dobrze. Jesteśmy po waszej stronie!

Odpowiedział mu tylko szum cienkiego strumyka, poza tym panowała cisza.

— Psiakrew! — zaklął Simon. — Co za durny pomysł, żeby w środku nocy szukać dzieciaków w kopalni gliny! Moje buty wyglądają jak dwie obrzydliwe grudy błota, a kaftan prawdopodobnie nadaje się tylko do wyrzucenia!

Jakub Kuisl uśmiechał się szeroko, słysząc przekleństwa młodego medyka.

— Nie cackaj się tak, sam wiesz, że czas nagli. Lepiej sprawdźmy jeszcze w wypałami.

Trzymał mocno drabinę, podczas gdy Simon wspinał się po śliskich szczeblach. Gdy dotarł na górę, pojawiła się przed nim twarz Magdaleny, która świeciła mu pochodnią prosto w oczy.

— Ty rzeczywiście wyglądasz na trochę... wyczerpanego — zachichotała. — Musiałeś chyba co chwila się przewracać?

Rogiem swego fartucha usiłowała zetrzeć Simonowi z czoła glinę. Było to jednak daremne działanie, bowiem glina przylgnęła do jego twarzy niczym czerwona farba. Magdalena uśmiechnęła się.

—Może zostawię ci na twarzy trochę błota, bo masz takie blade policzki.

—Bądź cicho, w przeciwnym razie zacznę zadawać sobie pytanie, po co właściwie zszedłem do tej cholernej kopalni.

—Bo jesteś młody i kilka upadków w bagnie ci nie zaszkodzi. A wręcz przeciwnie — rozległ się głos kata. — Poza tym, chyba nie kazałbyś młodej, delikatnej dziewczynie wchodzić do takiej dziury?

Jakub Kuisl właśnie przeszedł do budynku wypałami, który stał na skraju karczowiska. Za nim rozciągał się las. Całą polanę wyścielało drewno, opałowe, poukładane w sterty wysokości człowieka. Sama wypalarnia, zbudowana z mocnego kamienia, z wysokim kominem na środku dachu, znajdowała się między lasem a rzeką, w odległości co najmniej jednej czwartej mili od dzielnicy garbarzy. Od zachodu Simon dostrzegał od czasu do czasu migotanie — blask latarenek lub pochodni, który dochodził od strony miasta. Poza tym wokół panowała całkowita ciemność.

Wypalarnia cegieł była jednym z najważniejszych budynków w Schongau. Od czasu kilku dużych pożarów w przeszłości mieszkańców miasta nakłaniano do budowania domów z kamienia i pokrywania ich dachówkami, a nie słomą. Również rzemieślnicy z gildii garncarzy zaopatrywali się tu w surowiec do produkcji garnków i pieców. W ciągu dnia polanę prawie zawsze spowijał gęsty dym. Wozy ciągnięte przez woły transportowały cegły do Altenstadt, Peiting czy Rottenbuch. Panował tu ustawiczny ruch. Jednak teraz, w nocy, nie widać było żywej duszy, a ciężkie drzwi do środka wypałami były zamknięte. Jakub Kuisl chodził wzdłuż fasady budynku, aż znalazł okno, którego skrzydła krzywo wisiały na zawiasach. Zdecydowanym szarpnięciem oderwał prawe skrzydło i oświetlił pochodnią wewnątrz.

—Dzieci, nie musicie się bać! — zawołał do ciemnego pomieszczenia. — To ja, Kuisl z dzielnicy garbarzy. Wiem, że z zabójstwami nie macie nic wspólnego.

—Gdy usłyszą kata, to na pewno nie wyjdą — syknęła Magdalena. — Powólcie mi tam wejść. Mnie się nie boją.

Zadarła spódnicę i wspięła się do środka po niskim okiennym gzymsie.

— Pochodnia — szepnęła.

Simon w milczeniu podał jej pochodnię. Później dziewczyna zniknęła w ciemnościach. Dzięki jej odgłosom jej kroków mężczyźni słyszeli, jak zakradała się od jednego pomieszczenia do drugiego. W końcu rozległo się skrzypienie stopni. Magdalena wchodziła po schodach na górę.

— Diabelskie nasienie, cholera — warknął kat, ssąc zimną fajkę. — Jest taka sama jak jej matka. Uparta i przemądrzała. Ale przyjdzie czas, że wyjdzie za mąż i ktoś zatka jej gębę.

Medyk chciał na to coś odrzec, ale w tym momencie usłyszeli dobiegający z góry trzask i krzyk.

— Magdaleno! — zawołał Simon i zwieszając się na rękach, wskoczył do wnętrza budynku, gdzie przeżył bolesne lądowanie na kamiennej posadzce. Natychmiast jednak wstał, porwał pochodnię i pobiegł w kierunku schodów. Kat podążył za nim. Przeszli przez pomieszczenie z piecem do wypalania i popędzili po stopniach na strych. Poczuli zapach dymu i popiołu.

Powietrze na górze przesycił czerwony kurz, przez który mimo pochodni nie byli w stanie nic dojrzeć. Z kąta po prawej stronie dobiegało ciche jęczenie. Kurz powoli opadał. Simon dostrzegł połamane cegły, które w stertach leżały wszędzie na podłodze. Przy ścianie znajdowały się kolejne cegły ułożone w stosy sięgające aż po sufit. W jednym miejscu ziała szczelina. Musiało spaść tu na ziemię dobre dwa centnary wypalanej gliny. Pod wyjątkowo pokazną stertą coś się poruszało.

— Magdaleno! — krzyknął Simon. — Wszystko w porządku? Dziewczyna podniosła się. Cała pokryta drobnym ceglanym kurzem wyglądała jak czerwona zjawa.

— Myślę, że... już jest dobrze — zakasłała. — Chciałam odsunąć cegłę, bo wydawało mi się, że z tyłu jest kryjówka... — znowu musiała zakasłać. Teraz Simon i kat również byli ufarbowani drobnym, czerwonym kurzem. Jakub Kuisl potrząsnął głową.

— Coś tu się nie zgadza — mruknął. — Coś przeoczyłem. Czerwona ziemia... była pod paznokciami! Ale dzieci tu nie ma! W takim razie, gdzie one są?

— Gdzie zanesiono cegły? — zapytała Magdalena, która tymczasem z grubsza otrzepała sobie ubranie i usiadła na większej stercie potłuczonych cegieł. — Może tam są dzieci?

Kat znów potrząsnął głową.

— Pod paznokciami nie miały kurzu z cegieł. To była glina, wilgotna glina. Musiały w niej kopać... Gdzie jeszcze jest tyle gliny?

Nagle Simona ogarnęła fala gorąca.

— Budowa! — zawołał. — Na budowie! Przestraszony kat otrząsnął się z zamyślenia.

— Co ty mówisz?

— Na budowie przytułku! — powtórzył Simon. — Tam leżały wielkie zwaliny gliny. Robotnicy tynkują nią mury!

— Simon ma rację! — krzyknęła Magdalena i zeskoczyła ze sterty potłuczonych cegieł. — Sama widziałam, jak robotnicy zawozili tam glinę na taczkach. Przytułek jest obecnie jedyną dużą budową w Schongau!

Kat kopnął nogą cegłę, która rozbiła się o ścianę na drobne kawałki.

— Do stu diabłów, macie rację! Jak mogłem być taki głupi i zapomnieć o budowie? Przecież sami tam byliśmy i widzieliśmy glinę!

Popędził po stopniach schodów.

— Prędko do przytułku! — krzyknął już w biegu. — Boże dopomóż, żeby nie było już za późno!

Wypalarnię cegieł od drogi prowadzącej do Hohenfurch dzieliło co najmniej pół godziny marszu. Najkrótsza droga prowadziła przez las. Jakub Kuisl wybrał wąską ścieżkę, podobną raczej do tej uczęszczanej przez dzikie zwierzęta. Jedyne od czasu do czasu przez gęste skupisko jodeł przebijały się tu promienie księżyca. Poza tym wszędzie panowała niemal nieprzenikniona ciemność. Dla Simona było to zagadką, jak idący przed nim kat odnajdował drogę. Razem z Magdaleną potykał się, trzymając w ręku jego pochodnię. Wciąż uderzały ich po twarzy jodłowe gałązki. Chwilami zdawało mu się, że obok w gęstwinie słyszy trzask. Jednak oddychał zbyt głośno, by móc stwierdzić, czy było to tylko urojenie, czy rzeczywiste kroki. Już po krótkim czasie zaczął sapać — dokładnie tak jak przed paroma dniami, kiedy uciekał przed diabłem. Po raz kolejny zauważył, że do takich biegów po lesie brakowało mu wprawy. Psiakrew, był medykiem, a nie myśliwym albo żołnierzem! Magdalena zwinnie biegła obok niego i tylko ze względu na nią nie dał po sobie niczego poznać.

Nagle las skończył się i stanęli na ściernisku. Zdawało się, że kat przez chwilę szuka punktu orientacyjnego. Znalazłszy go, pobiegł dalej w lewo, skrajem pola.

— Na wschód, a przy dębach ostro w prawo! — zawołał. — Zaraz będziemy na miejscu.

I rzeczywiście, wkrótce przeszli przez dębowy gaj i stanęli na krawędzi większego karczowiska. W dali niewyraźnie rysowały się kontury budynków. Dotarli do budowy.

Simon, dysząc, zatrzymał się. Z płaszcza zwisały mu gałązki, osty i jodłowe igły. Kapelusz, który zdarły mu z głowy krzaki, został gdzieś w gęstwinie.

— Następnym razem, gdy będziemy biec przez las, dajcie mi o tym znać wcześniej — stęknął. — Żebym założył coś stosownego. Kapelusz kosztował pół florena, a buty...

— Pssst — kat zasłonił mu swoją wielką ręką usta. — Przestań gadać. Spójrz lepiej w drugą stronę.

Wskazał na zarysy budowy, gdzie tam i z powrotem poruszały się małe świetlne punkty. Do ich uszu docierały strzępki słów.

— Nie jesteśmy sami — szepnął Jakub Kuisl. — Mogę zliczyć cztery lub pięć pochodni. Dam sobie łeb obciąć, że jest tu również nasz przyjaciel.

— Masz na myśli tego mężczyznę, którego ścigaliście ostatnio? — zapytała szeptem Magdalena.

Kat skinął głową.

— Ten sam, który twojemu Simonowi prawie poderżnął gardło. Ten, którego nazywają diabłem. Ale tym razem go złapiemy.

Przywołał medyka skinieniem ręki.

— Pochodnie są rozproszone po całym terenie budowy — powiedział. — Zdaje się, że oni czegoś szukają.

— Ale czego? — zapytał Simon.

Kat uśmiechnął się szeroko.

— Wkrótce się tego dowiemy. — Podniósł z ziemi ciężki, dębowy konar, odłamał gałęzie i zważył go w rękę. — Weźmiemy w obroty każdego z osobna. Jednego po drugim.

— My?

— Pewnie — kat skinął głową. — Sam nie dam rady. Jest ich zbyt wielu. Masz przy sobie nóż?

Simon zaczął grzebać przy swoim pasku, po czym drżącą ręką podniósł do góry błyszczący w świetle księżyca sztylet.

— Dobrze — mruknął Kuisl. — Magdaleno, ty pobiegiesz do miasta i zaalarmujesz Lechnera w zamku. Powiesz mu, że na budowie znów doszło do sabotażu. Potrzebujemy pomocy i to możliwie jak najszybciej.

— Ale... — córka kata zaczęła protestować.

— Żadnego sprzeciwu! Bo już jutro poślubisz kata ze Steingaden. A teraz biegnij!

Magdalena zrobiła nadąsaną minę. Później zniknęła w ciemnym lesie.

Kat dał Simonowi znak i pobiegł schylony wzdłuż brzegu lasu. Medyk ruszył za nim. Po dobrych dwustu krokach natknęli się na stertę pni drzew, które robotnicy złożyli niedaleko lasu. Sterta ciągnęła się aż do polany. Wykorzystując ją jako osłonę, kat z medykiem zakradli się bliżej do na wpół gotowego budynku. Teraz mogli dostrzec, że mężczyzn było pięciu. Z latarenkami i pochodniami w dłoniach zdawali się czegoś szukać. Jeden z nich siedział na głazie nieopodal lipy na środku polany, dwóch opierało się o studnię, zaś pozostali dwaj rozeszli się po terenie budowy.

— Powoli mam dość tego marznięcia na kość w ciemnościach! — zawołał jeden z mężczyzn, który znajdował się we wnętrzu wielkiego, niepokrytego jeszcze dachem budynku. — Szukamy już prawie całą noc. Wróćmy tu jutro, przy świetle dziennym!

—W dzień kręcą się tutaj rzemieślnicy, kretynie — syknął jeden z mężczyzn stojących przy studni. — Jak sądzisz, dlaczego urządzamy tę całą szopkę w nocy? Po co rozwalamy to wszystko dopiero po zmroku? Szukamy dalej, a jeśli handlarzyna skłamał i nic tu nie zakopano, to rozwalę mu czaszkę jak surowe jajko o studnię!

Simon zaczął nasłuchiwać. Coś było tu zakopane.

—Co?

Kat szturchnął go w ramię.

— Nie możemy dłużej czekać na woźnych sądowych — szepnął. — Kto wie, jak długo ci jeszcze tu zostaną. Teraz pobiegnę na drugą stronę do murów bocznych i złapię jednego z nich. Ty zostaniesz. Jeśli zobaczysz, że któryś się do mnie zbliża, zagwiżdżesz jak sójka. Potrafisz?

Simon zaprzeczył ruchem głowy.



— Cholera, w taki razie zagwizdź normalnie, jak umiesz. Nie połapią się.

Jakub Kuisl obejrzał się po raz ostatni, a później popędził długimi krokami w stronę muru i schował się za nim. Mężczyźni niczego nie zauważyli.

Rozległy się kolejne krzyki, teraz trochę dalej, dlatego Simon z trudem był w stanie je zrozumieć. Widział, jak pochylony kat biegnie wzdłuż muru prosto na stojącego w niedokończonym budynku mężczyznę, który podnosi płyty podłogowe, pomagając sobie przy tym listwą. Teraz Kuisl był oddalony od niego raptem o kilka kroków. Nagle mężczyzna odwrócił się, gdyż coś go zainteresowało. Kat rzucił się na ziemię. Simon zmrużył oczy, a gdy znów je otworzył, Jakuba Kuisla pochłonęła ciemność.

Właśnie chciał odetchnąć, gdy usłyszał przed sobą jakiś dźwięk. Naraz wyrósł przed nim drugi mężczyzna, który jeszcze przed chwilą spacerował po budowie. Zdawało się, że jest dokładnie tak samo zaskoczony, jak Simon. Mężczyzna najwyraźniej przeczesywał teren po drugiej stronie stosu w poszukiwaniu kryjówki. Teraz skręcił za rogiem i dosłownie potknął się o Simona.

— Co u diabła...?

Więcej nie zdołał powiedzieć, gdyż medyk chwycił leżący obok kij i podciął nim mężczyźnie nogi. Ten przewrócił się na bok. Zanim zdążył się podnieść, Simon już rzucił się na niego i zaczął obijać go pięściami. Jego przeciwnik miał twarz brodą i pokrytą bliznami. Ciosy zdawały się odbijać się od niego jak od skały. Nagle mężczyzna chwycił medyka, przytrzymał go przez chwilę w górze, a potem rzucił nim przed siebie. Jednocześnie prawą ręką zamachnął się do ciosu.

Uderzenie w bok głowy sprawiło, że Simonowi zrobiło się ciemno przed oczami. Gdy nieco ochłonał, mężczyzna siedział mu okrakiem na klatce piersiowej i powoli zaciskał obie ręce na jego gardle. Tłustą twarz napastnika wykrzywiał szeroki uśmiech. Simon dostrzegł zepsute pieńki zębów i jednodniowy zarost w kolorze rudo— brązowo— czarnym, jak skoszone w październiku pole.

Krew cieknąca z nosa mężczyzny kapiała prosto na Simona, który nagle zaczął dostrzegać każdy szczegół z niespotykaną wcześniej wyrazistością. Bezskutecznie łapał powietrze, czując, że zbliża się jego koniec. W głowie chaotycznie krążyły mu strzępki myśli i wspomnienia.

„Muszę... wyciągnąć z paska... nóż”.

Gdy dłonią błędził w poszukiwaniu sztyletu, znów zaczęła spowijać go ciemność. W końcu wymacał uchwyt. Na krótko przed ostatecznym omdleniem wyciągnął nóż i pchnął nim przeciwnika. Poczul, jak ostrze wsunęło się w coś miękkiego.

Krzyk przywrócił mu przytomność. Odwrócił się na bok i zaczerpnął powietrza. Obok niego leżał brodacze i rozcierał sobie udo. Jego spodnie były zbroczone krwią. Simon ugodził go w nogę, ale najwyraźniej nie zadał mu poważnej rany. Mężczyzna spoglądał na niego, szczerząc zęby. Z trudem wstał, gotowy do ponownego ataku. Kątem oka dostrzegł leżący na ziemi kamień i schylił się. Na chwilę odwrócił głowę i dokładnie w tym momencie Simon rzucił się na niego z nożem. Zdziwiony mężczyzna krzyknął. Oczekiwał, że mizerny młokos będzie próbował uciekać, tymczasem nagły atak całkowicie go zaskoczył. Teraz to Simon siedział okrakiem na szerokiej klatce piersiowej swojego przeciwnika z prawą ręką uzbrojoną w nóż i podniesioną do uderzenia. Oczy mężczyzny napełniły się przerażeniem, zaczął ponownie krzyczeć. Simon wiedział, że musi zaatakować natychmiast, jeśli nie chce ryzykować, że usłyszą go pozostali mężczyźni. Czuł w dłoni twarde drewno rękojeści i pot na swoich palcach. Czuł, jak mężczyzna pod nim wije się, patrząc w oczy pewnej śmierci.

Ramię Simona stało się ciężkie jak ołów. Nie był w stanie uderzyć... Jeszcze nigdy nikogo nie zabił i ten próg okazał się dla niego nie do pokonania.

— Zasadzka! — krzyknął za nim mężczyzna. — Jestem tu z tyłu, za drewnem...

W tym momencie dębowy kij przeleciał ze świstem blisko Simona i trafił mężczyznę prosto w czoło. Na skutek drugiego uderzenia pękła czaszka, a krew i biała masa wypłynęły na zewnątrz. Twarz brodacza zmieniła się w czerwoną breję. Silna ręka ściągnęła Simona ze zwłok.

— Do cholery! Dlaczego go nie zabiłeś, zanim zaczął krzyczeć? Teraz wiedzą, gdzie jesteśmy.

Kat odrzucił na bok zakrwawiony drąg i pociągnął Simona za stertę drewna. Medyk nie był w stanie odpowiedzieć. Obraz twarzy umarłego odciskał się właśnie na jego umyśle niczym pieczęć.

Już wkrótce wokół rozległy się głosy, z każdą chwilą bliższe.

— André, to ty? Co się stało?

— Musimy stąd uciekać — szepnął kat. — Wciąż jest ich czterech. Przyuszczalnie to doświadczeni żołnierze, którzy znajdują się na walce.

Złapał na wpół przytomnego Simona i pociągnął go za sobą aż na skraju lasu, gdzie wskoczyli w krzaki i obserwowali dalszy ciąg wydarzeń.

Już po krótkim czasie mężczyźni znaleźli zwłoki. Wołanie stało się donośniejsze, ktoś krzyczał. Później mężczyźni rozproszyli się. Dzięki światłu pochodni Simon dostrzegł, że trzymali się po dwóch. Chodzili wzdłuż krawędzi lasu i oświetlali sobie drogę w ciemności. Raz przebiegli w odległości raptem kilku kroków od ich krzaków. Jednak było zbyt ciemno, żeby mogli cokolwiek zobaczyć. W końcu znów zgromadzili się przy zwłokach. Gdy Simon już chciał odechnąć, dostrzegł, że jeden ze świetlnych punktów ponownie zbliża się do ich kryjówki. Był to samotny żołnierz. Po jego chodzie medyk rozpoznał, że mężczyzna kulął.

Zatrzymał się na skraju lasu, niedaleko od ich krzaków i wystawił nos do wiatru. Wyglądało to tak, jakby węszył. Jego głos wyraźnie docierał do ich uszu.

— Wiem, że to byłeś ty, kacie — syknął kulejący. — I wiem też, że gdzieś tu jesteś. Wierz mi, zemszczę się. Obetnę ci nos, uszy i wargi. Męki, jakie zada-

wałeś innym podczas tortur, będą niczym w porównaniu z cierpieniami, których sam doświadczysz. Jeszcze będziesz się modlił, żebym rozbił ci czaszkę, tak jak to zrobiłeś André.

Później mężczyzna nagle odwrócił się i zniknął w ciemnościach.

Dopiero po chwili Simon odważył się głośniej odetchnąć.

— Kto... kto to był? — zapytał.

Kat wstał i strzepnął z płaszcza liście.

— To był diabeł. Wymknął się nam, bo nasrałeś w gacie!

Simon mimowolnie odwrócił się od niego. Czuł bowiem, że boi się nie tylko diabła, lecz także stojącego obok niego mężczyzny.

— Ja... nie potrafię zabijać — szepnął. — Jestem medykiem. Uczyłem się ludzi leczyć, a nie zabijać.

Kat uśmiechnął się smutno.

— Widzisz, a my, my powinniśmy to umieć. A gdy już to robimy, wówczas ogarnia was zgroza. Durna hołota, wszyscy jesteście tacy sami.

Po tych słowach zaczął brnąć w las. W jednej chwili Simon został sam.

Magdalena energicznie pukała do jednoosobowej stróżówki na dole, przy bramie prowadzącej do Lecha. Otwór był akurat na tyle szeroki i wysoki, że mógł się w nim zmieścić człowiek.

Dzięki temu strażnicy nie musieli otwierać spóźnialskim całej bramy i narażać się w ten sposób na napad.

— Jest środek nocy! Wróc jutro, brama otwiera się po dzwonach wybijających szóstą — mruknął głos po drugiej stronie.

— Alois, toja! Magdalena Kuisl. Otwórz, to ważne!

—Co tym razem? Najpierw wpuszczam was do środka, potem wypuszczam, a teraz znowu chcecie wejść. Nic z tego, Magdaleno. Przed wczesnym rankiem nikt nie wejdzie już do miasta.

—Alois, na budowie w dole przy drodze do Hohenfurch znowu doszło do sabotażu. Są tam obcy! Mój ojciec z Simonem zwodzą ich, ale dłużej już nie dadzą rady! Potrzebujemy woźnych sądowych!

Okienko w drzwiach ze skrzypieniem otworzyło się. Zmęczony stróż spojrział na dziewczynę. Śmierdział wódką i snem.

— Ja tu nie decyduję. Musisz z tym iść do Lechnera.

Krótki czas później Magdalena stała przed bramą książęcego zamku. Wprawdzie strażnicy ją wpuścili, ale nie pozwolili jej obudzić pisarza sądowego. Dziewczyna krzyczała i piekliła się, dopóki na pierwszym piętrze domu nie otworzyło się okno.

— Co ma znaczyć ten hałas na dole, do cholery?

Zaspany Lechner, ubrany w szlafrok, patrzył na nią z okna.

Magdalena wykorzystała szansę i w krótkich słowach opowiedziała mu o tym, co się stało. Gdy skończyła, pisarz skinął głową.

— Zaraz zejść na dół. Czekać na mnie.

Wspólnie z nocnymi stróżami i strażą przy bramie udali się w końcu przez Augsburger StraJse do drogi prowadzącej do Hohenfurch. Strażnicy uzbrojeni w halabardy i dwa karabiny wyglądali na zmęczonych i nie sprawiali wrażenia, jakby ich największym marzeniem było ściganie przed świtem kilku włóczących się żołnierzy. Johann Lechner byle jak narzucił na siebie kaftan i płaszcz. Spod rajcowskiej czapki wystawały mu potargane włosy. Nieufnie spojrział z boku na Magdalene.

— Mam nadzieję, że mówisz prawdę. W przeciwnym razie wraz z ojcem możecie się na coś przygotować. A tak w ogóle, to czego szuka kat o tej porze przy drodze do Hohenfurch? Porządni obywatele siedzą teraz w domach! Sądzę,

że ostatnimi czasy twój ojciec na zbyt wiele sobie pozwala. Powinien torturować i wieszać, a poza tym trzymać gębę na kłódkę, do pioruna!

Magdalena spuściła pokornie głowę.

—My... my zbieraliśmy zioła w lesie. Płonnik pospolity i bylicę. Wiecie, że wolno je zrywać tylko przy świetle księżyca.

—Diabelskie nasienie! A co tam robi syn Fronwiesera? Nie wierzę w ani jedno twoje słowo, córko Kuisla!

Tymczasem zaczęło świtać. Strażnicy zgasili latarnie, gdy zbliżyli się do spowitego mgłą karczowiska położonego niedaleko drogi. W głębi na stosie drewna siedział kat z medykem.

Johann Lechner poczłapał w ich kierunku.

— No i co? Gdzie są ci wasi sabotażyści? Bo ja nic nie widzę, a plac budowy wygląda dokładnie tak samo jak wczoraj!

Jakub Kuisl podniósł się.

— Uciekli, zanim zdążyli coś zniszczyć. Jednemu z nich dałem w pysk.

—No i co? Gdzie on teraz jest? — dopytywał pisarz.

—On... nie wyglądał dobrze. Pozostali zabrali go ze sobą.

—Kuisl, podaj mi jeden powód, dla którego miałbym uwierzyć w twoją historię.

—Podajcie mi jeden powód, dla którego w przeciwnym razie wołałbym was tutaj w środku nocy.

Kat podszedł teraz do pisarza.

— Było ich pięciu — powiedział z naciskiem. — Czterech z nich to żołnierze. Piąty był... kimś innym. Przypuszczam, że zleceniodawcą. I sędzę, że jest z miasta.

Pisarz uśmiechnął się.

— Nie rozpoznałeś go przez przypadek?

—Było zbyt ciemno — wtrącił się teraz Simon. — Ale inni rozmawiali o nim. Nazywali go handlarzyną. Zatem musi być bogatym obywatelem.

—A po co taki bogaty obywatel miałby zlecać kilku żołnierzom zniszczenie budowy przytułku? — przerwał mu Lechner.

— Oni jej nie zniszczyli, tylko czegoś szukali — odrzekł Simon.

—Jak to? W końcu zniszczyli tę budowę czy czegoś szukali? Najpierw mówiliście o tym, że chcieli ją zniszczyć.

—Do cholery, Lechner — warknął Kuisl. — Nie bądźcie tacy tępi! Ktoś zlecił tym mężczyznom, aby wszystko wywrócili tu do góry nogami i utrudniali prace budowlane. A wtedy ich zleceniodawca mógłby w spokoju szukać tego, co jest tutaj ukryte!

—Ale to jakaś bzdura — wtrącił Johann Lechner. — Przecież na tych zniszczeniach niczego nie zyskali. Prace budowlane mimo wszystko idą do przodu.

— Ale doszło do opóźnień — podkreślił Simon. Jakub Kuisl milczał. Pisarz już zamierzał się odwrócić, gdy kat nagle się odezwał.

— Fundamenty.

— Co?

—Zleceniodawca przypuszcza, że skarb, lub cokolwiek to jest, znajduje się pod fundamentami. Po zakończeniu prac budowlanych nie będzie miał już do nich dostępu. Staną tu solidne budynki z kamienia, wszystko będzie otynkowane i zamurowane. Zatem musi sabotować prace budowlane, a w tym czasie przekopuje każdą piędź ziemi, aż znajdzie to, czego szuka.

—To prawda! — krzyknął Simon. — Gdy byliśmy tu po raz pierwszy, część fundamentów wykopano na wysokość kolan. Poza tym ktoś starannie poodsuwał na bok kamienne płyty. Tej nocy jeden z mężczyzn podważał płyty listwą!

Johann Lechner potrząsnął głową.



—I mam wam uwierzyć w te historie o poszukiwaczach skarbów i tajemniczym przeczesywaniu terenu o północy? — wskazał ręką na karczowisko: — Cóż wielkiego miałby tu ktoś ukryć? Jak wiecie, teren należy do Kościoła. Gdyby można było tu coś znaleźć, ksiądz już dawno by to odkrył w swoich zipskach. Każda działka kościelna jest dokładnie opisywana z uwzględnieniem rzutu poziomego, położenia, historii...

— Ale nie ta — przerwał mu Jakub Kuisl. — Tę działkę Kościół dostał w prezencie dopiero niedawno od starego Schreevogla, który zdobył w ten sposób drogę do raju. Kościół nic o niej nie wie, kompletnie nic.

Kat wodził wzrokiem po polanie, na której znajdowały się fundamenty małej kaplicy i przytułku, studnia, lipa, rusztowanie belkowe na późniejszą stajnię, stos drewna...

Coś tu ukryto.

Pisarz sądowy uśmiechał się delikatnie.

— Kuisl, Kuisl, trzymaj się tego, co potrafisz, a resztę zostaw nam, panom z rady. Zrozumiałeś mnie? W przeciwnym razie dokładniej obejrzę sobie twoją izbę. Mówią, że sprzedajesz miłosne napoje i inną czarodziejską tandetę...

— Ale panie, on ma przecież rację, działka... — wtrącił się Simon. Johann Lechner odwrócił się szybko i spojrzał z gniewem na medyka.

— A ty, Fronwieser, stulisz swoją przemądrzałą gębę, dobrze? Twój romans z tą katowską dziewczką... — spojrzał w stronę Magdaleny, która szybko odwróciła głowę. — Ten zakazany proceder jest hańbą i to nie tylko dla twojego ojca. W radzie podniosły się głosy, że niektórzy chętnie zobaczyliby was dwoje przy pręgierzu. Cóż za obraz! Kat nakłada własnej córce maskę wstydu! Do tej pory odstępowałem od tego zamiaru z uwagi na twojego ojca, a także z powodu kata, którego dotychczas szanowałem.

Przy słowach „katowska dziewczka” Jakub Kuisl podskoczył, ale Magdalena powstrzymała go.

— Zostaw go, tato — szepnęła. — Jeszcze wpędzisz nas w biedę. Johann Lechner rozejrzał się po terenie i kiwnął na strażników, dając im sygnał do powrotu.

— Chcę wam powiedzieć, co myślę — rzekł, nie odwracając się. — A myślę, że rzeczywiście byli tu żołnierze. Jestem nawet w stanie uwierzyć w to, że jakiś schongauski patrycjusz zlecił im zniszczenie przytułku, bo obawiał się, że w przeciwnym razie podróżni będą omijać miasto. Ale nie uwierzę w waszą bajkę o skarbie. I nie chcę też wiedzieć, kim jest ten patrycjusz. Narobiono już wystarczająco dużo szumu. Od dziś każdej nocy będą tu ustawione straże. Prace budowlane potoczą się swoim trybem, tak jak postanowiła rada. A ty, Kuisl... — dopiero teraz odwrócił się do kata. — Ty pójdziesz teraz ze mną i zrobisz to, do czego przeznaczył cię Bóg. Będziesz dalej torturować Stechlinową, dopóki ta nie przyzna się do morderstw na dzieciach. Bo to jest właśnie najważniejsze, a nie kilku parszywych żołnierzy na zrujnowanym placu budowy.

Już zamierzał odejść, gdy jeden z woźnych sądowych pociągnął go za rękaw. Był to Benedykt Cost, który jeszcze tej nocy trzymał straż w więzieniu.

—Panie, Stechlinową... — zaczął.

Johann Lechner zatrzymał się.

—No, co z nią?

— Ona... ona jest nieprzytomna i ciężko ranna. O północy malowała na podłodze jakieś znaki. Wtedy Georg Riegg rzucił w nią kamieniem i teraz Stechlinową nie jest w stanie pisnąć ani słowa. Przyprawiliśmy do niej starego Fronwiesera, żeby postawił ją na nogi.

Twarz Johanna Lechnera przybrała lekko czerwony kolor. —A dlaczego dowiaduję się o tym dopiero teraz? — syknął.

— My... my nie chcieliśmy was budzić — wyrzucił z siebie Benedykt Cost. — Myśleliśmy, że to może poczekać do jutra. Chciałem powiedzieć wam o tym dziś wczesnym rankiem...

— Poczekać do jutra? — Johann Lechner z trudem panował nad swoim głosem. — Za dzień lub dwa przyjedzie przedstawiciel księcia elektora ze swoją świtą i ekwipażem i wtedy rozpęta się piekło. Jeśli do tej pory nie przedstawimy mu winnych, wówczas sam uda się na poszukiwania. A wtedy niech Bóg ma nas w swojej opiece! Bo nie poprzestanie na jednej czarownicy, możecie mi wierzyć!

Gwałtownie odwrócił się i pobiegł ku drodze prowadzącej do Schongau. Strażnicy podążyli za nim.

— Kuisl! — zawołał Johann Lechner już z drogi. — Pójdiesz ze mną, inni również! Wymusimy na Stechlinowej przyznanie się do winy. Jeśli będzie trzeba, nakłonię dziś do mówienia nawet nieboszczkę!

Poranna mgła powoli się rozpraszała.

Gdy ostatni opuścili teren budowy, w pobliżu rozległ się cichy płacz.

Marta Stechlin wciąż jeszcze była nieprzytomna i niezdolna do uczestniczenia w przesłuchaniu. Miała wysoką gorączkę i mamrotała we śnie, tymczasem Bonifaz Fronwieser nasłuchiwał z uchem przy jej piersi.

— Znak... dzieci... wszystko oszustwo... — wydobywały się z niej strzępki słów.

Stary medyk potrząsnął głową. Służalczym wzrokiem spoglądał w stronę Johanna Lechnera, który oparty o drzwi więzienia obserwował leczenie z rosnącą niecierpliwością.

— No i co? — zapytał Lechner.

Bonifaz Fronwieser wzruszył ramionami.

— Źle to wygląda. Kobieta ma ciężką gorączkę. Przypuszczalnie umrze, nie odzyskawszy wcześniej przytomności. Zrobię jej upust krwi...

Johann Lechner machnął ręką.

— Daj spokój z tymi bzdurami, bo umrze nam jeszcze szybciej. Znam was, konowały. Nie ma innego środka, dzięki któremu przynajmniej na krótko mogliśmy postawić ją na nogi? Jeśli chodzi o mnie, to może umierać zaraz po przyznaniu się do winy. Ale najpierw potrzebuję jej zeznania!

Bonifaz Fronwieser zastanowił się.

— Istnieją pewne środki, którymi niestety nie dysponuję. Johann Lechner niecierpliwie bębnił palcami w pręty krat.

—A kto ma owe środki?

—Cóż, przypuszczam, że kat. Ale to są diabelskie rupiecie. Silny upust krwi i akuszerka...

— Straże! — Johann Lechner już był w drodze na zewnątrz. — Przeprowadźcie mi kata. Ma postawić na nogi Stechlinową, i to migiem. To jest rozkaz!

Pospieszne kroki oddaliły się w kierunku dzielnicy garbarzy. Bonifaz Fronwieser ostrożnie podszedł do pisarza.

— Czy mogę w czymś jeszcze służyć wam pomocą?

— Lechner krótko potrząsnął głową. Był zatopiony w myślach.

— Idź, zawołam cię, jeśli będę cię znów potrzebować.

— Panie, wybacz, ale moja zapłata...

Johann Lechner z westchnieniem wcisnął medykwowi do ręki kilka monet. Później znów wszedł do wnętrza więzienia.

Akuszerka leżała, ciężko oddychając, na podłodze lochu. Obok niej, już mocno niewyraźny, widniał na ziemi znak.

— Narzeczona diabła — syknął Lechner. — Powiedz, co wiesz, a później idź do piekła.

Kopnął akuszerkę w bok, tak że z jękiem odwróciła się na plecy. Później starł znamię czarownicy i przeżegnał się.

Ktoś za jego plecami zaczął szarpać za pręty krat.

— Widziałem, jak rysowała znak! — zawołał Georg Riegg. — Zaraz walnąłem ją kamieniem w głowę, żeby nie mogła nas zaczarować. Ha, na Rieggu można polegać! Prawda, panie?

Johann Lechner szybko się obrócił.

— Ty nędzny robaku! Przez ciebie jeszcze spłonie całe miasto! Gdybyś jej nie zranił, już teraz mogłaby zaśpiewać swoją pieśń o diable i w końcu nastałby spokój! Ale nie, najpierw musi przybyć zastępca księcia elektora. I to w momencie, gdy miasto i tak nie ma już pieniędzy. Ty dumny kretyń!

— Ja... ja nie rozumiem.

Ale Johann Lechner już go nie słuchał. Wyszedł na ulicę. Jeśli kat nie wykuje Stechlinowej do południa, będzie musiał zwołać zebranie rady. Sprawa zaczynała go przerastać.

TLR



**Poniedziałek,**

**30 kwietnia Roku Pańskiego 1659,**

godzina 8 rano

Z koszem w ręku Magdalena szła stromą ulicą od strony Lecha w górę na rynek. Nie potrafiła myśleć o niczym innym prócz wydarzeń ostatniej nocy. Była rześka, choć nie zmrużyła oka.

Gdy Johann Lechner zobaczył, że akuszerka naprawdę jest nieprzytomna i ciężko ranna, siarczyście przeklinając, odprawił Kuisła i medyka. Teraz obydwaj siedzieli w domu kata, zmęczeni, głodni i bezradni. Żeby poprawić im humor, Magdalena zadeklarowała się, że kupi na targu piwo, chleb i wędzone mięso. Gdy już zdobyła bochenek żytniego chleba i spory kawałek słoniny, udała się do gospód za budynkiem Ballenhaus. Omijała „Gwiazdę”, bowiem Karl Semer, karczmarz i pierwszy burmistrz miasta, nie miał dobrego zdania o jej ojcu. Każdy wiedział, że kat sprzyjał czarownicy. Zatem przeszła na drugą stronę do „Złotego Kufla”, aby kupić tam dwa dzbany piwa.

Gdy wyszła na ulicę z pieniącym się napojem, za plecami usłyszała szepty i chichoty. Odwróciła się. Przy wejściu do gospody zebrała się gromadka dzieci, które obserwowały ją po części wystraszonymi, po części zaciekawionymi oczami. Magdalena utorowała sobie drogę przez dziecięcy tłum. Za jej plecami kilka głosów zaintonowało krótką piosenkę; był to obelżywy wierszyk z jej imieniem.

— Magdalena, dziewczka kata, za młodymi chłopami lata! Kto nie umie biegać szybko, ten w jej sidła wpadnie rychło!

Wściekła odwróciła się.

— Kto to był? Gadajcie!

Kilkoro dzieci uciekło, jednak większość stała wyczekująco i spoglądała na nią z szyderczym uśmiechem.

— Kto to był? — powtórzyła.

— Tak zaczarowałaś syna Fronwiesera, że wszędzie łązi za tobą jak piesek, z czarownicą Stechlinową też jesteś w zмовie!

Głos zabrał na oko dwunastoletni, blady chłopiec z krzywym nosem. Magdalena znała go. Był to syn piekarza Berchtholdta. Chłopak przekornie patrzył jej w twarz, jednak jego ręce drżały.

—No więc, kto mówi takie rzeczy? — zapytała spokojnie Magdalena, próbując się uśmiechnąć.

—Mój ojciec tak mówi — syknął mały Berchtholdt. — On uważa, że jesteś następną, która wyląduje na stosie!

Magdalena rozejrzała się z wyzywającą miną.

— Czy ktoś jeszcze wierzy w te bzdury? Jeśli tak, to niech zaraz spływa albo inaczej dostanie w dziób.

Nagle wpadła na pomysł. Sięgnęła do swojego koszyka i wyjęła garść kandyzowanych owoców, które kupiła na rynku dla swojego rodzeństwa. Z uśmiechem mówiła dalej.

— Dla pozostałych może znajdę coś słodkiego, jeśli będą mi mogli troszkę poopowiadać.

Dzieci podeszły do niej bliżej.

— Nie bierzcie niczego od czarownicy! — wrzasnął syn Berchtholdta. — Te owoce na pewno są zaczarowane i wywołują choroby!



Kilkoro dzieci spoglądało ze strachem, jednak ich apetyt był silniejszy. Wielkimi oczami śledziły każdy ruch dziewczyny.

— Magdalena, dziewczka kata, za młodymi chłopami lata — powtórzył mały Berchtholdt, ale nikt nie przyłączył się do śpiewu.

— Ach, zamknij wreszcie gębę! — przerwał mu teraz inny chłopiec, któremu brakowało z przodu całego rzędu zębów. — Twój ojciec każdego ranka śmierdzi wódką, gdy kupuję u niego chleb. Diabli wiedzą, co on tam wymyśla po pijaku. A teraz spływaj!

Płacząc i krzycząc, syn piekarza ustąpił pola. Kilkoro dzieci poszło za nim, inne otoczyły Magdalene, gapiąc się jak zahipnotyzowane na frykasy w jej ręce.

— Zatem — zaczęła — zamordowane chłopaki, Klara i Sophie. Kto wie, co oni robili u akuszerki? Dlaczego nie bawili się razem z wami?

— To były dranie, prawdziwe utrapienie — powiedział stojący przed nią chłopak. — Nikt tu za nimi nie tęskni i nikt nigdy nie chciał mieć z nimi nic do czynienia.

— Ale dlaczego? — zapytała Magdalena.

— Bo to przecież były bękarty, podopieczni i sieroty! — wtrąciła teraz mała blondynka takim tonem, jakby córka kata była trochę tępa. — Poza tym oni też nie chcieli mieć z nami nic wspólnego. Ciągłe tylko włóczyli się z tą Sophie. Ona kiedyś stukła mojego brata na kwaśne jabłko, czarownica!

— Ale Peter Grimmer nie był podopiecznym. Miał przecież ojca... — wtrąciła Magdalena.

— Jego to zaczarowała Sophie! — szepnął szczerbaty chłopiec. — Zmienił się, odkąd zaczął się z nią zadawać. Całowali się i pokazywali sobie gołe tyłki! Kiedyś opowiadał nam, że podopieczni zawiązali ze sobą pakt, że gdy tylko będą chcieli, to wszystkim innym dzieciom mogą wyczarować na twarzach brodawki i ospę. I raptem tydzień później na ospę zmarł mały Matthias!

—A u Stechlinowej uczyli się czarować — zawołał mały chłopczyk stojący na samym końcu.

—Ciągłe siedzieli u niej w izbie, a teraz diabeł zabrał swoje młode! — syknął drugi.

—Amen — mruknęła Magdalena, po czym tajemniczo spojrzała na dzieci.

— Ja też potrafię czarować — rzekła. — Wierzycie mi?

Jej słuchacze odsunęli się ze strachem. Magdalena przybrała konspiratorską minę i zrobiła kilka zagadkowych znaków ręką.

Później szepnęła:

— Potrafię sprawić, żeby kandyzowane owoce spadały z nieba.

Zamaszyście wyrzuciła do góry słodycze. Gdy dzieci krzycząc, walczyły o owoce, ona zniknęła już za najbliższym rogiem domu. Nie zauważyła, że w bezpiecznej odległości podążała za nią jakaś postać.

— Dzisiaj chyba wypiję kubek twojego diabelskiego napoju — kat wskazał na mały woreczek, który dyndał Simonowi u boku. Medyk skinął głową i wsypał sproszkowaną kawę do wiszącego nad ogniem garnka z wrzącą wodą. W powietrzu rozszedł się ostry, ożywczy zapach. Jakub Kuisl wciągał go nosem, kiwając z uznaniem głową.

— Jak na siki diabła, pachnie całkiem niczego sobie.

Simon uśmiechnął się.

— I sprawi, że będziemy trzeźwiej myśleć, wierzcie mi. Nalał katowi pełny cynowy kubek napoju. Później ostrożnie sączył kawę z własnego. Z każdym łykiem zmęczenie coraz bardziej ustępowało z jego głowy.

Obydwaj mężczyźni siedzieli przy dużym, zniszczonym stole w izbie kata i rozmyślali nad wydarzeniami z zeszłej nocy. Żona Kuisła, Anna Maria, zauważyła, że obydwaj chcą zostać sami, toteż poszła nad Lech wykąpać bliźniaki. W izbie zapanowała cisza.

— Dam sobie łeb uciąć, że Klara i Sophie nadal są na tej budowie — mruknął w końcu kat, bębniąc palcami w blat stołu. — Gdzieś tam musi być kryjówka, i to dobra. W przeciwnym razie już dawno ktoś by ją znalazł — albo my, albo inni.

Simon drgnął. Sparzył się swoim gorącym kubkiem.

— Możliwe, ale niestety nie możemy już tego sprawdzić — powiedział w końcu, oblizując wargi. — W ciągu dnia na miejscu pracują rzemieślnicy, a w nocy staną straże wysłane przez Lechnera. Jeśli wywęszą, że tam są dzieciaki, to wydadzą je pisarzowi...

— A Sophie wyląduje razem z Martą na stosie — uzupełnił kat. — Do diabła, jakby ktoś rzucił jakiś urok!

— Zwykle nie mówicie takich rzeczy — Simon szeroko się uśmiechnął, jednak później znów spoważniał. — Podsumujmy to jeszcze raz — powiedział. — Dzieci prawdopodobnie schowały się gdzieś na budowie, na której coś zakopano. Coś, co chciałby mieć jakiś bogaty mężczyzna. W tym celu opłacił kilku żołnierzy. Resl od karczmarza Semera opowiadała, że w zeszłym tygodniu ci żołnierze spotkali się z kimś na pierwszym piętrze w gospodzie.

— Przypuszczalnie ze zleceniodawcą.

Kat zapalił fajkę od trzaski. Tytoniowy dym rozpostarł się niczym namiot nad dwoma mężczyznami i zmieszał się z zapachem kawy. Simon musiał krótko zakasłać, zanim zaczął mówić dalej.

— Żołnierze sabotują budowę przytułku, żeby móc dłużej przeszukiwać teren. Jest to dla mnie zrozumiałe. Ale dlaczego, na Boga, jeden z nich zabija sieroty? Przecież to nie ma sensu!

Kat w zamyśleniu zaciągnął się fajką. Jego wzrok był utkwiony w bliżej nieokreślonym punkcie w dali. W końcu odezwał się.

— Musiały coś widzieć. Coś, co w żadnym wypadku nie może wyjść na światło dzienne...

Simon uderzył się dłonią w czoło, wylewając przy tym resztę kawy, która rozpląnęła się po stole jak brązowa kałuża. Jednak było mu to teraz obojętne.

— Zleceniodawca! — krzyknął. — Widziały zleceniodawcę sabotaży!

Jakub Kuisl skinął głową.

— To by również wyjaśniało, dlaczego spłonął magazyn. Do większości naczynych świadków diabeł miał łatwy dostęp. Petera złapał na dworze nad rzeką. Nielubiani podopieczni, Anton i Johannes, byli łatwym łupem. Tylko Klara Schreevogl jako dziecko patrycjusza miała dobrą ochronę. Diabeł musiał się jakoś dowiedzieć, że leżała chora w łóżku...

— A wtedy jego kompani podpalili magazyn, żeby zwabić rodzinę i służbę, podczas gdy on zamierzał porwać dziecko — jęknął Simon. — Schreevogl miał dużo do stracenia. On również przechowywał towary na dole w magazynie. Było jasne, że pobiegnie nad rzekę.

Kat ponownie zapalił fajkę.

— Klara leżała chora w łóżku, ale uciekła mu. I Sophie również... Simon zerwał się z miejsca.

— Natychmiast musimy poszukać dzieci, zanim znajdzie je diabeł. Budowa...

Jakub Kuisl pociągnął go z powrotem na krzesło.

— Spokojnie, spokojnie. Nie należy podejmować pochopnych decyzji. Chodzi nie tylko o uratowanie dzieci, ale także i Marty. A faktem jest, że martwe dzieci miały na ciele znaki czarownic. I że wcześniej wszystkie razem były u akuszerki. Może już jutro przybędzie przedstawiciel księcia elektora, a do tego czasu Lechner chce usłyszeć przyznanie się do winy. Nawet jestem w stanie go

zrozumieć, bo jeśli administrator wściubi tu swój nos. to nie poprzestanie na spalaniu jednej czarownicy. Tak już było podczas ostatniego wielkiego procesu czarownic. Na koniec spalili ponad sześćdziesiąt kobiet z okolicy.

Kat spojrział Simonowi głęboko w oczy.

— Najpierw musimy ustalić, co oznacza ten znak. I to bardzo szybko.

Simon jęknął.

— Przeklęte znaki. Zagadka za zagadką.

Ktoś zapukał do drzwi.

— Kto tam? —burknął kat.

—To ja, Benedykt Cost — zza drzwi dobiegł zalekniony głos. — Lechner przysłał mnie, żebym cię sprowadził. Masz. zająć się czarownicą, bo nie jest w stanie pisać nawet słowa, a jeszcze dziś powinna przyznać się do winy. Musisz ją wykurować. Lechner powiedział, że jesteś w posiadaniu środków i książek, których nie ma stary medyk.

Jakub Kuisl zaśmiał się.

— Najpierw mam jej zrobić krzywdę, a potem znowu wykurować, a na sam koniec spalić. Chyba zwariowaliście.

Benedykt Cost chrząknął.

—Lechner mówi, że to jest rozkaz.

Jakub Kuisl westchnął.

—Czekaj, zaraz pójdę.

Poszedł do izby. zgarnął kilka butelek i tygli, zapakował wszystko do worka i udał się w drogę.

— Chodź ze mną — powiedział do Simona. — Może nauczysz się czegoś przyzwoitego, a nie tylko uniwersyteckich bzdur od tych bufonów, co to człowieka dzielą na cztery soki i uważają, że na tym sprawa się kończy.

Zatrzasnął za sobą drzwi i poczłapał jako pierwszy. Woźny sądowy i Simon podążyli za nim.

W drodze na rynek Magdalena minęła powoli budynek Ballenhaus. Dookoła kobiety głośno zachwalały pierwsze wiosenne warzywa, cebulę, kapustę i małe, delikatne buraczki. Rozchodził się zapach pieczonego chleba i świeżo złowionych ryb. Jednak dziewczyna nic nie słyszała ani nie czuła, bowiem jej myśli wciąż krążyły wokół rozmowy z dziećmi. Idąc za nagłym natchnieniem, odwróciła się i udała na zachód, w stronę Bramy Krowiej. Już wkrótce zostawiła za plecami krzyki i hałasy. Mijało ją niewielu ludzi. Po niedługim czasie była u celu.

Dom akuszerki wyglądał okropnie. Okna były wybite i krzywo wisiały na zawiasach. Ktoś uszkodził drzwi. Przed wejściem leżały gliniane skorupy i połamane drewno. Mała izba najwyraźniej stanowiła wielokrotny cel grabieżców. Magdalena była przekonana, że w środku nie zostało nic wartościowego, nie mówiąc już o wskazówce dotyczącej wydarzeń sprzed raptem tygodnia.

Pomieszczenie było dosłownie wywrócone do góry nogami. Zniknęły czajnik, pogrzebacz, skrzynia, a także piękne cynowe kubki i talerze, które Magdalena widziała podczas wcześniejszych wizyt. Ktoś otworzył stojącą pod ławką klatkę na kury i zabrał z niej drób. Opróżniono nawet kącik do modlitwy — nie było krzyża ani figurki Maryi. Z majątku Marty Stechlin pozostały jedynie połamany stół i niezliczone, porzrzucone po podłodze gliniane skorupy. Na kilku z nich widniały alchemiczne znaki. Magdalena przypomniała sobie, że niegdyś widziała je na glinianych tyglach, które akuszerka wstawiła do wnęki obok pieca.

Córka kata stanęła pośrodku pomieszczenia i mimo pustki próbowała sobie wyobrazić, jak dzieci bawiły się tutaj z akuszerką jeszcze w zeszłym tygodniu. Może Stechlinowa opowiadała im mrozące krew w żyłach bajki; może mówiła

im o swojej tajemnej wiedzy, pokazując zioła i proszki. Zwłaszcza Sophie zdawała się interesować takimi rzeczami.

Magdalena wyszła korytarzem do ogrodu. Chociaż aresztowanie akuszerki miało miejsce ledwie kilka dni temu, dziewczyna miała wrażenie, że ogród już zdążył zdziczeć. Grabieżcy wyrwali z grządek pierwsze, delikatne wiosenne warzywa i rzucili się na tak okazały niegdyś ogród z ziołami. Magdalena potrząsnęła głową. Tyle nienawiści i chciwości, tyle bezsensownej przemocy!

Nagle wstrzymała oddech i szybko wróciła do izby, by coś sprawdzić. Natchmiast rzuciło się jej to w oczy.

Niemal się zaśmiała, że wcześniej nie zwróciła na to coś uwagi. Pochyliła się, wzięła znalezisko do ręki i wybiegła na ulicę. Tam zaczęła chichotać na całego, tak iż niektórzy mieszkańcy rzucali jej przerażone spojrzenia.

O tym, że córka kata i akuszerka były ze sobą w zмовie, wiedzieli już od dawna. Teraz mieli na to ostateczny dowód!

Tymczasem Magdalena nie dała się zastraszyć spojrzeniom. Wciąż śmiejąc się spontanicznie, powzięła decyzję, by nie wracać do domu przez bramę prowadzącą nad Lech, lecz przez Bramę Krowią. Znała małą, samotną dróżkę, która biegła poniżej murów miasta i kończyła się ścieżką nad rzeką. Gdy przechodziła przez bramę, ciepłe promienie kwietniowego słońca świeciły jej w twarz. Pozdrowiła strażnika i powędrowała drogą między bukami.

Wszystko było takie proste. Czemu nie wpadli na to wcześniej? Cały czas mieli to przed oczami, a nie widzieli! Magdalena wyobrażała sobie, jak przekaże wiadomość ojcu. Mocno ścisnęła rzecz w pięści. Już dziś akuszerka mogłaby wyjść na wolność. No, może nie na wolność, ale z pewnością wstrzymano by tortury i rozpoczęto proces od nowa. Magdalena była pewna, że teraz wszystko zmieni się na lepsze.

Nagle gałąź trafiła ją dokładnie w potylicę. Dziewczyna wpadła twarzą prosto w szlam.



Przez chwilę próbowała się podnieść, gdy raptem poczuła na karku pięść, która znowu wcisnęła ją w błoto. Jej twarz leżała w kałuży. Próbując oddychać, czuła w ustach smak błota i brudnej wody. Trzepotała się jak ryba na suchym brzegu, jednak napastnik wciąż wciskał jej głowę w szlam. Już robiło się jej ciemno przed oczami, gdy nagle ręka pociągnęła ją do góry. Blisko prawego ucha usłyszała głos.

— Zobaczmy, co jeszcze z tobą zrobię, katowska dziewczko. Kiedyś w Magdeburgu obciąłem dziewczynie piersi i dałem jej do żarcia. Podoba ci się ten pomysł, hm? Ale najpierw muszę dorwać twojego ojca, a ty mi w tym pomożesz, kochanie.

Drugi cios spowodował, że jej czaszka eksplodowała. Dziewczyna już nie czuła, jak diabeł wyciąga ją z kałuży i wlecze po skarpie w stronę rzeki.

Rzecz, którą trzymała w ręku, osiadła na dnie i powoli pokryła się błotem.

Jakub Kuisl walczył o życie nieprzytomnej akuszerki, którą wcześniej torturował. Oczyszczył jej ranę na głowie i założył opatrunek z kory dębowej. Opuchnięte palce nasmarował gęstą, żółtą pastą. Kat wciąż wlewał w gardło kobiety polewkę z małej buteleczki, jednak Marta Stechlin miała problem z połykaniem. Czerwonobrazowy sok wylewał się jej z ust i skapywał na podłogę.

— Co to jest? — zapytał Simon, wskazując na buteleczkę.

— Wywar z dziurawca, pokrzyku wilczej jagody i kilku innych ziół, których nie znasz. Uspokoi jej ducha, ale nic więcej nie zdziała. Cholera, powinni byli zaraz oczyścić ranę na głowie! Już doszło do podrażnienia. Twój ojciec to przekłety konował!

Simon przełknął ślinę, ale nie mógł zaprzeczyć.

— Skąd macie tę całą wiedzę? Wydaje mi się, że nie studiowaliście...

Kat głośno się zaśmiał, badając liczne krwiaki na nogach akuszerki.

— Nie studiowaliście, ha! Oj, wy wątpliwi doktorzy, sądzicie, że na tych waszych zimnych uniwersytetach zbliżacie się do prawdy. Ale tam nic nie ma! Tylko mądre książki napisane przez mądrych ludzi, którzy odpisali je od innych mądrych ludzi. Tymczasem prawdziwe życie, prawdziwi chorzy są tu, w świecie. To czytaj, a nie książki, bo życie da ci więcej niż cała biblioteka uniwersytetu w Ingolstadt!

— Ale wy też macie w domu książki — wtrącił Simon.

— Tak, ale jakie to są książki? Książki, których zakazaliście lub które ignorujecie, bo nie pasują do waszego staroświeckiego nauczania! Scultetus, Parć lub stary Dioskurides! To są prawdziwi uczeni! Ale nie, wy robicie upust krwi, oglądacie siki i dalej wierzycie w swoje śmierdzące soki. Krew, śluz i żółć to wszystko, z czego według was składa się ludzkie ciało. Gdybym tylko mógł kiedyś złożyć egzamin z medycyny na jednym z waszych uniwersytetów...

Przerwał i potrząsnął głową.

— Ale po co ja się denerwuję. Mam wyleczyć akuszerkę, a potem ją zabić, i nic więcej.

Wreszcie Jakub Kuisl skończył badać torturowaną kobietę.

Na koniec jeszcze porwał na paski kilka kawałków płótna, zanurzył je w żółtej paście i owinał nimi nogi akuszerki, które wyglądały jak jeden wielki krwiak. Ciągle potrząsał przy tym głową.

— Mam nadzieję, że nie wymęczyłem jej zbyt mocno. Najgorsza jest rana na głowie. W najbliższych godzinach okaże się, czy gorączka ustanie, czy też dalej będzie rosnąć. Jeśli wzrośnie, to obawiam się, że najbliższa noc może być dla Marty ostatnią, którą spędzi na tym świecie.

Wstał.

— W każdym razie musimy powiedzieć Lechnerowi, że dzisiaj nie usłyszy żadnych zeznań. To da nam czas.

Jakub Kuisl jeszcze raz pochylił się nad akuszerką i ułożył jej głowę na wiązce świeżej słomy. Później skierował się do wyjścia. Gdy Simon, jeszcze niezdeterminowany, trwał przy chorej, kat niecierpliwie machnął na niego ręką.

— Nic więcej na razie nie możemy zrobić. Możesz odmówić modlitwę w kościele. Albo i różaniec. Jeśli chodzi o mnie, to popalając dobrą fajkę, porozmyślam teraz u siebie w ogrodzie. To bardziej pomoże Stechlinowej.

Nie odwracając się więcej, opuścił więzienie.

Gdy Simon wrócił do domu, jego ojciec siedział w izbie przed kubkiem wina i zdawał się bardzo zadowolony. Na widok wchodzącego syna nawet wysilił się na uśmiech. Simon zauważył, że był trochę podchmielony.

— Dobrze, że już jesteś. Będę potrzebował pomocy. Mała Maria od Denglera ma trąd, a Bichler Sepp...

— Nie umiałeś jej pomóc — przerwał mu nagle Simon.

— Bonifaz Fronwieser spojrział na niego, nic nie rozumiejąc.

— Co ty mówisz?

— Nie umiałeś jej pomóc. Spartaczyłeś robotę, a gdy nie wiedziałeś już, co dalej robić, kazałeś posłać po kata.

Oczy starego medyka zwięzły się na kształt małych szczelin.

— Nie kazałem po niego posyłać, na Boga — syknął. — Tak chciał Lechner. Gdyby to zależało ode mnie, tego konował już dawno by mocniej wzięto w karby. To nie do przyjęcia, żeby tacy podejrzani szarlatani jak on mieszały z błotem nasze rzemiosło. Człowiek bez studiów, śmiechu warte!

—Konował? Szarlatan? — Simon z trudem opanowywał się, by nie podnieść głosu. — Ten człowiek ma więcej rozumu i wiedzy niż cała wasza ingolstadtska hołota razem wzięta! Jeśli Stechlinowa przeżyje, to będzie to wyłącznie jego zasługa, a nie tego, że przypuszczalnie zrobiłeś jej upust krwi lub powąchałeś jej mocz!

Bonifaz Fronwieser wzruszył ramionami i zaczął sączyć wino.

— Lechner i tak nie pozwolił mi zrobić tego, co chciałem. Zdaje się na tego szarlatana, kto by pomyślał...

Na jego twarzy pojawił się uśmiech, który miał podzielać pojednawczo.

— Mimo wszystko dał pieniądze. I, wierz mi, że jeśli teraz akuszerka pożegna się z tym światem, tak czy siak będzie to dla niej najlepsze wyjście. I tak musi umrzeć. A w ten sposób przynajmniej zaoszczędzi sobie dalszych tortur i ognia.

Simon podniósł rękę jak do uderzenia. Tylko z trudem się powstrzymał. — Ty cholerny...

Zanim dokończył, rozległo się energiczne pukanie do drzwi. Na zewnątrz stała Anna Maria Kuisl. Kobieta dyszała i była blada, jakby biegła przez całą drogę od dzielnicy położonej przy bramie Lecha aż na górę.

— Ja... Jakub — wyjąkała. — On cię potrzebuje. Masz natychmiast przyjść. Właśnie wróciłam z dziećmi znad rzeki, a on siedział na ławce jak skamieniały. Jeszcze nigdy nie widziałam go w takim stanie. Och Boże, mam nadzieję, że nic złego...

—Co się stało? — zawołał Simon, chwytając kapelusz i płaszcz.

—Nie chce mi powiedzieć. Ale coś z Magdaleną.

Simon wybiegł na ulicę. Nie widział już, jak ojciec potrząsnął głową i starannie zamknął drzwi. Bonifaz Fronwieser usiadł i dalej dopijał swoją kwartę wina. Wprawdzie trunek kupiony za trzy grajcarey nie należał do najlepszych, ale przynajmniej pomagał zapomnieć.

Zatopiony w myślach Jakub Kuisl szedł przez dzielnicę garbarzy nad rzekę. Od domu dzieliło go jeszcze kilkaset metrów drogi wzdłuż głównej uliczki. Krótco przedtem przekazał Lechnerowi wiadomość, że akuszerka nie nadaje się do przesłuchania. Pisarz sądowy spojrzął na niego bez wyrazu, po czym skinął głową. Nie robił Kuislowi wyrzutów; wydawało się niemal, że brał taką możliwość pod uwagę.

Na koniec rzucił katowi przenikliwe spojrzenie.

—Wiesz, co się teraz stanie, prawda, Kuisl?

— Nie rozumiem, wasza łaskawość?

— Gdy przybędzie przedstawiciel księcia elektora, będziesz miał jeszcze dużo roboty. Trwaj w gotowości.

— Wasza łaskawość, sędzę, że jesteśmy bardzo blisko rozwiązania...

Jednak pisarz już się odwrócił. Zdawał się nie interesować swoim rozmówcą.

Gdy Jakub Kuisl skręcił teraz za kilkoma ostatnimi krzakami jeżyn, zobaczył swój ogród, który rozciągał się od uliczki aż do sadzawki. Wierzba rosnąca w dole nad brzegiem była oblepiona kotkami. Na wilgotnych łąkach połyskiwały ranniki zimowe i stokrotki. Grządka ziół była świeżo przekopana i parowała w słońcu. Po raz pierwszy tego dnia na ustach kata pojawił się uśmiech.

Nagle jego rysy twarzy stężały.

Na ławce przed domem siedział mężczyzna, wystawiając twarz do słońca. Miał zamknięte oczy. Gdy usłyszał Jakuba Kuisla przy bramie do ogrodu, mruknął, jakby zbudził się z pięknego snu. Miał na sobie kapelusz z kogucimi pió-

rami i krwistoczerwony kaftan. Ręka, którą osłaniał się przed słońcem, błysnęła jaskrawą bielą.

Diabeł spojrział na Jakuba Kuisla i uśmiechnął się.

— Ach, kat! Jaki masz tutaj cudowny ogród! Zapewne dba o niego twoja żona albo mała Magdalena, nieprawdaż?

Jakub Kuisl stanął przy bramie do ogrodu. Mimochodem wziął kamień z muru, ukradkiem wążąc go w rękę. Celny rzut...

— Ach tak, mała Magdalena —kontynuował diabeł. — Diabelskie nasienie, ale piękna jak obrazek. Podobnie jak jej matka. Stwardnieją jej sutki, jeśli szepnę jej do ucha sprośne słowa? Będę to musiał wypróbować.

Jakub Kuisl ścisnął kamień w dłoni tak mocno, że jego krawędzie wbiły mu się w ciało.

— Czego chcesz? — wymamrotał.

Diabeł podniósł się i podszedł do okiennego gzymsu, na którym stał dzbanek z wodą. Powoli podniósł go do ust i zaczął pić dużymi łykami. Krople spływały po jego przyszyżonej brodzie i spadały na ziemię. Dopiero gdy wypił dzbanek do dna, odstawił go i wytarł ręką usta.

— Czego chcesz? Pytanie raczej brzmi, czego ty chcesz. Chcesz znów zobaczyć swoją córkę i to w jednym kawałku? A może lepiej w dwóch połówkach, podzieloną jak sztuka bydła, po tym jak odetnę jej paplające wargi?

Jakub Kuisl zamachnął się, a kamień poleciał prosto w stronę czoła diabła. Ten jednak wykonał niemal niedostrzegalny obrót w bok, tak iż kamień, chybiwszy, odbił się od drzwi.

Przez chwilę diabeł sprawiał wrażenie przestraszonego. Później jednak znów się uśmiechnął.

— Szybki jesteś, kacie. To mi się podoba. I potrafisz dobrze zabijać, tak jak ja.

Nagle wykrzywił twarz w bestialskim grymasie. Jakub Kuisl pomyślał, że stojący przed nim mężczyzna jest bliski utraty rozumu. Jednak diabeł szybko odzyskał panowanie nad sobą. Jego twarz ponownie straciła wszelki wyraz.

Kuisl długo mu się przyglądał. Znał tego mężczyznę... Nie wiedział tylko, skąd. Mozolnie grzebał w pamięci. Gdzie się spotkali? Na wojnie? Na polu walki?

Jego myśli przerwał nagle brzęk glinianego dzbanka. Diabeł mimochodem rzucił go za siebie.

— Wystarczy tej pogawędki — szepnął. — Oto moja oferta. Ty pokażesz mi, gdzie jest skarb, a ja oddam ci córkę. Jeśli nie... — powoli pogładził sobie usta.

Jakub Kuisl potrząsnął głową.

— Nie wiem, gdzie jest skarb.

— W takim razie dowiedz się — syknął diabeł. — Przecież jesteś taki sprytny. Wymyśl coś. Przekopaliśmy całą działkę i niczego nie znaleźliśmy. Ale skarb musi tam być!

Jakub Kuisl poczuł w ustach suchość, próbował zachować spokój. Musiał zatrzymać diabła. Gdyby tylko udało mu się podejść bliżej...

— Nawet o tym nie myśl, kacie — szepnął diabeł. — Moi przyjaciele pilnują twojej małej córeczki. Jeśli nie wrócę w przeciągu najbliższej pół godziny, zrobią jej dokładnie to, co im zleciłem. Jest ich dwóch i sprawi im to wielką przyjemność.

Jakub Kuisl podniósł uspokajająco rękę.

— A co z woźnymi sądowymi? — zapytał, by zyskać na czasie. Miał chropowaty głos. — Plac budowy jest pilnowany dzień i noc.

— To już twój problem — diabeł szykował się do odejścia. — Przyjdę tu jutro o tej samej porze. A ty przyniesiesz skarb albo...



Niemal przeprasza­jąco wzruszył ramionami. Później powłó­kł się w stronę sadzawki.

— A co z waszym zlece­niodawcą? — zawołał jeszcze za nim kat. — Kto się za tym wszystkim kryje?

Diabeł odwrócił się po raz ostatni.

— Naprawdę chcesz wiedzieć? W waszym mieście jest przecież wystarczająco wiele kłopotów, nie uważasz? Może powiem ci, jeśli przyniesiesz mi skarb. A może ten mężczyzna będzie już martwy...

Pomaszerował przez zielone, wilgotne łąki, przeskoczył przez mur i już wkrótce znikł w gęstwinie błoni.

Jakub Kuisl usiadł na ławce i utkwiał wzrok w dali. Dopiero po kilku minutach zauważył, że z ręki kapie mu krew. Tak mocno ścisnął kamień, że jego rogi i krawędzie wpiły się mu w ciało niczym nóż.

Johann Lechner porządkował papiery na swoim stole na wyższym piętrze budynku Ballenhaus. Przygotowywał przyszłe posiedzenie rady, które, przypuszczalnie na długi czas, będzie już ostatnim. Pisarz nie robił sobie złudzeń. Jeśli w mieście pojawi się jego ekscelencja, przedstawiciel księcia elektora, graf Sandizell, skończy się władza Johanna Lechnera. Pisarz sprawował w mieście tylko funkcję zastępcy. Graf Sandizell zrobi tu porządek i nie poprzestanie na spaleniu jednej czarownicy. Już teraz na ulicach wrzało. Wielu ludzi mówiło Lechnerowi, że mogą przysiąc na Boga, iż Stechlinowa zacczarowała ich ciele­ta, gradem zniszczyła zbiory i wywołała bez­płodność u żony. Dopiero co dziś rano Agnes ze Steingaden złapała go na ulicy za rękaw i chuchając mu do ucha przesyconym winem oddechem, powiedziała, że jej sąsiadka, Maria Kohlhaas, też jest czarow-

nicą oraz że widziała ją, jak zeszłej nocy leciała na miotle w stronę nieba. Johann Lechner westchnął. Jeśli dojdzie do najgorszego, kat istotnie będzie miał dużo roboty.

Pierwsi rajcowie przybyli do ogrzanej izby i w swoich drogich togach i futrzanych czapkach usiedli na przeznaczonych dla nich krzesłach. Burmistrz Karl Semer pytająco spoglądał z boku na Lechnera. Choć był pierwszym burmistrzem, w sprawach urzędowych całkowicie ufał pisarzowi. Jednak tym razem zdawało się, że Lechner zawiódł. Semer pociągnął go za rękaw.

— Czy jest coś nowego w sprawie Stechlinowej? — szepnął. — Przyznała się w końcu do winy?

— Zaraz — Johann Lechner zachowywał się tak, jakby musiał jeszcze podpisać jakiś dokument.

Pisarz nienawidził tych tłustych handlarzynie, tych kukieł, które wiele osiągnęły tylko dzięki swemu urodzeniu. Ojciec Lechnera również był pisarzem, podobnie jak jego cioteczny dziadek, jednak żaden pisarz sądowy przed nim nie miał nigdy tak dużej władzy. Stanowisko sędziego ziemskiego było od dłuższego czasu nieobsadzone, a przedstawiciel księcia elektora rzadko przybywał do miasta. Johann Lechner był na tyle mądry, by pozwolić patrycjuszom żyć w przekonaniu, że to oni panują nad Schongau. Jednak w rzeczywistości rządził on, pisarz. Teraz jego władza zdawała się chwiać i rajcowie to wyczuli.

Johann Lechner dalej porządkował swoje papiery. Później podniósł wzrok. Patrycjusze spoglądali na niego wyczekująco. Po jego lewej i prawej stronie siedziało czterech burmistrzów i zarządca ze szpitala. Kolejne miejsca zajmowali pozostali członkowie rady wewnętrznej i zewnętrznej.

— Chciałbym zaraz przejść do rzeczy — zaczął Lechner. — Zwołałem to posiedzenie rady, bowiem miasto znalazło się w trudnym położeniu. Do tej pory, niestety, nie udało się nam skłonić Marty Stechlin do mówienia. Dziś rano cza-

rownica znów straciła przytomność. Georg Riegg ugodził ją kamieniem w głowę i...

— Jak to możliwe? — przerwał mu stary Augustin. Jego niewidzące oczy błysnęły w kierunku Lechnera. — Riegg sam był przecież zamknięty w związku ze spalonym magazynem. Jak mógł rzucić kamieniem w Stechlinową?

Johann Lechner westchnął.

— Po prostu tak się stało i na tym poprzestańmy. W każdy m razie czarownica nie może dojść do siebie. Możliwe, że zabierze ją diabeł, zanim wcześniej przyzna się nam do swoich czynów.

— A gdybyśmy po prostu powiedzieli ludziom, że się przyznała? — mruknął burmistrz Semer, jedwabną chusteczką ścierając sobie pot z łysiny. — Umrze, a myją spalimy. Dla dobra miasta.

— Panowie! — syknął Johann Lechner. — To jest kłamstwo przed Bogiem i przed jego ekscelencją księciem elektorem we własnej osobie! W czasie każdego przepytywania mamy świadków! Czy wszyscy oni mają dopuścić się krzywo-przysięstwa?

— Nie, nie, myślałem tylko, że... jak już powiedziałem, dla dobra Schon-gau... — głos pierwszego burmistrza stał się cichszy i wreszcie zamilkł.

— Kiedy mamy spodziewać się przybycia przedstawiciela księcia elektora? — dopytywał stary Augustin.

— Wysłałem posłańców — odrzekł Lechner. — Wygląda na to, że jego eks-celencja graf Sandizell zaszczyci nas swoją obecnością już jutro przed połu-dniem.

Po sali rozszedł się jęk. Patrycjusze wiedzieli bowiem, co ich czeka. Przed-stawiciel księcia elektora wraz ze swoją świtą, który zagnieździ się w mieście na kilka dni, a może nawet tygodni, będzie kosztować miasto majątek! Nie wspomi-nając już o niekończących się przesłuchaniach podejrzanych obywateli i obywa-telek na okoliczność uprawiania czarów. Dopóki prawdziwy winny lub winni nie

zostaną schwytani, w gruncie rzeczy każdy może zostać oskarżony o pozostawanie w związku z diabłem. Również rajcy i ich małżonki... Podczas ostatniego wielkiego procesu czarownic dotknęło to przecież także kilku poważanych mieszczek. Diabeł nie rozróżniał między służącą a gospodynią, między akuszerką a córką burmistrza.

— Co się dzieje z augsburskim woźnicą, którego aresztowaliśmy z powodu podpalenia magazynu? — zapytał teraz drugi burmistrz Johann Piichner, nerwowo bębniąc palcami w stół. — Ma coś z tym wspólnego?

Johann Lechner potrząsnął głową.

— Przesłuchałem go osobiście. Jest niewinny. Dlatego dziś rano powiedziałem mu kilka ostrych słów i wypuściłem na wolność. Przynajmniej augsburczycy nie będą się nam teraz naprzykrzać. Dostali za swoje. Ale augsburski woźnica widział, że przy magazynie kręcili się jacyś żołnierze...

— Żołnierze? Jacy żołnierze? — zapytał stary Augustin. — Ta historia staje się coraz bardziej zagmatwana. Lechner, proszę o wyjaśnienie!

Johann Lechner zastanawiał się przez chwilę, czy powinien opowiedzieć rajcom o swojej rozmowie z katem na placu budowy. Jednak postanowił tego nie robić. Sprawa była i tak wystarczająco skomplikowana. Wzruszył ramionami.

—Cóż, wygląda na to, że nasz magazyn podpaliło kilku włóczących się i plądrujących łajdaków. Tych samych, którzy zniszczyli również plac budowy przytułku.

—A teraz wałęsają się po okolicy, zabijają małe dzieci i malują im na plecach znaki czarownic — wtrącił stary Augustin, niecierpliwie uderzając laską w drogą podłogę z wiśniowego drewna. — To właśnie chcieliście nam powiedzieć? Lechner, weźcie się w garść! Mamy czarownicę, która musi tylko przyznać się do winy!

—Źle mnie zrozumieliście — uspokoił pisarz niewidomego patrycjusza. — Ci żołnierze przypuszczalnie podłożyli ogień. Ale za śmierć naszych dzieci od-

powiedzialność ponosi oczywiście diabeł i jego pomocnica. Dowody są oczywiste. Znaleźliśmy u Stechlinowej czarodziejskie zioła, dzieci często ją odwiedzały, są obywatele, którzy mogą poświadczyć, że wtajemniczała dzieci w sztukę uprawiania czarów... Jej przyznanie się do winy to wszystko, czego potrzebujemy. Wiecie równie dobrze jak ja, że zgodnie z *Constitutio Criminalis Carolina* skazać można tylko tego, kto przyzna się do winy.

—Nie musicie mnie oświecać w sprawie drobiazgowej procedury sądowej cesarza Karola, bo znam ją aż nazbyt dobrze — mruknął Matthias Augustin. Jego niewidome oczy zwróciły się w dal, a skrzydełka nosa rozdeły, jakby poczuł dochodzący z daleka smród. — Znów czuję spalone ciała kobiet, tak jak siedemdziesiąt lat temu. Zresztą również małżonka sędziego ziemskiego wyzionęła wtedy ducha na stosie...

Głowa ślepcy, jak łeppek jastrzębia, gwałtownie zwróciła się w stronę pisarza sądowego. Ten znów pochylił się nad swoimi aktami, mówiąc cicho:

— Jak wiecie, moja żona zmarła trzy lata temu i tym samym jest poza wszelkim podejrzeniem. Jeśli robicie do tego aluzję...

— A gdybyśmy zrobili czarownicy próbę wody? — wtrącił nagle zarządca Wilhelm Hardenberg. — Tak postępowano przed kilkoma laty w Augsburgu. Czarownicy przywiązuje się kciuki do palców u nóg i wrzuca ją do wody. Jeśli mimo to wypłynie na powierzchnię, to znaczy, że pomógł jej diabeł i w ten sposób udowadnia się jej uprawianie czarów. A jeśli utonie, wówczas jest niewinna, choć i tak się jej pozbywamy...

—Hardenberg, do cholery! — ryknął stary Augustin. — Jesteście głusi czy co? Stechlinowa jest nieprzytomna! Pójdzie na dno jak kamień! Kto nam uwierzy w taką próbę wody? W każdym razie nie przedstawiciel księcia elektora!

Po raz pierwszy zabrał teraz głos młody Jakub Schreevogel:

—Augustynie, dlaczego za niedorzeczną uważacie myśl, że żołnierze mogli zamordować dzieci? Wielu świadków widziało, jak jakaś postać wyskoczyła z

mojego domu w momencie, gdy zniknęła Klara. Mężczyzna ten miał na sobie krwistoczerwony kaftan i kapelusz z piórami, taki jaki noszą przede wszystkim żołnierze. I kulał.

—Diabeł! — piekarz Berchtholdt, który do tej pory najwyraźniej odsypiał kaca z ostatniej nocy, poderwał się z miejsca i przeżegnał. — Panienko Maryjo, dopomóż nam!

Kilku innych rajców również zaczęło po cichu odmawiać akty strzeliste, czyniąc przy tym znak krzyża.

— Ułatwajcie sobie sprawę tym waszym diabłem! — krzyknął Jakub Schreevogl, przerywając pomruki. — On jest rozwiązaniem wszystkiego. Ale jedno wiem na pewno! — wstał i spojrzał z wściekłością po zgromadzonych. — Mojej Klary nie porwało monstrum o nogach kozła, lecz człowiek z krwi i kości. Diabeł nie otwiera sobie drzwi ani nie wyskakuje przez okno. Nie nosi też taniego, żołnierskiego kapelusza i nie spotyka się na piwie z najemnikami w gospodzie u Semera.

— Jak wpadliście na pomysł, że diabeł bywa w moim domu? — burmistrz Karl Semer poderwał się z miejsca. Jego twarz poczerwieniała, a pot perlił się na czole. — To bezczelne kłamstwo, za które mi zapłacicie!

—Opowiedział mi o tym młody medyk. Ten sam mężczyzna, który porwał Klarę, zniknął u was na górze w pokoju obrad — Jakub Schreevogl spokojnie patrzył burmistrzowi w oczy. — Spotkał się tam z kimś. Może z wami?

—Niech ten Fronwieser zatka sobie gębę i wam przy okazji również! — Semer uderzył pięścią w stół. — Nie pozwolę na to, by moja gospoda służyła za wymówkę do takich kłamliwych bajek.

—Karl, weź się w garść i usiądź. — głos niewidomego Augustina był cichy, a mimo to wyraźnie ostry. Zdumiony Semer znów zajął swoje miejsce.

— Ateraz powiedz nam—kontynuował Matthias Augustin. — Czy w tych insynuacjach jest choć ziarno prawdy?



Burmistrz Karl Semer przewrócił oczami i wypił duży łyk wina ze swojego kieliszka. Wyraźnie nie mógł znaleźć właściwych słów.

—Czy to prawda? — zapytał drugi burmistrz Johann Puchrer. Również zarządca szpitala Wilhelm Hardenberg zwrócił się do szanowanego karczmarza gospody „Pod Złotą Gwiazdą”.

—Karl, powiedz nam prawdę! Czy żołnierze spotkali się u ciebie?

Przy rajcowskim stole rozległ się pomruk. Kilku członków rady zewnętrznej siedzących na tylnych ławkach zaczęło między sobą dyskutować.

— To jest bezprzykładne kłamstwo! — syknął w końcu burmistrz Semer, któremu strumienie potu polały się na koronkowy kołnierz. — Może było u mnie w „Gwieździe” paru byłych żołnierzy, tego nie mogę sprawdzić. Ale żaden z nich nie poszedł na górę. Żaden też z nikim się nie spotkał.

—W takim razie już to wyjaśniliśmy — rzekł Matthias Augustin. — Zatem wróćmy do ważnych spraw — jego niewidzące oczy spoglądały w kierunku pisarza. — Co teraz planujecie, Lechner?

Johann Lechner spojrzał na bezradne miny rajców siedzących po jego lewej i prawej stronie.

— Szczerze mówiąc, nie wiem. Graf Sandizell przybędzie tutaj jutro przed południem. Jeśli do tego czasu akuszerka nie przemówi, niech Bóg ma nas w swojej opiece. Obawiam się... że tej nocy wszyscy powinniśmy się modlić.

Wstał, po czym spakował pióro i atrament. Inni też podnieśli się niezdecydowanie z miejsc.

— Teraz przygotuję wszystko na przyjęcie grafa. Każdy z was będzie musiał złożyć daninę. A jeśli chodzi o proces czarownicy... możemy mieć tylko nadzieję.

Lechner wyszedł pospiesznie, bez pożegnania. Rajcy, dyskutując, szli z tyłu w grupkach dwu— i trzyosobowych. W sali pozostało tylko dwóch patrycjuszy. Mieli jeszcze kilka ważnych spraw do wyjaśnienia.



Diabeł powoli przesuwał swoją kościstą ręką po sukni Magdaleny, muskał jej piersi i lekko dotykał dłonią szyi i wąskiego podbródka. Gdy dotarł do jej warg, dziewczyna przewróciła oczami i odwróciła się. Diabeł uśmiechnął się i znów odwrócił jej głowę w swoją stronę. Przed nim na leśnej ściółce leżała związana córka kata, w ustach miała knebel zrobiony z brudnej szmaty. Dziewczyna spoglądała gniewnie na pochylającego się nad nią mężczyznę. Diabeł posłał jej ręką pocałunek.

— Dobrze, tak jest dobrze. Bądź taka bezczelna, dzięki temu obydwójce będziemy mieć później lepszą zabawę.

Na polanie za ich plecami pojawił się mężczyzna. Był to żołnierz Hans Hohenleitner. Ostrożnie zatrzymał się i chrząknął.

— Braunschweiger, powinniśmy stąd zniknąć. Christoph był po drugiej stronie w mieście. Ludzie opowiadają, że jutro z powodu czarownicy przybędzie tu sam graf. Awtedy zaroi się od żołnierzy. Zabawmy się z dziewczyną, a później *wy노śmy* się. Wystarczy już, że nie żyje André.

— Askarb, he? Co ze skarbem?

Diabeł, którego zwali Braunschweigerem, odwrócił się. Kącik jego ust drgał, jakby mężczyzna stracił panowanie nad swoją twarzą.

— Chyba zapomniałeś o skarbie! Poza tym handlarzyna wisi nam jeszcze kupę pieniędzy!

— Mam w dupie pieniądze. Wczoraj dał nam kolejne dwadzieścia pięć guldenów za zniszczoną budowę i pożar magazynu. To aż nadto. Więcej nie wyciągniemy.

Trzeci żołnierz, Christoph Holzapfel, stanął obok niego. Jego długie, czarne włosy zwisały mu w nieładzie na twarz. Ukradkiem mierzył wzrokiem Magdaleny, która związana wiła się po ziemi.

— Hans ma rację, Braunschweiger. Chodźmy stąd. Tu nie ma żadnego skarbu, wszystko przeszukaliśmy. Ta cała przeklęta budowa! Odwróciliśmy każdy kamień! A jutro być może będą włóczyć się po lesie ludzie grafa.

— Lepiej chodźmy dalej — jeszcze raz zabrał głos Hans Hohenleitner. — Moja głowa jest mi droższa niż kilka guldenów. Trafiło na André, to zły znak. Pokój jego przeklętej duszy! Ale wcześniej jeszcze trochę się zabawmy...

Pochylił się nad Magdaleny. Gdy jego dziobata twarz pojawiła się dokładnie nad jej ustami, dziewczyna poczuła odór wódki i piwa. Jego usta ułożyły się w krzywy uśmiech.

— No, kochanie, też czujesz ogień w łędźwiach?

Głowa Magdaleny podskoczyła do przodu. Jej czoło trafiło Hansa prosto w nos, który pękł jak dojrzały owoc. Trysnęła krew.

— Ty cholerna dziwko! — żołnierz, jęcząc, złapał się za nos, po czym kopnął dziewczynę w brzuch. Magdalena skuliła się i w milczeniu zniosła ból. Nie powinni usłyszeć, jak krzyczy. Jeszcze nie teraz.

Gdy Hans ponownie chciał do niej podejść, diabeł powstrzymał go.

— Zostaw, jeszcze zniekształcisz jej piękną buzię. A wtedy będziemy mieć z nią tylko połowę radości, hm? Obiecuję, że pokażę wam rzeczy, które są za brudne nawet dla samego księcia ciemności...

— Braunschweiger, ty jesteś chory — Christoph Holzapfel z obrzydzeniem potrząsnął głową. — Wszystko, czego chcemy, to odrobina zabawy z tą dziewczyną. Wystarczy mi świństwo, jakie zostawiłeś po sobie w Landsbergu — odwrócił się. — Co to ma być? Wyszalej się, a później znikajmy stąd.

Magdalena skuliła się w oczekiwaniu na kolejny cios.

— Jeszcze nie teraz — mruknął diabeł. — Najpierw zdobędziemy skarb.

—Braunschweiger, do cholery! — Hans Hohenleitner mówił dalej, trzymając się za krwawiący nos. — Nie ma żadnego skarbu! Czy to nie dociera do twojego chorego łba?

Kąciki ust diabła znów zaczęły drgać; jego głowa zakreśliła szerokie koło, jakby musiała usunąć wewnętrzny skurcz.

— Nigdy więcej nie nazywaj mnie... chorym, Hohenleitner. Nigdy więcej... — jego spojrzenie przemykało od jednego żołnierza do drugiego. — A teraz coś wam powiem. Zostaniemy tu jeszcze jedną noc. Tylko jedną. Wy pójdziecie z dziewczyną w bezpieczne miejsce, a ja przyniosę wam skarb, do jutra rana. Będziecie mieć tyle dukatów, że będziecie mogli nimi srać. A później wspólnie weźmiemy dziewczynę w obroty.

— Jeszcze jedną noc? — zapytał Hans Hohenleitner. Diabeł skinął głową.

—A jak chcesz ten skarb znaleźć?

— O to się nie martw. Wy tylko dopilnujcie dziewczyny.

Żołnierz Christoph Holzapfel znów podszedł bliżej.

—A gdzie mamy się schować, he? Jutro w okolicy będzie się roiło od żołnierzy!

Diabeł uśmiechnął się.

— Znam miejsce, gdzie jest bezpiecznie. Tam was nie znajdą. Na dodatek jest tam piękny widok.

Wskazał im miejsce, po czym udał się w dół, na drogę do miasta. Magdalena zagryzła wargi, po policzkach popłynęły jej łzy. Z trudem odwróciła głowę w bok, by nie patrzeć na żołnierzy. Nie powinni widzieć, że płacze.

Dwaj mężczyźni stali na skraju budowy i przyglądali się pracującym rzemieślnikom. Kilku murarzy i cieśli pomachało im ręką. Może trochę dziwili się, czego ci mężczyźni tu szukają, ale nie mieli najmniejszych podejrzeń. Obydwaj byli bowiem szanowanymi obywatelami. Przypuszczalnie chcieli tylko zorientować się w przebiegu prac budowlanych.

Po zniszczeniach z ostatnich dni nie zostało już ani śladu. Mury przytułku wzniesiono właśnie na nowo, na fundamencie kaplicy znajdowała się świeża więźba dachowa. Dwóch woźnych sądowych siedziało na brzegu studni na środku karczowiska, spędzając czas na graniu w kości. Pisarz sądowy zarządził, by pilnować terenu przez całą dobę. A jego zarządzenia, jak zwykle, były bardzo szczegółowe. Specjalnie dla woźnych postawiono z desek szopę, w której mogli się schronić w razie deszczu. Latarenki wisiały na hakach na ścianie zewnętrznej budynku, zaś obok opierały się dwie halabardy.

— Naprawdę wszystko przeszukaliście? — zapytał teraz starszy mężczyzna. Młodszy skinął głową.

— Wszystko. Nawet po kilka razy. Naprawdę nie wiem, gdzie jeszcze moglibyśmy szukać. Ale on musi gdzieś tu być!

Drugi mężczyzna wzruszył ramionami.

— Może stary sknera skłamał. Może mamrotał tam pod nosem jakieś głupoty na łożu śmierci. Ot, majaczenie w gorączce starego człowieka, a my daliśmy się na to nabrać...

Jęknął i złapał się za bok. Na chwilę musiał zgiąć się wpół, później ból zdał się ustępować.

— Tak czy owak, jest już po sprawie.

— Po sprawie? — młodszy pobiegł za nim, mocno chwycił go za ramię i odwrócił ku sobie. — Co znaczy, po sprawie? Możemy szukać dalej. Nie spłaciłem jeszcze żołnierzy. Za parę dodatkowych guldenów wszystko zrównają z ziemią i będą ryc jak świnie. Skarb gdzieś tutaj jest! Ja... ja to czuję!

—Cholera! To koniec! — starszy mężczyzna niemal z odrazą zdjął rękę młodszego ze swojego ramienia. — Teren jest strzeżony. Poza tym narobiłeś już wystarczająco dużo szumu. Lechner wie o twoich żołnierzach. A kat i ten Fronwieser depczą ci po piętach. Wszędzie węszą. Byli już nawet u księdza! Za dużo ryzykujemy. Sprawa jest zakończona, raz na zawsze!

— Ale... — młodszy zatrzymał go po raz drugi.

Starszy mężczyzna gniewnie potrząsnął głową i znowu chwycił się za bok. Głośno jęknął.

— Mam teraz na głowie wystarczająco wiele innych spraw. Przez twoich żołnierzy jutro do miasta przyjedzie graf ze swoimi ludźmi. I przypuszczalnie dojdzie do wielkiego procesu. Znow zapłoną stosy, Schongau zejdzie na psy. A to wszystko przez ciebie, cholerny kretynie! Wstydzę się za ciebie i za naszą rodzinę. A teraz puść mnie. Chcę iść.

Oddalił się ciężkim krokiem, zostawiając młodszego mężczyznę w błocie na placu budowy. Spod jego wypolerowanych skórzanych butów trysnął szlam.

Nie podda się! Jeszcze tamtemu pokaże! Ogarnęła go fala wściekłości.

Gdy kilku robotników budowlanych pomachało do niego, — on im odpowiedział tym samym. Nie widzieli jego twarzy, która pod wpływem nienawiści sprawiała wrażenie skamieniałej.



**Poniedziałek,**

**30 kwietnia Roku Pańskiego 1659,**

godzina 3 po południu

Simon biegł z Anną Marią Kuisl przez Hennengasse w dół do bramy prowadzącej z miasta nad Lech i dalej przez dzielnicę garbarzy. Myśl, że Magdalenie mogło się coś stać, sprawiała, że gnał z prędkością, o jaką by siebie nawet nie podejrzewał. Już wkrótce zostawił w tyle żonę kata. Serce waliło mu jak młot, a w ustach wzbierał metaliczny smak. Mimo to nie zatrzymał się, póki nie dotarł do domu kata. Budynek był skąpany w najpiękniejszym, popołudniowym słońcu, kilka zięb świergotało na jabłoniach w ogrodzie, a z oddali dobiegały krzyki fliśaków. Poza tym panowała cisza. Ławka przed domem stała pusta, drzwi do izby otwarto na oścież. Pod jedną z jabłonek wisiała pusta huśtawka, która powoli kołysała się na wietrze.

— Mój Boże, dzieci! — Anna Maria Kuisl tymczasem dogoniła Simona. — Żeby tylko nie dzieci...

Nie skończywszy zdania, ominęła medyka i wbiegła do domu. Simon podążył za nią. W izbie natknęli się na dwa pięcioletnie niewiniątka, które rozsiadły się w morzu mleka. Obok nich leżał rozbity dzbanek. Bliźnięta właśnie wyławiały palcami miód z glinianej miski. Od stóp do głów były pokryte białym pyłem. Dopiero teraz Simon zauważył, że na podłodze leżała też przewrócona beczka z mąką.

— Georg i Barbara, co wam przyszło do głowy...

Anna Maria Kuisl właściwie zamierzała zacząć litanie wyzwisk, ale ulga, jaką poczuła, gdy zastała bliźniaki całe i zdrowe, była zbyt wielka. Kobieta głośno roześmiała się, jednak szybko znów doszła do siebie.

— Marsz na górę do łóżek. W przeciągu najbliższej godziny nie chcę tu widzieć żadnego z was. Zobaczcie, co zbroiliście!

W poczuciu winy bliźnięta podreptały na górę. Ścierając mleko i zmiatając skorupy oraz mąkę, Anna Maria jeszcze raz krótko opowiedziała Simonowi o ostatnich wydarzeniach.

— Wróciłam do domu, a on siedział jak skamieniały na ławce. Gdy zapytałam, co się stało, powiedział tylko, że Magdalena zniknęła. Zabrał ją ze sobą diabeł. Diabeł, mój Boże...

Niedbale rzuciła skorupy w kąt i zasłoniła ręką usta. Z oczu popłynęły jej łzy. Musiała usiąść.

— Simonie, powiedz mi, co to wszystko ma znaczyć!

Medyk długo na nią patrzył, nie odpowiadając na jej pytanie. W głowie kółkowały mu się myśli. Chciał zerwać się z miejsca i działać, ale nie wiedział, co ma zrobić. Gdzie jest Magdalena? I gdzie jest kat? Czy poszedł za nią? Może wie, dokąd diabeł zaciągnął jego córkę? I co ów mężczyzna zamierzał z nią zrobić?

— Ja... ja nie mogę powiedzieć ci nic konkretnego — wymamrotał w końcu.

— Ale uważam, że mężczyzna, który ma na sumieniu dzieci, zniknął razem z Magdaleną.

— O Boże! — Anna Maria skryła twarz w dłoniach. — Ale dlaczego? Dlaczego? Czego on chce od mojej małej dziewczynki?

— Myślę, że w ten sposób chce nas szantażować, byśmy przestali go śledzić i zostawili go w spokoju.

Żona kata spojrzała na niego pełna nadziei.



—A jeśli zrobicie to, co on mówi, to uwolni Magdalenę?

Simon z chęcią skinałby głową, pocieszył kobietę i powiedział, że jej córka wkrótce wróci do domu, ale nie mógł tego zrobić. Tymczasem wstał i podszedł do drzwi.

— Czy on uwolni Magdalenę? — w głosie Anny Marii brzmiało coś na kształt błagania. Niemal krzyczała. Simon nie odwrócił się.

— Nie sędzę. Ten mężczyzna jest chory i zły. Zabije ją, jeśli wcześniej go nie znajdziemy.

Popędził przez ogród z powrotem do miasta. Za plecami słyszał, jak bliźnięta zaczęły płakać. Schowały się bowiem na schodach i po kryjomu podsłuchiwały. Chociaż mogły niczego nie zrozu—mieć, czuły, że musiało się wydarzyć coś bardzo złego.

Początkowo Simon wędrował bez celu po uliczkach dzielnicy garbarzy, a później w dole, wzdłuż rzeki. Musiał uporządkować swoje myśli, a leniwie płynący Lech pomagał mu w tym. Istniały dwie możliwości. Albo znajdzie kryjówkę, w której diabeł więzi Magdalenę, albo dowie się, kto jest jego zleceniodawcą. Gdyby znał tego człowieka, wówczas ten może odwołałby polecenie porwania. Zakładając, że Magdalena jeszcze żyje...

Ciarki przeszły mu po plecach. Wyobrażenie, że jego ukochana być może pływa w rzece z poderżniętym gardłem, paraliżowało mu umysł. Nie mógł pozwolić, by ta myśl go opanowała. Poza tym nie miała ona sensu. Magdalena była kartą w grze diabła, który tak szybko by się nie pozbył swojego asa.

Simon nie miał pojęcia, gdzie diabeł mógł ją ukryć, jednak domyślał się, gdzie przebywały dzieci, które mogły wskazać mu zleceniodawcę. Gdzieś na placu budowy. Tylko gdzie?

„Gdzie, do cholery?”.

Postanowił ponownie udać się do Jakuba Schreevogla. W końcu działka ta należała wcześniej do jego ojca. Być może wiedział on o ewentualnej kryjówce, na którą obydwaj, kat i medyk, jeszcze nie wpadli.

Po upływie pół godziny znów dotarł do rynku. Stoiska wyraźnie opustoszały. O tej porze, wczesnym popołudniem, większość mieszkańców zdążyła już zrobić zakupy. Straganiarki wkładały do koszy pozostałe warzywa lub zajmowały się swoimi marudzącymi dziećmi, które siedziały z nimi przy stoiskach cały dzień. Zwiędłe liście sałaty i zepsuta kapusta leżały na ziemi między końskim łajnem a odchodami wołów. Ludzie spieszyli do swoich domów. Jutro wypadał pierwszy maja i dla wielu ten świąteczny dzień zaczynał się już dziś. Poza tym przygotowywano się na majową uroczystość. Tak jak w wielu innych bawarskich wioskach i miastach, również i w Schongau mieszkańcy zamierzali jutro hucznie obchodzić początek lata. Najbliższa noc należała do kochanków. Simon zamknął oczy. Zamierzał spędzić to święto razem z Magdaleną. Poczł ściskanie w gardle. Im więcej rozmyślał, tym większy ogarniał go strach.

Nagle przyszło mu do głowy, że dzisiejszej nocy będzie się świętować jeszcze coś. Noc z **30** kwietnia na **1** maja była nocą Walpurgii! Czarownice tańczyły wtedy w lesie i parzyły się z diabłem. Wielu ludzi ochraniało się przed złem za pomocą osłaniających czarów i znaków umieszczanych na oknach oraz rozsypywanej przed drzwiami soli. Czy straszliwe morderstwa i niezwykle znaki miały jednak ostatecznie coś wspólnego z nocą Walpurgii? Nawet jeśli Simon w to wątpił, i tak obawiał się, że ta noc dla niektórych mieszkańców może być okazją do ukatrupienia domniemanej czarownicy w więzieniu. Czas przeciekał mu przez palce.

Minął zamek, skręcił w Bauerngasse i już wkrótce dotarł do domu Schreevogla. Na górze na balkonie stała służąca, która posłała mu nieufne spojrzenie. W ostatnim czasie rozeszła się bowiem plotka, że Simon ma romans z córką kata. Gdy medyk dał jej znak, bez przywitania zniknęła w domu, by powiadomić swojego młodego pana o przybyciu gościa.

Krótki czas potem Jakub Schreevogl osobiście otworzył mu drzwi i zaprosił do środka.

— Simonie, co za radość! Mam nadzieję, że podejrzenia wobec mnie się rozwiały. Wiecie coś nowego w sprawie mojej Klary?

Simon przez chwilę zastanawiał się, jak dalece może obdarzyć patrycjusza swoim zaufaniem. Nadal bowiem nie był pewny, jaką rolę w tej sprawie odgrywał Jakub Schreevogl. Dlatego poprzestał na kilku lakonicznych zdaniach.

— Sądzymy, że dzieci zamordowali żołnierze, ponieważ zobaczyły coś, czego nie powinny. Ale nie wiemy, o co mogło chodzić.

Patrycjusz skinął głową.

— Ja też tak przypuszczam. Ale rada nie chce wam uwierzyć. Dopiero dziś przed południem znów odbyło się zebranie. Wielmożni panowie zamierzają zrobić porządek! Toteż czarownica i diabeł lepiej pasują im do tej układanki, właśnie teraz, gdy czas nagli. Już jutro przybędzie przedstawiciel księcia elektora.

Simon drgnął.

— Już jutro? W takim razie mamy mniej czasu, niż się spodziewałem.

— Poza tym burmistrz Semer zaprzecza, jakoby żołnierze spotkali się z kimś na górze w jego izbach — ciągnął Jakub Schreevogl.

Simon sarkastycznie się zaśmiał.

— Kłamstwo! Przecież opowiadała mi o tym Resl, służąca u Semera. Potrafiła dokładnie opisać tych żołnierzy. Poszli na górę!

—A jeśli Resl się pomyliła? Simon potrząsnął głową.

— Była całkiem pewna. Prędzej kłamię burmistrz — westchnął.— Tymczasem kompletnie nie wiem, komu jeszcze mogę ufać... Ale przybyłem z innego powodu. Mamy pewne przypuszczenie co do kryjówki Klary i Sophie.

Jakub Schreevogl podbiegł do niego i chwycił go za ramiona.

— Gdzie one są? Gdzie? Zrobię wszystko, by je odnaleźć!

— Cóż, sądzimy, że mogą się ukrywać na placu budowy przytułku.

Patrycjusz z niedowierzaniem mrugał oczami.

— Na placu budowy?

Simon skinął głową i zaczął niespokojnie spacerować tam i z powrotem po holu.

— Pod paznokciami martwych dzieci znaleźliśmy ślady gliny, która mogła pochodzić z placu budowy przytułku. Możliwe, że dzieci zobaczyły coś ze swojej kryjówki, a teraz boją się wyjść na zewnątrz. Oczywiście przeczesaliśmy już cały teren i niczego nie znaleźliśmy.

Znów zwrócił się do patrycjusza.

— Domyślcie się, gdzie mogłyby się ukryć? Opowiadał wam o czymś wasz zmarły ojciec? Może jest tam jakaś jama? Dół pod fundamentami? Czy wcześniej na działce nie stał jakiś inny budynek, z którego mogłaby zostać jeszcze piwnica? Ksiądz mówił o starym ołtarzu, pochodzącym jeszcze z czasów pogańskich...

Jakub Schreevogl opadł na fotel obok kominka i długo się zastanawiał. W końcu potrząsnął głową.

— O niczym nie mam pojęcia. Działka należała do naszej rodziny od kilku pokoleń. Sądzę, że już moi pradziadowie paśli tam krowy i owce. O ile wiem, dawno temu na ziemi tej stała kaplica albo kościół. Był tam również kamień ofiarny lub coś w tym rodzaju. Ale od tej pory minęło bardzo dużo czasu. Nigdy specjalnie nie zajmowaliśmy się tą działką, dopóki nie zechciałem zbudować tam pieca do wypalania.

Nagle jego oczy rozbłysły.

— Księgi miejskie... Coś takiego pewnie zapisano w księgach!

— Księgi miejskie? — zapytał Simon.

— Każdą umowę, każdy zakup, a także każdą darowiznę odnotowuje się w księgach miejskich. Akurat Johann Lechner jako pisarz sądowy zwraca baczną uwagę na to, by wszystko było w należyтым porządku. Gdy mój ojciec zapisał Kościołowi w testamencie działkę, sporządzono oficjalną umowę darowizny. I o ile sobie przypominam, do tego dokumentu dołączono także stary plan działki, który posiadał jeszcze mój ojciec.

Simon czuł, jak zasycha mu w gardle. Miał wrażenie, że jest już całkiem blisko rozwiązania zagadki.

— Agdzie są te... księgi miejskie?

Patrycjusz wruszył ramionami.

— No jak to gdzie? Oczywiście w budynku Ballenhaus. W izbie pisarskiej, obok sali ratuszowej. Tam Lechner przechowuje w szafie wszystko, co ma znaczenie dla miasta. Zapytajcie go, czy moglibyście rzucić okiem na te księgi.

Simon skinął głową i podszedł do drzwi. Tam odwrócił się jeszcze raz.

— Bardzo mi pomogliście, dziękuję.

Jakub Schreevogł uśmiechnął się.

— Nie musicie mi dziękować. Gdy przyprowadzicie mi z powrotem Klarę, będzie to wystarczającym podziękowaniem — rajca poszedł szerokimi schodami na górę. — A teraz wybaczcie mi. Moja żona wciąż jest chora. Zajrzę do niej.

Nagle jeszcze raz zatrzymał się. Zdawał się nad czymś zastanawiać.

— Jest coś jeszcze...

Simon spojrzał na niego wyczekująco.

— Cóż — kontynuował Jakub Schreevogł. — Mój ojciec zaoszczędził w swoim życiu dużo pieniędzy, bardzo dużo. Jak wiecie, pokłóciliśmy się na krótko

przed jego śmiercią. Zawsze wychodziłem z założenia, że po kłótni cały swój majątek zapisze w testamencie Kościołowi. Ale rozmawiałem z księdzem...

— I? — drażył Simon.

— I działka ta jest wszystkim, co otrzymał Kościół. Przeszukałem już cały dom, ale nigdzie nie mogłem znaleźć pieniędzy.

Simon już go nie słuchał. Był już bowiem na ulicy.

Medyk szedł szybkimi krokami do budynku Ballenhaus. Miał świadomość tego, że pisarz sądowy nigdy nie pozwoli mu zajrzeć do ksiąg miejskich. Dzień rano na budowie bardzo wyraźnie dał do zrozumienia jemu i katowi, co sądzi o ich podejrzeniach. Nie przywiązywał do nich najmniejszej wagi. Johann Lechner chciał spokoju w mieście, a nie medyka, który grzebałby w jego księgach, wpadając przy tym na trop tajemnicy, która mogłaby kosztować głowę jednego czy drugiego patrycjusza. Jednak Simon wiedział, że musi zobaczyć tę umowę... Pytanie brzmiało tylko, jak...

Przed wejściem do budynku Ballenhaus obijało się dwóch woźnych sądowych z halabardami. Mężczyźni przyglądali się ostatnim straganiarkom, które sprzątały swoje stoiska. Teraz, po południu, tylko oni pełnili jeszcze służbę. Simon wiedział, że w budynku nie przebywał już żaden rajca. Zebranie rady odbyło się dziś w południe. Patrycjusze dawno poszli do domu do swoich rodzin, a pisarz sądowy urzędował po drugiej stronie, w zamku. Ballenhaus był pusty. Medyk musiał przejść tylko obok dwóch woźnych sądowych.

Podszedł do nich z uśmiechem. Jednego z nich znał z wcześniejszego leczenia.

— No, Georg, co tam z twoim kaszlem? Poprawiło się, odkąd dałem ci kwiatu lipy na napar?

Woźny sądowy potrząsnął głową. Jakby na dowód, kilkakrotnie głośno zakasłał i zacharczał.

— Niestety nie, panie. Jest raczej gorzej. Teraz boli mnie też w piersiach. Ledwo mogę stać na służbie. Odmówiłem już trzy różańce, ale to też mi nie pomogło.

Simon zrobił zamyśloną minę. Nagle jego twarz rozjaśniła się.

— No cóż, chyba mam coś, co mogłoby ci pomóc. Proszek z Zachodnich Indii... — wyciągnął woreczek i z zatroskaniem spojrział w niebo. — Trzeba go zażyć, dopóki nad głową świeci południowe słońce. Zatem za chwilę będzie za późno.

Woźny sądowy Georg znowu zakasłał i sięgnął po woreczek. — Wezmę go, panie. Teraz. Ile kosztuje?

Simon podał mu lekarstwo.

— Jak dla ciebie tylko pięć grajcarów. Oczywiście musisz go rozpuścić w wódce, bo w przeciwnym razie nie zadziała. Masz wódkę?

Georg zaczął się zastanawiać. Medyk już myślał, że będzie musiał go weprzeć, gdy twarz woźnego sądowego rozjaśniła się.

— Mogę sobie kupić po drugiej stronie w gospodzie.

Simon skinął głową i wziął pieniądze.

— Dobra myśl, Georg. Tylko biegnij szybko i zaraz wracaj. Georg udał się w drogę, podczas gdy drugi strażnik niezdecydowanie stał na swoim posterunku. Simon z zadumą spojrział na mężczyznę.

— Też masz kaszel? — zapytał. — Wyglądasz tak blado. Bóle w piersiach?

Zdawało się, że strażnik przez chwilę się zastanawia. Później spojrział w kierunku swojego kolegi, który właśnie zniknął w gospodzie. W końcu skinął głową.



— W takim razie biegnij za nim, żeby załatwił więcej wódki — powiedział Simon. — Musicie rozpuścić ten proszek przynajmniej w jednym kubku, a najlepiej w dwóch.

W woźnym sądownym walczyło poczucie obowiązku z widokiem na jeden lub dwa kubki wódki, wypite na dodatek ze względów medycznych. W końcu podreptał za swoim przyjacielem.

Simon uśmiechnął się szeroko. Zdążył już trochę nauczyć się od kata. Do czegoż nie przydaje się woreczek z gliną!

Medyk odczekał jeszcze chwilę, aż obydwaj woźni będą poza zasięgiem jego wzroku. Później ostrożnie się rozejrzał. Rynek był pusty. Szybko uchylił wielkie drzwi i wsunął się do środka.

Uderzył go zapach przypraw i stęchłego płótna. Promienie słońca wpadały do budynku przez okratowane, duże okna. W hali panował już mrok, a ułożone jeden na drugim worki i skrzynki wyglądały jak niekształtne, śpiące olbrzymy, leżące pod ścianą, na której odbijały się cienie. Spod skrzynki wybiegł wystraszony szczur i zniknął w ciemnościach.

Simon zakradł się szerokimi schodami na górę i zaczął nasłuchiwać przy drzwiach do sali ratuszowej. Gdy nie doszedł go żaden dźwięk, ostrożnie nacisnął klamkę. Pomieszczenie było puste. Krzesła wokół dużego dębowego stołu były odsunięte. Stały na nim do połowy pełne karafki z winem i kryształowe kieliszki. W kącie wznosił się potężny piec z zielonymi, częściowo pomalowanymi kafelkami. Simon położył na nim rękę, piec by jeszcze gorący. Wyglądało to tak, jakby rajcy wyszli z izby na krótką przerwę i w każdej chwili mogli tu wrócić.

Medyk powoli chodził po pomieszczeniu, starając się stąpać ostrożnie, by deski podłogowe nie skrzypiały mu pod stopami. Na ścianie od wschodu wisiał żółkły obraz olejny, przedstawiający schongauskich rajców zgromadzonych przy dębowym stole. Simon przyjrzał mu się dokładniej. Obraz musiał mieć już ładnych parę lat. Namalowani mężczyźni mieli na sobie kryzy, które noszono przed kilkoma dekadami. Ich czarne marynarki były sztywne i zapięte na guziki po samą szyję. Twarze z przyciętymi szpiczastymi bródkami spoglądały wzrokiem poważnym i nic nie mówiącym. Mimo to Simonowi zdawało się, że zna jednego z nich. Siedzący w środku rajca z przenikliwym spojrzeniem i lekkim uśmiechem musiał być Ferdynandem Schreevoglem. Simon przypomniał sobie, że stary Schreevogel wcześniej piastował funkcję pierwszego burmistrza w mieście. Patrycjusz trzymał w ręku gęsto zapisany dokument. Mężczyzna obok niego też wydawał się skądś znajomy. Tylko skąd? Medyk zastanawiał się, jednak mimo najszczerszych chęci nie potrafił przypomnieć sobie jego nazwiska. Był pewien, że ostatnimi czasy gdzieś go widział, oczywiście znacznie starszego.

W dole na rynku usłyszał nagle głosy i śmiechy. Obydwaj woźni sądowi najwyraźniej zastosowali się do jego wskazówek. Uśmiechnął się szeroko. Możliwe, że nawet trochę przedawkowali lekarstwo.

Simon dalej spacerował po sali obrad rady miejskiej. Przechodząc obok ołowianych okien, schylił się, by nie zobaczył go nikt z zewnątrz. W końcu dotarł do drzwi archiwum. Nacisnął klamkę.

Zamknięte.

Cicho przeklinając, sam łajał się za swoją głupotę. Jak mógł być tak naiwny i wierzyć, że te drzwi będą otwarte? Pisarz sądowy oczywiście je zamknął! Ostatecznie prowadziły one do jego sanktuarium.

Simon już zamierzał zawrócić, jednak stanął i jeszcze raz się zastanowił. Johann Lechner był człowiekiem niezawodnym. Musiał zadbać zatem o to, by nawet pod jego nieobecność do archiwum miało dostęp przynajmniej czterech burmistrzów. Czyżby każdy z nich miał swój klucz? To było raczej mało prawdopodobne. Bardziej możliwe było to, że pisarz przechowywał tutaj klucz dla innych. Tylko gdzie?

Spojrzenie Simona prześlizgiwało się po suficie z limby z wyrzeźbionymi nań zwiniętymi w rulony pismami, po stole, krzesłach, karafkach na wino... Nie było tu szafy ani skrzyni. Jedyne większe przedmiot wyposażenia stanowił kaflowy piec, monstrum szerokie na dwa kroki i sięgające prawie do sufitu. Simon podszedł do niego i przyjrzał mu się dokładniej. W rzędzie znajdującym się mniej więcej w połowie wysokości pieca, na pomalowanych kafelkach widniały sceny z życia na wsi. Chłop z pługiem, kolejny chłop podczas zasiewu, świnię i krowy, służąca, która pasie gęsi... W środku tego rzędu znajdowała się płytką, która wyglądała inaczej niż pozostałe i przedstawiała mężczyznę w typowym szerokim kapeluszu i kryzie rajcy. Siedział on na nocniku, z którego wydobywały się zwoje papieru. Simon zapukał w kafelek.

Rozległ się głuchy dźwięk.

Medyk wziął sztylet, włożył jego ostrze w szparę i podważył kafelek, który lekko wysunął mu się na rękę. Za nim znajdowała się maleńka wnęka. Coś w niej błyszczało. Simon uśmiechnął się. O ile wiedział, stary Schreevogel kazał zbudować ten piec jeszcze za czasów, kiedy był burmistrzem. W gildii garncarzy uchodził za prawdziwego artystę. Teraz okazało się, że miał również poczucie humoru. Rajca, który srał aktami... Czy ojciec Johanna Lechnera, ówczesny pisarz sądowy, rozpoznał się na tym rysunku?

Medyk wyjął miedziany klucz, znów włożył kafelek z rajcą na swoje miejsce i podszedł do drzwi, które oddzielały go od archiwum. Włożył klucz do zamka i przekręcił go. Cicho skrzypiąc, drzwi otworzyły się do środka.

Znajdujące się za nimi pomieszczenie pachniało kurzem i starym pergaminem. Na rynek wychodziło tylko jedno małe, zakratowane okno. Drugich drzwi nie było. Przez okno wpadały promienie popołudniowego słońca, w którego świetle unosiły się cząsteczki kurzu. Pomieszczenie było niemal puste. Pod tylną ścianą stał mały, dębowy stolik bez dekoracji oraz chybotliwe krzesło. Całą lewą stronę zajmowała olbrzymia szafa, sięgająca niemal do sufitu. Zawierała niezliczone małe szufladki, z których wystawały dokumenty. W większych regałach stały oprawione w skórę ciężkie foliały. Na stole, w sąsiedztwie do połowy pełnego kałamarza, gęsiego pióra i kilku wypalonych świec, leżało również kilka książek i luźnych kartek.

Simon cicho jęknął. Znajdował się w królestwie pisarza sądowego. Dla niego to wszystko zapewne miało swój ład, tymczasem dla medyka był to tylko zbiór rolek pergaminu, dokumentów i foliałów. Tak zwane księgi miejskie nie były żadnymi księgami, lecz olbrzymią kartoteką. Jak miał tutaj znaleźć raptem jeden plan działki?

Simon podszedł do szafy. Dopiero teraz dostrzegł, że na szufladach namalowano litery. Pozornie bez sensu rozmieszczono je na rzędzie regałów. Były to skróty, przypuszczalnie znane tylko pisarzowi i być może członkom rady wewnętrznej. RE, MO, ST, CON,PA, DOC...

Na widok ostatniego skrótu Simon zdumiał się. Łacińskie słowo oznaczające dokument brzmiało *documentum*. Czyżby w tej szufladzie znajdowały się również umowy darowizny? Wysunął szufladę, która była całkowicie wypełniona zalakowanymi listami. Już na pierwszy rzut oka stwierdził, że miał rację. Na wszystkich listach dostrzegł pieczęć miasta i podpisy wysokich rangą obywateli. Znajdowały się tam testamenty, umowy kupna oraz darowizny dotyczące pieniędzy, ziemiopłodów i działek obywateli, którzy zmarli, nie pozostawiawszy po sobie potomstwa. Dalej na dole leżały nowsze dokumenty, wszystkie prowadzone przez kościół parafialny będący ich adresatem. Simonowi zrobiło się gorąco.

Czuł bowiem, że jest blisko celu. W ostatnim czasie schongauski kościół otrzymał liczne darowizny, przeznaczone głównie na budowę nowego cmentarza świętego Sebastiana. Każdy, kto czuł zbliżający się koniec i chciał sobie zapewnić miejsce wiecznego spoczynku tuż przy murach miasta, w testamencie zapisywał Kościołowi przynajmniej połowę swojego majątku. Poza tym udzielano darowizn w postaci cennych krucyfiksów, obrazów świętych, świń, bydła, a także działek. Simon wertował dalej. W końcu dotarł do dna szuflady. Nie znalazł żadnej umowy dotyczącej działki przy drodze prowadzącej do Hohenfurch...

Zaklął. Wiedział, że gdzieś tutaj musi być rozwiązanie tajemnicy. Dosłownie to czuł! Wściekły wrócił z szufladą do szafy, by ją włożyć i wyjąć kolejną. Podczas wstawiania musnął kartki, które już wcześniej leżały na stole. Pofrunęły na podłogę.

Energicznie podniósł je i nagle znieruchomiał. Dokument w jego ręce był rozdarty z boku, jakby ktoś naprędce oderwał jego część. Pieczęć była w największym pośpiechu połamana. Rzucił nań okiem.

*Donatio cwis Ferdinand Schreevogl ad ecclesiam urbis Anno Domini  
MDCLVIII...*

Simon drgnął. Umowa darowizny! Oczywiście tylko pierwsza strona, bowiem reszta była starannie oddzielona. Przejrzał akty leżące na stole i zerknął na podłogę. Nic. Ktoś wyjął dokument z szafy, przeczytał go i zabrał ważną dla siebie część, przypuszczalnie szkic działki. Zdawało się, że nie miał zbyt wiele czasu, w każdym razie nie na tyle, by z powrotem włożyć dokument do szuflady. Złodziej wsunął tylko szybko papier pod stertę innych dokumentów leżących na stole...

...i znów wrócił na posiedzenie rady miejskiej.

Simon poczuł ciarki na plecach. Sprawcą tej kradzieży mógł być tylko ktoś, kto wiedział o kluczu za kafelkiem, a więc sam Johann Lechner... lub jeden z czterech burmistrzów.

Simon przełknął ślinę. Poczuł jak ręka, w której wciąż jeszcze trzymał dokument, zaczęła lekko drżeć. Co wcześniej powiedział mu o posiedzeniu patrycjusz Jakub Schreevogl?

„Burmistrz Semer zaprzecza, jakoby żołnierze spotkali się z kimś na górze w jego izbach”.

Czyżby sam pierwszy burmistrz był uwikłany w sprawę morderstw na dzieciach? Serce Simona zabiło mocniej. Przypomniało mu się, jak przed paroma dniami Semer wypytywał go w swojej własnej gospodzie i w końcu odradzał mu dalsze zajmowanie się tym przypadkiem. I czy to również nie Semer zawsze wypowiadał się przeciw budowie przytułku, jak to mówił, jedynie przez wzgląd na miasto? Bo trędowaci nie wyglądali dobrze przed bramami handlowego miasta? A co by było, gdyby Semer chciał opóźnić prace budowlane tylko dlatego, że podejrzewał, iż na działce ukryto skarb? Skarb, o którym na krótko przed swoją śmiercią opowiedział mu jego bliski przyjaciel, członek rady wewnętrznej, Ferdynand Schreevogl?

W głowie Simona kotłowały się myśli. Diabeł, martwe dzieci, znaki czarownic, porwana Magdalena, burmistrz jako osoba pociągająca za sznurki niesamowitego, morderczego spisku...

Wszystko to działało na niego przytłaczająco. Panujący w głowie chaos usiłował uporządkować według stopnia ważności spraw. Teraz istotne było przede wszystkim uwolnienie Magdaleny i w tym celu musiał znaleźć usytuowaną na działce kryjówkę dzieci. Ale ktoś przed nim wszedł do tego pomieszczenia i ukradł plan działki! Wszystkim, co mu pozostało, była pierwsza strona, na której zapisano kluczowe dane dotyczące darowizny. Simon z rozpaczą spoglądał na strzępki papieru z łacińskimi wersami. Szybko przetłumaczył je.

*Działka Ferdynanda Schreevogla, zapisana w testamencie schongauskiemu kościołowi dnia 4, września 1658 roku, wielkość działki: 700 x 800 kroków, plus dwa hektary lasu i studnia (wyschnięta).*



Wyschnięta?

Simon gapił się na krótkie słowo, znajdujące się na samym dole przy krawędzi papieru. Wyschnięta.

Medyk uderzył się ręką w czoło. Później wsunął kawałek pergaminu pod kuszulę i wybiegł z dusznego pomieszczenia. Pośpiesznie zamknął małe drzwi i z powrotem odłożył klucz do wnęki za kaflem. Po kilku sekundach był już przy bramie wejściowej do budynku Ballenhaus. Dwóch woźnych sądowych zniknęło. Przypuszczalnie poszli do gospody, by przynieść sobie nowe lekarstwo. Nie zwracając uwagi na to, czy ktoś go zauważy, Simon opuścił Ballenhaus i pobiegł przez rynek.

Z okna po drugiej stronie placu ktoś go obserwował. Gdy mężczyzna wystarczająco się napatrzył, zasunął zasłonę i udał się z powrotem do swojego biurka. Obok kieliszka wina i kawałka parującego pasztetu leżała wyrwana część pergaminu. Gdy mężczyzna pił, jego ręce drżały. Wino kapało na dokument, na którym powoli rozchodziły się podobne do krwi czerwone plamy.

Kat leżał na posłaniu z mchu, palił fajkę i mrużył oczy, patrząc na ostatnie promienie popołudniowego słońca. W oddali słyszał głosy strażników odbywających służbę na budowie. Ze względu na jutrzejsze majowe święto rzemieślnicy poszli do domu już w południe. Dwaj oddelegowani woźni sądowi objali się teraz, siedząc na murach kaplicy i grając w kości. Od czasu do czasu do uszu Jakuba Kuisla dobiegał śmiech. Strażnicy odbywali już gorsze służby.

Z lewej strony doszedł go nowy odgłos. Był to trzask łamanych gałęzi. Kuisl zgasił fajkę, skoczył na nogi i w ułamku sekundy zniknął w gęstwinie lasu. Gdy Simon przemykał obok niego, kat chwycił go za kostkę i jednym szarpnięciem



przewrócił. Z cichym krzykiem Simon upadł na ziemię, szukając gorączkowo noża.

Uśmiechnięta szeroko twarz kata pojawiła się między gałęziami.

— Eh!

Simon wypuścił nóż z ręki.

— Mój Boże, Kuisl, aleście mnie przestraszyli! Gdzie byliście przez cały czas? Wszędzie was szukałem! Wasza żona bardzo się martwi, a poza tym...

Kat położył palec na ustach i wskazał na polanę. Między konarami można było dostrzec strażników, którzy wciąż jeszcze siedzieli w kucki na murku i grali w kości. Simon kontynuował cichym głosem.

— Poza tym znam teraz kryjówkę dzieci. To jest...

— ...studnia — dokończył Kuisl i skinął głową.

— Simona na krótko zatkało.

— Ale skąd wiecie? To znaczy...

Kat przerwał mu niecierpliwym ruchem ręki.

— Pamiętasz, jak po raz pierwszy byliśmy na placu budowy? — zapytał. — W przydrożnym rowie utknęła furmanka. Wóz obładowano beczkami z wodą. Wtedy nie zwróciłem na to większej uwagi. Dopiero znacznie później zadałem sobie pytanie, dlaczego ktoś podejmuje taki trud i przywozi wodę w miejsce, gdzie jest przecież studnia.

Wskazał na kamienną, kolistą studnię, która sprawiała wrażenie starej i rozpadającej się. Z górnego rzędu murowania wyrwano kilka kamieni, ułożonych teraz w stos przy ziemi, jakby na kształt małych, naturalnych schodów. Do zwietrzałego, drewnianego rusztowania nad murowanym ocembrowaniem nie przytworowano łańcucha ani wiadra... Simon przełknął ślinę. Ale byli głupi!

A rozwiązanie przez cały czas mieli tuż pod nosem.

Szybko opowiedział katowi o swojej rozmowie z Jakubem Schreevoglem i o tym, co znalazł w archiwum w budynku Ballenhaus. Jakub Kuisl skinął głową.

— Na krótko przed przybyciem Szwedów Ferdynand Schreevogl musiał ze strachu gdzieś zakopać swoje pieniądze — mruknął. — Być może ukrył je w studni. Później pokłócił się z synem, a działkę wraz ze skarbem zapisał w testamencie Kościołowi.

Simon przerwał mu.

— Teraz znów przypomniało mi się, co proboszcz powiedział wtedy podczas spowiedzi — krzyknął. — Na łożu śmierci Schreevogl mówił, że dzięki tej działce proboszcz będzie mógł zdziałać jeszcze wiele dobrego. Pomyślałem wtedy, że miał na myśli przytułek. Teraz jest dla mnie jasne, że mówił o skarbie!

— Któryś handlarzyna w radzie wyczuł pismo nosem — dorzucił kat. — Przypuszczalnie stary Schreevogl opowiedział o tym komuś po pijaku lub na krótko przed swoją śmiercią, a ten ktoś uczynił wszystko, by uniemożliwić budowę na działce i znaleźć ten cholerny skarb.

— Widocznie był to burmistrz Semer — powiedział Simon: — Ma on klucz do archiwum i dzięki temu mógł położyć łapę na planie działki. Bardzo możliwe, że teraz wie również o wyschniętej studni.

— Bardzo możliwe — burknął Jakub Kuisl. — Tym ważniejsze jest, byśmy działali szybko. Rozwiązanie zagadki tkwi na dole, w studni. Może znajdę tam również wskazówkę dotyczącą mojej małej Magdaleny...

Na moment zapanowało milczenie. Słysząc było tylko ćwierkanie ptaków i od czasu do czasu śmiech strażników. Z powodu wzburzenia, jakie ogarnęło Simona w ciągu ostatniej godziny, na krótką chwilę zapomniał o Magdalenie. Zawstydział się.

— Sądzicie, że... — zaczął i poczuł, jak łamie się mu głos. Kat potrząsnął głową.

— Diabeł porwał ją, ale nie zabił. Potrzebuje jej jako zakładnika, bym pokazał mu kryjówkę dzieci. Poza tym to nie jest w jego stylu. Zanim zabije, chce najpierw mieć... zabawę. Lubi się bawić.

— To brzmi tak, jakbyście go znali lepiej — powiedział Simon.

Jakub Kuisl skinął głową.

— Myślę, że go znam. Możliwe, że już kiedyś go widziałem. Simon zerwał się z miejsca.

— Gdzie? Tutaj w okolicy? Wiecie, kim on jest? Jeśli tak, to czemu nie powiecie tego radzie, żeby kazała zamknąć łajdaka?

Jakub Kuisl zbył pytania Simona jednym ruchem ręki, jakby przepędzał natrętą muchę.

— Jesteś głupi, czy co? Nie tutaj! Kiedyś. To było... już dawno temu. Jednak mogę się mylić.

— W takim razie mówcie! Może chociaż będzie to dla nas jakaś wskazówka!

Kat potrząsnął nagle głową.

— To nas do niczego nie zaprowadzi — położył się na mchu i pociągnął ze swojej zimnej fajki. — Lepiej jeszcze trochę odpocznijmy, dopóki nie zapadnie zmrok. Czeka nas długa noc.

Po tych słowach kat zamknął oczy. Zdawało się, że natychmiast zasnął. Simon obserwował go niemal z zazdrością. Jak ten człowiek mógł być taki spokojny! Dla niego spanie było teraz nie do pomyślenia. Niepokojnie i z drżącym sercem wyczekiwał nocy.

Sophie oparła głowę o mokry kamień i próbowała spokojnie i równo oddychać. Wiedziała, że wraz z Klarą nie będą mogły dłużej tu zostać, gdyż brakowało im tlenu. Czuła, jak z każdą godziną jej zmęczenie wzrasta. Wewnątrz było duszno, powietrze sprawiało wrażenie gęstego i lepkiego. Od kilku dni nie mogła

wyść na górę, a swoje potrzeby fizjologiczne załatwiała obok we wnęce. Wokół śmierdziało fekaliami i zepsutym jedzeniem.

Spojrzała na śpiącą Klarę. Jej oddech stawał się coraz słabszy. Dziewczynka wyglądała jak śmiertelnie chore zwierzę, które schowało się w norze, żeby w niej umrzeć. Miała bladą, zapadłą twarz i podkrążone oczy. Sterczały jej żebra i obojczyki. Sophie wiedziała, że jej mała przyjaciółka potrzebuje pomocy. Napój, który wlała chorej do ust prawie cztery dni temu, wprawdzie pozwalał jej spać, ale gorączka jeszcze nie minęła. Poza tym prawa kostka Klary spuchła, powiększając się trzykrotnie. Sophie niemal widziała, jak pod spodem organizm tłoczy krew i walczy. Cała noga zsiniała aż do kolana, a prowizoryczne okłady na niewiele się zdały.

Już trzy razy Sophie wspinała się w górę szybu, żeby sprawdzić, czy na zewnątrz jest bezpiecznie. Za każdym razem słyszała męskie głosy, śmiech, pomruki, krzyki, kroki... Na górze coś się działo, mężczyźni krążyli i w dzień, i w nocy. Jednak, dzięki Bogu, jeszcze nie znaleźli ich kryjówek. Sophie spoglądała w ciemność. Zostało jej jeszcze pół łojowej świecy. Aby oszczędzać światło, od wczorajszego południa nie zapalała ogarka. Gdy nie mogła już wytrzymać w ciemności, wdrapywała się na górę i spoglądała w niebo. Jednak dość szybko promienie słońca zaczynały sprawiać ból jej oczom i musiała wracać na dół.

Klarze ciemność nie przeszkadzała. Dziewczynka drzemała, a gdy na krótko budziła się i wołała o wodę, Sophie ścisnęła ją za rękę i głaskała, dopóki mała znów nie zapadła w sen. Czasami Sophie śpiewała jej piosenki, których nauczyła się na ulicy. Nieraz przypominały się jej jeszcze zwrotki, które śpiewali dla niej rodzice, zanim umarli. Jednak były to tylko strzępki, fragmenty przeszłości połączone z wyobrażeniem przyjaznej twarzy lub śmiechu.

„Eia beia oma, na dachu jest słoma, na dachu są łątki, chroń, Boże, me dziatki...”

Sophie poczuła, jak jej policzki stają się mokre. Klara miała mimo wszystko dobrze. Znalazła rodzinę, która ją pokochała. Z drugiej strony, co jej to teraz pomoże? Umierała, charcząc, w skalnej jamie, tak blisko, a jednocześnie tak daleko od swoich bliskich.

Z czasem oczy Sophie przyzwyczyły się do ciemności. Nie żeby wszystko widziała, ale przynajmniej odróżniała ciemność jasną od ciemności ciemnej. Nie uderzała się już w głowę, gdy gramoliła się przez korytarze, i zauważała, kiedy przejście rozwidła się z lewej lub prawej strony. Zdarzyło się raz, przed trzema dniami, że idąc bez świecy, skręciła w złym miejscu i po kilku krokach wpadła na ścianę. Na chwilę zawładnął nią ogromny strach, że nie znajdzie drogi powrotnej. Serce waliło jej jak oszalałe, kręciła się w koło, a jej ręce trafiały w próżnię. Jednak usłyszała jęczenie Klary. Poszła za dźwiękami i w ten sposób odnalazła drogę.

Po tym doświadczeniu spruła obrąbek swojej sukienki i rozciągnęła wełnianą nitkę między wnęką a studnią. Idąc po omacku do szybu, czuła teraz wciąż pod bosymi stopami szorstką nitkę.

Tak upływały jej dni i noce. Sophie karmiła Klarę, śpiewała jej do snu, gapiła się w ciemność i zatapiała w rozmyślaniach. Od czasu do czasu czołgała się do światła, żeby zaczerpnąć powietrza. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie zataszczyć do szybu Klary, aby także i ona miała dostęp do powietrza i światła. Jednak po pierwsze, mimo swojej przerażającej chudości dziewczynka była zbyt ciężka, zaś po wtóre, jej wciąż powracające kwilenie mogło zwrócić uwagę mężczyzn. Wczorajszy głośny krzyk niemal je zdradził. Zatem musiały zostać tutaj w jamie, głęboko pod ziemią.

Sophie często zadawała sobie pytanie, do czego służyły kiedyś te korytarze, które dzieci znalazły wspólnie podczas zabawy w lesie. Czy były to kryjówki? Miejsca zebrania? A może wcale nie zbudowali ich ludzie, lecz krasnale i gnomy? Czasami słyszała szeptać, jakby naśmiewały się z niej małe, złośliwe stworzenia.

Jednak później okazało się, że był to tylko wiatr, który gwizdał przez jakieś oddalone szczeliny w skałach.

Również i teraz rozległ się jakiś dźwięk. Nie były to szepty, lecz uderzające w oddali kamienie. Kamienie, które jakby spadły z krawędzi studni...

Sophie wstrzymała oddech, bowiem zaraz potem usłyszała szepczące głosy. Ktoś przeklinał. Głosy nie pochodziły tak jak zwykle z góry, lecz rozbrzmiewały bardzo blisko, jak z dna studni.

Dziewczynka instynktownie pociągnęła wełnianą nitkę, aż poczuła w rękę jej koniec. Może nie znajdą już drogi wyjścia. Jednak w tym momencie ważniejsze było, by mężczyźni, których słyszała, nie znaleźli ich obydwu. Przyciągnęła nogi do siebie i ścisnęła rękę Klary. Czekala.

Gdy zapadł zmrok, kat podniósł się ze swojego legowiska na mchu i spojrzał przez gałęzie na obydwu strażników.

—Będziemy musieli ich związać, żeby nie napytać sobie biedy — szepnął. — Księżyc jasno świeci, a studnia stoi dokładnie na środku karczowiska. Ze wsząd dobrze ją widać, jak gołą dupę na cmentarzu.

—Ale... jak chcecie sobie z nimi poradzić? — wyjąkał Simon. — Bądź co bądź, jest ich dwóch.

Kat uśmiechnął się szeroko.

— Nas przecież też.

Simon jęknął.

—Kuisl, nie mieszajcie mnie do tego. Ostatnim razem nie popisałem się. Jestem lekarzem, a nie rzezimieszkiem. Bardzo możliwe, że znów wszystko sknocę.

—Może i masz rację — odrzekł Jakub Kuisl, dalej spoglądając w stronę strażników, którzy rozpalili małe ognisko obok murów kościelnych i zaczęli po-

dawać sobie z rąk do rąk butelkę wódki. W końcu znów odwrócił się do Simona.  
— Dobrze, zostań tu i nie ruszaj się. Zaraz wrócę.

Przedarł się przez krzaki i poczołgał przez wysoką łąkę w stronę placu budowy.

— Kuisl! — szepnął za nim Simon. — Nie róbcie im krzywdy, do—  
brze?

Kat jeszcze raz odwrócił się ze złośliwym uśmiechem na twarzy. Spod swojego płaszcza wyciągnął małą pałkę z wypolerowanego modrzewiowego drewna.

— Zaszumi im w głowie, co i tak nastąpi, jeśli dalej będą tak zło—  
pać. Więc na jedno wychodzi.

Poczołgał się dalej, aż wreszcie dotarł do stosu drewna, za którym Simon ukrywał się ostatniej nocy. Tam podniósł kamień wielkości pięści i przerzucił go przez kościelne mury. Kamień uderzył o ziemię, wydając stłumiony odgłos.

Simon widział, jak strażnicy przerwali picie i zaczęli do siebie szeptać. Później jeden z nich wstał, wziął miecz i przeszedł się naokoło fundamentów. Po dwudziestu krokach zniknął z pola widzenia swego kompana.

Tymczasem kat rzucił się na niego jak czarny cień. Simon usłyszał przytłumione uderzenie, krótki jęk, po czym znów nastał spokój.

W ciemności medyk mógł teraz dostrzec jedynie zarys postaci kata. Jakub Kuisl kucnął za murkiem. Tymczasem drugiego strażnika ogarnął niepokój. Po chwili zaczął wołać swojego zaginionego przyjaciela, najpierw cicho, a później coraz głośniej. Gdy nie usłyszał odpowiedzi, wstał, chwycił za halabardę i latarnię i ostrożnie przespacerował się wokół murów kościoła. Gdy mijał krzaki, Simon dostrzegł, jak jego latarnia krótko zamigotała, a potem raptem zgasła. Chwilę później zza krzaków wyszedł kat i machając, przywołał do siebie Simona.



— Szybko, musimy ich związać i zakneblować, zanim dojdą do siebie — szepnął, gdy medyk do niego dotarł. Jakub Kuisl uśmiechał się szeroko, jak po udanym psikusie. Z przyniesionego ze sobą worka wyjął zwiniętą linę.

— Jestem pewien, że mnie nie poznali — powiedział. — Jutro będą opowiadać Lechnerowi o całych hordach żołnierzy i o tym, jak bohatersko z nimi walczyli. Może na dowód tego powinienem im wymierzyć jeszcze kilka dodatkowych ciosów?

Rzucił Simonowi kawałek liny. Wspólnie związali obydwu nieprzytomnych woźnych sądowych. Ten, którego kat powalił na ziemię jako pierwszego, krwawił z tyłu głowy. Drugiemu już urósł na czole okazały guz. Simon sprawdził im bicie serca i oddech.

Obydwaj żyli. Medyk z ulgą znów wziął się do roboty.

Na koniec jeszcze zakneblowali strażników porwanymi strzępami płótna i wynieśli ich za stos drewna.

— Dzięki temu nie zobaczą nas, w razie gdyby się obudzili — powiedział Jakub Kuisl, idąc już w stronę studni. Simon zawahał się. Popędził z powrotem do obozu strażników, zabrał dwa ciepłe koce i przykrył obydwu nieprzytomnych mężczyzn. Później pobiegł za katem. Była to obrona konieczna! Gdyby kiedykolwiek doszło do procesu, wówczas jego troskliwość może uznają za okoliczność łagodzącą.

Księżyc już się pokazał, otulając plac budowy niebieskawym światłem. Małe ognisko rozpalone przez strażników jeszcze delikatnie się żarzyło. Wokół panowała całkowita cisza. Jakub Kuisl trzymał pochodnię przy spróchniałym ramieniu rusztowania, które wznosiło się w poprzek nad szybem studni.

— Tu są świeże ślady drapania — mruknął, przeciągając palcem wzdłuż belki. — W niektórych miejscach jasne drewno wyziera spod spróchniałej powierzchni.

Spojrzał w głąb.

— Dzieci rzuciły linę nad belką i opuściły się po niej w dół.

—A dlaczego teraz nie wisi tu żadna lina, skoro są na dole? — zapytał Simon.

Kat wzruszył ramionami.

— Przypuszczalnie Sophie zabrała linę ze sobą, żeby nie wzbudzać podejrzeń. By znów dostać się na górę, musi zarzucić ją z dołu na belkę. Nie jest to takie proste, ale Sophie jest do tego zdolna.

Simon skinął głową.

— Pewnie już raz wyszła na zewnątrz w ten sposób, gdy odwiedziła mnie w lesie, by opowiedzieć mi o Klarze — powiedział, zagładając do wnętrza szybu. Otwór był czarny jak otaczająca ich noce.

Rzucił w dół kilka kamieni i usłyszał, jak uderzają o dno.

— Zgłupiałeś? — zaklął kat. — Teraz z pewnością tam na dole wiedzą, że idziemy!

Simon wyjąkał:

—Ja... ja tylko chciałem sprawdzić głębokość studni. Im głębsza studnia, tym więcej czasu potrzebuje kamień, żeby spaść na dno. A z czasu między...

—Kretyn — przerwał mu kat.— Studnia nie może być głębsza niż na dziesięć kroków. W przeciwnym razie Sophie nigdy nie zdołałaby zarzucić liny od dołu.

Po raz kolejny Simonowi zaimponowała prosta, a jednocześnie żelazna logika rozmówcy. Tymczasem Jakub Kuisl wyjął z worka kolejną linę i zaczął zawiązywać ją wokół belki.

— Zejdę w dół jako pierwszy — powiedział. — Gdy coś zobaczę, pomacham ci latarnią, a ty zejdziesz za mną.

Simon skinął głową. Kat jeszcze raz sprawdził wytrzymałość belki, mocno pociągając za linę. Belka zatrzeszczała, ale trzymała się. Kuisl przywiązał sobie latarnię do paska, chwycił obiema rękami linę i zsunął się w głąb studni.

Już po kilku metrach pochłoneła go ciemność. Wkrótce o tym, że w dole przebywał człowiek, świadczyło już tylko błyskające w mroku światelko. Opadało ono coraz niżej i niżej, aż nagle zatrzymało się. Później zaczęło poruszać się w jedną i w drugą stronę.

Simon jeszcze raz głęboko odetchnął. Również przywiązał sobie latarnię do paska, po czym chwycił linę i zszedł w dół.

Po kilku metrach stwierdził, że kat miał rację, a po mniej więcej dziesięciu krokach dostrzegł dno. W świetle latarni połyskiwało kilka kałuż wody, poza tym szyb był suchy. Gdy Simon dotknął gruntu, poznał przyczynę takiego stanu rzeczy. Z jednej strony szybu znajdowała się sięgająca kolan, półowalna dziura, która przypominała mu łuk bramy prowadzącej do kaplicy. Wyglądała tak, jakby ludzie wykopali ją w glinianym podłożu. Za nią zaczynał się niższy szyb. Obok lochu stał kat i szeroko się uśmiechał, wskazując latarnią na wejście.

— Podziemne miasto — szepnął. — Kto by pomyślał? Nie wiedziałem, że coś takiego jest w ogóle w okolicy.

— Co? — zapytał Simon.

— System podziemnych przejść. Ludzie czasami mówią też o wyrobisku korytarzowym. W czasie wojny wiele takich widziałem. Chłopi ukrywali się w nich, gdy pojawiali się żołnierze. Nieraz nie wychodzili stamtąd przez wiele dni.

Kat rozświetlił pochodnią ciemny tunel.

— Te jamy zrobili ludzie — ciągnął cichym głosem. — Są one stare jak świat i nikt nie wie, do czego kiedyś służyły. Niektórzy sądzą, że spełniały funkcję kryjówek. Mój dziadek opowiadał mi jednak, że dusze zmarłych miały tu znajdować swój wieczny spokój. Inni mówią, że zbudowały je same krasnoludki.

Simon dokładniej przyjrzał się owalowi. Rzeczywiście, wyglądało to jak wejście do jaskini krasnoludków. Albo jakbrama do piekła...

Chrząknął.

— Ksiądz mówił, że podobno kiedyś spotykali się w okolicy czarodziejki i czarownicy. Było to pogańskie miejsce, w którym urządzano mroczne zabawy. Czy mogłoby to wiązać się z tym... miastem?

— Tak czy owak — powiedział Jakub Kuisl, klękając — musimy wejść do środka. A więc naprzód.

Simon zamknął na chwilę oczy, mamrocząc akt strzelisty ku niebu, które zasnuwane chmurami, znajdowało się dziesięć kroków nad nimi. Później wczołgał się za katem do wąskiego tunelu.

Stojący powyżej przy krawędzi studni diabeł zaczął węszyć. W powietrzu unosił się zapach zemsty i odwetu. Odczekał jeszcze moment, po czym zszedł po linie w dół.

Gdy Simon przekroczył podziemną bramę, zauważył, że nie będzie to przyjemny spacer. Już po kilku metrach tunel zwęził się. Aby móc posuwać się do przodu, medyk w jednym miejscu musiał niemal czołgać się bokiem na ramieniu. Czuł, jak kamienie o ostrych krawędziach drapią mu twarz i ciało. Później przejście zrobiło się trochę szersze, ale nieznacznie. Schylony włókł się metr po metrze do przodu, w jednej ręce trzymając latarnię, zaś drugą podpierając się o mokrą glinianą ścianę. Próbował przy tym odegnać myśl o tym, jak wyglądają teraz jego spodnie i kaftan. Jednak w ciemności, tak czy owak, trudno mu było to sprawdzić.

Jego jedynym punktem orientacyjnym była migocząca latarnia poruszającego się przed nim kata. Jakub Kuisl miał wyraźne trudności z przeciskaniem przez to igielne ucho swojego umięśnionego, barczystego ciała. Z wysklepionego jak w szybie górniczym sufitu wciąż sypała się ziemia, która wpadała mu za koł-

nierz. Na ścianach w regularnych odstępach pojawiały się pokryte sadzą wnęki wielkości dłoni. Wyglądały tak, jakby kiedyś stały w nich świece lub lampy olejne. Licząc je, Simon próbował orientacyjnie mierzyć długość korytarza. Mimo to już po kilku minutach stracił jakiekolwiek poczucie czasu.

Nad nimi leżały tony skał i ziemi. Przez moment medyk pomyślał o tym, co by się stało, gdyby mokra glina nad jego głową nagle się na niego zawałiła. Czy zdążyłby coś poczuć? Czy skała łaskawie złamałaby mu kark? A może dusiłby się powoli? Gdy zorientował się, że jego serce wali jak oszalałe, spróbował skierować swoje myśli na coś przyjemnego. Pomyślał o Magdalenie, o jej czarnych włosach, ciemnych roześmianych oczach, pełnych ustach... "Wyraźnie widział przed sobą jej twarz, niemal na wyciągnięcie ręki. Nagle jej wyraz zmienił się. Zdawało się, że dziewczyna chce do niego coś zawołać. Jej usta otwierały się i zamykały bezgłośnie, a w oczach czaił się nagi strach. Gdy całkowicie odwróciła się w jego stronę, ów sen na jawie pękł jak mydlana bańka. Korytarz skręcił i przekształcił się w izbę wysokości człowieka.

Czołgający się przed nim kat wyprostował się i oświetlił latarenką pomieszczenie. Simon z trudem strzepał ze spodni brud, po czym również się rozejrzał.

Izba kształtem przypominała kwadrat, miała mniej więcej trzykroki szerokości i długości. Po bokach znajdowały się małe wnęki i stopnie, prawie jak regały. Po przeciwległej stronie dwa kolejne tunele lekko spadziście prowadziły dalej. Również i one miały owalny kształt, jak brama u początku podziemnej drogi. W lewym kącie izby stała oparta drabina, która prowadziła do dziury w suficie. Jakub Kuisl przyjrzał się jej, przyświecając sobie latarnią. W bladym świetle Simon dostrzegł zielonkawę, zbutwiałe szczęble. Dwa z nich były całkowicie połamane. Medyk zadawał sobie pytanie, czy drabina ta w ogóle była jeszcze w stanie kogoś utrzymać.

— Pewnie stoi tu w dole od niepamiętnych czasów — powiedział Jakub Kuisl, pukając kontrolnie w drewno. — Sto, może dwieście lat...? Diabli wiedzą,

dokąd prowadzi. Sądzę, że to wszystko stanowi jakiś przeklęty labirynt. Powinniśmy zawołać dzieci. Jeśli będą sprytnie, to odpowiedzą nam i zabawa w chowanego wreszcie się skończy.

— A jeśli usłyszysz nas... ktoś inny? — zapytał ze strachem Simon.

— E, a kto znowu? Jesteśmy tak głęboko pod ziemią, że niemal bym się cieszył, gdyby nasze krzyki dotarły na zewnątrz — kat uśmiechnął się szeroko. — Może nas zasypie i będziemy potrzebować pomocy. To wszystko nie wygląda zbyt stabilnie, zwłaszcza wąski tunel przy wejściu...

— Kuisl, proszę was. Z takich rzeczy nie należy stroić sobie żartów.

Simon znów poczuł nad głową tony ziemi. Tymczasem kat oświetlał przeciwnie wejście. Później zawołał w ciemność:

— Dzieci, to ja, Jakub Kuisl! Nie macie czego się obawiać! Teraz już wiemy, kto chce wam zrobić krzywdę. Z nami jesteście bezpieczne. A zatem bądźcie grzeczne i wyjdźcie!

Jego głos brzmiał dziwnie głucho i cicho, jakby glina wokół nich wsysała słowa niczym wodę. Odpowiedź nie nadeszła. Kuisl spróbował raz jeszcze.

— Dzieci! Słyszycie mnie? Wszystko będzie dobrze! Obiecuję, że wydobędę was stąd całe i zdrowe. A każdemu, kto wyrządzi wam najmniejszą krzywdę, połamię wszystkie gnaty.

Wciąż nie było odpowiedzi. Do ich uszu dochodził tylko odgłos cichego kapania strumyka. Nagle kat uderzył płaską dłońią o glinianą ścianę, tak iż oderwały się całe okruchy.

—Cholera, rusz się w końcu, przeklęta bando gnojków! Albo tak wam spiore tyłki, że nie będziecie mogły chodzić przez trzy dni!

—Nie sądę, żeby był to ton, który skłoni je do wyjścia — stwierdził Simon. — Może powinniście...

—Psst — Jakub Kuisl położył palec na ustach i wskazał na przeciwległe wejście, gdzie rozległo się ciche kwilenie. Bardzo słabo. Simon zamknął oczy, by zlokalizować kierunek, z którego ono dochodziło, jednak na próżno. Nie potrafił powiedzieć z całą pewnością, czy dźwięk docierał do nich raczej z góry, czy z boku. Można było odnieść wrażenie, jakby głos przenikał przez ziemię.

Kat również zdawał się mieć trudności. Kilkakrotnie spoglądał w górę i w bok. Później wzruszył ramionami.

—Będziemy musieli się rozdzielić. Ja wejdę po drabinie na górę, a ty pójdziesz dalej przez tunel. Ten, kto je znajdzie, głośno zawoła.

— A jeśli ich nie znajdziemy? — zapytał Simon, któremu na myśl o ponownym czołganiu się przez wąski tunel robiło się prawie niedobrze.

— Podczas szukania licz do pięciuset. Jeżeli do tej pory nie znajdziesz, to zawracaj. Później spotkamy się tutaj i wymyślimy coś nowego.

Simon skinął głową. Jakub Kuisl już wspiał się na drabinę, która pod jego ciężarem niebezpiecznie zatrzeszczała. Jeszcze raz spojrzął na Simona.

— Ach, i jeszcze coś, Fronwieser...

Simon spojrzął na niego z wyczekiwaniem.

— Tak?

— Nie zgub się. Bo w przeciwnym razie znajdą cię dopięta w dzień Sądu Ostatecznego.

Z szerokim uśmiechem kat zniknął w otworze w suficie. Przez chwilę Simon słyszał go jeszcze w izbie nad swoją głową, po czym nastąpiła cisza.

Medyk westchnął i udał się do dwóch otworów. Miały one jednakową wielkość i były jednakowo ciemne. Do którego powinien wejść? Przez moment zastanawiał się, czy pomóc sobie wyliczanką, potem jednak spontanicznie zdecydował się na prawy korytarz.

Gdy oświetlił wnętrze latarenką, dostrzegł, że sięgający do pasa tunel rzeczywiście był lekko spadzisty. Gлина przy podłożu była wilgotna i lepka. Maleń-



kie strumyczki spływały po bokach w mrok. Simon klęknął i niepewnie ruszył przed siebie. Bardzo szybko odkrył, że grunt pod jego nogami ma konsystencję śliskich roślin wodnych. Próbował rękami podpierać się o ściany. Ponieważ jednak w prawej ręce niósł latarnię, wciąż osuwał się na lewą ścianę. W końcu nie mógł już się utrzymać. Musiał zdecydować, czy wypuścić z rąk latarnię i mocno się przytrzymać, czy po prostu ześliznąć się w dół. Wybrał poślizg.

Simon zjeżdżał w dół korytarza, który stawał się teraz coraz bardziej stromy. Po kilku metrach poczuł nagle, jak ziemia pod nim się kończy. Leciał w powietrzu! Nim zdążył krzyknąć, wylądował. Podczas zderzenia z twardą glinianą podłogą z ręki wypadła mu latarenka i potoczyła się w kąt. Przez chwilę widział jeszcze skalistą izbę, podobną do poprzedniej. Później latarenka zgasła.

Pochłonęła go ciemność.

Była ona tak głęboka, że zdawała się przypominać ścianę, z którą się zderzył. Po pierwszej chwili strachu niezdarnie udał się na kolanach w kierunku, gdzie prawdopodobnie leżała latarenka. Jego ręka, która dotykała po omacku kamieni i okruchów gliny, na krótko zanurzyła się w zimnej kałuży. Później Simon poczuł rozgrzaną miedź latarenki.

Z ulgą sięgnął do kieszeni spodni po pudełko z hubkami, by znów zapalić światło, ale go nie znalazł.

Zaczął przeszukiwać kieszenie, najpierw lewą, potem prawą. W końcu pogrzebał w wewnętrznej kieszeni kaftana. Nic. Pudełko musiało mu wypaść w momencie, gdy wylądował w izbie lub jeszcze wcześniej, podczas czołgania się przez korytarze. Kurczowo trzymał bezużyteczną latarenkę, zaś drugą ręką szukał na oślep zgubionego pudełka, cały czas posuwając się na kolanach. Po krótkim czasie dotarł do przeciwległej ściany. Odwrócił się i niezdarnie wrócił na poprzednie miejsce. Po trzykrotnym powtórzeniu tej procedury, poddał się. Nigdy nie znajdzie tu małego pudełeczka.

Próbował zachować spokój. Wszystko wokół niego wciąż było czarne. Czuł się zakopany żywcem; jego oddech przyspieszył. Simon oparł się o mokrą ścianę. Później zawołał kata.

— Kuisl! Zsunąłem się! Nie mam latarni. Musicie mi pomóc!

Cisza.

— Kuisl, do cholery! To nie jest śmieszne!

Wokół nie było słychać nic poza jego przyspieszonym oddechem i wodą, która od czasu do czasu skapywała z sufitu. Czy to możliwe, że glina tłumiła pod ziemią wszelkie odgłosy?

Simon wstał i po omacku poszedł wzdłuż ściany. Po kilku metrach jego ręka uderzyła w próżnię. Znalazł wyjście do góry! Z ulgą obmacał to miejsce. Otwór mający mniej więcej szerokość ramienia zaczynał się na wysokości klatki piersiowej. Tu wpadł do izby. Gdyby udało mu się znów dostać do górnego pomieszczenia, to właściwie niechybnie spotkałby się z katem. Wprawdzie Simon nie policzył do pięciuset, jednak miał wrażenie, że jego pobyt pod ziemią trwa już wieczność. Z pewnością kat już wrócił.

Ale dlaczego w takim razie nie odzywa się?

Simon skupił się na tym, co miał przed sobą. Wziął w zęby latarnię, podciągnął ciało do góry i już miał zamiar wsunąć się przez otwór, gdy coś zwróciło jego uwagę.

Przejście biegło lekko w dół.

Ale jak to możliwe? Przecież spadł w dół do izby. Korytarz powinien wznosić się do góry! A może to był inny korytarz?

Simon z przerażeniem stwierdził, że się zgubił. Właśnie zamierzał znów wśliznąć się do izby, by poszukać właściwego przejścia, gdy nagle usłyszał jakiś dźwięk.

Było to ciche jęczenie.

Dobiegało z tunelu, który prowadził w dół. Było bardzo blisko. Dzieci! Tam na dole siedziały dzieci!

— Sophie! Klara! Słyszycie mnie? To ja, Simon! — krzyknął.

Płacz ustał. Za to rozległ się głos Sophie.

— Czy to naprawdę ty, Simon?

Medyk poczuł ulgę. Przynajmniej odnalazł dzieci! Może kat już jest z nimi? Oczywiście! Niczego nie znalazł w górnej izbie, zatem znów udał się na dół i wszedł do drugiego tunelu. A teraz stał tam razem z dziećmi i stroił sobie z niego żarty!

— Czy Kuisl jest tam z wami na dole? — zapytał.

— Nie.

— Naprawdę go nie ma? Musicie mi powiedzieć, dzieci. To już nie jest zabawa!

— Na Najświętszą Panią Maryję, nie ma go! — rozległ się z dołu głos Sophie. — O Boże, tak strasznie się boję! Usłyszałam kroki, a przecież nie mogę stąd uciec, przez Klarę...

Jej głos przeszedł w płacz.

— Sophie, nie bój się — próbował ją uspokoić Simon. — To pewnie były nasze kroki. Wyciągniemy was stąd. Co się dzieje z Klarą?

— Ona... ona jest chora. Ma gorączkę i nie może chodzić.

— „No to cudownie — pomyślał Simon. — Nie mam latarni, zgubiłem się, kat zniknął, a teraz na dokładkę muszę wynieść stąd dziecko!” — przez chwilę czuł, że rozplacze się dokładnie tak samo jak Sophie, później jednak wziął się w garść.

— Damy radę, Sophie. Na pewno. Teraz zejść do ciebie.

Wziął w zęby latarnię i ześliznął się w otchłań korytarza. Tym razem był przygotowany na upadek. Leciał tylko pół metra w dół i niemal łagodnie wylądował w kałuży lodowatej, gliniastej wody.

— Simon?

Głos Sophie dochodził z lewej strony. Medykowi wydawało się, że w ciemności widzi zarys jej sylwetki, stanowiącej trochę czarniejszą plamę, która powoli poruszała się tam i z powrotem. Simon pomachał jej. Dopiero później przyszło mu do głowy, że machanie w ciemności nie miało sensu.

— Sophie, tu jestem. A gdzie jest Klara? — szepnął.

— Leży obok mnie. Co z mężczyznami?

— Jakimi mężczyznami? — mówiąc to, Simon poczołgał się w stronę zarysu sylwetki. Poczł kamyenny stopień, a na nim mech i słomę.

— No z mężczyznami, których słyszałam na górze. Są tam jeszcze?

Simon po omacku podciągnął się na rękach na stopień. Był on tak długi i szeroki jak łóżko. Poczł leżące ciało dziecka — zimną skórę, małe palce u stóp, ścierki na nogach.

— Nie — odpowiedział. — Oni... sobie poszli. Możecie bezpiecznie wyjść.

Sylwetka Sophie pojawiła się teraz bardzo blisko niego. Sięgnął w jej stronę. Pod palcami poczł sukienkę. Ręka chwyciła go i mocno ścisnęła.

— O Boże, Simon! Tak się boję!

Simon objął drobne ciało i pogładził je.

— Wszystko będzie dobrze. Wszystko będzie dobrze. Teraz musimy tylko...

Za jego plecami rozległo się skrobanie. Goś wsunęło się powoli przez otwór do izby.

— Simon! — zawołała Sophie. — Tam coś jest. Widzę to. O Boże, widzę to!

Simon odwrócił się. W jednym miejscu, w niewielkiej odległości od nich, ciemność była czarniejsza od tła i zbliżała się w ich kierunku.

— Masz tutaj światło? — ryknął Simon. — Świecę? Cokolwiek?

— Ja... ja mam hubkę i krzemień. Muszą gdzieś tu leżeć... Rany boskie, Simon! Co... co to jest?

— Sophie, gdzie jest huba? Odpowiedz!

Sophie zaczęła krzyczeć. Simon wymierzył jej policzek.

— Gdzie jest huba? — krzyknął jeszcze raz w ciemność.

Uderzenie w twarz pomogło. Sophie natychmiast zamilkła. Przez chwilę szukała po omacku, potem podała mu włóknisty kawałek huby i chłodny krzemień. Simon wyjął zza paska sztylet i energicznie uderzył kamieniem o zimną stal. Sypnęły iskry. Huba zaczęła się tlić. W rękach medyka zamigotał maleńki płomyk. Jednak dokładnie w chwili, w której za pomocą tłących się włókien zamierzał zapalić latarenkę, poczuł dobiegający z dołu przeciąg. Na latarnię padł cień.

Zanim zgasła po raz drugi, w niknącym świetle Simon zobaczył jeszcze zbliżającą się do niego rękę. Później ogarnęła go ciemność.

Tymczasem kat przeszedł przez drugą izbę, nie znalazłszy tam nawet śladu po dzieciach. Pomieszczenie, do którego dotarł po drabinie, było puste. Na podłodze leżały skorupy starego dzbanka i kilka zbutwiałych beczkowych klepek. W kątach znajdowały się gładko wyszorowane kamienne wnęki, które wyglądały tak, jakby siedziały w nich w kucki już setki złęcznionych ludzi. Dwa tunele prowadziły z izby dalej w ciemność.

Jakub Kuisl zaklął. Ta sztolnia rzeczywiście była jakimś cholernym labiryntem! Bardzo możliwe, że ciągnęła się pod ziemią aż do kościelnych murów. Może ksiądz miał jednak rację z tymi historiami o duchach. Jakie tajemne rytuały mogły tu mieć miejsce? Ile hord barbarzyńców i żołnierzy przeszło nad tymi tunelami, podczas gdy głęboko pod ziemią mężczyźni, kobiety i dzieci ze strachem nasłuchiwali kroków i głosów zdobywców? Tego nikt nigdy się już nie dowie.

Nad wejściem do lewego tunelu widniało kilka znaków, ale Jakub Kuisl nie potrafił ich rozszyfrować. Były to kreski, łukowate linie i krzyże, które mogły stanowić dzieło natury lub człowieka.

Również i tutaj otwór był tak wąski, że dosłownie trzeba było się przezeń przeciskać. Czy w historiach opowiadanych mu trzydzieści lat temu przez starą akuszerkę tkwiło jednak ziarno prawdy? Że celowo zbudowano takie wąskie przejścia, by ciało mogło oddać Matce Ziemi wszystko, co złe, wszelkie choroby i niedobre myśli?

Kat przecisnął się przez wąski otwór i dotarł do następnej izby, która, jak dotąd, była największa. Mógł stanąć w niej wyprostowany. Od drugiego końca dzieliły go co najmniej cztery kroki. Dalej ciasny korytarz prowadził na wprost; tuż nad Kuislem znajdował się kolejny otwór. Z wąskiego szybu wyrastały blade, żółte korzenie grubości palca, które zwisając w dół, muskały go po twarzy. Katowi zdawało się, że w głębi na górze widzi maleńki blask światła. Czyżby to był księżyc? A może to tylko złudzenie optyczne wywołane faktem, że jego oczy tęskniły za światłem? Próbował wykalkulować, jak bardzo oddalił się od studni. Możliwe, że stał teraz na środku polany, tuż pod lipą, która od zawsze uchodziła za święte drzewo. Olbrzymi okaz rosnący na placu budowy miał z pewnością kilkaset lat. Czy pierwotnie poprowadzono szyb od pnia lipy do tego miejsca spoczynku dusz?

Jakub Kuisl na próbę pociągnął za korzenie. Wydawało się, że są wytrzymałe i uniosą znaczny ciężar. W pewnej chwili przyszło mu do głowy, by podciągnąć się na nich do góry i sprawdzić, czy rzeczywiście należą do lipy. Jednak później zdecydował się pójść korytarzem poziomym. Zawróci, jeśli nic za nim nie znajdzie. W myślach wciąż liczył dalej. Już wkrótce miał dojść do liczby pięćset, którą ustalił z Simonem.

Schylił się i wczołgał w wąski tunel. Jak do tej pory było to najciaśniejsze przejście. Glina i kamienie drapały go po ramionach. W ustach czuł suchość i

smak kurzu oraz błota. Miał wrażenie, że tunel kończy się lejkiem. Ślepy zaułek? Już zamierzał zawracać, gdy w świetle latarki zobaczył, że po kilku metrach przejście znów się rozszerza. Z trudem przesunął się przez ostatni odcinek do przodu. Jak korek, który wyciągnięto z butelki, wylądował w końcu w kolejnej izbie.

Pomieszczenie było tak niskie, że mógł w nim stać tylko w pozycji pochylonej, i już po dwóch krokach kończyło się przy wilgotnej, gliniastej ścianie. Kolejne przejście nie istniało. Najwyraźniej dotarł do końca labiryntu. Będzie musiał zawrócić.

Gdy skierował się w stronę wąskiego otworu, kątem oka dostrzegł coś, co przykuło jego uwagę.

Po lewej stronie izby, na wysokości klatki piersiowej, ktoś wydrapał coś w glinie. Tym razem nie były to zwykłe kreski czy bązgroły, jakie widział wcześniej nad łukiem bramy, lecz napis, który zdawał się dość świeży.

*FS. hic erat XII. Octobris, MDCXLVI.*

Jakubowi Kuisłowi zaparło dech w piersiach.

F.S....

To musiał być skrót od imienia i nazwiska Ferdynanda Schreevogla! Garnarcz był tu dwunastego października 1646 roku i widocznie zależało mu na tym, by dowiedziały się o tym przyszłe pokolenia.

Kat szybko policzył wstecz. W roku 1646 Szwedzi zajęli Schongau. Mieszkańcy uratowali miasto przed spalaniem, płacąc słony okup. Mimo to w następnych latach ofiarą płomieni padły wszystkie przedmieścia Schongau, a więc Altenstadt, Niederhofen, Soyen, a także Hohenfurch. Kuisl zastanowił się. O ile mu było wiadomo, Schongau oddano Szwedom w listopadzie 1646 roku. Jeśli zatem stary Schreevogl był tu pod ziemią jeszcze w październiku tego samego roku, wówczas mógł mieć ku temu tylko jeden powód.

Mianowicie ukrył w labiryncie swój majątek.



W głowie Kuisla kłębiły się myśli. Przypuszczalnie Schreevogl wiedział o istnieniu podziemnego miasta i tę starą rodzinną tajemnicę ostatecznie zabrał ze sobą do grobu. Gdy do Schongau przybyli Szwedzi, przypomniał sobie o podziemnych korytarzach i zakopał w nich większość swojego majątku. Jakub Schreevogl opowiadał Simonowi, że w testamencie jego ojca nie znaleziono żadnej wzmianki na temat pieniędzy. Teraz kat wiedział, dlaczego tak się stało.

Prawdopodobnie starzec zostawił tu skarb z myślą o przyszłych, cięższych czasach! A gdy poróżnił się z synem, postanowił w testamencie zapisać Kościołowi działkę wraz ze skarbem. Oczywiście nie wspomniał o nim proboszczowi ani słowem, a jedynie czynił pewne aluzje. Co powiedział Schreevogl? „Dzięki tej działce zdziałacie jeszcze wiele dobrego...”.

Kto wie, może chciał księdzu jeszcze o tym opowiedzieć, ale nagle zmarł. A może zamierzał zabrać swoją tajemnicę ze sobą do grobu.

Ostatecznie Ferdynand Schreevogl był znany z dziwaczного charakteru. Jednak ktoś musiał wiedzieć o tej tajemnicy i ten ktoś stał teraz na głowie, by odnaleźć skarb. Budowa przytułku początkowo pokrzyżowała nieznajomemu plany. Jednak później zaangażował żołnierzy, którzy sabotowali budowę, aby on przez dłuższy czas, nieobserwowany przez nikogo, mógł szukać dalej.

Nieznajomy nie cofnął się nawet przed trzema morderstwami.

Morderstwami dzieci...

Jakub Kuisl zastanowił się. Dzieci musiały zobaczyć coś, co mogłoby zde-maskować mężczyznę. Albo dowiedziały się o skarbie, a on próbował wyciągnąć z nich tajemnicę?

Kat oświetlił blaskiem latarenki gliniaste podłóże, na którym leżał gruz. W kącie o ścianę opierał się zardzewiały szpadel. Kuisl przegrzebał rękami gruz. Gdy w ten sposób niczego nie znalazł, chwycił za szpadel i zaczął kopać. Przez chwilę wydawało mu się, że w oddali słyszy słaby dźwięk podobny do cichego wołania.

Zatrzymał się. Izbę wypełniały odgłosy brzęczenia łopaty i jego przyspieszonego oddechu. Kopał i kopał, aż w końcu natknął się na twardą skałę. Nic nie ma, po skarbie ani śladu. Nie znalazł skorup, pustej skrzynki, kompletnie niczego. Czyżby dzieci były tu już wcześniej i zabrały skarb?

Jego spojrzenie jeszcze raz prześliznęło się po napisie widniejącym na ścianie.

*F.C. hiceratHI. Octobńs, MDCXLVI...*

Zdumiał się i podszedł bliżej. Obszar wokół napisu był jaśniejszy od reszty i miał kształt prostokąta wysokości łokcia, który niedokładnie otynkowano gliną, aby ukryć różnicę w stosunku do pozostałej części ściany.

Kat wziął szpadel i z całej siły uderzył w napis. Gлина rozkruszyła się, a za nią ukazały się czerwone cegły. Uderzył raz jeszcze. Cegły roztrzaskały się, odsłaniając dziurę. Początkowo miała ona wielkość pięści, ale gdy kat uderzył jeszcze trzy razy, poszerzyła się i ukazała kryjącą się za nią zamurowaną wnękę do siedzenia.

We wnęce tej stał gliniany dzban, którego otwór zapieczętowano woskiem.

Kat uderzył weń szpadlem. Dzban pękł, a wnękę zalał strumień złotych i srebrnych monet, które błyszczały w świetle latarni, tak jakby wypolerowano je dopiero wczoraj.

Skarb Ferdynanda Schreevogla... Znalazł go Jakub Kuisl.

Według jego rozeznania były to srebrne fenigi i reńskie złote guldeny, a wszystkie odznaczały się idealnym stanem i doskonałą wagą. Liczenie nie miało sensu, gdyż było ich zbyt wiele. Kuisl oszacował liczbę monet na ponad sto. Dzięki tym pieniądzom można było wybudować sobie nowy, mieszczański dom lub kupić stajnię z najszlachetniejszymi końmi! Jeszcze nigdy w życiu nie widział tylu pieniędzy naraz.

Drżącymi palcami zbierał monety i wsypywał je do swojego woreczka. Pieńdże brzęczały, a woreczek robił się coraz cięższy. Ostatecznie włożył go sobie w zęby i wcisnął się w wąski korytarz prowadzący do następnej izby.

Gdy z wielkim trudem przeczołgał się z powrotem, zlany potem wyprostował się, otrzepał ubranie z gliny i udał się w drogę do pierwszej izby. Z twarzy nie schodził mu szeroki uśmiech. Prawdopodobnie już od dawna był tam młody Simon i zalekniony czekał w ciemnościach na jego powrót. A może znalazł już dzieci? Czy wcześniej nie słyszał, jak ktoś cicho woła? Tak czy owak pokaże młokosowi ładną niespodziankę...

Kat uśmiechał się od ucha do ucha, przechodząc obok korzeni, które wyrastały z lochu i dyndały mu nad głową.

Nagle zdumiał się.

Dlaczego one się poruszają?

Od chwili, gdy ostatnim razem przeszedł przez pomieszczenie i musnął korzenie, minęło trochę czasu. Mimo to wciąż kołysały się lekko w jedną i w drugą stronę. Na dole nie było żadnego wiatru. Zatem albo ktoś tuż nad nim chodził na górze po polanie i placu budowy, sprawiając, że korzenie zaczęły drżeć, albo...

Ktoś musiał dotknąć ich na dole.

Czy przechodził tędy ktoś inny? Ale kto? I dokąd szedł? Izba miała tylko dwa otwory. Z jednego wyszedł wcześniej, a drugi kończył się ślepym zaułkiem.

Oczywiście pomijając znajdujący się nad nim szyb.

Kat ostrożnie zbliżył się do dolnego końca otworu i spojrział w górę. Bładożółte korzenie muskały go po twarzy niczym palce.

W tym momencie z szybu wyleciało w jego stronę coś dużego i czarnego, przypominającego olbrzymiego nietoperza. Kuisł instynktownie odskoczył w bok i ramieniem boleśnie zderzył się z gliniastym podłożem. Mimo to udało mu się utrzymać płonącą latarenkę. Nerwowo zaczął grzebać przy swoim pasku, przy którym wisiała pałka z modrzewiowego drewna. Kątem oka dostrzegł jakąś po-

stać, która zręcznie toczyła się po ziemi i znów stawała na nogi. Miała na sobie krwistoczerwony kaftan. Kapelusz z kogucim piórem podczas skoku zsunął jej się z głowy. Połyskująca kościstą bielą lewa ręka trzymała pochodnię, zaś prawa była zaciśnięta wokół rękojeści szabli. Diabeł uśmiechał się.

— Dobry skok, kacie. Ale czy naprawdę myślisz, że w ten sposób mógłbyś mi uciec?

Wskazał na pałkę w ręku Kuisla. Tymczasem kat stanął na nogi i kołysał swoim masywnym tułowiem tam i z powrotem w oczekiwaniu na atak. Pałka w jego prawym łapsku sprawiała wrażenie zabawki.

— Przed tobą nie muszę uciekać — odparł. — Gdy zrobię z tobą porządek, to nie pozna cię nawet rodzona matka. Jeśli w ogóle kiedykolwiek ją miałeś.

Diabeł nadal się uśmiechał, zaś Jakub Kuisl w głębi ducha klął. Ale z niego dureń! Wskazał żołnierzowi drogę do dzieci! Przecież to było jasne, że diabeł będzie go śledzić. Wpadli w jego pułapkę jak ostatnie osły!

Kątem oka próbował poszukać za sobą tunelu. Diabeł miał rację. W walce z mężczyzną uzbrojonym w szablę nie miałyby żadnych szans już przez sam fakt, że ten dysponował większym zasięgiem. Poza tym stojący przed nim mężczyzna był wytrawnym wojownikiem. Z samych jego ruchów, ze sposobu wymachiwania szablą Jakub Kuisl mógł wywnioskować, że ma do czynienia z co najmniej równym mu przeciwnikiem. Żołnierz lekko utykał, jednak zdawało się to wcale go nie ograniczać. Prawdopodobnie owo upośledzenie zwracało na siebie uwagę tylko podczas przemierzania dłuższych dróg. W każdym razie stojący przed nim mężczyzna bynajmniej nie sprawiał wrażenia niegroźnego. A wręcz przeciwnie — kipiał chęcią walki.

Jakub Kuisl zastanawiał się, jakie jeszcze pozostały mu możliwości. Odwrót nie wchodził w grę. Nie mógł uciec przez wąski tunel w kierunku studni tak, by diabeł nie pokroił go wcześniej na kawałki. Pozostało tylko mieć nadzieję, że

Simon w porę zauważy walkę i przyjdzie mu z pomocą. Na razie musiał starać się zyskać na czasie.

— No, chodź! A może jesteś odważny tylko wobec dzieci i kobiet? — krzyknął głośno Jakub Kuisl, wychodząc z założenia, że Simon musi go usłyszeć. Jeszcze raz zerknął w stronę wyjścia.

Diabeł wykrzywił z politowaniem usta.

— Och, masz nadzieję na pomoc? — zapytał. — Wierz mi, te korytarze są tak rozgałęzione i głębokie, że twój krzyk dochodzi tylko do najbliższej ściany. Znam te jaskinie. W czasie wojny kilka z nich oczyściłem za pomocą dymu. Gdy chłopci, zataczając się, wychodzili z nich na wpół uduszeni, ja w spokoju mogłem posyłać ich na tamten świat. A jeśli chodzi o medyka...

Wskazał na wąskie wyjście sięgające do pasa.

— Niech sobie przyjdzie. Gdy tylko wystawi głowę, obetnę mu ją jak kurze.

— Przysięgam, diable, jeśli Simonowi lub mojej Magdalenie włos spadnie z głowy, to połamię ci wszystkie gnaty — szepnął kat.

— Och, naturalnie, możesz tak zrobić. W końcu jest to twój zawód, prawda? — rzekł żołnierz. — Ale nie martw się, twoją córkę zostawiłem sobie na później. Chociaż... Oczywiście nie wiem, co właśnie wyrabiają z nią moi przyjaciele. Już długo nie mieli kobiety, wiesz? Przez to są trochę... nieokiełznani.

Jakubowi Kuislowi zrobiło się ciemno przed oczami. Ogarnęła go wściekłość. Niewyobrażalna wściekłość.

„Muszę wziąć się w garść. On chce, żebym stracił panowanie nad sobą”.

Kilka razy głęboko odetchnął. Złość skryła mu się w trzewiach, ale nadal jeszcze nie zgasła. Kat ostrożnie zrobił kilka kroków w tył. Mówiąc dalej, próbował swoim ciałem osłonić wyjście. Gdyby Simon wyczołgał się z tunelu, diabeł musiałby w ten sposób przejść najpierw obok niego. A wtedy? Wychudzony student i stary chłop z pałką przeciw wprawnemu, uzbrojonemu żołnierzowi... Potrzebował czasu! Czasu do namysłu!

— Ja... ja cię znam — powiedział. — Kiedyś już spotkaliśmy się w Magdeburgu.

W oczach diabła przez chwilę zatliło się wahanie. Jego twarz wykrzywiła się, tak jak dziś rano w ogrodzie.

— W Magdeburgu? A co ty miałeś do roboty w Magdeburgu? — zapytał w końcu.

Kat zaczął wymachiwać pałką.

— Byłem żołnierzem... tak samo jak ty — powiedział. Jego głos ochrypl. — Nigdy nie zapomnę tego dnia, 20 maja 1631 roku, gdy razem z Tillym wtargnęliśmy do miasta. Starzec jeszcze wczesnym rankiem wyjął wszystkich magdeburczyków spod prawa.

Diabeł skinął głową.

— To prawda. Rzeczywiście tam byłeś. Cóż, w takim razie istotnie mamy ze sobą coś wspólnego. Jak pięknie. Ale niestety za nic w świecie nie mogę sobie ciebie przypomnieć.

Później jednak przez jego twarz przebiegło drżenie sugerujące, że rozpoznaje swojego rozmówcę.

— Ty jesteś... tym mężczyzną z ulicy! Dom przy murach miasta... Teraz sobie przypominam!

Na maleńką chwilę kat zamknął oczy. Wróciło wspomnienie. To, co w ogrodzie przed jego domem stanowiło jeszcze cienie i strzępki, teraz przybrało realne kształty. Obrazy bombardowały go niczym gradowe kulki.

Ogień armatni... Wyłom w murze. Krzyczące kobiety i dzieci biegnące wzdłuż ulicy. Kilkoro potyka się, żołnierze wkrótce dopadają je i rąbią wszystkie na kawałki. Krew płynie szerokimi strumieniami w dół uliczki, a ludzie z piśkiem ślizgają się na niej. Z lewej strony stoi dom patrycjuszowski, z którego dobiegają głośnie krzyki i płacz. Dach i pierwsze piętro stoją już w płomieniach. W otwartych drzwiach widać mężczyznę, który trzyma za nóżki niemowlę z



główką skierowaną do dołu, jak jagniątko przeznaczone na rzeź. Niemowlę krzyczy tak głośno, że zagłusza ogień armatni, śmiech żołnierzy i trzask płomieni. Na ziemi leży we krwi mężczyzna. Jakaś mieszcza osuwa się na kolana przed żołnierzem i ciągnie go za kaftan.

— Twoje pieniądze, gdzie są twoje cholerne pieniądze, ty heretycka dziwko? Gadaj!

Kobieta tylko płacze i potrząsa głową. Niemowlę krzyczy i krzyczy. Wtedy mężczyzna podnosi wijące się dziecko i uderza nim o futrynę. Raz, drugi, trzeci. Krzyk ustaje. Uderzenie szablą i kobieta upada na bok. Żołnierz spogląda na drugą stronę uliczki. W jego oczach tli się szaleństwo. Szyderczy błysk, usta drgają jakby pod wpływem skurczu. Podnosi rękę i macha. Ma białą rękę i skrzywione, kościste palce, które zapraszają do uczestnictwa w wielkim szale zabijania. Później mężczyzna znika we wnętrzu domu.

Z góry dochodzą krzyki. Kuisl przeskakuje przez mężczyznę, kobietę, niemowlę i biegnie za nim po płonących stopniach na górę.

Po lewej stronie jest pokój. Żołnierz stoi przed młodą dziewczyną, która leży na stole między rozbitymi naczyniami i roztrzaskanymi karafkami na wino. Ma zakrwawioną, zadartą do kolan sukienkę. Żołnierz uśmiecha się do Jakuba i wykonuje zachęcający gest. Dziewczyna gapi się w pustkę szeroko otwartymi ze strachu oczami. Jakub sięga po szablę i zamachuje się na mężczyznę, który jednak robi unik i ucieka na balkon. Gdy biegnie za nim, żołnierz skacze z wysokości trzech metrów na ulicę. Jednak ląduje niefortunnie i koziołkuje. Później, utykając, kieruje się w boczną uliczkę. Zanim znika, wskazuje na Kuisla swoją kościotrupią ręką, jakby chciał przebić go swoimi palcami jak gwoźdźmi...

Coś świsnęło.

Wspomnienia Jakuba Kuisla zostały raptem przerwane, bowiem szabla diabła przemknęła mu tuż przy głowie. W ostatniej chwili odskoczył w bok, jednak ostrze drasnęło go w lewe ramię i pozostawiło po sobie tępy ból. Jakub Kuisl za-



toczył się do tyłu, wpadając na ścianę. Wykrzywiona nienawiścią twarz diabła błyszczała w świetle pochodni; długa blizna, ciągnąca się od ucha aż do kącika ust, drżała nerwowo.

— To byłeś ty, kacie! To ty sprawiłeś, że mam krzywą nogę. Przez ciebie kuleję! Przysięgam ci, że twoja śmierć będzie bolesna. Co najmniej tak bolesna, jak śmierć twojej córki!

Żołnierz znów zajął pozycję wyjściową. Stał na środku izby i czekał na kolejny niewłaściwy ruch swojego przeciwnika. Tymczasem Jakub Kuisl, klnąc, pocierał ranę na ramieniu. Jego dłoń była lepka od krwi. Szybko wytarł ją o płaszcz i znów skupił się na żołnierzu. W blasku latarni trudno było go dostrzec. Pochodnia stojącego naprzeciwko mężczyzny stanowiła dla Kuisla jedyną wskazówkę, gdzie ma uderzać. Upozorował atak z prawej strony, po czym z lewej natarł na diabła, który zrobił nagle krok w bok, wskutek czego kat zatoczył się obok niego i wpadł na ścianę. W ostatnim momencie Kuisl wyrzucił w górę pałkę. Twarde modrzewiowe drewno wprawdzie nie trafiło przeciwnika w potylicę, jak zaplanował, ale przynajmniej w łopatkę. Z okrzykiem bólu diabeł odskoczył w tył i oparł się o ścianę. Dysząc, stali teraz obydwoj naprzeciwko siebie, każdy z plecami przy ścianie, mierząc się chłodnym wzrokiem.

— Niezły jesteś, kacie — powiedział diabeł między kolejnymi oddechami. — Ale wiedziałem o tym. Już w Magdeburgu widziałem w tobie godnego przeciwnika. Walka z tobą na śmierć i życie sprawi mi przyjemność. Słyszałem, że na zachodnioindyjskich wyspach dzicy zjadają mózgi swoich najpotężniejszych wrogów, aby przeszła na nich ich siła. Sądzę, że tak uczynię również z tobą.

Bez ostrzeżenia skoczył wprost na Jakuba Kuisla. Szabla wibrowała w powietrzu, frunąc dokładnie w stronę jego gardła. Kat instynktownie poderwał pałkę do góry i w ten sposób skierował ostrze w bok. Modrzewiowe drewno nadłupało się, ale nie pękło.

Kuisl wepchnął diabłu łokieć w brzuch, tak iż ten wystraszony sapnął. Potem pobiegł do przeciwległej ściany. Zamienili się stronami. Po ścianach tańczyły cienie, latarnia i pochodnia wypełniły izbę w migoczącym czerwono-błękitnym blasku.

Niemalże ekstatycznie jęcząc, żołnierz pochylił się, trzymając uzbrojoną rękę na swoim brzuchu. Mimo to nawet na sekundę nie spuszczał z oka kata, który wykorzystał ten moment, by zerknąć na swoją ranę. Szerokie rozcięcie ziało otworem w kaftanie na wysokości lewego ramienia. Lała się z niego krew, jednak zdawało się, że rana nie była głęboka. Kuisl zacisnął pięść i poruszył ramieniem, aż poczuł kłujący ból. Ból był dobry, gdyż oznaczał, że ramię jeszcze funkcjonowało.

Dopiero teraz Jakub Kuisl miał czas na to, by dokładniej przyjrzeć się kościstej ręce swojego przeciwnika, która przyciągnęła jego uwagę już w Magdeburgu. Składała się z pojedynczych, kościanych członów palca, połączonych ze sobą za pomocą miedzianego druta. Po jej wewnętrznej stronie znajdował się metalowy pierścień, w którym tkwiła płonąca, lekko bujająca się tam i z powrotem pochodnia. Kat przypuszczał, że do tego pierścienia można było doczepić również inne przedmioty. Z czasów wojny znał różne protezy, z których większość składała się z drewna i była dość grubo ciosana. Jednak takiej mechanicznej kościanej ręki jak ta nie widział jeszcze nigdy.

Diabeł zauważył jego spojrzenie.

— Podoba ci się moja rączka, co? — zapytał, tam i z powrotem machając ręką i pochodnią. — Mnie też przypadła do gustu. Wiesz, że to moje własne kości? Kula ze strzelby zgruchotała mi prawe ramię. Gdy w ranę wdała się gangrena, musieli mi odjąć rękę. Z kości kazałem sobie zrobić tę ładną pamiątkę. Jak widzisz, idealnie spełnia swoją rolę.

Podniósł rękę do góry, a blask pochodni oświetlił jego bladą twarz. Kat myślał o tym, jakim sposobem żołnierz ukrył się wcześniej w szybie pod sklepie-

niem. Dopiero teraz uświadomił sobie, że musiał podciągnąć się do góry na swojej zdrowej ręce! Cóż za siły drzemały w tym człowieku? W konfrontacji z nim nie miał najmniejszego cienia szansy. Gdzie jest Simon, do cholery!

Żeby zyskać na czasie, zadawał kolejne pytania.

— Dostaliście polecenie sabotowania placu budowy, prawda? Ale zobaczyły was dzieci i dlatego musiały umrzeć.

Diabeł potrząsnął głową.

— Niezupełnie, kacie. Dzieci miały pecha. Ukryły się tutaj, gdy otrzymaliśmy polecenie i pierwszą część naszych pieniędzy. Handlarzyna bał się, że mogły go rozpoznać. Dlatego kazał nam zamknąć im usta.

Kat niepostrzeżenie drgnął. Dzieci znały zleceniodawcę! Wiedziały, kto się za tym wszystkim krył!

Nic dziwnego, że nie odważyły się przyjść do miasta. Musiał to być bardzo wpływowy człowiek, ktoś, kogo znały i o kim wiedziały, że ludzie prędzej uwierzyliby jemu niż im. Kogoś, kogo reputacja wisiała teraz na włosku.

Czas. Potrzebował więcej czasu.

— Pożar magazynu służył tylko odwróceniu uwagi, nieprawdaż? — dopytywał. — Twój przyjaciele trochę pobawili się zapalkami, podczas gdy ty zakradłeś się do miasta, żeby porwać Klarę...

Diabeł wzruszył ramionami.

— A w jaki inny sposób miałem się do niej zbliżyć? Wcześniej zasięgnąłem języka. Sprawa z chłopakami była prosta; małe maskary wałęsały się po mieście. A tę rudowłosą dziewczynę też bym dorwał wcześniej czy później. Ale mała Klara była chora, przeziębła się w trakcie przespiegów. Biedactwo, musiała zostać w domu...

Potrząsnął współczująco głową, zanim znów przemówił.

— Zatem musiałem coś wymyślić, żeby kochana rodzina Schreevoglów zostawiła swoją podopieczną samą w domu. Zdawałem sobie sprawę z tego, że pa-

trycjusz przechowywał towary na dole w magazynie. A gdy ten się zapalił, Schreevogl natychmiast grzecznie pobiegł tam razem ze służbą. Niestety, wtedy mała mi uciekła, ale teraz ją dorwę. To znaczy... gdy tylko uporam się z tobą.

Upozorował ruch szablą, jednak pozostał na swoim miejscu, tak jakby chciał jeszcze wysledzić słaby punkt przeciwnika.

—A znaki czarownic? Co to miało znaczyć? — Kuisl powoli pytał dalej, nie opuszczając swojego posterunku przed wyjściem. Musiał zadbać o dobry humor diabła i mówić, mówić, ciągle mówić, aż Simon przyjdzie mu wreszcie z pomocą.

Po twarzy diabła przemknął cień zakłopotania.

— Znaki czarownic? Co za cholerne znaki czarownic? Nie gadaj bzdur, kacie.

Kuisl zdumiał się, jednak nie dał tego po sobie poznać. Czy to możliwe, żeby żołnierze nie mieli nic wspólnego ze znakami? Czyżby przez cały czas podążali fałszywym tropem? Czy Stechlinowa jednak uprawiała z dziećmi czary?

Czy akuszerka okłamała go? ,

Mimo to Jakub Kuisl pytał dalej.

— Dzieci miały na ramionach znamiona. Znaki, jakich używają także czarownice. To wy im je namalowaliście?

Na krótko zapanowała cisza. Później diabeł zaczął się głośno śmiać.

— Teraz rozumiem! — parsknął. — To dlatego zamknęliście czarownicę! Dlatego nikt nas nie szukał! Bo myśleliście, że w grę wchodzi czary! Ależ z was, handlarzyny, durna hołota! Ha, czarownica spłonie na stosie i wszystko znów będzie dobrze. Amen. I trzy razy *Ojcze nasz*. Sami byśmy tego lepiej nie wymyślili.

Kat zastanowił się. Gdzieś popełnili błąd. Miał wrażenie, że rozwiązanie jest całkiem blisko. Jeszcze jeden fragment układanki i wszystko ułoży się w całość. Tylko który?

Jednak w tej chwili miał inne problemy. Gdzie jest Simon? Czy coś mu się tutaj stało? Zgubił się?

— Jeśli tak czy owak mam iść do diabła... — pytał dalej — to możesz mi przecież powiedzieć, kto dał wam to zlecenie.

Diabeł znów się zaśmiał.

— Chciałbyś wiedzieć, co? Właściwie mógłbym ci powiedzieć, ale... — na jego twarzy ukazał się wilczy uśmiech, jakby nagle wpadł na dowcipną myśl. — Znasz się na torturach, prawda? Czy to nie jest pewien rodzaj tortury, gdy człowiek szuka rozwiązania i go nie znajduje? Gdy umierając, jeszcze ma nadzieję na poznanie prawdy, a jednak nie zostaje wybawiony? Cóż, to są moje tortury. A teraz umieraj.

Wciąż śmiejąc się, diabeł wykonał finte, potem jeszcze jedną, i nagle stanął tuż przed katem. Kuisl w ostatniej chwili zablokował szablę pałąką. Mimo to ostrze przysuwało się coraz bliżej do jego gardła. Stał plecami do ściany i nie mógł zrobić nic poza odpieraniem nacisku. Stojący przed nim mężczyzna miał niesamowitą siłę. Jego twarz przysuwała się do Kuisla, a wraz z nią ostrze szabli. Centymetr po centymetrze.

Kat poczuł od niego odór wina. Spoglądał mu oczy i widział w nich całkowitą pustkę. Wojna odarła go z uczuć i emocji. Może zawsze był szalony, a wojna dopełniła dzieła. Jakub Kuisl widział w nim nienawiść, śmierć i nic więcej.

Ostrze było teraz oddalone od jego gardła tylko na szerokość palca. Musiał coś zrobić.

Upuścił swoją latarenkę i lewą ręką popchnął głowę żołnierza w tył. Ostrze bardzo wolno odsunęło się od niego. „Nie... mogę... się poddać... Magdalena...”.

Okrzykiem zmobilizował swoje ostatnie siły i rzucił diabłem o przeciwległą ścianę, gdzie ten osunął się na ziemię niczym połamana lalka.

Żołnierz trząśnięt przez chwilę, później jednak znów stanął na nogi z szablą i pochodnią w rękach, gotowy do nowego ataku. Odwaga Jakuba Kuisla spadła

do zera. Ten mężczyzna był niezwyciężony. Wciąż będzie wstawać. Nienawiść wyzwalała w nim energię, jakiej nie posiadali zwykli śmiertelnicy.

Jego latarnia leżała w kącie. Na szczęście nie zgasła.

Na szczęście?

Nagle katowi przemknął przez głowę pewien pomysł. Dlaczego nie wpadł na niego wcześniej? Był ryzykowny, ale przypuszczalnie stanowił jego jedyną szansę. Nie spuszczać diabła z oczu, chwycił latarnię, która wciąż jeszcze migotała na ziemi. Gdy znów trzymał ją w rękach, uśmiechnął się do swojego przeciwnika.

— To trochę niesprawiedliwe, prawda? Ty z szablą, a ja tylko z pałką...

Diabeł wzruszył ramionami.

— Całe życie jest niesprawiedliwe.

— Uważam, że wcale nie musi tak być — odrzekł Kuisl. — Skoro już musimy walczyć, to przynajmniej róbmy to na tych samych warunkach.

I zdmuchnął ogień.

Jego twarz pochłonęła ciemność. Teraz był dla swojego przeciwnika niewidoczny.

W następnym momencie rzucił latarnię dokładnie w kościotrupią rękę diabła. Żołnierz krzyknął. Takiego ataku się nie spodziewał. Zrozpaczony próbował jeszcze odsunąć rękę, ale było już za późno. Latarnia uderzyła w białe kości i odziała pochodnię od zamocowania. Ta z sykiem upadła na ziemię i zgasła.

Zapadła całkowita ciemność. Kat poczuł, jakby spadł na dno błotnistego jeziora. Przez krótką chwilę głęboko oddychał. Później całym ciężarem swojego ciała rzucił się na diabła.



**Poniedziałek,**

**30 kwietnia Roku Pańskiego 1659,**

godzina 11 w nocy, noc Walpurgii

Magdalena również nie widziała niczego poza ciemnością. W ustach czuła stęchły smak knebla, liny ścisnęły jej przeguby rąk i stawy skokowe, tak że nie czuła prawie niczego poza lekkim swędzeniem. Rana na głowie wciąż jeszcze bolała, ale przestała już krwawić. Z powodu brudnego kawałka płótna zasłaniającego oczy dziewczyna nie mogła zobaczyć, dokąd niosą ją żołnierze. Zwisła na ramieniu jednego z nich niczym martwa sztuka bydła. Na domiar złego monotonne bujanie sprawiło, że dostała choroby morskiej i chciało jej się wymiotować.

Ostatnią rzeczą, którą potrafiła sobie przypomnieć, było to, że rano wyszła z miasta przez Bramę Krowią. A gdzie była wcześniej? Czegoś... szukała. Ale czego?

Znów powrócił ból głowy. Magdalena miała wrażenie, że wspo— mnienie siedziało tuż pod sklepieniem czaszki, ale za każdym razem, gdy chciała wyłowić jego fragment, ból głowy uderzał ją w czoło niczym młot.

Gdy obudziła się ostatnim razem, pochylał się nad nią mężczyzna, którego jej ojciec nazywał diabłem. Byli w jakiejś stodole, w powietrzu unosił się zapach słomy i siana. By zatamować krwawienie, mężczyzna przyłożył jej do czoła kawałek mchu, zaś lewą, dziwnie zimną ręką powoli przesunął po jej sukience.



Udawała nieprzytomną, dlatego dobrze rozumiała słowa żołnierza, który pochylił się nad nią i szepnął jej do ucha:

— Śpij, mała Magdaleno. Gdy wrócę, będziesz się modlić, żeby to wszystko okazało się snem... Śpij, dopóki tylko możesz...

Ze strachu prawie krzyknęła, jednak udało się jej dalej udawać nieprzytomną. Miała mocno zaciśnięte powieki. Może zyska szansę ucieczki?

Jej nadzieje rozwiały się, gdy diabeł ją związał, zakneblował, a na koniec jeszcze zasłonił jej oczy. Najwyraźniej chciał uniknąć sytuacji, gdy dziewczyna obudzi się i zobaczy, dokąd ją niosą. Przez pewien czas przemierzała las na jego plecach. Czuła zapach sosen, jodeł i słyszała krzyki puszczyka. Która mogła być godzina? Chłód powietrza i wołanie puszczyka pozwalały jej przypuszczać, że była noc. Czy nie świeciło poranne słońce, zanim wzięto ją do niewoli? Czyżby przez cały dzień była nieprzytomna?

A może jeszcze dłużej?

Magdalene ogarnęła panika, mimo to próbowała zachować spokój i nie drzeć. Niosący ją mężczyzna nie mógł zauważyć, że się obudziła.

W końcu zrzucił ją nagle na leśny grunt. Po chwili rozległy się głosy mężczyzn, którzy podeszli bliżej.

— Macie tu dziewczynę — powiedział diabeł. — Zanieście ją w ustalone miejsce spotkania i czekajcie tam na mnie.

Ktoś musnął ją po sukni gałęzią lub czymś podobnym, po czym podniósł do góry materiał. Nie poruszyła się.

— Mhmmm, ta twoja dziewczyna wygląda apetycznie — tuż nad nią rozległ się głos. — To katowska dziewczka? I przyjaciółka tego chudego konowała... Ha, ucieszy się, gdy będzie miała okazję do kontaktu z prawdziwymi mężczyznami!

— Zostawcie ją w spokoju, zrozumiano? — zagroził diabeł. — Ona należy do mnie i jest okazją do mojej bardzo osobistej zemsty na jej ojcu.

— Jej ojciec zabił André — zabrzmiał kolejny głęboki głos. — Znałem go pięć lat, był dobrym przyjacielem. Ja też chcę się z nią zabawić.

— Właśnie — odezwał się następny mężczyzna. — Przecież, tak czy siak, poderzniesz jej gardło. No więc dlaczego nie mielibyśmy wcześniej trochę sobie poużywać? Mamy takie samo prawo do zemsty na tym draniu kacie!

Głos diabła przybrał groźny ton.

— Powiadam, zostawcie ją w spokoju. Gdy wrócę, będziemy się bawić wszyscy, obiecuję. Ale do tego czasu, precz z łapami! Dziewczyna może wiedzieć coś, co chciałbym z niej wycisnąć. Zobaczymy się najpóźniej o świcie w ustalonym miejscu. A teraz zabierajcie się stąd!

Na gruncie leśnym rozległ się odgłos kroków, które stopniowo cichły. Diabeł zniknął.

— Szalony dureń — mruknął jeden z żołnierzy. — Nie wiem, czemu nadal to znoszę.

— Bo masz stracha, dlatego! — odrzekł drugi. — Boisz się, że cię załatwi, tak jak Seppa Stetthofera albo Martina Landsbergera! Boże, miej litość nad ich czarnymi duszami... My wszyscy się boimy!

— E, strach! — zawołał pierwszy. — Powiem ci, co zrobimy, Hans. Weźmiemy sobie dziewczynę, a potem damy nogę. A Braunschweiger niech sam grzebie i szuka tego przeklętego skarbu!

—A jeśli rzeczywiście go znajdzie, to co wtedy, łie? Pozostań tu jeszcze do świtu. Co mamy do stracenia? Jeśli nie przyjdzie — dobrze. A gdy pojawi się z pieniędzmi, wówczas zgarniemy je i odwrócimy się do niego plecami. Tak czy owak, nie włączę się z tym krwiopijcą dłużej niż do jutrzejszego ranka.

— Masz rację — mruknął drugi.

Później wziął na plecy Magdalenę, która wciąż udawała nieprzytomną. Bujanie zaczęło się na nowo.

Przewieszona przez ramię mężczyzny, dziewczyna łamała sobie głowę, co się stało, zanim diabeł powalił ją na ziemię. Przypomniała sobie, że szła na rynek, by kupić coś do jedzenia i picia dla Simona i swojego ojca. Później rozmawiała z dziećmi na ulicy, ale dokładna treść tej rozmowy była dla niej w tej chwili tajemnicą. Pozostały jej zaledwie strzępki wspomnień. Słoneczne światło. Szepczący ludzie na ulicy. Zdemolowana izba.

Czyja izba?

Ból głowy wrócił i to z takim natężeniem, iż Magdalena przez chwilę miała wrażenie, że zaraz zwymiotuje. Przełknęła ohydny smak w ustach i próbowała skupić się na drodze. Dokąd szli?

Czuła, że ścieżka prowadzi pod górę. Słyszała, jak niosący ją mężczyzna sapał i przeklinał. Wiatr wzmagął się, zatem musieli już minąć las. W końcu usłyszała krakanie. Gdzieś na wietrze rozległo się ciche piszczenie. Zaczęła coś przeczuwać.

Mężczyźni zatrzymali się i zrzucili ją na ziemię jak wiązkę drewna na opał. Nieopodal odzywały się kruki. Magdalena już wiedziała, gdzie jest. Nie potrzebowała do tego wzroku.

Czuła zapach.

W stronę Simona podbiegł czarny cień i zasłonił mu usta. Medyk przebierając nogami i rękami, próbował się bronić. Gdzie, do cholery, jest jego sztylet? Dopiero co uderzał nim o krzemień, tymczasem teraz leżał gdzieś w ciemności, całkowicie poza jego zasięgiem. Ręka na jego ustach przyciskała coraz mocniej, tak że nie mógł już zaczerpnąć powietrza. Stojąca obok Sophie zaczęła krzyczeć.

Nagle tuż przy swoim uchu usłyszał znajomy głos.

— Bądź cicho, do pioruna! On jest w pobliżu!

Simon odwrócił się pod muskularną ręką, która teraz wreszcie zwolniła uścisk.

— To wy, Kuisl! — zawołał z ulgą. — Dlaczego nic nie powiedzieliście?

— Pssst!

Mimo ciemności Simon dostrzegł teraz stojącą tuż przed nim masywną postać kata. Mężczyzna był dziwnie pochylony.

— Złapałem go... szaleńca. Ale sądzę, że jeszcze... żyje. Musimy... cicho siedzieć...

Jakub Kuisl mówił z trudem, robiąc przerwy. Simon poczuł, jak coś ciepłego kapnęło mu na lewe ramię. Kat był ranny, krwawił i nie było to drobne skaleczenie.

- Jesteście ranni! Mogę wam pomóc? — zapytał i chciał zbadać dotykiem ranę, ale kat szorstko odsunął jego rękę.

- Nie ma... czasu. Diabeł może... pojawić się tu w każdej chwili. Uhhh... — złapał się za bok.

— Co się stało? — szepnął Simon.

— Diabeł nas śledził... my głupie durnie. Zgasilem... mu światło i uciekłem. Ale zdążyłem jeszcze przylać mu kilka razy pałką, draniowi przekłębemu! — przez ciało kata przeszło drżenie. Simon początkowo myślał, że Kuisl trzęsie się z bólu, ale później zauważył, że olbrzymi mężczyzna się śmieje. Nagle znów ucichł.

— Sophie? — zapytał kat w ciemności.

Dziewczyna do tej pory milczała. Teraz jej głos rozległ się tuż obok Simona.

— Tak?

— Powiedz, dziewczyno, czy jest tu jeszcze jakieś inne wyjście?

— Jest... jest tunel. Odchodzi od tej izby. Ale jest zasypany. Simon stwierdził, że jej głos brzmiał teraz zdecydowanie inaczej niż przedtem. Spokojniej. Taką ją poznał: osieroconą dziewczynę, wałęsającą się po ulicach Schongau, przywódczynię, która przynajmniej czasami potrafiła pokonać swój strach.

— Zaczęliśmy usuwać kamienie, bo chcieliśmy się dowiedzieć, dokąd prowadzi korytarz—kontynuowała. — Ale nie daliśmy rady...

—Wtakim razie kopcie... dalej —powiedział kat.— I, na miły Bóg, zapalcie światło. Gdy ten zdechły drań przyjdzie na dół, to zawsze będziemy mogli je zgasić.

Simon macał dookoła ziemię, aż wreszcie znalazł sztylet, krzemień i hubkę. Po krótkim czasie zapłonęła łożowa świeca Sophie. Był to tylko mały kikut, ale nikłe światło przypominało Simonowi niemal jasny dzień. Rozejrzył się po izbie.

Pomieszczenie niewiele różniło się od poprzednich. Rozpoznał dziurę, z której wypadł. Na ścianach znajdowały się wnęki podobne do kamiennych foteli. Dostrzegł również mniejsze zagłębienia, na świece lub coś w tym rodzaju; powyżej jakaś dziecięca ręka nagryzmoła alchemiczne znaki i niewyraźne napisy. W podłużnej wnęce przypominającej ławkę leżała Klara. Dziewczynka gwałtownie oddychała i była blada. Gdy Simon położył jej rękę na czole, poczuł, że było rozpalone.

Dopiero teraz zauważył kata, który oparł się o kamienną ławkę obok śpiącej Klary. Zębami rozdzierał na paski kawałek swojego płaszcza i obwiązywał nimi szeroką pierś. Również na ramieniu połyskiwała mu mokra, czerwona plama. Gdy zobaczył zatroskane spojrzenie Simona, jedynie szeroko się uśmiechnął.

— Oszczędź sobie łez, konowale. Kuisl jeszcze nie jest martwy, niejeden próbował już go zabić — wskazał wzrokiem za siebie. — Lepiej pomóż Sophie odkopywać przejście.

Simon odwrócił się. Sophie zniknęła. Dopiero gdy przyjrzał się dokładniej, zauważył, że od jednej z tylnych wnęk odchodziło jeszcze przejście. Po kilku krokach kończyło się ono przed stosem kamieni. Sophie z trudem wносиła je na zewnątrz. Po jednej stronie stosu widniał otwór wielkości pięści, z którego dochodził przeciąg. Dokąd prowadzi to przejście?

Pomagając Sophie w wynoszeniu kamieni, zapytał ją:

— Mężczyzna, który czyha na nas tu na dole, to ten sam, który was ścigał, prawda?

Dziewczyna skinęła głową.

— On zabił chłopaków, bo widzieliśmy tych mężczyzn na górze, na placu budowy — szepnęła. — A teraz chce jeszcze zabić nas.

— Co widzieliście?

Sophie zatrzymała się w przejściu i spojrzała na Simona. Blask świecy był tak słaby, że medyk nie zauważył jej łez.

— Tu mieliśmy swoje tajemne miejsce — zaczęła. — Nikt o nim nie wiedział. To tutaj się spotykaliśmy, gdy napadały na nas inne dzieci. W kryjówce byliśmy bezpieczni. Tamtej nocy wyszliśmy poza mury miasta, żeby spotkać się w studni.

— Dlaczego? — dopytywał się Simon.

Sophie zignorowała pytanie.

— Spotkaliśmy się tutaj na dole. Nagle usłyszeliśmy głosy. Gdy wyczołgaliśmy się na zewnątrz, zobaczyliśmy, jak jakiś mężczyzna dawał czterem innym pieniądze. To był mały woreczek. I słysze— liśmy, co powiedział.

— Co powiedział?

— Że ci mężczyźni mają zniszczyć plac budowy. A gdy schongauscy rzemieślnicy na nowo zaczną budować, to tamci znów mają niszczyć, przez cały czas, aż on powie, że już wystarczy. Ale potem...

Głos ugrzął jej w gardle.

— Co było potem? — zapytał Simon.

— Potem Anton rozwalił stertę kamieni i oni nas odkryli. A później uciekliśmy. Usłyszałam, jak z tyłu krzyczy Peter. Ale biegłam dalej, coraz dalej, aż do murów miasta. O Boże, powinniśmy byli mu pomóc, zostawiliśmy go samego...

— znów zaczęła płakać. Simon gładził ją po zakurzonych włosach, aż się uspokoiła.

Miał już sucho w ustach, gdy w końcu zapytał:

— Sophie, to jest teraz ważne. Kim był ten mężczyzna, który dał innym pieniądze?

Sophie nadal bezgłośnie płakała. Simon poczuł, jak po jej twarzy spływa strużka łez. Mimo tego nie ustępował.

— Kim był ten mężczyzna?

— Nie wiem.

Początkowo zdawało mu się, że chyba jej dobrze nie zrozumiał. Dopiero stopniowo docierało do niego pewne przeświadczenie:

— Ty... ty nie wiesz?

Sophie wzruszyła ramionami.

— Było ciemno. Słyszeliśmy głosy. A ja rozpoznałam wśród tych mężczyzn diabła, bo miał na sobie taki czerwony kaftan. I widzieliśmy jego kościotrupią rękę. Ale nie rozpoznaliśmy tego, który dawał mu pieniądze.

Simonowi prawie zachciało się śmiać.

— Ale... ale w takim razie to wszystko było psu na budę. Te wszystkie mordstwa, wasza zabawa w chowanego... Wcale nie rozpoznaliście tego człowieka! Tylko on myślał, że go widzieliście! To wszystko było w ogóle niepotrzebne. Tyle krwi na darmo...

Sophie skinęła głową.

— Myślałam, że to wszystko jest złym snem, który minie. Ale gdy zobaczyłam w mieście diabła i gdy potem mały Anton nie żył, to wiedziałam, że on będzie nas ścigał, niezależnie od tego, cośmy widzieli. Wtedy schowałam się tutaj. Gdy przyszłam, Klara już tu była. Diabeł prawie ją złapał.

Znów zaczęła płakać. Simon próbował sobie wyobrazić, co ta dwunastoletnia dziewczyna przeżyła w ciągu ostatnich dni. Bezradnie poklepał ją po policzku.

— Wkrótce to minie, Sophie. Wydobędziemy was stąd. A później wszystko się wyjaśni. Musimy jeszcze tylko...



Chciał mówić dalej, jednak poczuł delikatny, gryzący zapach, który sprawił, że przerwał w pół zdania.

Był to zapach dymu. I coraz bardziej się wznagał. Teraz gdzieś nad nimi rozległ się ochrypły i przenikliwy głos.

— Kacie, słyszysz mnie? Jeszcze żyję! A ty? Na górze rozpałem ładny ogienek. Oliwa z twojej lampy i kilka wilgotnych belek dają porządny dym, nie uważasz? — znajdujący się nad nimi mężczyzna zakasłał sztucznie. — Teraz muszę tylko poczekać, aż wyczołgacie się stąd jak szczury z nory. Oczywiście możecie też udusić się tam na dole. Co wolicie?

Tymczasem Jakub Kuisl przyszedł do ich korytarza. Brudne pasy z płaszcza oplatały mu tułów. Simon nie dostrzegł już krwi. Kat położył palec na ustach.

— Wiesz co, kąciku? — ponownie rozległ się głos, tym razem jakoś bliżej. — Przemyslałem to i jednak zejść teraz do was na dół. Nieważne, czy dymi, czy nie dymi, nie stracę takiej okazji...

— Spieszcie się — syknął Kuisl. — Wyjdę mu naprzeciw. Simon, ty musisz nieść Klarę. Jeśli wkrótce nie uda się wam odkopać przejścia lub będzie ono prowadziło w ślepy zaułek, to pójdziecie za mną.

—Ale diabeł...? — zaczął Simon.

Kat wsunął się już do dziury, która stanowiła wyjście z izby.

— Zepchnę go z powrotem do piekła. Na zawsze. Później zniknął w szybie.

Magdalena leżała na ziemi i nie mogła się poruszyć. Nadal miała zasłonięte oczy, a knebel prawie nie pozwalał jej oddychać. Czuła unoszący się w powietrzu delikatny zapach rozkładu. W regularnych odstępach czasu coś piszczało. Wiedziała, że był to łańcuch, na którym kołysał się wisielec. Jej ojciec zawsze

dbał o to, by łańcuchy były dobrze naoliwione, ale po kilku miesiącach pod wpływem działania wiatru, śniegu i deszczu nawet dobrze naoliwione żelazo zaczęło pokrywać się rdzą.

Georg Brandner, którego szczątki służyły na górze krukom za żer, był jednym z wielu przywódców okolicznych rabusiów. Pod koniec stycznia jego banda ostatecznie wpadła w sieć woźnych sądowych landgrafa. Rabusie z całą ferajną, kobietami i dziećmi, zabarykadowali się w jaskini w Ammertal. Po trzydniowym oblężeniu w końcu się poddali. Z woźnymi sądowymi wynegocjowali wolność dla swoich rodzin, tymczasem sami bez stawiania oporu stanęli przed sądem. Młodym rabusiom, łącznie z dziećmi, obcięto prawe ręce i przepędzono ich z kraju. Czterech głównych sprawców powieszono na schongauskiej górze wisielców. Ze względu na chłód i sięgający do kolan śnieg nie było przy tym zbyt wielkiej publiczności, dlatego też egzekucja przebiegała dość godnie. Nikt nie rzucał zgniłymi owocami, choć dało się słyszeć kilka lżących okrzyków. Ojciec Magdaleny kazał mężczyznom kolejno wchodzić na drabinę, którą odsuwał zaraz po założeniu im na szyję stryczka. Rabusie wierzgali trochę nogami, sikali w spodnie — i było już po wszystkim. Trzech z mężczyzn zdjęty z szubienicy ich rodziny i zabrały do domów. Pozostał tylko związany łańcuchami Brandner, który miał służyć za odstraszący przykład. Było to prawie trzy miesiące temu. Z początku chłód dobrze go zakonserwował, jednak później rzezimieszkowi odpadła prawa noga, a reszta jego ciała przestała przypominać człowieka.

Przywódcą rabusiów w momencie śmierci miał przynajmniej cudowny widok. Góra wisielców znajdowała się na północ od miasta. Przy pięknej pogodzie można było z niej objąć wzrokiem większą część Alp. Stała samotnie, między polami uprawnymi a lasami, dzięki czemu wszyscy podróżni już z daleka widzieli, jak miasto Schongau postępowało z ulicznymi rabusiami. Szczątki ich przywódcy stanowiły doskonały odstraszący przykład dla motłochu.

Magdalena czuła, jak wiatr szarpie jej ubranie. Niedaleko rozlegał się śmiech mężczyzn. Zdawało się, że grali w kości i pili, ale dziewczyna nie potrafiła zrozumieć, o czym rozmawiali. W duchu przeklinała. Kryjówka na górze była idealnym wyborem. Nawet jeśli w ciągu najbliższych godzin do Schongau przybyłby zastępca księcia elektora ze swoimi żołnierzami, mężczyźni nie musieli się niczego obawiać. Góra wisielców uchodziła za miejsce przeklęte, w którym wieszano ludzi od niepamiętnych czasów. Tu straszyły ich dusze, a ziemia była nasycona ich kośćmi. Ten, kto nie musiał tu się wspinać, wolał tego miejsca unikać.

Choć z daleka góra była dobrze widoczna, stanowiła doskonałą kryjówkę. Kto schował się tylko kilka metrów dalej, na dole w lasu, mógł być pewien, że długo nikt go nie znajdzie.

Magdalena pocierała ręką o rękę, próbując w ten sposób rozluźnić linę. Jak długo to robiła? Godzinę? Dwie? Ćwierkały już pierwsze ptaki, zatem zbliżał się poranek. Jednak która dokładnie była godzina? Dziewczyna straciła wszelkie poczucie czasu.

Stopniowo zauważała, że lina nie była już tak mocno zawiązana i stawała się coraz luźniejsza. Ostrożnie przesunęła się na bok, aż poczuła pod sobą kamień o ostrych brzegach, który boleśnie uwierał ją w zębra. Postanowiła położyć się tak, by kamień znalazł się dokładnie pod jej nadgarstkami. Zaczęła trzeć. Po chwili poczuła, jak włókna konopnego sznurka poluzowują się. Jeśli będzie trzeć wystarczająco długo i mocno, to uwolni ręce.

A potem?

Wprawdzie z powodu opaski na oczach nie mogła zobaczyć dwóch żołnierzy, ale już w czasie drogi oszacowała, że przynajmniej jeden z nich musiał być silnym mężczyzną. Poza tym z pewnością posiadali broń i byli szybcy. Jak miałyby im uciec?

Gdy już prawie przerwała linę, usłyszała, że głosy nagle umilkły. Zbliżały się kroki. Natychmiast zaczęła udawać nieprzytomną. Kroki zatrzymały się obok niej, a strumień zimnej wody chlusnął jej w twarz. Prychnęła, łapiąc powietrze.

— Wygrałem cię, dziewczyno. Podczas gry w kości... — rozległ się nad nią głęboki głos. Ktoś kopnął ją w bok. — No, dalej, obudź się i zabawmy się trochę. Jeśli będziesz miła, to może pozwolimy ci uciec, zanim wróci Braunschweiger. Ale wcześniej musisz oczywiście pokochać się jeszcze z Christophem...

— Pośpiesz się, Hans — zawołał z oddali drugi głos. Brzmiał ciężko i bełkotliwie. — Niedługo będzie dzień, a bydlak może pojawić się tu w każdej chwili. A wtedy dzielimy go w łeb i pryśniemy!

— Właśnie, dziewczyno — powiedział Hans, który tymczasem pochylił się nad nią i zaczął szeptać jej do ucha. Śmierdział wódką i dymem. Magdalena zauważyła, że był bardzo pijany. — Dzisiaj jest twój szczęśliwy dzień. Ukatrupimy Braunschweigera, tego krwiopijcę, a wtedy nie będzie już mógł pokroić cię na kawałki. A później znikniemy ze skarbem. Ale wcześniej jeszcze porządnie cię zaspokoimy. To będzie coś całkiem innego w porównaniu z tym, jak wylizuje cię ten kościsty medyk... Wsunął jej rękę pod spódnicę.

W tym samym momencie Magdalena poluzowała ostatnie konopne włókna. Nie zastanawiając się dłużej, wysunęła prawe kolano do góry i wbiła je żołnierzowi w podbrzusze. Mężczyzna padł na ziemię ze zduszonym okrzykiem bólu.

— Rozpustna katowska dziewczka...

Tymczasem Magdalena wyciągnęła z ust knebel i zerwała z oczu opaskę. Zaczęło już świtać. Wprawdzie panowała jeszcze noc, jednak w wysokiej mgle widziała postać żołnierza, który leżał przed nią na ziemi niczym szara bryła. Magdalena przetarła oczy. Tak długo nosiła opaskę, że jej wzrok bardzo powoli przyzwyczajał się teraz do mdłego światła. W końcu rozejrzała się wokół jak zaszczute zwierzę.

Nad nią wznosiła się góra wisielców. Dziewczyna dostrzegła, jak resztki Georga Brandnera kiwają się na wietrze w jedną i w drugą stronę. Mniej więcej dwadzieścia kroków dalej zarzyło się w lasku małe ognisko. Siedząca przy nim postać podniosła się i pobiegła w jej stronę. Żołnierz lekko chwiał się na nogach, jednak zbliżał się do niej z niebezpieczną szybkością.

— Hans, czekaj! Złapię ścierwo!

Właśnie zamierzała uciec, gdy nagle poczuła uderzenie w potylicę. Leżący na ziemi mężczyzna musiał podźwignąć się i ugodzić ją konarem lub czymś podobnym. Nieznośny ból głowy wystrzelił do przodu w kierunku czoła niczym strzała. Przez chwilę myślała, że straci wzrok, jednak szybko powrócił. Magdalena szła chwiejnym krokiem przed siebie, gdy nagle wywróciła się i poczuła, jak turla się w dół zbocza. Gałęzie i osty zaplątywały jej się we włosy. W ustach poczuła smak błota i trawy. Później znów stanęła na nogi i kuśtykając, ukryła się w gęstwinie lasu. Za jej plecami rozlegały się krzyki i szybkie kroki, wciąż bliżej i bliżej.

Gdy pod osłoną niskich krzaków biegła w stronę pól, czuła, jak powraca wspomnienie wczorajszego dnia.

Znów wszystko stanęło jej wyraźnie przed oczami.

Mimo bólu i strachu, chciało jej się śmiać. Mając obydwu prześladowców na karku, biegła, walcząc o życie. Jednocześnie chichotała i płakała. Rozwiązanie było takie proste. Szkoda, że przypuszczalnie już nikomu nie będzie mogła o tym opowiedzieć.

Dym gęstniał coraz bardziej. Simonowi wciąż chciało się kasłać. Szare kłęby wnikały do korytarza, otulając Sophie, która razem z medykiem wynosiła z wej-

ścia kamień za kamieniem. Obydwoje przewiązali sobie twarze mokrymi chustkami, ale niewiele to pomagało. Simona paliły oczy. Wciąż musiał przystawać i przecierać sobie twarz. Był to cenny czas, który szedł na marne. Medyk co chwila spoglądał na Klarę, w gorączkowych drgawkach przewracając się w kamiennej niszy z boku na bok. Dla chorej dziewczynki dym musiał być piekłem.

Kat zniknął już dłuższy czas temu. Poza ich własnym dyszeniem i kasłaniem nic kompletnie nie było słychać. Dziura, która początkowo miała raptem wielkość pięści, teraz znacznie się powiększyła. Simon obserwował ją z rosnącą niecierpliwością. Wątpił, czy dwunastoletnia Sophie przypuszczalnie już mogłaby się przez nią przecisnąć, ale dla niego otwór był jeszcze za mały. Gdy medyk odsunął na bok wyjątkowo duży kamień, pozostałe ponownie zasypały otwór i musieli zacząć pracę od nowa. W końcu przejście stało się na tyle szerokie, że bez problemu można było przez nie przepchnąć również Klarę. Z drugiej strony docierał do nich świeży ciąg powietrza. Simon nappełnił nim płuca, po czym pobiegł w dół izby do Klary i wziął ją na ręce.

Dziewczynka była lekka jak wiązka suchego drewna. Mimo to miał trudności z przecięnięciem jej przez otwór.

— Pójdę przodem i zobaczę, czy przejście prowadzi gdzieś dalej — powiedział bez tchu do Sophie, gdy stwierdził, że nic nie działo. — Jeśli przeczołgam się przez dziurę, przeciągnę Klarę, a ty będziesz pchać ją od tyłu. Musimy ją trochę podnieść, żeby nie ocierała się o kamieniste podłoże. Zrozumiałaś?

Sophie skinęła głową. Jej oczy, widoczne między zakurzonymi włosami i chustką zasłaniającą usta, wyglądały jak czarne od sadzy otwory. Simon znów poczuł podziw dla jej opanowania. Ale może był to tylko szok. W ostatnich dniach ta dziewczyna widziała zbyt wiele złego.

Wykopana przez nich dziura była wystarczająco duża, by zmieściły się w niej ramiona Simona. W każdym momencie przejście mogło się w tym miejscu zawalić. Modlił się, by nie stało się to teraz. Zaciśnął zęby. Czy miał inny wy-



bór? Za jego plecami był ogień, dym i szalony żołnierz. W porównaniu z tą wizją zawalone przejście było prawie niegroźne.

Wsunął przed siebie latarenkę i poczuł, jak korytarz znów się rozszerza. Przez chwilę świecił naokoło. Tunel rzeczywiście prowadził dalej. Był tak wysoki, że schyliwszy się, można było w nim biec. W regularnych odstępach w ścianie znajdowały się pokryte sadzą małe wnęki. Po kilku krokach przejście stawało się kręte — dalej nic już nie było widać. Simon poczuł podmuch świeżego powietrza.

Znów szybko się odwrócił i wyjrzał przez dziurę.

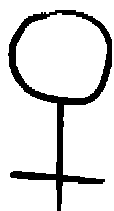
— Możesz teraz przesunąć Klarę przez otwór — krzyknął do Sophie.

Na drugim końcu dziury usłyszał stękanie i szuranie. Później zobaczył głowę Klary. Dziewczynka leżała na brzuchu, jej blada twarz skierowana była w bok. Wciąż jeszcze nie odzyskała przytomności i zdawało się, że nie dociera do niej nic z tego, co się wokół niej działo. Simon pogładził ją po przepoconych włosach.

„Prawdopodobnie to błogosławieństwo dla tego dziecka. Pomyśli, że to wszystko było tylko złym snem”.

W końcu chwycił Klarę za ramiona i ostrożnie przeciągnął ją na swoją stronę. Chociaż bardzo się starał, sukienka dziewczynki otarła się o skaliste podłoże i rozdarła, obnażając jej ramiona.

Na prawej łopatkę widniał znak. Simon po raz pierwszy widział go z góry.



Poczuł zawrót głowy. Dym i strach stały się nagle bardzo odległe. Przed sobą widział tylko znak. Oczyma wyobraźni rejestrował wszystkie alchemiczne symbole, jakie poznał podczas studiów.



Woda, ziemia, powietrze, ogień, miedź, ołów, amoniak, popiół, złoto, srebro, kobalt, cynk, magnez, rtęć, salmiak, saletra, sól, siarka, bezoar, witriol, hematyt...

Hematyt. Czyżby to było takie proste? Obstawali przy jednym tropie, zamiast szukać innych możliwości? Czy to wszystko było jednym wielkim nieporozumieniem?

Nie miał więcej czasu do namysłu, bowiem nad głową usłyszał niebezpieczne chrzęszczenie. Nagle posypał się na niego kurz. Szybko chwycił Klarę za ramiona i przyciągnął ją do siebie.

— Sophie, szybko! — ryknął w kierunku drugiego końca otworu, z którego teraz docierały do niego coraz gęstsze opary dymu. — Przejście zaraz się zapadnie!

Chwilę później w otworze ukazała się głowa Sophie. Przez moment Simon czuł pokusę, by spojrzeć również na jej plecy, jednak rozmyślił się, gdy tuż obok niego runął na ziemię wielki kamień. Pomógł dziewczynie przejść przez dziurę. Gdy Sophie była w stanie samodzielnie się wyprostować, zarzucił sobie na plecy nieprzytomną Klarę i pochyłony popędził naprzód przez korytarz.

Kiedy jeszcze raz się odwrócił, w blasku latarenki dostrzegł, że opary dymu wypełniają przejście. Później zawalił się sufit.

Walcząc z dymem, Jakub Kuisl wsunął się do szybu prowadzącego w górę. Miał zamknięte powieki. Z jednej strony w ciemności i tak by niczego nie zobaczył, z drugiej zaś dym przynajmniej nie gryzł go w oczy. Gdy od czasu do czasu lekko je uchylał, w miejscu, gdzie kończył się szyb, widział nad sobą delikatny żar. Opary dymu sprawiały, że brakowało mu powietrza do oddychania. Kat podnosił się w górę stromego przejścia, stopniowo posuwając się do przodu

dzięki pracy swoich masywnych ramion. W końcu poczuł, że dotarł do krawędzi tunelu. Ze zdyszaniem okrzykiem podciągnął się w górę do izby, przetoczył na bok i otworzył oczy.

Mrugając, dostrzegł z prawej strony sięgający ledwo kolan otwór, zaś z lewej kolejny szyb, który na wysokości klatki piersiowej prowadził dalej w górę. Tym szybem wcześniej spadł na dół po walce z diabłem. Zdawało się, że właśnie tam musiał być rozpalony ogień. Jednak również i w tej izbie wisały już potężne kłęby dymu.

Oczy Jakuba Kuisla znów zaczęły łzawić. Kat otarł sobie twarz czarnymi od sadzy palcami. Właśnie chciał dokładniej obejrzeć małe przejście z prawej strony, gdy usłyszał dobiegający z góry dźwięk.

Ciche skrobanie.

Coś powoli ześlizgiwało się w dół szybu. Katowi zdawało się, że słyszy przyspieszony oddech.

Staął z boku szybu i podniósł do góry pałkę z modrzewiowego drewna. Skrobanie zbliżało się, a odgłos poślizgu stawał się coraz wyraźniejszy. W migoczącym blasku ognia coś wysunęło się z szybu i przeleciało obok niego. Jakub Kuisl skoczył na to z krzykiem, robiąc użytek ze swojej pałki.

O wiele za późno dostrzegł, że była to tylko część zmurszałej drabiny.

W tym samym momencie usłyszał za sobą syczący dźwięk. Odchylił się w bok, jednak ostrze przejechało mu po rękawie płaszcza i uderzyło go w lewe ramię. Przeszył go tępy ból. Upadł na ziemię i poczuł, że przeleciało nad nim coś na kształt wielkiego ptaka.

Gdy kat znów się wyprostował, sklejonymi przez łzy oczami dostrzegł olbrzymi cień tańczący na przeciwległej ścianie izby. Blask ognia sprawił, że postać diabła powiększyła się dwukrotnie, tak iż górna część jego ciała rozciągała się na suficie. Długimi palcami zdawał się sięgać w stronę kata.

Jakub Kuisl mrugał oczami, aż w końcu zobaczył, że w centrum cienia stoi sam żołnierz. Dym był teraz tak silny, że kat widział go jak przez mgłę. Dopiero gdy diabeł podniósł pochodnię na wysokość głowy, dostrzegł coś więcej.

Twarz jego wroga była czerwona od krwi, która strużkami spływała mu po czole. Błyszczące oczy zdawały się odbijać światło pochodni, a zęby połyskiwały niczym kły drapieżnika.

— Jeszcze tu... jestem... kacie — szepnął. — Teraz liczymy się tylko my dwaj, ja i ty...

Kuisl pochylił się, patrząc wyczekująco i mocno ściskając w rękę pałkę. Lewe ramię piekielnie go bolało, ale nie dał tego po sobie poznać.

— Dokąd zabrałeś moją córkę? — warknął. — Gadaj, zanim cię ubiję jak wściekłego psa!

Diabeł zaśmiał się. Gdy podniósł swoją kościotrupią rękę, jak do pozdrowienia, Jakub Kuisl dostrzegł, że brakowało mu dwóch palców. Mimo to pochodnia nadal tkwiła w metalowym pierścieniu kości śródreżca.

— Chciałbyś... pewnie wiedzieć... kaciku. To dobre miejsce... Najlepsze miejsce dla katowskiej dziewczki... Może kruki wydziobały jej już oczy...

Kat podniósł groźnie pałkę, po czym się odezwał:

— Rozdepczę cię jak szczura...

Na ustach diabła błąkał się uśmiech.

— No dobrze — mruknął. — Jesteś taki jak ja... Zabijanie to nasza robota... jesteśmy do siebie... bardziej podobni, niż myślisz.

— Jesteśmy śmieciami — szepnął Jakub Kuisl.

Wypowiadając ostatnie słowa, skoczył w dym prosto na diabła

Nie odwracając się dalej za siebie, Magdalena biegła w dół zbocza. Gałęzie uderzały ją w twarz, a kolczaste krzaki szarpały za nogi i rozdzierały sukienkę. Za plecami słyszała sapiący oddech żołnierzy. Początkowo mężczyźni co chwila ją wołali, jednak od pewnego czasu bieg zmienił się w cichy pościg. Podjęli ślad niczym psy i zatrzymają się dopiero wtedy, gdy schwytają zwierzynę.

Magdalena odważyła się na krótko spojrzeć za siebie. Mężczyźni zbliżyli się do niej na odległość dwudziestu kroków. Teren leżący ćwierć mili poniżej góry wisielców nie był już gęsto porośnięty. Krzaki zniknęły, a przed nią rozpościerały się brązowe pola uprawne. O kryjówkach można było tylko pomarzyć. Jej jedyną szansę stanowiły lasy rosnące przy urwisku brzegowym Lecha. Gdyby dotarła do jodeł i brzoź, być może udałoby się jej ukryć w zagajniku. Jednak do tego miejsca było jeszcze daleko, a mężczyźni już ją doganiali.

Biegając, Magdalena rozglądała w pośpiechu na lewo i prawo, czy chłopcy się już na polach, jednak o tak wczesnej porze dnia nie było tu widać ani żywej duszy. Na drodze do Hohenfurch, co chwila pojawiającej się zza pagórków po lewej stronie, również nie było żadnych podróżujących, których można by poprosić o pomoc. A jeśli nawet? Samotna kobieta ścigana przez dwóch uzbrojonych mężczyzn — który chłop lub handlarz zaryzykowałby życie dla katowskiej córki? Ze wzrokiem utkwionym przed siebie przypuszczałnie jeszcze energiczniej popędziłby ciągnącego wóz wołu.

Magdalena była przyzwyczajona do biegania. Od dzieciństwa, często na bosaka, przemierzała długie odcinki dróg, wędrując do akuszerki mieszkającej w okolicznych wioskach. Nierzadko dla czystej przyjemności biegała przy tym przez błotniste i zakurzone ulice, aż zaczynały ją boleć płuca. Była wytrenowana i wytrzymała i teraz odnalazła swój rytm. Jednak mężczyźni za jej plecami nie chcieli dać za wygraną. Wyglądało na to, że często ganiłi ludzi i najwyraźniej sprawiało im to frajdę. W równym tempie konsekwentnie zbliżali się do celu.

Magdalena przebiegła przez ulicę i skierowała się w stronę jodłowego lasu rosnącego przy stromym brzegu Lecha. Była to raptem zielona, wąska wstęga położona za polami. Magdalena nie miała pewności, czy zdoła do niego dotrzeć. W ustach czuła metaliczny smak krwi.

Gdy tak biegła, jej myśli uwolniły się, krążąc po głowie jak małe duchy. Powróciły wspomnienia. Teraz przypomniwała już sobie, gdzie widziała znak czarownic, który widniał na plecach nieżyjących dzieci. Gdy weszła wczoraj do domu akuszerki, zwróciła uwagę na leżące na podłodze skorupy. Były to resztki glinianych tygli, które wcześniej stały na regale. Naczynia napelnione składnikami potrzebnymi akuszerce do codziennej pracy, tamujące krew kawałki mchu, uśmierające ból zioła i starte kamienie, które w formie proszku Stechlinowa dodawała do naparów przeznaczonych dla ciężarnych i chorych. Na kilku skorupach wyryto alchemiczne symbole. Były to znaki stosowane już przez wielkiego Paracelsusa, często spotykane u akuszerki.

Na jednej ze skorup Magdalena dostrzegła znamię czarownic.

Najpierw zdumiała się. Go oznacza ono w domu akuszerki? Czy Stechlinowa była czarownicą? Jednak gdy Magdalena obróciła skorupę w rękach w jedną i w drugą stronę, zobaczyła znak odwrócony do góry nogami.

I nagle znamię czarownic zmieniło się w niewinny symbol alchemiczny.

Hematyt. Krwawnik...

Uzyskany z niego proszek podawano przy porodach, zapobiegając w ten sposób krwawieniom. Był to niewinny środek uznany w wyższych kręgach lekarskich, choć sama Magdalena wątpiła w jego skuteczność.

Mimo strachu zachciało jej się śmiać. Znak czarownic był bowiem niczym innym jak tylko ustawionym do góry nogami symbolem hematytu!

Magdalena przypomniła sobie opisy Simona, gdy opowiadał on o znaku namalowanym na plecach dzieci. Medyk, a także jej ojciec zawsze oglądali go w taki sposób, iż wyglądał jak znamię czarownic. Widziany jednak z góry przekształcał się w zwykły symbol alchemiczny...

Czyżby dzieci same go sobie wyrysowały, używając w tym celu soku z czarnego bzu? Ostatecznie często bywały u Stechlinowej. Sophie, Peter i inni musieli więc widzieć ten znak na naczyniu. Jednak po co miałyby to robić? A może była to jednak sprawka akuszerki? Ale to z kolei nie miało większego sensu. Po co dzieci malowałyby sobie na plecach symbol hematytu? Zatem jednak dzieci...

W głowie Magdaleny wirowały tysiące myśli, tymczasem las był już coraz bliżej. To, co początkowo połyskiwało w blasku świtu jak ciemnozielona wstęga, teraz stanowiło pas brzoź, jodeł i buków, rozpościerający się niedaleko niej. Magdalena biegła dokładnie w tym kierunku. Mężczyźni za jej plecami doganiali ją. Zbliżyli się do dziewczyny już na odległość dziesięciu kroków. Słyszała ich zziąbane oddechy. Coraz bliżej i bliżej. Jeden z nich wybuchnął tubalnym śmiechem, jak obłąkany.

— Katowska dziewczko, podobasz mi się, jak tak biegiesz. Lubię polować na sarenkę, zanim ją zjem...

Również i drugi zaczął się teraz śmiać.

— Zaraz cię złapiemy, dziewczyno. Jeszcze żadna nam nie uciekła!

Magdalena już prawie dotarła do lasu przy stromym brzegu rzeki. Między nią a schronieniem w postaci drzew leżała bagnista łąka. Już po chwili jej stopy aż po kostki ugrzęzły w miękkim błocie. Między brzoźami i wierzbami połyskiwały małe kałuże i bajorka, które pozostały po ostatnich opadach śniegu. W oddali słychać było huczący Lech.

Córka kata próbowała przemierzyć bagno, skacząc z jednego porośniętego trawą garbu na drugi. Jednak dwa garby znajdowały się w wyjątkowo dużej odległości od siebie, toteż dziewczyna pośliznęła się, a jej stopy wylądowały w bagnie. Zrozpaczona próbowała uwolnić nogi z mułu.

Ugrzęzła!

Tymczasem z tyłu zbliżali się mężczyźni. Gdy zobaczyli, że ich ofiara złapała się w pułapkę, zaczęli głośno wrzeszczeć. Szczercząc zęby, okrążyli dziurę wypełnioną błotem, szukając drogi, po której mogliby suchą nogą dotrzeć do dziewczyny. Magdalena podciągnęła się na rękach w kierunku porośniętego trawą garbu. Jej nogi wreszcie uwolniły się z bagna, wydając przy tym dźwięk głośnego mlaśnięcia. Była wolna. W tej samej chwili w jej stronę skoczył żołnierz. W ostatnim momencie uchyliła się w bok, a mężczyzna z pluskiem wylądował w bagnie. Zanim zdołał się wyprostować, Magdalena wykorzystała lukę między obydwojma napastnikami i pobiegła w kierunku lasu.

Gdy zanurzyła się w cienistym gąszczu, natychmiast zorientowała się, że nie ma żadnych szans. Drzewa stały w zbyt dużej odległości od siebie; nie było krzewów, za którymi mogłaby się schować. Mimo to biegła dalej, nawet jeśli nie miało to sensu. Mężczyźni doganiali ją. Ta pogoń nie potrwa już długo. Szum rzeki przybierał na sile. Stromy brzeg musiał znajdować się tuż przed nią. To koniec ucieczki...

Nagle jej lewa stopa trafiła w próżnię. Dziewczyna odskoczyła w tył, widząc znikające w dole małe kamyki. Odsunęła na bok gałęzie wierzby i spojrzała na prawie pionowe zbocze, które sięgało w dół do samego brzegu.

Idąc wciąż chwiejnym krokiem nad przepaścią, Magdalena kątem oka dostrzegła ruch. Naraz za wierzwą pojawił się jeden z żołnierzy. Gdy sięgnął w jej stronę, dziewczyna bez zastanowienia rzuciła się w przepaść. Turlając się po skałach i grudach gliny, chwyciła za wystające korzenie i kilka razy koziołkowała. Na chwilę zrobiło jej się ciemno przed oczami. Gdy w końcu odzyskała wzrok,



leżała na brzuchu w krzaku leszczyny, który rosnąc raptem kilka metrów nad korytem rzeki, złagodził jej upadek. Tuż pod nią rozpościerał się pas zwirowego brzegu.

Wykrzywiona bólem przez chwilę pozostała w pozycji leżącej. Później ostrożnie odwróciła głowę i spojrzała w górę. W oddali dostrzegła mężczyzn. Zdawało się, że szukają miejsca, z którego mogliby zejść nad rzekę. Jeden z nich już zaczął przywiązywać do pnia drzewa linę wystającą nad przepaścią.

Magdalena uwolniła się z krzewu leszczyny i ostatnie metry do brzegu pokonywała, opierając się na przedramionach.

Tu, na zakolu, Lech płynął z niebezpieczną prędkością. Na środku rzeki tworzyły się białe wiry wodne, a bliżej brzegu woda pieniała się i podmywała niskie, rosnące tu drzewa. Nawet teraz, pod koniec kwietnia, rzeka tak gwałtownie wezbrała, że pojedyncze brzozy na błoniach były zalane aż po wierzchołki. Dobry tuzin ściętych pni zakleszczył się ze sobą i wirował tam i z powrotem między brzożami. Lech z wściekłością uderzał o przeszkodę; kilka pni wciąż się przesuwalo. Już niedługo, później masy wody znów porwą je ze sobą.

Między pniami bujała się łódka.

Magdalena nie posiadała się ze szczęścia. Spróchniała łódź musiała się urwać gdzieś dalej w górze. Teraz wisiała bezradnie między pniami i, złapana między wiry wodne, wciąż obracała się w miejscu. Gdy córka kata przyjrzała się dokładniej, dostrzegła nawet dwa leżące przy kadłubie wiosła.

Obejrzała się. Jeden z żołnierzy właśnie zsuwał się po linie na brzeg. To nie potrwa długo, zaraz do niej dotrze. Drugi przypuszczalnie szukał jeszcze innej drogi prowadzącej w dół ze zbocza. Magdalena spojrzała na pływające przed nią pnie, odmówiła krótką modlitwę, zdjęła buty i skoczyła na pierwszy z nich.

Drewno pod jej stopami zachwiało się i zakołysało, jednak dziewczyna utrzymała równowagę. Przeszła po pniu i wskoczyła na kolejne gigantyczne drzewo, które niebezpiecznie zakreśliło się wokół własnej osi, jednocześnie dry-

fując w prawo. Katowska dziewczyna była jednak wystarczająco sprawna, by owo toczenie zneutralizować tanecznymi ruchami. Gdy znów się obejrzała, dostrzegła, że jeden z żołnierzy, który zszedł po linie, teraz zatrzymał się na brzegu i zawahał. Kiedy odkrył łódź, również i on ostrożnie wszedł na pień drzewa.

Spojrzenie w tył niemal kosztowało Magdalенę utratę równowagi. Pośliznęła się na mokrym drewnie, jednak w ostatniej chwili zdołała jeszcze odzyskać kontrolę, co uratowało ją przed zsunieniem się w nurty rzeki. Teraz stała lewą nogą na jednym pniu, zaś prawą na drugim, leżącym obok. Pod nią pieniała się i bulgotała biała woda. Dziewczyna wiedziała, że gdyby wpadła tu do rzeki, olbrzymie drzewa zmełyby ją niczym dwa kamienie młyńskie ziarno.

Ostrożnie posuwała się dalej. Tymczasem idący za nią żołnierz przeszedł po pniach spory odcinek. Magdalena spojrzała na jego skoncentrowaną twarz, na której malował się wysiłek. Rozpoznała Hansa, który chciał ją zgwałcić jako pierwszy. Mężczyzna bez wątplenia bał się i to śmiertelnie. Jednak na powrót było już dla niego za późno.

Lekkim krokiem skoczyła na następny pień drzewa, który sięgał aż do łodzi. Gdy już prawie do niej dotarła, za plecami usłyszała krzyk. Odwróciła się i zobaczyła postać żołnierza, który wyglądał jak tańczący na linie akrobata. Na chwilę zastygł w powietrzu, po czym bokiem wpadł w nurty rzeki. Pnie przesunęły się, skrzypiąc nad miejscem, w którym zatonął. Magdalenie przez moment zdawało się, że między drzewami widzi jego głowę. Po chwili po Hansie nie został nawet ślad.

Na górze nad stromym brzegiem stał drugi żołnierz i niezdecydowany spoglądał na płynącą daleko pod nim huczącą wodę. W końcu odwrócił się i zniknął między drzewami.

Magdalena uczyniła ostatni skok, chwyciła za krawędź łodzi i wsunęła się do jej wnętrza. Kadłub był wypełniony wodą na dwie szerokości dłoni, jednak łódź,

dzięki Bogu, nie miała dziur. Dziewczyna straciła panowanie nad sobą, zaczęła drżeć i cicho płakać.

Gdy trochę rozgrzało ją poranne słońce, wyprostowała się, chwyciła za wiosła i popłynęła wzdłuż brzegu w dół rzeki, w kierunku Kinsau.

Gdy zapadł się za nimi korytarz, Simon rzucił się na małą Klarę, chcąc zasłonić ją swoim ciałem. Później zaczął się modlić. Usłyszał odgłos skrzypienia i pęknięcia. Po jego lewej i prawej stronie na ziemię spadały kamienie. Kilka grud gliny wylądowało mu na plecach, osypały się po raz ostatni. W końcu zapanowała cisza.

Dziwnym sposobem świeca nie zgasła. Simon wciąż jeszcze trzymał ją kurczowo w prawej pięści. Oświetlając przejście, ostrożnie poszedł na kolanach dalej. Chmura kurzu i dymu powoli osiadała, odsłaniając widoczność na kilka metrów, które można było objąć wzrokiem w świetle świecy.

Za nim leżała na ziemi skulona Sophie. Przykrywały ją mniejsze okruchy gliny, ziemia i podobna do brązowej mąki warstwa kurzu. Simon zauważył, że lekko drżała. Żyła. Tuż za nią zostały tylko kamienie i ciemność. Simon poruszył gniewnie głową. Powrotna droga była definitywnie odcięta. Jednak przynajmniej nie docierał już do nich dym.

— Sophie? Na Boga, coś ci się stało? — szepnął w jej kierunku. Dziewczyna potrząsnęła głową i wyprostowała się. Jej twarz była trupio blada, poza tym wszystko zdawało się być w porządku.

— Przejście... Ono się... zawaliło — wymamrotała.

Medyk spojrzał ostrożnie w górę. Sufit tuż nad ich głowami sprawiał wrażenie stabilnego. Nie miał wprawdzie belek podporowych, ale był zbudowany z

gładkiej, mocnej gliny. Okrągły, lekko zwężający się ku górze kształt przydawał tunelowi dodatkowej stabilności. Simon widział już kiedyś taki w książce o górnictwie. Ludzie, którzy zbudowali te przejścia, byli mistrzami w swoim fachu. Jak długo trwało tworzenie labiryntu? Lata? Dziesięciolecia? Przyczyną zapadnięcia się korytarza była przypuszczalnie wilgoć, przez którą mocna glina popękała. Skądś musiała tu dotrzeć woda. Poza tym tunele były w doskonałym stanie.

Simona wciąż zdumiewała ta konstrukcja. Dlaczego ludzie zadali sobie tyle trudu, budując labirynt, który najwyraźniej nie służył żadnym celom? Ogień właśnie dobitnie udowodnił, że jako podziemny chłopski zamek przejście było bezużyteczne. Kto wywołał pożar w górnych izbach, ten mógł być pewien, że ludzie jak szczury zaczną uciekać z zadymionych korytarzy na powierzchnię albo marnie zginą w nich przez uduszenie.

Chyba, że tunel prowadził gdzieś na zewnątrz...

Simon pociągnął Sophie za rękę.

— Musimy iść dalej, nim przejście całkowicie się zapadnie. Gdzieś tu musi być wyjście.

Sophie spojrzała na niego rozszerzonymi ze strachu oczami. Ogarnięta szokiem zeszywniała.

— Sophie, słyszysz mnie?

Żadnego ruchu.

— Sophie!

W końcu wymierzył jej siarczasty policzek.

— Co... co...?

— Musimy stąd wyjść. Weź się w garść. Pójdiesz przodem i będziesz trzymać świecę. Uważaj, żeby nie zgasła — spojrzał na nią przenikliwym wzrokiem, po czym znów się odezwał: — Wezmę Klarę i będę szedł zaraz za tobą. Rozumiesz mnie?

Sophie skinęła głową. Później udali się w drogę.

Korytarz przeszedł w zakręt, a po chwili znów poprowadził prosto. Najpierw niezauważenie, potem coraz silniej zaczął piąć się stromo do góry. Początkowo posuwali się do przodu na kolanach, jednak z czasem przejście stawało się coraz szersze i wyższe. W końcu mogli iść pochyleni. Simon niósł Klarę na plecach. Ręce dziewczynki zwisały bezwładnie z lewej i prawej strony jego pleców. Była tak lekka, że prawie nie czuł jej ciężaru.

Nagle Simona owiał z przodu przeciąg. Medyk głęboko odetchnął. Zapachniało świeżym powietrzem, lasem, żywicą i wiosną. Jeszcze nigdy nie postrzegął powietrza jako czegoś tak drogiego.

Ledwie krótki czas potem tunel skończył się w ślepych zaułku.

Simon nie mógł w to uwierzyć. Wyjął świecę z ręki Sophie i rozejrzał się z panicznym lękiem. Nie było tu żadnego przejścia, nawet dziury.

Dopiero po dłuższych poszukiwaniach odkrył ciasny szyb, który prowadził w górę.

Na wysokości mniej więcej pięciu kroków dostrzegł światło dzienne sączące się w dół przez wąskie szpary. Na górze leżała kamienna płyta, która była dla nich nieosiągalna. Nawet gdyby Simon wziął Sophie na ramiona, dziewczyna nie dosięgłaby ciężkiej płyty, nie mówiąc już o jej podniesieniu.

Byli uwięzieni.

Simon delikatnie zsunął nieprzytomną Klarę na ziemię i usiadł obok. Nie po raz pierwszy tego dnia miał ochotę wyc, a przynajmniej głośno krzyżeć.

— Sophie, sądzę, że już nigdy stąd nie wyjdziemy... Dziewczyna przytuliła się do niego i położyła mu głowę na kolanach. Jej ręce wczepiły się w jego nogi. Drżała.

Nagle Simon znów przypomniał sobie o znaku. Podciągnął do góry sukienkę Sophie, odkrywając jej ramiona. Na prawej łopatkę widniało znamię czarownic. Przez długi czas milczał.

— Sami namalowaliście sobie ten znak, prawda? — zapytał w końcu. — Hematyt, zwykły proszek... Musieliście zobaczyć ten symbol gdzieś u Stechlinowej, a później wytatuowaliście go sobie sokiem z czarnego bzu. To wszystko było tylko zabawą...

Sophie skinęła głową, po czym znów przywarła do kolan Simona.

— Sokiem z czarnego bzu! — kontynuował medyk. — Jak mogliśmy być tacy głupi! Jaki zły duch maluje swoje znaki sokiem dla dzieci! Ale po co, Sophie? Po co?

Ciało Sophie zatrzęsało się. Dziewczyna płakała, leżąc na kolanach Simona. W końcu odezwała się, nie podnosząc głowy.

— Oni nas bili, kopali i gryźli... Gdzie tylko nas zobaczyli, opluwali nas i wyszydźali!

— Kto? — zapytał zirytowany Simon.

— Inne dzieci! Bo jesteśmy sierotami, bo nie mamy rodziny! Dlatego można nas deptać!

— Ale po co ten znak?

Po raz pierwszy Sophie podniosła wzrok.

— Widzieliśmy go u Marty na regale. Na tyglu. Wyglądał jakoś tak... magicznie. Pomyśleliśmy sobie, że gdy będziemy go nosić, to wtedy stanie się on naszym czarem ochronnym. I już nikt nie wyrządzi nam krzywdy.

— Czar ochronny — wymamrotał Simon. — Głupi dziecięcy figiel, nic więcej...

— Marta opowiadała nam o takich ochronnych czarach — kontynuowała Sophie. — Mówiła, że istnieją znaki, które zapobiegają śmierci, chorobom lub burzy. Ale żadnych nam nie zdradziła. Powiedziała, że wtedy inni nazwaliby ją czarownicą...

— O, Boże... — szepnął Simon. — I właśnie tak się stało.

— Więc przy pełni księżyca zeszliśmy tu, do naszej kryjówki, żeby czar lepiej działał. Wzajemnie namalowaliśmy sobie znaki i złożyliśmy przysięgę, że do końca naszych dni będziemy trzymać się razem i że zawsze będziemy sobie pomagać, a innych opluwać i traktować z pogardą.

— I wtedy usłyszeliście mężczyzn...

Sophie skinęła głową.

— Czar nie zadziałał. Mężczyźni nas odkryli, a myśmy sobie nie pomogli. Uciekliśmy, a oni zatłukli Petera jak psa...

Znów zaczęła pochlipywać. Simon głaskał ją, aż uspokoiła się i przestała płakać, szlochając tylko od czasu do czasu.

Leżąca obok niej Klara charczała we śnie. Simon dotknął jej czoła, które wciąż było gorące. Nie był pewien, czy Klara przeżyje pod ziemią najbliższe godziny. Dziewczynka potrzebowała ciepłego łóżka, zimnych okładów i obniżającej gorączkę herbaty z kwiatów lipy. Poza tym należało opatrzyć jej ranę na nodze.

Medyk zaczął wołać o pomoc — najpierw ostrożnie, potem coraz głośniejsze. Gdy po wielokrotnych zawołaniach nie usłyszał żadnej odpowiedzi, poddał się i znów usiadł na kamiennej, mokrej podłodze. Gdzie byli strażnicy? Czy wciąż leżeli skrepowani i zakneblowani na ziemi? Czy już się uwolnili? A może właśnie szli do miasta, by opowiedzieć o napadzie? Jednak co się stanie, jeśli diabeł ich zabił? Dzisiaj był pierwszy maja. Na górze w mieście tańczono i śmiano się. Bardzo możliwe, że ktoś zajrzy tu dopiero jutro, a nawet pojutrze. Do tej pory Klara dawno umrze z powodu gorączki.

By przepędzić ponure myśli, medyk pytał Sophie o dalsze szczegóły. Bez przerwy przychodziły mu do głowy detale, które odkrył on lub kat, a które teraz nagle nabierały sensu.

— Siarka, którą znaleźliśmy u Petera w kieszeni, też była elementem waszych czarów?



Sophie skinęła głową.

— Zabraliśmy ją z tygla Marty. Pomyśleliśmy, że skoro czarownice używają siarki do czarowania, to nam też to nie zaszkodzi. Peter wypchał sobie nią kieszenie. Stwierdził, że dzięki temu będzie nieźle śmierdział...

— Ukradliście akuszerce alraunę, prawda? — kontynuował Simon. — Bo potrzebowaliście jej do swoich zabaw w czary.

— Znalazłam ją u Marty — przyznała Sophie. — Kiedyś opowiadała mi o cudownej mocy alrauny i wtedy pomyślałam sobie, że jeśli włożę ją na trzy dni do mleka, to powstanie z niej człowieczek, który będzie nas chronić... Ale mleko zepsuło się, a z reszty przyrządziłam tu Klarze napój.

Medyk spojrzał w stronę nieprzytomnej dziewczynki. Graniczyło z cudem, że przeżyła taką końską kurację. Może jednak alrauna działała też coś dobrego. W końcu Klara od wielu dni wciąż spała, dzięki czemu jej organizm zyskał wystarczająco dużo czasu na regenerację.

Znów zwrócił się do Sophie.

— Dlatego też nie poszliście do pisarza sądowego lub innego rajcy, żeby mu opowiedzieć o tym, co widzieliście — stwierdził. — Bo się baliście, że z powodu znaku będą was podejrzewać o uprawianie czarów.

Sophie skinęła głową.

— Gdy zabili Petera, to jeszcze chcieliśmy pójść — powiedziała. — Na Boga, przysięgam, że zaraz po tym, jak dzwony wybiły dziesiątą, chcieliśmy pójść do Lechnera i o wszystkim mu opowiedzieć. Ale później znaleźliście Petera na dole nad Lechem i znak czarownic. A potem powstało wielkie wzburzenie i wszyscy mówili tylko o czarach...

Zrozpaczona spojrzała na Simona.

— Myśleliśmy, że nikt już nam nie uwierzy. Że będą nas uważać za czarownice i razem z Martą spalą nas na stosie! Tak strasznie się baliśmy!

Simon pogładził japo brudnych włosach.

— Już dobrze, Sophie. Już dobrze...

Spojrzał na małą łożową świecę, która migotała obok niego. Spali się najpóźniej za pół godziny. Potem światło dotrze do nich tylko w formie delikatnego promienia przez szczeliny w kamiennej płycie. Zastanawiał się, czy z kawałka swojej marynarki powinien zrobić Klarze zimny okład na spuchniętą kostkę, ale zaniechał tego pomysłu. Woda, która zgromadziła się tu w małych kałużach, była po prostu zbyt brudna. Okład przypuszczalnie sprawiłby, że choroba dziewczynki tylko by się nasiliła. W przeciwieństwie do wielu innych lekarzy z cechu Simon był przekonany o tym, że brud prowadzi do infekcji. Widział zbyt wielu żołnierzy, którzy owinięci brudnymi opatrunkami odchodzili na tamten świat.

Nagle coś kazało mu zastygnąć i nadstawić uszu. Gdzieś w oddali usłyszał dobiegające z góry głosy. Zerwał się z miejsca. Na placu budowy musieli być ludzie! Sophie również przestała płakać. Wspólnie usiłowali ustalić, do kogo należały głosy, jednak były one zbyt ciche.

Simon przez moment rozważał ryzyko. Bardzo możliwe, że nad nimi byli żołnierze, a może nawet sam diabeł... Może szaleniec zabił kata, a teraz przez studnię znów wyczołgał się na światło dzienne. Z drugiej strony, jeśli nikt nie wyniesie Klary na zewnątrz, przebywając pod ziemią, dziewczynka będzie stracona. Po krótkim wahaniu ułożył ręce w kształt lejka i krzyknął zachrypniętym głosem.

— Pomocy! Jesteśmy tutaj! Tu na dole! Słyszysz nas ktoś?

Głosy na górze zamilkły. Czyżby mężczyźni poszli dalej? Simon znów wrzasnął. Teraz pomagała mu również Sophie.

— Pomocy! Nikt nas nie słyszy? — krzyczeli wspólnie.

Nagle rozległy się kroki i przytłumiony łomot. Tuż nad nimi rozmawiało kilkoro ludzi. Po chwili kamienna płyta ze zgrzytem odsunęła się na bok, a szeroki promień światła padł na twarze uwięzionych. W otworze pojawiła się głowa.

Simon zmrużył oczy. Po tak długim czasie przebywania w ciemności słoneczne światło niemal go oślepiło. W końcu rozpoznał twarz.

Był to patrycjusz Jakub Schreevogl.

Na widok leżącej na dole córki, rajca zaczął krzyczeć łamiącym się głosem.

— Mój Boże, Klara! Ty żyjesz! Niech będzie pochwalona Paniienka Maryja!

Zwrócił się do tyłu.

— Szybko, przynieście linę! Musimy ich wyciągnąć!

Krótki czas potem w szybie pojawiła się lina, którą szybko spuszczone w dół. Simon zawiązał na niej pętlę, opasał nią talię Klary i dał znak, by wciągnięto ją na górę. Później przyszła kolej na Sophie. On sam udał się w podróż na powierzchnię jako ostatni.

Dotarłszy na górę, rozejrzał się. Potrzebował czasu, by odzyskać orientację. Wokół niego wznosiły się mury nowej kaplicy.

Szyb znajdował się na samym jej środku, pod zwietrzałą kamienną płytą. Robotnicy, wykładając podłogę, zbużyli stary fundament. Medyk jeszcze raz zajrzał w głąb szybu. Bardzo możliwe, że kiedyś w tym miejscu stał kościół lub inny budynek sakralny, który połączono z podziemiem za pomocą korytarza. Podczas obecnych robót rzemieślnicy najwyraźniej nie zwrócili uwagi na płytę.

Przez moment medykiem wstrząsały dreszcze. Prastary szyb prowadzący do piekła... A na dole na biednych grzeszników czekał sam diabeł.

Z tyłu medyk zauważył dwóch strażników, którzy sprawowali wartę zeszłej nocy. Teraz siedzieli na murze. Jeden z nich miał na czole opatrunek i oszołomiony rozcierał sobie głowę. Drugi, mimo potężnego sińca wokół prawego oka, sprawiał wrażenie stosunkowo przytomnego. Simon mimowolnie się roześmiał. Kat wyeliminował przeciwników, a mimo to nie pozostawił żadnych trwałych szkód. Po prostu był mistrzem w swoim fachu.

Tymczasem Jakub Schreevogł zajął się swoją pasierbicą, wkrapłał jej do ust wodę i ocierał czoło. Gdy młody rajca zauważył spojrzenie Simona, odezwał się do niego, nie przerywając swoich czynności.

— Po waszej wczorajszej wizycie, gdy pytaliście mnie o stare dokumenty, straciłem wszelki spokój. Przez całą noc przewracałem się z jednego boku na drugi. Rano poszedłem najpierw do was, a potem do kata. Gdy nie spotkałem żadnego, przyszedłem tutaj, na plac budowy.

Wskazał na dwóch strażników, którzy wciąż jeszcze siedzieli oszołomieni na murze.

— Znalazłem ich za stosem drewna. Byli związani i zakneblowani. Simonie, czy możecie mi zdradzić, co się tutaj stało?

W krótkich słowach medyk opowiedział mu o znalezisku w studni, a także o podziemnym mieście, walce kata z żołnierzem oraz o ich ucieczce przez tunel. Wspomniał również o tym, co dzieci widziały tydzień temu w nocy, przy pełni księżyca. Podejrzenie, że na dole znajdował się skarb starego Schreevogła, zachował jednak dla siebie. Podobnie uczynił z informacją, że Jakub Kuisl powalił strażników na ziemię. Patrycjusz musiał przypuszczać, że diabeł unieszkodliwił woźnych sądowych, zanim wszedł do studni.

Jakub Schreevogł słuchał z otwartymi ustami. Tylko od czasu do czasu zadawał krótkie pytanie lub pochylał się nad Klarą.

— Zatem dzieci same namalowały sobie znak czarownic, żeby w ten sposób ochronić się przed innymi dziećmi... — powiedział w końcu.

Pogładził śpiącą Klarę po gorącym czole. Jej oddech był teraz wyraźnie spokojniejszy.

— Mój Boże, Klaro, dlaczego nic mi nie powiedziałaś? Przecież mógłbym wam pomóc!

Zanim znów się odezwał, spojrzął groźnie w stronę Sophie.

—Może udałoby się nam uratować małego Antona i Johannesesa Strassera, gdybyście nie byli tacy durni! Co wyście sobie myśleli, smarkacze? Po mieście lata szaleniec, a wy dalej bawicie się w swoje gierki!

—Nie powinniśmy robić dzieciom wyrzutów — wtrącił Simon. — Są małe, bały się. Najważniejsze, byśmy złapali morderców. Dwóch z nich przypuszczalnie porwało Magdalenę! A ich prowodyr nadal jest z katem na dole w labiryncie!

Spojrzał w stronę studni, z której wydobywał się dym. Co się tam działo? Czy Jakub Kuisl już nie żył? Simon wypierał tę myśl. Tymczasem znów zwrócił się do patrycjusza.

— Kto mógł być zleceniodawcą? Komu tak bardzo zależy na tym, żeby nie zbudowano przytułku? Kto nie cofnie się nawet przed zabiciem dzieci?

Jakub Schreevogł wzruszył ramionami.

— Do niedawna podejrzewaliście nawet mnie... Poza tym mogę tylko powtórzyć to, co już powiedziałem. Większość patrycjuszy w radzie, łącznie z burmistrzem, była przeciwna budowie z obawy przed finansowymi stratami. Śmieszne, zważywszy na to, że taki przytułek znajduje się nawet w Augsburgu!

Z wściekłością potrząsnął głową, po czym znów się zamyślił.

— Ale żeby zaraz niszczyć plac budowy i usuwać wtajemniczonych? Do tego jeszcze dzieci? Mimo najszczerzych chęci nie potrafię sobie tego wyobrazić...

Nagle przestraszyło ich gwałtowne kasłanie. Obydwaj szybko się odwrócili.

Ze studni wyszła po linie czarna jak smoła postać. Woźni sądowi chwycili za broń i pobiegli w jej stronę, z zaleknionymi minami trzymając mocno halabardy. Postać, która pojawiła się nad krawędzią studni, wyglądała jak wcielony diabeł. Od stóp do głów pokrywała ją czarna sadza, kontrastująca z błyszczącymi białkami oczu. Jej ubranie było w niektórych miejscach spalone lub zakrwawione. W zębach zjawa trzymała żarzącą się na przedzie pałkę z modrzewiowego drewna, którą teraz wypluła na trawę.

— Do diabła! Nie poznajecie swojego własnego kata? Przynieście mi lepiej wody, zanim zdążę całkowicie spłonąć!

Woźni sądowi cofnęli się ze strachem. Simon podbiegł do studni.

— Kuisl, wy żyjecie! Myślałem, że diabeł... O Boże, ależ się cieszę! Kat podciągnął się nad krawędź studni.

— Oszczędź sobie gadki. Posłałem drania tam, gdzie zawsze było jego miejsce. Ale moja Magdalena nadal jest w rękach kilku rzezimieszków.

Pokuśtykał w stronę koryta z wodą i umył się. Stopniowo spod warstwy sadzy zaczęła wyłaniać się twarz kata. Przez chwilę spoglądał on w kierunku Jakuba Schreevogla i dzieci, z uznaniem kiwając głową.

— Uratowałeś ich, to dobrze — mruknął. — Wracaj teraz z nimi i z rajcą do Schongau. Spotkamy się u mnie w domu. A teraz rozejrzę się za moją córką.

Chwycił pałkę i pobiegł w kierunku drogi do Hohenfurch.

— Wiecie, gdzie ona jest? — krzyknął za nim Simon.

Kat niezauważalnie skinął głową.

— On mi powiedział. Na sam koniec. Każdy kiedyś zaczyna gadać...

Simon przełknął ślinę.

— A woźni sądowi? — krzyknął za Jakubem Kuislem, który był już na drodze prowadzącej do Hohenfurch. — Nie chcecie wziąć ich ze sobą jako... pomoc?

Ostatnie słowa powiedział tylko do siebie, bowiem kat zniknął już za najbliższym zakrętem. Był bardzo, bardzo wściekły.

Magdalena szła chwiejnym krokiem drogą do Schongau. Miała na sobie podarte, mokre ubranie i drżała na całym ciele. Poza tym nadal bolała ją głowa.

Dopiero teraz poczuła, że nie spała całą noc. Męczyło ją dokuczliwe pragnienie. Wciąż rozglądała się na wszystkie strony, sprawdzając, czy czasem nie śledzi jej drugi żołnierz. Jednak ulica była pusta. Nie spotkała też żadnych chłopów, którzy mogliby zabrać ją ze sobą na wóz. Przed nią na pagórku wznosiło się otoczone murami Schongau. Z prawej strony widniała opustoszała teraz góra wisielców. Już niedługo będzie w domu.

Nagle naprzeciwko pojawił się punkt, który zbliżał się i rósł. Postać utykając, biegła w jej stronę.

Magdalena zmrużyła oczy i dostrzegła, że był to jej ojciec.

Przez ostatnie metry Jakub Kuisl biegł, choć sprawiało mu to trudność. Miał głęboką, choć niegroźną ranę kłutą z boku klatki piersiowej oraz drugą na lewym ramieniu. Stracił dużo krwi, a na dodatek gdzieś w labiryncie skręcił sobie prawą kostkę. Jednak poza tym, biorąc pod uwagę okoliczności, kat czuł się dobrze. Podczas wielkiej wojny odnosił poważniejsze obrażenia.

Kuisl wziął swoją córkę w ramiona i pogładził ją po głowie.

Dziewczyna prawie zniknęła przy jego szerokiej piersi.

—Co ty wyprawiasz, Magdaleno — szepnął niemal czule. — Pozwoliłaś się złapać głupiemu żołnierzowi...

—Już nigdy do tego nie dopuszczę, tato. Obiecuję — odpowiedziała.

Przez chwilę trzymali się w objęciach i milczeli. Później Magdalena spojrzała mu w oczy.

—Tato?

— Co jest, Magdaleno?

— Co do ślubu z Hansem Kuislem, katem ze Steingaden, no wiesz, o co chodzi... Przemyślisz to jeszcze raz?

Jakub Kuisl z początku milczał, później się uśmiechnął.

— Przemyślę to jeszcze raz. Ale teraz chodźmy do domu.



Objął córkę swym potężnym ramieniem i wspólnie pomaszerowali w stronę budzącego się do życia miasta, nad którym właśnie wschodziło słońce.

TLR



**Wtorek,**

**1maja Roku Pańskiego 1659,**

godzina 6 wieczorem

Pisarz sądowy Johann Lechner wyglądał z okna sali obrad rady miejskiej na rynek i zgromadzony tam kolorowy tłum. Z miejskiego kościoła parafialnego dochodził do niego dźwięk dzwonów wybijających godzinę szóstą. Już zapadł zmierzch. Małe płomyki połyskiwały w trójnożnych naczyniach na żar, umieszczonych przy krawędzi placu, wokół którego tańczyły dzieci. Przed budynkiem Ballenhaus młodzi chłopcy ustawili drzewko majowe, ozdobione kolorowymi wstążkami i wieńcem z liści. Kilku grajków nastrajało swoje skrzypce i lutnie, stojąc na scenie świeżo zbudowanej z drewna jodłowego i pachnącej jeszcze żywicą. W powietrzu unosił się zapach piwa i pieczystego.

Lechner wodził wzrokiem po stołach ustawionych na zewnątrz z okazji majowego święta. Wszędzie siedzieli ubrani w niedzielne stroje mieszkańcy miasta, popijając ze smakiem piwo ufundowane przez burmistrza Karla Semera. Wszyscy śpiewali i śmiali się, tymczasem pisarz nie potrafił wczuć się w świąteczny nastrój.

Przeklęta akuszerka nadal była nieprzytomna, a przedstawiciela księcia elektora oczekiwano jeszcze tego wieczoru. Johanna Lechnera napawało grozą to, co

miało nadejść. Przesłuchania, tortury, inwigilacje, podejrzenia... Gdyby Stechlinowa przyznała się do winy, wszystko byłoby w porządku. Czarownicy urzędowo by proces i spalono ją na stosie. Mój Boże, przecież prawie już nie żyła! Śmierć w płomieniach byłaby wybawieniem dla niej i dla miasta!

Johann Lechner wertował stare akta dotyczące prześladowania czarownic do dwóch pokoleń wstecz. Jeszcze raz przyniósł je sobie z archiwum, które znajdowało się obok sali obrad rady miejskiej. Osiemdziesiąt aresztowań, niezliczone tortury... sześćdziesiąt trzy spalone kobiety! Największa fala prześladowań zaczęła się dopiero po tym, jak sprawą zajął się sędzia ziemski, a na koniec osobiście zabrał głos sam książę. Później nie było już odwrotu. Lechner wiedział, że uprawianie czarów przypominało tłący się ogień, który wnikał w społeczeństwo, jeśli nie zatrzymano go w porę. Teraz prawdopodobnie było już na to za późno.

Odwrócił się, gdy usłyszał skrzypienie drzwi. W sali ratuszowej stał Jakub Schreevogel. Był pąsowy na twarz, a jego głos drżał.

— Lechner, musimy porozmawiać. Moja córka została odnaleziona!

Pisarz sądowy nadstawił uszu.

— Żyje?

Jakub Schreevogel skinął głową.

— Cieszę się razem z wami. Gdzie ją znaleziono?

— Na dole, pod placem budowy przytułku — wysapał rajca. — Ale to jeszcze nie wszystko...

Po czym przekazał pisarzowi sądowemu wszystko, czego dowiedział się od Simona. Już po kilku słowach Johann Lechner musiał usiąść. Historia, którą przedstawił mu młody patrycjusz, była po prostu niewiarygodna.

Gdy Jakub Schreevogel skończył, Lechner potrząsnął głową.

— Nikt nam nie uwierzy, nawet jeśli byłaby to prawda — powiedział. — A już najmniej przedstawiciel księcia elektora.

— Nie stanie się tak pod warunkiem, że będziemy mieć za sobą radę wewnętrzną — wtrącił patrycjusz. — Jeżeli jednogłośnie opowiemy się za uwolnieniem Stechlinowej, wówczas musi się z nami zgodzić nawet graf. Nie może nas przecież lekceważyć. Jesteśmy wolnymi obywatelami, co odnotowano w kodeksie miasta, który podpisał kiedyś sam książę!

— Ale rada nigdy za nami nie zagłosuje — zwrócił mu uwagę Johann Lechner. — Semer, Augustin, Holzhofer... oni wszyscy są przekonani o winie akuszerki.

— Chyba że przedstawimy im prawdziwego zleceniodawcę mordów na dzieciach.

Pisarz sądowy zaśmiał się.

— Zapomnijcie! Jeśli rzeczywiście pochodzi on z elitarnych kręgów w mieście, to jest wystarczająco wpływowy, by zataić swoje postępowanie.

Jakub Schreevogel ukrył twarz w rękach i zmęczony pocierał skronie.

— W takim razie nie widzę już dla Stechlinowej żadnego ratunku...

— Albo poświęćcie dzieci — wtrącił mimochodem pisarz sądowy. — Opowiecie grafowi o prawdziwym pochodzeniu znamion czarownic, a on może uwolni akuszerkę. Ale dzieci...? Bawiły się w uprawianie czarów. Nie sądzę, żeby graf ot, tak sobie puścił to płazem.

Przez chwilę panowało milczenie.

— Akuszerka albo wasza córka. Macie wybór — powiedział Johann Lechner.

Później podszedł do okna. Od północnej strony dochodził dźwięk rogu. Pisarz sądowy wystawił na zewnątrz głowę, żeby sprawdzić, skąd dokładnie dochodzi wołanie. Zmrużył oczy i znalazł w końcu swój obiekt.

— Jego ekscelencja, landgraf — powiedział w kierunku patrycjusza, który wciąż jeszcze siedział przy stole jak skamieniały. — Wygląda na to, że musicie szybko podjąć decyzję.

Jako pierwsi zobaczyli grafa mali chłopcy, którzy bawili się na dole przy bramie prowadzącej na dziedziniec. Przedstawiciel księcia elektora przybył drogą z Altenstadt. Podróżował wytwornym powozem zaprzęgniętym w cztery konie. Z każdej strony jechało konno sześciu żołnierzy w pełnej zbroi, z otwartymi hełmami, pistoletami i szpadami. Pierwszy z nich dał w róg, obwieszczając w ten sposób przybycie grafa. Za powozem jechał drugi wóz ze służbą i kuframi, zawierającymi najpotrzebniejsze rzeczy jego ekscelencji.

O tej porze brama była już zamknięta, jednak teraz szybko ją otworzono. Podkowy koni uderzały o kamienie brukowe; większość obywateli zgromadzonych na rynku z okazji święta pobiegła teraz w dół do bramy, by z mieszaniną podziwu i sceptycyzmu obserwować przybycie grafa. Tacy wytworni panowie rzadko przyjeżdżali do małego Schongau. Niegdyś oglądano tu księcia częściej, jednak było to dawno temu. Teraz każdy szlachcic odwiedzający miasto stanowił mile widziane widowisko, które było przerywnikiem w codziennym życiu. Jednocześnie obywatele wiedzieli, że graf i jego żołnierze przeżrą ich niewielkie zapasy. Podczas wielkiej wojny nieraz napadali na miasto niczym szarańcza. Ale może wielmożny pan nie pozostanie tu tak długo...

Już wkrótce zgromadzeni mieszkańcy utworzyli szpaler, przez który orszak powoli udał się w stronę rynku. Ludzie szeptali, wskazując na kufry ozdobione srebrnymi okuciami, w których graf kazał przewieźć swoje wartościowe sprzęty domowe. Dwunastu żołnierzy niewzruszenie spoglądało przed siebie. Sam graf nie był widoczny ze względu na czerwoną, adamaszkową zasłonę, zawieszoną w drzwiach powozu.

Dotarwszy na rynek, powóz zatrzymał się tuż przed budynkiem Ballenhaus. Zmierzch otulił już miasto, a brzozowe polana płonęły w naczyniach na żar, dzięki czemu stojący wokół ludzie mogli obserwować, jak z powozu wysiada ubrana w zielony kaftan postać. Do prawego boku grafa przytroczona była ozdobna szpada; miał on elegancko przystrzyżoną brodę i długie, jedwabiste, ufryzowane włosy. Jego wysokie buty z cholewami były wypucowane na wysoki połysk. Przez moment spoglądał na tłum, po czym udał się w stronę budynku Ballenhaus, przed którego wejściem zgromadzili się już rajcy. Z uwagi na pośpiech, niewielu zdążyło ubrać się odpowiednio do swego statusu społecznego. Niektórym spod kaftana wystawały kawałki koszuli, a guziki przy marynarkach były krzywo zapięte. Niejeden przyglądał sobie ręką potargane włosy.

Burmistrz Karl Semer podszedł do przedstawiciela księcia elektora i niepewnie podał mu rękę.

— Z utęsknieniem wyczekiwaliśmy waszego przybycia, ekscelencjo — zaczął, lekko się zacinając. — Jak wspaniale, że wasz przyjazd łączy się z majowym świętem. Schongau jest dumne, że może świętować z wami początek lata i...

Zniecierpliwiony graf przerwał mu ruchem ręki, wodząc znudzonym wzrokiem po grubo ciosanych stołach, drzewku majowym, małych ogniskach i drewnianej scenie. Najwyraźniej uczestniczył już w większych uroczystościach.

— Cóż, ja również się cieszę, że znów widzę moje Schongau — powiedział w końcu. — Choć okazja ku temu jest smutna... Czy czarownica już przyznała się do winy?

— Niestety, podczas ostatniego przesłuchania podstępnie zemdląła — zabrał teraz głos pisarz Johann Lechner, który razem z Jakubem Schreevoglem przeszedł przez bramę budynku Ballenhaus i przyłączył się do grupy. — Ale jesteśmy dobrej myśli. Liczymy, że jutro już dojdzie do siebie. A wtedy będziemy mogli kontynuować przesłuchanie.

Graf potrząsnął z dezaprobatą głową.

— Sami wiecie, że do przesłuchania połączonego z torturami potrzebujemy pozwolenia z Monachium. Nie macie żadnego prawa zaczynać go wcześniej — pogroził palcem po części poważnie, po części żartobliwie.

— Wasza ekscelencjo, myśleliśmy, że można by przyspieszyć ten proces poprzez... — zaczął pisarz sądowy, ale graf znów natychmiast mu przerwał.

— Nie ma mowy! Najpierw zgoda! Przecież nie będę się wdawał w zatargi z monachijskimi radcami dworu! Poślę gońca, gdy tylko wyrobię sobie pogląd na sytuację. Oczywiście jutro... — spojrzął w gwiazdziste niebo — jutro chciałbym najpierw udać się na polowanie. Zapowiada się ładna pogoda. Sprawą czarownicy zajmę się później.

Graf uśmiechnął się.

— Przecież nie odleci, prawda?

Burmistrz Semer zaprzeczył gorliwie głową. Jonann Lechner zbladł. Szybko przeliczył wydatki miasta, w razie gdyby graf istotnie chciał czekać na pozwolenie z Monachium. Żołnierze zostaliby tu co najmniej na miesiąc, może dłużej... To oznaczało miesiąc zakwaterowania i wyżywienia, a także przesłuchań, podejrzeń i inwigilacji! Z pewnością nie skończyłoby się na jednej czarownicy...

— Wasza ekscelencjo — zaczął. Jednak graf Sandizell już odwrócił się do swoich żołnierzy.

— Rozsiodłajcie konie! — zawołał. — A później bawcie się! Dziś będziemy świętować. Przywitajmy lato. Widzę, że już palą się ogniska. Miejmy nadzieję, że za kilka tygodni zapłonie tu o wiele większy ogień, a koszmar w tym mieście wreszcie się skończy!

Klasnął w dłonie i spojrzął do góry na scenę.

— Muzykanci, grajcie!

Grajkowie zagrali nerwowo lendlera. Najpierw z wahaniem, potem coraz szybciej, ustawiły się do tańca pierwsze pary. Zaczęło się świętowanie. Na razie



zapomniano o czarownicach, uprawianiu czarów i morderstwach. Jednak Johann Lechner wiedział, że już za kilka dni to wszystko doprowadzi miasto do ruiny.

Kat ukląkł przed Martą Stechlin i zmienił jej opatrunek na czole. Opuchlizna ustąpiła, niemniej w miejscu, w które ugodził ją kamieniem Georg Riegg, widniał paskudny, niebiesko—czerwony guz. Gorączka spadła. Jakub Kuisl skinął z zadowoleniem głową. Pomogła herbata z kwiatów lipy, jałowca i czarnego bzu, którą podał akuszerce dziś przed południem.

— Słyszysz mnie, Marto? — szepnął i pogładził ją po policzku. Kobieta otworzyła oczy i spojrzała na niego tępym wzrokiem. Jej ręce i stopy spuchły od tortur, upodabniając się do balonów; całe ciało pobrudzone zaschniętą krwią ledwo zakrywał poplamiony wełniany koc.

— Dzieci są... niewinne — powiedziała skrzeczącym głosem. — Teraz wiem, jak było. One...

— Pssst—powiedział kat i położył jej palec na suchych wargach. — Nie powinnaś tak dużo mówić, Marto. Już wszystko wiemy.

Akuszerka spojrzała zdumiona.

— Że to u mnie podpatrzyły ten znak?

Jakub Kuisl mruknął potakująco. Akuszerka podniosła się na swoim pościeliu.

— Sophie i Peter zawsze interesowali się moimi ziołami, zwłaszcza tymi czarodziejskimi. Kiedyś pokazałam Sophie alraunę, ale nic poza tym! Przysięgam na Boga! Wiem przecież, co może się zdarzyć. Jak szybko takie rzeczy się rozchodzą. Ale Sophie nie dawała mi spokoju. I chyba dokładniej przyjrzała się znakom na tyglach...

— Hematyt. Wiem... — przerwał jej kat.

— Ale przecież on jest całkowicie niegroźny — zaczęła szlochać Stechlinowa. — Kobietom, które krwawią na dole, daję czerwony proszek rozpuszczony w winie. To nic złego, na Boga...

— Wiem, Marto, wiem.

— Dzieci same namalowały sobie ten znak! I, na świętą Panienkę Maryję, z morderstwami nie mam nic wspólnego!

Jej ciało drżało, kobieta dostała spazmów.

— Marto—Jakub Kuisl próbował ją uspokoić — posłuchaj. Wiemy, kto zabił dzieci. Nie mamy jednak pojęcia, kto wydał polecenie mordercy. Jednak do wiemy się, a wtedy wyciągnę cię stąd.

— Ale ja już tego nie wytrzymam, tych cierpień i strachu! — zaszlochała. — Znów będziesz musiał sprawić mi ból!

Kat potrząsnął głową.

— Właśnie przybył landgraf — odrzekł. — Przed przesłuchaniem chce poczekać na pozwolenie z Monachium, a to potrwa. Do tego czasu jesteś bezpieczna.

—A później? — zapytała Marta Stechlin.

Kat milczał. Niemal bezradnie pogładził ją po plecach, po czym wyszedł na zewnątrz. Wiedział, że jeśli nie zdarzy się cud, wyrok śmierci będzie jedynie formalnością. Nawet jeśli znaleźliby zleceniodawcę, los akuszerki był przypięczętowany. Marta Stechlin spłonie najpóźniej za kilka tygodni, a on, Jakub Kuisl, będzie musiał zaprowadzić ją na stos.

Gdy Simon dotarł na rynek, uroczystość trwała już w najlepsze. Przez ostatnie godziny odpoczywał w domu, zaś teraz chciał się zobaczyć z Magdaleną. Szukał jej, wodząc wzrokiem po placu.

Pary zakochanych wzięły się za ręce i tańczyły wokół majowego drzewka. Z pełnych dzbanów lało się wino i piwo. Pierwsi podchmieleni żołnierze zataczali się nieopodal ogniska lub biegali za piszczącymi służącymi. Landgraf siedział przy stole rajców i najwyraźniej był w doskonałym humorze. Johann Lechner opowiadał mu właśnie dobrą anegdotę. Pisarz wiedział, jak dbać o nastrój wielmożnych panów. Bawiono się wybornie. Na uboczu siedział nawet proboszcz i spokojnie sączył z kielicha czerwone wino.

Simon spojrzał na drugą stronę, w kierunku sceny. Grajkowie brzdąkali len-dlera, który stawał się coraz szybszy i szybszy, aż pierwsi tańczący ze śmiechem zaczęli przewracać się na ziemię. Piszczenie kobiet i głęboki śmiech mężczyzn mieszały się z muzyką i dzwonieniem kubków, tworząc jeden monotony dźwięk, który unosił się do gwiaździstego, nocnego nieba.

Gdy po długiej nocy Simon wyszedł dziś rano z podziemnego miasta, myślał, że nic już nie będzie takie samo, jak do tej pory. Jednak się mylił. Życie toczyło się dalej, przynajmniej w tej chwili.

Jakub Schreevogel otoczył opieką Klarę i tymczasowo także Sophie. Rada postanowiła, że dzieci zostaną przesłuchane dopiero jutro. Do tej pory Simon wraz z młodym patrycjuszem musieli się zastanowić, co mają powiedzieć rajcom. Prawdę? Ale czy w ten sposób nie wydadzą dziewcząt? Dzieci, które bawiły się w czary, mogły równie dobrze wylądować na stosie jak i dorośli. Simon wiedział o tym z wcześniejszych procesów, o których mu opowiadano. Prawdopodobnie landgraf przesłuchiwałby dzieci tak długo, aż przyznałyby, że akuszerka jest czarownicą. I wymieniłyby jeszcze wiele innych czarownic...

— No, co jest? Chcesz potańczyć?

Wyrwany z ponurych rozmyślań medyk szybko się odwrócił. Przed nim stała uśmiechnięta Magdalena. Na czole miała opatrunek, poza tym wyglądała na wypoczętą i zdrową. Simon uśmiechnął się. Jeszcze tego ranka katowska dziewczyna uciekała przed dwoma żołnierzami. Miała za sobą dwie noce strachu i bezsilności, a mimo to zapraszała go teraz do tańca. Zdawała się być niezniszczalna. Tak jak jej ojciec, pomyślał Simon.

— Magdaleno, powinnaś odpocząć — zaczął. — Poza tym ludzie... — wskazał ręką w stronę stołów, gdzie pierwsze służące zaczęły szeptać i wytykać ich palcami.

— Ach, ludzie! — przerwała mu Magdalena. — Co mnie oni obchodzą?

Wzięła go pod rękę i pociągnęła na parkiet znajdujący się przed sceną. Ciasno objęci zatańczyli wolnego zwiefachera. Simon czuł, jak inne tańczące pary cofają się przed nimi, ale było mu to obojętne. Spoglądał w ciemne oczy Magdaleny i zdawał się w nich zatapiać. Wszystko wokół niego rozplýwało się, tworząc morze światła z nimi w centrum. Troski i posępne myśli były daleko, widział tylko śmiejące się oczy dziewczyny. Powoli zbliżył się do jej ust.

Nagle kątem oka dostrzegł cień. Był to jego ojciec, który biegł w ich stronę. Bonifaz Fronwieser mocno chwycił swojego syna za ramię i odwrócił go do siebie.

— Jak śmiesz? — syknął. — Nie widzisz, jak ludzie rozdziawiają gęby? Medyk z katowską dziewczką...! Co za dowcip!

Simon wyrwał się z jego uścisku.

— Ojcze, proszę cię... — próbował go uspokoić.

—Nie! — warknął jego ojciec i odciągnął go z parkietu, nie racząc nawet spojrzeć na Magdalene. — Rozkazuję ci...

Simon odniósł wrażenie, że zalewa go czarna fala. Trudy ostatnich dni, śmiertelny strach, troska o Magdalene. Gwałtownie odepchnął od siebie ojca, aż

ten, zaskoczony, zaczerpnął tchu. W tym samym momencie ucichła muzyka, dzięki czemu wszyscy stojący dookoła dobrze usłyszeli jego słowa.

— Nie masz prawa mi rozkazywać! Nie ty! — wysapał, zdyszany od tańca. — Kimże jesteś? Małym, kiepskim felczerem, który zachowuje się jak chora-giewka na wietrze! Przeczyszczanie i wążanie szczyń to wszystko, co potrafisz!

Nagle poczuł silne uderzenie w twarz. Jego ojciec stał przed nim blady jak ściana, z podniesioną jeszcze ręką. Simon zrozumiał, że posunął się za daleko. Zanim zdążył przeprosić, Bonifaz Fronwieser odwrócił się i zniknął w ciemno-ściach.

—Ojcze! — krzyknął za nim. Jednak znów zagrała muzyka, a pary zakocha-nych zaczęły kręcić się wokół. Simon spojrzał na Magdalenę, która pokręciła głową.

—Nie powinieś był tego robić — powiedziała. — On wciąż jest twoim oj-cem. Mój obciąłby ci za to głowę.

—Czy każdy tutaj ma mi coś do zarzucenia? — mruknął Simon. Krótki moment bliskości między nim a Magdaleną wygasł. Medyk odwrócił się i od-szedł, zostawiając ją na parkiecie. Teraz potrzebował kufła majowego piwa.

Po drodze do ustawionej na kozłach beczki z piwem minął stół z rajcami. W wielkiej zgodzie siedzieli przy nim patrycjusze: Semer, Holzhofer, Augustin i Puchner. Landgraf poszedł na drugą stronę do swoich żołnierzy, by dopilnować porządku. Tymczasem patrycjusze w końcu zyskali sposobność, by porozmawiać o najbliższych dniach i tygodniach. Zatroskani szeptali między so-bą. Pisarz Johann Lechner rozparł się między nimi niczym opoka i pogrązał się w rozmyślaniach.

Simon zatrzymał się i spojrzał ze swego miejsca w ciemności, na znajdującą się przed nim scenę, która coś mu zaczęła przypominać.

Czterech patrycjuszy. Pisarz. Stół...

Miał głowę rozgrzaną tańcem. Do tej pory czuł jeszcze w kościach trudy ostatniej nocy. W domu wypił już dwa kufle piwa, dlatego potrzebował chwili, zanim sobie przypomniał.

A później poczuł, jakby kamień mozaikowy wsunął się w ostatnią lukę układanki.

Oni po prostu nie słuchali uważnie.

Simon odwrócił się niezdecydowanie. Z tyłu przy stole zobaczył siedzącego samotnie proboszcza, który z oddali obserwował tańczących. Jego wyraz twarzy zmieniał się, wyrażając raz dezaprobatę, a raz odprężenie. Jako przedstawiciel duchowieństwa oczywiście nie mógł pochwalać dzikich, pogańskich wybryków. Jednak również i on najwyraźniej rozkoszował się ciepłem nocy, migoczącym ogniem i energetyzującą muzyką. Simon udał się w jego stronę i usiadł obok bez zaproszenia. Proboszcz spojrział na niego ze zdumieniem.

— Mój synu, chyba nie chcesz teraz przystąpić do spowiedzi? — zapytał. — W rzeczy samej... Choć jak zdążyłem zauważyć, zdecydowanie by ci się ona przydała.

Simon potrząsnął głową.

— Nie, wasza wielbność — powiedział. — Potrzebuję informacji. Sądzę, że ostatnim razem nie słuchałem uważnie.

Po krótkiej rozmowie Simon wstał i zamyślony wrócił do tańczących. Po drodze znów minął stół rajców. Nagle zatrzymał się.

Jedno miejsce było teraz puste.

Bez zastanowienia popędził w stronę domu stojącego na skraju rynku. Śmiech i muzyka stawały się coraz cichsze. Wystarczająco się już nasłuchał. Teraz musiał działać.

Mężczyzna siedział w obitym aksamitem, ciężkim fotelu i wyglądał przez okno. Na stole przed nim stały miseczka orzechów włoskich i dzbanek z wodą. Jego organizm nie tolerował już innych potraw. Oddychanie sprawiało mu trudność, a bóle przeszywały podbrzusze. Z zewnątrz dobiegał szum uroczystości. Między zaciągniętymi zasłonami pozostawiono szparę, przez którą mężczyzna mógł obserwować to, co działo się na dole. Jednak jego oczy nie były już zdrowe; tańczący zlewali się z ogniem, tworząc obraz pozbawiony konturów. Za to jego słuch działał jeszcze doskonale, dzięki czemu mężczyzna usłyszał za sobą tupanie butów, choć nieproszony gość starał się dyskretnie wejść do środka.

— Oczekiwałem cię, Simonie Fronwieserze — powiedział, nie odwracając się. — Jesteś małym ciekawskim przemądrzalcem. Już kiedyś sprzeciwiłem się temu, byś wraz z ojcem otrzymał prawa obywatelskie. I miałem rację. Siejesz tylko niezgodę w naszym mieście.

— Niezgodę? — Simon już nie dbał o to, by zachowywać się cicho. Szybkimi krokami podbiegł do stołu, mówiąc dalej. — Kto zasiał niezgodę w tym mieście? Kto zlecił żołnierzom zabijanie małych dzieci, które za dużo widziały? Kto kazał podpalić magazyn? Kto postarał się o to, by do Schongau znów powróciły strach i nienawiść i aby znowu zapłonęły stosy?

Z każdym słowem wpadał w coraz większą wściekłość. Wykonując ostatni krok, dotarł do fotela i przyciągnął go do siebie. Spojrzał w niewidzące oczy starca, który niemal z politowaniem potrząsał głową.

— Simonie, Simonie — powiedział Matthias Augustin. — Wciąż jeszcze niczego nie rozumiałeś. To wszystko zdarzyło się dlatego, że się wtrąciliście — ty i ten nędzny kat. Wierz mi, ja także nie chcę oglądać płonących czarownic. W dzieciństwie widziałem już za dużo stosów. Chciałem tylko dostać skarb, który mi się należy. Za całą resztę odpowiadacie wy.

— Skarb, cholerny skarb — mruknął Simon, opadłszy na krzesło obok starca. Był zmęczony, już tylko zmęczony. Prawie jak w transie mówił dalej.



—Wtedy w kościele proboszcz dał mi decydującą wskazówkę, ale nie słu-  
chałem go uważnie. Wiedział, że wy byliście ostatnią osobą, z którą stary  
Schreevogl rozmawiał przed swoją śmiercią. I powiedział mi, że byliście z nim  
zaprzyjaźnieni.

Simon potrząsnął głową i kontynuował.

— Wtedy, gdy byłem u niego u spowiedzi, zapytałem go, czy w ostatnim  
czasie działką interesował się ktoś inny — powiedział. — Do dziś nie pamiętał,  
że to wy pytaliście o nią krótko po śmierci starego Schreevogla. Przypomniał so-  
bie o tym dopiero teraz, podczas majowego święta.

Sędziwy patrycjusz zagryzł bezkrwiste wargi.

— Stary dureń. Proponowałem mu dużo pieniędzy, ale nie. Musiał zbudować  
ten cholerny przytułek... A działka należała się mnie, tylko mnie! Ferdynand  
musiałby mi ją podarować. To było minimum, jakiego oczekiwałem od tego  
sknery! Minimum!

Sięgnął po leżący na stole włoski orzech i rozgniół go wprawnym ruchem.  
Odlamki skorupki rozprysły się po blacie.

—Z Ferdynandem znaliśmy się od dzieciństwa. Razem chodziliśmy do szko-  
ły łacińskiej. Jako mali chłopcy graliśmy w kulki, a później mieliśmy te same  
dziewczyny. Był dla mnie jak brat...

—Malowidło na ścianie w sali ratuszowej przedstawia was dwóch pośrodku  
innych patrycjuszy. Obraz wielkiej zgody — przerwał mu Simon. — Zapomnia-  
łem o nim, aż dziś wieczorem zobaczyłem was przy stole z innymi rajcami. Na  
obrazie trzymacie w rękach papier. Dziś zadawałem sobie pytanie, co na nim na-  
pisano?

Oczy Matthiasa Augustina ponownie zwróciły się w stronę blasku płomieni  
przed otwartym oknem. Zdawało się, że spogląda w dal.

— Wraz z Ferdynandem byliśmy wtedy burmistrzami. Pilnie potrzebował  
pieniędzy. Jego garncarnia znajdowała się na skraju bankructwa. Pożyczyłem mu

pieniądze, sporą sumę. Widoczny na obrazie papier jest kwitem dłużnym. Malarz chciał, żebym jako burmistrz trzymał w rękach jakiś dokument. Zatem wziąłem kwit dłużny, trzymając go tak, aby inni nie zauważyli, o co chodzi. Było to wieczne świadectwo długu Ferdynanda... — starzec zaśmiał się.

— Gdzie jest teraz kwit dłużny? — zapytał Simon.

Matthias Augustin wzruszył ramionami.

— Spaliłem go. Zakochaliśmy się wówczas w tej samej kobiecie. Elisabeth była rudowłosym aniołem, nie dziewczyną. Cóż, była niewinna i w niedoścignionym stopniu piękna. Ferdynand obiecał mi, że więcej jej nie tknie, a ja za to spaliłem kwit. Później tę kobietę poślubiłem. To był błąd... — z ubolewaniem potrząsnął głową. — Podarowała mi niepotrzebnego, głupiego bachora i umarła w połogu.

— Wasz syn Georg — wtrącił Simon.

Matthias Augustin krótko skinął głową. Później mówił dalej, podczas gdy jego chude, zaatakowane artretyzmem palce drżały.

— Ten skarb mi się należy! Ferdynand opowiadał mi o nim na łożu śmierci i o tym, że ukrył go gdzieś na placu budowy. Powiedział, że nigdy go nie znajdzie. Chciał się zemścić z powodu Elisabeth!

Simon chodził dookoła stołu. Jego myśli wirowały i na nowo układały się w całość. Naraz wszystko nabrało sensu. Zatrzymał się i wskazał na Matthiasa Augustina.

— To wy wykradliście z ratuszowego archiwum szkic aktu darowizny! — krzyknął. — Byłem taki głupi! Myślałem, że tylko Lechner lub jeden z czterech burmistrzów wiedział o skrytce za kaflem. Ale wy...?

Starzec uśmiechnął się.

— Gdy Ferdynand zbudował piec, kazał wykonać w nim skrytkę. Opowiedział mi o niej. Kafel przedstawiający pisarza sądowego, który sra aktami! Zawsze był znany ze swojego wulgarnego poczucia humoru.

—Ale skoro mieliście szkic... — zapytał Simon.

—Nie potrafiłem tego rozgryźć — przerwał mu Augustin. — Jak bym nie spojrział na ten przeklęty plan, nic mi on nie mówił!

—Zatem kazaliście sabotować prace na placu budowy, by móc dłużej szukać — wywnioskował Simon. — A później podsłuchały was dzieci, a wy po prostu zabiliście je, bo były niebezpiecznymi świadkami. Wiedzieliście, że wcale nie poznały zleceniodawcy? Wszystkie te morderstwa były niepotrzebne.

Matthias Augustin z gniewem zgniótł kolejnego orzecha.

— To robota Georga, tego ograniczonego lalusia. Rozum odziedziczył po matce, a nie po mnie. Miał tylko dać żołnierzom pieniądze za sabotaż. Ale nawet na to jest za głupi! Pozwolił, by go podsłuchano, a potem rozkazał usunąć dzieci. Przecież wiadomo było, jakie wywoła to kłopoty!

Zdawało się, że patrycjusz zapomniał o Simonie. Pomstował, nie dbając dalej o medyka.

—Mówiłem mu, żeby przestał i powiedział temu szatanowi, że już wszystko jest w porządku. Cóż dzieci mogłyby odpowiedzieć? Kto by im uwierzył? Ale mordowanie trwało dalej. A teraz dzieci nie żyją, landgraf węszy w mieście za czarownicami, a skarbu jak nie mieliśmy, tak nie mamy! Kupa skorup! Powinienem był zostawić Georga w Monachium, wszystko zniszczył!

—Co was obchodzi skarb? — zapytał z niedowierzaniem Simon. — Jesteście bogaci. Po co tyle ryzykować dla kilku monet?

Nagle starzec złapał się za brzuch i zgiął w pół. Zdawało się, że zalała go fala bólu. Za chwilę znów przemówił.

— Ty... nie rozumiesz — wysapał w końcu. — Moje ciało jest kawałkiem zepsutego mięsa. Rozkładam się za życia. Już wkrótce zjedzą mnie robaki. Ale to... jest... nieistotne.

Znowu musiał na krótko przerwać i przeczekać, aż przejdzie ból. Po chwili atak minął.

— Liczy się rodzina, nazwisko — powiedział. — Augsburgscy woźnice prawie doprowadzili mnie do ruiny. Cholerna szwabska hołota! Już niedługo i ten dom zejdzie na psy. Potrzebujemy tych pieniędzy! By uzyskać kredyt, wystarcza jeszcze samo moje nazwisko. Ale wkrótce to się skończy. Potrzebuję... tego skarbu.

Głos Augustina przeszedł w ciche charczenie, podczas gdy jego palce wczepiły się w blat stołu. Atak kolki powrócił. Z rosnącym przerażeniem Simon obserwował, jak starzec drżał, tam i z powrotem odrzucał głowę i przewracał niewidzącymi oczami. Z kącików ust kapąca mu ślina. Musiał odczuwać niewyobrażalny ból.

Przypuszczalnie to guz w trzewiach, pomyślał medyk, wrzód, który rozprzestrzenia się po całym podbrzuszu. Matthias Augustin nie pożyje już długo.

W tym momencie kątem oka Simon dostrzegł jakiś ruch. Chciał się odwrócić, ale właśnie gdy to czynił, poczuł potężny cios w bok przy potylicy. Osunął się na podłogę. Zataczając się, zauważył, jak młody Georg Augustin zamierza się żelaznym świecznikiem do drugiego uderzenia.

— Nie, Georg! — zawołał jego ojciec, sapiąc z tyłu. — Ty tylko wszystko pogarszasz!

Później Simona ogarnęła czarna fala. Nie wiedział, czy świecznik trafił go po raz wtóry, czy też tracił przytomność po pierwszym ciosie.

Gdy znów się obudził, poczuł ciągnięcie w okolicach klatki piersiowej, przy stopach i rękach. Jego głowa pulsowała od bólu, prawe oko nie otwierało się; przypuszczalnie dlatego, że zalane było krwią, która teraz przyschła. Siedział na krześle, na tym, co poprzednio, jednak nie mógł się ruszyć. Gdy spojrział w dół, zobaczył, że od góry do dołu jest przywiązany do krzesła sznurem do zasłon. Chciał krzyknąć, jednak nie wydobył z siebie nic więcej poza zduszonym dźwiękiem. Głęboko w jego ustach tkwił knebel.

Przed oczami pojawił mu się teraz Georg Augustin z szyderczym uśmiechem na ustach. Szpada przesunął wzdłuż kaftana medyka, oderwawszy już kilka miedzianych guzików. Simon zaklął w duchu. Gdy zobaczył, że Matthias Augustin zniknął podczas majowej uroczystości, nie zwrócił uwagi na jego syna, lecz pośpieszył prosto do domu Augustina. Młody patrycjusz musiał po— tajemnie pójść za nim. Teraz jego wyperfumowana, dobrze ufryzowana czupryna znajdowała się dokładnie na wysokości twarzy Simona. Georg Augustin spoglądał mu prosto w oczy.

— To był błąd! — syknął. — Cholerny błąd, konowale! Powinieneś być po prostu stulić pysk i rznąć swoją katowską dziewczkę. Przecież tam na zewnątrz jest taka piękna uroczystość. Ale nie, ty musisz przecież sprawiać kłopoty...

Pogładził szpadą brodę Simona. W tle słychać było jęczącego starego Augustina. Kiedy medyk odwrócił w tamtą stronę głowę, dostrzegł, że starzec leży na podłodze obok stołu. Jego ręce wczepiły się w grube deski z wiśniowego drewna; całym jego ciałem targały skurcze. Georg spojrział tylko krótko w jego stronę, po czym znów zwrócił się do Simona.

— Mój ojciec nie będzie nam już przeszkadzał — powiedział mimochodem. — Znam te ataki. Bóle wzrastają ponad wszelką miarę, ale później mijają. Gdy w końcu znikną, przypomina on pustą powłokę. Jest zbyt wyczerpany, by cokolwiek zrobić. Zaśnie, a gdy znów się obudzi, nic już z ciebie nie zostanie.

Patrycjusz powoli przesunął szpadą po gardle Simona, który próbował krzyknąć, jednak knebel przesunął się przez to jeszcze głębiej do gardła. Poczł, że zaraz się udusi. Z trudem udało mu się opanować.

— Wiesz co? — szepnął młody Augustin. Pochylił się nad Simonem, roztańczając zapach drogich perfum. — Najpierw przeklinałem, gdy zobaczyłem, jak idziesz do mojego ojca. Pomyślałem, że to już koniec. Ale teraz pojawiają się, no cóż... całkiem nieoczekiwane możliwości.

Podszedł do kominka, w którym migotał mały ogień i chwycił za pogrzebacz. Jego ostrze było rozpalone do czerwoności. Augustin przystawił je do policzka Simona, tak że medyk poczuł rozlewającą się falę ciepła. Z wyniosłym uśmiechem patrycjusz mówił dalej.

— Gdy na dole w więzieniu przyglądaliśmy się katowi podczas tortur, zauważyłem, że mogłoby mi to nawet sprawić przyjemność. Krzyki, parujące ciało, błagalne spojrzenia... Tylko że czarownica nie była całkiem w moim guście, za to ty...

Szybkim ruchem przesunął pogrzebacz i przycisnął go mocno do pludrów Simona. Żar przedostał się przez materiał i sycząc, dotknął uda. Simonowi napłynęły do oczu łzy. Głośno zawył, jednak przez knebel przedarło się tylko przytłumione westchnienie. Bezradnie rzucał się na krzesła w jedną i w drugą stronę. W końcu Augustin odłożył pogrzebacz i spojrzał mu w oczy z zimnym uśmiechem.

— Piękne pludry... A może jest to już najnowsza moda, jak to się mówi, reńskie pludry? Naprawdę ich szkoda. Jesteś chwalipiętą, ale przynajmniej masz gust. Zagadką jest dla mnie, jak jakiś felczer, który wziął się nie wiadomo skąd, wchodzi w posiadanie takich rzeczy. Ale teraz żarty na bok...

Wziął drugi fotel i ustawiając go oparciem do przodu, usiadł naprzeciwko Simona.

— To był tylko przedsmak bólu, którego jeszcze zaznasz. Chyba, że... — wskazał pogrzebaczem na klatkę piersiową Simona — Chyba, że powiesz mi, gdzie jest skarb. Lepiej gadaj zaraz. Wcześniej czy później będziesz musiał mi to powiedzieć.

Simon potrząsnął energicznie głową. Nawet gdyby chciał powiedzieć, nie wiedział. Choć podejrzewał, że kat znalazł skarb. Ostatecznie dziś w ciągu dnia Kuisl robił do tego aluzje. Ale pewności nie miał.



Georg Augustin zinterpretował jego potrząsanie głową jako odmowę. Z miną wyrażającą ubolewanie podniósł się i podszedł do kominka.

— Szkoda — powiedział. — W takim razie ten piękny kaftan będzie musiał ponieść śmierć. Kto jest właściwie twoim krawcem, konowale? Pewnie żaden schongauczyk, co?

Młody patrycjusz trzymał pogrzebacz w ogniu i czekał, aż metal znowu się zaczerwieni. Tymczasem Simon słyszał rozlegającą się na zewnątrz muzykę i śmiech. Zabawa odbywała się raptem kilka kroków stąd, jednak wszystkim, co mógłby dostrzec uważny obywatel, był jasno płonący ogień i mężczyzna, który siedział na krześle plecami do okna. Bez wątpienia Georgowi Augustinowi nikt nie będzie przeszkadzał. Służący bawili się na dole na rynku i przypuszczalnie do jutra mają wolne. Prawdopodobnie ktoś wejdzie do domu patrycjusza najwcześniej po północy.

Na podłodze za Simonem z cichym jękiem tarzał się stary Augustin. Zdawało się, że kolka ustaje. Mimo to starzec nie był w stanie interweniować. Simon modlił się, żeby Matthias Augustin nie stracił przytomności, był on bowiem jego jedyną nadzieją. Może udałoby mu się przemówić swojemu szalonemu synowi do rozumu. Simon zdążył już stwierdzić, że Georg nie był całkiem normalny.

— Mój ojciec zawsze uważał mnie za fircyka — powiedział młody patrycjusz, dalej obracając pogrzebacz w żarze. Jego oczy prawie z rozmarzeniem spoglądały w ogień. — Nigdy we mnie nie wierzył. Odprawił mnie do Monachium... Ale pomysł z placem budowy był mój. To ja zwerbowałem żołnierzy w gospodzie Semera. Dałem burmistrzowi kupę pieniędzy, żeby nas nie zdradził. Tłusty dziad wpuścił mnie tylnym wejściem. Myślał, że potrzebuję żołnierzy do zniszczenia przytułku, bo jego budowa źle odbiłaby się na handlu. Jakby w ogóle obchodził mnie handel!

Głośno się zaśmiał. Później z rozżarzonym pogrzebaczem podszedł do Simona.



— Teraz mój ojciec powinien zobaczyć, że nie jestem lalusiem, za którego zawsze mnie uważał. Gdy z tobą skończę, twoja katowska dziewczka już cię nie rozpozna. Może potem wezmę się za tę małą wiedźmę.

— Georg... strzeż się...

Staremu Augustinowi udało się podnieść. Sapiąc, wsparł się o stół. Zdawało się, że chce coś powiedzieć, ale ból sprawił, że znów osunął się na podłogę.

— Nie mów mi, co mam robić, ojczy — szepnął Georg Augustin, zbliżając się do Simona. — Za kilka tygodni będzie po wszystkim, a wtedy ja tu usiądę i pokieruję interesami. Ty zgnijesz, ale nasz dom, nasze nazwisko przetrwa. Dzięki tym pieniądzom kupię kilka nowych furmanek i parę silnych koni, a wtedy powiemy augsburczykom kilka słów do słuchu i damy się im we znaki.

Starzec wskazał z rozpaczą na drzwi za swoim synem.

— Georg, za tobą...

Młody patrycjusz spojrział wpierw zdziwiony, a później wyraźnie przestraszony na swojego ojca, który chudymi palcami wskazywał na wejście. Gdy w końcu się odwrócił, było już za późno.

Kat rzucił się na Georga Augustina jak zmora senna i jednym ciosem powalił go na ziemię. Rozzarzony pogrzebacz poleciał w kąt pomieszczenia i upadł tam z brzękiem. Młody Augustin patrzył w osłupieniu na stojącego nad nim rosłego mężczyznę, który teraz schylił się i obydwiema rękami podniósł go do góry.

— Torturowanie pozostaw mnie, gogusiu — powiedział kat. Później uderzył patrycjusza swoim kanciastym łbem, aż ten bez życia opadł na krzesło. Z nosa popłynęła mu krew. Nagle przechylił się do przodu i nieprzytomny runął na podłogę.

Kat nie spojrział już na Georga Augustina, lecz podbiegł do Simona, który szamotał się na krześle, i szybkim ruchem wyciągnął mu z ust knebel.

—Kuisl! — wysapał medyk. — Zsyłają was niebiosą. Skąd wiedzie— liście, że...

—Przyszedłem na uroczystość, żeby wyładować złość na mojej Magdalenie — przerwał mu burkliwym tonem kat. — Myślałem, że przyłapię was na umizgach. Tymczasem słyszałem, jak się kłócicie. Masz szczęście, że ona wciąż cię lubi. Widziała, jak popędziłeś do Augustina. Powiedziała mi, gdzie jesteś. Gdy długo nie wychodziłeś, poszedłem za tobą.

Kat wskazał na pęknięcie na lewym udzie Simona, pod którym odznaczała się czarno—czerwona, spalona skóra.

— Co tam masz?

Simon spojrział w dół. Gdy zobaczył ranę, ból powrócił.

—Drań potraktował mnie pogrzebaczem. Omal nie spalił mnie żywcem.

—Teraz przynajmniej wiesz, jak niebawem poczuje się Stechlinowa — mruknął Jakub Kuisl. — A co się stało temu tam?

Wskazał na starego Augustina, który zdążył odpocząć, a teraz ze wzrokiem palającym nienawiścią siedział w swoim fotelu.

—To on jest zleceniodawcą, którego tak długo szukaliśmy — powiedział Simon, prowizorycznie obwiązując sobie ranę kawałkiem materiału. Zaczął opowiadać katowi o tym, co się stało.

—Szanowny Matthiasie Augustynie — mruknął w końcu Jakub Kuisl w kierunku starca, gdy Simon skończył swoją relację. — Wy chyba nigdy nie będziecie mieć dość stosów. Czy nie wystarczyło wam kilkudziesięciu ludzi, których onegdaj musiał spalić mój dziadek? Czy nie krzyczało wtedy wystarczająco wiele kobiet?

—Nie chciałem tego, Bóg mi świadkiem — rzekł Matthias Augustin. — Pieniądze były wszystkim, czego pragnąłem.

—Wasze cholerne pieniądze — powiedział kat. — Są zbrukane krwią. Ja ich nie chcę. Weźcie je sobie i zeżryjcie, wszystko mi jedno!

Sięgnął pod płaszcz, wyjął mały, brudny lniany woreczek i z odrazą rzucił go na stół. Woreczek pękł, a po blacie rozsypały się złote i srebrne monety, które brzęcząc, potoczyły się na podłogę.

Starzec przyglądał się im z otwartymi ustami. Później pochylił się nad stołem i zaczął zachłannie zgarniać monety ku sobie.

—Mój skarb! Moje pieniądze! — wysapał. — Będę mógł umrzeć z godnością. Mój ród będzie żył dalej — zaczął liczyć monety.

—Właściwie to szkoda tych wszystkich pieniędzy dla takiego handlarzyny jak wy— mruknął Jakub Kuisl. — Zastanowię się, czy wam ich z powrotem nie zabrać.

Matthias Augustin spojrział ze strachem w jego stronę. Przerwał liczenie, jego palce drżały.

— Nie odważysz się, kacie — syknął.

— Czemu nie? — odrzekł Kuisl. — Nikt by niczego nie zauważył. A może chcecie powiedzieć radzie, że zabrałem wam skarb Ferdynanda Schreevogla? Pieniądze, które właściwie należą się Kościołowi, a które wy przywłaszczyliście sobie wbrew prawu?

Matthias Augustin spojrział na niego nieufnie.

— Czego chcesz, kacie? — zapytał. — Pieniądze przecież cię nie obchodzą. Zatem, o co ci chodzi?

Jakub Kuisl wysunął swoje masywne ciało nad blat stołu, aż jego twarz znalazła się tuż przed bezzębnymi ustami starca.

— Nie potraficie tego zgadnąć? — wymamrotał. — Chcę, żebyście przekonali radę i grafa, że nie ma tu żadnej czarownicy, że to wszystko było tylko dziecięcą zabawą z sokiem z czarnego bzu i zaklęciami. Niech akuszerka wyjdzie na wolność, a ta nagonka wreszcie się skończy. Pomóżcie mi w tym, a dostaniecie te przeklęte pieniądze.

Matthias Augustin potrząsnął głową i zaśmiał się.

— Nawet jeśli bym chciał, któż by mi uwierzył? Byli przecież zabici, magazyn jest spalony, żołnierze na placu budowy...

— Zniszczenie placu budowy było aktem sabotażu obywateli, którzy nie chcieli tutaj żadnego przytułku. Drobnostka... — wtrącił Simon, gdy zauważył, do czego zmierza kat. — Magazyn podpalili augsburczycy kontynuował szybko. — Jednak, by nie narażać na szwank sąsiedzkich stosunków, nie będzie to miało żadnych konsekwencji. A martwe dzieci...

— Peter Grimmer wpadł do wody, wypadek, który może poświadczyć medy — powiedział powoli Jakub Kuisl. — A inni... Cóż, wojna jeszcze się nie skończyła. W okolicy roi się od opryszków i rabusiów. Poza tym, kogóż obchodzi życie kilku sierot, jeśli dzięki kłamstwu może uratować miasto?

— Uratować... miasto? — zapytał zdziwiony Matthias Augustin.

— Cóż — wtrącił Simon. — Jeżeli nie wciśnięcie landgrafowi jakiejś dobrej historyjki, będzie szukał kolejnych czarownic i to tak długo, aż spali się połowa Schongau. Przypomnijcie sobie proces czarownic za czasów waszego dzieciństwa, kiedy na stos trafiły dziesiątki kobiet. Rada wesprze was i łyknie kilka drobnych kłamstewek, jeśli postaracie się, by przeszłość się nie powtórzyła. Wy sami macie wpływ na członków rady i landgrafa i potraficie ich przekonać. Wykorzystajcie to! Jestem pewien, że każdy ma na sumieniu jakiś grzeszek, o którym wam wiadomo. W ostateczności możecie postraszyć jego wyjawieniem.

Matthias Augustin potrząsnął głową.

— Wasz plan się nie uda. Za dużo się wydarzyło...

— Pomyślcie o pieniądzach — przerwał mu kat. — O pieniądzach i o waszej reputacji. Gdy opowiemy ludziom, jakie z was i waszego syna psubraty, prawdopodobnie nikt nam nie uwierzy. Sami wiemy, że brakuje nam dowodów. Ale kto wie, zawsze pozostaje jakieś wyjście... Znam ludzi. Plotkują. A wielmożni panowie i damy od czasu do czasu odwiedzają mnie, by nabyć napój miłosny albo maść na brodawki, i wtedy wywiązuje się rozmowa...

—Przestańcie! Przestańcie! — krzyknął Matthias Augustin. — Przekonaliście mnie. Uczynię wszystko, co w mojej mocy. Ale niczego nie mogę wam obiecać.

—My też niczego nie obiecujemy — rzekł kat, szybkim ruchem zgarniając monety ze stołu do swojego dużego płaszcza. Starzec próbował protestować, ale spojrzenie kata sprawiło, że zamilkł.

—Przyjdźcie do mojej izby pojutrze po wielkim posiedzeniu rady miejskiej — powiedział Jakub Kuisl. — Jestem pewien, że wasz syn potrzebuje tygla arniki.

Niemal z litością spojrział na wciąż nieprzytomnego Georga Augustina, który leżał skulony na podłodze. Kałuża zaschniętej krwi otaczała jego czarne loki. Później znów zwrócił się do jego ojca.

— W mojej szafie może znajdzie się eliksir, który i wam przyniesie ulgę. Bo wierzcie mi, my, marni znachorzy i zielarze, mamy przewagę nad doktorami po studiach dzięki niejednej tajemnicy.

Po tych słowach skierował się do wyjścia, machając woreczkiem.

— Jeśli posiedzenie rady miasta przyniesie dobre rezultaty, wówczas ten woreczek zmieni swojego właściciela. A jeśli tak się nie stanie, wrzucę go do Lecha. Bądźcie zdrowi.

Simon wyszedł za nim. Domykając drzwi, usłyszał jeszcze jęczącego starca. Skurcze znów powróciły.

Posiedzenie rady miasta, które odbyło się dwa dni później, było najbardziej osobliwym, jakie kiedykolwiek widziało Schongau. Matthias Augustin wykorzystał cały poprzedni dzień na to, by z osobna wymagłować wszyst-

kich członków rady wewnętrznej. Na każdego miał jakiś haczyk, każdego mógł przeciągnąć na swoją stronę za pomocą gróźb, pochlebstw i siły perswazji. Gdy w końcu przekonał także pisarza sądowego Johanna Lechnera, dalszemu planowi nic już nie stało na przeszkodzie.

Kiedy landgraf stanął rano przed zgromadzeniem rady miejskiej, oczekiwała go banda sprzysiężonych, uświadomionych obywateli, którzy każde najmniejsze podejrzenie o uprawianie czarów potępiali jako wymysł z krainy baśni. Ustalenia poczynione przez radę ponad wszelką wątpliwość wykazały, że znaki czarownic były niczym innym jak tylko dziecięcą zabawą, pożar magazynu stanowił akt zemsty nikczemnej, augsburskiej hołoty, zaś zamordowane dzieci padły ofiarą ciemnego motłochu, który ukrywał się w lasach położonych wokół Schongau. Ogólnie rzecz biorąc, wydarzenie smutne, ale bynajmniej nie powinno stanowić powodu do hysterii.

Ponadto, dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, rankiem trzeciego maja były landsknecht i opryszek Christoph Holzapfel został schwytany przez żołnierzy landgrafa. Córka kata Magdalena wkrótce rozpoznała go jako swojego porwacza i już wieczorem niegodziwy żołnierz zeznał w lochach więzienia, że z czystej złości zamordował troje schongauskich dzieci.

Dziwnym trafem do przyznania się do winy nie były potrzebne żadne tortury. Jednak kat musiał chyba zaprezentować narzędzia do tortur podczas krótkiej chwili, którą spędził sam na sam z porwaczem swojej córki. W każdym razie morderca był gotów na piśmie przyznać się do winy, a podpis złożył lewą ręką. Prawa zwisała jak mokra, czerwona ścierka i zdawało się, że trzyma się tylko na skórze i ścięgnach.

Mimo wszystko landgraf poczynił kilka nieudolnych prób udowodnienia Stechlinowej uprawiania czarów, ale ponieważ do tej pory nic nie zeznała, do dalszych tortur musiałby uzyskać pozwolenie z Monachium. Czterech burmi-

strzów i pisarz sądowy uświadomili mu, że nie może przy tym liczyć na ich parcie.

Sprawę przesądził w końcu stary Matthias Augustin, który w barwnych słowach opowiedział o całej masie okrucieństw związanych z ostatnim wielkim procesem czarownic w roku 1589. Dodał, że przedstawiciel księcia elektora pewnie nie chce znów prowokować podobnych sytuacji.

Toteż w południe czwartego maja 1659 roku świta grafa Wolfganga Dietricha von Sandizella znów wyruszyła, tym razem w kierunku Thierhaupten do jego dóbr, aby tam z daleka kierować losami Schongau. Gdy żołnierze w błyszczących zbrojach przejeżdżali konno przez bramę miasta, obywatele jeszcze długo machali swojemu władcy. Hałasujące dzieci i ujadające psy biegły za powozem aż do Altenstadt. Mieszkańcy byli zgodni: pięknie było jeszcze raz zobaczyć tak wielmożnych państwa z bliska. A jeszcze piękniej było obserwować, jak znów odjeżdżają.

Kat przeszedł na drugą stronę do więzienia i kazał woźnym sądowym otworzyć drzwi. Wśród wilgotnej słomy i swoich śmierdzących odchodów leżała Marta Stechlin. Spała. Jej oddech był spokojny, guz na czole prawie już zniknął. Jakub Kuisl pochylił się nad nią i pogładził ją po policzku. Na jego twarzy pojawił się uśmiech. Przypomniawszy sobie bowiem o tym, jak ta kobieta pomagała podczas narodzin jego dzieci. O krwi, o krzyku i płaczu.

— „Dziwne — pomyślał. — Gdy człowiek przychodzi na świat, broni się rękami i nogami — i robi to samo, gdy musi odejść”.

Marta Stechlin otworzyła oczy. Potrzebowała trochę czasu, by po przebudzeniu ze snu zorientować się, że jest w lochach.

— Co jest, Kuisl? — zapytała, jeszcze nie całkiem przytomna. — Wszystko toczy się dalej? Znowu musisz mi zadać ból?

Kat z uśmiechem potrząsnął głową.

— Nie, Marto. Idziemy do domu.



—Do domu?

Akuszerka podniosła się, mrugając oczami, jakby chciała sprawdzić, czy nadal śni. Jakub Kuisl skinął głową.

— Do domu. Magdalena ździebko u ciebie posprzątała, a młody Schreevogł ofiarował ci ładny kawał grosza na nowe łóżko, naczynia i to, czego po prostu potrzebujesz. Na początek, jakoś to będzie. Chodź, pomogę ci wstać.

— Ale dlaczego...

— Teraz nie pytaj. Idź do domu. Później wszystko ci opowiem.

Chwytał ją za ramiona i pomógł stanąć na nogi, które wciąż jeszcze były opuchnięte. Wsparta przy jego boku Marta Stechlin pokuśtykała w stronę otwartych drzwi. Do środka wpadało słoneczne światło. Był ciepły ranek piątego maja. Ptaki ćwierkały, od strony rynku dochodziły krzyki targujących się służących i mieszczek, zaś z pól wiał wiatr, niosący ze sobą zapach lata i kwiatów. Gdy się zamknęło oczy, można było nawet usłyszeć szumiący Lech. Akuszerka stanęła u wejścia, wystawiając twarz ku promieniom słońca.

— Do domu — szepnęła.

Jakub Kuisl chciał wziąć ją pod rękę, ale ona potrząsnęła głową i uwolniła się z jego uścisku. O własnych siłach pokuśtykała uliczką w stronę swojego małego domku i zniknęła za najbliższym zakrętem.

— Kat przyjacielem człowieka, któż by pomyślał?

Głos dotarł z przeciwnego kierunku. Jakub Kuisl obejrzał się i zobaczył idącego spacerkiem w jego stronę pisarza sądowego. Miał on na sobie wyjściową marynarkę i kapelusz z rondem elegancko wywiniętym do góry. W jego prawej ręce spoczywała laska.

Kat pozdrowił go w milczeniu, po czym miał zamiar pójść dalej.

— Może masz ochotę na mały spacer, Kuisl? — zapytał Johann Lechner. — Słońce się śmieje, a ja uważam, że powinniśmy w końcu porozmawiać. Właści-

wie to jak wysokie wynagrodzenie dostajesz za rok pracy? Dziesięć guldenów? Dwanaście? Sądzę, że zarabiasz za mało.

— Bez obaw, w tym roku dobrze zarobiłem — mruknął kat. Nie podnosząc wzroku, powoli nabijał fajkę. Wnętrze główki fajki wydawało się znacznie bardziej interesujące niż stojący przed nim mężczyzna. Johann Lechner stanął i zaczął bawić się swoją laską. Długo milczeli.

— Wiedzieliście o tym, prawda? — zapytał w końcu Jakub Kuisl. — Cały czas wiedzieliście.

— Zawsze miałem na względzie tylko interesy miasta — odrzekł Lechner. — Nic innego się nie liczy. Wydawało mi się, że tak jest najłatwiej.

— Najłatwiej...

Pisarz sądowy obracał w palcach laskę. Wyglądał, jakby szukał skarbów w uchwycie.

— Wiedziałem, że stary Schreevogl był winien Matthiasowi Augustinowi mnóstwo pieniędzy. I zdawałem sobie sprawę z tego, że jako poważany mistrz garncarski musi posiadać o wiele większy majątek niż zapisano w testamencie — powiedział, mrużąc oczy pod wpływem słońca. — Poza tym znałem oryginalny humor starca. Gdy później z archiwum zniknął szkic działki, było jasne, że ktoś żywo się nią interesował. Początkowo podejrzewałem młodego Schreevogla, ale on przecież nie mógł dostać się do archiwum... W końcu przyszło mi do głowy, że Ferdynand Schreevogl pewnie opowiedział swojemu przyjacielowi Augustinowi o skrytce za kaflem. Od tej chwili sprawa właściwie była oczywista. Cóż, cieszę się, że wszystko jednak obróciło się na dobre.

— Kryliście Augustina — burknął Jakub Kuisl, pociągając z fajki.

— Jak już powiedziałem, dla dobra miasta. Nie potrafiłem wytłumaczyć sobie sprawy ze znakami. Poza tym... któż by mi uwierzył? Augustinowie są wpływową rodziną w Schongau. Śmierć akuszerki zdawała się rozwiązywać naraż wszystkie problemy.

Uśmiechnął się do Kuisła.

— Naprawdę nie masz ochoty na mały spacerek?

Kat potrząsnął w milczeniu głową.

— No cóż — powiedział pisarz sądowy. — W takim razie życzę miłego dnia i błogosławieństwa Bożego.

Wymachując laską, udał się w kierunku bramy prowadzącej nad Lech. Mieszkańcy, którzy go widzieli, pozdrawiali go uprzejmie i zdejmowali kapelusze. Zanim zniknął w małej uliczce, Jakubowi Kuisłowi zdawało się, że widzi, jak Johann Lechner jeszcze raz podnosi laskę do góry — tak jakby chciał go z daleka pozdrowić.

Kat splunął. Naraz przestała mu smakować fajka.

TLR



## Epilog

W lipcową niedzielę 1659 roku kat wraz z medykiem siedzieli na ławce przed domem Kuisłów. Z izby docierał do nich zapach świeżo upieczonego chleba. Anna Maria Kuisl przygotowywała obiad, na który zaplanowała potrawkę z zającą z ziarnami jęczmienia i burakami, ulubioną potrawę swojego męża. Bliźniaki Georg i Barbara bawiły się w ogrodzie ze starszą siostrą. Magdalena założyła sobie na głowę świeżo uprane prześcieradło i przebrana za przerażającego diabła mieszkającego w nurtach Lecha biegała po kwitnących łąkach. Dzieci uciekały przed nią z piskiem i śmiechem, szukając schronienia w domu u swojej matki.

Jakub Kuisl obserwował tę scenkę i zatopiony w myślach zaciągał się fajką. Rozkoszował się latem i robił tylko to, co było niezbędne. Śmieci na ulicach należało sprzątać co tydzień, od czasu do czasu trzeba było pokroić zdechłą chabete albo ktoś potrzebował maści na rwące i kłujące bóle... W ciągu ostatnich dwóch miesięcy zarobił tak dużo, że mógł sobie pozwolić na pewne niedbalstwo. Za stracenie pozostałego przy życiu żołnierza Christopha Holzapfela otrzymał od miasta całe dziesięć guldenów! Skazany landsknecht, którego schwytano krótko po przybyciu grafa, został poddany karze przy aplauzie tłumu. Kołem od wozu kat połamał mu przed miastem ręce i nogi, po czym wplótł go między szprychy i

ustawił obok szubienicy. Christoph Holzapfel żył i krzyczał jeszcze przez dwa dni. W końcu Jakub Kuisl zlitował się nad nim i udusił go garotą.

Zwłoki zabitego na placu budowy André Pirkhofera powieszono obok jego ziomka na łańcuchach. Podobnie uczyniono ze zwłokami Christiana Braunschweigera, którego obywatele, nawet po jego śmierci, wciąż jeszcze ze strachem nazywali diabłem, wykonując przy tym trzykrotnie znak krzyża. Jego zwęglone zwłoki, które skurczyły się do rozmiarów dziecka, wyciągnięto ze sztolni, zanim ostatecznie zasypano wejścia. Wargi Braunschweigera były spalone, a skóra głowy pomarszczona, z przodu szczyrzyły się w uśmiechu zęby. Koścista lewa ręka połyskiwała na biało na tle czarnego ciała, a ludzie mówili, że machała jeszcze na szubienicy. Dwa tygodnie później z ciała diabła pozostały tylko kości i zmumifikowana skóra; mimo to rada nakazała, by wisiało ono dalej jako przestroga, aż odpadną pojedyncze kości.

Czwartego landsknechta, Hansa Hohenleitnera, nigdy nie odnaleziono. Przepuszczalnie Lech poniósł go dalej w kierunku Augsburga, gdzie jego ciało pożarły ryby. Jednak dla Jakuba Kuisla nie miało to już żadnego znaczenia. Ogólnie rzecz biorąc, schongauski kat zarobił w ciągu ostatnich dwóch miesięcy ponad dwadzieścia guldenów, które powinny mu wystarczyć na jakiś czas.

Simon sączył kawę zaparzoną przez Annę Marię Kuisl. Miała gorzki, mocny smak i usuwała z jego ciała zmęczenie. Ostatnia noc wyczerpała go. W Schongau szerzyła się bowiem gorączka. Wprawdzie nie było to nic poważnego, ale ludzie wciąż pytali o nowy, zachodnioindyjski proszek, który młody medyk aplikował od zeszłego roku. Zdawało się, że do tego specyfiku przekonał się nawet jego ojciec.

Simon spoglądał na kata. W zanadrzu miał nowinki, których nie chciał ukrywać przed swoim przyjacielem i mistrzem.

—Dziś rano byłem u Augustinów — powiedział na tyle od niechcenia, na ile to było możliwe.

—No i? — zapytał Jakub Kuisl. — Co porabia młody goguś? Od śmierci ojca w zeszłym miesiącu nic o nim nie słyszałem. Mówią, że doskonale dba o interesy.

—On jest... chory.

—Ma letnią gorączkę? Daj Boże, żeby długo się poccił i marzył.

Simon potrząsnął głową.

— To coś poważniejszego. Na jego ciele odkryłem czerwone plamy, które powoli się rozprzestrzeniają. W wielu miejscach już nic nie czuje. Sądzę... że ma trąd. Musiał się zarazić podczas swojej ostatniej podróży do Wenecji.

— Lepra?

Kat przez chwilę milczał. Później głośnie się roześmiał.

— Augustin trędowaty! Kto by pomyślał? Cóż, w takim razie pewnie ucieszy go wieść, że przytułek wkrótce będzie gotowy. Najpierw fircyk sabotuje budowę, a później sam się tam wprowadza... Kto by pomyślał, Bóg jest jednak sprawiedliwy!

Simon uśmiechnął się. Natychmiast naszyły go jednak wyrzuty sumienia. Georg Augustin był złym człowiekiem, szaleńcem, dzieciobójcą, który na dodatek go torturował. Blizna pooparzeniowa wciąż jeszcze sprawiała Simonowi ból. Mimo to nawet swojemu najgorszemu wrogowi nie życzyłby tej choroby. Georg Augustin będzie powoli gnić za życia.

Aby pomyśleć o czymś innym, Simon zmienił temat.

—Te zaręczyny Magdaleny z katem ze Steingaden... — zaczął.

—Co z nimi? — mruknął kat.

— Nie żartowaliście?

Kat zaciągnął się dymem z fajki. Dopiero po chwili odpowiedział.

— Odmówiłem mu. Babsko jest zbyt uparte. Nie zasłużył sobie na to.

Na twarzy Simona zagościł uśmiech. Poczuł, jakby w jego brzuchu rozwiązał się jakiś supeł.

— Kuisl, jestem wam...

— Siedź cicho! — przerwał mu kat. — W przeciwnym razie jeszcze raz to przemyślę.

Później wstał i podszedł do drzwi. Bez słowa kiwnął na Simona, by ten poszedł za nim.

Przez izbę pachnącą świeżo upieczonym chlebem przeszli na drugą stronę do komórki. Przy niskim przejściu kat musiał się jak zwykle pochylić. Simon przesliznął się za nim do pomieszczenia kryjącego największe świętości. Pełen czci spojrział jeszcze raz na potężną szafę, która sięgała do sufitu. — Skrzynia ze skarbami — pomyślał, — wypełniona medyczną wiedzą ostatnich stuleci...

Młodego medyka natychmiast ogarnęła potrzeba otworzenia szafy i poszperania w książkach i foliach. Idąc w jej kierunku, omal nie potknął się o stojącą na środku komórki małą skrzynkę. Była ona wykonana z polerowanego wiśniowego drewna, miała srebrne okucia i solidnie wyglądający zamek, w którym tkwił jeszcze klucz.

— Otwórz ją — powiedział kat. — Jest twoja.

— Ale... — zaproponował Simon.

— Potraktuj to jako zapłatę za swoje starania — wtrącił Jakub Kuisl. — Pomogłeś mi uwolnić moją córkę i uratować kobietę, która towarzyszyła przy narodzinach moich dzieci.

Simon ukląkł i otworzył skrzynię. Pokrywa odskoczyła z cichym kliknięciem.

W środku leżały książki. Co najmniej tuzin.

Wszystkie stanowiły nowe wydania: *Armamentarium Chirurgicum* Scultetusa, podręcznik dla akuszerki autorstwa Szwajcara Jakuba Rufa, wszystkie przetłumaczone na język niemiecki dzieła Ambroise'a Parę, *Ophthalmodouleia*. *Der Augendienst* Georga Bartischa, *Große Wundarzney* Paracelsusa z kolorowymi ilustracjami i skórzaną oprawą...



Simon szperał i wertował. Przed nim leżał skarb o wiele większy niż ten, który znaleźli w podziemnym mieście.

— Kuisl — wyjąkał. — Jak ja mam wam dziękować? Tego jest za dżo! To... to musiało kosztować majątek!

Kat wzruszył ramionami.

— Kilka złotych monet więcej czy mniej. Stary Augustin nawet nie zwrócił na to uwagi.

Wystraszony Simon wyprostował się.

— Czy wy...?

— Sądzę, że chciałby tego Ferdynand Schreevogl — powiedział Jakub Kuisl. — Po co tyle pieniędzy Kościołowi albo handlarzynom? Pokryłyby się tylko kurzem — tak samo jak w podziemiach. A teraz idź już i czytaj, zanim zacznę tego żałować.

Simon pozbierał książki, zamknął skrzynię i uśmiechnął się szeroko.

— W każdej chwili możecie pożyczyć ode mnie kilka dzieł. Gdybym za to z Magdaleną...

— Spływaj, psubracie!

Kat trzepnął go w potylicę, tak iż Simon prawie potknął się wraz ze skrzynią o próg. Medyk pobiegł wzdłuż Lecha przez dzielnicę garbarzy do miasta, przez kocie łby Münzstraße, kierując się w ciasne, cuchnące uliczki, aż sapiąc, dotarł do domu.

Dziś będzie miał dużo do przeczytania.



## Rodzaj posłowia

Nie wiem, kiedy usłyszałem o Kuislach po raz pierwszy. Musiałem mieć chyba pięć lub sześć lat, gdy moja babcia spojrzała na mnie badawczo tym pełnym zadumy wzrokiem, którym do dziś dzieli całą swoją rodzinę, składającą się z ponad dwudziestu potomków, na Kuisłów i nie— Kuisłów. Nie miałem wtedy pewności, czy bycie Kuislem oznaczało coś dobrego czy złego, brzmiało to bowiem jak jakaś cecha, rzadki kolor włosów lub przymiotnik, których jeszcze nie znałem.

Od dawien dawna za kuisłowskie uchodzą w naszej rodzinie takie cechy wyglądu jak haczykowaty nos, grube, ciemne brwi, atletyczna budowa ciała i mocny zarost, a także talent muzyczno— artystyczny, jak również wrodzona wrażliwość, niemal nadwrażliwość. Zalicza się do nich również posiadanie niewielkiej liczby znajomych, pociąg do alkoholu i pewna mroczna melancholia. W opisie Kuisła, jaki pozostawił nam kuzyn mojej babci, zapalony badacz— amator naszych przodków, znajdują się między innymi następujące słowa: „zakrzywione paznokcie (szpony)” i „wzruszający, jednak niekiedy brutalny”. Zatem ogólnie rzecz biorąc, była to osobowość nieszczególnie sympatyczna. Cóż, kiedy rodziny się nie wybiera...

To właśnie kuzyn mojej babci wiele lat później poruszył przy mnie temat katowskiego rzemiosła. Byłem lekko po dwudziestce, gdy pewnego dnia znalazłem w domu na stole stos pożółkłych papierów. Na porozdzieranych, gęsto zapisanych na maszynie stronach Fritz Kuisl zgromadził wszystkie informacje o na-

szych przodkach. Wśród nich znajdowały się czarno— białe zdjęcia narzędzi do tortur i katowskiego miecza Kuisla (który został skradziony w latach 70. z schongauskiego muzeum krajoznawczego i nigdy już go nie odnaleziono), liczący dwieście lat dyplom mistrzowski, wystawiony na mojego przodka, ostatniego schongauskiego kata, Johanna Michaela Kuisla, przepisany na maszynie artykuł z gazety oraz spisane odręcznie, długie na metr drzewo genealogiczne. Słyszałem o czarodziejskich księgach mojego przodka Jórگا Abriela, które nadal są przechowywane w Bawarskiej Bibliotece Państwowej, i dowiedziałem się, że dynastia Kuisłów była jedną z najsłynniejszych dynastii katów w Bawarii. Jedynie podczas schongauskiego procesu czarownic z roku 1589 na konto mojego krwawego przodka poszło przypuszczalnie ponad sześćdziesiąt egzekucji.

Od tego czasu myśli związane z historią mojej rodziny już nigdy mnie nie opuszczały. Gdy kilka lat temu zmarł Fritz Kuisl, jego żona Rita wpuściła mnie do jego największej świętości: ciasnej pracowni, wypełnionej aż po sufit zakurzonymi segregatorami na dokumenty i książkami na temat katowskiego rzemiosła. W malutkim pomieszczeniu były zgromadzone skrzynie pełne drzew genealogicznych i skopiowanych ksiąg parafialnych, pochodzących częściowo z XVI wieku. Na ścianach wisiały wyblakłe fotografie i malowidła zmarłych dawno temu przodków. Na tysiącach fiszek Fritz Kuisl sporządził listę krewnych według imienia, zawodu, daty urodzenia i śmierci...

Na jednej z nich zapisano moje imię, na innej — imię mojego syna, który przyszedł na świat rok wcześniej. Po śmierci swojego męża Rita Kuisl wpisała tam jeszcze jego imię.

Koniec linii.

Na widok tego wszystkiego ogarnął mnie lekki strach, ale także poczucie więzi. Odniosłem wrażenie, jakby do swojego kręgu przyjęła mnie wielka wspólnota. W ostatnich latach genealogia zyskała na popularności. Być może przyczyna tego tkwi w naszych próbach stworzenia sobie przejrzystego domu w

coraz bardziej skomplikowanym świecie. Nie dorastamy już w dużych rodzinach. Człowiek czuje się coraz bardziej wyobcowany, wymienialny i przemijający. Genealogia daje mu poczucie nieśmiertelności. Jednostka umiera, zaś klan żyje dalej.

Swojemu siedmioletniemu synowi opowiadam o jego osobliwych przodkach, opuszczając przy tym krwawe detale. (Dla niego są oni chyba pewnego rodzaju rycerzami, co brzmi przecież lepiej niż kaci). W jego dziecięcym pokoju wisi kolaż ze zdjęć zmarłych dawno temu krewnych: pradziadków, prapradziadków, ich ciotek, wujków, siostrzenic, siostrzeńców... Czasami syn chce, bym opowiedział mu wieczorem coś na temat tych ludzi, a ja mówię mu to, co o nich wiem. Są to historie piękne, smutne lub przerażające. Dla niego rodzina jest bezpieczną ostoją, wstęgą łączącą go z wieloma ludźmi, których kocha i którzy kochają jego. Kiedyś słyszałem, że na tym świecie każdy jest z każdym daleko spokrewniony. W pewnym sensie jest to pocieszające wyobrażenie.

Niniejsza książka jest powieścią, nie zaś naukową pracą seminaryjną. Pisząc ją, próbowałem możliwie jak najwierniej trzymać się faktów. Mimo to, z przyczyn dramaturgicznych, musiałem często posługiwać się uproszczeniami. Również w tych złych czasach torturowanie wymagało posiadania trochę większej liczby dokumentów, natomiast Schongau przypuszczalnie nie zaakceptowałoby tak władczego pisarza sądowego jak Johann Lechner. W sprawach dotyczących miasta rządzą istotnie rajcy i burmistrz, a nie przedstawiciel księcia elektora.

W okolicy Schongau nie ma tak zwanych „podziemnych miast”, jednak można je znaleźć w wielu innych miejscach w Bawarii. Do dziś ich przeznaczenie jest w dużej mierze niejasne.

W przeciwieństwie do medyka Simona Fronwiesera postać Johanna Jakuba Kuisla jest udokumentowana historycznie — podobnie jak postacie jego żony Anny Marii i dzieci: Magdaleny, Georga i Barbary. Wielu Kuisłów uchodziło za odczytanych i było uzdrowicielami znanymi poza granicami miasta. Chyba też

dlatego wielu wykształconych medyków wciąż rzucało im kłody pod nogi i składało na nich doniesienia u władz. Jeden z moich przodków gorzko skarży się w liście, że nie mógł złożyć egzaminu z medycyny. W przeciwnym razie udowodniłby swoją przewagę nad akademickimi konowalami!

Wszystko, czego można dowiedzieć się z tej książki na temat katowskiego rzemiosła, odpowiada faktom według aktualnego stanu wiedzy. Śmiem wątpić, czy mój przodek rzeczywiście wstawił się za torturowaną przez siebie akuszerką. W każdym razie tak go sobie przedstawiam w swojej wyobraźni. W końcu jest on moim praprapradziadkiem, a jak wiadomo, o swojej rodzinie nie pozwala się nikomu powiedzieć złego słowa.

Do powstania tej książki przyczyniło się wielu ludzi. W szczególności chciałbym podziękować schongauskiemu okręgowemu konserwatorowi zabytków, Helmutowi Schmidbauerowi, który zapoznał mnie z istotnymi detalami, Franzowi Grundnerowi z schongauskiego muzeum miejskiego, pani profesor Chriście Habrich z Niemieckiego Muzeum Historii Medycyny, Ricie Kuisl, która była tak miła i oddała mi do dyspozycji archiwum swojego męża, mojemu bratu Marianowi, który dodawał mi odwagi i był pierwszym korektorem powieści, mojemu ojcu jako doradcy w kwestiach medycznych i łacińskich oraz, *last but not least*, mojej żonie Katrin, która wieczorami dzielnie brnęła przez kolejne strony i zarabiała potrzebne pieniądze, podczas gdy ja mogłem spełniać swoje młodzińcze marzenie.

**Oliver Pótzseh, maj 2007**